

CRAIG
RUSSELL

ZBRODZIA PRZEKRACZA GRANICE
CZASU I OKRUCIEŃSTWA

KRWAWY
ORZEŁ

CAPRICORN
Media Lazar

lesiojot

Craig Russell

Krwawy Orzeł

przełożył Paweł Lipszyc

CAPRICORN
Media Lazar

Tytuł oryginału
Blood Eagle

Projekt okładki
Marta Kurczewska

Redakcja
Hanna Smierzyńska

Korekta
Mariola Będkowska

Copyright © by Craig Russell. All rights reserved.
Copyright © for the Polish edition by Media Lazar

Media Lazar Capricorn
Warszawa 2006 ul. Rosoła 12
02-796 Warszawa
tel.: 022 6494249

capricorn.wartoczytac.pl
email: capricorn@wartoczytac.pl

Skład i łamanie
AVANTI
ul. Jarocińska 13/3, 04-171 Warszawa
Druk i oprawa OPOLGRAF S.A. www.opolgraf.com.pl

ISBN
83-922452-1-0
978-83-922452-1-6

Dla Wendy, Jonathana, Sophie i Helen

Wieki ciemne nigdzie nie były mroczniejsze niż w krainach wikingów. Kwitły tam potężne kultury, przesądne i okrutne, których krwawe rytuały krążyły wokół najtajniejszych wieizeń. Jednym z najbardziej przerażających był rytuał Krwawego Orła.

Część pierwsza

Środa 4 czerwca i czwartek 5 czerwca

Policja Hamburg Wydział Zabójstw

Od: **SYN SVENA**

Do: **GŁÓWNY NADKOMISARZ**

JAN FABEL

Wysłano: **3 czerwca 2003, 23.00**

Temat: **CZAS**

CZAS BIEGNIJE W DZIWNY SPOSÓB, NIE SĄDZI PAN? JA PISZĘ, PAN CZYTA, DZIELIMY TĘ SAMĄ CHWILĘ. A JEDNAK, KIEDY JA PISZĘ, PANIE NADKOMISARZU, PAN ŚPI, A MOJA KOLEJNA OFIARA JESZCZE ŻYJE, KIEDY CZYTA TO PAN, ONA JUŻ NIE ŻYJE. NASZ TANIEC TRWA.

CAŁE ŻYCIE SPĘDZIŁEM NA OBRZEŻACH FOTOGRAFII INNYCH LUDZI. NIE ZAUWAŻANY. ALE GŁĘBOKO WEWNĄTRZ, NIEZNANE MI I UKRYTE PRZED ŚWIATEM, SPOCZYWAŁO ZIARNO CZEGOŚ WIELKIEGO I SZLACHETNEGO.

TERAZ TA WIELKOŚĆ PROMIENIUJE ZE MNIE. NIE TWIERDZĘ PRZY TYM, ŻE DOMAGAM SIĘ JEJ DLA SIEBIE: JESTEM JEDYNNIE INSTRUMENTEM, NARZĘDZIEM.

WIDZIAŁ PAN, DO CZEGO JESTEM ZDOLNY: MÓJ ŚWIĘTY AKT. TERAZ WYPEŁNIAM MISJĘ, BY KONTYNUOWAĆ MOJE DZIEŁO, TAK JAK PANA OBOWIĄZKIEM JEST MNIE POWSTRZYMAĆ. ZAJMIE TO

PANU WIELE CZASU, PANIE FABEL, A ZANIM PAN TEGO DOKONA,
JA ROZŁOŻĘ ORLE SKRZYDŁA DALEKO I SZEROKO. ZOSTAWIĘ MÓJ
ZNAK, WE KRWI, NA NASZEJ ŚWIĘTEJ ZIEMI.

MOŻE MNIE PAN POWSTRZYMAĆ, ALE NIGDY MNIE PAN NIE
SCHWYTA.

NIE BĘDĘ DŁUŻEJ PRZEBYWAŁ NA OBRZEŻACH FOTOGRAFII
INNYCH LUDZI. NADSZEDŁ CZAS, ABYM ZAJĄŁ MIEJSCE W
CENTRUM.

SYN SVENA

Środa, 4 czerwca, 4.30. Poseldorf, Hamburg

Tej nocy, po dniu, w którym powietrze przygniotło miasto jak wilgotna, dusząca płachta, niebo gwałtownie pękło. Fabel śnił.

Podczas gdy burza przetaczała się nad Hamburgiem z błyskami i łoskotem, przez jego umysł przemykały obrazy. Czas zapadał się w sobie i zwijał, a w miejscu uwolnionym spod jego panowania spotykali się ludzie i zdarzenia oddaleni od siebie o całe dziesięciolecia. Nadkomisarzowi zawsze śniło się to samo: nierozwikłane, puszczone luźno sprawy, pytania, na które nie znał odpowiedzi, kamienie, pod które nie zajrzał. Niewyjaśnione tropy tuzinów dochodzeń gnieździły się we wszystkich zakamarkach jego udreżonego mózgu. W tym śnie, jak w wielu wcześniejszych, szedł pośród ludzi zamordowanych w ciągu piętnastu lat jego pracy w policji. Znał ich wszystkich, każdą wypraną przez śmierć z kolorów twarzy, podobnie jak większość ludzi pamięta twarze krewnych. Martwi, których zabójców schwytał, mijali Fabla obojętnie; ofiary, których kaci pozostali bezkarni, wpatrywały się w niego martwymi oczami w posepnym oskarżeniu, wskazując na swoje rany.

Tłum rozstąpił się i do Fabla podeszła Ursula Kastner. Miała na sobie tę samą szykowną, szarą marynarkę od Chanel, co ostatnim razem, jedynym, kiedy Fabel ją widział. Wpatrywał się w niewielką plamkę krwi na marynarce. Plama z wolna rosła. Czerwień pogłębiała się. Bezkrwiste, szare wargi Ursuli poruszyły się, bezdźwięcznie artykułując słowa:

- Dlaczego go nie złapałeś?

Przez chwilę Fabel owinięty mglistą otuliną snu czuł się zbity z tropu, nie słysząc jej głosu. Czy dlatego, że nigdy nie usłyszał go za jej życia? Potem pojął. To oczywiste, skoro kobiecie wydarto płuca, zabrakło oddechu, który mógłby unieść jej słowa.

Zbudził go hałas. Za panoramicznymi oknami grzmiało, deszcz bębnił o szyby, a telefon dzwonił natarczywie. Przecierając zaspane oczy, podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Cześć. Mówi Werner. Lepiej tu przyjedź, szefie... Mamy kolejny przypadek.

Ulewa zalewała miasto tak, jakby jego liczne kanały i położone w centrum jezioro - Aussenalster - wciąż domagały się więcej wody.

Burza szalała nadal. Oślepiające błyski wiły się po niebie, wydobywając z mroku czarne sylwety wieży telewizyjnej i kościoła St Michaelis sterczące w ciemnościach jak teatralne dekoracje. Wycieraczki bmw Fabla pracowały w maksymalnym tempie, rozmazując po przedniej szybie lepkie krople, których rozbryzgi na szkle zamieniały światła latarni ulicznych i nadjeżdżających z przeciwka samochodów w rozprysnięte gwiazdy. Fabel zabrał spod Komendy Głównej Policji w Hamburgu Wernera Meyera. Jego masywny tułów wciskał się teraz w fotel obok kierowcy, wypełniając wnętrze samochodu wonią przesiąkniętego deszczem płaszcza.

- Czy to na pewno wygląda na robotę naszego faceta? - spytał Fabel.

- Z tego, co mówił gość z komisariatu przy Davidstrasse, taa... tak by wyglądało.

- Shit - zaklął Fabel. - Czyli z całą pewnością to seryjny. Dzwoniłeś do ludzi z medycyny sądowej?

- Mhm. - Werner wzruszył szerokimi ramionami. - Obawiam się, że przyślą tego dupka Moliera. Pewnie już tam będzie. Jest też Maria, a Paul i Anna czekają na komisariacie.

- Co z e-mailem?

- Na razie nic nie mamy.

Fabel pojechał Ost-West-Strasse do St Pauli, potem skręcił w Reeperbahn - hamburską dzielnicę grzechu i rozpusty, która o piątej nad ranem wciąż smętnie migotała w deszczu. Kiedy skręcił w Grosse Freiheit, ulewa przeszła w mżawkę. Tradycyjna rozwiązłość walczyła na tym terenie z importowaną drobnomieszkańską hipokryzją, a tu właśnie przebiegała linia

frontu. Sklepy porno i kluby ze striptizem stawiały w ariergardzie opór natarciu modnych winiarni i musicali, jakby żywcem przeniesionych z Broadwayu czy londyńskiego West Endu. Jaskrawe obietnice „Seksu na żywo”, „Peep show” czy „Filmów hardcorowych” rywalizowały z jeszcze bardziej krzykliwymi neonami *Kotów*, *Króla Lwa* i *Mamma Mia*. Z jakiegoś powodu tandeta wydała się Fablowi znośniejsza.

- Powtórzono ci, że próbował się z tobą skontaktować profesor Dorn? - spytał Werner. - Mówił, że musi z tobą pomówić o sprawie Kastner...

- Mathias Dorn? - Fabel koncentrował wzrok na szosie, jakby dzięki temu mógł utrzymać na dystans duchy, obudzone gdzieś w mrokach jego pamięci.

- Nie wiem. Przedstawił się jako profesor Dorn i powiedział, że znasz go z Uniwersytetu Hamburgskiego. Bardzo zależy mu na rozmowie z tobą.

- Co, u diabła, Mathias Dorn ma wspólnego ze sprawą Kastner? - zapytał sam siebie Fabel. Skręcił w Davidstrasse. Minęli wąski wylot Herbertstrasse, ukrytej przed oczami statecznych hamburczyków za nieprzejrzystymi ekranami. Fabel pracował przed laty w tej dzielnicy i wiedział, że dalej, w głębi ulicy w słabo oświetlonych oknach siedzą prostytutki, a po chodnikach, w mżawce, krążą jak cienie klienci. Miłość w dwudziestym pierwszym wieku. Fabel jechał dalej, przebił się przez pulsujące drgania muzyki dance buchające z wnętrza Weisse Maus przy Taubenstrasse, by wreszcie zatrzymać się przed posterunkiem policji. Fronton domu z klinkierowej cegły przypominał dziób statku. W bramie kryło się przed deszczem dwoje ludzi: wysoki, szczupły mężczyzna o piaskowych włosach oraz drobna, śliczna brunetka w czarnej za dużej kurtce. Jasna cera dziewczyny wyraźnie kontrastowała z karminem szminki, który Fablowi kojarzył się z - jak to określał - dyskretnym odcieniem czerwieni, na jaki są pomalowane wozy strażackie. Patrząc na nich, stojących razem, odruchowo pomyślał, jak młodo wyglądają.

- Cześć, szefie. - Komisarz Anna Wolff zajęła miejsce z tyłu i przesunęła się, pozwalając, by jej partner Paul Lindemann

usiadł obok niej. - Dostałam namiary na komisariacie. Powiem ci, jak jechać...

Wyjechali z Davidstrasse. Sztuczny blichtr St Pauli ustąpił miejsca przaśnej rozwiązłości. Jaskrawe neonowe obietnice wyuzdania zagarniały noc dla siebie, odbijając się w lśniących deszczem chodnikach. Nieliczni przechodnie przemykali z głowami wciągniętymi w ramiona, opierając się lub dając zwabić rutynowo entuzjastycznym naganiaczom z klubów striptizowych. Kolejny zakręt; ciągle zjeżdżali w dół. Tutaj w drzwiach stały wychudłe, ponure prostytutki - jedne przeraźliwie młode, inne odstrasząco stare - bądź też pijani bezdomni menele. W jednej z bram taka żywa sarta lachmanów chłęptała z butelki i obrzucała wyzwiskami przejeżdżające samochody, prostytutki, wszystkich i nikogo zarazem. A za drzwiami, za pustymi, zasłoniętymi oknami, trwał handel żywym towarem. Oto było jądro ciemności Hamburga: miejsce, gdzie ludzi można kupić do każdego celu i za każdą cenę; miejsce mrocznej seksualnej anarchii, gdzie ludzie przychodzili, by obnażać naj mroczniejsze zakamarki własnych dusz.

Kiedyś, w ramach prowadzonego dochodzenia, Fabel musiał obejrzeć sfilmowane zabójstwo. Zwykle policjant pojawiał się na scenie już po akcie zabójstwa. Oglądał zwłoki, dowody, badał świadków i na podstawie tych wszystkich elementów miał odtworzyć przebieg morderstwa: żmudną rekonstrukcję chwili śmierci. Wtedy po raz pierwszy Fabel miał się stać świadkiem zbrodni, którą się zajmował. Z rosnącym lękiem i obrzydzeniem patrzył w ekran telewizora, na którym niczego niepodejrzewająca aktorka porno odgrywała tradycyjną rolę, pozorując głęboką ekstazę. W trakcie pozbawionego czułości, brutalnego stosunku z trzema zamaskowanymi mężczyznami kobieta jęczała, udając rozkosz, nieświadoma prawdziwej kulminacji bliskiego już dramatu. Nagle, szybkim, sprawnym ruchem, jeden z mężczyzn owinął jej szyję rzemieniem. Fabel ujrzał na twarzy aktorki zdziwienie i cień niepokoju: tego nie było w scenariuszu, o ile te rzeczy kiedykolwiek są w scenariuszach, ale mimo to kobieta grała dalej, naśladowując

wzmoczone podniecenie. Potem rzemień się zacisnął, a udawana ekstaza przeszła w rzeczywiste przerażenie. Twarz kobiety zsiniała. Młóciła dziko rękami, gdy wyduszano z niej życie.

Zabójców nigdy nie schwytano, a ofiara dołączyła do oskarżycielskiego legionu zamordowanych, który zaludniał sny Fabla. Kasetę wideo nagrano gdzieś w tej okolicy, za jednym z tych zimnych okien. Może właśnie teraz, gdy przejeżdżali, nagrywano kolejną.

Po wzięciu następnego zakrętu Fabel znalazł się na ulicy czteropiętrowych domów mieszkalnych. Zdezorientowała go nieoczekiwana normalność. Jeszcze jeden skręt: więcej domów mieszkalnych, ale tu normalność się kończyła. Niewielki tłumek zgromadził się wzdłuż policyjnej taśmy, która odgradzała radiowozy, zaparkowane przed przysadzistym budynkiem z lat pięćdziesiątych.

Fabel zatrąbił, by mundurowy policjant umożliwił mu przejazd przez tłum. Było to tradycyjne zbiegowisko przypadkowych osób, apatycznych lub ponuro-wścibskich twarzy. Jedni, w nocnych strojach i kapciach, dopiero co nadciągnęli z okolicznych mieszkań, inni stawali na palcach lub wyciągali szyje, żeby popatrzeć na widowisko. Przypominali zombi. Może dlatego, że Fabel przywykł do podobnych zbiegowisk, zauważył tego starego człowieka. Zwrócił na niego uwagę, przeciskając się samochodem przez tłum: mężczyzna miał koło siedemdziesiątki, był niski - najwyżej metr sześćdziesiąt pięć - ale masywnej budowy.

Miał płaską twarz i ostro zarysowane kości policzkowe. Jego nieduże, świdrujące oczy, co było widać nawet w słabym świetle latarni ulicznych, patrzyły, zimno i bezwzględnie.

Była to twarz człowieka z Europy Wschodniej, może z krajów bałtyckich albo jeszcze odleglejszych stron. W odróżnieniu od innych, jego spojrzenie wyrażało coś głębszego niż tylko powierzchowne, chorobliwe zaciekawienie. Co więcej, w przeciwieństwie do pozostałych gapiów, nie kierował wzroku ku policyjnemu zagęszczeniu przed domem, ale intensywnie wpatrywał się w Fabla przez boczne okno bmw. Policjant w

mundurze przeszedł między starszym mężczyzną a samochodem nadkomisarza, pochylił się i zajrzał, a ten pokazał odznakę policyjną. Mundurowy zasalutował, po czym dał koledze znak - przepuścić. Kiedy wreszcie się cofnął, Fabel poszukał wzrokiem człowieka o rozjarzonych oczach, ale tamten znikł.

- Widziałeś tego starego, Werner?
- Jakiego starego?
- A wy? - zwrócił się Fabel przez ramię do Anny i Paula.
- Przykro mi, szefie - odparła Anna.
- Co z nim? - spytał Paul.
- Nic... - Fabel wzruszył ramionami i podjechał do innych wozów policyjnych, stłoczonych wokół wejścia do budynku.

Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Klatka schodowa majaczyła w słabym świetle półkolistych lamp ściennych, po jednej na każdym półpiętrze. Wspinając się, Fabel i jego ekipa musieli w pewnej chwili stanąć i przyłgnąć do ścian, żeby przepuścić mundurowych funkcjonariuszy i ludzi z sądówki. Na twarzach wszystkich mijających ich w milczeniu ludzi malowała się posępna powaga; niektórzy pobledli i nie był to efekt słabego światła. Fabel wiedział już, że na górze czeka na nich coś naprawdę paskudnego.

Młody policjant stał zgięty wpół, w pozie sportowca, który właśnie ukończył bieg maratoński, opierał się o framugę drzwi, nogi ugiął nieznacznie, dłonie oparł na kolanach, a głowę opuścił w dół. Oddychał wolno, głęboko, wpatrzony w podłogę u swych stóp, jakby rejestrował najdrobniejsze zadrapania i odpryski betonu. Początkowo w ogóle nie zauważył obecności Fabla. Gdy ten pokazał owalną odznakę policyjną, młody wyprostował się sztywno. Kiedy odgarnął niesforne rudoblonde włosy, ukazała się zbielała pod konstelacją piegów twarz.

- Przepraszam, panie nadkomisarzu, nie zauważyłem pana.
- Nie ma sprawy. Dobrze się czujesz? - Fabel zajrzał mu w twarz i położył dłoń na ramieniu. Tamten rozluźnił się nieco. - To twoje pierwsze morderstwo?

- Nie, panie nadkomisarzu. Nie pierwsze. Najgorsze... Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Obawiam się, że ja prawdopodobnie tak - odparł Fabel.

Paul i Anna zdążyli tymczasem wejść na górę i dołączyć do Fabla i Wenera. Policjant w fartuchu, nadzorujący zabezpieczanie miejsca zbrodni, rozdał im po parze jasnoniebieskich ochraniaczy na buty i białych rękawic chirurgicznych. Kiedy je założyli, Fabel wskazał ruchem głowy drzwi mieszkania.

- Wchodzimy?

Pierwszą rzeczą, na jaką Fabel zwrócił uwagę, była świeżość wnętrza. Mały hol sprawiał wrażenie, jakby niedawno odmalowano go na kolor jasnego masła: przyjemny, choć mdły, neutralny i anonimowy. Znajdowało się w nim troje drzwi. Tuż po lewej ręce Fabla była łazienka. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że łazienka, tak jak hol, jest ciasna, czysta i świeża. Wyglądała na niemal nieużywaną. Fabel zauważył, że na nielicznych płaskich powierzchniach i półkach brakowało drobiazgów, jakie zazwyczaj tworzą osobisty klimat łazienki. Drugie drzwi, otwarte na oścież, ukazywały główne pomieszczenie: sypialnię połączoną z salonem. Ona także była niewielka, a wydawała się jeszcze ciasniejsza z powodu tłoczących się tam policjantów i specjalistów od medycyny sądowej. Każdy wykonywał swe czynności z uniesionymi rękami, przeciskając się obok kolegów niby w nieporadnym tańcu. Wchodząc, Fabel dostrzegł na wszystkich twarzach powagę, jakiej, wydawałoby się, należało oczekiwać w podobnej sytuacji, ale która w rzeczywistości wśród rutyniarzy była rzadkością. Regułą bywał wisielczy humor, cyniczna na pozór dezynwoltura, niestosowna być może, lecz tworząca barierę ochronną między śmiercią i ludźmi zawodowo mającymi z nią do czynienia. Ale nie teraz. Nie tutaj. Tu śmierć zacisnęła swoje kościste palce na sercach obecnych.

Spojrząwszy na łóżko, Fabel zrozumiał przyczynę. Stojący za nim Werner syknął:

- Kurwa!

Eksplozja szkarłatu. Tryskająca krew okryła czerwienią łóżko,

dywan i ścianę. Posłanie było przesiąknięte ciemną, lepką ciecżą, której intensywna, miedziana woń wisiała ciężko w powietrzu. W centrum tego krwawego wybuchu Fabel ujrzał ciało kobiety. Trudno było określić jej wiek, ale przypuszczalnie miała od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Leżała rozpostarta, z przegubami i stopami przywiązanymi do słupków łóżka, z groteskowo zdeformowanym brzuchem. Potrzaskane żebra sterzące z rozplątanej piersi wyglądały jak wręgi łodzi. Ich koścista biel prześwitywała przez masę surowej tkanki i lśniących, ciemnych wnętrzości. Dwa bordowe, krwawe płaty płuc, pokryte spienioną, jasną krwią, leżały przerzucone przez ramiona kobiety.

Wyglądała tak, jak gdyby wybuchła od środka.

Serce Fabla waliło tak mocno, jakby i jego pierś miała eksplodować. Czuł, jak twarz mu szarzeje. Zgrozę zmieszaną z niedowierzaniem czytał również z miny Wenera, który z trudem tłumił cisnące mu się na język przekleństwa.

- To znowu on. Jest źle, szefie. Naprawdę źle. Mamy tutaj tatusia wszystkich psycholi świata, w dodatku ganiającego luzem.

Fabel przez chwilę nie mógł oderwać wzroku od zwłok. Wreszcie, zaczerpnąwszy tchu, zwrócił się do Paula:

- Świadców?

- Żadnych. Nie pytaj mnie, jak można było urządzić takie piekło, nie zwracając niczyjej uwagi, ale w takim właśnie stanie ją znaleziono. Mamy tylko faceta, który ją znalazł. Nikt nic nie widział ani nie słyszał.

- Ślady włamania? Paul potrząsnął głową.

- Facet, który ją znalazł, mówi, że drzwi zastał otwarte, ale nie było widać żadnych śladów włamania.

Fabel podszedł do ciała. Wydawało się draństwem, że tak gwałtowne i okrutne wyrwanie z życia przeszło niezauważone. Przeważenie kobiety pozostało osamotnione. Jej śmierć - śmierć, której nie potrafił sobie wyobrazić, bez względu na to, jak plastycznie by mu ją przedstawiono - była samotna, opuszczona we wszechświecie wypełnionym jedynie zimną przemocą zabójcy. Przeniósł wzrok ze zmasakrowanego ciała

na zbryzganą krwią twarz, rozchylone usta i otwarte oczy. Nie dostrzegł przerażenia: twarz nie wyrażała lęku, nienawiści ani nawet spokoju. Była to pozbawiona wyrazu maska, niemówiąca nic o osobowości ofiary, która jeszcze tak niedawno żyła. Patolog Molier przypominający w białym kombinezonie medycyny sądowej królika badał rozplątany brzuch. Niecierpliwym gestem nakazał Fablowi, by ten się odsunął.

Fabel odwrócił wzrok od ciała. Trup był nie tylko obiektem fizycznym, ale także bytem temporalnym: punktem w czasie, centrum wydarzenia. Reprezentował moment popełnienia morderstwa. Na badanym przez policję miejscu zbrodni wszystko należało do czasu przed albo po zabójstwie. Fabel powiódł wzrokiem po pokoju, próbując wyobrazić go sobie bez tłumy policjantów i patologów. Pomieszczenie było nieduże, ale nie zagracone. Brakowało mu charakteru, stanowiło bardziej funkcjonalną przestrzeń niż mieszkanie. Na toaletce przy drzwiach stała, oparta o lampę, mała, wyblakła fotografia. Rzuciła się w oczy jako jedyny naprawdę osobisty przedmiot w pokoju. Na ścianie wisiał plakat - leżąca naga kobieta, oczy przymknięte w oczekiwaniu erotycznej ekstazy: coś, czego kobieta nie powiesiłaby dla własnej przyjemności. W wielkim lustrze wysokości człowieka, przytwierdzonym do ściany oddzielającej pokój od sąsiedniego pomieszczenia - Fabel domyślał się, że musiała to być kuchnia - odbijało się łóżko. Na nocnym stoliku dostrzegł wiklinową miseczkę wypełnioną różnokolorowymi prezerwatywami. Odwrócił się do Anny.

- Prostyutka?

- Na to wygląda, chociaż nie jest... nie była osobą znaną tutejszej obyczajówce. - Twarz Anny pod szopą ciemnych włosów była popielata. Starła się nie patrzeć w stronę zmasakrowanych zwłok. - Znamy za to faceta, który zgłosił morderstwo.

- Tak?

- Nazywa się Klugmann. Dawniej służył w miejscowej policji.

- Były gliniarz?

- Dokładnie rzecz biorąc, jest byłym oficerem Mobiles Einsatz Kommando. Twierdzi, że był przyjacielem... Mieszkanie

wynajęte jest na jego nazwisko.

- Twierdzi?

- Miejscowi chłopcy uważają go za jej alfonsa - wtrącił Paul.

- Moment... - Zdezorientowany Fabel spojrział na Paula pytająco. - Powiedzieliście, że ten facet służył w MEK, a teraz jest alfonsiem?

- To wydaje się bardzo prawdopodobne. Pracował w jednostce do zadań specjalnych MEK przy wydziale przestępczości zorganizowanej, ale został wyrzucony.

- Dlaczego?

- Jak się zdaje, zagustował w tamtejszych przysmakach - odparła Anna Wolff. - Przyłapano go z niewielką ilością kokainy i wyleciał. Dostał wyrok w zawieszeniu. Prokurator nie palił się do posłania członka MEK do pudła, a poza tym to było tylko kilka gramów koki... twierdził, że do użytku prywatnego.

- Wygląda na to, że nieźle znasz tę historię. Anna uśmiechnęła się.

- Kiedy Paul i ja czekaliśmy na ciebie w komisariacie, jeden z tamtejszych ludzi wszystko nam opowiedział. Klugmann brał udział w paru akcjach w St Pauli. Typowe naloty jednostek MEK na wytwórnie narkotyków należące do tureckiej mafii. Za pierwszym i drugim razem lokale były czyste jak łąka - najwyraźniej dostali cynk. Ponieważ akcje te organizowano wspólnie z miejscowym komisariatem, ci z MEK próbowali zwalić winę na ludzi z Davidstrasse za niedostateczne środki ostrożności. Po wpadce Klugmanna wszystko ułożyło się w całość.

- Płacił za narkotyki czymś innym niż gotówką?

- Tak przypuszczają. Ludzie z MEK próbowali dowieść, że Klugmann przekazywał informacje organizacji Ulugbeja, ale nie zdołali przedstawić niezbitych dowodów.

- Czyli Klugmann dostał tylko po łapach.

- Tak. Teraz pracuje w klubie striptizowym należącym do Ulugbeja.

- Oraz jako alfons - uśmiechnął się Fabel.

- Jak już mówiłem, tak podejrzewa lokalna policja - wrócił do rozmowy Paul.

- Wyobrażam sobie - odparł Fabel. Dawny policjant ze służb specjalnych byłby dla Ulugbeja bezcennym nabytkiem: parą rąk do bicia i źródłem informacji. - Czy powinniśmy uznać go za podejrzanego?

- Trzeba go sprawdzić, ale wątpię. Najwyraźniej był w prawdziwym szoku, kiedy dotarli tu miejscowi policjanci. Rozmawialiśmy z nim krótko na komisariacie. Klugmann to twardego człowieka, ale nie przygotował sobie żadnej wiarygodnej historyjki. Powtarzał tylko, że był jej przyjacielem i wpadł z wizytą.

- Czy znamy jej nazwisko?

- Tu mnie masz. - Paul wyglądał na zbitego z tropu. - To kobieta-zagadka. Klugmann mówi, że znał ją tylko jako „Monique”.

- Francuzka?

Paul spojrział na Fabla, próbując dociec, czy słyszy w jego głosie nutę ironii. Fabel znany był ze specyficznego poczucia humoru, ale teraz na twarzy komisarza malowało się jedynie zniecierpliwienie.

- Klugmann twierdzi, że nie. Wygląda mi to na imię zawodowe.

- Co z jej rzeczami osobistymi? Dowód, paszport?

- Nic.

Fabel otworzył jedną z szuflad komody. W środku znajdował się duży rozmiarów wibrator i cztery pisma pornograficzne, z których jedno specjalizowało się w seksie z użyciem różnych technik krępowania ciała.

Ponownie spojrział na zwłoki: przeguby i kostki nóg przywiązano do łóżka czymś, co wyglądało na czarne pończochy. Wybór ich nie wyglądał na część perwersyjnego scenariusza. Wynikał raczej z praktycznej improwizacji; nigdzie też nie było innych przyborów, towarzyszących zazwyczaj podobnym zabawom erotycznym. W następnej szufladzie Fabel znalazł więcej prezerwatyw, karton chusteczek higienicznych i butelkę olejku do masażu. Trzecia szuflada była pusta, z wyjątkiem ryzy papieru i dwóch długopisów. Nadkomisarz zwrócił się do szefa zespołu medycyny sądowej.

- Gdzie jest Holger Brauner? - zapytał, wymieniając nazwisko kierownika wydziału medycyny sądowej.

- Jest na urlopie do końca tygodnia.

Fabel żałował, że Braunera nie ma na służbie. Ten potrafił odczytywać miejsce zbrodni, jak archeolog odczytuje stanowisko: dostrzegał niewidoczne dla innych ślady ludzi, którzy przewinęli się wcześniej przez dane miejsce.

- Czy któryś z pańskich ludzi może dla mnie spakować te wszystkie rzeczy?

- Oczywiście, panie nadkomisarzu.

- W tej najniższej szufladzie nic więcej nie było? Szef patologów zmarszczył brwi.

- Nie. Wszystko, co wyjęliśmy do zbadania i zdjęcia odcisków palców, odłożyliśmy na miejsce. Nic innego tam nie było.

- Znaleźliście jej notes wizyt? Molier ponownie zmarszczył brwi.

- Ta kobieta była prostytutką, ale nie pracowała na ulicy - wyjaśnił Fabel. - Musiała umawiać się z klientami, przypuszczalnie przez telefon. Musiała mieć jakiś notes, gdzie zapisywała terminy wizyt.

- Nic takiego nie znaleźliśmy.

- Jeżeli go miała, to według mnie leżał tutaj - powiedział Fabel, wskazując głową na wysuniętą trzecią szufladę. - Jeżeli nie znajdziemy go gdzie indziej, podejrzewam, że nasz gość go zabrał.

- Żeby się chronić? Myślisz, że załatwił ją klient? - spytał Paul.

- Wątpię. Morderca nie byłby tak głupi, żeby wybierać ofiarę, która już coś o nim wiedziała.

- Czyli to na pewno ten sam facet, który załatwił tamtą Kastner?

- A któżby inny, u diabła? - odparł Werner, wskazując na zwłoki. - To jest najwyraźniej jego podpis.

Zapadła cisza; do świadomości każdego z obecnych zaczęły docierać ponure implikacje faktu, że mieli do czynienia z seryjnym zabójcą. Wszyscy wiedzieli, że dopóki nie zabije ponownie, nie zbliżą się do niego. Będzie mordował nadal.

Kolejne miejsce zbrodni powie im nieco więcej, lecz każdy drobny krok w śledztwie zostanie okupiony krwią niewinnych ofiar. Milczenie przerwał Fabel.

- Zresztą, jeżeli notesu wizyt nie zabrał nasz facet, mógł go sprzątnąć Klugmann, żeby chronić swoich klientów.

Patolog Molier, który do tej pory pochylał się nad ciałem, zaglądając w pustą otchłań brzucha dziewczyny, teraz wyprostował się i ściągnął zakrwawione rękawice chirurgiczne.

- To jest robota tego samego człowieka, Fabel... - Z zaskakującą delikatnością Molier odgarnął jasne włosy z twarzy dziewczyny. - Dokładnie ten sam sposób zabijania, co przy poprzedniej ofierze.

- Sam widzę. Kiedy nastąpił zgon?

- Tak drastyczne zmasakrowanie zwłok sprawia, że odczyty temperatury...

- A jak ty sądzisz? - przerwał mu Fabel.

Molier odchylił głowę do tyłu. Znacznie wyższy od Fabla, spoglądał na niego z góry, jakby obserwował coś niegodnego uwagi.

- Szacuję, że zgon nastąpił między pierwszą a trzecią nad ranem.

Z holu weszła wysoka blondynka w eleganckim szarym kostiumie. Bardziej pasowałaby do sali obrad rady nadzorczej dużego banku niż do miejsca, gdzie dokonano zbrodni. Starsza komisarz Maria Klee była najnowszym nabytkiem Fabla do zespołu.

- Szeffie, lepiej na to popatrz.

Fabel wyszedł za nią na korytarz, skąd przeszli do małej, wąziutkiej kuchni, która, podobnie jak reszta mieszkania, wyglądała na nieużywaną. Na blacie stał czajnik i leżała paczka herbaty ekspresowej. Na suszarce był tylko wymyty kubek. Poza tym ani śladu codziennych czynności: żadnych talerzy w zlewie, listów na blacie czy lodówce, nic, co wskazywałoby, że w tym wnętrzu toczyło się życie. Maria Klee wskazała na otwarte drzwi szafki ściennej. Zajrzawszy do środka, Fabel zobaczył wybity w ścianie otwór i wstawioną w to miejsce szybę, przez którą wyraźnie było widać pokój. Fabel patrzył prosto na

zbрызganę krwią łóżko.

- Z drugiej strony jest lustro - powiedziała Maria. - Spójrz na to. - Przcisnęła się obok Fabela i wsunęwszy do wnętrza dłoń w lateksowej rękawiczce, wyciągnęła przewód elektryczny. - Musiała tu stać kamera.

- Czyli naszego gościa nagrano na wideo?

- Tylko że teraz nic tu nie ma - odparła Maria. - Może znalazł kamerę i zabrał.

- Dobrze. Niech technicy porządnie to sprawdzą. Fabel zamierzał wyjść, ale Maria go powstrzymała.

- Kiedy byłem mała, zabrali nas na wycieczkę szkolną do studia telewizji NDR. Oprawdzano nas po planie filmowym jakiegoś serialu... wiesz, telenoweli w rodzaju *Lindenstrasse* czy *Dobre czasy, złe czasy*. Pamiętam, jak autentycznie wyglądał tamten pokój, dopóki nie podeszło się bliżej. Wtedy widać było, że niebo za oknami jest namalowane, a drzwi kredensu wcale się nie otwierają...

- Do czego zmierzasz?

- Tutaj jest wszystko, czego można się spodziewać w mieszkaniu cali girl... ale to przypomina raczej wyobrażenie scenografa o tym, jak powinno wyglądać mieszkanie dziewczyny na telefon. Tak jakby nikt tu nie mieszkał.

- Z tego co wiemy, tutaj nie mieszkało. Ta garsoniera mogła być po prostu „miejsce pracy” grupy dziewczyn...

- Wiem... ale coś tutaj nie pasuje. Rozumiesz, co mam na myśli?

Fabel zaczerpnął tchu i przez chwilę trzymał powietrze w płucach, zanim odpowiedział.

- Chyba tak.

Wrócił do salonu. Fotograf robił zbliżenia ciała. Lampa na statywie rzucała światło na zwłoki, przez co krew rozpryskana po pokoju wydawała się jeszcze bardziej wyrazista, potęgując wrażenie eksplozji gwałtu. Młody policjant wciąż stał przy drzwiach, nie odrywając wzroku od ciała. Fabel stanął między nim a zwłokami.

- Jak się nazywasz, chłopcze?

- Beller, panie nadkomisarzu. Uwe Beller.

- Dobra, Beller. Rozmawiałeś z sąsiadami?

Wzrok chłopaka zaczął przenosić się nad ramieniem Fabla z powrotem ku przerażającej scenie w pokoju. Z widocznym trudem skoncentrował się na pytaniu.

- Co? Ach... tak. Przepraszam pana, tak, rozmawiałem. Na parterze mieszka małżeństwo, a tuż poniżej pewna starsza kobieta. Nic nie słyszeli. Ale trzeba brać pod uwagę, że staruszka jest praktycznie głucha.

- Czy mogą nam podać nazwisko tej dziewczyny?

- Nie. Zarówno starsza pani, jak i małżeństwo twierdzą, że prawie jej nie widywali. Dawniej to mieszkanie należało do innej starszej kobiety, która zmarła rok temu. Stało puste przez jakieś trzy miesiące, potem wynajęto je znowu.

- Czy widzieli kogoś, kto wchodził lub wychodził wieczorem?

- Nie. Tylko faceta, który pojawił się około wpół do trzeciej, tego, który nas powiadomił. Tych z parteru obudziło trzaśnięcie drzwi wejściowych - mają sprężynowe zawiasy i zamykają się z łoskotem, który odbija się echem w holu... ale przedtem nikt nic nie słyszał. Małżeństwo na parterze spało, starsza pani z piętra niżej, jak już mówiłem, jest przygłucha. - Beller przechylił głowę, żeby spojrzeć na ciało obok ramienia Fabla. - Ktokolwiek to zrobił, był kompletnym świrem. Ta dziewczyna sama prosiła się o kłopoty, wdając się w takie towarzystwo i sprowadzając z ulicy wszelkich psycholi.

Fabel podniósł wyblakłą fotografię opartą o lampę na toalecie. Wyświechtany fragment czyjegoś życia, prawdziwego życia. W tym bezosobowym mieszkaniu takie zdjęcie pasowało, jak fortepian w prosektorium. Fabel domyślił się, że zrobiono je w słoneczny dzień w hamburskim parku Planten und Blomen. Było stare, niezbyt dobrej jakości, pstryknięte z daleka, ale dostrzegł rysy dziewczyny o mysich włosach, w wieku około czternastu lat. Była to twarz ani brzydka, ani ładna, z tych, które mijają się na ulicy, nie zauważając ich. Obok dziewczyny stał starszy, może dziewiętnastoletni chłopak oraz para czterdziestolatek. Całą czwórkę otaczała aura bliskości, natychmiast nasuwająca wniosek, że byli rodziną.

- Mimo wszystko ona wciąż jest osobą - powiedział Fabel, nie

patrzac na mlodego policjanta. - Nadal jest czyjas corka.
Pytanie tylko: czyja. - Z kieszeni marynarki wyjal torebke na
dowody rzeczowe i wsunal do niej zdjecie. Potem zwroutil sie do
Moliera.

- Przeslijcie mi raport tak szybko, jak tylko zdoacie.

**Środa, 4 czerwca, 6.00.
St Pauli, Hamburg**

Wychodząc, Fabel poprosił Bellera, żeby wstąpił z nim do mieszkania piętro niżej. Był tam już mundurowy policjant, który pił herbatę z drobniutką staruszką o pergaminowej skórze. Mieszkanie, w każdym razie pod względem układu, stanowiło dokładną kopię tego piętro wyżej. Jednak całe dziesięciolecie ludzkiej obecności wniknęły tu w ściany, aż wewnątrz stało się dopełnieniem lokatorki. Jak dla kontrastu, jedyny ślad w mieszkaniu na górze zostawiło nie czyjeś życie, ale śmierć.

Kiedy Fabel wszedł, policjant uniósł się z fotela, ale nadkomisarz dał mu znak, żeby się nie trudził. Beller przedstawił staruszkę jako panią Steiner. Patrzyła na Fabla dużymi, okrągłymi, wyblakłymi oczami. Połączenie tego spojrzenia z ptasią wręcz kruchością przywiodło mu na myśl sowę. Pod ścianą stał stół i krzesła. Fabel przyciągnął jedno z nich i usiadł naprzeciwko gospodyni.

- Czy dobrze się pani czuje, pani Steiner? Wiem, że to musi być dla pani bardzo nieprzyjemne. Straszna historia. Do tego nasze tupanie musi pani przeszkadzać. Tyle hałasu...

Fabel mówił, a staruszka pochyliła się do przodu i zmarszczyła brwi nad sowimi oczami, jakby koncentrowała się na jego słowach.

- Nie szkodzi, hałas mi nie przeszkadza... Widzi pan, jestem trochę głucha.

- Rozumiem - powiedział Fabel nieco głośniej. - Czyli minionej nocy nic nie mogła pani słyszeć?

Pani Steiner nagle zmarmotniała.

- Właśnie w tym rzecz... Pewnie coś słyszałam, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Nie rozumiem - przyznał Fabel.

- Szum w uszach. Obawiam się, że to skutek mojej głuchoty. Przed snem wyjmuję aparat słuchowy... każdej nocy słyszę odgłosy... stukania, wysokie zawodzenie... nawet coś jakby krzyki. Ale to tylko szum. Dokładnie rzecz biorąc, nigdy nie wiem, czy to szum, czy nie.

- Rozumiem, przykro mi. To musi być nieprzyjemne.

- Trzeba się od tego odizolować, bo w przeciwnym razie człowiek by zwariował. - Staruszka pokręciła powoli głową, jakby zbyt nagły ruch mógł ją uszkodzić. - Szum w uszach towarzyszy mi od bardzo dawna, młody człowieku. Dokładnie od lipca 1943 roku.

- Od brytyjskich bombardowań?

- Cieszę się, że znasz historię. Ja muszę żyć z moją, a przynajmniej z jej echem. Pierwsza fala nalotów złapała mnie na dworze. Widzisz, obydwie bębenki popękane. Do tego to... - Podciągnęła czarny wełniany rękaw, ukazując niewiarygodnie chudą rękę. Pomarszczoną skórę pokrywały różowe i białe plamy. - Oparzenia trzydziestu procent powierzchni ciała. Ale to szum w uszach najbardziej mnie naznaczył. - Staruszka zamilkła na chwilę; w swoich oczach pojawił się smutek. - Nie mogę znieść myśli, że ta biedna dziewczyna wołała o pomoc, a ja jej nie słyszałam.

Fabel spojrział na kolekcję czarno-białych zdjęć na toalecie: ona jako dziewczynka i jako młoda kobieta, już wtedy sowiooka; ona obok mężczyzny z bujną czarną czupryną; inne zdjęcie tego samego człowieka w mundurze, który Fabel początkowo wziął za mundur Wehrmachtu, ale potem rozpoznał uniform policyjnego batalionu rezerwy z czasów wojny. Żadnych dzieci. Żadnych zdjęć młodszych niż pięćdziesięcioletnie.

- Często ją pani widywała?

- Nie. Właściwie tylko raz zamieniłam z nią kilka słów. Szorowałam schody, kiedy wchodziła na górę.

- Rozmawiała z nią pani?

- Właściwie nie. To znaczy, przywitała się ze mną, powiedziała coś o pogodzie i poszła dalej. Zaprosiłabym ją na kawę, ale chyba się spieszyła. Wyglądała jak kobieta pracująca

w firmie czy coś w tym rodzaju... bardzo elegancka. Pamiętam, że miała drogie buty. Piękne buty. Zagraniczne. Poza tym jednym spotkaniem od czasu do czasu słyszałam ją na schodach. Sądziłam, że często wyjeżdża w interesach.

- Czy miewała wielu gości? Chodzi mi zwłaszcza o mężczyzn.

Staruszka zamyśliła się, marszcząc czoło.

- Nie... nie mogę powiedzieć, żebym widywała wielu ludzi.

- Wiem, że to bardzo nieprzyjemna sprawa, ale muszę o to panią zapytać: czy cokolwiek nasunęło pani myśl, że pani sąsiadka z góry mogła być prostytutką?

Sowie oczy rozwarły się szeroko.

- Nie. Na pewno nie. A była nią?

- Nie wiemy. Gdyby była, chyba widywałyby pani więcej wchodzących i wychodzących mężczyzn.

- Nie, naprawdę słyszałam tylko dwie czy trzy osoby, odwiedzające to mieszkanie. Ale teraz uświadomiłam sobie, że byli to wyłącznie mężczyźni. Nigdy nie widziałam żadnej kobiety.

- Potrafi ich pani opisać?

- Raczej nie. - Staruszka znowu powoli pokręciła głową. - Nie mam nawet pewności, czy odwiedzało ją więcej niż, powiedzmy, dwóch mężczyzn. Może zresztą była to ta sama osoba, tyle że widziałam ją więcej niż raz. - Wskazała na matową szybę w drzwiach wejściowych. - Widziałam tylko sylwetki przesuwające się przed drzwiami.

- Czyli nie rozpoznałaby pani żadnego z tych ludzi?

- Tylko młodego człowieka, który odnajmował jej mieszkanie...

- To pewnie Klugmann, proszę pana - wtrącił Beller. - To on znalazł ciało i nas powiadomił.

- Czy często przychodził? - spytał Fabel. Staruszka wzruszyła drobnymi ramionami.

- Widziałam go tylko parę razy. Jak już mówiłam, mógł być jedną z wchodzących i schodzących sylwetek, które się przesuwają w szybie, a może przyszedł tylko te parę razy, kiedy go rzeczywiście widziałam. - Pani Steiner spojrzała w stronę drzwi w głębi krótkiego holu. - Tak to jest na starość,

młodzieńcze. Świat kurczy się coraz bardziej, aż staje się tylko cieniami, które przesuwają się za twoimi drzwiami.

- Kiedy miała miejsce ostatnia wizyta pana Klugmanna, o której pani wiadomo?

- W zeszłym tygodniu... może dwa tygodnie temu. Przykro mi, ale naprawdę nie zwracałam na to szczególnej uwagi.

- To wszystko. Dziękuję za poświęcony nam czas. - Fabel dźwignął się z fotela.

- Panie nadkomisarzu? - Wyblakłe sobie oczy zamrugały.

- Tak?

- Czy ona bardzo cierpiała?

Kłamstwo miało się z celem. Wkrótce cała historia i tak znajdzie się w gazetach.

- Obawiam się, że tak. Ale jej męczarnie już się skończyły. Do widzenia, pani Steiner. Gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę się zwrócić do któregoś z policjantów.

Starsza pani nie zareagowała na słowa Fabela. Siedziała, kręcąc głową i mamrotała do siebie:

- Tragiczne. Jakie to tragiczne.

Na schodach Fabel zwrócił się do Bellerera.

- Pojawiłeś się na miejscu zbrodni pierwszy?

- Tak, proszę pana.

- I nikt nie kręcił się w pobliżu?

- Nie, proszę pana. Tylko facet, który do nas zadzwonił... potem jeszcze młode małżeństwo z mieszkania na dole.

- Nie widziałeś starszego mężczyzny? Beller potrząsnął w zamyśleniu głową.

- Nawet później, kiedy zaczęły się gromadzić sepy dziennikarskie? Niski, krępy mężczyzna pod siedemdziesiątkę. Wygląda na cudzoziemca... Słowianina... może Rosjanina.

- Nie, proszę pana... przykro mi. Czy to ważne?

- Sam nie wiem - powiedział Fabel. - Pewnie nie.

Środa, 4 czerwca, 7.30. St Pauli, Hamburg

Pokój przesłuchań na posterunku policji przy Davidstrasse stanowił przykład pragmatycznego minimalizmu. Nagość białych ścian zakłócały tylko drzwi oraz pojedyncze okno, które otwierałoby widok na ulicę, gdyby nie gruba, matowa szyba, podobna do tafli zamrożonego mleka, redukująca świat do nieostrej plamy. Koniec stołu do przesłuchań dotykał ściany, po obu stronach stały cztery krzesła z metalowych rur, po dwa z każdej strony. Na końcu blatu leżał czarny magnetofon kasetowy. Instrukcja na ścianie informowała o wyjściach awaryjnych i postępowaniu na wypadek pożaru. Nad nią widniał znak zakazu palenia.

Fabel i Werner siedzieli po jednej stronie stołu. Naprzeciwko zajął miejsce mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, o gęstych, tłustych czarnych włosach, zaczesanych do tyłu; błyszczące kosmyki raz po raz opadały mu na czoło. Wysoki, potężnie zbudowany, prężył ramiona pod tanią kurtką z czarnej skóry. Przypominał byłego sportowca, który się zaniedbał: fałdy tłuszczu w talii, cienie pod oczami, blada cera kontrastująca z czarnymi włosami i dwudniowym zarostem; twarz, wciąż kanciasta i mocna, zaczynała obwisać.

- Nazywa się pan Hans Klugmann? - zapytał Fabel, nie podnosząc wzroku znad raportu.

- Tak... - Klugmann pochylił się do przodu, przygarbił, dłonie oparł na kancie blatu i paznokciem jednego kciuka zaczął skubać skórę przy drugim. Gdyby nie nerwowe napięcie, emanujące z tej pozycji, można by sądzić, że się modli.

- Pan znalazł tę dziewczynę... - Fabel przewertował raport. - Monique?

- Tak... - Paznokieć kciuka wbił się głębiej w dłoń. Noga mimowolnie podrygiwała pod stołem. Pod wpływem tego

ruchu jego dłonie zaczęły rytmicznie dygotać.

- To musiał być dla pana szok... Porażające przeżycie. W oczach Klugmanna błysnął nieklamany ból.

- Można tak powiedzieć...

- Monique była pańską przyjaciółką?

- Tak.

- Mimo to twierdzi pan, że nie zna jej nazwiska.

- Nie znam.

- Proszę posłuchać, Klugmann, przyznaję, że naprawdę potrzebuję pańskiej pomocy. Mam mętlik w głowie i liczę na to, że pomoże mi pan wyjaśnić kilka spraw. Na razie mam pokrojone ciało anonimowej dziewczyny w mieszkaniu, w którym brak śladu rzeczy osobistych, z wyjątkiem jednej zmiany ubrania w szafie... żadnej kosmetyczki, żadnych dokumentów... Brakuje nawet jedzenia, jeśli nie liczyć litra mleka w lodówce. Znaleźliśmy też trochę akcesoriów, jakich można się spodziewać w mieszkaniu używanym do prostytutki. Poza tym lokal znajduje się w niewielkiej odległości, choć nie w obrębie, dzielnicy czerwonych latarni. Mimo to nie ma dowodów na wizyty wielu gości płci męskiej. Rozumie pan teraz, dlaczego nie mogę się w tym połapać?

Klugmann wzruszył ramionami.

- W dodatku dowiadujemy się, że mieszkanie wynajmuje były funkcjonariusz oddziałów specjalnych policji, twierdzący, że nie zna nazwiska dziewczyny, której odnajmuje lokal. - Fabel odczekał, aż sens tych słów w pełni dotrze do rozmówcy. Klugmann siedział nieporuszony, wpatrując się w dłonie. - Może więc przestanie pan wciskać nam kit, Klugmann? Pan i ja wiemy, że mieszkania używano do czynów nierządnych, ale przyjmowano w nim tylko wybranych klientów. Wiemy też, że Monique tam nie mieszkała. Proszę posłuchać, nie interesują mnie pańskie układy z dziewczyną, a jedynie informacje na jej temat. Czy wyrażam się jasno?

Klugmann przytaknął, ale nie oderwał wzroku od dłoni.

- No więc pytam ponownie, jak się nazywała?

- Powiedziałem już, że nie wiem... Przysięgam, że to prawda. Nazywałem ją tylko... ona sama nie mówiła o sobie inaczej jak

Monique.

- Ale była prostytutką?

- Może i była... Nie wiem... Mogła być... Nie w pełnym wymiarze godzin. To nie miało nic wspólnego ze mną. Nigdy nie brakowało jej pieniędzy, więc mogła być.

- Od jak dawna pan ją znał?

- Tylko jakieś trzy, cztery miesiące.

- Pan może nie zna jej nazwiska - włączył się Werner - ale muszą znać je inni. Z kim się zadawała?

- Nie wiem.

- Nigdy nie poznał pan jej przyjaciół? - spytał Fabel, nie kryjąc niedowierzania.

- Nie.

Fabel pchnął po blacie zdjęcie pierwszej ofiary, Ursuli Kastner.

- Poznaje pan tę kobietę?

- Nie. Cóż... tak... tylko z gazet. Czy to nie ta adwokatka, którą zamordowano? Załatwiono ją w ten sam sposób?

Fabel puścił pytanie mimo uszu i zostawił zdjęcie na stole. Klugmann nie spojrział na nie ponownie. Nadkomisarz odniósł wrażenie, że ten celowo unika patrzenia na twarz Kastner. Gdzieś głęboko w trzewiach Fabia obudził się instynkt.

- Czy wie pan, gdzie mieszkała Monique, zanim wprowadziła się tutaj?

Klugmann wzruszył ramionami.

- To się robi śmieszne. - Werner pochylił się do przodu. Masywna budowa i brutalne rysy twarzy nadawały jego ruchom, często zupełnie niezamierzenie, groźny charakter. W odpowiedzi Klugmann wyprostował się na krześle i spojrział wyzywająco na rozmówców. - Próbuje pan nam wmówić, że ta dziewczyna wprowadziła się do pańskiego życia i pańskiego mieszkania, a pan nic o niej nie wiedział, nie znał nawet jej nazwiska?

- Jako były policjant musi pan przyznać, Klugmann - wtrącił Fabel - że to wszystko wygląda trochę dziwnie.

Klugmann się rozluźnił.

- Pewnie tak. Ale mówię wam prawdę. Posłuchajcie, to jest

całkiem inny świat. Monique po prostu pojawiła się pewnej nocy tam, gdzie pracuję, i zaczęliśmy rozmawiać...

- Była sama?

- Tak. Dlatego zacząłem z nią rozmawiać. Arno, mój szef, myślał, że Monique jest drogą dziwką, która odciąga klientów z naszego klubu, więc kazał mi ją splewić. Zaczęliśmy rozmawiać i uznałem, że to dobra dziewczyna. Pytała, czy wiem, gdzie mogłaby wynająć pokój albo mieszkanie, a ja powiedziałem jej o swoim.

- Dlaczego zaproponował jej pan swoje mieszkanie? Czemu sam pan tam nie mieszka?

- Jestem... tak jakby związany z jedną z dziewczyn z Tanzbaru... Sonią. Większość nocy spędzałem u niej, bo stamtąd mamy dwa kroki do pracy. Gdy wynająłem mieszkanie, na czas remontu wprowadziłem się do Soni. Potem poznałem Monique, która była gotowa dobrze zapłacić, i to z góry... Miała się wprowadzić tylko na sześć do dziewięciu miesięcy. Pomyślałem, że przydałoby mi się trochę kasy...

- Miał się pan trzymać z daleka? - zapytał Werner.

- Taka była umowa...

- Co w takim razie robił pan tam w środku nocy?

- Wpadłem ją odwiedzić. Robiłem to od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Dobrze się rozumieliśmy...

- Złożył pan towarzyską wizytę o wpół do trzeciej nad ranem? - spytał Fabel.

- Żadne z nas nie pracowało w normalnych godzinach.

- Na czym dokładnie polega pańska praca, panie Klugmann?

- Już mówiłem, pracuję w nocnym klubie... Tanzbar. Jestem asystentem kierownika.

Fabel ponownie zajrzał w akta.

- A tak, Paradies-Tanzbar, na tyłach Grosse Freiheit... To tam?

- Tak.

- I pracuje pan dla...?

- Wiecie, dla kogo pracuję... - Klugmann spojrzał na paznokcie kciuka, spod którego wydłubywał teraz brud.

Fabel wyciągnął spod akt drugą teczkę. Otworzył ją i

przebiegł wzrokiem pierwszą stronę. W górnym prawym rogu Klugmann ujrzał własną fotografię. Przygarbione ramiona opadły.

- Taaak... - Fabel oparł się na krześle i popatrzył na Klugmanna w zamyśleniu. - Pańskim obecnym pracodawcą jest Ersin Ulugbej... Nie jest to kandydat na Obywatela Miesiąca Miasta Hamburg, co?

- Raczej nie.

- Dziwna kariera - stwierdził Werner. - Z elitarnej jednostki policji do tureckiej mafii.

- Co się tyczy odejścia z policji, to nie miałem wielkiego wyboru - uśmiechnął się krzywo Klugmann. - Co zresztą już pewnie wiecie. Poza tym, nie pracuję dla żadnej „mafii”. Wiem, w czym macza palce Ulugbej, ale nie mam z tym nic wspólnego. Ulugbej może być właścicielem baru, ale moim szefem jest Arno Hoffknecht, kierownik. Nazywa się, że niby jestem asystentem kierownika, ale tak naprawdę pracuję jako zwykły bramkarz. Mimo to mam czyste ręce.

- Poważnie? - zainteresował się Werner. - Ciekawe, czy nos ma pan równie czysty, jak ręce.

- Co to znaczy?

- Kiedy wziął pan ostatnią działkę?

Ściągną na szyi Klugmanna wyraźnie się napięły.

- Wal się, dupku.

Werner wbił w Klugmanna wściekłe spojrzenie i zdawało się, że lada moment wybuchnie. Fabel przejął inicjatywę.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan utrudniał śledztwa, panie Klugmann. To mogłoby znacznie pogorszyć pańską sytuację.

- Jakie znowu „pogorszyć”? To wszystko nie ma ni cholery nic wspólnego ze mną. Nie macie innych dowodów oprócz...

- Coś pan ukrywa.

- Na przykład?

- Na przykład, gdzie jest notes wizyt Monique?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Albo kamera wideo, którą ukrył pan za lustrem? O co chodziło? O szantaż czy po prostu kręcił pan pornosy?

Klugmann wydawał się kompletnie zaskoczony słowami

Fabia.

- Słuchajcie, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówicie.

Fabel odchylił się na oparcie. Werner odebrał ten sygnał i z uśmiechem wysunął do przodu krótko ostrzyżoną głowę.

- Nie podobasz mi się, Klugmann.

- Poważnie? - Zdziwił się ironicznie Klugmann. - A ja cieszyłem się, że czeka nas wspólna przyszłość...

- Nie podobasz mi się, bo jesteś zdrajcą i oszustem. Kiedy zacząłeś kapować dla Ulugbeja, nasrałeś na swoją służbę w policji. - Werner skrzywił się pogardliwie. - Śmierdzisz. Jedzie od ciebie pieprzonym rynsztokiem, mieszkasz z kurwą...

Klugmann sprężył się, szarpnął do przodu.

- Spokojnie... - Fabel uniósł rękę.

Niespeszony zachowaniem Klugmanna, Werner ciągnął dalej:

- Mieszkasz z kurwą, a swoje mieszkanie wynająłeś innej kurwie, żeby mógł ją rozszarpać jakiś pieprzony psychol, w dodatku pracujesz w melinie dla tureckiego ojca chrzestnego. Co czujesz, Klugmann... co czujesz, kiedy patrzysz rano w lustro? Chryste, kiedyś byłeś policjantem, a według tego, co tu pisała, nawet dobrym. Musiałeś mieć kiedyś ambicję. A teraz... - Werner wskazał na Klugmanna, wyciągając ręce, jakby trzymał na dystans coś obrzydliwego - jesteś - zbliżył twarz do twarzy przesłuchiwanego - jesteś śmierdzącym gównem, Klugmann. Ani przez sekundę nie wątpię, że potrafiłbyś zrobić to, co zrobiono z tą dziewczyną. Ani przez sekundę nie wierzę w te brednie, które nam wciskasz.

Werner nagle zamilkł. W pokoju zapadło milczenie, milczenie, które było częścią toczącej się gry. Klugmann opadł w tył krzesła, z jedną nogą odchyłoną luźno w bok, drugą wciąż podrygującą nerwowo. Fabel obserwował jego twarz. Tak jak przewidywał, przesłuchiwany przybrał maskę wystudiowanego znudzenia, jaką nadkomisarz widywał latami po przeciwnej stronie stołu: wyraz twarzy sugerujący brak zainteresowania, który Fabel zawsze potrafił przejrzeć na wskroś. Teraz jednak, patrząc na Klugmanna, zdał sobie sprawę, że jego maski przejrzeć nie potrafi.

Werner podjął wątek:

- Nie byłeś przyjacielem, nie byłeś klientem... nie poszedłeś tam na cichy numerek za czterysta euro, prawda? Z tego, co wiemy o Monique, była dla ciebie nieosiągalna.

Klugmann nie odpowiedział, tylko utkwiał wzrok w krawędzi stołu.

- Nie wierzę też, że jesteś tylko niefortunnym najemcą mieszkania anonimowej dziewczyny, którą przypadkiem zaszlachtowano w lokalu, który jej podnająłeś. Cóż więc nam pozostaje? - drążył Werner. - Nie przyjaciel. Nie klient. Czyli albo sam ją pociąłeś, albo pracowałeś dla Ulugbeja... byłeś jej alfonsem. Według mnie poszedłeś tam odebrać należność - i nie mam na myśli tylko czynszu - a w razie, gdyby okazała się krnąbrna, byłeś gotów dać jej małego klapsa. Czy nie tak można to podsumować?

Cisza.

- Może lubisz swoją robotę. Może ci staje, kiedy pomiatasz tymi dziewczynami. Może minionej nocy postanowiłeś się zabawić...

- Nie bądź durniem - wybuchnął Klugmann. - Widziałeś, w jakim stanie był pokój... Gdybym ją załatwił, cały obryzgałbym się krwią...

- Może zdjąłeś ciuchy, nim zacząłeś swoje figle... Może nasi medycy powinni cię solidnie przebadać...

- Róbcie, kurwa, co wam się podoba... Dobra, pracuję dla Ulugbeja. To nie ma nic wspólnego z tym, co stało się zeszłej nocy tam, na górze. To nie ma z nim nic wspólnego. Nie nastraszyście mnie bardziej, niż pieprzeni Turkole. Znacnie stawkę... jeśli pomyślą, że rozmawiam z wami o nich, skończę w lesie z oddartą twarzą.

Fabel znał zwyczaj, o którym mówił Klugmann. Tak właśnie postępowała turecka mafia: człowieka, który wykiwał ich w handlu narkotykami albo zeznawał na policji, porzucano w lesie na północ od Hamburga. Ofierze odrąbano dłonie, wybijano zęby i odcinano twarz. Identyfikacja zwłok stawała się przez to utrudniona, a czasem wręcz niemożliwa; śledztwo opóźniało się do tego stopnia, że trop często stygł, zanim

udawało się dotrzeć do sprawców.

- Dobra, dobra... tylko spokojnie - rzucił Fabel. - Tak czy inaczej jesteś jedynym człowiekiem, który był w jej mieszkaniu. To wiemy.

- Jasne, przez trzydzieści pieprzonych sekund. Kiedy ją zobaczyłem... natychmiast wybiegłem i do was zadzwoniłem.

- Nie skorzystałeś z jej telefonu?

- Nie. Zadzwoniłem ze swojej komórki. Nie mogłem tam zostać. Musiałem wyjść.

- Przyszedłeś tam około wpół do trzeciej? - spytał Fabel.

- Tak.

- I niczego nie dotykałeś?

- Nie. Tylko wszedłem i wyszedłem.

- Jak się dostałeś do środka? Masz klucz?

- Nie. To znaczy mam, ale go nie użyłem. Drzwi były uchylone.

- Twój telefon odebrano w naszej centrali o drugiej trzydzieści pięć. Gdzie byłeś, zanim poszedłeś do mieszkania?

- W pracy, w Paradies-Tanzbar.

- Do której dokładnie?

- Mniej więcej do za kwadrans druga.

- Droga z Grosse Freiheit do jej mieszkania nie zajmuje trzech kwadransów.

- Miałem sprawę do załatwienia...

- Jaką sprawę?

Klugmann obrócił dłonie wnętrzem ku górze i przekrzywił głowę na bok. Fabel stukał długopisem o zęby.

- Jeśli nie możesz albo nie chcesz nam powiedzieć, mogę założyć, że zabiłeś tę dziewczynę, umyłeś się, a potem zadzwoniłeś na policję, twierdząc, że właśnie znalazłeś ciało.

- Dobra, dobra... Pojechałem spotkać się z jednym gościem z Hafen... kupiłem trochę towaru...

- Od kogo?

- Chyba, kurwa, żartujecie...

Fabel podsunął mu pod nos zdjęcie z miejsca zbrodni. Obraz zabójstwa uchwycono w pełnych kolorach, tak jaskrawych, że całość wydawała się nierzeczywista.

- To nie jest żart.

Przesłuchiwany znieruchomiał i pobladł. Najwyraźniej powróciły wspomnienia.

- Była moją przyjaciółką, to wszystko.

Werner westchnął. Ignorując go, Klugmann spojrzał Fablowi prosto w oczy.

- Pan wie, że ja jej nie zabiłem, nadkomisarzu... - Napięte rysy twarzy zmiękły i Klugmann wyglądał teraz jak przekłuty balonik. - Z klubu pojechałem taksówką do Hafen. Taryfiarz poczekał na mnie, a po zakończonej sprawie zawiózł mnie do mieszkania. Wysiadłem tam około wpół do trzeciej. On może wam powiedzieć o wszystkich moich ruchach od wyjścia z klubu do przyjazdu pod dom. Sprawdźcie w firmie taksówkowej.

- Już to robimy.

Fabel zamknął teczkę i wstał. Wydawało się jasne, że Klugmann nie jest zabójcą; nie mieli poważnych podstaw do zatrzymania go, nawet w charakterze świadka. Mimo to przesłuchanie zdezorientowało Fabla. Na pozór Klugmann był tym, na kogo wyglądał, jednak nadkomisarza nie opuszczało poczucie, że patrzy na pokreconą mapę: były tam wszystkie rozpoznawalne znaki topograficzne, ale zamiast wskazywać drogę, wprowadzały zamęt. Z obiema teczkami pod pachą Fabel ruszył do drzwi i, nie odwracając się do Klugmanna, powiedział:

- Tak czy inaczej kazaliśmy ludziom z kryminalistyki zbadać ciebie i twoje ubranie.

W Marii Klee wszystko było energiczne i ostre: od urywanego hanowerskiego akcentu po krótką, wystylizowaną jasną fryzurę. Kiedy Fabel wyszedł z pokoju przesłuchań, Maria czekała na niego w korytarzu z kartką w dłoni.

- Jak poszło? - spytała żywo.

Fabel już miał odpowiedzieć, kiedy pojawił się mundurowy policjant, który miał zaprowadzić Klugmanna na badania medyczne. Oczywiście Klugmanna i Marii spotkały się na chwilę.

Klugmann patrzył nieobecny wzrokiem, jakby miał przed sobą powietrze, za to Maria zmarszczyła brwi, jakby usiłowała rozgryźć jakiś problem.

- Znasz go? - spytał Fabel, kiedy Klugmann i eskortujący go policjant odeszli.

- Sama nie wiem... Wydawało mi się, że go poznaję, ale nie potrafiłabym powiedzieć, gdzie go już widziałam...

- Cóż, to niewykluczone. Pracował w policji hamburskiej.

Maria pokręciła głową z wahaniem i zapytała.

- Jak ci z nim poszło?

- Najwyraźniej nie jest facetem, którego szukamy, ale nie jest czysty. Wszystko w nim jest nie tak. Coś przed nami ukrywa. Właściwie, wiele przed nami ukrywa. - Urwał. - A jak tobie się powiodło?

- Rozmawiałam z kierownikiem Tanzbaru, Arno Hoffknechtem. Potwierdził, że Klugmann pracował tam jeszcze po wpół do drugiej.

- Czy sądzisz, że Hoffknecht go kryje?

- Cóż, aby go ocenić, musisz go zobaczyć. Klasyczna menda. Przyprawił mnie o obrzydzenie. - Maria wzdrygnęła się ostentacyjnie. - Ale nie, nie kryje Klugmanna. Zbyt wielu ludzi widziało go w pracy. Ludzie z komendy sprawdzili też zeznanie Klugmanna o tym, że wszędzie jeździł tą samą taksówką...

- Dopiero co opowiedział nam o tym.

- Taksówkarz potwierdza, że zabrał Klugmanna z klubu za kwadrans druga, zawiózł go do jakiejś knajpy w Hafen, gdzie Klugmann kazał mu czekać, następnie zostawił go przed mieszkaniem około wpół do trzeciej.

- Dobra. Masz coś jeszcze?

- Tak, obawiam się, że mam - odparła Maria i wręczyła Fablowi wydruk e-maila.

Środa, 4 czerwca. 10.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Fabel ponownie przeczytał wiadomość na głos, potem odłożył kartkę na stół i podszedł do okna. Pokój odpraw znajdował się na trzecim piętrze budynku. Ruch uliczny w dole falował w rytm zmieniającej się sygnalizacji świetlnej: kojący rytm hamburskiego życia.

- I ten e-mail zaadresowano osobiście do ciebie? - spytał van Heiden.

- Tak, podobnie jak ostatni. - Fabel napił się herbaty. Odwrócony plecami do pozostałych, patrzył poprzez deszcz, ponad terenem parku miejskiego Winterhuder, gdzie centrum miasta wznosiło się w stalowoszare niebo.

- Czy nie ma sposobu, żeby go namierzyć? - spytał van Heiden.

- Niestety nie, panie naczelniku - odpowiedziała Maria Klee. - Nasz przyjaciel jest biegły w informatyce. Nie mamy sposobu, by go zlokalizować, o ile nie przyłapiemy go online, a nawet wtedy szanse są niewielkie.

- Czy nasz dział techniczny widział ten list?

- Tak - potwierdziła Maria. Fabel wciąż się nie odwracał, wpatrując się w szybko płynący ruch uliczny. - E-mail obejrzał też niezależny ekspert. Nie sposób ustalić, skąd go wysłano.

- Jest perfekcyjny - powiedział Fabel. - Anonimowy list czy notatka dostarcza nam danych fizycznych: możemy szukać DNA, przeprowadzać badania grafologiczne, zbadać skład chemiczny papieru i atramentu... ale e-mail jest obecny wyłącznie w postaci elektronicznej. Dla medycyny sądowej nie istnieje.

- Wydawało mi się, że anonimowy e-mail nie jest możliwy - powiedział van Heiden. - Musimy przecież mieć adres IP.

Wiedza van Heidena w dziedzinie technologii informatycznej

zaskoczyła Fabla.

- Zgadza się. Do tej pory otrzymaliśmy dwa e-maile, każdy z innego serwera i adresu. Obydwa sprawdziliśmy i stwierdziliśmy, że nasz gość włamał się do pozornie nieprzenikalnej sieci i założył fałszywe konta. Z tych kont wysłała e-maile.

Fabel odwrócił się od okna. Wokół stołu z wiśniowego drewna siedziało sześć osób. Po jednej stronie zajęło miejsca czworo głównych członków kierowanego przez Fabla zespołu z wydziału zabójstw: Werner Meyer, Maria Klee, Anna Wolff i Paul Lindemann. Naprzeciwko nich siedziała atrakcyjna, ciemnowłosa kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat - doktor Susanne Eckhardt, psycholog kryminalny. Honorowe miejsce zajmował Horst van Heiden, naczelnik policji hamburskiej - przełożony Fabla. Teraz wstał z krzesła. Można by sądzić, że bycie policjantem miał zakodowane w genach; nawet teraz, w jasnoszarym garniturze od Hugo Bossa, sprawiał wrażenie, jakby nosił mundur. Podszedł do ściany, na której umieszczono duże, barwne fotografie zmasakrowanych ciał dwóch młodych kobiet, zrobione z różnych ujęć. Wśród krwi i tkanek połyskiwały białe kości. Dwie różne kobiety, dwa różne miejsca, ale przerażający szczegół w centrum pozostawał niezmienny: płuca ofiar wyrwane z ciał. Z beznamytnym wyrazem twarzy van Heiden przesunął wzrokiem po obrazach masakry.

- Rozumiem, Fabel, że wiesz, kto czeka na mnie, na nas, na górze?

- Tak, panie naczelniku.

- I wiesz, że robi mi piekło, abym położył... temu kres.

- Zdaję sobie sprawę z wywieranych na pana nacisków. Jednak moim głównym celem jest nie dopuścić, by kolejna biedna kobieta padła ofiarą tego zwyrodnialca.

Małe niebieskie oczy van Heidena błysnęły zimno.

- Moja hierarchia wartości, panie nadkomisarzu, jest dokładnie taka, jak trzeba. - Ponownie spojrzął na zdjęcia. - Mam córkę mniej więcej w wieku drugiej ofiary. - Odwrócił się do Fabla. - Burmistrz Hamburga nie musi mi siedzieć na

karku.

- Jak już mówiłem, robimy, co w naszej mocy, żeby dopaść tego drania tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Jeszcze jedno. Całe to „rozkładanie orlich skrzydeł” i „nasza święta ziemia”... To mi się nie podoba. Ma wydzwięk polityczny. Orzeł - niemiecki orzeł?

- Możliwe - odparł Fabel, patrząc na Susanne Eckhardt.

- Możliwe - potwierdziła. W głosie pani psycholog dał się słyszeć południowy akcent. Fabel stawiął na Monachium. - Jednak orzeł jest ważnym symbolem psychologicznym w wielu kulturach, ikoną mocy i drapieżności. Zabójca, którego szukamy, mógł sobie obrać orła na swoją metaforę: obserwuje, krąży w górze niewidziany przez ofiarę, potem bezgłośnie spada, żeby zabić. Kieruje nim bardziej jakiś wynaturzony popęd seksualny, niż ekstremistyczna ideologia polityczna. Ten człowiek nie jest fanatykiem, to psychotyk. Istnieje różnica... chociaż muszę przyznać, że religijność tego e-maila, skojarzenia z krucjatą, a także rytualna metoda zabójstwa mnie niepokoją.

- Czy zatem szukamy jakiegoś szalonego neonazisty, czy nie?

- W głosie van Heidena zabrzmiał ostry ton.

- Wątpię, bardzo wątpię - odparła Susanne Eckhardt. - Ofiary nie są pochodzenia nieniemieckiego, to nie są typowe cele ataków neonazistów. Nie można jednak wykluczyć i takiej ewentualności. Sądzę raczej, że mamy do czynienia z osobistą krucjatą... - Kobieta przybrała minę osoby usiłującej przypomnieć sobie, gdzie położyła kluczyki do samochodu.

- Co się stało, pani doktor? - spytał Fabel. Doktor Eckhardt zaśmiała się krótko, niemal przepraszająco.

- Nic takiego... w każdym razie nic, co oparłoby się profesjonalnej czy choćby obiektywnej analizie...

- Mimo to proszę się z nami tym podzielić - powiedział van Heiden.

- Po prostu ten e-mail stanowi podręcznikowy przykład społecznie dysfunkcyjnego psychotyka. Wszystko tu mamy: poczucie społecznego wyobcowania, zboczoną moralność krzyżowca, identyfikację ze wzniosłym symbolem

drapieżności...

Fabel poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Jeszcze jedna rzecz, która za bardzo pasowała.

- Nie rozumiem... - Van Heiden najwyraźniej nie pojął aluzji.
- Sugeruje pani autentyczność e-maila? Prawdopodobieństwo, że napisał go nasz zabójca?

- Nie... cóż, tak... - Eckhardt zaśmiała się znowu, odsłaniając nieskazitelne zęby, połyskujące jak porcelana. - Naprawdę nie wiem. Ale gdybym to ja miała napisać list od seryjnego zabójcy, zawarłabym w nim wszystkie te elementy.

- Proszę o konkretną odpowiedź: list jest fałszywy czy prawdziwy? - Głos naczelnika znowu zabrzmiał ostro. - Zaczynam się gubić...

- Pewnie jest prawdziwy. Dwa zabójstwa, dwa e-maile. Gdyby chodziło o oszusta albo kogoś, kto kompulsywnie składa wyznania, zbieżność w czasie byłaby zbyt wielka, by mogła być prawdziwa. Ja tylko zwracam uwagę na pewien fakt. Nie... to tylko obserwacja. - Susanne Eckhardt powiodła wzrokiem po pokoju w poszukiwaniu wsparcia. Znalazła je: Fabel kiwał głową w zamyśleniu.

- Ten ostatni... przypadek, czy mamy jeszcze coś, czego moglibyśmy się trzymać, Fabel? - spytał van Heiden.

- Właśnie ten ostatni szczególnie mnie niepokoi - odparł Fabel. - Jest w nim kilka anomalii. Trzeba jednak zastrzec, że po prostu nie wiemy wielu rzeczy o ofierze.

- Na przykład nie znamy jej tożsamości... - rzucił van Heiden, a Fabel nie potrafił stwierdzić, czy była to uwaga sarkastyczna.

- Pracujemy nad tym.

Van Heiden przewertował raport.

- Co z tym byłym funkcjonariuszem MEK, który był z nią związany? Nie podoba mi się koncepcja byłego policjanta w roli alfonsa. Dziennikarze mieliby używanie.

- Niestety, musieliśmy go zwolnić - powiedział Fabel. - Kazaliśmy go śledzić. Będzie pod obserwacją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jestem przekonany, że zatają dowody, ale nie możemy mu nic udowodnić.

- Oglądałeś jego akta służbowe?

- Właśnie po nie posłałem - odparł Fabel, siadając i opierając przedramiona na stole. Świadomie przyjął nieco nonszalancką postawę: wiedział, że jego swobodny styl drażnił van Heiden a i sprawiało mu to frajdę. - Nie miałem jeszcze czasu, żeby gruntownie przeczytać te akta, ale najwyraźniej Klugmann był błyskotliwym rekrutem, z którym wiązano wielkie nadzieje, aż do sprawy z narkotykami. Przed wstąpieniem do policji służył w armii w oddziałach specjalnych...

- Komandos?

- Tak. Doskonały punkt startu do MEK - zaśmiał się niewesoło Fabel. - Człowiek uczy się myśleć za pomocą spluwy.

- Ludzie z MEK spełniają ważną funkcję - najeżył się naczelnik. - Są policjantami jak my. Jak przebiegała służba wojskowa Klugmanna?

- Z tego, co wiemy, niemal wzorowo...

- Dobry człowiek, który stał się zły...

- Albo profesjonalny zabójca, który przeszedł na drugą stronę... To kwestia punktu widzenia.

Tym razem van Heiden puścił prowokację Fabia mimo uszu.

- Sądzisz, że coś przed nami ukrywa?

- Ani przez chwilę nie wątpilem, że zna nazwisko ofiary. Jednak alibi ma w porządku. Musimy potwierdzić dokładny czas zgonu, ale jest niemal pewne, że Klugmann tego nie zrobił.

- W takim razie po co go śledzić? Czy naszych ludzi nie można lepiej wykorzystać?

Fabel wyczuł, że członkowie jego zespołu patrzą po sobie z niedowierzaniem.

- Ponieważ znaleźliśmy denatkę, która wciąż jest dla nas anonimowa, zamordowaną w makabryczny sposób, a być może Klugmann daje nam największą szansę na ustalenie tożsamości ofiary. Jak już mówiłem, według mnie coś ukrywa. Niewykluczone, że tym czymś jest nazwisko zabójcy... Syn Svena mógł być jednym z klientów tej dziewczyny.

Fabel pochwycił spojrzenie doktor Eckhardt, ale je zignorował; wiedziała, że nadkomisarz nieco improwizuje, ale wybieg, mający na celu uwolnienie się od van Heiden a, okazał się skuteczny.

- Dobra. - Argumentacja Fabla przekonała naczelnika. - Bardziej jednak interesuje mnie tożsamość zabójcy niż tej dziewczyny. Co jeszcze mamy?

- Wciąż analizujemy pochodzenie drugiej ofiary. - Maria Klee wyjęła z teczek kilka notatek. - Na razie nie wydaje się, by te dwie kobiety cokolwiek łączyło. prostytutka i adwokatka z wyższych sfer. Wygląda na to, że zabójca wybiera je losowo.

- Nam może się to wydawać losowe - wtrąciła doktor Eckhardt - ale dla zabójcy między tymi kobietami istnieje związek, którego dotychczas nie zauważyliśmy. Proszę pamiętać, że mamy do czynienia z mocno zaburzonym osobnikiem: jego logika jest inna niż nasza. Może chodzić o podobieństwo we wzroście, sposobie chodzenia, kształcie nosa... jednak podobieństwo istnieje, choćby nie wiem jak abstrakcyjne, które widzi zabójca... możliwe, że tylko on.

Po krótkim milczeniu Werner zapytał:

- A to znaczy?

- To znaczy, że każda kobieta w Hamburgu, bez względu na wiek i pochodzenie, jest potencjalnym celem.

Van Heiden podrapał się po siwym jeżu na głowie.

- I na razie mamy tylko jedno potencjalne ogniwo, łączące nas z zabójcą: Klugmanna, który być może znał go jako klienta ostatniej ofiary, a może nie?

- Istnieje jeszcze jedno potencjalne ogniwo. - Doktor Eckhardt nie podniosła wzroku znad stołu. Jej dłonie spoczywały obok akt. Wszyscy spojrzeli na nią. - Tym ogniwem jest nadkomisarz Fabel. Zabójca wybiera ofiary według pewnego abstrakcyjnego kryterium i na tej samej zasadzie wybrał pana Fabia jako swoje... cóż, alter ego, przeciwnika w grze. W jego oczach to godny przeciwnik. Wybrał go na swoją nemezis. Nadkomisarz stał się istotnym elementem jego fantazji, jego planu. Zabójca dał jasno do zrozumienia, że zamierza doprowadzić do zakończenia tych poszukiwań - zwróciła się do Fabia - może nawet zmuszając pana do zabicia go. Ta deklaracja, „może mnie pan powstrzymać, ale nigdy mnie pan nie schwytasz”, to coś w rodzaju obietnicy.

- Ze będę musiał go zabić, by go powstrzymać?

- Być może. Wyraźnie czuje, że nie zagraża pan psychotycznej części jego osobowości. Może fantazjuje na temat nieśmiertelności, do której pan nie uzyska dostępu, nawet jeśli pan go zabije. Tak jakby oddzielał was jakiś swoisty bufor.

- Jestem policjantem, nie katem. - Fabel przerwał, marszcząc brwi. - Ale dlaczego wybrał mnie?

- Tego nie wiem. Może i w tym przypadku jedynie Syn Svena będzie wiedział, dlaczego wybrał pana... ale...

- Ale co? - spytał van Heiden.

Doktor Eckhardt nadal zwracała się wprost do Fabia.

- Cóż, on czuje się z panem związany. Niewykluczone, że w przeszłości wasze drogi się skrzyżowały. Albo jest to ktoś, kogo zna pan obecnie.

- Ale to w żadnym wypadku nie jest pewne... - W ustach Fabia słowa te zabrzmiały jak pytanie.

- Nie, to nic pewnego, jedynie możliwość. Takie poczucie związku może się opierać po prostu na czymś, co o panu przeczytał... o panu albo o jednej z pańskich spraw, i na tej podstawie dokonał wyboru.

- Może chodzić o człowieka, którego droga skrzyżowała się w przeszłości z moją, być może znacząco?

- Myślę, że istnieje taka ewentualność... ale nic ponadto.

Fabel posłał van Heidenowi wymowne spojrzenie. Naczelnik potrząsnął głową.

- Tylko nie ta stara śpiewka, nadkomisarzu...

- Wiem. - Fabel wzruszył ramionami. - Po prostu wciąż myślę o tym, jak bardzo by to pasowało: Svensson droczący się ze mną, baj durząc o Synu Svena... chce mi w ten sposób powiedzieć, że żyje, a wszystko to jego dzieło...

Van Heiden ponownie potrząsnął głową.

- Opuść sobie, Fabel. Svensson nie żyje od blisko dwudziestu lat.

- Kto to jest Svensson? - zainteresowała się doktor Eckhardt.

- Historia - odparł van Heiden. - Zamierzchła historia, która nie ma nic wspólnego z tą sprawą. To ktoś, kto od dawna nie żyje.

- Dawno temu został uznany za zmarłego - uściślił Fabel. -

Uznano, że spłonął żywcem. Nie zdołano jednak zidentyfikować ciała. Nazywał się Karl-Heinz Svensson i kierował komórką młodych terrorystek. Dawniej należał do grupy Baader-Meinhof z Frakcji Czerwonej Armii, ale po pewnym czasie zaczął działać na własną rękę. W tym okresie istniało wiele odłamów, które nie zgadzały się z decyzją grupy Baader-Meinhof o całkowitym zejściu do podziemia. Był Ruch 2 Czerwca oraz organizacja SPK, która poprzedzała Frakcję Czerwonej Armii; były też Komórki Rewolucyjne, do których należeli zarówno aktywni terroryści działający pod przykrywką, jak i „oficjalni”, działający jawnie. Była wreszcie grupa Rote Zora, skupiająca w swoich szeregach same kobiety. Svensson ścigał od wszystkich. Swój oddział nazwał RAG - Radikale Aktionsgruppe. Większość podległych mu dziewczyn nie ukończyła dwudziestego roku życia. Posyłał je, by podkładały bomby w pasażach handlowych koło Alster i napadały na banki.

- Fabel i ja już o tym rozmawialiśmy - zwrócił się van Heiden do doktor Eckhardt. - Z powodu nieprzekonującej identyfikacji ciała Svenssona, Fabel podejrzewa, że tamten jakimś cudem mógł wrócić zza grobu i popełnić te morderstwa.

- Czy w to właśnie pan wierzy? - spytała Fabia pani psycholog.

- Właściwie nie. Uważam tylko, że nie powinniśmy całkowicie wykluczać takiej ewentualności...

- Przepraszam, ale nie rozumiem - powiedziała doktor Eckhardt. - Dlaczego w ogóle dopuszcza pan myśl o tym człowieku jako o potencjalnym podejrzanym? Nie dostrzegam związku pomiędzy martwym terrorystą a obecną serią zabójstw...

- Przyznaję, że to wysoce nieprawdopodobne. Akceptuję też to, co mówi naczelnik van Heiden: w eksplozji przypuszczalnie zginął Svensson. Jednak wzmianka o Synu Svena dała mi do myślenia... podobnie jak ciągłe odwoływanie się do orłów. Pseudonim Svenssona brzmiał „Orzeł”. Należy też wspomnieć o dziwacznych relacjach łączących go z kobietami.

- W jakim sensie dziwacznych?

- Odczuwał potrzebę pełnej dominacji. Podobno utrzymywał intymne stosunki z całą grupą. Prasa nazwała te dziewczyny „haremem Svenssona”.

- A jaki związek miała ta grupa z panem?

- W 1983 roku zrobili skok na główną siedzibę Banku Handlowego na Paul-Neumann-Platz. W akcji brały udział trzy kobiety z grupy Svenssona. Wychodząc z banku, wpadły na dwóch policjantów z pieszego patrolu. Doszło do wymiany ognia... Zginęły dwie terrorystki oraz jeden mundurowy, drugi został ciężko ranny. Dotarłem na miejsce w chwili, kiedy trzecia terrorystka rzuciła się do ucieczki. Ścigałem ją aż nad rzekę, zawołałem, żeby rzuciła broń, ale odwróciła się i strzeliła. Trafiała mnie w bok, a ja odpowiedziałem ogniem: oddałem dwa strzały w twarz i głowę. Dziewczyna zginęła na miejscu. Nazywała się Gisela Frohm. Miała siedemnaście lat. Była dzieckiem.

- Rozumiem. - Doktor Eckhardt zdjęła okulary i przez chwilę przyglądała się Fablowi. - Rozumiem, że połączył pan te sprawy, muszę jednak powiedzieć, że nawet gdyby ten Svensson przeżył, nie byłby oczywistym podejrzanym.

- Dlaczego?

- Po prostu nie pasuje do profilu, pod względem wieku, cech psychicznych ani pod żadnym innym... - Doktor Eckhardt odgarnęła z szerokiego czoła kosmyk kruczoczarnych włosów. Następnie założyła okulary i odczytała z akt: - Profil naszego zabójcy możemy budować na podstawie dwóch rodzajów danych: dowodów pobranych na miejscu zbrodni oraz treści e-maili. Obecnie dysponujemy następującym profilem ogólnym: mężczyzna w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, z dużym prawdopodobieństwem, że nie przekroczył trzydziestki. Inteligentny, chociaż może nie tak bardzo, jak sam uważa. Wykształcony co najmniej na poziomie studiów niepełnych wyższych; możliwe, że skończył studia i piastuje dość odpowiedzialne stanowisko, które jednak nie zadowala jego ambicji. Być może nie dane mu było zrealizować tego, co uważa za swój pełny potencjał akademicki i obecnie zajmuje jakąś niższą pozycję techniczną. Jeżeli ukończył studia, to oczywiście

podnosi dolną granicę wiekową do około dwudziestu sześciu lat.

Jak już wskazała pani Klee, wydaje się specem komputerowym. Prawdopodobnie, choć nie na pewno, mieszka sam. Typ samotnika: ktoś o niskim poczuciu własnej wartości. Czuje, że jego inteligencja jest niedoceniana, a świat nie pozwala mu zrealizować jego pełnych możliwości... więc właśnie temu światu wypowiedział teraz wojnę. W dzieciństwie lub młodości mogło też zajść wydarzenie, bądź seria wydarzeń, kiedy został upokorzony lub zdominowany przez kobietę. Z drugiej strony mogło dojść do sytuacji, w której obwiniał matkę za nieuchronienie go przed dominującym, gwałtownym ojcem. Niezależnie od faktycznego zdarzenia, mogło ono przypaść na wiek dojrzewania, kiedy fantazje masturbacyjne krążyły wokół gwałtownej zemsty na kobietach. W takim przypadku jego pogarda dla kobiet i lęk przed nimi na zawsze połączyły się z podnieceniem seksualnym. Jest mężczyzną zablokowanym seksualnie albo impotentem, chyba że podniecenie i orgazm zostają wywołane silną przemocą wobec kobiet.

- Przecież nie znaleziono spermy ani nawet śladów penetracji
- zaprotestował Fabel. Piękna pani doktor odwzajemniła jego spojrzeń, pochylając twarz i zerkając znad okularów.

- Owszem, ale to nie oznacza, że nie odbył stosunku seksualnego. Mógł użyć prezerwatywy, aby nie zostawić swojego DNA. Bardziej prawdopodobne jest jednak czerpanie zadowolenia seksualnego w sposób tak odbiegający od normy, że po prostu niewykrywalny. Jak już mówiłam, może być impotentem. Zbrodnia ma charakter seksualny, ale sam sprawca może tego nie dostrzegać albo nie uznawać motywacji seksualnej. Podstawowym elementem, jaki wyłania się z e-maila, a także ze zrytualizowanego charakteru zabójstw, jest religijne tło tego aktu. Jest to swego rodzaju ceremonia, którą odprawia z przyczyn wysoce abstrakcyjnych, a nie dla prostej czy natychmiastowej satysfakcji seksualnej.

- Czy nie może on działać w zespole? - wtrąciła Maria Klee. - Z tego, co pani mówi, wygląda to niemal na rytuał. Skoro nie są to zabójstwa polityczne, może mamy do czynienia z jakimś

kultem?

Werner Meyer zaśmiał się głucho. Obydwie kobiety zignorowały go, Fabel zaś posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- To możliwe, choć mało prawdopodobne - powiedziała Susanne Eckhardt. - Udział innej osoby wskazywałby na manipulatora... który zajmuje miejsce nieczulego lub molestującego rodzica. W takich przypadkach jak sprawa Leonarda Lake'a i Charlesa Ng w Ameryce w latach osiemdziesiątych jedna połowa pary nie ma w ogóle szacunku do samej siebie, podczas gdy druga jest patologicznie egotyczna. Wydaje mi się jednak, że tym razem mamy do czynienia z indywidualną kruczają. Napisał o tym dobitnie w drugim e-mailu. Jest samotnym wilkiem. To jest oczywiście znacznie częstsze niż zespołowi seryjni zabójcy. - Doktor Eckhardt przerwała na chwilę i zdjęła okulary. - Za pomocą tych czynów człowiek ów kompensuje swoją niską samoocenę. Dlatego właśnie, moim zdaniem, terrorysta nadkomisarza Fabla raczej tu nie pasuje: nieodpowiedni wiek, nieodpowiednia motywacja, nieodpowiednia psychika, nieodpowiednia ideologia...

Van Heiden drgnął jak pod wpływem słabego wstrząsu elektrycznego.

- Co to znaczy „nieodpowiednia ideologia...”?

- Cóż, nakreślony przeze mnie podstawowy portret psychologiczny: obwinianie społeczeństwa za osobiste niepowodzenia, przekonanie o własnym potencjale niezrealizowanym w niesprawiedliwym świecie... właściwie prawie wszystko, z wyjątkiem traumy psychoseksualnej, pasuje też do typów neonazistowskich.

- Wydawało mi się, że wykluczyła pani motywację polityczną.

- Tak, raczej można ją wykluczyć. Tego człowieka popycha do zabijania motywacja psychoseksualna, ale, jak wszyscy, posiada też poglądy polityczne. W jego przypadku poglądy te mogły, ale nie musiały, ulec groteskowemu wypaczeniu i mogą z jego punktu widzenia stanowić wręcz usprawiedliwienie tych czynów. Przynajmniej częściowe. Twierdzę, że lewicowy terrorysta w rodzaju Svenssona nie spełnia określonych przeze

mnie kryteriów.

Fabel z wolna pokiwał głową.

- Zgoda, ale założmy, że to ja jestem w centrum tego wszystkiego. A jeśli on rzuca mi... cóż, swego rodzaju wyzwanie? Zabiłem jedną z jego kobiet, więc teraz on zabija kobiety, które, jako policjant, mam ochraniać?

Susanne Eckhardt zaśmiała się.

- Teraz zamieniamy się rolami, ale obawiam się, że to dość marna psychologia. Sugerowany przez pana związek jest co najmniej wąty. - Położyła okulary przed sobą na stole, wyprostowała ramiona i odchyliła głowę, wpatrując się ciemnymi oczami w Fabela. Czuł się skrzepowany jej przenikliwym spojrzeniem; pociągała go i żywił obawę, że nie zdoła tego przed nią ukryć. - Jeśli jednak zamierza pan bawić się w psychologa, proszę pozwolić mnie zabawić się w policjantkę - ciągnęła z uśmiechem. - Sam pan przyznaje, że mówimy o kimś, kto najprawdopodobniej nie żyje...

- Tak.

- A w ostatnim e-mailu opisał siebie jako człowieka, który „całe życie spędził na obrzeżach fotografii innych ludzi”. To niezbyt pasuje do terrorysty z pierwszych stron gazet, który miał harem młodych akolitek...

Van Heiden wybuchnął śmiechem.

- Doktor Eckhardt, może powinienem dać pani posadę Fabela... - Gdy zwrócił się do nadkomisarza, uśmiech znikł mu z twarzy. - Lepiej skoncentrujmy się na żywych podejrzanych.

Fabel nie spuszczał wzroku z doktor Eckhardt. Nadal uśmiechnięta, wytrzymała jego spojrzenie, a w jej oczach błysnęła ciemny ogień.

- Cóż, jak już mówiłem, rozważałem to tylko jako ewentualność.

Pani psycholog ponownie założyła okulary i zajrzała do raportu.

- Powinniśmy też przyrzeć się dawnym nierozwiązanym sprawom o gwałt lub usiłowanie gwałtu. Nasz zabójca mógł w przeszłości dopuścić się aktów przemocy seksualnej w ramach przygotowań do głównego występu.

- Czy przyjrzelіśmy się niedawnym napaściom z rodzaju tych, jakie opisała pani doktor? - zainteresował się van Heiden. Werner zerknął sarkastycznie na Fabla z ostentacyjnym grymasem „dlaczegośmy sami na to nie wpadli?”. Ten posłał mu kolejne ostrzegawcze spojrzenie.

- Tak jest, panie naczelniku - odparł Fabel. - Przesłuchaliśmy wszystkich przestępców seksualnych, którzy pasują do tak szerokiego profilu. Nikogo nie znaleźliśmy. Chociaż w zeszłym roku w okolicach Hamburga i Altony doszło do kilku ataków na kobiety. Sprawy nie zostały wyjaśnione. Na wszelki wypadek przesłuchujemy też ofiary.

- Dobrze, nadkomisarzu, proszę informować mnie na bieżąco - polecił van Heiden. - Tymczasem mamy spotkanie. - Zerknął na zegarek. - Widzimy się na górze... za dziesięć minut?

- W porządku.

Fabel podszedł do ściany z fotografiami ofiar, wykonanymi na miejscach zbrodni. Lampa błyskowa czyniła obi razy nienaturalnie jaskrawymi: mdlące kolory wybuchały na błyszczącym papierze fotograficznym. Wyglądały nierealnie, jakby z płócien Goi. Mimo to były aż do bólu rzeczywiste: cztery miesiące temu Werner i Fabel stali na zimnym, smaganym wiatrem wrzosowisku Lüneburg, z kołnierzami postawionymi dla ochrony przed lodowatym wiatrem, który hulał bez przeszkód po niskiej, płaskiej równinie ciągnącej się od Bałtyku. Okolica przypominała krajobraz księżycowy; noc rozświetlały przenośne: lampy łukowe, w mroźnym powietrzu trzeszczały policyjne radiotelefony. Oglądali zmasakrowane ciało pierwszej ofiary, Ursuli Kastner, dwudziestodwuletniej prawniczki, która z biura wyszła prosto do piekła. Leżała przed nimi na wrzosowisku, z ziejącą jamą pośrodku piersi. Nazajutrz do Fabla przyszedł pierwszy e-mail.

Zdał sobie sprawę, że za jego plecami stanęła Maria Klee.

- Dlaczego one to robią? - powiedział Fabel, w równym stopniu do siebie, co do koleżanki. Nie odrywał wzroku od zdjęć.

- Dlaczego co robią?

- Dlaczego są posłuszne? Wyglądało na to, że pierwsza ofiara sama spotkała się z zabójcą. Jej samochód znaleziono na parkingu przy autostradzie; nigdzie nie natrafiono na ślady walki czy uprowadzenia. Ta druga ofiara... jakby zaprosiła zabójcę do mieszkania. Albo miał klucz.

Nie ma śladu włamania czy szamotaniny na progu lub w jego pobliżu. Można zrozumieć, że prostytutka zachowuje się, cóż, zachęcająco. Ale Ursula Kastner była inteligentną młodą kobietą, przywiązującą wagę do bezpieczeństwa. Dlaczego okazały posłuszeństwo zupełnie obcemu człowiekowi?

- O ile był obcy - wtrąciła Maria.

- Jeżeli spełnia cechy typowego seryjnego zabójcy to, jak wiecie, nie wybierze ofiar, które wcześniej go znały... - Susanne Eckhardt dołączyła do Fabla i Marii.

- Dlaczego więc Kastner z nim poszła, a Monique go wpuściła? - powtórzył pytanie, ale Maria tylko wzruszyła ramionami.

- Może było w nim coś, co wzbudzało zaufanie... - Susanne przerwała, jakby rozważała własne słowa. - Pamiętacie sprawę Alberta DeSalvo?

Maria i Fabel spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem.

- Albert DeSalvo, Dusiciel z Bostonu, na początku lat sześćdziesiątych zamordował tuzin kobiet...

- I co w związku z tym? - Fabel nadal nie wiedział, do czego zmierza pani psycholog.

- Policja z Bostonu zadała mu to samo pytanie, co wy teraz: „Dlaczego ofiary wpuściły cię do mieszkania?”

- No więc dlaczego?

- DeSalvo był z zawodu hydraulikiem. Dzwonił do drzwi i mówił, że przychodzi z polecenia administratora budynku. Jeżeli ofiara nabierała podejrzeń albo protestowała, DeSalvo po prostu mówił „dobra” i odchodził, jakby to nie była dla niego żadna sprawa. Ponieważ ofiary nie chciały sprawiać kłopotu właścicielom mieszkań, a DeSalvo miał przy sobie autentyczne narzędzia i nie był natarczywy, przywoływały go z powrotem i otwierały drzwi.

- Co pani sugeruje? - spytała Maria. - Powinniśmy się

rozglądać za hydraulikiem?

- Nie, niekoniecznie - sapnęła niecierpliwie Susanne. - Nie jest jednak wykluczone, że przebiera się za kogoś podobnego. Za kogoś, kto wzbudza zaufanie, choć ofiara nigdy wcześniej nie widziała go na oczy.

Maria postukała o zęby długopisem.

- Wiemy, że ten facet ma anonimowy wygląd, ponieważ sam tak stwierdził. Może podnieca go przebieranie się przed zabójstwem za kogoś, kto ma władzę...

- Panie Fabel, oto znacznie lepsza amatorska psychologia niż pańska. - Susanne Eckhardt błysnęła w uśmiechu nieskazitelnymi zębami.

Fabel wodził wzrokiem po zdjęciach na tablicy.

- Powiedzmy, że faktycznie ubarwia rytuał, przebierając się za przedstawiciela władzy. Co w oczach ofiar symbolizowałoby władzę, a jednocześnie wzbudzało zaufanie?

Maria Klee przyglądała się Fabelowi przez chwilę. Kiedy się odezwała, jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- O cholera.

- Mam powiedzieć naczelnikowi, czy ty to zrobisz?

Zanim Fabel udał się na górę do gabinetu van Heidena, zatelefonował do LKA7, specjalnego wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. Umówił się na spotkanie z nadkomisarzem Buchholzem, który dowodził zespołem rozpracowującym organizację Ulugbeja. Ton głosu Buchholza sugerował, że spodziewał się telefonu Fabla, choć niezbyt się z niego ucieszył. Zgodził się przyjąć nadkomisarza o wpół do trzeciej. Odłożywszy słuchawkę, Fabel wyjął niebieską teczkę Klugmanna, zawierającą informacje o jego służbie w policji hamburskiej. Było tak, jak się spodziewał: Klugmann spędził sześć miesięcy, a dokładnie rzecz biorąc, sześć miesięcy tuż przed odejściem z policji, pod bezpośrednim dowództwem Buchholza, jako członek jednego z oddziałów MEK.

Fabel właśnie zebrał dokumenty i wybierał się do gabinetu van Heidena, kiedy Werner wsunął przez drzwi głowę.

- Janie, znowu dzwonił profesor Dorn. Ponownie pytał, czy może się z tobą spotkać.

- Zapisaleś jego numer? - Fabel nie podniósł wzroku nad papierów.

- Tak. Twierdzi, że może nam pomóc w tej sprawie. Bardzo nalega.

- Dobra, umów mnie z nim. - Fabel nadal nie podnosił wzroku.

Werner skinął głową i zniknął. Z aktami pod pachą nadkomisarz wyszedł z gabinetu i ruszył do windy. Przypomniawszy sobie twarz dawnego nauczyciela, poczuł nieprzyjemny ucisk w dołku. Widział ją wyraźnie. Potem spróbował przypomnieć sobie inną twarz, która również kojarzyła mu się z nazwiskiem Dorn, ale stwierdził, że nie jest w stanie.

Gabinet van Heidena znajdował się na czwartym piętrze Komendy Głównej. Natychmiast po wyjściu z windy Fabel stanął oko w oko z atrakcyjną, uśmiechniętą recepcjonistką w cywilu. Jasne włosy ściągnęła w koński ogon, a ubrana była w prostą białą bluzkę i czarny kostium. Fabel mógłby pomyśleć, że wchodzi do banku, ale recepcjonistka była policjantką z przypiętym do paska spódnicy dziewięciomilimetrowym półautomatycznym SIG-Sauerem PG. Potwierdziwszy termin spotkania, kobieta poprowadziła Fabla korytarzem do obszernej sali konferencyjnej: przestronnego prostokątnego pomieszczenia o dużych oknach, wychodzących, tak jak okna sali odpraw poniżej, na Hindenburgstrasse. Po obydwu stronach długiego stołu z wiśniowego drewna stały krzesła obite czarną skórą. Trzy były już zajęte: van Heiden siedział obok nieznanego Fabelowi krępego, mocno zbudowanego mężczyzny o czarnych rzędzących na skroniach włosach, oraz blondyna z nadwagą i z nieco zaczerwienioną, jakby dopiero co wyszorowaną szczotką twarzą. Fabel rozpoznał w nim senatora Hugo Ganza, ministra spraw wewnętrznych Hamburga. Przy oknie, plecami do nadkomisarza, stał czwarty mężczyzna, obserwując ruch uliczny. Był bardzo wysoki, a jego elegancki garnitur od razu zwrócił uwagę Fabla. Trzech panów przy stole

prowadziło półgłosem rozmowę, raz po raz sięgając do leżących przed nimi notatek.

Fabel spojrzął ponad stołem na obcego. Pochwyciwszy spojrzenie podwładnego, van Heiden przedstawił gościa.

- To jest pułkownik Gerd Volker z BND. Panie pułkowniku, nadkomisarz Fabel. Nadkomisarzu, proszę siadać.

No tak, pomyślał Fabel. BND - Bundesnachrichtendienst - była służbą wywiadowczą, odpowiedzialną za ochronę Ustawy Zasadniczej, a inaczej mówiąc konstytucji Republiki Federalnej Niemiec. BND miała za zadanie monitorować grupy terrorystyczne i ekstremistyczne, tak lewicowe, jak i prawicowe, aktywne i uśpione, w niemieckim krajobrazie politycznym. Od 1996 roku BND prowadziła także walkę z przestępczością zorganizowaną. Fabel odnosił się do tej formacji z głęboką nieufnością. Tajna policja pozostawała tajną policją, niezależnie od: nadawanych jej skrótów.

Volker uśmiechnął się i wyciągnął rękę ponad stołem.

- Miło mi pana poznać, panie Fabel. Sporo czytałem o pańskiej pracy nad sprawą Markusa Stiimbkego w zeszłym roku...

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- To jest senator Ganz - ciągnął van Heiden.

Ganz wyciągnął rękę, ale jego rumianej twarzy nie rozjaśnił uśmiech.

- To straszna historia, panie komisarzu - powiedział Ganz, obniżając rangę Fabla o kilka szczebli. - Mam nadzieję, że wykorzystuje pan wszelkie dostępne środki, żeby położyć temu kres.

- Jako komisarz, senatorze, nie miałbym tych środków zbyt wiele, ale ponieważ tak się szczęśliwie składa, że jestem głównym nadkomisarzem, mogę pana zapewnić, że robimy co w naszej mocy, aby schwytać zabójcę. - Fabel z trudem tłumił irytację. Nie był przesadnie przywiązany do swojego służbowego tytułu, ale nonszalancja Ganz'a, kogoś kto doskonale powinien znać strukturę policji, rozżłościła go.

- Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że prasa podgrzewa nastroje społeczne niemal do stanu wrzenia... - Przemówił

człowiek przy oknie, który w końcu odwrócił się do pozostałych. Wysoki, elegancki mężczyzna o szerokich ramionach, w wieku pięćdziesięciu paru lat, o intensywnie niebieskich oczach i pociągłej, inteligentnej twarzy, pobrużdżonej pionowymi zmarszczkami. Jasna fryzura, gęsto przetykana siwizną, zdradzała rękę drogiego fryzjera. Fabel, admirator świetnego angielskiego krawiectwa, na pierwszy rzut oka poznał, że kosztowna niebieska koszula pochodzi z londyńskiej Jermyn Street. Garnitur był z pewnością włoski. Całość tworzyła efekt nie tyle ostentacji, ile wyśmienitego smaku i stylu. Fabel nigdy wcześniej nie spotkał tego człowieka, ale rozpoznał go natychmiast. Ostatecznie, to na niego głosował.

- Tak, panie burmistrzu, zauważyłem to. - Fabel okręcił się ze skórzanym krzesłem tak, by znaleźć się twarzą do burmistrza Hamburga i szefa hamburskiego rządu związkowego, doktora Hansa Schreibera. Schreiber uśmiechnął się.

- To pana nazywają angielskim komisarzem, prawda?

- Błędnie, ale tak.

- Nie jest pan Anglikiem?

- Nie. Mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że w moich żyłach nie ma ani kropli krwi angielskiej. Moja matka była Szkotką, ojciec zaś Fryzyczykiem. Kiedy byłem dzieckiem, spędziliśmy kilka lat w Anglii. Tam odebrałem część wykształcenia. Dlaczego pan pyta?

- Z czystej ciekawości. Sam jestem anglofilem. Ostatecznie mówi się, że Hamburg to „najbardziej brytyjskie miasto poza granicami Zjednoczonego Królestwa”... W każdym razie wydaje mi się interesujące, że nazywają pana angielskim komisarzem. To pana wyróżnia. Czy tak się pan czuje, panie Fabel?

Fabel wzruszył ramionami. Nie widział sensu w tej rozmowie, a jej osobisty ton zaczynał go drażnić. A jednak w gruncie rzeczy to była prawda. Owszem, czuł się inny. Przez całe życie był świadom swojej odmienności, nie niemieckiego rysu swego charakteru. Ta odrębność czasami mu doskwierała, ale nie miał ochoty się jej pozbywać.

Schreiber wyczuł rosnące skrepowanie Fabia.

- Przepraszam, panie nadkomisarzu, nie chciałem być nietaktowny. Po prostu przeczytałem pańskie akta i jest dla mnie oczywiste, że jest pan wyjątkowym oficerem. Według mnie, jest pan inny, gdyż dysponuje dodatkową perspektywą, pozostałym niedostępną. Właśnie dlatego wierzę, że to pan powstrzyma tego potwora.

- Nie mam wyboru - odparł Fabel, po czym wyjaśnił okoliczności, w jakich został „wybrany” przez tak zwanego Syna Svena. Podczas gdy przedstawiał sprawę, Schreiber kiwał głową i marszczył brwi, jakby chłonał i ważył każdą informację, ale jego spojrzenie krążyło po pokoju. Ten ruch nadawał jego głęboko osadzonym, przenikliwym oczom niemal drapieżny wyraz. Zdawało się, że umysł burmistrza znajduje się w kilku miejscach równocześnie.

- Chciałbym wiedzieć, panie nadkomisarzu, czy ma pan jakąś strategię? - odezwał się senator Ganz. - Mam nadzieję, że nie pozwolimy temu zbrojcowi dyktować warunków? Niezbędne są działania prewencyjne...

Fabel właśnie miał odpowiedzieć, ale uprzedził go Schreiber:

- Mam pełne zaufanie do pana Fabla, Hugo. My, politycy, nie powinniśmy chyba dyktować policji, jak ma pracować.

Czerwone policzki Ganz'a pociemniały. Nie uległo wątpliwości, kto tu rządzi. Dziwne było natomiast to, że choć Schreiber mówił same właściwe i politycznie poprawne rzeczy, Fabel bynajmniej nie odniósł wrażenia, że burmistrz darzy go zaufaniem. Nie miał też wcale pewności, czy on sam ufa Schreiberowi.

Van Heiden przerwał milczenie, które zaczynało stawać się niezręczne.

- Może jest to dobry moment, by nadkomisarz złożył nam raport?

Schreiber zajął miejsce przy stole, a Fabel przedstawił stan sprawy. Swoją relację zilustrował fotografiami z teczki. W kilku momentach Ganzowi wyraźnie zrobiło się niedobrze; twarz Schreibera przyoblekła się w maskę wystudiowanej powagi. Pod koniec prezentacji Fabel odchylił się na oparcie i spojrzał na van Heidena.

- Co takiego, Fabel? Masz coś jeszcze do zakomunikowania?

- Obawiam się, że tak, panie naczelniku. Na razie to tylko teoria, ale...

- Ale?

- Jak już wspomniałem, nie znaleziono żadnych śladów włamania do mieszkania drugiej ofiary, nie było też śladów walki między sprawcą a którąkolwiek z ofiar. To nasunęło nam przypuszczenie, że albo napastnik był uzbrojony i wymusił uległość groźbą, albo ofiary, cóż, w pewien sposób ufały zabójcy. Druga ewentualność oznacza dwie możliwości: że zabójca jest kimś, kogo znają, co uważamy za mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę sporządzony portret psychologiczny, a także rozbieżność w pochodzeniu społecznym i miejscu zamieszkania ofiar...

- A druga możliwość? - spytał Schreiber.

- Drugą możliwością jest to, że nasz zabójca przebiera się za kogoś, kto reprezentuje władzę i wzbudza odruchowe zaufanie...

- Na przykład...? - zapytał van Heiden.

- Na przykład za policjanta... albo przedstawiciela władz miejskich...

W pokoju zapadło milczenie. Schreiber i Ganz wymienili spojrzenia, które trudno było rozszyfrować. Van Heiden wyglądał na przybitego. Volker zachował beznamiętny wyraz twarzy.

- Ale to nic pewnego? - Pytanie van Heidena zabrzmiało zgoła błagalnie.

- Nie. Musimy jednak wyjaśnić fakt, że ofiary poddały się zabójcy bez walki. Być może podszywa się pod pracownika miejskiego i opowiada jakąś wiarygodną historyjkę, ale według portretu psychologicznego ten człowiek może napawać się poczuciem władzy nad ofiarami, jakie dawałyby mu mundur policyjny czy odznaka identyfikacyjna.

Policzki Ganz'a oblał ciemny rumieniec.

- Z pewnością nie muszę panom przypominać, że policja hamburska nie ma obecnie najlepszej passy. Nie dalej jak wczoraj odbyłem, nazwijmy to „ożywioną”, dyskusję z

członkami Komisji do spraw Policji na temat, jak to określili, instytucjonalnego rasizmu policji hamburskiej. Ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, to szaleniec wędrujący po ulicach Hamburga w przebraniu policjanta, który rozszarpuje kobiety na strzępy...

Cierpliwość Fabela się wyczerpała.

- Na miłość boską, człowieku, nic na to nie poradzimy, że jakiś psychopata postanowił się przebrać za policjanta! Nie jesteśmy za coś takiego odpowiedzialni ani nie mamy kontroli...

- Senator Ganz miał na myśli co innego - wtrącił Schreiber. - Nie ma się co łudzić, opinia publiczna stanie się jeszcze bardziej nieufna wobec policjantów, jeśli okaże się, że psychopatyczny zabójca przebrał się za jednego z nich.

- Tylko jeśli mamy rację i tylko wówczas, gdyby informacja ta wydoszła się na zewnątrz. Jak już mówiłem, to na razie wyłącznie teoria.

- Mam szczerą nadzieję, że to błędna teoria, panie Fabel - skwitował Ganz i zamierzał kontynuować, ale Schreiber uciszył go spojrzeniem.

- Na pewno unikniemy tego problemu - oświadczył. - Jestem przekonany, że nadkomisarz wkrótce wytropi tego potwora.

Naprawdę? - pomyślał Fabel. Ja nie jestem taki pewien.

- Oczywiście - teraz Schreiber zwrócił się wprost do van Heidena - spodziewam się, że najszybciej jak to tylko możliwe będziemy mogli zakomunikować o postępach. Wiem, panowie, trudno wam przesadnie zaprzętać sobie głowę opinią publiczną, zresztą wcale nie powinniście tego robić, ja jednak muszę myśleć o podsycanej przez prasę społecznej reakcji na falę przemocy w Hamburgu. Kolejny seryjny zabójca to jeszcze jeden powód, by nasze obywatelki poczuły się ubezwłasnowolnione.

Ubezwłasnowolnione. Szlag by to trafił, myślał Fabel, ci ludzie nawet nie mówią normalnie po niemiecku. Schreiber ruszył w stronę drzwi. Ganz zrozumiał aluzję i wstał od stołu. Volker, człowiek z BND, van Heiden i Fabel także wstali.

- Proszę nas na bieżąco informować o postępach - powiedział Ganz.

- Oczywiście, panie senatorze - zapewnił van Heiden. Po wyjściu obu polityków Fabel zwrócił się do Volkera:

- Czy mogę spytać, panie pułkowniku, z jakiego powodu BND interesuje się tą sprawą?

- Może po prostu z nadgorliwości. - Ostentacyjnie szeroki uśmiech Volkera nie objął jego oczu. Fabel poczuł narastającą nieufność wobec funkcjonariusza BND. - Pracuję - kontynuował Volker - razem ze specjalną grupą BAO, powołaną w obrębie tutejszej Komendy Głównej. Pan van Heiden zwrócił moją uwagę na fakt, że w tych zbrodniach może brać udział ekstremistyczna prawica.

Fabel powoli skinał głową, trawiąc te informacje. Dlaczego tajniak z BND współpracujący z BAO, miałby interesować się tą sprawą? Federalny Urząd Kryminalny powołał do życia BAO po żenującym odkryciu, że niewielkie mieszkanie przy Marienstrasse 54 w Hamburgu było bazą terrorystów, którzy 11 września zorganizowali atak na WTC w Stanach Zjednoczonych. Przynajmniej ośmiu terrorystów, włącznie z szefem grupy Mohammedem Attą, przewinęło się przez ten hamburski lokal. Odpowiedzią rządu niemieckiego była BAO. W jej ramach działało siedemdziesięciu specjalistów z Federalnego Urzędu Kryminalnego, dwudziestu pięciu detektywów z policji hamburskiej oraz sześciu amerykańskich agentów FBI. Wyłącznym celem BAO było zbieranie informacji o Al-Kaidzie i innych islamskich grupach terrorystycznych. Fabela wkurzało, że o swojej sprawie musi rozmawiać z kimś operującym w zupełnie innej dziedzinie.

- Mówiłem naczelnikowi, że jest mało prawdopodobne, by te zbrodnie popełnił neonazista. - Fabel bezskutecznie usiłował ukryć irytację. Volker nie przestawał się uśmiechać.

- Ależ ja to rozumiem. Jeśli jednak istnieje choćby nikłe prawdopodobieństwo ujawnienia się elementu politycznego, myślę, że BND powinna być na bieżąco informowana o postępach w śledztwie. Obiecuję jak najmniej wchodzić wam w drogę... Proszę tylko o informowanie mnie, zwłaszcza o wszelkich sygnałach mogących świadczyć o elemencie politycznym...

- Oczywiście, pułkowniku. Van Heiden wstał od stołu.

- Dziękujemy panu, nadkomisarzu. Myślę, że pańskie sprawozdanie było dla wszystkich pouczające. - Skierował się do drzwi, jakby zamierzając odprowadzić Fabla. Ten zebrał akta, podał rękę Volkerowi i ruszył za naczelnikiem.

Van Heiden przepuścił Fabla, po czym wyszedł za nim na korytarz i powiedział konspiracyjnym szeptem:

- Na miłość boską, daj mi znać, gdybyś znalazł cokolwiek, co by potwierdzało twoją teorię o szaleńcu podającym się za policjanta. Ani trochę mi się to nie podoba. Tym bardziej że ostatnia ofiara była chyba prostytutką, prowadzoną przez byłego policjanta z Hamburga.

- Tak zrobię, panie naczelniku.

Zamierzał już odejść, ale van Heiden powstrzymał go łagodnym ruchem ręki.

- I... pamiętaj, żebyś mówił mnie pierwszemu... i informował mnie, zanim przekażesz cokolwiek pułkownikowi.

- Naturalnie, panie naczelniku - zapewnił nadkomisarz, marszcząc czoło.

Kiedy van Heiden wrócił do sali, Fabel stał przez chwilę w korytarzu, zbierając myśli. Coś w całej tej sytuacji - udział Volkera z BND, niepokój senatora Ganza wywołany możliwością podawania się zabójcy za policjanta, a wreszcie poczucie, iż całym przebiegiem spotkania sterował Schreiber - nasunęło Fablowi podejrzenie, że chodziło o coś więcej niż o poszukiwanie seryjnego zabójcy. Miał wrażenie, jakby coś przed nim ukrywano. Ale co?

Środa, 4 czerwca, 12.00.

Kostnica Instytutu Medycyny Sądowej, Hamburg

Instytut Medycyny Sądowej odpowiadał za wszelkie badania z zakresu medycyny kryminalnej w Hamburgu. Wszystkie ofiary nagłych zgonów w mieście trafiały do kostnicy instytutu.

Fabla ścisnęło w dołku, gdy poczuł dobrze mu znany zapach, do którego nigdy nie zdołał przywyknąć: nie była to, jak można by się spodziewać, woń rozkładu, lecz stęchlizny z lekką domieszką środków dezynfekujących. Stoły sekcyjne z nierdzewnej stali stały puste, a lampy jarzeniowe zalewały pomieszczenie zimnym blaskiem. Kiedy Fabel wszedł, Molier, jeszcze w zielonym fartuchu, siedział przy biurku, czytając odręczne notatki i zerkając na monitor komputera. Co pewien czas roztargnionym ruchem nabierał widelcem makaronowej sałatki z plastikowego pojemnika. Nie zwrócił uwagi na wchodzącego Fabla.

- Nie sądziłem, że wolno tu jeść. - Nie czekając na zaproszenie, Fabel przysunął sobie krzesło.

- Nie wolno. Aresztuj mnie. - Molier nie podniósł wzroku znad notatek.

- Co masz o tej dziewczynie?

- Po południu dostaniesz raport. - Patolog postukał długopisem w kartkę, na której pisał. - Właśnie nad nim pracuję.

- Podaj mi tylko podstawowe dane. Molier cisnął długopis na biurko i odchylił się w tył na krześle; przeczesał włosy palcami, które następnie splótł: za głową. Spojrzał na Fabla z wystudiowaną wyższością.

- Twój kumpel korespondent się odezwał?

- Nie mam na to czasu, Molier. Co dla mnie masz?

- To z pewnością interesująca sprawa, nadkomisarzu. - Sięgnął po notatki. - Ofiara jest kobietą w wieku od dwudziestu

pięciu do trzydziestu pięciu lat, wzrost sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, oczy niebieskie, włosy brązowe tlenione. Przyczyną śmierci była niewydolność serca, spowodowana szokiem i znaczną utratą krwi, co z kolei było wynikiem silnego ciosu w brzuch. Kobieta zmarła, zanim wydarto jej płuca. - Molier podniósł wzrok znad notatek. - Uważasz, że ta kobieta była prostytutką?

- Tak. Czemu pytasz?

- Nie odbyła stosunku seksualnego w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin życia. Poza tym bardzo o siebie dbała.

- To znaczy?

- Miała doskonałe napięcie mięśniowe i bardzo niski; stosunek tłuszczu do mięśni. Była lekkoatletką albo regularnie odwiedzała siłownię. Nie paliła; we krwi nie; znalazłem śladu alkoholu. Wygląda na to, że odżywiała; się bardzo zdrowo: jej ostatnim posiłkiem była ryba z jakąś rośliną strączkową; poziom lipidów we krwi bardzo niski. - Lekarz przewertował notatki. - Przetestowaliśmy ją pod kątem narkotyków - nic. Abstrahując od predyspozycji genetycznych, gdyby ta młoda dama nie stanęła na drodze twojego „korespondenta”, najprawdopodobniej dożyłaby sędziwego wieku.

- Masz coś na temat zabójcy?

- Żadnych medycznych dowodów obecności zabójcy, jak już mówiłem, ani śladu stosunku seksualnego ani innej aktywności tego typu. To z pewnością ten sam zabójca, co w przypadku pierwszej ofiary, w każdym razie metoda zabójstwa jest identyczna. Zabójca zrobił pojedyncze przecięcie silnym, ale niewiarygodnie precyzyjnym uderzeniem w mostek za pomocą ciężkiego noża o dużym ostrzu albo może miecza. Przez rozchylone żebra wyjął płuca. Na krawędziach połamanych kości widnieją ślady nacisku i rozłupywania, co świadczyłoby o silnym, zamaszystym uderzeniu z góry na dół. Rozchylenie żeber wymagało znacznej siły, podobnie jak przerabianie ich jednym ciosem. Z pewnością mamy do czynienia z mężczyzną... łuk cięcia wskazuje, że miał nie mniej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, co najmniej średniej budowy.

- To zawęźa krąg podejrzanych do około dziewięćdziesięciu procent męskiej populacji Hamburga - powiedział Fabel bez sarkazmu i bardziej do siebie, niż do rozmówcy.

- Mam do czynienia wyłącznie z dowodami materialnymi, Fabel. Chociaż intryguje mnie wyraźna dbałość ofiary o własne zdrowie i kondycję fizyczną. - Molier się zaśmiał. - Nie posiadam twojego doświadczenia w dziedzinie półświatka naszego miasta, ale nie sądzę, by przeciętna hamburska prostytutka przywiązywała zbyt dużą wagę do zdrowia, swojego lub klientów.

- To zależy. Wygląda na to, że należała do lepszej kategorii, więc dbałość o ciało stanowiłaby inwestycję w... cóż, jej produkt. Ale masz rację. Niewiele z tego, co wiemy o ofierze, pasuje. Czy moi ludzie pobrali jej odciski palców?

- Tak, byli tu wcześniej.

- Dobrze, dzięki, doktorze Molier. - Fabel ruszył do drzwi. - Po południu przeczytam twój raport.

- Fabel?

- Tak?

- Jest coś jeszcze...

- Co takiego?

- Na prawym udzie kobieta ma starą ranę. Bliznę.

- Na tyle głęboką, by mogła stać się znakiem szczególnym, na podstawie którego dałoby się zidentyfikować ofiarę?

- Cóż, tak, myślę, że ten znak znacznie zwiększa twoje szanse. Ale ma też dodatkowe znaczenie...

- Co masz na myśli?

Molier odwrócił się do komputera i wcisnął kilka klawiszy.

- Do raportu dołączyłem zdjęcie z aparatu cyfrowego. Oto ono.

Fabel spojrział na ekran. Fotografia przedstawiała kobiece udo z pobielałą skórą. Wyraźnie widać było okrągły ślad z podłużną blizną, okoloną pomarszczoną skórą. Przypominał stary krater księżycowy. Lekarz stuknął w drugi klawisz i pojawił się inny obraz, tym razem wewnętrznej strony uda. Nie był blady, ale jaskrawoczerwony. Pośmiertna wyrazistość: ponieważ ciało leżało na plecach, siła ciężkości ściągnęła krew

do najniższych punktów.

- Widzisz tutaj odpowiadający jej ślad po przeciwnej stronie?
- Molier stuknął długopisem w monitor. - To są bardzo niewyraźne blizny... mają może pięć, może sześć lat. Wiesz, skąd pochodzą?

- Owszem - odparł Fabel. W końcu sam miał dwie podobne. Molier oparł się na krześle.

- Myślę, że to nieco zawęży krąg poszukiwań... Bo przecież, ile młodych kobiet w Hamburgu opatrywano w ciągu minionych dziesięciu lat z powodu ran postrzałowych?

Lało potężnie. Mimo to Fabel czuł potrzebę znalezienia się na zewnątrz; pragnął, by deszcz i wilgotne powietrze oczyściły jego ubranie i płuca ze stęchłej woni kostnicy. Jego samochód stał parę ulic dalej, toteż kiedy do niego dotarł, jasne włosy szczelnie oblepiały mu głowę. Pojechał do portu w dzielnicy Hafen. Po kilku minutach horyzont zdominowały potężne żurawie, stojące na nabrzeżach Elby. Nadkomisarz zadzwonił z komórki do biura i poprosił Wenera, ale zgłosiła się Maria Klee, która poinformowała go, że Werner kieruje grupą śledzącą Klugmanna. Fabel powiedział Marii o ranie postrzałowej na ciele zabitej i zlecił jej dokładne przeszukanie rejestrów wszystkich hamburskich szpitali i klinik z okresu od piętnastu do pięciu lat temu. Zgodnie z prawem, każdy szpital lub lekarz opatrujący ranę postrzałową miał obowiązek powiadomić o tym policję. Maria zauważyła, że jeżeli ta dziewczyna była prostytutką i została postrzelona w jakiejś awanturze z półświatka, ranę mógł opatrzeć skorumpowany medyk. Według Fabla było to możliwe, ale mało prawdopodobne.

- Są jakieś wiadomości? - spytał Marię.

- Werner kazał ci przekazać, że jutro o piętnastej masz spotkanie z profesorem Dornem. - Po chwili milczenia zapytała: - Czy to jakiś specjalista od medycyny sądowej?

- Nie, to historyk - odparł Fabel, a potem dodał: - Sądziłem, że sam jest już historią. Coś jeszcze?

Maria powiedziała o kilku telefonach od dziennikarki Angeliki Blum, której nazwisko nic Fablowi nie mówiło.

- Skierowałaś ją do wydziału prasowego?

- Owszem. Ona jednak nalegała na rozmowę z tobą. Tłumaczyłam jej, że za kontakty z mediami odpowiada wydział prasowy, ale powiedziała, że nie poszukuje tematu na artykuł, lecz musi z tobą omówić sprawę wielkiej wagi.

- Spytałaś, jaka to sprawa?

- Oczywiście. Odparła, żebym pilnowała własnego nosa.

- Masz jej numer?

- Tak.

- Dobra, zobaczymy się po moim powrocie. O wpół do trzeciej mam spotkanie w wydziale przestępczości zorganizowanej.

Schnell-Imbiss, barek szybkiej obsługi, stał przy rzecznych dokach, pod potężnymi żurawiami. Składał się z mikrobusu z szerokim, otwartym oknem do wydawania: potraw i jasną markizą; wokół pojazdu w równych odstępach rozstawiono stoliki z parasolami, gdzie klienci sycili się kielbasą, piwem lub kawą. Obok okna do wydawania potraw stał niewielki stelaż z gazetami. Pomimo okolicznej szarżyzny i marnej pogody barek Schnell-Imbiss wyglądał wesoło i niezwykle czysto.

Fabel podjechał i przebiegł w deszczu pod markizę. Za ladą urzędował korpulentny pięćdziesięciolatek o rumianych policzkach, w białym fartuchu i kucharskiej czapce. Na widok nadbiegającego Fabla oparł się na łokciach.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu - pozdrowił go z akcentem przywodzącym na myśl szeroki i płaski krajobraz Fryzji, z której się wywodził. - Jeśli wolno mi zauważyć, wygląda pan jak wypluty.

- To była ciężka noc, Dirk - odparł Fabel, przechodząc z wysokoniemieckiego na naturalny dłań fryzyjski. - Daj mi jevera i kawę.

Dirk podał fryzyjskie piwo i kawę.

- Widziałeś ostatnio Mahmuta?

- Nie, właściwie już jakiś czas się nie pokazywał. Coś się

święci?

- Po prostu muszę z nim pogadać. - Fabel łyknął piwa. - Później do niego przekreślę, jeśli go zastanę. Wiesz, jaki on jest. - Fabel upił łyk gęstej, czarnej kawy, która sparzyła mu usta, więc odstawił filiżankę i napił się piwa.

- Rozumiem, że to twoje drugie śniadanie? - Dirk wskazał głową na piwo i kawę.

- Dobrze, daj mi też kanapkę. Jeśli zobaczysz Mahmuta, możesz mu powtórzyć, że go szukałem? O dyskrecję nie muszę cię prosić. - Fabel spojrział na wiszące na ścianie mikrobusu zdjęcie Dirka, o jakieś piętnaście lat młodszego, szczuplejszego, w zielonym mundurze policyjnym. - Nie masz z tego powodu kłopotów? - spytał, wskazując głową na zdjęcie.

Sprzedawca wręczył Fabelowi przekrojoną bułkę przełożoną serem i korniszonem.

- Czasami. Bywa, że zaglądają tu zadymiarze, ale mój talent dyplomatyczny zazwyczaj daje rezultaty... - Wyjął spod lady dużego półautomatycznego glocka. Fabel zakrzuszył się piwem i rozejrzał, czy inni klienci nie zauważyli broni.

- Rany boskie, Dirk, schowaj to. Udam, że nie widziałem.

Dirk roześmiał się, wyciągnął rękę i serdecznie poklepał kumpla po policzku.

- Już dobrze, Jannik, nie podniecaj się... - Mały Jan. Właśnie tak nazywał Fabla Dirk, kiedy służyli razem. Chociaż Dirk miał w policji tylko stopień starszego sierżanta, młody komisarz Fabel szybko dostrzegł ogrom doświadczenia, jakim dysponował starszy kolega. Dirk chętnie wprowadzał Fabla w tajniki zawodu. To samo robił dla Franza Webera, młodego policjanta, który zginął tego samego dnia, kiedy Fabla postrzelono. Dirk bardzo przeżył śmierć Franza. Po strzelaninie odwiedził rannego kolegę w szpitalu i był to jedyny raz, kiedy Fabel widział, by Dirka opuścił niespożyty dobry humor.

Deszcz przestał padać, a przez zwały chmur przebił się promień słońca, rzucając na parking ażurowy cień portowych żurawi. Fabel zapłacił za kawę i piwo. Po chwili dorzucił jeszcze kilka monet.

- Wezmę też „Schau Mai!” - powiedział, wyciągając gazetę ze

stojaka.

- Nie sądziłem, że gustujesz w „Schau Mai!” - zauważył Dirk.
- Nie gustuję... - Fabel otworzył brukowiec. Nagłówek smagnął go po oczach.

ROZPRUWACZ ZNOWU ATAKUJE! POLICJA HAMBURSKA BEZRADNA W WALCE Z SZALEŃCEM!

Pod nagłówkiem widniała fotografia van Heidena, opatrzona podpisem:

NACZELNIK VAN HEIDEN: CZŁOWIEK, NIEZDOLNY DO ZAPEWNIENIA BEZPIECZEŃSTWA MIESZKANKOM HAMBURGA.

- O w mordę! - zaklął Fabel. Van Heiden musiał szaleć. Artykuł redakcyjny ciskał gromy na policję hamburską i oferował nagrodę za informacje. Także rozkładówkę w środku poświęcono seryjnemu zabójcy. Kolejny krzyczący nagłówek głosił:

KOMU ZALEŻY NA SCHWYTANIU POTWORA? ZALEŻY GAZECIE „SCHAU MAL!”. ZAPŁACIMY 10 000 EURO ZA INFORMACJĘ, PROWADZĄCĄ DO ARESZTOWANIA I SKAZANIA TEGO MANIAKA!

- Co jest grane? - zainteresował się Dirk. Fabel rzucił gazetę na ladę. - A, rozumiem... Niech zgadnę, to twoja sprawa?

- Tak wyszło. - Fabel dopił piwo i kawę, nietkniętą bułkę zostawił na ladzie. - Lepiej już pójdę, zanim van Heiden wyznaczy nagrodę za mój tyłek.

- Trzymaj się, Janie.

Środa, 4 czerwca, 14.45. Komenda Główna Policji, Hamburg

Wydział do walki z przestępczością zorganizowaną - LKA7 - jest oddzielony od reszty pomieszczeń hamburskiej Komendy Głównej ciężkimi pancernymi drzwiami, otwieranymi i kontrolowanymi z pulpitu sterowniczego. Kamery obiegu wewnętrznego monitorują wiodące do LKA7 korytarze, a każdy, kto nimi nadchodzi, jest obserwowany przez uzbrojonych funkcjonariuszy obsługujących pulpit. Bezpieczny obszar w obrębie bezpiecznego obszaru, policja w policji.

Walka z przestępczością zorganizowaną w Hamburgu stała się skrytą, pełną przemocy grą. Mafie imigrantów - zwłaszcza Turków, Rosjan, Ukraińców i Litwinów - nieustannie walczyły z gangami niemieckimi o kontrolę nad dwoma najbardziej lukratywnymi rynkami: seksu i narkotyków. Powołano nawet specjalną komórkę LKA7.U do walki z hamburskimi Aniołami Piekieł, którzy wydarli dla siebie część nielegalnego rynku.

Z uwagi na charakter swojej działalności, wydział LKA7 zaczął służyć z tajności. W końcu toczyli wojnę i pod względem mentalności tutejsi funkcjonariusze bardziej przypominali żołnierzy niż policjantów.

Fabel podszedł do przesłonowych drzwi i nacisnął brzęczyk. Zgodnie z poleceniem, jakie przekazał głośnik nad drzwiami, przedstawił się i podsunął odznakę policyjną do kamery. Szorstkie elektryczne brzęczenie i głośne kliknięcie zasygnalizowały, że może wejść. Przy biurku oczekiwał go potężnie zbudowany starszy oficer z ogoloną głową.

- Wkrótce ktoś po pana przyjdzie - uśmiechnął się strażnik. Najwyraźniej nie miał w tym wprawy. - Zaprowadzi pana do nadkomisarza Buchholza.

Ledwie Fabel zdążył usiąść w małej poczekalni, gdy nadszedł drugi, równie potężny mężczyzna. Jasne włosy miał

przystrzyżone prawie przy skórze, a pod czarną koszulką poły grały mięśnie. Na barczystych ramionach napinały się szerokie skórzane szelki z kaburą, w której tkwił masywny i nieregulaminowy półautomatyczny magnum. Zbliżając się, osilek odsłonił w uśmiechu rząd nieskazitelnie białych zębów. Czy TO gryzie? - przemknęło przez myśl Fablowi.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu. Jestem komisarz Lothar Leppert, pracuję z nadkomisarzem Buchholzem.

Fabel wstał, ale i tak podając tamtemu rękę, nadal musiał zadzierać głowę.

- Proszę za mną, panie Fabel. Zaprowadzę pana. Kiedy szli korytarzem, Leppert bawił go zdawkową rozmową. Fablowi cała sytuacja wydała się surrealistyczna: oto siedł u boku ciężkozbrojnego ludojada, który gawędził o pogodzie i o tym, jak się cieszy na spóźniony urlop. Pewnie pojedzie na Wyspy Kanaryjskie.

Biuro Buchholza mieściło się w jednym z wielu identycznych pomieszczeń, leżących wzdłuż korytarza. Tyle że gdy inne pobliskie lokale zawierały po dwa biurka, ustawione naprzeciwko siebie, Buchholz miał własny gabinet. Leppert otworzył Fablowi drzwi i przepuścił go, a ten, przeciskając się obok ogromnego ciała, poczuł się jak niepozorny satelita, orbitujący wokół olbrzymiej planety. Za dużym biurkiem, na którym stał komputer, siedział mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Łysiał, a resztki ciemnych włosów miał przystrzyżone na jeża. Twarz z zarostem na dolnej połowie miała zacięty wyraz. Nos wyglądał tak, jakby złamano go więcej niż raz. Fabel słyszał, że w młodości Buchholz był bokserem. Na ścianie dostrzegł oprawione fotografie: ta sama, choć młodsza twarz; ciało szczuplejsze, lecz mocno zbudowane. Zdjęcia przedstawiały młodego Buchholza na różnych etapach amatorskiej kariery bokserskiej i jego nos w rozmaitych stadiach zniszczenia. Na jednej z fotografii nastoletni Buchholz w stroju bokserskim unosił w górę puchar. Podpis głosił: „Mistrzostwa Juniorów w Wadze Półciężkiej Hamburg-Harburg, 1964”.

- Proszę wejść i usiąść, panie Fabel. - Buchholz uniósł się

lekko zza biurka i wskazał na jedno z dwóch krzeseł stojących naprzeciwko. Fabel usiadł na jednym z nich i ze zdziwieniem spostrzegł, że Leppert przyciąga sobie drugie. - Komisarz Leppert kieruje zespołem zajmującym się Ulugbejem - wyjaśnił Buchholz. - Zapewne może powiedzieć panu więcej niż ja.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa - zaczął Fabel - i choć mogę się mylić, sędzę, że pomocna by w tym była współpraca z LKA7, w imieniu którego, jak rozumiem, występowałby pan, panie Leppert. Według nas ofiara była prostytutką, która mogła pracować dla Ulugbeja za pośrednictwem człowieka nazwiskiem Klugmann... byłego hamburskiego policjanta.

Buchholz i Leppert wymienili znaczące spojrzenia.

- A tak - powiedział Leppert - dość dobrze znamy pana Klugmanna. Czy jest podejrzanym w pańskim dochodzeniu?

- Nie, w tej chwili nie. A powinien być?

- Pana zdaniem chodzi o seryjnego zabójcę? Psychopatę? - spytał Buchholz.

- Tak... - Fabel pogrzebał w otwartej teczce, po czym wręczył Buchholzowi zdjęcie z miejsca zbrodni. Ten obejrzał fotografię w milczeniu, następnie przekazał Leppertowi, który gwizdnął przeciągle. - To robota naszego gościa - ciągnął Fabel. - Czy jest jakiś powód, dla którego powinniśmy dokładniej przyjrzeć się Klugmannowi?

Buchholz potrząsnął głową i zerknął na Lepperta, który wzruszył potężnymi ramionami.

- Nie, znam Klugmanna od dawna. To gliniarz, który dał się skorumpować... Ulugbej czasami pokazuje zęby, ale nie wyobrażam sobie, by Klugmann mógł zrobić coś takiego. To opryszek, ale nie psychopata.

- Rozumiem, że zanim został zwolniony, pracował dla LKA7, w oddziale specjalnym MEK przydzielonym do waszego zespołu narkotykowego...

- To niestety prawda... - potwierdził Buchholz. - Kilka naszych operacji spaliło na panewce. Wyglądało na to, że ludzie, których rozpracowujemy, mają informacje o naszych planach, ale nawet przez chwilę nie sądziliśmy, że przeciek

pochodzi od jednego z naszych. Potem oczywiście wyszło na jaw, że Klugmann wymienia informacje za narkotyki. Gdybyśmy go wtedy nie nakryli, kto wie, jakie szkody mógłby wyrządzić...

- W jaki sposób go przyłapaliście?

- Przeszukaliśmy jego szafkę - wyjaśnił Leppert. Założył ręce na piersiach, a grube węzły mięśni poruszyły się pod koszulą. - Znaleźliśmy niezarejestrowaną broń, plik banknotów i trochę kokainy...

- Co, tutaj, w Komendzie Głównej?

- Tak.

- I nie wydało wam się to nieco... dziwne? Zbyt pasujące?

- Owszem, wydało się - potwierdził Buchholz. - Poza tym, gdyby nie cynk od anonimowego rozmówcy, nigdy byśmy go nie złapali. Jednak Klugmann przyznał się prawie od razu do zażywania narkotyków i powiedział, że uznał to miejsce za najbezpieczniejszą kryjówkę. Ostatecznie, komu by przyszło do głowy szukanie tu nielegalnych narkotyków?

- Ale mówimy o niewielkiej ilości narkotyków, prawda?

- Tak, było tego kilka gramów, ale to wystarczyło. - Buchholz pochylił się do przodu. - Jak pan zauważył, wszystko to było trochę zbyt łatwe, ale mamy pewną teorię na ten temat.

- Ach tak?

- Ulugbej ma sporego haka na Klugmanna. Nigdy nie zdołaliśmy dowieść, że Klugmann sprzedawał Turkom informacje o naszych operacjach. Gdybyśmy to udowodnili, Klugmann do dzisiaj siedziałby za kratkami. Mogliśmy mu zarzucić tylko posiadanie niewielkiej ilości narkotyków i nielegalnej broni. Zachował nawet gotówkę: nie mogliśmy udowodnić, że jest brudna. Zarzuty wystarczyły, żeby wyrzucić go ze służby, ale nie były dość mocne, aby go zamknąć.

Leppert podjął wątek:

- Jednak Ulugbej w każdej chwili mógł dostarczyć nam potrzebne dowody i głowę Klugmanna na tacy.

Fabel skinął głową.

- Dlatego Klugmann nie miał innego wyjścia, jak tylko pracować dla Ulugbeja...

- Otóż to - potwierdził Buchholz.

- Czy sądzicie, że za tym anonimowym donosem stał Ulugbej? To możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. Klugmann jest i teraz bardzo cenny dla Ulugbeja, jako źródło informacji i świetnie wyszkolony mięśniak, ale był znacznie cenniejszy, kiedy służył w jednostce specjalnej.

- Kto wobec tego zakapował Klugmanna? Jakież pomysły?

- Wiem tyle, co pan - odparł Buchholz. - To byłaby niezwykle cenna informacja, za którą sownie byśmy zapłacili informatorowi. Dziwne, że przekazano nam ją za darmo i anonimowo.

- A może ktoś z organizacji Ulugbeja prowadzi własną grę?

- Znowu możliwe i znowu mało prawdopodobne. Ci cholerni Turcy trzymają karty przy orderach. Donoszenie po prostu nie należy do ich kanonu zachowań: jest karane śmiercią, bardzo nieprzyjemną śmiercią, oraz odcinaniem twarzy.

- Nawet jeśli taki ktoś nie dba o własny los - podjął Leppert - zawsze istnieje możliwość odwetu na jego rodzinie... Tu, w Niemczech, albo w ojczystej Turcji.

Przez chwilę Fabel kiwał głową w zamyśleniu, potem postukał w zdjęcie z miejsca zbrodni.

- Czy to może się mieścić w tej kategorii? Czy mogła to być kara? Pewnego rodzaju zrytualizowane ostrzeżenie, wiecie, jak w gangu...

Buchholz uśmiechnął się, zdaniem Fabla nieco protekcjonalnie, i zerknął na Lepperta.

- Nie, panie Fabel, to nie jest „jak w gangu”. Myślę, że powinien pan się trzymać swojej teorii o seryjnym zabójcy. Muszę przyznać, że nie podoba mi się myśl o jakimkolwiek związku z Ulugbejem... - Buchholz zwrócił się do Lepperta: - Mimo wszystko sprawdź to, dobrze, Lothar?

- Jasne, szefie.

- Gdyby Ulugbej chciał zabić tę dziewczynę, po prostu by zniknęła. - Buchholz ponownie zwrócił się do Fabla. - I wtedy po prostu nie byłoby żadnej sprawy. Z drugiej strony, gdyby Ulugbej chciał posłużyć się dziewczyną jako odstrasającym przykładem, bo go, powiedzmy, oszukała albo zeznawała

przeciw niemu, wówczas znaleziono by ją z kulą w głowie. Gdyby zaś chciał wywrzeć szczególnie silny efekt, kazałby dziewczynę udusić. A w chwili obecnej Ulugbej stara się nie demonstrować takich skrajności...

- Tak?

- Ulugbej ma kuzyna, Mehmeta Yilmaza, i to jemu zawdzięcza większość swoich sukcesów - wyjaśnił Leppert. - Yilmaz legalizuje znaczną część operacji Ulugbeja i uchodzi za mózg bardziej lukratywnych przedsięwzięć przestępczych. Kieruje wszystkimi poczynaniami, nie firmuje jednak tych działań swoim nazwiskiem. Ulugbej potrafi być prawdziwym skurwielem. Ma wybuchowy, nieprzewidywalny i niewiarygodnie gwałtowny charakter. Kilkakrotnie byliśmy o włos od przyskrzynienia skurwysyna: zawsze, gdy dostawał szau z powodu jakiejś obelgi lub groźby pod adresem jego organizacji. On nie myśli; po prostu nabiera pary i zaczyna zaścielać teren trupami. Ale naszym prawdziwym celem jest Yilmaz. Kryje Ulugbeja i utrudnia nam zdobycie prawdziwych dowodów. Mimo że usilnie próbuje nadać swemu biznesowi pozory legalności, to kawał bezwzględego sukinsyna. Zabójstwo planuje jak operację wojskową... na zimno, skutecznie i bez śladów, mogących posłużyć za dowody. Jego zabezpieczeń nie sposób przeniknąć. Tak czy inaczej, ostatnio Yilmaz próbuje działać po cichu, aby nie narazić na szwank swego planu legalizacji.

- Czyli nie uważa pan, by mogli mieć związek z czymś takim?

- Z pewnością nie - odparł Buchholz. - To nigdy nie był ich styl, a już z pewnością nie teraz. Zresztą, ten facet już wcześniej zabił, prawda?

- Tak, wiemy o jednym przypadku.

- A poprzednie ofiary nie miały związku z organizacją Ulugbeja?

- Nic nam o tym nie wiadomo.

Buchholz wzruszył ramionami i wymownie rozłożył dłonie. Po chwili wskazał na teczkę, którą trzymał Fabel.

- Czy ma pan dla nas kopię? Fabel wręczył ją Buchholzowi.

- To dla pana, panie nadkomisarzu.

Buchholz ostentacyjnie przekazał teczkę Leppertowi.

- Pozostaniemy w kontakcie, panie Fabel. Oczywiście będziemy wdzięczni, jeśli uprzedzi nas pan o zamiarze zwracania się bezpośrednio do kogoś z organizacji Ulugbeja.

- Dlatego tu jestem, panie nadkomisarzu.

- Doceniam to - odparł Buchholz. - Oczywiście nie możemy prosić o bezpośrednie włączenie nas do pańskiego śledztwa, ale możemy uniknąć wchodzenia sobie w drogę.

- Mam nadzieję, że będziemy w tej sprawie nawzajem pomocni, panie Buchholz.

Środa, 4 czerwca, 16.30. Poseldorf, Hamburg

Było późne popołudnie, gdy Fabel przekręcił klucz w drzwiach swego mieszkania. Zebrał pocztę i przewertował, zatrzasnąwszy łokciem drzwi. Korespondencję wraz z przyniesionymi do domu aktami rzucił na stolik do kawy, potem przeszedł do części kuchennej - jasnego aneksu ze stali i marmuru, sąsiadującego z salonem. Napełnił ekspres do kawy, włączył, następnie poszedł do łazienki, gdzie rozebrał się, a koszulę i bieliznę wepchnął do pralki we wnęcie. Przed wejściem pod prysznic ogolił się. Stał nieruchomo z odchyloną głową, pozwalając silnym strumieniom wody bić w jego twarz i spływać strużkami po ciele. Woda była nieco za gorąca, ale nie regulował jej, pragnąc by gruntownie spłukała z niego osady minionej nocy.

Rozmyślał nad wydarzeniami ostatnich jedenastu godzin. Usiłował koncentrować się na faktach, na panoramie zdarzeń odtwarzanych w pamięci, ale nie mógł wymazać jednego obrazu, który co kilka sekund przepalał mu mózg: ciała dziewczyny. Chryste, on jej wyrwał płuca... Co za bydlak zdolny jest zrobić coś takiego? Jeśli zaś zbrodnia miała podłoże seksualne, to jakież niewyobrażalne wynaturzenie ludzkiej seksualności mogło czerpać zaspokojenie z takiego czynu? Fabel myślał o Klugmannie, o tym, jak zdecydowanie ten zepsuty przez chciwość narkotyki i przemoc człowiek odciął się od zarzucanego mu niewyobrażalnego czynu. Fabel i Klugmann stanowili dwie skrajności człowieczeństwa, które teraz musiały się zjednoczyć w obliczu barbarzyństwa, które zaprzeczało wszelkim formom człowieczeństwa.

Stojąc nago pod prysznicem, pod kaskadą zbyt gorącej wody, Fabel wciąż w głębi odczuwał chłód, wieczną zmarzlinę, która skuwała jego wnętrzności lodowym uściskiem. Chłód

promieniował z przeświadczenia, które zagnieździło się głęboko: równie pewne jak to, że jutro wszędzie słońce, było to, że zabójca uderzy ponownie.

Po prysznicu włożył czarny kaszmirowy golf, kaburę z pistoletem przypiął do czarnego skórzanego pasa, który przeciągnął przez szlufki spodni khaki, wreszcie narzucił sportową marynarkę od Jaegera. Nalawszy sobie czarnej kawy, podszedł do panoramicznego okna. Mieszkanie Fabela znajdowało się w Pöseldorfie, w hamburskim dystrykcie miejskim Rotherbaum. Zajmowało część najwyższego piętra solidnego, choć surowego budynku z przełomu wieku, który wznosił się statecznie, podobnie jak sąsiednie domy, o jedną przecnicę od Milchstrasse. Podczas podziału budynku na mieszkania, w lokalu zajmowanym przez Fabela zainstalowano, prawie na całą wysokość ściany, okna, wychodzące na dachy Magdalenenstrasse oraz obrzeżoną parkiem Aussenalster. Fabel widział z okien biało-czerwone promy pływające zygzakami po Alsterze, przyjmujące na pokłady pasażerów - turystów, ludzi dojeżdżających do pracy, zakochanych - na jednym brzegu i wysadzające ich na drugim; przyjmujące i wysadzające, przyjmujące i wysadzające, z pogodną regularnością, która nadawała rytm miejskiemu życiu. Kiedy słońce padało pod określonym kątem, Fabel widział turkusowy połysk kopuły irańskiego meczetu na Schöne Aussicht, na przeciwległym brzegu Alsteru. Ilekroć chłonał ten widok, tylekroć błogosławił nieznanego architekta za to, że wyposażył mieszkanie w takie okna.

Fabel mieszkał tu od lat. Uwielbiał to miejsce. Mieszkanie znajdowało się na styku dzielnicy studenckiej - od uniwersytetu dzielił je zaledwie spacer - z zamożną, modną dzielnicą Pöseldorf. Po jednej stronie Fabel mógł myszkować w niezliczonych sklepikach z książkami i płytami na Grindelhof albo późną porą wpaść na rzadki film zagraniczny w kinie Abaton; po drugiej stronie zanurzyć się w szykownym przepychu Milchstrasse, z jej winiarniami, klubami jazzowymi,

butikami i restauracjami.

Chmury w końcu ustąpiły miejsca słońcu. Fabel patrzył pustym wzrokiem na miasto, czując jak ogarnia go mdlący niepokój. Raz jeszcze spojrzął na Aussenalster, próbując uspokoić nerwy. Ale teraz rozpościerająca się za oknem malownicza, szeroka panorama Hamburga nie wydawała się tak piękna. Fabel omiótł wzrokiem horyzont, potem przeniósł spojrzenie na znany widok: rozległe lustro Aussenalster, odbijające stalowe niebo, na położone nad wodą tereny zielone oraz schludnej rezydencje i biura, które przysiadły jak stateczni, pewni siebie mieszczanie, nadzorujący przebieg dnia. Dzisiaj jednak ten widok nie uspokoił Fabla. Dzisiaj nie był to „inny” Hamburg, oddzielony od tego miasta, w którym pracował. Dzisiaj, gdy tak błędził wzrokiem po okolicy miasto, które kochał, złało się z miastem, którego strzegł jako policjant. Gdzieś tam czaiła się potworność. Kryło się zło. Coś tak gwałtownego i złowrogiego, że trudno było wyobrazić to sobie jako coś ludzkiego.

Fabel wrócił do kuchni i dołączył sobie kawy. Przechodząc obok automatycznej sekretarki, wcisnął przycisk. Bezosobowy głos powiadomił go, że ma trzy wiadomości. Pierwsza była z „Hamburger Morgenpost”: prosili o komentarz w sprawie ostatniego zabójstwa. Skąd, u diabła, mieli jego numer? Tak czy inaczej, powinni wiedzieć, że należy poczekać na oficjalny komunikat. Dwie kolejne wiadomości zostawiła dziennikarka Angelika Blum, o której wspomniała wcześniej Maria. Dziennikarka mówiła dziwnym, natarczywym tonem. Zamiast poprosić Fabla o komentarz, w ostatniej wiadomości powiedziała: „Koniecznie musimy porozmawiać...”. Nowe podejście. Zignorować.

Nadkomisarz dopił kawę i podszedł do telefonu. Zadzwoił w dwa miejsca. Najpierw do Wenera, do biura: akurat rozmawiał na drugiej linii, więc Fabel zostawił wiadomość, że wkrótce wróci do pracy. Przed drugą rozmową Fabel przycisnął słuchawkę ramieniem do ucha, szukając numeru w kieszonkowym notesie. Telefon dzwonił wiele razy, zanim rozmówca się zgłosił.

- Tak?
- Mahmut? Mówi Fabel. Chcę się spotkać...
- Kiedy?
- Na promie Rundfahrt, o wpół do ósmej...
- Dobra.

Fabel odłożył słuchawkę, wsunął notes do kieszeni marynarki i włączył automatyczną sekretarkę. Już miał wyjść, ale zawrócił i raz jeszcze odsłuchał wiadomości. Ponownie wysłuchał numeru telefonu Angeliki Blum; zaczynał się na 040, numer hamburski. Tym razem zanotował numer na bloczku obok telefonu. Na wszelki wypadek.

Ledwie ucichły jego kroki na rozbrzmiewającej echem klatce schodowej, kiedy zadzwonił telefon. Po dwóch dzwonkach włączyła się sekretarka, przekazując polecenie, by zostawić wiadomość po sygnale.

- Szlag! - zakląła jakaś kobieta z nieskrywaną irytacją rozłączyła się.

Środa, 4 czerwca, 16.30.
Hotel Altona Krone, Hamburg

Do hotelu wkroczył w zgoła prezydenckim stylu, otoczony zwalistymi ochroniarzami w czarnych skórzanych kurtkach, wysoki, szczupły mężczyzna dobrze po siedemdziesiątce, w jasnoszarym prochowcu i garniturze w ciemniejszym odcieniu szarości. Miał postawę i ruchy człowieka o dwadzieścia lat młodszego, a kanciaste rysy, orli nos i gęste włosy o barwie kości słoniowej nadawały mu wygląd arystokratyczny i arogancki zarazem.

Jego wejście do hotelowego lobby poprzedziła kanonada lamp błyskowych. Kilku fotoreporterów, usiłujących dopchać się zbyt blisko, odbiło się od zapory z mięśni i skóry; jeden wręcz poleciał na marmurową posadzkę.

Kiedy grupa zbliżyła się do recepcji, ochroniarze się rozstąpili, pozwalając wysokiemu mężczyźnie podejść do kontuaru. Recepcjonista, który widział już wszystko - zespoły rockowe, polityków, gwiazdy filmowe, milionerów, których ego dorównywało ich kontom bankowym - podniósł wzrok, gdy grupa znalazła się tuż przed kontuarem. Wtedy, z uprzejmym, acz zblazowanym uśmiechem, zapytał:

- Tak, szanowny panie? W czym mogę pomóc?

- Mam tu rezerwację... - Głos wysokiego mężczyzny był donośny i władczy. Recepcjonista nadal pozostawał imponująco niewzruszony.

- Pańskie nazwisko? - spytał, chociaż znał je doskonale. Wysoki mężczyzna wysunął podbródek, przekrzywił głowę i spojrzał na recepcjonistę jak na kawałek ścierwa.

- Eitel - odparł. - Wolfgang Eitel.

Do przodu wystąpił jeden z dziennikarzy - niechlujny mężczyzna około czterdziestki, o czaszce prześwietlającej przez rzadkie, byle jak zaczesane jasne włosy.

- Panie Eitel, czy naprawdę sądzi pan, że pański syn ma szansę zostać burmistrzem? W końcu Hamburg ma tradycję liberalną i socjaldemokratyczną...

Wzrok Eitla prześlizgnął się po nim z pogardą i lekceważeniem.

- Ważne jest to, co mieszkańcy Hamburga myślą rzeczywiście, a nie to, co ludzie waszego pokroju twierdzą, że powinni myśleć. - Eitel zbliżył twarz do twarzy dziennikarza z nagłością drapieżnika. - Mieszkańcy Hamburga kupują pismo mojego syna... „Schau Mai!” stało się głosem zwykłych ludzi. Mieszkańcy Hamburga chcą być słyszani i zasługują na to. Mój syn dopilnuje, by ich usłyszano - za pośrednictwem „Schau Mai!” oraz poprzez niego, jako ich senatora, a w końcu burmistrza.

- A jaką to wiadomość przekaże pański syn w ich imieniu? - Pytanie zadała dziennikarka, atrakcyjna kobieta w wieku czterdziestu kilku lat, o elegancko wymodelowanej kasztanowej fryzurze, w drogim czarnym kostiumie od Chanel. Spódnica odsłaniała mocne wciąż i zgrabne nogi. Wyciągając rękę z dyktafonem, oparła ją na ochroniarzu, który w odpowiedzi położył potężną dłoń na jej ramieniu.

- Bujaj się z tą łapą, skarbie, albo oskarżę cię o napaść. - W lekko zachrypniętym głosie dziennikarki opanowanie i groźba doskonale się równoważyły. Ochroniarz cofnął rękę. Eitel zwrócił się w stronę kobiety, która, podobnie jak on, mówiła z południowym akcentem. Stuknął obcasami i skłonił głowę.

- Łaskawa pani... proszę pozwolić, że odpowiem na pani pytanie. Przekaz od mojego syna, przekaz od mieszkańców Hamburga, jest prosty. Hamburg ma już dość; dość masowej imigracji, dość dilerów narkotyków zatruwających nasze dzieci, dość pieniącej się przestępczości, dość cudzoziemców, którzy odbierają nam pracę, wypaczają naszą kulturę i zmieniają Hamburg oraz inne świetne niemieckie miasta w kloakę zbrodni, prostytucji i narkotyków.

- Czyli obwinia pan cudzoziemców?

- Chcę powiedzieć, łaskawa pani, że eksperyment „wielokulturowy”, którym tak się chlubią soce - użył

pejoratywnego określenia Partii Socjaldemokratycznej - poniósł klęskę. Niestety, teraz musimy żyć z tą klęską. Eitel wyprostował się, odwrócił w stronę lobby i, spoglądając ponad głowami ochroniarzy, zmienił swoją odpowiedź w publiczne wystąpienie. - Ile jeszcze napaści na życie przyzwoitych obywateli niemieckich możemy znieść? Rozpada się cała tkanka naszego społeczeństwa. Nikt nie jest bezpieczny...

Eitel z uśmiechem odwrócił się ponownie ku dziennikarce. Pod burzą kasztanowych włosów widniała twarz o wyrazistych rysach, dużych, przenikliwych, zielonych oczach, silnej szczęce i szerokich ustach, podkreślonych cynobrową szminką. Twarz, która nie odwzajemniła uśmiechu.

- Panie Eitel, pismo pańskiego syna „Schau Mai!” uchodzi za sensacyjne, a w kilku przypadkach podeszło w sposób, by tak rzec, jednostronny do złożonych kwestii politycznych. Czy to dobre podsumowanie politycznych zamiarów Związku „Niemcy dla Niemców”?

Pytania kolejno uderzały w falochron dobrej woli Bitla, krusząc go szybko i skutecznie. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, ale wąska górna warga uniosła się, bynajmniej nie sympatycznie.

- Istnieją kwestie złożone i kwestie proste. Niszczenie naszego społeczeństwa przez elementy zewnętrzne jest kwestią prostą. Jest też proste rozwiązanie.

- Ma pan na myśli repatriację czy może „ostateczne rozwiązanie”? - To pytanie zadał inny dziennikarz, ale Eitel go zignorował. Nie odrywał palącego wzroku od kobiety.

- Dobre pytanie, panie Eitel. Czy zechciałby pan odpowiedzieć? - Dziennikarka zamilkła na chwilę, zbyt krótką, by zdążył odpowiedzieć. - A może wolałby pan wyjaśnić, dlaczego, skoro pan i pański syn jesteście tak przeciwni cudzoziemcom, Grupa Eitel negocjuje z firmami z Europy Wschodniej w sprawach nieruchomości w Hamburgu?

Zaskoczenie Eitla trwało zaledwie ułamek sekundy. W jego oczach zagościł mroczny i złowrogi cień.

W tej chwili do hotelu wkroczyła druga grupa. Mniejsza i mniej ostentacyjna. Mniej tam było muskulatury, a więcej

rzeczowości. Nie odpowiadając na pytanie, Eitel odwrócił się ku wchodzącym ludziom.

- Tato! - Do Eitla podszedł krępy mężczyzna, około stu siedemdziesięciu dwóch centymetrów wzrostu, z gęstymi ciemnymi włosami, o przystojnej, rozciągniętej w szerokim uśmiechu twarzy. Jedną dłonią uściśnął prawicę Eitla, drugą położył mu na ramieniu.

- Łaskawa pani, oto mój syn, Norbert Eitel, następny burmistrz Hamburga! - Znowu błysnęły flesze.

Dziennikarka uśmiechnęła się, nie tyle w pozdrowieniu, co rozbawiona taką odmiennością typów fizycznych ojca i syna.

- Dziękuję, ale poznałam już Norberta... - Wciąż uśmiechnięta podała rękę niższemu, młodszemu Eitlowi. Ten odwzajemnił uśmiech i ucałował jej dłoń.

- Państwo wybaczą - powiedział starszy Eitel - ale mamy do omówienia sprawę wielkiej wagi. - Obaj mężczyźni skinęli głowami. Starszy wyciągnął rękę.

- Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Eitel - przypomniała sucho dziennikarka.

- Może innym razem. Było mi miło, łaskawa pani...

Dziennikarka oddaliła się z uśmiechem. *Łaskawa pani...* ten zwrot pasowałyby raczej do surowej, arystokratycznej damy.

Obaj panowie Eitel odprowadzili kobietę wzrokiem do drzwi hotelowych. Uśmiech na twarzy Wolfganga Eitla zmienił się w drapieżny grymas. Nie odwracając się, zapytał:

- Kto to był, Norbercie?

- Ona? Och, to wolny strzelec, bardzo ceniona, pracowała dla „Der Spiegel” i „Sterna”...

- Nazwisko... - To nie było pytanie, lecz rozkaz.

- Blum... Angelika Blum.

**Środa, 4 czerwca, 18.45. B73.
Hamburg-Cuxhaven**

Lęk przeszył go jak prąd elektryczny. Słodki lęk, który wibrował mu pod czaszką i ścisnął pierś. To była jego powinność z wyboru i nigdy nie czuł urazy, że musiał ponosić całe ryzyko.

Oderwał ręce od kierownicy, najpierw jedną, potem drugą, otarł pot z dłoni i skoncentrował się na szosie. Wystarczyłaby rutynowa kontrola drogowa, drobny wypadek, złapana guma i pomocny patrol drogowy. Wtedy byłoby po wszystkim. Przekręcił lusterko wsteczne tak, by ją widzieć. Leżała bezwładnie na tylnym siedzeniu. Oddychała głośno, ale nieregularnie i chrapliwie. Cholera. Może dał jej za dużo.

- Po prostu pozostań przy życiu - mruknął, wiedząc, że nie mogła go słyszeć. - Po prostu żyj jeszcze przez parę godzin, głupia suko.

Środa, 4 czerwca, 19.40. Aussenalster, Hamburg

Prom Rundfahrt z godziny 19.30 lśnił złościście w wieczornym słońcu, które wreszcie zatriumfowało nad deszczem. Fabel stał na pokładzie, wsparty o reling. Nie było tłoczno, na pokładzie była jeszcze tylko milcząca para starszuchów. Siedzieli, patrząc na Aussenalster, nie rozmawiając, nie dotykając się, nie patrząc na siebie. Fablowi wydało się, że wszystko, co ci ludzie mogli teraz ze sobą dzielić, to samotność. Przez chwilę myślał o własnej samotności, która była całkowita i niepodzielna. Owszem, było sporo kobiet, ale każdy nowy związek wiązał się z głębokim, bolesnym poczuciem winy, toteż żaden; nie przetrwał. W każdym romansie szukał trwałego elementu, fundamentu dla poczucia sensu, ale nigdy nie znalazł. Wychował się w hermetycznej luterańskiej społeczności we wschodniej Fryzji, gdzie ludzie pobierali się na całe życie. Na dobre i, nader często, na złe. Fabel nigdy nie brał pod uwagę tego, że mógłby zostać kimkolwiek innym niż pełnoetatowym mężem i ojcem. To był pewnik jego życia, podobnie jak bycie policjantem. Potem Renatę, jego żona, zabrała z życia Fabla ów pewnik, jaki stanowiło ich małżeństwo, i Fabel zachwiał się na orbicie. Nawet teraz, pięć lat po rozwodzie, ilekroć dzielił łóżko z kobietą, miał wrażenie, że dopuszcza się małego cudzołóstwa; niewierności wobec małżeństwa, które umarło dawno temu.

Nadkomisarz wszedł na pokład promu na nabrzeżu Fafirdamm w Alsterpark; teraz opuszczali obszar zieleni i złota, połyskujący w wieczornym słońcu. Fabel właśnie spojrzął na zegarek - 19.40 - gdy zdał sobie sprawę, że ktoś oparł się obok niego o barierkę. Odwróciwszy się, stanął twarzą w twarz z wysokim Turkiem w wieku może trzydziestu pięciu lat, o pociągłej, przystojnej twarzy i bujnych czarnych włosach. Przybysz uśmiechnął się szeroko, przez co zmarszczki wokół

oczu pogłębiły się jeszcze bardziej.

- Siemanko, panie nadkomisarzu. Jak tam walka ze zbrodnią?

- Co ci mogę powiedzieć? - zaśmiał się Fabel. - Dokładnie tak jak w twoim fachu: zawsze masz zagwarantowaną klientelę. A jak tam w świecie pornosów?

Turek roześmiał się tak głośno, że starsza para spojrzała w ich stronę z kamiennymi twarzami, po czym jednocześnie, bez słowa, znowu utkwiała wzrok w horyzoncie.

- Już się tym nie zajmuję. Rozumiesz, teraz najnowszy krzyk mody to wideo, DVD, CD-ROM-y. - Turek westchnął z udawanym smutkiem. - Nikt już nie chce starych dobrych świńskich fotek. To wystarczy, żeby zmusić człowieka do szanowanych interesów.

- Jakoś nie sądzę, by istniało takie niebezpieczeństwo. - Po krótkiej przerwie Fabel dodał: - Dobrze cię znowu widzieć, Mahmut. A poważnie, jak ci leci?

- W porządku. Ostatnio sprzedaję fotki prasie brukowej. Właśnie zainkasowałem czek na dwa tysiące euro od „Schau Mai!” za zdjęcie jednego z nienaganych i patetycznych senatorów naszego miasta, jak wkracza do klubu ze striptizem.

- „Schau Mai!” - Fabel wyglądał na zdziwionego.

- Och, nie mają nic przeciwko interesom z Turkiem, jeśli dostają coś, co pomoże im sprzedać nakład - zaśmiał się Mahmut.

- A rzeczony senator był zapewne socjaldemokratą? - spytał Fabel.

- Trafiłeś.

- Nie mogę pojąć, dlaczego postanowiłeś się z nimi zadawać. To w końcu banda zwykłych rasistowskich skurwieli.

Mahmut wzruszył ramionami.

- Posłuchaj. Urodziłem się i wychowałem w tym kraju. Jestem takim samym Niemcem jak wszyscy. A jednak, ponieważ moi rodzice przyjechali tu jako tureccy gastarbeiterzy, przez całe życie, właściwie aż do nastania rządu Schroedera, odmawiano mi prawa do niemieckiego paszportu i obywatelstwa. - Uśmiezek zniknął z twarzy Mahmuta.

Postanowiłem wycisnąć z tego kraju, ile tylko się da.

Fabel zapatrzył się w wodę. Wcześniej prom dobił do wschodniego brzegu Alsteru w Uhlenhorst, a teraz zmierzał na południe.

- Nie mam do ciebie pretensji, Mahmut. Myślę tylko, że jesteś naprawdę utalentowany. Niektóre z twoich zdjęć rodzin imigrantów były świetne... Przykro mi patrzeć, jak rozmieniasz się na drobne.

- Posłuchaj, Janie. Byłem dumny z tamtej pracy, ale nikt nie chciał za nią płacić. Dlatego cykam tanie fotki dla gównianych brukowców, a kiedy to źródło wyschnie, będę musiał wrócić do porno. Nienawidzę tego, o czym dobrze wiesz, ale żyć trzeba.

- Jasne.

- W każdym razie - na twarz Mahmuta powrócił uśmiech - nie zadzwoniłeś do mnie, żeby rozmawiać o stanie mojej duszy. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Parę rzeczy. Po pierwsze... - Z kieszeni marynarki Fabel wyjął fotografię przedstawiającą twarz zamordowanej dziewczyny. Zdjęcie zrobiono w kostnicy. Twarz obmyto z krwi, włosy zaczesano do tyłu; śmierć oraz jarzeniowe oświetlenie przemieniły twarz w bezduszną maskę - - Obawiam się, że mamy tylko to, jeśli nie liczyć starej wyświechtanej fotografii tej dziewczyny jako nastolatki. Poznajesz ją?

- Nie. - Mahmut potrząsnął głową.

- Przyjrzyj się dobrze. Myślę, że była prostytutką. Może pracowała w branży porno.

- Nie ze mną. Co prawda... cóż, na tym zdjęciu nie wygląda najlepiej. Trudno powiedzieć. - Mahmut zamierzał oddać fotografię.

- Zatrzymaj ją - powiedział Fabel. - Popytaj tu i tam. To ważne.

- Jak się nazywała?

- W tym właśnie sęk, Mahmut. Z wyjątkiem Monique, co naszym zdaniem było jej ksywką zawodową, dziewczyna nie ma nazwiska, stałego adresu ani nawet historii sprzed nocy, kiedy ją zamordowano. Jest tylko jedna rzecz: w górnej części prawego uda miała ranę po kuli. Coś ci dzwoni?

- Przykro mi, Janie... ale daj mi trochę powęszyć. Jak zginęła?
- Ktoś postanowił przeprowadzić na tej dziewczynie ćwiczenia z anatomii. Rozpłatał ją, a potem wyrwał płuca.

- Kurwa mać! - Szok Mahmuta był nieklamany. Fabel nigdy nie potrafił pojąć, jakim cudem Mahmut zachowywał inteligencję i wrażliwość w pracy, którą wykonywał. - Czy to jest ta głośna sprawa, o której trąbią gazety?

- Obawiam się, że tak - odparł Fabel. - Ten facet to numer jeden na naszej liście. Zabójstwa cuchną na kilometr robotą seryjnego mordercy. Muszę go dopaść, za4 nim znowu nabierze apetytu.

- Zrobię, co w mojej mocy, ale, wiesz, muszę być ostrożny. Kręgi, w jakich się obracam, nie słyną z wysokiej świadomości obywatelskiej. Gdyby ci ludzie dowiedzieli się, że pracuję dla glin, sam wylądowałbym w kostnicy.

- Wiem i chcę, żebyś był szczególnie ostrożny.

- Dlaczego?

- W tle tej sprawy dzieje się wiele rzeczy, które mi się nie podobają. Nagle zaczęła węszyć BND... Mieszkanie należało do byłego członka MEK.

Mahmut drgnął.

- Hansa Klugmanna?

- Znasz go? - Fabel zdziwił się, że Mahmut zna to nazwisko.

- Słabo. Nasze drogi się skrzyżowały, by tak rzec. - Mahmut wyprostował się i cofnął o krok od Fabla. - O, nie... poczekaj chwilę... Klugmann jest związany z Ulugbejem i Yilmazem, tak?

- Tak nam się wydaje.

- Posłuchaj, Janie, pomagam ci zawsze, kiedy mogę. Ostatecznie, mam wobec ciebie dług wdzięczności. Ale to jest zupełnie coś innego. Nie ma mowy, żebym węszył wokół Ulugbeja. On jest nie tylko największym ojcem chrzestnym tureckiej mafii w Hamburgu, ale totalnym, pojebanym świrem.

- Dobrze, dobrze, weź na wstrzymanie! - Fabel uniósł ręce, jakby chciał złagodzić gwałtowność odmowy Mahmuta. - Nie chcę, żebyś robił cokolwiek szemranego, po prostu nadstaw uszu. Sprawdź, czy uda ci się znaleźć coś na Klugmanna. A tak w ogóle, co o nim wiesz?

- Tylko tyle, że pracuje na pół etatu jako ochroniarz Ersina Ulugbeja, a na drugie pół jako alfons, na własny rachunek. To klasyczna płotka, ale pod każdym względem wredny typ. Klugmann ma dziewczynę... Sonię Brun, tancerkę w Paradies-Tanzbar. Dawniej pracowała dla Klugmanna jako dziwka, ale zabrał ją z ulicy. Najwyraźniej miłość zwyciężyła interesy.

- Skąd ją znasz?

- „Elixir” - wiesz, pornos z twardym seksem - zlecił mi sześć miesięcy temu zrobienie kilku zdjęć. Sonia była jedną z dziewczyn. Miły dzieciak... rzygać mi się chciało, gdy patrzyłem na rzeczy, które wyrabiała, a które ja musiałem fotografować. W każdym razie Klugmann zgarnął Sonię po tej sesji zdjęciowej. Nie był zadowolony, a kiedy wychodzili, traktował ją dość ostro. Właśnie po tym zeszła z ulicy i przestała uczestniczyć w sesjach porno.

- Co wiesz o Paradies-Tanzbar?

- Klugmann jest tam bramkarzem. W Paradies jest tylko to, co widać, żadnego pomieszczenia na tyłach. Klub zarabia w typowy sposób: biznesowe opasy z Frankfurtu czy Stuttgartu gapią się na scenę, zbyt nawalone, by się połapać, że płacą trzydzieści euro za każdy kieliszek taniego sikacza. Jednak na terenie klubu nie ma pieprzenia. Ulugbej kupił klub jakiś rok temu, najwyraźniej po zaniżonej cenie. Potem zlecił Hoffknechtowi kierowanie lokalem, czyli tak, jakby wegetarianinowi powierzył prowadzenie sklepu mięsnego. Można być pewnym, że Hoffknecht dziewczyn nie ruszy. Interesuje się nastoletnimi szczeniakami. Z tego, co wiem, praca Klugmanna polega na niewpuszczaniu zadymiarzy do klubu, a jeśli któryś ze stałych bywalców protestuje przeciwko płaceniu wygórowanych cen, Klugmann objaśnia mu rachunek, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Mahmut zamilkł, potrząsnął głową i zaśmiał się szyderczo. Potem twarz rozciągnęła mu się w charakterystycznym szerokim uśmiechu. - Dobra... powęszę i porozmawiam z Sonią. Pogadam nawet z tą starą ciotką Arno Hoffknechtem. Zobaczę, co uda mi się znaleźć, ale niczego nie obiecuję.

- Uczciwe postawienie sprawy - uśmiechnął się Fabel.

- Dzięki, Mahmut. To, jak zwykle, na pokrycie kosztów.

- Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pękata kopertę i wręczył Turkowi, a ten szybko wsunął ją do kieszeni skórzanej kurtki.

- Jedną rzecz o mafii Ulugbeja powinienes wiedzieć, o ile już nie wiesz...

- Co mianowicie?

- Są pod presją, a ściślej - pod silną presją. Mówi się, że w mieście działa nowa grupa ukraińska...

- Przecież to nic nowego, wojna między gangiem tui reckim a ukraińskim trwa od dawna...

- Ostatnio już nie. Ta nowa grupa podporządkowała sobie wszystkie gangi ukraińskie. Istnieją wprawdzie nadal, z dawnymi szefami, ale płacą „podatki” tym nowym, nie wolno im też walczyć między sobą ani z Turkami. Plotka głosi, że Yilmaza, kuzyna Ulugbeja, zmuszono do zawarcia układu z nowym gangiem. Mówi się też, że poganiają Yil maza do zalegalizowania interesów Ulugbeja... wywierają; na niego presję, aby zrezygnował z nielegalnych biznesów! Najwyraźniej Ulugbej jest z tego powodu mocno wkurzony.

- Kto kieruje tą nową grupą?

- W tym właśnie sęk. Składa się podobno tylko z dziesięciu czy dwunastu ludzi, na których czele stoi jakiś megaskurwiel.

Fabel spojrział na wodę, rozmyślając o tym, co usłyszą od Mahmuta. Dlaczego, do diabła, nie powiedział mi o tym wszystkim Buchholz albo Leppert? Co prawda, informacje te nie miały kluczowego znaczenia dla śledztwa, ale liczył się fakt.

- Nie rozumiem jednej rzeczy - zwrócił się do Mahmuta. - Skoro ten nowy gang jest tak mały, to dlaczego inni Ukraińcy albo Turcy, po prostu go nie skasują?

- Nie słyszałeś, jak Ukraińcy mówią, a raczej, jak nie mówią, o tych facetach. Znasz Jurę Warasowa, prawda? - Fabel przytaknął. Warasow był olbrzymim ukraińskim zbirzem, podejrzanym o serię zabójstw. Podobno specjalizował się w zatłukiwaniu ofiar na śmierć gołymi rękami. Hamburskiej policji nigdy nie udało się zdobyć wystarczających dowodów, by go skazać. - Cóż, nawet pieprzony Warasow ścisza głos do

szeptu, kiedy mówi o tych facetach. Najwyraźniej przeszedł na emeryturę z polecenia nowych panów. Mówię ci, Warasow robi w portki ze strachu przed nowymi. A przecież ci Ukraińcy to twardziele; wydaje się wręcz, jakby terroryzowało ich coś więcej, niż groźba śmierci.

- Nadal nie pojmuję, co takiego niezwykłego jest w tych nowych.

- Plotka głosi, że dawniej służyli w Specnazie...

- I co z tego? Nie przeczę, że to czyni ich wybitnie niebezpiecznymi, ale połowa rosyjskich, ukraińskich i bałtyckich mafii w Europie zatrudnia byłych likwidatorów sowieckich służb specjalnych...

Mahmut niecierpliwie potrząsnął głową.

- Nie, nie. Ci faceci są inni. Należeli do jednostki specjalnej policji polowej, sowieckiego ministerstwa spraw wewnętrznych czy innego gówna. Weterani z Afganistanu i Czeczenii. Nie wiem, co oni tam wyrabiali, ale cokolwiek to było, musiało jeżyć włos na głowie.

Z głośnika rozległ się komunikat, że prom dobija do nabrzeża St Georg. Mahmut serdecznie uściśnął dłoń Fabla, upewniwszy się wcześniej, czy nikt nie widzi tego dowodu zażyłości między nim a policjantem.

- Tutaj wysiadam. Dowiem się, czego będę mógł, o tej dziewczynie i Klugmannie. Uważaj na siebie, przyjacielu.

- Ty też, Mahmut.

Fabel patrzył, jak Mahmut schodzi na ląd. Kiedy prom znowu odbił od brzegu, nadkomisarz zauważył ładną dziewczynę, która dopiero co zesła z pokładu. Jej krótkie jasne włosy złociły się w zachodzącym słońcu. Na widok tej jaśniejącej młodości poczuł ukłucie zazdrości. Odwrócił się i przeszedł na drugą burłę, nie zauważył więc, że dziewczyna ruszyła za Mahmutem, w odległości może dwudziestu metrów.

Środa, 4 czerwca, 20.45. Alsterpavilion, Hamburg

Uczucie znużenia, które ogarnęło Fabla po południu, teraz się pogłębiło. Po zejściu z promu czuł się wymięty i brudny. Przynajmniej wieczór zaprotestował przeciw panującej wcześniejszej szarości i teraz zachodzące słońce oblało miasto barwami czerwieni, miedzi i złota. Fabel wysiadł na południowym końcu Binnenalster i przemierzył piechotą krótki odcinek do Alsterarkaden w centrum miasta. Usiadł przy stoliku pod kolumnadą, zamówił sałatkę z matiasów i piwo Jever, żeby splukać słony smak śledzia. Arkady bieły wzdłuż Alsterfleet. Pozwolił zmęczonym oczom bez celu wędrować po migoczącej w wieczornym świetle wodzie, po której lekko sunęły łabędzie. Po drugiej stronie Fleet leżał główny plac miasta, na którym majestatycznie wznosił się w niebo ratusz z miedzianymi tarczami zegarów błyszczącymi w wieczornym słońcu.

Fabel nie wiedział, jak długo tam stała. Kiedy usłyszał jej łagodny monachijski akcent, drgnął.

- Czy można?

- Ależ, tak... naturalnie, pani doktor... - Szamotał się przez chwilę z serwetką, wstał od stolika i podsunął krzesło.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... - powiedziała Susanne Eckhardt.

- Ależ skąd. - Skinął na kelnerkę, potem zwrócił się do Susanne. - Zamówić coś dla pani?

Susanne poprosiła o kieliszek białego wina. Na pytanie Fabla, czy chciałaby coś zjeść, potrząsnęła przecząco głową.

- Przegryzłam coś w biurze, ale proszę sobie nie przeszkadzać.

Fabel nabrał zatem kolejną porcję sałatki śledziowej. Jedząc tak pod jej spojrzeniem, czuł się dziwnie bezbronny. Odchyliła

głowę, by słońce ogrzało jej twarz, a w nim po raz kolejny wezbrał podziw dla jej urody.

- Robiłam zakupy pod Arkadami - wskazała głową na torby stojące u jej stóp - kiedy pana zobaczyłam. Wygląd da pan na wykończonego. To był długi dzień, prawda?

- O tak. Niestety, długie dni i bezsenne noce są częścią tej pracy.

Kelnerka przyniosła wino. Susanne uniosła kieliszek.:

- Na zdrowie! Za długie dni i bezsenne noce.

- Cheers. - Fabel z nawyku posłużył się angielskim toastem.

- Ach, prawda, „angielski komisarz” - zaśmiała się Susanne. - Zapomniałam, że tak pana nazywają.

- Jestem w połowie Szkotem. - Fabel odwzajemnił uśmiech. - Moja matka była Szkotką i o mały włos nie dano mi na chrzcie imienia Iain. Jan był kompromisem? Tak czy inaczej, wielu ludzi w Hamburgu czuje się przynajmniej po części Brytyjczykami. Nazywa się to miasto najdalej na wschód wysuniętym przedmieściem Londynu... Pani, jako południowiec, świetnie wie, co mam na myśli...

Susanne odstawiła kieliszek.

- O, tak... Nie sądziłam, że doznam szoku kulturowego, nie opuszczając Niemiec, ale, przyznaję, kiedy przeniosłam się tu z Monachium, czułam, jakbym wyemigrowała do obcego kraju. Tutejsi mieszkańcy potrafią być trochę...

- Anglosascy?

- Chciałam powiedzieć „zdystansowani”, ale tak, teraz, kiedy tu mieszkam, rozumiem, czemu mówią tak o hamburczykach...

- Upiła wina. - A jednak uwielbiam to miasto, jest wspaniałe.

- Tak. - Fabel spojrział na wodę. - To prawda. Od jak dawna pani tu mieszka?

- Dwa lata... nie, już prawie trzy. Naprawdę się tu zadomowiłam.

- Co panią sprowadziło? Praca czy mąż?

Jawna intencja pytania rozśmieszyła Susanne. Fabel też się roześmiał.

- Zaspokoję pańską ciekawość... Nie mam męża, nie jestem też z nikim związana. Przeniosłam się tu z powodu posady, jaką

zaproponowano mi w Instytucie Medycyny Sądowej. Przez instytut natomiast zaproponowano mi stanowisko konsultanta policji hamburskiej. - Pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stoliku i wspierając podbródek na splecionych dłoniach. - A jak pani Fabel radzi sobie z pańskimi długimi godzinami pracy?

Fabel zaśmiał się na tę replikę jego własnej niezręczności.

- Nie ma żadnej pani Fabel, przynajmniej już nie. Rozwiodłem się jakieś pięć lat temu.

- Przykro mi... nie chciałam... Fabel uniósł ręce.

- Nic nie szkodzi. Zdążyłem się przyzwyczaić. Partnerowi trudno jest się pogodzić z takim życiem... a moja żona związała się z kimś... cóż, z kimś, kto był na miejscu, kiedy mnie nie było.

- Naprawdę mi przykro.

- Jak już mówiłem, niech pani nie będzie przykro. Mam piękną córkę, która spędza ze mną tak dużo czasu, jak tylko może.

Zapadło milczenie. Rozmowa przybrała nieoczekiwanie osobisty ton i najwyraźniej żadne z nich nie potrafiło zgrabnie się wycofać. Susanne spoglądała ponad wodami Alsterfleet w stronę placu z ratuszem, a Fabel popychali widelcem kawałek śledzia po talerzu. Po kilku sekundach oboje zaczęli mówić jednocześnie.

- Pan pierwszy... - zaśmiała się Susanne.

- Chciałem zapytać... - zaczął Fabel, uświadamiając sobie zarazem swój nieśmiały ton. Powtórzył więc, tym razem pewniej: - Chciałem zapytać, czy, skoro teraz nie ma pani czasu, zechciałaby pani zjeść ze mną kolację kiedy indziej...

Twarz Susanne rozjaśnił uśmiech.

- Z przyjemnością. Może w przyszłym tygodniu? Proszę zadzwonić do biura, to się umówimy. - Spojrzała na zegarek. - Boże, już jestem spóźniona... dzięki za wino,; panie Fabel...

- Proszę mi mówić Jan...

- Dzięki za wino, Janie... Odezwiisz się w przyszłym tygodniu?

Fabel wstał i podał jej rękę.

- Możesz być pewna.

Odprowadzał ją wzrokiem, kiedy szła pod Arkadami, mijając naprzemienne smugi słońca i cienia rzucanego przez kolumny. Piwo i zmęczenie wywołały w nim poczucie nierzeczywistości. Czy naprawdę się zgodziła?

Środa, 4 czerwca, 21.00.
Aussendeich, w pobliżu Cuxhaven

Czuła się tak, jakby została odłączona od ciała, od najbliższego otoczenia, od świata. Jej świadomość spowijała gruba, kleista powłoka. Czasami przerzedzała się - wtedy postrzegala wszystko normalniej - potem rzeczywistość znów mętniała. Wzbierał w niej gniew, ale nawet to uczucie tłumila mgła, otulająca każdą jej myśl, doznanie, ruch. Znowu upadła. Poczula wilgotne liście lepiące się do jej twarzy, smak stęchłej ściółki w ustach. Otaczały ją drzewa. Wiedziała, że powinna umieć nazwać takie miejsce, ale słowo „las” było zbyt odległe, przypomnienie go sobie wymagało zbyt dużego wysiłku. Leżała przez chwilę, potem wstała z trudem, zrobiła kilka chwiejnych kroków, znów upadła. Jej świadomość ponownie oblepiło coś gęstego i ciemnego, po czym znowu straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, było ciemniej. Pod wpływem instynktu zbyt silnego, by mógł go stępić narkotyk, stanęła na chwiejne nogi. Przed nią, wśród pni drzew migotały światła. Siłą, która pociągnęła ją ku światłom, był instynkt, a nie świadomość, że gdzieś tam znajduje się droga, pomoc, ocalenie. Potknęła się jeszcze parę razy, ale teraz brnęła ku światłom jak po sznurku. Ziemia pod jej stopami stała się równiejsza, mniej było zdradliwych korzeni czy gałęzi, mogących ją przewrócić. Światła rosły.

Przytomność umysłu powróciła tuż przed tym, gdy: uderzyła w nią ciężarówka. Usłyszawszy pisk opon, spojrziała szeroko otwartymi, ale nie osłepionymi oczami prosto w pędzące na nią przednie światła. Ogarnęło ją dojmujące uczucie zdziwienia: nie mogła pojąć, dlaczego,; wiedząc, że umrze, była tak całkowicie wyżyta lekku.

Środa, 4 czerwca, 23.50. Altona, Hamburg

Większość pracowników i kupujących już dawno poszła; na podziemnym parkingu zostało niewiele wozów. Opony saaba zapiszczały cicho, kiedy samochód wziął stromy, ostry zakręt i wyjechał z dolnego poziomu na parkingu z filarami. Nie zatrzymał się jednak tam, ale na głównym trakcie; kierowca zmienił światła na krótkie. Ukryty dotąd za filarem mercedes wyjechał nagle, zbliżył się do saaba i stanął tak, że chłodnice aut niemal się stykały. Żaden z samochodów nie mógł teraz z nagła odjechać. Z mercedesa wysiadło trzech potężnie zbudowanych Turków. Dwaj stanęli po bokach samochodu; nie zamknęli drzwiczek i oparli się o nie jak o tarcze.

Trzeci, starszy i lepiej ubrany od tamtych, podszedł do saaba, nachylił się i zabębnił palcami w okno kierowcy. Rozległo się brzęczenie i szcęk opuszczanej elektrycznie szyby.

Potem dało się słyszeć jakby głośnie pyknięcie.

Dwaj stojący przy mercedesie Turcy ujrzeli, jak z potylicy starszego mężczyzny tryska krew. Wystrzelona z saaba kula przebiła mu czaszkę. Zanim zdążyli się ruszyć, nastąpiła seria dalszych głośnych pyknięć, niczym stukot kulek gradowych bębniących o dach. Tym razem strzelano do nich.

Tak jak starszy Turek, byli martwi, nim jeszcze ich ciała uderzyły o ziemię.

Z cienia za mercedesem wyłonili się dwaj wysocy, jasnowłosi mężczyźni. Jeden metodycznie pozbierał łuski; z ziemi, a drugi spokojnie podszedł do trzech ciał, oddał po jednym, kończącym strzale w głowę każdego z leżących, również pozbierał łuski i schował je do kieszeni długiego skórzanego płaszcza. Obaj mężczyźni ruszyli do saaba, odkręcając po drodze tłumiki z luf pistoletów Heckler & Koch. Niedbale przestąpili przez zwłoki i zajęli miejsca z tyłu wozu, który ostrożnie wycofał się na parking, zawrócił i ruszył na górny poziom.

Czwartek, 5 czerwca, 10.00. Poseldorf, Hamburg

Od wydarzeń minionego dnia Fabel odgrodził się kurtyną ciężkiego, pozbawionego obrazów snu, ale obudził się zmęczony tak, jakby spał pod ołowianą kołdrą. Mechanicznie odbębnił poranny rytuał golenia, prysznicu i ubierania. Na wycieracze leżał „Hamburger Morgenpost”; nie zaglądając do środka, cisnął go na stolik w holu.

Kawę wypił przy wysokim oknie, błędząc niewidzącym wzrokiem po panoramie Hamburga. Stalowoszare niebo ciążyło nad miastem, odbierając kolory wodzie, parkom i budynkom, ale różowawa poświata przebijająca spoza chmur zdawała się obiecywać poprawę pogody. Jesteś gdzieś tam, myślał Fabel, pod tym samym niebem i czaisz się, żeby zrobić to znowu. Wprost nie możesz się doczekać, by to powtórzyć. A my nie możemy czekać na twoją pomyłkę. Ta myśl była jak cios w brzuch.

Patrząc w niebo i popijając kawę, Fabel podsumował wszystko, co dotychczas zebrali. Miał fragmenty układanki, które powinny pasować: skorumpowanego byłego gliniarza, prostytutkę zamordowaną w makabryczny sposób, zabitą cztery miesiące wcześniej kobietę, której nie łączyło nic z martwą dziwką, wreszcie socjopatę przyznającego się za pośrednictwem poczty elektronicznej do morderstw. Ilekroć jednak Fabel usiłował złożyć kawałki w całość, zgrzytały na stykach. Na pierwszy rzut oka wszystko miało sens, ale w jakimś odległym, mrocznym zakamarku umysłu Fabla, gdzie fakty podlegały gruntownej analizie, płonęło jaskrawe czerwone światelko.

Dopił kawę, zaczerpnął głęboko tchu, wraz z powietrzem wchłaniając obraz Alsteru, potem odwrócił się wziął marynarkę, klucze i ruszył do pracy.

Natychmiast po wejściu do przestronnego holu Komendy Głównej Fabel zdał sobie sprawę z niecodziennej aktywności. Dwunastu szaro-czarnych robocopów z MEK, I ściskając gogle i hełmy, przemaszerowało obok niego na dwór, gdzie czekał na nich transporter opancerzony. Minął Buchholza i Lepperta, pogrążonych w rozmowie z jednym z oficerów policji, trzymającym niebieski bloczek raportowy. Obaj spojrzeli w stronę Fabla i krótko, poważnie skinęli mu głowami. Nadkomisarz odwzajemnił pozdrowienie, ale choć bardzo pragnął wiedzieć, co się dzieje, na I widok posępnej determinacji na ich twarzach zdecydował się nie podchodzić. Kiedy zamierzał wejść do windy, wyszedł z niej Gerd Volker, facet z kontrwywiadu, w asyście I czterech mężczyzn o wyglądzie twardzieli. Volker natychmiast przyoblekł twarz w uśmiech, szybko pozdrowił Fabla i wyminął go, zanim ten zdążył się odezwać.

Po wyjściu z windy na korytarzu wydziału zabójstw Fabel spotkał Wenera.

- Co się, u diabła, dzieje?

Wenera wetknął Fabelowi do rąk „Morgenpost” otwarty na odpowiedniej stronie.

- Ersin Ulugbej nie żyje. Robota zawodowców. Fabel głośno gwizdnął. Fotografia w „Morgenpost” przedstawiała mężczyznę w drogim płaszczu, rozciągniętego na poplamionym krwią i olejem betonie. Artykuł nie zawierał żadnych informacji co do motywu zabójstwa, można było jednak przeczytać, że jedną z trzech ofiar był Ersin Ulugbej, „znana postać hamburskiego podziemia”, dwóch pozostałych mężczyzn, przypuszczalnie Turków, jeszcze nie zidentyfikowano. Teraz zrozumiał ponurą krzątanie na dole.

- Cholera. Wybuchnie prawdziwa wojna.

- Na to właśnie się szykują. - Maria Klee podeszła do Fabla z filiżanką kawy w dłoni. Uniosła ją ku niemu: - Chcesz? - Fabel pokręcił głową. - Cała Komenda Główna roi się od typów z LKA7 i BND... - zaśmiała się Maria. - Jeśli tylko coś nosi czarną skórzaną kurtkę i przedstawia się inicjałami, to na bank jest tutaj, z miną, jakby miało wrzody w tyłku.

- Nie rozumiem, czemu zawracają sobie głowę. - Werner wzruszył ramionami. - Niech te sukinsyny powyrzynają się między sobą. To nam oszczędzi sporo czasu i zachodu.

- Niestety, istnieje coś takiego jak wymiana ognia - Fabel oddał koledze gazetę - a wymiana ognia i niewinni przechodnie zawsze chodzą w parze.

- Istnieje taka ewentualność, ale ja z pewnością nie będę płakał po tym gnoju.

Fabel ruszył do biura.

- Macie chwilę? - spytał.

Nadkomisarz usiadł za biurkiem i dał znak Marii i Wernerowi, by zajęli miejsca.

- Czy mamy coś nowego o wczorajszej ofierze?

- Nic - odparła Maria. - Sprawdziłam bazy odcisków palców w Hamburgu i w Federalnym Urzędzie Kryminalnym. Nie była notowana. Nadal nie mamy nic na temat rany postrzałowej. Nie możemy połączyć tej dziewczyny z żadną strzelaniną w Hamburgu z ostatnich piętnastu lat, w jakiej uczestniczyły kobiety.

- W takim razie poszerz krąg poszukiwań.

- Już się tym zajęłam, szefie.

- Anna i Paul kierują obserwacją Klugmanna - włączył się Werner. - Na razie poszedł prosto do domu i nie ruszał się stamtąd. Ostatni raport donosił, że zasłony nadal są zaciągnięte, a on sam nie daje znaku życia.

- Czy dowiedzieliśmy się czegoś więcej od ludzi mieszkających w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono dziewczynę? Czy ktokolwiek wspomniał o starszym gościu o słowiańskim wyglądzie?

- O kim teraz mówimy? - spytała Maria.

- Kiedy przyjechaliśmy na miejsce zbrodni, Jan widział kogoś, kto kręcił się koło dziennikarzy - wyjaśnił Werner.

- Niski gość, sześćdziesiąt lat, może więcej... cudzoziemski wygląd?

Werner i Fabel spojrzeli na Marię.

- Widziałas go?

- Dotarłam na miejsce jakiś kwadrans przed tobą, pamiętasz?

Zdążył zgromadzić się tłumek gapiów, a ten gość był może o sto metrów dalej, nadchodził od strony St Pauli. Zwróciłam na niego uwagę, starszy facet... Powiedziałabym, że podobny do Chruszczowa, no wiesz, tego dawnego radzieckiego prezydenta, czy jak go tam nazywano... z lat sześćdziesiątych.

- To on - powiedział Fabel.

- Przepraszam, ale wtedy nie wydało mi się to ważne. Ten gość nie uciekał z miejsca zbrodni ani nic takiego, ludzie tłoczyli się tam co najmniej od godziny, więc nawet nie myślałam o ewentualnym sprawcy... Myślisz, że to on jest mordercą?

- Nie... - Fabel zmarszczył brwi. - Sam nie wiem... Po prostu się wyróżniał. To pewnie nic takiego. Jednak nie; mieszka w tamtej okolicy, a ty widziałas, jak nadchodzi. Chcę znaleźć tego człowieka, żeby móc go wykluczyć.

- Popytam dalej - obiecał Werner.

- Chcę też, żebyście spróbowali ustalić, czy przed zabójstwem któryś z sąsiadów widział w pobliżu policjanta. Ale, na miłość boską, bądźcie ostrożni... Nie chcę, by ktokolwiek myślał, że podejrzewamy jednego z naszych.

- Oczywiście może nie chodzić w mundurze - dodała Maria. - Może najzwyczajniej w świecie zdobył gdzieś legitymację lub odznakę policji kryminalnej.

- Wiem... o ile, jak mówisz, podszywa się pod policjanta. Jednak dzięki mundurowi mógłby wejść przez nikogo nienagabywany. Warto spróbować.

Po wyjściu Marii i Wenera Fabel zadzwonił do Mahmuta na komórkę. Lada chwila miała się rozpętać wojna gangów na wielką skalę, a on posłał go bez broni na front. Telefon dzwonił, aż włączyła się poczta głosowa.

- To ja. Zadzwon do mnie. I zapomnij o przysłudze, o którą cię prosiłem. - Fabel się rozłączył.

Czwartek, 5 czerwca, 10.00. **Szpital miejski w Cuxhaven**

Mundur Maksa Sülberga nie leżał na nim najlepiej. Prawdę mówiąc, w ciągu dwudziestu pięciu lat służby w policji Dolnej Saksonii, z czego większość na placówce w Cuxhaven, żaden mundur nie leżał na nim zbyt dobrze. W tym czasie Max powoli przeobraził się z niechlujnego chudzielca w niechlujnego brzuchacza. Musztardowej barwy koszula z krótkimi rękawami opinała brzuch, marszcząc się na piersi i plecach, a mundurowe spodnie wyglądały tak, jakby o żelazku słyszały od dalekich krewnych. Można by go uznać za typ takiego policjanta, którego szef rutynowo wzywa na dywanik, gdyby nie dwie złote gwiazdki na biało-zielonych naramiennikach, świadczące, że szefem jest właśnie Max.

Był niskim, łysiejącym mężczyzną o sympatycznej twarzy, która prawie zawsze sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się uśmiechnąć. Twarzy dobrze znanej i cieszącej się zaufaniem mieszkańców płaskich nizin, w piaszczystym łuku linii brzegowej Cuxhaven, od Berensch-Arensch do Altenbruch.

Teraz jednak na twarzy Maksa, bladej w świetle jarzeniówek, nie było uśmiechu. Obok niego stał doktor Franz Stern, szczupły, przystojny lekarz o gęstej grzywie czarnych włosów, w przeciwieństwie do wymiętoszonego policjanta ubrany nienagannie. Przed nimi, na zimnym stalowym wózku, leżało zmasakrowane ciało Petry Heyne, dziewiętnastoletniej studentki z Hemmoor. Max Sulberg był policjantem od dawna, co nawet w Cuxhaven oznaczało, że śmierć i przemoc nie były mu obce. Ale teraz, patrząc na martwą twarz dziewczyny zaledwie o rok starszej od jego córki, poczuł przemożną chęć znalezienia poduszki czy czegokolwiek i podłożenia jej pod głowę. Pocieszenia jej. Jednak tej dziewczyny nic już nie mogli pocieszyć. Max potrząsnął ciężko głową.

- Cholerna szkoda. Stern westchnął.

- Co ona, na Boga, robiła na takim odludziu?

- Mogę się jedynie domyślać. Musimy poczekać na sekcję, ale według mnie była naćpana. Kierowca ciężarówki mówił, że kiedy dziewczyna wyszła mu pod koła, była jak nieprzytomna. Najwyraźniej w żaden sposób nie mógł uniknąć uderzenia w nią, ale trudno mu się z tym pogodzić. Biedny drań.

- Czy powiadomiono rodziców? - zapytał Stern.

- Już tu jadą. Dziewczyna nie miała torebki ani dowodu tożsamości, ale nosiła bransoletkę z danymi, w razie wypadku.

Stern odruchowo zerknął na przegub dziewczyny. Bransoletkę oczywiście zatrzymała policja, ale co innego przykuło jego uwagę; zmarszczył czarne brwi, które utworzyły prostą linię nad oczami. Pochylił się do przodu.

- Co jest? - spytał Sulberg.

Lekarz nie odpowiedział, ale obrócił przedramię dziewczyny i przyjrzał się przegubowi. Następnie popatrzył na kostkę prawej stopy, potem na lewą, aż w końcu, nie mniej uważnie, obejrzał lewy przegub. Sulberg westchnął zniecierpliwiony.

- Co jest, doktorze Stern?

Ten uniósł w górę przegub zabitej. Sulberg wzruszył ramionami.

- Na co niby mam patrzeć? Nie rozumiem...

- Proszę się przyjrzeć dokładniej.

Policjant wyjął z kieszeni koszuli mundurowej okulary do czytania i założył je. Kiedy pochylał się, by obejrzeć przegub dziewczyny, żołądek ścisnął mu się od woni mar twego ciała. Wreszcie do niego dotarło. Na skórze prze gubu widniały zadrapania i bardzo niewyraźne zaczerwienienie.

- To samo jest na kostkach... - powiedział Stern.

- Cholera... - Sulberg zdjął okulary. - Tę dziewczyn związano.

- Owszem, związano ją, ale za bardzo nie walczyła - odparł Stern. - Według mnie była wtedy półprzytomna lub całkiem bez świadomości. To by tłumaczyło, dlaczego weszła prosto pod koła ciężarówki.

Mięśnie twarzy Sulberga stężały, nadając jej twardy wygląd.

- Nie będę czekać na pełne wyniki sekcji, doktorze Stern. Chcę, żeby pobrał pan krew do analizy już teraz.

Czwartek, 5 czerwca, 12.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Po błysku w oczach Wernera Fabel poznał, że sprawa jest ważna.

Metodyczne, drobiazgowo podejście Wernera do pracy policyjnej stanowiło przeciwieństwo intuicyjnej metody Fabela. Dla Wernera liczyły się szczegóły, dla Fabela najważniejsza była całość. Właśnie dzięki temu kontrastowi stanowili taki świetny zespół. Fabela frustrowało tylko to, że Werner sceptycznie odnosił się do analitycznych zdolności Marii Klee. Ale teraz wyraz twarzy Wernera mówił nadkomisarzowi, że jego współpracownik, węsząc w zakamarkach dochodzenia, natrafił na trop.

- Co masz, stary?

Ten usiadł naprzeciwko Fabela i zaśmiał się, że tak łatwo go rozszyfrowano.

- Dwie sprawy. Po pierwsze, choć trudno w to uwierzyć, nasz kumpel Klugmann nie był z nami szczery.

- Zdumiewasz mnie.

Werner pokazał Fabelowi billing rozmów.

- Mam listę numerów, na które Klugmann dzwonił z komórki... - Na widok uniesionych brwi Fabela dodał: - To nie było łatwe. - Mięсистym palcem wskazał na jeden z numerów. - Spójrz tylko... telefonował pod ten numer o drugiej trzydzieści pięć... to jest numer miejscowego posterunku policji. Dokładnie tak, jak nam mówił, i tak, jak zarejestrowano na posterunku. - Palec Wernera zje chał w dół strony. - A teraz spójrz tutaj. Druga dwadzieścia dwie...

Nadkomisarz podniósł wzrok znad kartki i popatrzył Wernerowi w oczy.

- Sukinsyn.

- Właśnie. Rozmawiał z tym numerem przez dwanaście

minut. Potem się rozłączył i zadzwonił na policję. Do kogo, u diabła, dzwonisz przed telefonem na policję, kiedy odkrywasz, że twoją przyjaciółkę pokawałkowano ja mięso u rzeźnika? Do pizzerii?

- No więc, kto to jest? Czyj to numer?

Werner wsparł szerokie plecy o oparcie krzesła, odchylając je lekko do tyłu.

- To jest właśnie ta druga sprawa. Sprawdziłem we wszystkich stosownych oddziałach federalnych, w Deutsche Telekom, u operatorów telefonii komórkowej... Ten numer - Werner pozwolił krzesłu opaść z hukiem na podłogę i dźgnął palcem w cyfry na kartce - nie istnieje.

- Musi istnieć.

- Najwyraźniej tak, bo Klugmann rozmawiał z nim przez dwanaście minut, ale nigdzie nie jest zarejestrowany. Pozostaje nam tylko jedno.

- Jeszcze nie próbowałaś?

- Postanowiłem zostawić ten zaszczyt tobie, szefie. Fabel podniósł słuchawkę i wybrał numer. Ktoś odebrał po drugim sygnale, ale się nie odezwał.

- Halo? - spytał po chwili nadkomisarz. Cisza.

- Halo? - Fablowi wydawało się, że ze słuchawki doi biega czyjś oddech. Był niemal pewien, że połączył się z telefonem komórkowym. Parę sekund później odezwał się znowu: - Halo... to ja... - Połączenie zostało przerwane. Jeszcze raz wybrał numer, pozwolił sygnałowi odezwać się kilka razy, wreszcie się rozłączył. - Dobra... - zwrócił się do Wenera. - Czy Anna i Paul ciągle obserwują Klugmanna?

Werner przytaknął.

- Dawajcie go tutaj.

To nawet nie była ulica, raczej zaułek. Wąski i posępny, biegł ze wschodu na zachód, wśród najwyższej trzypiętrowych domów z czerwonego piaskowca. Parkowanie było dozwolone tylko po jednej stronie jezdni; bmw Anny Wolff i Paula Lindemanna stało w połowie długości. Brakowało wolnych miejsc, więc

Fabel, z Wernerem na miejscu dla pasażera, musiał zatrzymać się za rogiem.

Zza rogu wyłoniła się Sonia Brun z dwiema torbami pełnymi zakupów. Wysoka, szczupła, miała długie opalone nogi. Ciemne, długie włosy ściągnęła do tyłu okularami przeciwsłonecznymi, przesuniętymi wysoko na czoło. Sprawiała wrażenie gibkiej i wysportowanej. Fabel pomyślał o komentarzach Moliera na temat kondycji fizycznej drugiej ofiary. Sonia, oprócz innych zajęć, tańczyła na rurze w Paradies-Tanzbar. Może Monique jednak była dziwką.

Dziewczyna przeszła drugą stroną ulicy, dzięki czemu Fabel mógł z samochodu lepiej się jej przyjrzeć. Miała na sobie tanią, kusą białą koszulkę z krótkim rękawem, opinającą piersi i odsłaniającą opalony brzuch, dżinsową minispódniczkę i płócienne sandały, których tasiemki oplatały zgrabne łydki. Fabel widział twarz dziewczyny tylko z profilu, ale uznał, że jest ładna. Inaczej ubrana miałyby nieco klasy. Przeszła przez jezdnię o dwie długości samochodu przed jego wozem i skręciła w zaułek. Fabel uprzedził Annę i Paula przez radio, że dziewczyna nadchodzi.

- Pójdziemy za nią. Mam zezwolenie prokuratora na wejście i aresztowanie. Kiedy dziewczyna otworzy drzwi, wchodzimy. - Wyciągnął walthera z kabury i zarepetował. Przed wsunięciem broni z powrotem sprawdził czerwony przycisk bezpiecznika. - Lepiej uważajmy - zwrócił się do Wenera. - Jestem przekonany, że Klugmann nie będzie się stawiał, ale jeśli się zdecyduje, to z pewnością umie to robić.

Werner też sprawdził broń.

- Nie będzie miał, kurwa, szansy.

Wysiedli z samochodu i pieszo ruszyli za Sonią. Kiedy mijali zaparkowane bmw, wysiedli z niego Anna i Paul i dołączyli do nich. Sonia, mając ręce zajęte torbami, odwróciła się i plecami pchnęła ciężkie drzwi wejściowe. Zerknęła przy tym w stronę nadchodzącej grupy, ale nie zwróciła na nią uwagi. Weszli za dziewczyną na wybrukowany dziedziniec, a Fabel słyszał szybki stukot jej sandałów, kiedy wchodziła po kamiennych schodach do mieszkania. Szli najciszej, jak potrafili. Sonia, z torbami u

stóp, manipulowała kluczami przy drzwiach. Wtedy ich zobaczyła.

- Hans! - Jej krzyk rozbrzmiał echem na podwórzu.

Wyraz przerażenia na twarzy Soni zdumiał Fabela. Pojął, że wzięła ich za kogoś innego. Podniósł rękę w geście, który mógłby być uspokajający, gdyby nie masywny czarny walther w drugiej dłoni.

- Spokojnie, Soniu... Jesteśmy z policji i chcemy tylko pomówić z Hansem...

Do jej przerażenia doszła teraz niepewność. Fabel z innymi wbiegli na schody, a drobna Anna Wolff odepchnęła Sonię z taką siłą, że ta o mały włos nie straciła równowagi, po czym przygwoździła ją do ściany z dala od potencjalnej linii ognia. Nadkomisarz i Paul przywarli do ściany po obydwu stronach framugi. Fabel zawołał:

- Policja Hamburg! - po czym skinął głową do Wenera a ten kopnął w drzwi tuż poniżej zamka.

Mężczyźni przeczesali mieszkanie; na zmianę po dwóch osłaniali trzeciego, gdy ten przeszukiwał pomieszczenie. Obracali wyciągniętymi ramionami, zataczając szybkie łuki Jakby trzymali latarki, nie broń. Do korytarza przylegały kuchnia, salon, łazienka oraz dwie sypialnie. Mieszkanie było czyste, jasne i schludne, choć tanio urządzone. Było też puste. Fabel wsunął broń do kabury pod pachą i dał znak Annie Wolff, która uśmiechnęła się do Soni i łagodnie pchnęła ją do mieszkania. Fabel kazał Paulowi wstawić torby z zakupami do kuchni, Anna troskliwie zaprowadziła Sonię do salonu i posadziła na kanapie. Sonia drżała i była bliska łez. Fabel kucnął przed nią i zapytał:

- Gdzie jest Hans, Soniu?

Wzruszyła ramionami, a w orzechowych oczach błysnęły łzy.

- Nie wiem. Kiedy wychodziłam rano, był tutaj. Nie mówił, że gdzieś się wybiera. Od śmierci tamtej dziewczyny nie wychodził. Bardzo to przeżył. - Spojrzenie załzawionych oczu stężało. - Czy dlatego tu jesteście?

- O nic go nie oskarżamy. Po prostu musimy mu zadać kilka pytań.

Orzechowe oczy błysnęły lękiem zmieszany z gniewem.

- Soniu, wybacz na chwilę. - Fabel zwrócił się do swoich ludzi:

- Anna, Paul... proszę na słowo na zewnątrz.

Kiedy znaleźli się na klatce schodowej, twarze Anny Wolff i Paula Lindemanna zdradzały, że dobrze wiedzieli, co się święci. Anna postanowiła uprzedzić Fabla i uniosła ręce w górę.

- Przepraszam, szefie... on nie mógł się nam wymknąć. Siedzieliśmy mu na karku.

- Najwyraźniej nie dość mocno. - Fabel usiłował stłumić frustrację. - Klugmann jest naszym jedynym tropem, a wy pozwoliliście mu uciec. - Wskazał palcem na oboje. - Wy go zgubiliście, więc teraz wy go znajdziecie.

- Tak jest, szefie - odpowiedzieli unisono.

- Zaczynjcie od sprawdzenia, czy jacyś sąsiedzi są w domu.

Fabel wrócił do salonu. Usiadł obok Soni na kanapie, opierając łokcie na kolanach.

- Lepiej się czujesz?

- Pieprz się.

- Za kogo nas wzięłaś?

Sonia odwróciła się do Fabla i zamrugała.

- O co ci chodzi?

W tej chwili nabrał pewności, że dziewczyna coś ukrywa.

- Wiem, że najście uzbrojonych policjantów może wystraszyć, ale ty wzięłaś nas za kogoś innego, prawda?

Sonia opuściła wzrok.

- Posłuchaj, Soniu, czy Hans ma kłopoty? Jeśli grozi mu niebezpieczeństwo, możemy mu pomóc. Tylko powiedz mi, gdzie go możemy znaleźć. Z tego, co wiemy, nie zrobił nic złego, oprócz tego, że zataił przed nami pewne informacje. Musimy z nim porozmawiać.

Dziewczyna się załamała. Wstrząsnęło nią potężne, nieutulone łkanie. Fabel położył jej rękę na ramieniu.

- Nie wiem, gdzie on jest... - Wskazała na leżący na stoliku telefon komórkowy. - To jego telefon... Nigdy bez niego nie wychodzi.

Zwróciła duże, szeroko otwarte oczy na Fabla. Przypomniał sobie, co mówił o niej Mahmut: miły dzieciak. Podniósł

komórkę i wyświetlił ostatni numer, pod jaki dzwoniło. Był to ten, pod który Klugmann telefonował po znalezieniu ciała Monique. Fabel pokazał wyświetlacz Wernerowi, który rzucił okiem na numer i odpowiedział mu znaczącym spojrzeniem. Nadkomisarz wsunął komórkę do kieszeni marynarki i ponownie zwrócił się do dziewczyny:

- Za kogo nas wzięłaś, Soniu?

- Hans prowadził pewne interesy. Z cudzoziemcami. Myślę, że z Rosjanami czy z Ukraińcami. Próbował trzymać mnie od tego z daleka, ale wiem, że ci ludzie są niebezpieczni. Sprawy nie szły chyba najlepiej. Od paru dni zabraniał mi otwierać drzwi, zniknął, kiedy ktoś przychodził. - Załkała. - Kiedy przyszlście, pomyślałam, że to może oni...

- Jesteś już bezpieczna, Soniu. Od tej pory policjant będzie pilnował twoich drzwi, do czasu, kiedy Hans wróci albo go znajdziemy.

Ukraińcy. Fabel przypomniał sobie, co mówił Mahmut o nowej grupie w mieście. Musieli mieć związek z zamachem na Ulugbeja. A Klugmann pracował dla Ulugbeja. Jednak Klugmann był tylko marnym szeregowcem w czymś, co coraz bardziej przypominało wojnę gangów na dużą skalę. Uśmiechnął się do Soni uspokajająco.

- Twoim zdaniem, gdzie on może być? Może po prostu przysnął?

Sonia wzruszyła ramionami, ale na jej twarzy malował się głęboki niepokój.

- Gdyby chciał gdzieś wyjść, powiedziałby mi o tym rano. Wiedział, że mam zamiar zrobić zakupy na obiad... - Spojrzała na stojące w kuchni torby. Jej dolna warga zadrżała.

- O nic się nie martw, kochana - powiedział Fabel. - Znajdziemy go. - W duchu modlił się, aby to była prawda.

Wszystko szło ku gorszemu, a on wiedział, że staje się zbyt nerwowy. Musiał się skoncentrować i zachować czujność. Czujność była wskazana; nerwowość mogła kosztować życie. Drzwi wejściowe do mieszkania były wyposażone w zasuwę - wpadł w takim pośpiechu, że rozpieprzył główny zamek - zasunął ją w nadziei, że nie będą się zbyt uważnie przyglądać,

kiedy dotrą do tych drzwi, a to było nieuniknione.

Klugmann zdołał zrobić unik w ostatniej chwili. Martwił się o Sonię: właśnie spóźniona wracała z zakupów, a on obserwował ją przez okno, tak manewrując ciałem, by nie zauważyło go dwoje detektywów z dochodzeniówki - mężczyzna i kobieta - w brązowym bmw. Patrząc na dziarskie kroki Soni, Klugmann uśmiechnął się do siebie: to był dobry dzieciak, a on usiłował trzymać ją z dala od tego syfu. Wtedy spostrzegł, że śledzi ją dwóch gliniarzy, którzy go przesłuchiwali, Fabel i Meyer. Kiedy Sonia minęła bmw, tamtych dwoje wysiadło i ruszyło za resztą. To była zasadzka w starym, dobrym stylu. Klugmann nie wiedział, co na niego mieli, ale też nie miał czasu na długie rozważania. Znajdował się zbyt blisko. Zbyt wiele w to włożył - czasu, wysiłku, życia - byt w ostatniej chwili dać się wyłączyć z obiegu. Przebiegł przez pokój, chwytając marynarkę i wsuwając broń do kieszeni. Drzwi zamknął za sobą szybko, ale nie na tyle mocno, by trzasnęły, po czym zbiegł po dwa stopnie. Właściciel domu miał uniwersalny klucz do wszystkich mieszkań. Ze względów bezpieczeństwa należałoby więc użyć drzwi zewnętrznych, wychodzących na ulicę. Klugmann otworzył scyzoryk i napał na zamek, pchając mocno ramieniem. To była precyzyjna robota: musiał użyć dość siły, by otworzyć drzwi, nie tyle jednak, by uszkodzić kruche drewno. Usłyszał szcęk sprężynowego zamka drzwi od ulicy na dole: wchodziła Sonia, a tamci byli pewnie o kilka kroków za nią. Zamek ustąpił i Klugmann prawie wpadł do mieszkania, delikatnie zamykając drzwi za sobą. Wtedy usłyszał krzyk Soni, okrzyki Fabela oraz odgłosy dobiegające z mieszkania na górze. Zamknął oczy, oparł głowę o drzwi i wyszeptał: „Cholera”. Telefon komórkowy. Zostawił komórkę, co oznaczało, że zostawił swoją linię ratunkową. Musiał niezwłocznie dotrzeć do telefonu.

Teraz jednak mógł tylko czekać.

Właścicielem tego mieszkania był pewien Jugosłowianin w wieku około sześćdziesięciu lat. Wcześniej Klugmann myślał o nim jako o nielegalnym imigrancie, ale później dowiedział się, że pracuje dla miasta jako ogrodnik w parku Sternschanzen, gdzie przycina klomby i zbiera zużyte strzykawki. Pracę

zaczynał o jedenastej, a wracał po dwudziestej. Do tego czasu Klugmann musiał zniknąć.

Teraz dom był pewnie pod stałą obserwacją, co utrudni wydostanie się na zewnątrz. Klugmann miał jednak pewną przewagę nad policjantami - ponieważ sądzili, że już znajdował się na zewnątrz, będą wypatrywać, jak wraca, a nie jak wychodzi. Usiadł oparty plecami o drzwi i zlustrował pokój. Może znalazłoby się tu coś, co mógłby na siebie włożyć. Postarzę się. Ten matół przed wejściem nic nie skojarzy. Będzie wypatrywał młodego mężczyzny wchodzącego do budynku, a nie starego, który wychodzi. Z korytarza dobiegły głosy: to Fabel beszał ekipę, która zgubiła Klugmanna. Pozwolił sobie na uśmiech. Na odgłos kroków przywarł do drzwi. Pukanie: łomot otwartej dłoni policjanta o drzwi. Klugmann oddychał wolno i miarowo. Kolejne pukanie.

- Policja! Jest ktoś w domu?!

Minęły wieki, zanim usłyszał, jak kroki się oddalają i cichną na kamiennych schodach. Zapukali do drzwi na dole. Klugmann wiedział, że o tej porze tam też nikogo nie zastaną. Usłyszał kobiecy głos mówiący „psiakrew”, i? w końcu trzask drzwi od ulicy. Dwoje na zewnątrz, Tabel i Meyer na górze. Klugmann znowu rozejrzał się po mieszkaniu w poszukiwaniu przebrania na później. Czekał.

Czwartek, 5 czerwca, 14.45. Vierlande, pod Hamburgiem

Na ulicach panował tłok i Fabel cieszył się, że przygotował sobie rezerwę czasową na przejazd autostradą B5 przez centrum miasta do Billbrook. Teraz miasto nie przylegało już do poboczy, a krajobraz rozciągał się płaski i gładki jak sukno stołu bilardowego. Komórkę Klugmanna Fabel zostawił u Marii Klee, żeby ludzie z działu technicznego wyciągnęli z karty SIM możliwie jak najwięcej informacji. Anna Wolff i Paul Lindemann pewnie nadal wędrowali od drzwi do drzwi, próbując odnaleźć trop poszukiwanego. Oboje byli dobrymi policjantami. Klugmann musiał użyć niezłej sztuczki, żeby ich wykiwać.

Tuż za Bergedorf Fabel skręcił na południe w kierunku Neuengamme. Można by rzec, że znalazł się w Holandii: krajobraz był tak równy, jakby natura wyprasowała go żelazkiem, wygładzając wszystkie zmarszczki. Monotonie krajobrazu ożywiały kępy drzew, kościoły o czerwonych dachach, wiatraki w stylu holenderskim oraz pieczołowicie odrestaurowane domy Fachwerk z odsłoniętymi belkami stropowymi i ozdobnymi dachami krytymi strzechą. Sieć śluz i kanałów przecinała zieloną nizinę, upodabniając ją do narzuty zszytej z wielu kawałków materiału.

Zbliżając się do Neuengamme, poczuł nieokreślony, głuchy niepokój. Dla niego ta kraina była brzemienią przeszłością. Tu spletało się wiele dobrego i wiele złego.

W tym niezwykłym zakolu Elby spotykały się rozmaite historie Fabela: osobista, zawodowa, narodowa.

Podobnie jak wszystkie niemieckie dzieci z jego pokolenia, około dziesiątego roku życia Fabel przyjął na siebie ciężar historii swego narodu: utratę niewinności i uporanie się z prawdą. Pytał ojca o rzeczy, o których słyszał. O Niemcy. O nich

samych. O Żydów. Fabel przypomniał sobie smutek w oczach ojca, kiedy ten usiłował przekazać dziesięciolatce potworną prawdę o tym, czego dopuszczono się w imię Niemiec. Wkrótce potem ojciec odbył długą podróż tutaj. W tę okolicę ślicznych, półdrewnianych domów i łagodnego krajobrazu. Do Neuengamme.

Tu, w obozie stworzonym na terenie dawnej cegielni, nieludzką harówką wymordowano ponad pięćdziesiąt pięć tysięcy więźniów. Obóz, podobnie jak Bergen-Belsen, wyzwolili Anglicy, którzy, kierując się typowym anglosaskim pragmatyzmem, przekazali go Niemcom w 1948 roku z sugestią, że byłoby to dobre więzienie. I w nie właśnie przekształcono obóz. Aż do roku 1989 pomnik ku czci ofiar holokaustu i więzienie Vierlande znajdowały się w tym samym miejscu. Wreszcie senat Hamburga dostrzegł gorzką dwuznaczność więzienia przestępców w miejscu kaźni i zakład penitencjarny Vierlande przeniesiono poza teren dawnego obozu.

Teraz Fabel przyjechał do Vierlande, aby po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat stawić czoło tej części swojej osobistej historii, o której sądził, że już dawno została pogrzebana.

Strażnik więzienny wprowadził Fabla do gabinetu Dorna. Był to jasny, przestronny pokój, którego ściany zdobiły duże barwne plakaty przedstawiające kamienie milowe historii Niemiec: bramy Lubeki, Porta Nigra w Trierze, katedrę w Kolonii. Pomieszczenie pełne półek z książkami przypominało bardziej szkolną bibliotekę, niż dawny gabinet Dorna na uniwersytecie w Hamburgu. Kiedy Fabel wszedł, Dorn wraz z młodszym mężczyzną pochylali się nad jakąś publikacją. Młodszy górował wzrostem nad profesorem, a krótkie rękawy jego koszulki odsłaniały muskularne, wytatuowane ramiona. Atletyczny wygląd kontrastował ze skupieniem, z jakim wpatrywał się w tekst. Dorn podniósł wzrok, ujrzał Fabla i przeprosił osiłka-akademika, który wyszedł z książką i notesem pod pachą.

- Janie... - Dorn wyciągnął rękę. - Cieszę się, że zdołałeś przyjechać. Usiądź, proszę.

Czas przyprószył siwizną schludnie przystrzyżone wąsy i bródkę, wrył nowe zmarszczki wokół oczu, ale poza tym Mathias Dorn w dużej mierze pozostał tym, kim był w czasach, gdy dzisiejszy nadkomisarz uczęszczał do niego na wykłady z historii Europy: drobnym, zadbanym mężczyzną o porcelanowobłękitych oczach i nieco zbyt delikatnych rysach. Fabel ujął kruchą dłoń.

- Miło znów pana widzieć, panie profesorze - skłamał. Dla niego Dorn, wraz z uczuciami, jakie budził, należał do przeszłości i Fabel nie miałby nic przeciwko temu, aby tam pozostał. Usiadł przed biurkiem, naprzeciw gospodarza. Na blacie stała fotografia kobiety w wieku około dwudziestu lat, o podobnie kruchej subtelności rysów. Zdjęcie przyciągnęło uwagę Fabela wbrew jego woli; zaskoczyło go, jak obca wydała mu się teraz ta twarz.

- Zdziwiłem się, że pan tu jest - powiedział.

- Tylko dwa dni w tygodniu - uśmiechnął się Dorn. - Wystarcza to, by zakwalifikowano mnie jako historyka-rezydenta. Historyk w więzieniu zakrawa na dziwny pomysł, ale też to więzienie ma własną, wyjątkową historię. Dzielę swój czas między tę pracę a Instytut Pamięci Neuengamme.

- Chciałem powiedzieć, że zdziwiła mnie pana chęć pracy z przestępcami po tym, jak... - Fabel uprzytomnił sobie, że rozpoczął zdanie, którego ani nie chciał, ani nie musiał wygłaszać. Dorn domyślił się i uśmiechnął.

- Zdziwisz się, ale ta praca daje wielką satysfakcję. Niektórzy z więźniów zaczynają przejawiać prawdziwy głód historii. W przewrotny sposób pozwala im to zrozumieć ich własne, osobiste losy. Ale rozumiem, do czego zmierzasz. Chyba rzeczywiście miałem swoje powody, kiedy postanowiłem ubiegać się o to stanowisko. Pewnie chciałem zrozumieć, znaleźć się w otoczeniu morderców. Aby... cóż, znaleźć jakiś sens w tym, co się stało.

- I odnalazł pan?

- Czy praca w policji ci pomogła?

- Nie wiem, czy z tego właśnie powodu zostałem policjantem.
- Fabel ponownie skłamał. Obydwaj wiedzieli dobrze - to ich wspólna przeszłość sprawiła, że tak utalentowany historyk jak Fabel został detektywem w wydziale zabójstw.

Dorn zmienił temat.

- Chciałem z tobą pomówić o tym morderstwie, nad którym pracujesz - powiedział.

- Morderstwach - poprawił go Fabel. - Nastąpiło kolejne. Ta sama metoda zabójstwa jak w przypadku Kastner.

- Mój Boże, to okropne. Potwierdzają się moje przypuszczenia. Dlatego właśnie chciałem się z tobą spotkać.

- Proszę mówić, profesorze.

Dorn wziął z biurka najnowszy numer „Hamburger Morgenpost”, otwarty na artykule o zabójstwie Kastner.

- Podobnie jak ty - ciągnął Dorn - zostałem, cóż, zmuszony do zainteresowania się umysłem psychotycznym - Przykro mi to mówić, ale pomimo immanentnej destrukcyjności takiego umysłu można w nim też czasem dostrzec wynaturzoną formę twórczości. - Dźgnął palcem artykuł w gazecie. - Myślę, Janie, że masz tu do czynienia z kimś bardzo twórczym i bardzo destrukcyjnym. Psychoza tego faceta jest z pewnością świetnie... cóż, najlepszym określeniem jest chyba „poinformowana”.

- Co pan ma na myśli?

Dorn odłożył gazetę na biurko. Uniósł dłoń w geście sugerującym, że Fabel powinien zdobyć się na cierpliwość i poczekać, aż profesor wyłoży swoją teorię. Nadkomisarz dobrze znał ten gest z czasów, gdy był pilnym studentem.

- Kim my jesteśmy? - spytał Dorn. - Czym jesteśmy? My, Niemcy.

- Nie rozumiem... - Fabel zmarszczył brwi.

- Czym jest pojęcie niemieckiej tożsamości?

- Nie wiem. - Fabel wzruszył ramionami. - Zresztą nic mnie to nie obchodzi. To pytanie kosztowało Niemcy i cały świat więcej udręki i zniszczenia niż jakiegokolwiek inne.

- Otóż to - zgodził się Dorn. - Pojęcie niemieckiej tożsamości jest mitem. Mitem, który nasz mały austriacki malarz

pokojowy przekształcił w fałszywą historię, a Niemcy w nią uwierzyły. Jedną z najważniejszych lekcji, jakie przyswoilem sobie jako historyk, jest to, że istnieje tylko terażniejszość. Tylko ona ma niezmienną, wyrazistą postać; przeszłość jest tym, co z niej uczynimy. To terażniejszość kształtuje historię, nie odwrotnie. Przez ostatnie dwa stulecia od nową tworzyliśmy naszą przeszłość: Przekształcaliśmy naszą tożsamość, chociaż nigdy jej nie mieliśmy. Bo tak naprawdę rasa niemiecka nie istnieje! Jesteśmy skandynawsko-słowiańsko-celtycko-italsko-alpejską mieszanką... takim miszmaszem zjednoczonym przez język i kulturę, ale nie przez pochodzenie etniczne.

- Do czego pan zmierza? Dorn się uśmiechnął.

- Czy wierzysz, że bóg Tuisto narodził się na ziemi germańskiej? - spytał z uśmiechem Dorn. - I że poprzez swoich trzech synów dał początek trzem rdzennym germańskim plemionom?

- Oczywiście nie. To czysty mit.

- A wierzysz w boga Wotana? Albo w nordycki panteon, na którego czele stoi odpowiednik Wotana, Odyn?

- Nie - zaśmiał się Fabel. - To wszystko jest tylko mitologią. Nie pojmuję, jaki to wszystko ma związek z...

Dorn ponownie powstrzymał rozmówcę gestem dłoni.

- Oczywiście, to są mity. Nieprawdy. Ale, jak już wspomniałeś, wiara w mity może być potężna i destrukcyjna. - Dorn zręcznie chwycił gazetę i cisnął ją Fabelowi. - A on w to wierzy.

- Co takiego? - To zdumienie było nieklamane. - Kto?

- Twój zabójca. Ilekroć zabija w ten sposób, czyni aluzję... - Dorn spojrział w sufit, ale myślami błądził gdzieś daleko. - Przeskoczył tysiąc lat... sięgnął w mrok przeszłości, skąd wydobyl fragment, który określa jego terażniejszość. To byłoby nadzwyczajne, gdyby nie było tak zwyrodniałe. - Dorn ocknął się z zamyślenia i popatrzył na swego byłego studenta.

- Chce pan powiedzieć, że te zabójstwa spaja jakies mitologiczne czy historyczne ogniwo? - spytał nadkomisarz.

- Krwawy Orzeł. - Dorn wytrzymał spojrzenie Fabela.

- Co takiego?

- Krwawy Orzeł. Motywy twojego zabójcy nie są natury seksualnej, ale religijnej. On składa ofiary.

- Ofiary? Krwawy Orzeł? Przepraszam, panie profesorze, ale o czym pan, u diabła, mówi?

- Jak wiesz, tę część północnych Niemiec zamieszkiwali Skandynawowie. Wioskę Hamm założyli Saksonowie. Później zdobyli ją Frankowie i połabszczanie Obodrzyci i przemianowali na Hammaburg. Następnie przyszli duńscy wikingowie. Spójrz na Altonę, w samym centrum współczesnego Hamburga - aż do ósmego wieku to było duńskie miasto. Płynie w nas krew wikingów... między innymi, rzecz jasna. Bogami, którym oddawano tutaj cześć, byli Freja, Baldur, Thor, Loki... Odyn. Tym nordyckim bogom daleko było do doskonałości. Byli gwałtowni, drażliwi, zawistni, chciwi... gniewni. Mądry Odyn, ojciec bogów, czyli nordycki Zeus, też nie był inny. To jego łaski najbardziej pragnęli nasi przodkowie. - Dorn przerwał i wziął z biurka dwie książki. - Jak wszyscy bogowie, Odyn żądał ofiar. Jednak im większy bóg, tym większa ofiara. Na przykład Adam z Bremy pisał w swojej kronice o, rzecz by można, „festiwalu” w Ubsoli czy Uppsali, jak nazywa się dzisiaj to miasto. Festiwal odbywał się co dziewięć lat i trwał dziewięć dni. Każdy - król, wódz i plebejusz - musiał złożyć dary. Jednego ze schrystianizowanych królów, Inge Starszego, zdeponizowano za niewzięcie udziału w obrzędach. Każdego z dziewięciu dni festiwalowych dziewięciu męskim przedstawicielom każdego gatunku - bydła, drobiu i ludzi - podrzynano gardła i wieszano głowami w dół w świętym gaju. Zdumiewające. Wszystko dlatego, że liczba dziewięć miała znaczenie w kulcie Odyna. Punktem wyjścia mych przypuszczeń jest fakt, że Odyn żądał ofiar z ludzi. A jedną z częstych form takiej ofiary by\`7d Krwawy Orzeł.

- Na czym to polegało? - Fabel poczuł przyływ adrenaliny.

- Była to forma ofiary, trafiającej wprost do siedziby Odyna. Człowiek dostawał orle skrzydła.

- Jak to się odbywało? - spytał Fabel, choć już znał odpowiedź.

Dorn popatrzył mu prosto w oczy.

- Brało się więźnia. Na przykład branke, przywiezioną z jednego z najazdów wikingów. Rozbierało się ją i wiązało z szeroko rozpostartymi kończynami. Następnie kapłan Odyna rozcinał jej klatkę piersiową specjalnym, ofiarnym mieczem...

Nadkomisarz czuł gwałtowne łomotanie serca.

- Ci kapłani byli precyzyjni jak chirurdzy. Ciosy tego szerokiego, krótkiego miecza rozplątywały ofiarę, nie naruszając najważniejszych organów wewnętrznych i nie zabijając jej. Następnie wyrwali płuca i układali je ofierze na ramionach. Skrzydła Krwawego Orła, rozumiesz? Skrzydła, na których mogli polecieć do Odyna.

Fabel siedział wpatrzony w Dorna. Czuł się tak, jakby znalazł się w samym centrum bezgłośnej eksplozji.

- Czy to jest udokumentowany fakt historyczny?

- Owszem, udokumentowany. Owszem, historyczny. Jednak to, na ile udokumentowana historia jest faktem, zależy od kronikarza. Żadnych najeźdźców nie obawiano się bardziej od wikingów. W kronikach z tamtego okresu przedstawiano ich jako demony. - Dorn przewertował jedną z ksiązek. - O, tu. Ofiary mogły być obojga płci. Tutaj na przykład jest mowa o angielskim księciu, którego wikingowie pojмали dla okupu. Okupu nie zapłacono, więc ksiąkę został poświęcony Odynowi w obrzędku Krwawego Orła. Istnieją też inne udokumentowane przypadki. - Dorn zatrzymał się na innej stronie. - Tu mamy relację o pewnym biskupie na jednej ze szkockich wysp-

- A nasz morderca naśladowuje te ofiary? - W głosie Fabla wciąż brzmiało niedowierzenie.

- Otóż to. O pewnych szczegółach czytałem w gazetach. Widziałem, że jak najwięcej informacji próbowaliście zataić, ale z notatki o wypatroszeniu zwłok domyśliłem się reszty.

- Nie mogę w to uwierzyć. To chore.

- Dla nas tak - zgodził się Dorn. - Ale dla zabójcy są to czyny szlachetne. Krucjata. Wierzy, że służy starodawnym bogom. Ma po swej stronie najwyższy autorytet moralny. Jest prozelitą, misjonarzem nawracającym Niemcy na prawdziwą wiarę. -

Dorn odłożył książkę. - Masz do czynienia z najmroczniejszymi siłami, Janie. Ten zabójca jest prawdziwie wierzący. A to, w co wierzy, ma wymiar prawdziwie apokaliptyczny, w stopniu niepojętym dla chrześcijańskiego umysłu. Wikingowie również mieli swój dzień Sądu Ostatecznego. Nosił nazwę Ragnarók. Jednak w porównaniu z Ragnarókiem biblijna Apokalipsa blednie. Będzie to czas, kiedy Odyn i Asowie połączą siły w walce z Lokim i Wanami. Czas ognia, krwi i lodu, kiedy ziemia, niebiosa i wszystkie żywe istoty zostaną unicestwione. Nasz „Krwawy Orzeł” wierzy w to wszystko. Ma dopilnować, aby niebiosa runęły, a oceany wypełniły się krwią.

Fabel siedział, z gazetą luźno tkwiącą w dłoniach, wpatrując się w nagłówek niewidzącym wzrokiem. Czuł gonitwę myśli.

- Skąd może pan mieć co do niego taką pewność? Mamy psychologa kryminalnego, który ocenia...

- Masz rację, nie jestem psychologiem. - W głosie Dorna zabrzmiało coś bardzo podobnego do irytacji. - Jednak przeważającą część ostatnich dwudziestu lat poświęciłem na próbę zrozumienia, jak funkcjonują takie właśnie obłąkane umysły. Próbowałem pojąć, co każe człowiekowi stać się łowcą, oprawcą i zabójcą innych ludzi... - Dorn urwał. W jego oczach krył się nieklamany ból.

Nadkomisarz nadal siedział oszołomiony. Kiedy w końcu się odezwał, mówił bardziej do siebie, niż do Dorna.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć. On gdzieś tam jest, odgrywa jakąś obsceniczną fantazję, wierzy, że ma misję do spełnienia. Oczywiście, jeśli się pan nie myli.

- To, co ci mówię, jest częścią zapisów historycznych. Nie ma znaczenia, czy wydarzyło się dokładnie tak, jak zapisano, czy też kronikarze wyolbrzymiali fakty w celu demonizowania wikingów. Ale wydarzyło się. A twój zabójca w to wierzy.

- A jeżeli to jest misja - podsumował Fabel - on nie przestanie zabijać, dopóki go nie powstrzymamy.

Z jakiegoś powodu Fabel nie chciał dzwonić z parkingu dla odwiedzających przed więzieniem Vierlande. Pojechał na służę

Neuengammer Hausdeich, zatrzymał samochód i wspiał się na strome zbocze. Rozciągał się stąd widok na obóz koncentracyjny Neuengamme z jego symetrycznie rozstawionymi budynkami i blokami. Więziono tam głównie kobiety. Więźniów z Neuengamme i przyległych obozów używano jako niewolniczej siły roboczej przy budowie tymczasowych domów mieszkalnych dla hamburczyków, którzy stracili dach nad głową w wyniku bombardowań. Dziesięcioletni Fabel, przywieziony tutaj przez ojca, poznał nowy zwrot, *Vernichtung durch Arbeit*: wyniszczenie przez pracę. Więźniów zaharowywano na śmierć.

Usiadł na trawie i patrzył, jak późne słońce igra cieniami chmur na równinie, na terenie obozu. Dostrzegwał kontury pomnika, przed którym, jak wiedział, spoczywała rzeźba *Umierającego więźnia*, wychudzonej, skrzyśonej agonalnie postaci leżącej na bruku.

Patrzył w dół, na miejsce, gdzie mordowano kobiety w imię jakiejś chorej koncepcji niemieckiej tożsamości i myślał o tym, co powiedział mu Dorn: o czającym się gdzieś tam osobniku ze zбочonym pojęciem historii, etnologii i wiary, którym usprawiedliwia zaspokajanie swoich najniższych popędów oraz psychotyczną żądzę krwi.

Fabel musiał zebrać myśli przed telefonem do biura. Spróbował połączyć się z Mahmutem, ale znowu usłyszał tylko pocztę głosową. Z cichym przekleństwem zatrzasnął telefon komórkowy. Wcale mu się to nie podobało. Miał nadzieję, że Mahmut miał dość rozsądku, by wycofać się z całej sprawy, kiedy dowiedział się o zamachu na Ulugbeja. Siedział tak jeszcze przez kilka minut, z rękami oplecionymi wokół kolan, patrząc na taniec słońca i cieni; wreszcie zatelefonował do Wernera i przedstawił mu teorię Dorna.

- Wracam za godzinę. Spotkamy się w sali narad. Lepiej ściągnij Paula i Annę. Dowiedzieli się czegoś o Klugmannie?

- Nie.

- Tak też sądziłem. Skontaktuj się z van Heidenem i dowiedz się, czy ma czas na konferencję. Będzie wprost zachwycony.

Część druga

Od piątku 13 czerwca do wtorku 17 czerwca

**Piątek, 13 czerwca, 1.50.
St Pauli, Hamburg**

Basowy łomot gitary rozrzedzał mózg. Stroboskopowe rozbłyski wydobywały z mroku czterysta spoconych ciał, wijących się w takt muzyki jak jeden organizm. Lgnęła do niego, dryfując przez falowanie tego ludzkiego kłębowiska. Jego język penetrował jej usta, jego dłonie wędrowały po jej ciele. Wreszcie cofnęła głowę, zbliżyła wargi do ucha mężczyzny i coś krzyknęła, ale słowa utonęły w ogłuszającej muzyce. Uśmiechnął się, przytaknął energicznie i ruchem głowy wskazał wyjście. Nie puszczając jej dłoni i nie przestając się uśmiechać, odwrócił się od niej i pociągnął przez tłum w stronę drzwi. Boże, ależ on był przystojny. I seksowny. Przeupocona koszulka podkreślała zarys mięśni. Wysoki, szczupły, miał ciemne, gładko przyczesane włosy i oczy o niewiarygodnym odcieniu zieleni. Bardzo go pragnęła.

Wyjście na świeże powietrze przypominało skok do basenu. Bramkarze nawet nie spojrzeli w stronę splecionej w uścisku pary. Z wyjątkiem przytłumionego dudnienia dobiegającego z wnętrza na ulicy panowała cisza. Na moment zatrzymała się, nagle czujna pod wpływem chłodnego powietrza i ustępującego działania ecstasy. W końcu nie wiedziała nawet, jak on się nazywa. Podszedł bliżej, wyczuwając opór jej ciała. Odślonił w uśmiechu nieskazitelne zęby, które błysnęły jak porcelana w świetle latarni.

- Hej, mata, co jest? - Po raz pierwszy wyraźnie usłyszała jego głos z lekkim obcym akcentem.

- Chce mi się pić. Wcześniej wzięłam ecstasy. Nie chcę się odwodnić.

- Chodźmy gdzieś ochłonać. W wozie mam wodę mineralną. Tuż za rogiem, chodź. - Ujął ją mocno pod ramię.

Jego samochodem okazał się nowy srebrzysty porsche. Oparli się o niego, znowu do siebie przywierając. Dziewczyna odsunęła się.

- Naprawdę chce mi się pić... może lepiej wróćmy... Wyłączył alarm pilotem i wyjął z wnętrza dwie półlitrowe butelki wody evian. Odkręcił jedną, wręczył jej, a sam napił się z drugiej. Przyjęła butelkę i pociągnęła chciwie.

- Ta woda jest słona - stwierdziła.

Przesunął językiem po jej szyi, od ramiączka bluzki po płatek ucha.

- Ty też.

Nagle poczuła zawrót głowy i osunęła się na samochód. Podskoczył i podtrzymał ją, chwytając pod pachy.

- Ostrożnie... - powiedział troskliwie. - Lepiej usiądź. - Skierował ją ku otwartym drzwiczkom auta. Rozejrzała się po pustej ulicy, potem spojrzała mu w oczy. Zmieniły się: nadal zdumiewająco zielone, lśniły teraz zimno i metalicznie.

Ale ona się nie bała.

Piątek, 13 czerwca, 11.50.
Alsterarkaden, Hamburg

Fabel opuścił Komendę Główną zaraz po konferencji. Oceniali postępy w dochodzeniu z ostatniego tygodnia: zerowe. Klugmann nadal pozostawał na wolności, a jako były policjant będzie wiedział, jak się kryć; tropy z miejsca ostatniego zabójstwa zwietrzały, a oni wciąż nie znali nazwiska ofiary; nawet zielonooki Słowianin Fabla najwyraźniej odszedł spacerkiem z miejsca zbrodni i rozplynął się w mroku nocy. Jeśli pominąć fakt, że Dorn określił nazwę i pochodzenie barbarzyńskiego rytuału zabójcy, nie zbliżyli się do schwytania go nawet o milimetr. Nadkomisarza martwił też brak kontaktu z Mahmutem. Porozumiewanie się z nim zawsze było trudne, ale musiał wiedzieć, że nie odpowiadając na telefony, wzbudzi niepokój Fabla.

Fabel nie był jedynym zbitym z tropu gliniarzem w Hamburgu. Praktycznie wszyscy stróże prawa w mieście byli wytrąceni z równowagi faktem, że wojna gangów nie wybuchła. Nie było żadnego odwetu za zabójstwo Ulugbeja. Nie zanotowano żadnych starć między gangami, co już samo w sobie było dziwne. W Komendzie Głównej nadal było tłoczno od ludzi z BND i LKA7, ale kipiąca adrenaliną atmosfera przeszła w stan sfrustrowanej gotowości.

Cała ta sprawa zaczęła odciskać mroczne piętno na codziennym życiu Fabla. Nie działało się tak po raz pierwszy, a on wiedział, że również nie ostatni. Było to jak wycinanie drogi w gęstej dżungli, karczowanie przejścia w poszyciu po to tylko, by stwierdzić, iż napierająca roślinność zamyka się tuż za nim, odcinając powrotną drogę ku otwartej przestrzeni, ku własnemu życiu, do świata zamieszkanego przez ludzi, których kochał. Pozostawało brnąć dalej, wycinać ścieżkę ku światłu.

Zadzwoił do swej córki, Gabi. Wcześniej planowała spędzić z

nim cały weekend, ale wyjaśnił, że przynajmniej przez jego część będzie musiał pracować. Z ogromnym żalem rezygnował z czasu spędzanego z Gabi, ale ona, jak zwykle, zrozumiała. Gorzej przyjęła to jego była żona, Renatę. W jej głosie w słuchawce dało się słyszeć zjadliwą rezygnację.

Zamiast wziąć samochód, Fabel pojechał do Arkad nad Alsterem taksówką. Świeciło słońce, a brak wiatru - nietypowy dla Hamburga - sprawiał, że na dworze było przyjemnie ciepło. Pod Arkadami jak zwykle tłoczyli się kupujący, a Fabel przeciskał się przez tłum z niespiesznym zdecydowaniem. Jego celem była Jensen Buchhandlung, księgarnia prowadzona przez Otto Jensena, przyjaciela ze studiów.

Nadkomisarz uwielbiał tę księgarnię. Otto zainwestował w stylowy wystrój minimalistyczny - czyste, proste półki na książki i stoły z bukowego drewna oraz jasne oświetlenie - najpewniej pod naciskiem swojej znacznie bardziej zorganizowanej i wyculonej na styl żony Else; Sam Otto był chodzącym chaosem: mającym metr dziewięćdziesiąt wzrostu tykowatym zlepkiem nieskoordynowanych kończyn, które stale coś strącały albo przewracały zbyt wielkie naręcza książek lub papierów. Tomy piętrzyły się na każdej wolnej powierzchni, serty pism zalegały na podłodze i ladzie. Jednak rozpiętość tytułów zapierała dech, a dzięki chaosowi każde odwiedzin w księgarni nosiły znamiona eksploracji. W jakiś szczególny sposób nieporządek ten był nieskażonym językiem bibliofila. Tym językiem posługiwał się Fabel.

Kiedy wszedł, Otto siedział za ladą. Z książką na kolanach, z łokciami na udach i głową wspartą na dłoniach. Ta pozycja kojarzyła się Fabelowi z Ottonem od czasów uniwersyteckich: odnosiło się wrażenie, że ze swych tykowatych kończyn tworzy klatkę, odgradza się kokonem od świata zewnętrznego i tonie bez reszty we wszechświecie, istniejącym między okładkami czytanej właśnie książki.

Fabel podszedł do lady i oparł łokcie na stercie woluminów. Dopiero po kilku sekundach Otto zdał sobie sprawę z czyjejś obecności.

- Przepraszam... w czym mogę... - Pytanie przeszło w szeroki

uśmiech. - Proszę, proszę... czy to nie pan władza we własnej osobie?

- Cześć Otto, stary draniu - uśmiechnął się Fabel.

- Witaj, Janie. Jak się masz?

- Nie najgorzej. A ty?

- Dno. Mam sklep pełen ludzi, którzy szperają tak długo, aż znajdą coś, co im się spodoba, po czym idą do domu i kupują to z drugiej ręki przez Internet. Płacimy astronomiczny czynsz. Jak mówi Else, cena modnej lokalizacji.

- Jak się miewa Else? Jeszcze nie pojęła, że jest o wiele za dobra dla ciebie?

- Ach, bez przerwy mi o tym przypomina. Najwyraźniej powinienem być dozgonnie wdzięczny za to, że się nade mną ulitowała. - Na twarzy Ottona wykwitł typowy dla niego głupawy uśmieszek.

- Ma dziewczyna rację. Załatwiłeś moje zamówienie?

- O, tak. - Otto dał nura pod ladę, gdzie szperał przez pewien czas. Rozległ się łomot spadających na podłogę książek. - Jedną chwilę... - rozległ się spod blatu zduszony głos. Ten sam stary Otto, pomyślał Fabel z uśmiechem.

Otto wyłonił się nagle spod lady i łupnął stertą książek o ladę.

- Gotowe! - Oderwał żółty kwitek od elastycznej opaski opinającej książki. - Sami angielscy autorzy... Same angielskie oryginały. - Zerknął na Fabla. - Trochę lekkiej lektury, co? Jak mogłem zapomnieć, że z ciebie taki anglofil... przecież twoja matka była Angielką, prawda?

- Szkotką - poprawił go przyjaciół.

- No to teraz jasne! - Otto plasnął się w czoło dramatycznym gestem.

- Co takiego?

- Dlaczego nigdy nie płacisz za lunch!

- To nie dlatego, że jestem w połowie Szkotem, ale dlatego, że jestem w połowie Fryzycykiem - zaśmiał się Fabel. - Zresztą teraz jest twoja kolej, aby płacić. Ja płaciłem ostatnim razem.

- Taki świetny umysł, a taka fatalna pamięć... - zadumał się Otto. - A przy okazji, mam dla ciebie prezent. - Znowu szperanie pod ladą, po którym dorzucił do sterty jakąś

publikację. - Zamówił to ktoś z uniwersytetu, ale nigdy nie zgłosił się po odbiór. Oto słownik nazwisk brytyjskich. Zastanawiałem się, jaki nudziarz mógłby mnie od niego uwolnić... i pomyślałem o tobie.

- Dziękuję... chyba? Ile jestem ci winien?

- Mówiłem przecież, że to prezent. Miłej lektury! Fabel ponownie podziękował.

- Otto, czy masz coś na temat religii staronordyckiej?

- Pewnie. Możesz wierzyć lub nie, ale na takie książki jest spore zapotrzebowanie.

- Serio? - spytał Fabel z niedowierzaniem. - Uhu. Zwłaszcza wśród odynistów.

- Odynistów? Chcesz powiedzieć, że ludzie nadal praktykują tę religię? - Po skórze nadkomisarza przebiegł lekki dreszcz.

- Nazywają tę religię Asatru albo po prostu odynizmem. Nieszkodliwe typy, jak sądzę. Chociaż smutasy.

- Nie miałem pojęcia - przyznał Fabel. - I mówisz, że wielu takich tu przychodzi?

- Raczej paru, i to dziwnych. Chociaż raz czy dwa wpadł też facet, który nie wyglądał na świra ani na hipisa.

Fabel znów poczuł znajomy dreszcz.

- Kiedy tu był po raz ostatni?

- Czy jestem przesłuchiwany przez policję? - zaśmiał się Otto.

- Proszę cię, stary, to może być ważne. Księgarz dostrzegł napięcie na twarzy przyjaciela.

- Chyba mniej więcej miesiąc temu. Może był tu i później, ale ja go nie obsługiwałem.

- Co kupił?

Otto zmarszczył w skupieniu szerokie czoło. Fabel wiedział, że mimo zewnętrznych pozorów rozkojarzenia, umysł Ottona był superkomputerem, gdy chodziło o tytuły książek, nazwiska autorów i wydawców. Zmarszczki wygładziły się; dane zostały przetworzone.

- Pokażę ci. Mamy na składzie jeszcze jeden egzemplarz.

Fabel ruszył za Ottonem do półek poświęconych New Age i okultyzmowi. Księgarz wyjął z półki opasy tom i wręczył nadkomisarzowi. Tytuł książki brzmiał *Mowa runów: obrzędy*

i rytuały wikingów. Najwyraźniej nie była to publikacja akademicka, raczej adresowana do szerszego grona czytelników. Fabel przeleciał wzrokiem indeks na końcu książki, gdzie natrafił na hasło Krwawy Orze. W tekście poświęcono temu rytuałowi półtorej strony.

- Otto, muszę znać nazwisko tego klienta. Albo przynajmniej mieć jego opis.

- To proste. Chyba nie mam adresu ani nic takiego, bo nigdy niczego u nas nie zamawiał. Mogę sprawdzić, czyj został na przykład kwit po transakcji kartą kredytową. Ale, jak już mówiłem, nazwisko zapamiętałem bez trudu. Mówił doskonale po niemiecku z lekkim akcentem, a nazwisko miał amerykańskie albo brytyjskie: John MacSwain.

Piątek, 13 czerwca, 15.45. Rotherbaum, Hamburg

Wykazał przynajmniej tyle uprzejmości, by powiadomić Lepperta z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną o swoich zamiarach. Widział, że Leppert nie jest z tego powodu szczęśliwy, ale że tamci raczej nie zasypywali go informacjami, więc nie miał skrupułów z wejściem na cudzy teren.

Fabel zdawał sobie sprawę, że patrzy na nieruchomość wartą trzy miliony euro. Trzypiętrowy dom Mehmeta Yilmaza w Rotherbaum znajdował się, jak na ironię, zaledwie dziesięć minut drogi piechotą od jego mieszkania. Elegancka fasada w stylu art nouveau wychodziła na zadrzewioną ulicę. Dom stał w szeregu pięciu budynków, wszystkich wielkich i solidnych, każdy w całkowicie odmiennym stylu: bauhaus sąsiadował tu z art deco i neogotykiem.

Fabel spodziewał się, że drzwi otworzy turecki osilek z sumiastymi włosami, tymczasem, ku jego zaskoczeniu, atrakcyjna młoda pokojówka o krótkich, złocistych włosach uprzejmie spytała, kto przyszedł i do kogo, po czym wprowadziła Fabla po wypolerowanej posadzce holu do dużej, okrągłej recepcji. Znajdowali się w samym centrum budynku; biegnące przez całą wysokość domu pomieszczenie nakrywała kopuła, której witrażowy świetlik rzucał na posadzkę barwne plamy. Gdzieś z głębi dobiegały stłumione dźwięki fortepianu i dziecięcy śmiech.

Na środku pomieszczenia, na dużym okrągłym stole z orzecha włoskiego leżały książki w skórzanych oprawkach. Fabel właśnie podniósł jedną z nich, drugie wydanie *Cierpień młodego Wertera Goethego*, kiedy wszedł wysoki, szczupły, gładko ogolony mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Ciemne włosy siwiały na skroniach.

- Rozmawialiśmy przez telefon, panie nadkomisarzu. Chciał

pan ze mną rozmawiać? - spytał Mehmet Yilmaz bez cienia tureckiego akcentu.

Fabel zdał sobie sprawę, że nadal trzyma tom Goethego.

- Och, przepraszam... - Odłożył książkę na stół. - Jest w świetnym stanie. Czy pan kolekcjonuje?

- Owszem - odparł Yilmaz. - Niemieckich romantyków, okres Burzy i Naporu, tego rodzaju rzeczy. Kiedy tylko mogę, kiedy tylko mnie stać, poluję na pierwsze wydania.

Fabel ukrył uśmiech. W tej scenerii trudno było sobie wyobrazić, by Yilmaz mógł mieć trudności w kupieniu czegokolwiek. Turek podszedł do stołu i wziął do ręki inny, mniejszy tom, w eleganckiej oprawie koloru burgunda.

- Theodor Storm, *Jeździec na siwym koniu*, pierwsze wydanie i mój najnowszy nabytek. - Wręczył książkę gościowi. Skóra była miękka i niemal ciepła w dotyku. Fabel miał wrażenie, że wiek książki jest namacalny, a on muska opuszkami wszystkie inne palce, które dotykały książki w ciągu minionego stulecia.

- Przepiękna - powiedział szczerze nadkomisarz, oddając tom. - Przepraszam, że nachodzę pana w domu, panie Yilmaz, jednocześnie dziękuję za zgodę na tak szybkie spotkanie. Uznałem, że taka rozmowa będzie nieco mniej formalna... Chciałbym zadać panu kilka pytań w związku ze sprawą, nad którą pracuję.

- Tak, wspominał pan przez telefon. Czy jest pan pewien, że nie powinniśmy tego zrobić w sposób bardziej formalny? Zwłaszcza w obecności mojego adwokata?

- Decyzja należy do pana, panie Yilmaz. Chciałbym jednak, aby było jasne, że nie rozmawiam z panem jako z podejrzanym, a tylko jako z człowiekiem, który może nam dostarczyć pomocnych informacji. Przy okazji, proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci pańskiego kuzyna.

Yilmaz podszedł do stolika kawowego i dwóch skórzanych foteli pod ścianą.

- Proszę usiąść, panie Fabel. - Jasnowłosa pokojówka weszła z dzbankiem kawy, nalała do dwóch filiżanek i wyszła. - Dziękuję za współczucie. Hamburgska policja rzadko zwraca się

do mnie tak... uprzejmie. To smutna sprawa, ale Ersin był zawsze taki... nazwijmy to, impetyczny. No cóż, proszę pytać, a ja zrobię co w mojej mocy, aby panu pomóc. Przez telefon wspomniał pan, że chce rozmawiać o Hansie Klugmannie? Mówiłem już o nim z pańskimi kolegami, panami Buchholzem i Leppertem. Powiedziałem im, że nie mam pojęcia, gdzie może przebywać.

Fabel zrozumiał teraz irytację Lepperta w związku z tą wizytą u Yilmaza. Co oni robili: szukali Klugmanna?

- Tak, jednak to nie nad tą sprawą pracuję. Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa młodej prostytutki, która odnajmowała mieszkanie od Klugmanna. Znamy ją tylko jako Monique.

Yilmaz popijał kawę, nie spuszczać wzroku z nadkomisarza. Na imię nie zareagował. Nawet nie mrugnął okiem. Nic.

- Czy Monique pracowała dla pana? - pytał Fabel. - Choćby pośrednio, przez Klugmanna?

- Nie, panie nadkomisarzu, nie pracowała.

- Proszę posłuchać, panie Yilmaz, nie interesują mnie pańskie interesy ani inna działalność. Próbuję tylko schwytać seryjnego zabójcę, zanim uderzy znowu. Wszystko, co pan mi tu powie, pozostanie poufne.

- Doceniam to, lecz podtrzymuję swoje poprzednie słowa: ta dziewczyna nie pracowała dla mnie ani bezpośrednio, ani pośrednio. Cokolwiek by się mówiło o mojej działalności, nie zajmuję się tanimi ulicznymi...

- Czy Monique mogła pracować prywatnie dla Klugmanna?

- Niewykluczone. Naprawdę nie wiem. Klugmann nie jest moim człowiekiem, nawet jeśli pana koledzy z przestępczości zorganizowanej twierdzą inaczej.

- Musi pan jednak przyznać, że ktoś o takiej przeszłości byłby niezmiernie przydatny dla pańskiej organizacji.

- Panie nadkomisarzu, dotychczas byliśmy wobec siebie szczerzy. W tym samym duchu szczerości powiem panu oczywiście, jak pan sam stwierdził, nieoficjalnie, że Klugmann działa na obrzeżach. Ma pan rację, jego dawne zatrudnienie czyni go bardzo użytecznym, ale nikt po naszej stronie nigdy

nie darzył go pełnym zaufaniem. Były gliniarz zawsze budzi wątpliwości. - Yilmaz upił łyk kawy. - Mój kuzyn Ersin korzystał z Klugmanna jako z wolnego strzelca, ale nic poza tym.

- W jaki więc sposób zarabia na życie?

- Moja organizacja nie jest jedyna w mieście. Zresztą Klugmann pracował regularnie jako pomocnik w jednym z naszych klubów, Paradies-Tanzbar. Wszystko zgodnie z prawem. - Yilmaz uśmiechnął się półgębkiem i znowu napił się kawy. - No, prawie.

- Według naszej wiedzy, w mieszkaniu tej dziewczyny była ukryta kamera wideo. Zniknęła, podobnie jak kasety. Mówił pan, że nie zajmuje się tanimi ulicznymi. Ale ja nie umieściłbym ofiary w tej kategorii. To była luksusowa prostytutka. A co z szantażem? Czy tym pan się zajmuje?

Yilmaz nieco zeszywniał na skórzanym fotelu.

- Ta rozmowa zaczyna być nieco nużąca, panie Fabel. Mówiłem już panu, że nie wiedziałem o istnieniu tej dziewczyny, nie mówiąc o jej układach z Klugmannem. - przerwał i trochę się rozluźnił. - Proszę pozwolić, że coś panu wyjaśnię. Spędziłem w tym kraju ponad połowę życia. Kiedy tu przyjechałem, przekonałem się bardzo szybko, że przed tureckimi gasterbeiterami tylko niektóre drzwi stoją otworem. Przede mną stały otworem drzwi mojego kuzyna. Przez dwadzieścia lat pracowałem w jego organizacji lub pośrednio dla niej. Przez ostatnie dziesięć lat konsekwentnie legalizowałem sektory znajdujące się pod moją kontrolą. Teraz, po śmierci Ersina, sprawuję kontrolę nad całą organizacją.

- Ale bądźmy szczerzy, nadal kontroluje pan pokąsną część hamburskiego rynku narkotykowego...

- Mam nadzieję, że nie oczekuje pan ode mnie odpowiedzi. - Yilmaz uśmiechnął się zimno. - Wiem, że Buchholz widzi we mnie tureckiego Ala Capone, przyznaję się też do łamania w przeszłości i obecnie prawa, jednak jestem przestępcą bardziej z przypadku niż z rozmysłu. Może pan wierzyć lub nie, ale jestem bardzo moralnym człowiekiem, jednak dla mnie prawo bywa czymś zupełnie odmiennym od słuszności czy

sprawiedliwości. Być może nadkomisarza Buchholza najbardziej drażni fakt, że ja, Turek i w jego przekonaniu bandyta, mogę dokonać jednym ruchem tego, co on próbuje osiągnąć od lat: zlikwidować przestępczą organizację Ulugbeja. Przyznaję, Ersin nie gardził szantażem, zwłaszcza kiedy mógł wyciągnąć od ofiary pieniądze i uzyskać na nią wpływ. Ale ja nie.

Yilmaz nagle wstał i podszedł do ozdobnego marmurowego kominka. Wziął fotografię w srebrnej ramce i podał Fablowi. Przedstawiała uśmiechniętego chłopca w wieku może czternastu lat. Chłopcę miękkość rysów już ulatniała się z twarzy, ujawniając ten sam silny zarys szczęki, co u Yilmaza.

- Pański syn?

- Tak. Johann. Niemieckie imię na niemiecką przyszłość. Po turecku mówi niewiele, i to z niemieckim akcentem. Jego tożsamość musi być związana z tym krajem, panie Fabel. Dopilnuję, aby obejmując interes rodzinny, mój syn objął czysty interes. Legalny interes. Niemiecki interes.

Fabel oddał zdjęcie.

- Wierzę, panie Yilmaz. Jednak, póki co, sprzedaje pan prochy dzieciom i prowadzi pan wojny uliczne z Ukraińcami.

Twarz Yilmaza stężała.

- Nie ma żadnej wojny z Ukraińcami. To wszystko należy do przeszłości.

- Można podejrzewać, że jeśli idzie o zabójstwo pańskiego kuzyna, to oni są pierwszymi podejrzanymi.

Twarz Yilmaza rozjaśniło coś na kształt uśmiechu, lecz nie odrywał ciemnych oczu od rozmówcy.

- Panie nadkomisarzu, czy mogę panu powiedzieć, co o panu myślę?

Fabel, lekko zaskoczony, wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo.

- Jest pan policjantem; wierzę, że uczciwym i prostolinijnym. Najwyraźniej jest pan inteligentnym człowiekiem, ale swoją funkcję postrzega pan w sposób uproszczony - Właściwie nie nazwałby pan tego funkcją, lecz służbą. Pańska praca polega na ochranianiu niewinnych i chwytaniu tych, którzy chcą im

wyrządzić krzywdę. Ludzi takich jak ja, psychopatów bądź innych, którzy przekraczają proste granice dobra i zła. Dla pana prawo jest wszystkim. Jest pańską tarczą, którą ochrania pan innych.

- Czy to błąd?

- Rzekłbym raczej - uproszczenie. Jest to moralny daltonizm. Dla pana siły prawa są siłami dobra, podczas gdy ludzie mojego pokroju są źli. Jednak niektórzy z pańskich kolegów zdają sobie sprawę z istnienia odcieni pośrednich. Bo istnieją odcienie pośrednie.

- Chce pan powiedzieć, że w śmierć Ulugbeja byli zamieszani policjanci?

- Cóż, panie nadkomisarzu, dzieje się wiele spraw, o których pan nie ma zielonego pojęcia. Z całym szacunkiem, uważam, że powinien pan trzymać się od tych spraw z daleka. - Yilmaz wstał. - Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc w pańskim dochodzeniu.

Fabel odstawił filiżankę na stylowy blat.

- Panie Yilmaz, gdzieś tam jest potwór, który wydziera płuca z kobiecych ciał. Potrzebna mi jest każda pomoc w powstrzymaniu go. Jeśli może mi pan coś powiedzieć...

- Okłamywanie policji to umiejętność, którą doskonaliłem przez lata. Tym razem jednak zapewniam, że mówię prawdę. Nic nie wiem o tej dziewczynie ani o jej układzie z Klugmannem. - Yilmaz zamilkł, jakby coś rozważał. - Coś panu powiem: każę moim ludziom przyjrzeć się tej sprawie. Może dotrą do informatorów, którzy nie chcą rozmawiać z policją. Poza tym my możemy stosować... powiedzmy, bardziej bezpośrednie metody. Obiecuję, że jeśli się czegoś dowiemy, dam panu znać.

Yilmaz osobiście odprowadził gościa do drzwi. Już w progu nadkomisarz odwrócił się do Turka.

- Nie rozumiem jednego, skoro tak bardzo panu zależy na zalegalizowaniu pańskich interesów, czemu nie zaprzestanie pan nielegalnej działalności zamiast ją wyciszać?

Yilmaz zaśmiał się.

- Proszę zapytać pierwszego lepszego konsultanta

biznesowego: dywersyfikacja zysków musi się opierać na mocnej podstawie biznesowej. Kiedy zyski z moich różnych operacji, zwłaszcza nieruchomości i inwestycji budowlanych, zrównają się z zyskami z działalności podstawowej, będę miał potrzebne zabezpieczenie do pełnego zrealizowania swoich interesów.

Wyszedł z Fablem na dwór, potem odwrócił się i popatrzył na budynek.

- Czy podoba się panu mój dom, panie nadkomisarzu?

- Owszem, jest imponujący.

- Zbudowano go w latach dwudziestych. Architekt, który go zaprojektował, jest też twórcą kilku innych domów w Rotherbaum. Był to niemiecki architekt cieszący się większą sławą niż inni, jego projekty architektoniczne należały do najbardziej udanych w Niemczech. Zamożny, cieszący się szacunkiem człowiek sukcesu. - Yilmaz zwrócił się do Fabla. - Ten człowiek był też Niemcem. Zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau. Jak już panu mówiłem, rozróżniam między tym, co legalne, a tym, co moralne, natomiast koncepcję niemieckości pojmuję w stopniu ograniczonym. Wiążę duże nadzieje z moim synem, ale wiem, że ja zawsze pozostanę obcym. Dlatego też element „alternatywny” w moich interesach jest stale obecny. Do widzenia, panie Fabel. Życzę udanych łowów.

Z samochodu Fabel zadzwonił do wydziału zabójstw. Wcześniej kazał Marii namierzyć Johna MacSwaina - znalezienie w Hamburgu tak charakterystycznego nazwiska nie powinno być trudne, a Maria miała szansę uporać się z tym szybciej niż Otto. Teraz Werner powiedział, że mają już adres Johna MacSwaina w Harvestehude, ale na razie nie dysponują niczym więcej.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną, dziwną wiadomość, szefie - powiedział Werner. - Dzwonił nadkomisarz Sulberg z Cuxhaven. Chce, żebyś natychmiast się z nim skontaktował. Ma parę przypadków rytualnego wielokrotnego gwałtu. Jego

zdaniem to może mieć związek z naszym seryjnym. A, i znowu próbowała dodzwonić się do ciebie ta dziennikarka, Angelika Blüm.

- Dobrze, niedługo będę. - Fabel zamknął telefon i wsunął do kieszeni. Włączając silnik, dostrzegł w bocznym lusterku ładną dziewczynę. Wsiadała do samochodu zaparkowanego dalej na tej samej ulicy. Miała gęste, krótkie jasne włosy i wprost emanowała sprężystą młodością. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie już wcześniej ją widział.

Ciepły głos w słuchawce brzmiał melodią nizinnej niemieckiej, wśród której dźwięków Fabel się wychował. Szybko jednak odkrył, że za miłym, prowincjonalnym akcentem kryje się ostry jak brzytwa intelekt.

- I sądzi pan, że może istnieć związek między tymi napaściami a morderstwami, nad którymi pracuję? Na jakiej podstawie, nadkomisarzu Sulberg?

- Może nie wyraziłem się zbyt precyzyjnie. Powiedzmy, że to tylko domysły, ale oparte na racjonalnych przesłankach. Mam w szpitalu miejskim dwie młode kobiety - jedną na oddziale, drugą w kostnicy.

- Zamordowaną?

- Nie... w każdym razie nie bezpośrednio. Zarówno ofierze, jak i dziewczynie na oddziale podano bez ich wiedzy jakiś środek hipno-czy halucynogenny.

- Narkotyki podawane przez gwałcicieli?

- Tak wykazały testy. Obydwie dziewczyny związane w kostkach stóp i przegubach, po czym zgwałcono w jakimś rytuale. W raporcie Federalnego Urzędu Kryminalnego czytałem o szczegółach dwóch morderstw, którymi pan się zajmuje, i dostrzegłem podobieństwa. Druga ofiara zatrzymała się wczoraj u swojej kuzynki w Hamburgu. Wieczorem poznała w klubie w St Pauli jakiegoś mężczyznę, który według niej podał jej narkotyki w wodzie mineralnej. Tak więc sprawa leży w pańskiej gestii.

Fabel uśmiechnął się. Ten wiejski gliniarz z pewnością znał

się na rzeczy.

- Dlaczego pan sądzi, że mamy do czynienia z rytuałem?

- Jak pan wie, te narkotyki wywołują silną amnezję, ale ofiara zapamiętała niejasno, że przywiązano ją do jakiegoś ołtarza. Wydaje jej się też, że był tam jakiś posąg.

- Dziękuję za telefon, nadkomisarzu. Rzeczywiście warto przyjrzeć się bliżej tej sprawie. Razem ze mną pracuje psychiatra, niejaka doktor Eckhardt. Czy mógłbym przyjechać z nią?

Sulberg odparł, że nie ma nic przeciwko temu, i umówili się na następny dzień.

Piątek, 13 czerwca, 19.30. Harvestehude, Hamburg

W przesłuchaniach podejrzanych i świadków Fabel wyróżniał pewne momenty krytyczne: ułamki sekundy, w których ludzkie reakcje były niezafalszowane, kiedy brakowało czasu na uruchomienie najlepiej nawet wyuczonej bajeczki. Jednym z takich momentów była niezapowiedziana wizyta policji. Oficjalny kontakt z policją stanowi wyjątek w życiu przeciętnego obywatela, toteż kiedy przedstawiciel prawa staje nieoczekiwanie w drzwiach, tak zwany zwykły obywatel zazwyczaj reaguje podobnie. Najczęstszym uczuciem jest niepokój: wizyta policji kojarzy się ze złymi wiadomościami, najczęściej ze śmiercią krewnego. Policjant na progu z całą pewnością oznacza coś niedobrego, zbrodnię lub wypadek, a reakcja jest zazwyczaj połączeniem niepokoju i agresywności.

W przypadku Johna MacSwaina ta reguła ani trochę się nie sprawdziła. Kiedy Fabel i Werner pokazali odznaki, MacSwain obdarzył ich beznamiętnym uśmiechem, odsunął się i wpuścił do środka.

Po raz drugi tego dnia nadkomisarz znalazł się w domu spoza swojej grupy cenowej. Wystrój i umeblowanie tego przestronnego mieszkania musiały kosztować krocie. Wszystko było w najlepszym guście. Sam MacSwain był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną przed trzydziestką, swobodnie, acz drogo ubranym. Miał przystojny, męski wygląd aktora filmowego. Fabel zauważył, że najbardziej uderzającą cechą były jego oczy, w odcieniu jasnoszmaragdowym, podobnym do koloru oczu tamtego Słowianina, którego widział na miejscu zbrodni. Jednak układ twarzy MacSwaina był zupełnie inny.

MacSwain wprowadził ich do przestronnego salonu z bukową posadzką wypolerowaną na wysoki połysk. Po kilku krokach zeszli do niżej położonej części wypoczynkowej, gdzie

gospodarz opadł zgrabnie na jedną z dwóch wielkich skórzanych kanap. Drugą wskazał policjantom.

- Co mogę dla panów zrobić? - Niemiecki MacSwaina był nienaganny i prawie pozbawiony akcentu.

Fabel uśmiechnął się i rzekł po angielsku:

- Widzę, że nie jest pan Niemcem. Anglik, czy może Amerykanin?

MacSwain wyglądał na zdziwionego.

- Tak się składa, że jestem Szkotem... pańska angielszczyzna jest doskonała, panie...

- Fabel. Nadkomisarz Fabel. Sam jestem w połowie Szkotem. Wykształcenie odebrałem częściowo w Anglii.

- Zdumiewające. - Zielone oczy MacSwaina jakby czegoś szukały w Fablu. - Zatem w czym mogę panu pomóc?

- Prowadzimy sprawę morderstwa, z którą wiąże się pewna rytualna forma zabijania. Uważamy, że rytuał ten może mieć coś wspólnego z mitologią nordycką, z odynizmem lub... As... - Fabel szukał słowa, które usłyszał od Ottona.

- Asatru - pomógł mu MacSwain. - Inaczej mówiąc, wiara w Asów. Albo też, jeśli chce pan być naprawdę dokładny i ortodoksyjny, *Forn Siar*, co oznacza „Starożytną Droge”.

- Dziękuję, tak, Asatru. Dowiedzieliśmy się, że jest pan swego rodzaju specjalistą w tej dziedzinie, więc pomyśleliśmy, że mógłby pan nakreślić nam tło tych wierzeń.

Zanim MacSwain odpowiedział, przez chwilę przyglądał się rozmówcy zielonymi oczami.

- Panie Fabel, jestem konsultantem komputerowym, nie kapłanem odynizmu.

- Ale interesuje się pan tą tematyką?

- Interesuję się wieloma rzeczami, między innymi okultyzmem. Nie należę do grupy Asatru ani niczego w tym rodzaju. Czy nie byłoby lepiej, gdyby zwrócił się pan do naukowego autorytetu? Na przykład z dziedziny mediewistyki?

- Zajmiemy się i tym. Na razie gromadzimy wszelkie informacje, jakie uda nam się zdobyć.

Werner zaśmiał się głośno i sztucznie. Nadkomisarz zrozumiał sygnał: do tej pory rozmowa toczyła się wyłącznie po

angielsku.

- Przepraszam... - Fabel przeszedł na niemiecki. - Z uwagi na starszego komisarza Meyera powinniśmy chyba mówić po niemiecku.

- Oczywiście. Wspomniał pan, że przedmiotem śledztwa jest morderstwo?

- Tak. Ofiary zamordowano w sposób niemal identyczny z rytuałem Krwawego Orła odprawianym przez wikingów. - Fabel nie spuszczał wzroku z twarzy MacSwaina. Jediną reakcją było zaniepokojenie.

- Wrywał im płuca czy wycinał im na plecach znak orła?

- Nie wiedziałem, że istnieją dwa rodzaje.

MacSwain wstał i podszedł do sięgającego sufitu regału na książki, wykonanego z tego samego bukowego drewna, co podłoga, tyle że niepolerowanego. Regał pełnił też funkcję ścianki działowej. Gospodarz wyjął dwie książki: jedną z nich Fabel widział w księgarni Ottona. MacSwain albo zachowywał zimną krew, albo też nie miał nic do ukrycia.

Gospodarz długo wertował drugi tom, nim znalazł to, czego szukał.

- Właściwie jest też możliwe, że nie miała miejsca żadna z odmian tego rytuału.

- Tak?

- Zdaniem niektórych historyków wszystkie opowieści o Krwawym Orle są negatywną propagandą wymyśloną przez ofiary najazdów wikingów. W zapisach historycznych przytacza się relacje, te jednak zazwyczaj są sprzeczne... jedni twierdzą, że ofiarę patroszono, inni, że na plecach wycinano jej orła. Fakt istnienia takich relacji nie może być uznany za pewnik istnienia takiego rytuału.

- A co z Asatru? Nie mogę uwierzyć, by było wielu wyznawców tego kultu.

MacSwain obdarzył ich promiennym uśmiechem.

- I tu się pan myli. Kult Asatru jest dziś bardzo popularny. Amerykanie wręcz szaleją na tym punkcie. Oficjalnie klasyfikuje się Asatru jako religię neopogańską. Dzisiaj jest starannie oczyszczona, ale Hitler włączył wiele z jej mitologii i

symboliki do nazizmu. Prawdę mówiąc, Asatru wrzucono do wspólnego worka New Age razem z buddyzmem, indiańskim szamanizmem, wikkanizmem i całą resztą.

- Czy wie pan coś o tym kulcie tu, w Hamburgu? MacSwain potarł podbródek.

- Podejrzewa pan czcicieli Asatru o popełnienie tych morderstw? Zazwyczaj są to niegroźne typy spod znaku New Age, które interesują się głównie Baldurem. - Na widok pytającej miny Fabla dodał: - Baldur to chrystusowa figura w panteonie Asów. Politycznie poprawne bóstwo wikingów. Odpowiadając jednak na pańskie pytanie, owszem, wiem. Ci ludzie nazywają siebie Świątynią Asatru. Z tego, co słyszałem, spotykają się w starym magazynie w Billstedt.

- Dziękuję za pomoc, panie MacSwain - powiedział Fabel po angielsku i wstał z kanapy.

Patrzył niewidzącym wzrokiem na drzwi windy, która wiozła ich z powrotem na dół, do holu domu MacSwaina.

- Jest w tym facecie coś, co mi nie pasuje. Może nie mieć nic wspólnego z tymi zabójstwami, ale widok policjantów w drzwiach wcale go nie zdziwił.

- Czasami sędzę, że połowa mieszkańców Hamburga ma coś do ukrycia - odparł Werner.

- Chcę, aby MacSwaina obserwowano. Chcę o nim wiedzieć wszystko.

- A jak uzasadnimy całodobową obserwację? To tylko twoje domysły... Chociaż zgadzam się, że za bardzo starał się pokazać, jaki z niego równiacha.

- Po prostu zorganizuj to, Werner. Ja załatwię zgodę z van Heidenem.

Piątek, 13 czerwca, 23.00.
Harburg, Hamburg

Pusty basen był oświetlony blaskiem księżyca sączącym się przez okno dachowe, jedyne, które z powodu swej niedostępności nie zostało rozbite przez wandalów. Snop światła latarki prześliznął się po popękanych kafelkach i ścianach. Basenu nie używano od lat. Dawny wesoły fresk, przedstawiający błękitne delfiny i dzieci w nadmuchiwanych rękawkach do nauki pływania, był ledwo widoczny pod warstwą brudu i graffiti. Szyby we wszystkich oknach wzdłuż ściany w głąbi powybijano, a na dnie basenu, od dawna pozbawionego wody, walały się odpadki i śmieci. Wszędzie leżały zużyte strzykawki. Ktoś wypróżnił się w rogu.

- To była kiedyś przyzwoita dzielnica klasy pracującej - powiedział mężczyzna stojący w głąbi basenu. Skierował latarkę na framugę podwójnych drzwi, w której teraz tkwiło tylko jedno skrzydło. - Sprawdź, czy nikogo nie ma...

Młodszy podszedł do drzwi i poświecił w głąb dawnej przebieralni.

- Pusto. Starszy mężczyzna wrócił do wspomnień.

- Kiedyś chodziłem z dziewczyną, która mieszkała o przeczynę stąd. Nawet przychodziłem tu z nią popływać. - Słowami przywoływał przeszłość, chcąc widzieć wszystko takim, jakie było dawniej. W końcu powrócił do chwili obecnej. Spojrzał na młodszego, który przykładł lufę do osłoniętej workiem głowy postaci kłęzącej na brzegu basenu z rękami związanymi na plecach. Starszy mężczyzna zaczerpnął tchu. Kiedy przemówił, w jego głosie nie było gniewu, złości ani podniecenia.

- Zabij go.

Okrzyk „nie!” kłęzącej postaci urwał się wraz z trzaśnięciem pistoletu z tłumikiem. Ofiara runęła do basenu.

- Przyzwoita dzielnica... - ciągnął starszy mężczyzna, idąc do drzwi.

Sobota, 14 czerwca, 11.00. Cuxhaven

Droga do Cuxhaven zajęła im blisko dwie godziny, ale podróż minęła przyjemnie: był słoneczny, ciepły dzień, a czas spędzony w samochodzie pozwolił Fablowi na rozmowę z Susanne. Nie zmarnował tej okazji i umówił się z nią na kolację. Teraz zachowywali się w swoim towarzystwie swobodniej i niepostrzeżenie nawiązało się między nimi milczące poczucie bliskości.

Fabel zatrzymał się tylko raz, na parkingu Aussendeich, o którym Sulberg powiedział mu przez telefon. Gęsty pas drzew odgradzał go od szosy i wiatru smagającego równinę. To spośród nich martwa teraz dziewczyna wyszła prosto pod koła ciężarówki. Fabel rozejrzał się po parkingu. Jego bmw było tu jedynym samochodem, a nietrudno się domyślić, że nocą miejsce to jeszcze bardziej pustoszało. Drugą dziewczynę porzucono przy tej samej szosie, ale dwadzieścia kilometrów bliżej Hamburga.

Siedmiopiętrowy budynek szpitala miejskiego w Cuxhaven stał na porośniętej trawą i drzewami połaci Altenwalder Chaussee. Fabla i Susanne zaprowadzono do jasnej poczekalni z dużymi oknami, wychodzącymi na nienagannie utrzymane klomby i niewielki trawnik. P^o dziesięciominutowym oczekiwaniu drzwi się otworzyły: wszedł niski policjant o zmiętym wyglądzie. Na jego twarzy malował się szeroki, szczery uśmiech.

- Nadkomisarz Fabel? Doktor Eckhardt? Jestem nadkomisarz Sulberg. - Uścisnął im dłonie, przeprosił, że doktor Stera będzie wolny dopiero za dwadzieścia minut i zaproponował, aby od razu porozmawiali z dziewczyną.

Michaela Palmer była wysoka i smukła. Z raportu otrzymanego od Sulberga Fabel wiedział, że dziewczyna ma dwadzieścia trzy lata. Słomiany kolor włosów wyglądał na naturalny. Gdyby nie odrobinę za długi nos, burzący doskonałą harmonię rysów twarzy, byłaby piękna. Złocista opalenizna nie pochodziła, jak domyślał się Fabel, od słońca północnych Niemiec; z tego, co dowiedział się o dziewczynie, nie był to też efekt częstych podróży do cieplejszych krajów. Była to opalenizna z solarium, nadająca jej przesadnie zdrowy wygląd, który kontrastował z białym bandażem owiniętym wokół czoła. Tylko pod niebieskimi oczami sztuczny brąz nie zdołał ukryć cieni tego, co działo się z nią w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin. Leżała w pokoju na trzecim piętrze, a Fabel mimo woli myślał o tym, jak niewiele brakowało, by leżała w piwnicy. W kostnicy.

Wskazał w stronę łóżka z pytającym wyrazem twarzy. Michaela skinęła głową i nieznacznie się poruszyła. Biały szlafrok zsunął się przy tym, odsłaniając opalone udo. Dziewczyna zakryła je szybko. Jej ruchy, zwłaszcza rozbiegane oczy, przywodziły na myśl zaszczute zwierzę, jakby lada chwila miała czmychnąć. Fabel obdarzył dziewczynę najbardziej krzepiącym uśmiechem, na jaki Potrafił się zdobyć.

- Jestem nadkomisarzem z policji hamburskiej. - Fabel celowo pominął fakt, że pracuje w wydziale zabójstw, bo nie chciał burzyć i tak kruchej bariery ochronnej Michaeli. Pytania musiał zadawać ostrożnie, jeśli nie chciał by jego świadek skrył się w sobie. - A to jest doktor Eckhardt. Jest psychologiem i sporo wie o narkotyku, jaki ci podano. Chciałbym ci zadać kilka pytań. Zgoda? Michaela przytaknęła.

- Co chce pan wiedzieć? Niewiele pamiętam. Właśnie w tym rzecz... - Zmarszczyła czoło. - Nic nie pamiętam. I nie tylko porwania, mam też luki w pamięci z wcześniejszych dni. - Spojrzała pytająco na Fabla, a jej dolna warga zadrżała. - Dlaczego tak jest? Przecież tamto działo się, zanim mnie odurzono. Czemu nie pamiętam, co działo się wcześniej?

Fabel zwrócił się ku Susanne.

- Narkotyk, jaki ci podano, niszczy ośrodek pamięci w mózgu

- wyjaśniła. - Przekonasz się, że z twojej pamięci jakby wymazano kilka spraw sprzed odurzenia. Z czasem do ciebie wrócą, przynajmniej częściowo. Jednak to, co przydarzyło ci się w stanie odurzenia, już nie wróci. Na szczęście. - Susanne podeszła do łóżka. - Posłuchaj, Michaelo, muszę cię ostrzec, że to, co zapamiętałaś z napadu, będzie do ciebie wracać w bardzo wyrazistych przeblyskach.

Michaela zdusiła szloch.

- Ja nie chcę sobie niczego przypominać. - Błagalnie popatrzyła Fabelowi w oczy. - Proszę, nie każcie mi sobie przypominać.

- Nikt nie może cię zmusić, żebyś sobie przypomniła, Michaelo - powiedziała Susanne, odgarniając kosmyk włosów dziewczyny, jakby pocieszała dziecko, które obudził zły sen. - Czego nie ma, tego nie ma. Jednak to, co wydobędziesz z pamięci, może nam pomóc w schwytaniu tego potwora.

- Było ich więcej niż jeden. - Michaela spuściła wzrok i skubnęła szlafrok. - Ludzi, którzy mi to zrobili, było więcej. Początkowo myślałam o napastniku jako o jednej osobie, bo twarz była ta sama. Ale ciała były różne.

- Przepraszam, Michaelo, ale nie rozumiem - powiedział Fabel. - Co to znaczy, że mieli tę samą twarz, ale różne ciała?

- Po prostu tyle. Przepraszam, wiem, to nie ma sensu, ale jeden z nich był gruby i starszy, a jeden młodszy i szczupły. Ale wszyscy mieli tę samą upiorną twarz.

Cholera, pomyślał Fabel. Chociaż było mu żal dziewczyny, cała ta podróż okazała się daremna: nie dowiedzą się od niej niczego pożytecznego.

- Czy potrafisz opisać twarz, którą widziałaś? Twarz, którą według ciebie wszyscy mieli?

- Była potworna - wzdrygnęła się Michaela. - Bez wyrazu. Nie widziałam jej wyraźnie, ale jestem pewna, że miała brodę... i tylko jedno oko.

- Co?

Michaela potrząsnęła głową, jakby próbowała się od czegoś uwolnić.

- Tak. Tylko jedno oko. Jak gdyby drugie oko było samym

oczodołem... całym czarnym i... - głos jej się załamał.

- Już dobrze, Michaelo - uspokajał ją Fabel. - Spokojnie.

Susanne objęła dygoczące ramiona dziewczyny. Siedzieli w milczeniu, aż chora odzyskała równowagę.

- Jak myślisz, ilu ich było? - spytał w końcu nadkomisarz.

- Nie wiem. To tylko przebłyski. Chyba trzech. Co najmniej trzech... Fabel położył rękę na dłoni Michaeli. Szarpnęła się jakby coś ją ugryzło. Potem, marszcząc brwi, spojrzała na cofniętą dłoń mężczyzny.

- Coś mi się przypomniało. Jeden z nich miał bliznę na wierzchu dłoni. Lewej dłoni. Właściwie dwie blizny zbiegające się razem, coś na kształt tych kosteczek kurczaka w kształcie widełek, mających magiczną moc.

- Jesteś pewna? - spytał nadkomisarz.

Michaela zaśmiała się gorzko. - To jedna z niewielu rzeczy, które pamiętam wyraźnie. - Znowu spojrzała na nich błagalnie.

- To nie ma sensu. Dlaczego miałabym pamiętać właśnie to?

- Nie wiem, Michaelo. - Fabel uśmiechnął się pocieszająco. - Ale ta informacja może być przydatna, bardzo przydatna. - Wyjął notes, położył go na łóżku, a na notesie położył długopis. - Mogłabyś narysować, jak wyglądała ta blizna?

Dziewczyna wzięła notes i długopis, przez chwilę marszczyła czoło, wreszcie, szybkim i zdecydowanym ruchem, narysowała dwie linie. Kształt rzeczywiście przypominał obojczyk kurczaka, dzięki któremu miały się spełniać marzenia, ale z pewnym zniekształceniem obydwu końców.

- To jest to - powiedziała z przekonaniem.

- Dzięki - odparł Fabel wstając. - Przykro mi z powodu tego, co ci się przydarzyło, Michaelo. Obiecuję, że zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby się dowiedzieć, kto to zrobił.

Dziewczyna skinęła głową, nie podnosząc wzroku. Nagle coś ją tknęło. Znowu zaczęła strzelać oczami, a czoło zmarszczyło się w intensywnym skupieniu.

- Poczekajcie... jest coś jeszcze... byłem w klubie... nie pamiętam, jak się nazywał. Był tam pewien człowiek. Dał mi wody... miała słony smak...

Wiemy, Michaelo, mówiłaś to już panu Sulbergowi. Czy

potrafisz opisać tego człowieka? Pamiętasz cokolwiek?

- Jego oczy... miał zielone oczy. Zimne, jasne. Były zielone...

Przed wyjściem ze szpitala Fabel i Susanne wstąpili do gabinetu doktora Sterna. Wysoki lekarz pochylał się na biurkiem, zawalonym teczkami, wykresami i żółtymi bloczkami kartek samoprzylepnych, piętrzącymi się warstwami jak opadłe liście. Fabel pomyślał o własnym nadmiernie uporządkowanym charakterze, o tym, że w jego biurze, domu i życiu wszystko leżało na swoim miejscu. Ilekroć rzeczy zaczynały się piętrzyć, Fabel musiał je sortować, bo w przeciwnym razie nie ruszyłyby z miejsca. Uważał tę cechę za swoją słabość: za coś, co ograniczało jego, można powiedzieć intuicyjny, charakter.

Stern wstał, a jego mocna, przystojna twarz rozjaśniła się w szerokim, radosnym uśmiechu.

- Nadkomisarz Fabel? Doktor Eckhardt? Fabel wyciągnął rękę.

- Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas, doktorze.

- Drobiazg. - Z bałaganu na biurku wydobył teczkę. - Zrobiłem dla pana kopię raportu sporządzonego dla miejscowej policji. - Stern skinął głową Sulbergowi, który wszedł wcześniej.

- Dzięki. - Fabel wziął teczkę, ale nie od razu sprawdził jej zawartość. - Czy popełniłbym błąd, zakładając, że te dziewczynę odurzono rohypnolem?

- Odurzono, tak. Rohypnolem, tak. Ale nie samym. Jak napisałem w raporcie, w jej krwi znaleziono tylko bardzo nikłe ślady rohypnolu. Rohypnol rozkłada się powoli - zazwyczaj utrzymuje się we krwi przez kilka godzin.

- Czy możliwe, by podana dawka była na tyle duża aby ją oszołomić, ale na tyle mała, że zdążyła prawie zniknąć?

Na pytanie Fabla odpowiedziała Susanne.

- Nie. Nawet po zniknięciu rohypnolu z krwiobiegu można go wykryć w moczu w postaci metabolitu przez ponad siedemdziesiąt dwie godziny. - Susanne zwróciła się do Sterna.

- Czy pobraliście próbki moczu?

Stern przytaknął.

- Zrobiliśmy test na obecność 7-aminoflunitreza-pamu w moczu tej dziewczyny. Tylko nikłe ślady. Jak zauważyła doktor Eckhardt, gdyby Michaelę odurzono rohypnolem w ciągu ostatnich trzech dni, stężenie leku byłoby większe.

- Ale podano jej narkotyki? - spytał Fabel.

- Z całą pewnością. W ustach i gardle Michaeli wykryliśmy słabe chemiczne poparzenia. Kiedy pytałem ją o prześliski świadomości z okresu odurzenia, mówiła o tym, że w ogóle nie czuła lęku.

- Oczywiście - powiedziała Susanne. - Jakiś koktajl zawierający gammahydroksybutyrat?

- Pewnie tak... - Stern wzruszył ramionami. - Ale gammahydroksybutyrat metabolizuje się tak szybko, że nie mamy żadnych śladów na dowód...

- Gamma co? - Rozmowa toczyła się zbyt szybko i zbyt specjalistycznie dla Fabela.

- Przepraszam. - Stern zrobił usprawiedliwiający gest. - Gammahydroksybutyrat, GHB. Znany też jako Paskudztwo albo Nawalacz.

Susanne znowu podjęła wątek.

- Jest to wyjątkowo wredny środek uspokajający, działający na centralny układ nerwowy. Ma takie samo działanie jak rohypnol, ale może być o wiele groźniejszy. Możesz w to wierzyć lub nie, ale jeszcze do niedawna sprzedawano go w sklepach ze zdrową żywnością, jako preparat dla kulturystów. Ponieważ ma nikłe zastosowanie medyczne, większość produkcji odbywa się nielegalnie.

- A ponieważ wytwarza się go w nielegalnych laboratoriach bez żadnej kontroli - podjął Stern - istnieją olbrzymie wahania pod względem czystości. Odczynniki chemiczne używane do syntezy i stabilizacji często są wysoce toksyczne.

- I sądzicie, że poparzenia w ustach zostały spowodowane właśnie toksycznymi środkami chemicznymi? - spytała Susanne.

- Tak... Poza tym GHB może mieć bardzo dziwne skutki uboczne. Nawet małe dawki mogą powodować mdłości, wymioty, omamy, halucynacje, ataki duszności i oczywiście

utrata przytomności. Jednym z efektów może być też poczucie nieustraszoneści, o jakim mówiła Michaela. Gdyby podano jej koktajl z flunitrazepamem albo klonazepamem z gammahydroksybutyratem, istniałoby wielkie ryzyko ogólnego znieczulenia, depresji oddechowej czy nawet śpiączki. Michaela ma szczęście, że nie musiano podłączyć jej do respiratora. Tak jak mówi doktor Eckhardt, GHB to wyjątkowe świństwo. Ktokolwiek podał GHB dziewczynie, dodał też inne narkotyki, aby osiągnąć efekt synergii. Może nie próbowali zabijać, ale też niespecjalnie ich obchodziło, czy ofiary przeżyją-

- Czy GHB produkuje się nielegalnie tylko po to, by ułatwić dokonywanie gwałtów? - spytał Fabel.

- Nie. Ten narkotyk jest bardzo popularny wśród klubowiczów i w kręgu rave. Zażywają go w celu wyciszenia się po odjazdach wywołanych ecstazy czy kokainą. Jestem pewien, że wasz wydział narkotykowy często stykał się z GHB. Hamburgscy klubowicze nie gustują w tym świństwie.

- W jaki sposób zażywa się ten narkotyk? Jest bez smaku, jak rohypnol?

- Prawie. Po rozpuszczeniu ma słony smak. Jedną z jego potocznych nazw jest Słona Woda. Jeśli pominąć słony smak, GHB dość łatwo podać w alkoholu, który wzmacnia działanie narkotyku, albo w formie proszku dosypanego do jedzenia.

- Michaela właśnie nam powiedziała, że była w klubie, gdzie jakiś facet dał jej do picia wodę, która miała słony smak.

- To pewnie było to.

Fabel spojrział na raport Sterna.

- A co z gwałtem? Mamy wyniki badań?

- Możemy jedynie powiedzieć, że dziewczynę gwałcono przez dwie do czterech godzin... niewykluczone, że mężczyzna było więcej. Żadnej sodomii. Żadnego seksu oralnego pod przymusem. I, niestety, żadnej spermy do analizy DNA. On - albo oni - musiał używać prezerwatyw. Dziewczyny nie bito ani nie dręczono w żaden inny sposób. Jedyne obrażenia to ślady więzów na kostkach i stopach... - Stern wskazał głową na teczkę, którą trzymał Fabel. - Tam są zdjęcia.

Fabel otworzył raport. Fotografie przedstawiały ślady na

przegubach i kostkach. Dziewczyźnie rozłożono ręce i nogi, tak jak ofiarom morderstw. Jednak Michaela przeżyła. Było tam jeszcze jedno zdjęcie - na czole kobiety, z którego odgarnięto włosy, widniał słaby, ale rozpoznawalny czerwony ślad.

- Co to jest? - spytał Fabel. Stern uśmiechnął się.

- To, panie nadkomisarzu, jest trop, którego gwałciciel lub gwałciciele nie zamierzali panu ujawniać. Michaela ma bardzo wrażliwą skórę, ze skłonnościami do egzemy. To jedna z przyczyn jej opalenizny: terapia ultrafioletem. - Czyli teoria solarium upada, pomyślał Fabel. - Sprawca - ciągnął Stern - zrobił jej na czole jakiś znak. Najwyraźniej próbowali go zmyć, ale wrażliwa skóra Michaeli zareagowała na farbę czy czego tam użyli. Uznałem to za ważną wskazówkę, i chociaż nie jest to poważne obrażenie, dołączyłem zdjęcie do standardowego zestawu, robionego w przypadku gwałtu.

- Bardzo się cieszę, że pan to zrobił, doktorze - powiedział Fabel. - Ten dowód może mieć kolosalne znaczenie.

- Ten znak wygląda jak X - powiedział Stern. - Macie pomysł, co może oznaczać?

Fabel popatrzył na znak i zmarszczył czoło.

- Tak się składa, że mam... Myślę, że to litera z alfabetu futhark.

Stern wzruszył bezradnie ramionami.

Susanne podeszła do Fabla, który pokazał jej zdjęcie.

- Znak runiczny wikingów? - spytała. Nadkomisarz skinął głową i wsunął fotografię z powrotem do teczki.

Sobota, 14 czerwca, 15.50.
Ovelgönne, Hamburg.

Zanim Susanne wysiadła z samochodu, przechyliła się, pocałowała Fabla i pogłaskała go po policzku.

- Spotykamy się wieczorem? Uśmiechnął się szeroko. - Jasne.
- Będę o ósmej.

Podziwiając miękkie linie jej ciała, patrzył, jak Susanne wchodzi po schodach do swego domu. W drzwiach odwróciła się i pomachała, a Fabel odwzajemnił gest. Kiedy drzwi się zamknęły, siedział jeszcze przez chwilę, potem wyjął telefon komórkowy i wybrał domowy numer Wenera. Kiedy tamten odebrał, usłyszał w tle głosy dzieci. Najstarsza córka Wenera, Nadia, dała mu dwójkę wnuków. Fabel przeprosił, że przeszkadza w sobotę.

- Nic nie szkodzi. Co się dzieje, Janie?

Fabel opowiedział o rozmowie z Michaelą Palmer. Nie pominął jej opisu oczu mężczyzny z klubu. Celowo nie podkreślał tego szczegółu: chciał sprawdzić, czy Werner zareaguje podobnie do niego. Kiedy ten na chwilę zamilkł, Fabel zrozumiał, że myśli kolegi pobiegły tym samym tropem.

- Nasz wczorajszy przyjaciel? Pan chłodny Anglosas?
- Niewykluczone. Może powinniśmy znowu go odwiedzić?
- Uważaj, Janie - ostrzegł Werner. - Nie chcemy go wystraszyć. MacSwain jest pod całodobową obserwacją, jeśli powinié mu się noga, to go mamy. Ale fakt, że kupuje książki i ma zielone oczy, to słaba podstawa do ponownego przepytowania. Już wcześniej stąpaliśmy po dość kruchym lodzie. Gdyby poszedł do swojego adwokata i wniósł skargę o szykanowanie, nasze dowody chyba by się nie obroniły.

- Masz rację. - przyznał Fabel. - Ale zawiadom ekipę... i wyślij e-mail do van Heidena... Chcę, żeby w poniedziałek rano odbyła się konferencja.

- A co z doktor Eckhardt? Czy z nią też mam się skontaktować?

- W porządku, Werner, już o to zadbałem. W słuchawce rozległ się śmiech.

- Jestem pewien, że zadbałeś, szefie. Jestem pewien.

Fabel ogolił się, wziął prysznic, założył angielską bawełnianą koszulę w kolorze morskiej zieleni i jasnoszary jednorzędowy garnitur. Do spotkania z Susanne miał jeszcze godzinę, więc zabrał się do przeglądania zawartości teczki przywiezionej z Cuxhaven. Fabel bynajmniej nie uważał siebie za konserwatystę; starał się być otwarty na nowe, ale czasem zastanawiał się, co, u diabła, dzieje się ze światem. Gwałt oczywiście nie był niczym nowym, ale teraz młodzi mężczyźni celowo odurzali kobiety narkotykami, mogącymi trwale uszkodzić mózg, po to, by uprawiać z nimi seks. Ta myśl wywoływała zamęt w jego głowie i napędzała go przerażeniem co do przyszłości. Jednak ten facet był inny. Należał do grupy. Czyny, jakich się dopuszczali, najwyraźniej miały pewne rytualne baczenie bądź cel. Człowiek, którego szukali, posługiwał się koktajlem z narkotyków, żeby zdobywać ofiary dla siebie i innych. Może wcale nie dla siebie. Fabel wyjął kartkę, na której narysował kształt ze zdjęcia podrażnionej skóry na czole Michaeli. Czy przywiązywał do niego za dużą wagę? Przecież to mógł nie być znak runiczny, a tylko kilka przypadkowych kresek. Ale to nie miało sensu. Ci ludzie oznakowali dziewczynę, napiętnowali ją jakimś piktogramem o symbolicznym znaczeniu. Był prawie pewien, że na czole dziewczyny widniał znak runiczny gebu, odpowiednik litery G, wiedział też jednak, że runy futhark miały nie tylko znaczenie fonetyczne, ale że każdy znak wiązał się z nordyckimi bogami i mitami. Podeszedł do półki z książkami i zdjął kilka tomów, między innymi ten, który kupił MacSwain; Fabel pożyczył książkę od Ottona. Przewertował go i w końcu znalazł, czego szukał. Czytając, zapisywał najważniejsze punkty na kartce. Gebu był znakiem runicznym związanym z ofiarami

składanymi bogom i darami od bogów. Ofiara. Był zarazem siódmy. Siódemka: Fabel przypomniał sobie, że Dorn mówił o znaczeniu liczb w systemie wierzeń wikingów. Spośród wszystkich znaków runicznych właśnie gebu najsilniej wiązał się z biot, czyli rytuałem ofiary.

Czy mógł istnieć związek między tymi napadami a dwoma zabójstwami? Michaelę Palmer nie tylko naznaczono symbolem rytualnym - był to znak runiczny związany z ofiarą. Jeśli jednak napastnicy zamierzali złożyć Michaelę i tę drugą dziewczynę w ofierze, to dlaczego je wypuścili? Włożyli wysiłek w usunięcie znaku, a obydwie dziewczyny odurzyli narkotykami, chcąc, aby jak najmniej pamiętały o napastnikach. Podczas pierwszej narady po zabójstwie w St Pauli Susanne sugerowała, że te zabójstwa mogą stanowić rozgrzewkę przed głównym wydarzeniem, ale to nie pasowało do typu zabójcy, którego, jak Fabel czuł instynktownie, ścigał. Zresztą te napady nie były rozgrzewką. Nie było tu żadnej eskalacji: obie dziewczyny napadnięto już po zabójstwach. Fabel upuścił książkę na kanapę i wyrztał przez okno na Alster. Spojrzał na zegarek: 19.30. Powinien się pospieszyć, jeśli nie chciał, by Susanne na niego czekała.

Gdyby nie prawie obsesyjna dokładność, nie zauważyłby. Wstał z kanapy, żeby odstawić dwie książki na półkę. Zanim odłożył tę pożyczoną od Ottona, odruchowo przewertował kartki. I oto była. Barwna ilustracja na całą stronę, przedstawiająca drewnianą podobiznę Odyna. Rzeźbie z ciemnego drewna brakowało subtelności, ale brodata twarz i zęby wyszczerzone w szalonym ryku robiły wrażenie. Była to twarz wszechmądrzego Odyna. Za picie ze studni mądrości Odyn zapłacił cenę: oddał oko.

To dlatego wszyscy mieli tę samą twarz, kiedy cię gwałcili, Michaelo, pomyślał Fabel. Wszyscy nosili maskę. Tę samą maskę. Maskę jednookiego Odyna.

Sobota, 14 czerwca, 20.00.
Poseldorf, Hamburg

Nawet nie odwracając się, Fabel wiedział, że weszła do baru. Stojący naprzeciwko niego barman przerwał polerowanie kieliszka i spojrzał ponad ramieniem gościa. Dwaj mężczyźni, którzy siedzieli obok niego, przestali rozmawiać i odsunęli się, żeby zrobić dla niej miejsce. Kiedy pochyliła się nad barem tuż obok, poczuł jej obecność; dobiegł go subtelnie zmysłowy zapach perfum. Fabel uśmiechnął się i nie odwracając głowy powiedział:!

- Dobry wieczór, pani doktor.

- Witam, panie nadkomisarzu.

Fabel odwrócił się. Susanne miała na sobie prostą czarną sukienkę bez rękawów; kruczoczarne włosy związała luźno. Jakimś cudem Fabel zdołał zrobić wdech.

- Cieszę się, że mogłaś przyjść - powiedział.

- Ja też.

Fabel zamówił drinki i poszli do stolika pod oknem. Na Milchstrasse pełno było ludzi, którzy przechadzali się lub siedzieli w kawiarniach pod gołym niebem, ciesząc się ostatnimi promieniami słońca.

- Postanowiłem, że dziś wieczorem nie będziemy rozmawiać o pracy, ale czy mogłabyś wziąć udział w konferencji w poniedziałek o dziesiątej rano? - spytał Fabel.

- Bez problemu - odparła Susanne. - Ta sprawa naprawdę cię wzięła, co?

- Zawsze tak jest - uśmiechnął się słabo. - Ale to prawda, ta szczególnie. Jest tyle rzeczy, które nie pasują, i tyle rzeczy, które pasują za dobrze. - Fabel przedstawił teorię o maskach Odyna.

- Sama nie wiem. - Susanne zakołysała kieliszkiem wina. - Nadal uważam, że mamy do czynienia z jednym zabójcą. Myślę

też, że nie masz racji, dopatrując się w tych morderstwach wyższych motywacji. Według mnie, jakiegoś psychologa kręci szlachtowanie przypadkowych kobiet.

- Nie zabrzmiało to jak profesjonalne podsumowanie, pani doktor.

- Czasami nie czuję się do końca profesjonalnie - zaśmiała się Susanne. - Jestem też człowiekiem, zwyczajną osobą i zdarza się, że reaguję emocjonalnie na tę całą potworność. Sam musisz czasem tak się czuć.

- Prawie zawsze - roześmiał się Fabel. - Ale skoro tak się czujesz, to czemu to robisz?

- A ty?

- Czemu jestem policjantem? Bo ktoś musi wykonywać tę robotę. Ktoś musi zagrażać drogę... ktoś musi stać między zwykłym mężczyzną, kobietą czy dzieckiem a tymi, którzy ich krzywdzą. - Fabel urwał, bo zdał sobie sprawę, że mniej więcej powtórzył dokonaną przez Yilmaza analizę swej osoby. - Tak czy inaczej, ty jesteś lekarką... mogłabyś pomagać ludziom na sto różnych sposobów. Dlaczego wybrałaś właśnie ten?

- Tak jakoś wyszło. Po ukończeniu studiów medycznych studiowałam psychiatrię, potem psychologię, wreszcie psychologię sądową i kryminalną. Zanim się spostrzegłam, wyspecjalizowałam się w tej wąskiej dziedzinie.

- Cieszę się, że tak się stało - uśmiechnął się. - w przeciwnym razie nie spotkalibyśmy się. A teraz dość już rozmów o pracy... - Fabel przywołał kelnera.

Sobota, 14 czerwca, 20.50.
Uhlenhorst, Hamburg

Angelika Blüm uprzątnęła bałagan z szerokiego stołu do kawy i rozłożyła dużą, szczegółową mapę Europy Środkowej i Wschodniej. Na niej porozkładała fotografie, wycinki prasowe, informacje o firmach oraz przycięte karteczki, na których wypisała nazwiska: Klimenko, Kastner, Schreiber, von Berg, Eitel (junior), Eitel (senior). Na środku mapy położyła ostatnie nazwisko. Wszystkie inne napisała na czarno, tylko to jedno wypisała czerwonym flamastrem i drukowanymi literami: WITRENKO.

Wszystko tam było. Jednak związki pomiędzy poszczególnymi elementami jej teorii były zbyt kruche, by mogły wytrzymać tryby dochodzenia. Mogła tylko spisać wszystko, co wiedziała i przekazać ludziom, którzy dysponowali większymi możliwościami śledczymi niż ona. Dlaczego ten cholerny policjant nie dzwonił? Wiedziała, że Fabel prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Ursuli, a informacje Angeliki mogły rzucić nowe światło na tę sprawę. Przeczytała też o drugim morderstwie: dziewczyny, której zdjęcie opublikowano w prasie w celu ustalenia tożsamości. Angelika nie rozpoznała jej, nie widziała też żadnego związku z Ursulą czy innymi elementami prowadzonego przez siebie śledztwa. Drugie morderstwo albo popełnił zabójca-imitator, albo związek między pierwszym a drugim nadal jej się wymykał.

Oparła łokcie na kolanach, kubek z kawą ujęła w dłonie i omiotła wzrokiem rozrzucone na blacie elementy, przypominały części mechanizmu, który czeka na złożenie, jednak Angelika nie wiedziała, jak ten mechanizm działa, jaką pełni funkcję. Gdyby złożyć w całość wszystkie te części, powstałaby kapitalna historia: członek senatu miasta Hamburg, burmistrz, neonaziści, wiodąca spółka medialna

oraz w samym centrum tego wszystkiego dowódca ukraińskich sił specjalnych o nieznaney powierzchowności, tak rozmiłowany w okrucieństwie, że ludzie z lękiem wymawiali jego nazwisko: Wasyl Witrenko.

Angelika napiła się kawy i na chwilę spróbowała oderwać myśli od łamigłówki. Czasem trzeba odwrócić wzrok, by potem skoncentrować się na nowo i dostrzec to, co od początku leżało przed samym nosem. Brzęczyk domofonu sprawił, że podskoczyła. Z westchnieniem odstawiła kawę na rozłożoną mapę i podeszła do aparatu.

- Kto tam?

- Pani Blum? Tu nadkomisarz Fabel z policji hamburskiej. Próbowala pani się ze mną skontaktować. Czy mogę wejść?

Angelika spojrzała na szlafrok i kapcie; zaklęła cicho. Westchnęła, wcisnęła guzik i powiedziała do słuchawki:

- Oczywiście, panie Fabel. Proszę wejść. - Nacisnęła guzik otwierający drzwi wejściowe i po chwili usłyszała jego kroki w korytarzu. Otworzyła drzwi, ale nie zdjęła łańcucha. Mężczyzna stojący w korytarzu uniósł odznakę policyjną, Angelika uśmiechnęła się i zwolniła łańcuch.

- Proszę mi wybaczyć strój, ale nikogo się nie spodziewałam. - Odsunęła się na bok, żeby go wpuścić.

**Sobota, 14 czerwca, 23.30.
Pöseldorf, Hamburg**

Wpadające przez okna światło księżyca tworzyło geometryczne wzory na podłodze i ścianach sypialni Fabla, opływało linie ciała Susanne, kiedy się nad nim pochylała. Jej cień poruszał się na ścianie; początkowo łagodny, delikatny, spokojny rytm ich seksu stawał się coraz gwałtowniejszy.

Potem leżeli obok siebie: Susanne na plecach, a Fabel na boku, z głową wspartą na dłoni, przyglądał się profilowi kochanki w świetle księżyca. Dźwignął się na łokciu i spojrzał na nią z góry. Czule odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

- Zostaniesz na noc? Susanne zamruczała rozkosznie.

- Jest mi tu zbyt wygodnie, żeby wstawać i ubierać się. - Odwróciła się do Fabla z szelmowskim uśmiechem. - Ale nie jestem na tyle zmęczona, by spać.

Właśnie miał odpowiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Posłał Susanne zrezygowany uśmiech i powiedział:

- Nie porzucaj tej myśli. Zaraz wracam.

Wstał i nago podszedł do telefonu. Dzwonił Karl Zimmer, dyżurny komisarz wydziału zabójstw.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale wydarzyło się coś, o czym powinien pan wiedzieć.

- Co takiego?

- Otrzymaliśmy kolejny e-mail od Syna Svena.

Policja Hamburg Wydział Zabójstw

Od: **SYN SVENA**

Do: **GŁÓWNY NADKOMISARZ JAN FABEL**

Wysłano: **14 czerwca 2003, 23.00**

Temat: **SŁOWA**

JAK JUŻ ZDAŹYŁ SIĘ PAN PRZEKONAĆ, NIE JESTEM ZBYT GADATLIWY. ZA TO MOJA OFDARA UŻYWAŁA WIELU SŁÓW

NIE DBAM O KOBIETY, KTÓRE NIE WYPEŁNIAJĄ SWOJEJ PODSTAWOWEJ FUNKCJI, ALE EGOISTYCZNIE PRZEDKŁADAJĄ KARIERĘ PONAD NATURALNY IMPERATYW RODZENIA. TA BYŁA GORSZA NIŻ WIĘKSZOŚĆ. UZNAŁA ZA SWOJE POWOŁANIE SZKALOWANIE LUDZI, DO KTÓRYCH SZLACHETNOŚCI NIE MOGŁA NAWET ASPIROWAĆ: ŻOŁNIERZY WALCZĄCYCH Z ANARCHIĄ I CHAOSEM.

TYM RAZEM DODAŁEM PEWIEN SMACZEK. ONA MYŚLAŁA, ŻE JESTEM PANEM, FABEL. TO PANA BŁAGAŁA O ŻYCIE. TO PAŃSKIE NAZWISKO PŁONĘŁO W JEJ UMYŚLE, KIEDY UMIERAŁA.

ROZŁOŻYŁA SKRZYDŁA.

SYN SVENA.

Niedziela, 15 czerwca, 1.30. Komenda Główna Policji, Hamburg

- Przepraszam, że ściągam was o tak niehumanitarnej godzinie - powiedział Fabel, ale rzeczowy ton jego głosu świadczył, że przeprosiny były czystą formalnością. Zebrani przy stole mieli opuchnięte twarze ludzi gwałtownie wyrwanych ze snu, ale nikt się nie skarżył; wszyscy rozumieli wagę sytuacji. - Trzeba stwierdzić, że w tym nowym e-mailu jest, mówiąc oględnie, pewien nieprzyjemny akcent.

Werner, Maria, Anna i Paul posępnie skinęli głowami. Przy stole siedziała też Susanne; kiedy weszła razem z Fablem, pozostali spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

- Co zatem mówi nam ten nowy e-mail? - Nadkomisarz gestem zaprosił wszystkich do zabierania głosu.

Pierwsza odezwała się Maria.

- Cóż, w dość przykry sposób potwierdza, że ten człowiek przebiera się za policjanta. W tym przypadku za ciebie.

- Ja nie chodzę w mundurze, więc i on nie może paradować w policyjnym uniformie.

- Wygląda na to, że zdobył odznakę albo nakaz... albo jedno i drugie - podsunął Werner.

- A co z ofiarą? - spytał Fabel. Wzmianka o ofierze przypomniała mu o tym, co przeczytał w e-mailu: że umarła z myślą o tym, że to on ją zabił. Ta wiedza drążyła mu pierś, przyprowadzając o mdłości. - Opisał ją jako kobietę, która „używała wielu słów”...

- Polityk? - podsunęła Maria. - Aktorka... a może pisarka lub dziennikarka?

- Możliwe - powiedziała Susanne - ale pamiętajcie, że ten człowiek jest psychopatą, o zaburzonym postrzeganiu. Ofiara mogła być po prostu kobietą, która jego zdaniem mówiła za dużo.

- Ale co z tym szkalowaniem żołnierzy, jak on to ujął? To brzmi tak, jakby kobieta miała dostęp do szerszego grona odbiorców - zauważył Paul Lindemann.

- A sam e-mail? - spytał Fabel. - Rozumiem, że mamy fałszywy adres IP?

- Dział techniczny już się tym zajmuje - odparła Maria. - Szefa działu wyciągnęłam z łóżka, żeby to sprawdził. Nie był zbyt szczęśliwy.

Werner wstał nagle od stołu, a na jego twarzy malowały się frustracja i gniew. Podeszedł do okna, którego szyby miały teraz kolor obsydianu i odbijały całe pomieszczenie.

- Możemy tylko czekać, aż znajdą ciało. Zabójca nie zostawił nam żadnych tropów.

- Masz rację, Werner - zgodził się Fabel i spojrzął na zegarek.

- Myślę, że wszyscy powinniśmy się trochę przespać. Spotkajmy się tu znowu, powiedzmy o dziesiątej.

Wstawali od stołu, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała Anna Wolff, bo siedziała najbliżej. Wyraz znużenia nagle zniknął z jej twarzy. Gestem dłoni powstrzymała pozostałych przed wyjściem z pokoju.

- Dzwonili z działu technicznego - powiedziała. - Mamy prawdziwy adres IP. Należy do Angeliki Blum. Mamy też adres w Uhlenhorst.

- O mój Boże - powiedział Fabel. - To ta dziennikarka, która próbowała się ze mną skontaktować.

- Dziennikarka? - spytała Maria.

- Tak - odparł. - „Kobieta używająca wielu słów”.

Niedziela, 15 czerwca, 2.15. Uhlenhorst, Hamburg

Dom spełniał wszystkie kryteria hamburskiego szyku. Wybudowano go w latach dwudziestych minionego wieku, ale wyglądało na to, że stosunkowo niedawno został odnowiony. Fabel, który wiedział co nieco o architekturze modernistycznej, ocenił, że dom musiał zaprojektować Schneider albo przynajmniej ktoś z jego szkoły. Budynek nie miał ostrych kantów: zbiegi białych ścian były elegancko zaokrąglone, a okna mieszkań wysokie i szerokie. Uhlenhorst nigdy nie dorównał prestiżem Rotherbaum, był jednak zamożną i modną dzielnicą.

Przed drzwiami z brązu i szkła, prowadzącymi do jasno oświetlonego marmurowego holu stały dwa radiowozy, którymi, jak domyślił się Fabel, przyjechali ludzie z komendy dzielnicy Uhlenhorst. Przed drzwiami stał mundurowy policjant, a drugi słuchał ożywionej przemowy wysokiego mężczyzny po sześćdziesiątce. Fabel zaparkował za samochodami policyjnymi, po czym on, Maria i Werner wysiedli, dokładnie w chwili, kiedy przyjechali Paul z Anną. Fabel podszedł funkcjonariusza, który cierpliwie wysłuchiwał starszego mężczyzny. Po naramiennikach policjanta poznał, że ma do czynienia z komisarzem. Fabel mignął swoją odznaką, na co tamten skinął głową. Wyższy, starszy cywil o rozmemłanym wyglądzie i zaczerwienionych oczach człowieka wyrwanego z głębokiego snu otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Nie dopuszczając go do głosu, Fabel zwrócił się do komisarza.

- Jak dotąd nikt nie próbował wchodzić?

- Nie. Uznałem, że najlepiej będzie poczekać tu do pańskiego przyjazdu. Dwóch moich ludzi stoi przed drzwiami Blum, a w mieszkaniu panuje cisza.

Fabel spojrział w stronę cywila.

- To jest dozorca - wyjaśnił policjant. Fabel zwrócił się do dozorczy i wyciągnął rękę.

- Proszę o główny klucz do mieszkania pani Blum. Dozorca miał wyniosły, wręcz arystokratyczny wygląd angielskiego kamerdynera.

- Wykluczone. To jest ekskluzywna rezydencja, a mieszkańcy mają prawo do...

Fabel ponownie mu przerwał.

- W porządku. - Zwrócił się do kolegi: - Werner, przynieś łom z samochodu, dobrze?

- Nie wolno wam tego robić... - rozsierdził się dozorca. - Potrzebujecie nakazu...

Fabel nawet nie spojrział w jego stronę.

- Nie potrzebujemy nakazu. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i mamy powody, by przypuszczać, że lokatorce zagraża niebezpieczeństwo. - Wskazał głową na samochód. - Werner... łom?

- Nie... nie... - wysapał apoplektycznie dozorca. - Przyniosę klucze.

Drzwi windy rozsunęły się na korytarzu trzeciego piętra - rozległej, nienagannie czystej przestrzeni, jasno oświetlonej żarówkami, które rzucały kręgi światła na nieskazitelną, marmurową posadzkę. Fabel dał znak dozorczy, żeby prowadził. Ruszyli przez hol i dotarli do dwóch policjantów stojących przy drzwiach. Tu Fabel powstrzymał dozorcę, kładąc mu dłoń na ramieniu, potem sam wystąpił naprzód, dając znak Wernerowi i Marii, by szli za nim. Gestem nakazał Annie i Paulowi stanąć po drugiej stronie drzwi, obok policjanta. Oczy wszystkich były zwrócone na nadkomisarza. Ten przytknął palec do ust i szepnął do dozorczy:

- Który klucz?

Ten zaczął gmerać przy pęku kluczy. Fabel odebrał mu go, uśmiechnął się, skinął dozorczy głową i oddalił go ruchem głowy. Pantomima trwała: teraz wskazał na siebie i Wenera,

podniósł palec, potem dwa, co miało znaczyć, że on i Werner przejmują dowodzenie. Obaj wyciągnęli broń, po czym Fabel nacisnął dzwonek. W mieszkaniu rozległ się chropawy brzęczyk. Potem cisza. Fabel skinął głową do Wenera, wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi jednym płynnym ruchem. Światła w mieszkaniu były zapalone. Jeden po drugim wślizgnęły się do wnętrza.

- Pani Blum? - W mieszkaniu panowała cisza. Nadkomisarz spróbował ogarnąć wzrokiem jak największą część mieszkania. Obok drzwi stało krzesło i stół. Na krzesło ktoś rzucił drogi damski płaszcz, na stole leżała włoska skórzana torebka. Fabel przestał ścisnąć walthera. Wiedział, że w mieszkaniu nie ma nikogo. W każdym razie nikogo żywego.

W jasnobłękitnym holu wisiały duże, oryginalne płótna: abstrakcyjne kompozycje w głębokich fioletach i czerwieniach, żarzące się na chłodnych ścianach.

Idąc holem, Fabel spojrział w lewo przez otwarte oszklone podwójne drzwi, prowadzące do dużego salonu. Pomieszczenie było puste. Tu także gustowny chłód stanowił tło dla drogich mebli i oryginalnych dzieł sztuki. Wydało mu się nawet, że mignęła mu rzeźba Giacomettiego. Niewielka, ale wyglądająca na oryginał. Szedł dalej. Po prawej łazienka. Pusta. Tuż za nią, również po prawej, sypialnia. Pusta. Ostatnie drzwi były zamknięte, a kiedy Fabel je pchnął, jego oczom ukazał się pograżony w ciemności pokój. Na ścianie przy drzwiach namacał włącznik. Pokój zalało światło licznych, ustawionych pod kątem ściennych lamp. Potworność.

Nie mógł pojąć, dlaczego nie był na to przygotowany, niby wiedział, że znajdzie ją martwą, a kiedy ujrzał zamknięte drzwi i ciemny pokój, instynkt podpowiedział mu, że będzie leżała właśnie tutaj. Mimo to czuł się tak, jakby walnęła w niego ciężarówka.

- O Jezu... - Poczuł, jak coś wysysa mu dech z piersi. Wezbrała fala mdłości. - Słodki Jezu...

Pierwotnie pokój miał być zapewne sypialnią, ale przerobiono go na gabinet. Na trzech ścianach biegły półki, pełne książek i teczek. Niemal całą długość czwartej zajmowało

okno, teraz zasłonięte żaluzjami. Pod oknem stało szerokie bukowe biurko, a na nim laptop. Podobnie jak w pozostałej części mieszkania, także tutaj wystrój był stonowany, pełen smaku i elegancji. Oprócz podłogi.

Na samym środku leżało ciało kobiety. Twarzą w dół. Plecy rozplatanymi cięciami równoległymi do kręgosłupa. Rozerwane żebra odsłaniały wnętrze jamy brzusznej; płuca wyszarpięto i wyrzucono na zewnątrz. To była eksplozja mięśni, krwi i kości.

Z wyjątkiem kapci na sznurkowych podeszwach kobieta była naga. Jej szlafrok ciśnięto w kąt pokoju. Oprócz tych elementów w pokoju nie było żadnych ubrań.

Fabel zauważył, że na sosnowej podłodze, pod głową kobiety utworzyła się kałuża krwi. Także tył czaszki pokrywała krew, zlepiająca kasztanowe włosy.

- O kurwa... - Werner, który stanął za Fablem, wykrztusił to walcząc z mdłościami. - O kurwa.

Maria i Anna Wolff też weszły do pokoju. Anna zdusiła krzyk i wypadła z powrotem. Fabel usłyszał, jak wymiotuje do sedesu w łazience. Ludzie z grupy zabezpieczającej ślady na miejscu zbrodni będą zachwyceni. Jednak nie mógł winić zwykle twardej małej Anny. Sam musiał na chwilę zamknąć oczy i spróbować zetrzeć obraz z siatkówki; dopiero wtedy wrócił nieco do siebie. Przez głowę przeleciała mu myśl, czy Anna zwolniła już kibiel. Wziął długi, powolny wdech. Nie podszedł do ciała, bo znowu przypomniał sobie o potrzebie zachowania pierwotnych śladów, a kiedy inni zaczęli się tłoczyć w drzwiach, kazał im cofnąć się i opuścić pomieszczenie.

W ciągu godziny dom zaroił się od ludzi. Fabel zwrócił się do komisarza z Uhlenhorst z prośbą o ściągnięcie większej liczby mundurowych policjantów w celu przepytania sąsiadów. Na miejsce przyjechała ekipa zabezpieczająca ślady, kierowana przez Holgera Braunera, a także patolog doktor Molier. Fabel znał Braunera z innych śledztw i bardzo go cenił. Jedynym problemem było to, że ten arogancki dupek Molier stale zachowywał się tak, jakby rywalizował z Braunerem. Ale

prawdą też było, choć nadkomisarz bardzo niechętnie to przyznawał, że Molier był również znakomitym patologiem, a umysł miał ostry jak skalpel.

Fabel zabezpieczył miejsce zbrodni i przekazał je technikom Braunera. Zgodnie z protokołem, miał on zbadać miejsce pierwszy, nie ruszając ciała, a dopiero po zakończeniu pracy przez niego i jego ludzi Molier miał się wziąć do dzieła. W efekcie Molier stał nabzdyczony w progę. Dla nadkomisarza był to jedyny jasny punkt.

W końcu Brauner wyszedł. Ignorując lekarza, poprosił by Fabel wrócił z nim do mieszkania.

- Powinieneś coś zobaczyć, zanim zapakują ciało do worka i przewiozą do prosektorium.

Brauner zaprowadził go z powrotem na miejsce zbrodni. Fabel musiał minąć ciało, przeciskając się obok dwóch techników w ochronnych ubiorach. Fotograf właśnie pakował swój sprzęt, więc w pokoju było naprawdę ciasno. Brauner podprowadził nadkomisarza do biurka i wskazał na laptopa. Na ekranie widniał niedawno wysłany e-mail, ten sam, który przyszedł do Komendy Głównej tuż po dwudziestej trzeciej i który sprowadził ich tutaj. Zabójca nie tylko wysłał e-mail z laptopa Angeliki Blum, ale zostawił komputer otwarty, żeby go znaleźli.

- Skurwysyn! - Fabel poczuł, jak wzbiera w nim czarna furia. Zawsze szczylił się opanowaniem i spokojem, ale ten facet tak mu załazł za skórę, że przełamał wszystkie bariery obronne. - Ten skurwiel się z nami droczy. Tego właśnie chciał, dokładnie tę scenę sobie wyobrażał... ja w tym pokoju z jej ciałem, po raz drugi czytający ten pierdolony e-mail! - Zwrócił się do Braunera: - Czyli był tu około dwudziestej trzeciej?

- Niekoniecznie. Wiadomość została wysłana o określonej, wcześniej zaprogramowanej godzinie. Ale jest coś jeszcze. - Palcem w lateksowej rękawiczce Brauner nacisnął przycisk klawiatury i na ekranie laptopa ukazał się folder desktopa. Teraz sprawdził kilka folderów. Wszystkie były puste.

- Dziwne - powiedział Brauner. - Jaki seryjny zabójca wymazuje wszystkie dane z komputera ofiary?

- Czy mogę zabrać ten sprzęt i dać do zbadania działowi technicznemu?

- Jeszcze nie. Sprawdziliśmy laptopa pod kątem odcisków palców, ale chciałbym też go otworzyć. Klawiatury komputerów mają tyle samo szczelin, co klawiszy; wpadają tam najróżniejsze rzeczy. Przy odrobinie szczęścia możemy znaleźć włos albo kawałki nabłonka naszego zabójcy.

- Bardzo wątpię - powiedział Fabel zgnębionym tonem. - Ten facet nie popełnia błędów. Morduje, co prawda, robiąc straszną jatkę, ale czyni to tak, jakby był w prosektorium. Nie zostawia po sobie żadnych śladów.

- Mimo to warto spróbować - rzekł Brauner. Bezskutecznie próbował dodać koledze otuchy. - Może nam się poszczęści.

- Wątpię. Czy powiedzieć Molierowi, że może wejść?

- Chyba tak - uśmiechnął się Brauner. Wychodząc na korytarz, Fabel sprawdził, jak się miewa Anna Wolff. Spod sterzących czarnych włosów, makijażu i jaskrawoczerwonej szminki wyzierała bladożółta twarz.

- Nic mi nie jest, szefie... Przepraszam. Po prostu tym razem mnie wzięło...

Fabel uśmiechnął się pocieszająco.

- Nie ma sprawy, to się przydarza nam wszystkim. W każdym razie twoja kara będzie surowa: Brauner i jego ludzie nigdy ci tego nie wybaczą.

Werner postukał Fabla w ramię.

- Nie uwierzysz, Janie... Mamy godzinę przyjścia naszego typu.

- Mamy opis?

- Nie najlepszy, ale mamy. Fabel zrobił zniecierpliwioną minę.

- Piętro niżej mieszka pewna laska - ciągnął Werner - Ma około trzydziestu lat i pracuje dla agencji reklamowej albo czegoś równie ważnego i znaczącego. W każdym razie ma nowego chłopaka. Byli na siłowni, skąd wrócili tu około dwudziestej pierwszej. Odniosłem wrażenie, że chłopak miał w planie inny rodzaj ćwiczeń z babką, w pozycji horyzontalnej, ale nie zaprosiła go na górę, bo nie są razem dostatecznie

długo. Mniej więcej o dwudziestej trzydzięci zaparkował po drugiej stronie ulicy. Siedzieli w samochodzie z wyłączonym silnikiem; facet najwyraźniej robił wszystko, żeby namówić ją do zaproszenia go na górę. Właśnie wtedy ujrzeli nadchodzącego mężczyznę. Nie zauważyli samochodu, więc jeśli nim przyjechał, musiał go zostawić gdzieś dalej. Chłopak z dziewczyną zwrócili uwagę na tego gościa, bo zanim zadzwonił domofonem, dokładnie rozejrzał się po ulicy. Dziewczyna powiedziała, że obejrzał nawet hol przez oszklone drzwi.

- Dokładnie mu się przyjrzała?

- Tak dokładnie, jak to możliwe z tej odległości. - Werner otworzył notes, żeby sprawdzić notatki. - Wysoki i mocno zbudowany. Zauważyła, że miał barczyste ramiona. Nie wyróżniał się w tej okolicy, miał na sobie dobry, ciemnoszary garnitur.

To nie mój niski, krępy Słowianin o zielonych oczach, pomyślał Fabel.

- Miał jasne, dość krótkie włosy - ciągnął Werner. - A teraz słuchaj... dziewczyna mówi, że niósł dużą sportową torbę, nakrytą jasnoszarym prochowcem.

- Narzędzia pracy - powiedział Fabel cicho, z goryczą.

- Dziewczyna twierdzi, że wcześniej nigdy go nie widziała, a dozorca uważa, że mógł to być tylko jeden z lokatorów, do którego pasuje opis, jednak dziewczyna mówiła że tamtego zna z widzenia i przysięga, że to nie on. W każdym razie widziała, jak ten człowiek dzwoni domofonem, więc raczej nie był jednym z lokatorów. Mamy do sprawdzenia jeszcze kilka mieszkań, w niektórych nikogo nie ma, ale dotychczas nikt nie potwierdza, by miał gościa pasującego do tego opisu.

- Czy ktoś widział, jak wychodzi?

- Nie. Nikt nie słyszał szamotaniny ani wołania o pomoc. Ściany w tym domu są dość grube, ale można by przypuszczać, że ktoś powinien coś słyszeć.

- Nie daj się zmylić tą masakrą, Werner. Ten facet to zimny drań, wszystko ma zaplanowane co do joty. Poczekamy na pełną autopsję, ale sądząc po stanie jej głowy, przypuszczam, że zanim upadła na podłogę, już nie żyła, albo prawie. Ten

sukinsyn najwyraźniej podał się za policjanta, pewnie za mnie, potem puścił ją przodem. Kiedy odwróciła się do niego plecami, trach - rozwalił jej tył czaszki. Miał dostatecznie dużo czasu, by rozpakować swój mały przyborek i zabrać się do pracy.

Werner pogładził się po jeżu na głowie.

- Ten facet jest przerażający, Janie. Nigdy nie popełnia błędu. Chociaż dzisiaj to się stało. Nie sprawdził ulicy, jak należy. Jednak oprócz tego, że ktoś widział go z daleka, nie zostawił nam nic.

- Zobaczmy, co mają dla nas Brauner i Molier. - Fabel poklepał Wenera po potężnym ramieniu. - Może dzisiaj naszemu gościowi powinęła się noga.

Po powrocie do mieszkania Fabel ujrzał, że patolog Molier nadal stoi obok ciała i robi notatki. Zwrócił się do dwóch techników z zespołu zabezpieczającego.

- Jeśli fotograf skończył, możecie zabrać ciało do kostnicy. - Mówiąc to Molier spostrzegł nadkomisarza i skinął mu głową. Typowa szorstkość go opuściła, a w oczach miał niemal smutek. Ten facet zaczyna wszystkich dołować, pomyślał Fabel.

- Chyba nie zaskoczę cię opinią, że jest to robota tego samego faceta, co w dwóch poprzednich przypadkach.

- Nie - powiedział Fabel. - Wysłał mi e-mail z tamtego komputera.

Molier potrząsnął głową.

- Tak czy owak, zeznam do protokołu, że nie mam najmniejszych wątpliwości: to robota tego samego człowieka lub ludzi. Oczywiście kompletny raport dam ci po pełnej sekcji. Spójrz tutaj... - Patolog ukucnął i wskazał długopisem na miejsce, w którym rozcięto ciało i wyłamano żebra. Fabel zbliżył się, aby dokładniej się przyjrzeć. Widok przywodził na myśl sklep rzeźnika. Skup się, powtarzał sobie Fabel, skup się, nie patrz na osobę, patrz na szczegół. Skup się. Mimo to musiał walczyć z mdłościami.

- Widzisz, gdzie nasz znajomy popełnił drobny błąd? - Molier przesunął długopisem wzdłuż głębokich rowków, odchodzących pod kątem od głównego rozcięcia. - Tu możesz

zobaczyć kształt ostrza. To szeroki brzeszczot o znacznej grubości: coś jakby krótki miecz lub bardzo ciężki nóż myśliwski. Podczas sekcji zrobię kilka zdjęć.

Zanim Fabel się odezwał, powoli zaczerpnął powietrza.

- Czy to jedyna anomalia?

Molier podrapał się po szpakowatej bródce.

- Tak... Właśnie w tym rzecz. To nie był atak w przypiływie szału. Facet się nie spieszył. - Lekarz wskazał na tył głowy Angeliki Blum. - Znowu śmiertelne lub prawie śmiertelne uderzenie w tył czaszki, znowu bardzo ciężkim narzędziem i znowu rozcięcia w celu dostania się do płuc, by zostawić ten... cóż, pewnie znak firmowy.

- Ładny mi znak firmowy - powiedział Fabel.

Molier nie odpowiedział od razu. Do tej pory kuczał, a teraz wstał ze stęknieniem. Spojrzał na ciało niewidzącym wzrokiem.

- Ten człowiek musi być bardzo silny, łagodnie mówiąc. Chirurgiczne otwarcie ciała wymaga zazwyczaj pity do mostka i mechanicznych rozwieraczy klatki piersiowej. Ten facet szlachtuje ofiary ze zdumiewającą precyzją, a następnie rozrywa żebra. Rzadko kiedy spotyka się ludzi o takiej mocy.

Do pokoju weszła Maria i skinęła na Fabla.

- Szefie?

Poszedł za nią do salonu, gdzie czekał już Holger Brauner ze swoimi ludźmi.

- Spójrz na to - powiedział Brauner, wskazując dłonią w rękawicze na stolik do kawy. - Co widzisz?

Fabel spojrział na duży prostokąt jasnego drewna. Stolik wyglądał solidnie i drogo.

- Oprócz stolika do kawy, nie widzę tu nic - wzruszył ramionami.

- Właśnie - odparł Brauner. - Żadnych ozdób. Żadnych popielniczek, ceramiki, książek. - Podniósł jedną z silnych lamp ekipy technicznej. Błat stolika zalało zimne, białe światło. - Popatrz tutaj... - Brauner pochylił się i narysował palcem na blacie kwadrat. - Tutaj coś stało. I tutaj. - Palec Braunera zakreślił okrąg po drugiej stronie stolika. Tutaj też. - Zgasił lampę i odwrócił się do zasłoniętego żaluzjami okna. - Nie

sądziysz, że te okna są fantastyczne? Sprawdziłem kompasem: wychodzą prawie dokładnie na południe. W ciągu dnia słońce wypełnia cały pokój, tworząc pogodną, wesołą atmosferę.

- Co jest, Holger, zmieniasz zawód i wchodzisz w nieruchomości? - spytał Fabel.

- Na pewno zarabiałbym więcej - uśmiechnął się grauner. - Ale nie... rzecz w tym, że meble, także te drewniane, blakną na słońcu. Na tych ciemniejszych miejscach na stoliku do kawy trzymała książki i bibeloty... przedmioty leżące tam prawie stale.

- Ale teraz ich nie ma.

- Otóż to. Nie sądzę, żeby zabrał je sprawca. - Brauner podszedł do kamiennego gzymsu nad kominkiem gazowym. Wziął trzy książki, leżące jedna na drugiej i położył na stoliku. Książka na spodzie stosiku pasowała do nieco ciemniejszego pola, które wcześniej pokazał. Z wysokiego stołu stojącego za Fablem wziął okrągły współczesny wyrób ceramiczny. On także pasował do ciemniejszego pola na stoliku do kawy. - Nasz przyjaciel jest tak dokładny, że z pewnością sprawdził, czy zostawia wszystko w takim samym stanie, w jakim zastał. Pewnie sama Angelika Blum uprzątnęła ten stolik, aby rozłożyć na nim jakieś inne rzeczy. Papiery czy coś w tym rodzaju. Cokolwiek to było, zabójca to zabrał. A potem nie wiedział, co powinien odłożyć na stolik.

- Twierdzisz, że zabiera różne przedmioty jako zdobycze?

- Nie. - Głos Braunera stał się nagle ostry. - Nie uważam, by ten facet był przypadkowym psychopatycznym seryjnym zabójcą. Większość tego typu przestępców zabiera najróżniejsze zdobycze, od należących do ofiar rzeczy osobistych po organy wewnętrzne. A wszystkie zdobycze tego gościa mają charakter dokumentalny. Pamiętasz, jak pytałeś mnie, czy w mieszkaniu drugiej dziewczyny znaleźliśmy dziennik lub notes wizyt? Jedna rzecz naprawdę tu zgrzyta: dlaczego wykasował wszystkie Pliki z jej komputera? Założę się, że im dłużej będziemy szukać, tym mniej będziemy wiedzieć. Ta kobieta była dziennikarką, tak? Fabel przytaknął.

- Pracowała jako wolny strzelec w pokoju obok?

- Chyba tak - odparł Fabel.

- W takim razie sugeruję, żebyś przejrzał jej papiery. Założę się, że i tam czegoś brakuje.

Fabel przeniósł wzrok z Braunera na Marię, a potem na Wenera, który wcześniej wszedł do pokoju i usłyszał główną część wygłaszanej właśnie teorii.

- Twierdzisz, że jest w tym pewien wyższy, obiektywny motyw? Przecież ten facet to psychol...

Brauner wzruszył ramionami.

- To ustali wasz psychiatra kryminalny, ale zgadzam się, że zabójca jest psychotykiem. Nie oznacza to jednak, że musi pasować do wzoru. Słyszałeś o Iwanie Groźnym?

- Oczywiście, że słyszałem.

- Iwan Groźny zjednoczył Rosję. Był ojcem narodu. Zmienił luźny zlepek walczących ze sobą księstw i lenn w jeden spójny naród. To była jego motywacja. Jednak prócz tego, że był monarchą i wodzem, Iwan spełniał też wszystkie kryteria psychotycznego zabójcy. Pod wieloma względami jego osobowość odpowiadała profilowi klasycznego seryjnego zbrodniarza: nieśmiałe, ciche, wrażliwe dziecko, które molestowano od najmłodszych lat. W efekcie, jeszcze w dzieciństwie torturował i zabijał małe zwierzęta. Pierwszego człowieka zabił w wieku trzynastu lat. Potem dopuszczał się niezliczonych gwałtów, mordów, potwornych tortur... smażył swoje ofiary, gotował, nabijał na pal i rzucał dzikim zwierzętom na pożarcie. Mówimy tu o tysiącach gwałtów i setkach morderstw popełnionych osobiście przez Iwana. - Brauner skinął głową w stronę sąsiedniego pokoju. - Gustował nawet w podobnych rytuałach. Miał gwardię osobistą, tak zwanych opryczników. Zorganizował ich niemal jak zakon, ze sobą w roli przeora. Gwałcili, torturowali i okaleczali ofiary, parodiując rosyjską mszę prawosławną.

- Do czego zmierzasz, Holger?

- Tylko do tego, że Iwan najwyraźniej był psychopata. Właściwie socjopata, całkowicie pozbawionym współczucia dla swych ofiar. Był jednak również niezwykle inteligentnym człowiekiem, a jego najgorsze nawet zbrodnie mieściły się w

ramach określonej struktury. Swoją psychopatią posługiwał się jak narzędziem w celu zaprowadzenia terroru i uzyskania kontroli nad państwem i narodem. Chcę powiedzieć, że socjopatyczne zachowania Iwana nie były celem samym w sobie, ale środkiem do celu. Skanalizował psychopatię, aby wcielić w życie swe plany i realizować postawione sobie zadania.

- I uważasz, że ten facet jest taki sam, tylko na mniejszą skalę? - spytał Fabel. Wszystko, co mówił Brauner, pokrywało się z tym, w co sam zaczął wierzyć po drugim morderstwie.

- Tak. Co więcej myślę, że twój zabójca zbyt ostentacyjnie obnosi się ze swą psychopatią. Chce, abyś uwierzył w wybór przypadkowych ofiar i w ten sposób pragnie ukryć swój prawdziwy cel.

- A więc jaki jest jego cel? - Marszcząc brwi Maria wpatrywała się w stolik do kawy, jakby próbowała dostrzec to, co zniknęło.

- Zabija dziennikarkę i, jak sądzimy, kradnie jej dokumenty.

- Skoro rozłożyła je na stoliku, to znaczy, że dokumenty miały związek z artykułem, nad którym pracowała.

- Zabić artykuł, zabijając dziennikarkę? - Maria podniosła wzrok na Fabla.

- Niewykluczone. Ale to nie pasuje do pozostałych zabójstw. Prostyutki i prawniczki.

- Może jednak pasuje, tylko jeszcze nie dostrzegamy związku - powiedział Werner. - Ostatecznie, prawie nic nie wiemy o zamordowanej prostytutce. Może miała związek z artykułem Angeliki Blum. Skandal na tle seksualnym?

- Angelika Blum nie pisała do brukowców, ale jeśli chodziło o skandal na tle seksualnym z elementami polityki albo czegoś innego, to możliwe. - Fabel tarł podbródek, jakby ta czynność miała pobudzić mózg. - Musimy dowiedzieć się, kim była Monique. Musimy też wrócić do pierwszej sprawy. Musimy bliżej przyjrzeć się papierom osobistym Kastner. Nie zajmowaliśmy się jej życiem zawodowym, bo uznaliśmy, że było to przypadkowe zabójstwo. Teraz musimy do tego wszystkiego wrócić. Mario... czy mogłabyś się do tego zabrać? Wiem, pracujesz nad tożsamością drugiej ofiary, ale chciałbym,

żebyś wzięła się również za to.

- Jasne, szefie - odrzekła Maria bez cienia entuzjazmu. Fabel oczekiwał, że na twarzy Wenera odmaluje się zadowolenie - w końcu to nie jemu dołożono pracy. Ale nie. Wenera zirytowało powierzenie Marii tak odpowiedzialnego zadania, Fabel jednak nie miał czasu na dopieszczanie zespołu.

- Werner, chcę, żebyś sprawdził kontakty zawodowe Angeliki Blum. Zobacz, czy uda ci się odkryć, nad czym pracowała. Tymczasem przekonajmy się, czy jeszcze któryś z mieszkańców zauważył naszego tajemniczego gościa

- Przy okazji, Janie - wtrącił Brauner. - Znaleźliśmy drugi zestaw odcisków palców.

- Tak? - Fabel uniósł brwi.

- Nie podniecaj się nadmiernie. Te odciski są w całym mieszkaniu, jedne nowe, inne zupełnie stare i trudne do pobrania, ale według mnie należą do tej samej osoby. Kogoś, komu mieszkanie pani Blum było od pewnego już czasu dobrze znane. To raczej nie nasz gość.

Fabel poczuł nagły odpływ energii, jakby adrenalina przestała działać; jego ciało i umysł znów ogarnęło znużenie. Wrócił do gabinetu martwej dziennikarki.

Spojrzał na zmasakrowane ciało, które jeszcze niedawno było Angeliką Blum. Medycy rozłożyli worek i zabierali się do pakowania zwłok. Patrzył jak pod zapinaną na suwak folią znikają szczątki kobiety, która kilkakrotnie próbowała się do niego dodzwonić. Uznał te telefony za zbyt błahe, by wymagały odpowiedzi; prowadził przecież dochodzenie w sprawie morderstwa. Teraz częścią tego dochodzenia stała się ona. Fabel wiedział, że uciskający go w piersiach ciężar to poczucie winy. Rzekł do kobiety, która już nie mogła go usłyszeć:

- Cóż, byłoby lepiej, gdybym się dowiedział, co, u diabła, chciałaś mi powiedzieć.

Niedziela, 15 czerwca, 9.45. Harburg, Hamburg

Hansi Kraus bardziej przypominał charta whippetta niż człowieka: szkielet obciągnięty szarą skórą. Oczy, głęboko osadzone w ściągniętym pyszczku gryzonia, w dzieciństwie były jasnoblękitne, ale po piętnastu latach zażywania porażających ilości heroiny stały się matowe i niebieskawoszare. Hansi leżał w skłocie, na zaplamionym materacu, wydzielającym stęchły odór brudu, na który Hansi nie zwracał uwagi głównie dlatego, że był nieodłączną częścią jego samego. Leżał z głową wspartą na dłoni, drugą przykładając papierosa do wąskich warg.

Hansi musiał się wyluzować. I to szybko. Wiedział, że ćmiący ból, który odczuwał w chudym ciele, wkrótce przybierze straszliwe rozmiary. Ale luz wymagał kasy, a Hansi był pusty. Pomimo rozmiarów i regularności nałogu raczej nie mógł liczyć na to, że dostawcy udzielą mu kredytu. Jebane Turkole. Jednak pozycja negocjacyjna Hansiego niedawno znacznie się wzmocniła. Opuściwszy nogi, usiadł na krawędzi barłogu. Mrużąc oczy od dymu z papierosa, sięgnął oburącz pod łóżko. Ciągle tam leżał. Przez kilka sekund trwał w tej pozycji ze zmrużonymi oczami, nasłuchując odgłosów dobiegających z głębi domu: na dole rozlegał się gruzliczy kaszel, gdzieś obok grało radio. Wreszcie wyciągnął owinięty w brudne szmaty mały pakunek i położył na materacu. Ostrożnie go odwinął, odsłaniając błyszczący pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Hansi nie miał pojęcia o broni, ale wiedział, że ta jest wyjątkowa. Sprawiała wrażenie drogiej. Ozdobne grawerunki wyglądały na inkrustowane złotem. Znak firmowy był zagraniczny; po drukowanych literach cyrylicy - rosyjski albo cholera wie jaki, pomyślał Hansi - następowała liczba dwanaście. Hansi z powrotem zawinął szmaty, starając się nie dotknąć pistoletu: nie chciał, by w jakikolwiek sposób

połączono go z tym, co przydarzyło się temu biednemu skurwielowi na basenie.

To było przedwczoraj wieczorem. Hansi kupował towar od Turka jak zwykle na opuszczonym basenie. Ilekroć miał trochę kasy, kupował zapas nery, którego część odsprzedawał. Turcy nie mieli nic przeciwko temu, pod warunkiem że nie handlował na dużą skalę i nie wchodził na ich teren. Ale w piątek Hansi miał tylko tyle, by kupić towar wyłącznie na własne potrzeby. Turek właśnie sobie poszedł, aby znów krążyć po ulicach, a Hansi poczuł nagle, że musi się wypróżnić. Przywykł już do naprzemiennych bolesnych zatwardzeń i biegunek, towarzyszących ćpaniu. Właśnie kończył tworzyć gówniane reliefy na zdewastowanej posadzce, kiedy usłyszał podjeżdżający samochód. Nie było żadnej ostrzegawczej łuny świateł; wóz najwyraźniej podjechał na zgaszonych. Dzięki wieloletniemu stażowi na ulicy Hansi wyrobił sobie szósty zmysł, który teraz mówił mu, że trzeba zniknąć, toteż pospiesznie podciągnawszy dżinsy, ukrył się za drzwiami dawnej przebieralni.

Instynkt Hansiego nie mylił. Na basen weszło trzech mężczyzn: jeden starszy, drugi młodszy o wyglądzie kulturysty oraz jakiś biedny dupek z workiem na głowie i rękami związanymi na plecach. Hansi bez pomocy łopaty zrozumiał, że weszło trzech, ale wyjdzie dwóch. Obserwował ich przez półkoliste okno w ocalałym skrzydle podwójnych drzwi, gdy podszedł do nich ten młodszy skurwiel z bronią w jednej urękawiczonej dłoni i latarką w drugiej. Hansi ledwo zdążył odskoczyć w głąb; starał się nie narobić hałasu ani nie potknąć na zawalonej śmieciami podłodze. Tamten poświecił latarką do wnętrza, sprawdzając, czy nikogo tam nie ma. Hansi powoli wypuścił powietrze. Usłyszał głos starszego i ostrożnie wrócił do drzwi. Przegrańcowi z workiem na głowie kazali uklęknąć, Hansi usłyszał krzyk „nie!”. Potem był błysk i głuchoe puknięcie wystrzału. Hansi spodziewał się jaśniejszego błysku i głośniejszego huku, ale zauważył przedłużenie lufy. Tłumik. Łuska z brzękiem spadła na popękane kafelki.

Dwaj mężczyźni nie spieszyli się z odjazdem. Właśnie wtedy

Hansi zobaczył najdziwniejszą rzecz. Wychodząc z basenu, podnieśli pokrywę stojącego przy drzwiach starego pojemnika na śmieci, a młodszy wrzucił tam broń. Najwyraźniej nie obawiali się, że ktoś znajdzie spluwę, z której zdmuchnięto faceta. Przecież zaledwie kilkaset metrów dalej znajdował się kanał, który z pewnością pochłonął już wiele dowodów. Wyrzucenie klamy tutaj wręcz prosiło się o jej wyciągnięcie. Po odjeździe mężczyzn Hansi uczynił to bez oporów.

Dzięki temu miał coś do zaoferowania zamiast kasy. Numer komórki Turka znał na pamięć; wiedział, że teraz była najlepsza pora, by go złapać. Hansi zwłókł się z barłogu, włożył starą kurtkę z demobilu, którą nosił w słońcu i ślocie, zimą i latem. Podniósł starannie owinięty pakunek i wsunął do jednej z przepastnych kieszeni. Pomysł chodzenia ze spluwą wcale mu się nie podobał, ale wiedział, że wszystko, co zostawiało się w tym młynie, lubiło dostawać nóg.

Wyszedł na klatkę schodową, a stamtąd po rozchybotanych schodach na ulicę, zastanawiając się, gdzie może znaleźć najbliższy jeszcze nierozwalony telefon.

Poniedziałek, 16 czerwca, 10.05. Komenda Główna Policji, Hamburg

Fabel stał w sali konferencyjnej przy stole z wiśniowego drewna, czekając, aż pozostali zajmą miejsca. Odwrócił się do wiszącej za nim tablicy, która była graficznym obrazem przebiegu dochodzenia. Teraz przybywało na niej treści. Na mapie Hamburga i okolic zaznaczono chorągiewkami dwa miejsca zabójstw w mieście oraz miejsce, gdzie znaleziono ciało Ursuli Kastner.

Obok fotografii dwóch poprzednich ofiar zawisło zdjęcie zmasakrowanego ciała Angeliki Blum. Przy kopiach e-maili od zabójcy widniały fotokopie stron z opracowań akademickich na temat rytuałów wikingów. Na środku białej planszy Fabel wypisał nazwiska trzech ofiar, przy czym drugą opatrzył tylko pytaniem „Monique?”. Nad nazwiskami napisał „Syn Svena” oraz „Krwawy Orzeł”. Po prawej stronie nazwisko „Hans Klugmann” zostało połączone pionową strzałką z „Arno Hoffknechtem”, który z kolei łączył się strzałką z „Ulugbejem/Yilmazem”. Obok Fabel wypisał słowo „Ukraińcy”, opatrując je znakiem zapytania. Po drugiej stronie tablicy wypisał nazwiska dwóch zgwałconych dziewcząt, którym podano „pigułkę gwałtu”. Nazwiska te łączyły się ze słowami „Krwawy Orzeł” linią, przerwana słowami „kult Odyna?”.

Na stole przed Fablem leżałateczka sprawy, uzupełniona jego raportem z tego, co usłyszał od profesora Dorna oraz wstępnymi raportami techników śledczych i patologów, pracujących nad zabójstwem Blum. W mieszkaniu Soni znaleziono telefon komórkowy Klugmanna, który teraz leżał, w plastikowej torebce na dowody rzeczowe, na teczce. Wokół stołu zebrał się cały zespół wydziału zabójstw z wyjątkiem Marii Klee: Fabel, Werner Meyer, Anna Wolff i Paul Lindemann. Fabel zirytował się nieobecnością Marii.

- Kończy jakąś sprawę - wyjaśnił Werner. - Za moment przyjdzie.

Oprócz podstawowego składu zespołu w sali stało się też pół tuzina detektywów z dochodzeniówki, ściągniętych przez van Heidena do pomocy Fablowi. On sam zadzwonił wcześniej do Susanne Eckhardt, która dołączyła do zebrania. Siedzący u szczytu stołu van Heiden z beznamietną twarzą słuchał relacji Fabla z rozmowy z Dornem. Kiedy ten skończył, pierwsza zabrała głos Susanne Eckhardt.

- Widzę, że profesor Dorn umie wykorzystać swoje doświadczenie z pracy historyka, ale dlaczego angażuje się w cóż, mówiąc szczerze, amatorską psychologię? Określił modus operandi jako odzwierciedlenie rytuału ofiarnego, ale chyba też nań ekstrapolował profil mordercy.

- Profesor Dorn od lat pracuje z przestępcami - powiedział Fabel.

- To chyba jednak nie daje mu kwalifikacji do... Fabel odwrócił się i spojrzał Susanne prosto w oczy.

Kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiały ostre, zimne tony.

- Podczas studiów uniwersyteckich chodziłem do Dorna na wykłady z historii Europy. Jego córkę, Hannę, uprowadzono, torturowano, zgwałcono i zamordowano. Około dwudziestu lat temu. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Profesor Dorn, śmiem twierdzić, pojmuje zjawisko morderstwa... - szukał właściwego słowa - w bardziej osobisty sposób niż my.

Fabel nie powiedział, że w tym czasie Hanna Dorn była jego dziewczyną. Ze chodzili ze sobą zaledwie parę tygodni. Ze właśnie przechodzili z fazy skrępowania w fazę intymności, kiedy niepozorny trzydziestoletni sanitariusz Lutger Voss porwał Hannę z ulicy, kiedy właśnie wracała z ich wspólnej randki. Policja pytała Fabla, dlaczego nie odprowadził jej do domu. Sam wielokrotnie zadawał sobie to pytanie, gdyż odpowiedź, że właśnie przygotowywał jakąś pracę semestralną, nigdy go nie zadowoliła. Fabel skończył studia przed procesem. Zaraz po jego zakończeniu wstąpił do policji hamburskiej.

Niezręczne milczenie przerwał van Heiden.

- Na ile to wszystko jest prawdopodobne, pani doktor? Czy

według pani nasz psychopata wierzy w te bzdury o „Krwawym Orle”?

- Możliwe. Nie można tego wykluczyć. To by tłumaczyło religijny ton e-maila. Jeśli jednak jest to prawda, to mamy do czynienia ze znacznie bardziej wyrafinowaną i uporządkowaną odmianą psychopatii. Wyobrażam sobie, że wszystko planuje szczegółowo i z dużym wyprzedzeniem. Czyli że margines przypadku będzie w jego działaniach ograniczony do minimum.

Fabel z westchnieniem rzucił na stół ołówek, który obracał w palcach.

- A to z kolei oznacza, że jest mało prawdopodobne, by powinięła mu się noga i zostawił jakiś ślad. Motywacja religijna może oznaczać, jak wcześniej podejrzewaliśmy, prowadzenie przez tego człowieka jakiejś krucjaty... chyba że to wszystko jest zasłoną dymną. Przynajmniej częściowo...

- Co masz na myśli? - spytała Susanne.

- Nie do końca wiem, co mam na myśli. Nie wątpię, że nasz facet wierzy w te bzdury, ale może to nie one go napędzają. Może ukrywa zupełnie inny motyw. Dlaczego wymazał wszystko z komputera Blum? Dlaczego wykrał jej dokumenty? Nie ja jeden żywię takie wątpliwości. Fabel streścił teorię Braunera.

- Pani doktor? - poprosił o komentarz van Heiden.

- Możliwe. - Susanne zmarszczyła brwi. - Ludzie, którzy mają motyw do morderstwa, często „przebierają” ten motyw tak, by pasował do innego psychologicznego wizerunku. - Susanne znowu zwróciła się do Fabla. - Twierdzisz, że metoda może być różna od motywu? Że mamy do czynienia z potrzebą zabijania w celach innych niż czerpanie przyjemności lub psychotyczne zaspokojenie?

- Otóż to.

- Niewykluczone. Nie mówię, że to bardzo prawdopodobne, ale nie jest wykluczone.

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się i weszła Maria Klee z grubą teczką. Przeprosiła za spóźnienie, ale bynajmniej nie wyglądała na skruszoną; przeciwnie, sprawiała wrażenie

bardzo z siebie zadowolonej. Po chwili przerwy Fabel mówił dalej.

- Pewność mogą nam dać tylko nowe fakty. Musimy dążyć głębiej. Musimy odnaleźć Klugmanna i dowiedzieć się, co przed nami ukrywa. Jeżeli istnieje związek między ofiarami, musimy go znaleźć. Czy posunęliśmy się naprzód w poszukiwaniach?

- Nie, szefie - odparła Anna Wolff. - Przykro mi, ale Klugmann najwyraźniej potrafi zapadać się pod ziemię. Obserwujemy jego dziewczynę Sonię, ale nie próbował się z nią kontaktować.

Fabel potarł podbródek kciukiem i palcem wskazującym-

- Musimy bliżej przyjrzeć się wątkowi odynistycznemu. Należy sprawdzić Świątynię Àsatrù. Werner, chciałbym, żebyś znowu złożył wizytę panu MacSwainowi i zapytał, gdzie był w chwili zabójstwa Angeliki Blum.

- Myślisz, że to on?

- Cóż, nie mieliśmy czasu wziąć go pod obserwację, a mniej więcej pasowałby do opisu, jaki dostaliśmy od dziewczyny w samochodzie przed domem Blum. Chociaż, jeśli opis jest dokładny, to włosy MacSwaina są za ciemne. - Fabel urwał. Myślał intensywnie, a konkluzja wywołała na jego twarzy wyraz gorzkiej irytacji. - W żaden sposób nie zdołamy połączyć tych trzech ofiar, nie znając tożsamości jednej z nich. Musimy się dowiedzieć, kim jest Monique. To nasze zadanie numer jeden. Ktoś gdzieś musi wiedzieć, kim ona jest.

Maria Klee walnęła w stół przyniesioną teczką. Wszyscy spojrzeli w jej stronę: uśmiechała się szeroko, co było do niej niepodobne.

- Ja wiem.

- Co? - zapytali jednocześnie van Heiden i Fabel.

- Wiem, kim jest Monique. I mówię ci, szefie, to prawdziwy dynamit. - Maria odwróciła się do van Heidena z wyzywającym wyrazem twarzy. - Ktoś gdzieś ukrywał kluczową dla tego śledztwa informację.

- Na miłość boską, Mario, po prostu powiedz nam, kim ona jest. - W głosie Fabia brzmiało napięcie. To był największy przełom w dotychczasowym śledztwie.

- Ofiara nazywa się Tina Kramer. Miała dwadzieścia siedem lat. - Proste na pozór oświadczenie Marii zelektryzowało duszne powietrze w sali konferencyjnej. - Dobra wiadomość jest taka, że dowiedziałam się, jak ona się nazywa. Zła wiadomość to sposób, w jaki się tego dowiedziałam.

- Do rzeczy, Mario - powiedział Fabel.

- Jak wiecie, dokonałam rutynowego przeglądu akt - naszych własnych i Federalnego Urzędu Kryminalnego. Bez rezultatów. Wtedy poszerzyłam krąg poszukiwań. - Maria przerwała, jakby dając pozostałym czas na wzięcie się w garść. - Zaczęłam szukać wśród oficerów policji.

Otworzyła teczkę i wyjęła fotografię całej postaci. Obeszła stół i przypięła zdjęcie na tablicy, obok miejsca, gdzie Fabel napisał „Monique”. Maria klepnęła zdjęcie, jakby chciała je nieodwracalnie przykleić do tablicy. Starła imię „Monique”, a w jego miejscu napisała czerwonym flamastrem „TINA KRAMER”. Fabel wstał i przyjrzał się twarzy na zdjęciu, tej samej, która widniała na sąsiedniej fotografii z kostnicy. Włosy były ciemniejsze, niż zapamiętał, mocno ściągnięte do tyłu. Kobieta miała na sobie koszulę mundurową w kolorze musztardowym z zielonymi naramiennikami. Fabel usłyszał, jak panujące za jego plecami napięte milczenie wybucha podnieconym gwarem rozmów.

- Cholera, nie do wiary... Jedna z nas?

- Tak. W każdym razie częściowo. Ona jest... - Maria poprawiła się. - Była w policji Dolnej Saksonii. Miała stopień komisarza policji porządkowej. Zdołałam ustalić, że najpierw służyła u nas w Hamburgu i - uważajcie - przeszła w gestię Federalnego Urzędu Kryminalnego, a konkretnie do BAO również tu, w Hamburgu. - Maria przejrzała znajdujący się w tezcze raport. - Nie ma mowy o żadnym fałszowaniu danych. W 1995 roku Tina Kramer służyła w policji Dolnej Saksonii, w specjalnym oddziale operacyjnym Sonder Einsatz Kommando, stacjonującym w Hamburgu. Był napad na furgonetkę z pieniędzmi, wywiązała się strzelanina między napastnikami i ochroną. Tina dostała w prawe udo. To z całą pewnością nasza dziewczyna.

- Przeniesiono ją do BAO? - spytał lodowatym tonem Fabel, zwracając się do van Heidena.

- Wykluczone. - Van Heiden skrzywił się i uniósł dłonie, jakby odpychał oskarżenie. - Nic o tym nie wiedziałem! Besondere Aufbau-Organisation posiada dosyć autonomiczną strukturę, ale, na Boga, dowiem się, kto autoryzował przeniesienie bez mojej wiedzy i zgody.

- Chcę dobrze zrozumieć - wtrąciła Susanne. - BAO jest jednostką specjalną, powołaną do walki z międzynarodowym terroryzmem?

- Tak - odparła Maria. - BAO opiera się na współpracy z nami, Federalnym Urzędem Kryminalnym, tajną służbą BND oraz amerykańskim FBI. Głównym celem BAO jest zbieranie informacji.

- Oprócz tego, prawdopodobnie, prowadzą tajne operacje - dorzucił Fabel, po czym zwrócił się do Marii: - Czy ona nadal jest przypisana do BAO?

- Tak. Przeniesiono ją niewiele ponad rok temu. Van Heiden i Fabel wymienili spojrzenia, ale to Werner wyraził myśli wszystkich.

- Tuż przed zwolnieniem Klugmanna ze służby. Ta ofiara... - Spojrzał na Marię.

- Tina Kramer.

- Ta ofiara, Tina Kramer - ciągnął Werner - służyła w BAO, tajnej jednostce wywiadowczej do spraw przestępczości zorganizowanej i walki z terroryzmem, a ponadto dawniej służyła w SEK. Klugmann jest byłym członkiem MEK.

Maria Klee wróciła do stołu, usiadła i przeczesła palami krótkie jasne włosy.

- Do tego należy dodać, że zniknęła kamera wideo i to, co za jej pomocą nagrano. Wszystko zaś dzieje się w czasie, kiedy zamordowano jednego z ojców chrzestnych mafii. - Maria pochyliła się do przodu, splatając palce i opierając łokcie na stole. - Pamiętasz, wydawało mi się, że skądś znam Klugmanna?

- Tak... Boże, zgadza się - powiedział Fabel. - Tylko nie mogłaś sobie przypomnieć skąd.

- To mi nie dawało spokoju. Nigdzie nie mogłam gościa umiejscowić. Kiedy jednak dowiedziałam się, kim była Tina Kramer, postanowiłam sprawdzić akta Klugmanna w Federalnym Urzędzie Kryminalnym. Wyobraź sobie, że jego dane stamtąd nie zgadzają się z informacjami o służbie Klugmanna w policji hamburskiej. W datach panuje kompletny chaos. Dotyczy to zwłaszcza zwolnienia go ze służby w wojsku. Wyszedł o sześć miesięcy wcześniej, niż jest tu napisane, a okazuje się, że służył w bardzo ciekawym miejscu.

- Gdzie.

- W Weingarten.

Fabel uśmiechnął się gorzko, ze zrozumieniem.

- Oczywiście. Mogłem się domyślić. Szkoła Dalekiego Zwiadu NATO?

- Otóż to.

- Fabel? - odezwał się van Heiden i machnął ręką, co miało wyrażać zniecierpliwienie i dezorientację.

- Teraz mamy ich tu od cholery i ciut-ciut. Jeśli tylko coś używa inicjałów, to na pewno wsadza nos w nie swoje sprawy. - Oparł się na krzesło i cisnął ołówek na stół. - W Szkole Dalekiego Zwiadu w Weingarten szkoli się ludzi z GSG9. Elitarna jednostka antyterrorystyczna, która oficjalnie składa się z policjantów i jest częścią Federalnej Policji Granicznej. Mimo to nasi brytyjscy kuzyni przysyłają swoich ludzi z SAS, żeby szkolili GSG9.

- Kiedy tylko to zobaczyłam, wszystko zaskoczyło - powiedziała Maria. - Klugmanna poznałam na seminarium w Weingarten, kiedy oddelegowano mnie do MEK. Możliwe, że zamieniłam z nim tylko kilka słów i nawet nie wiedziałam, jak się nazywa. Wtedy był gładko ogolony i znacznie szczuplejszy, ale założył się o miesięczną pensję, że to był Klugmann. - Zacisnęła wargi tak, że utworzyły wąską prostą kreskę. - To jest tajna operacja. Klugmann jest tajniakiem, który posługuje się swoją prawdziwą historią, aby się uwiarygodnić. Tina Kramer jest jego oficerem prowadzącym. Dostała fałszywą tożsamość, ale nie była głęboko zakonspirowana.

Fabel wziął głęboki wdech.

- Zgadza się! Szlag by to trafił! Właśnie w tę stronę zmierzała cała ta cholerna sprawa. Nasz tak zwany przypadkowy seryjny zabójca załatwił agentkę federalną. Ładny mi przypadek! Teraz musimy się cofnąć do pierwszego zabójstwa, tej prawniczki, i sprawdzić, czy istnieje związek między nią a tą naszą policjantką. Następnie obydwie kobiety trzeba porównać z Angeliką Blum. - Fabel odwrócił się do van Heidena. - Trzeba kogoś solidnie kopnąć w dupę, panie naczelniku. Ktoś szlachtuje kobiety, a ci idioci bawią się w Jamesa Bonda. Tożsamość tej dziewczyny należało nam ujawnić natychmiast po zabójstwie.

- To wyjaśnia zagadkę dwunastominutowej rozmowy telefonicznej z nieistniejącym numerem - wtrącił Werner.

- Boże... racja! - Fabel uderzył dłonią w stół. - Klugmann musiał dzwonić po instrukcje. Tamtej nocy ten biedny drań musiał naprawdę doznać szoku. Znajduje dziewczynę, która była jego kontaktem, porzniętą mięso u rzeźnika, więc dzwoni do oficera prowadzącego i pyta, co robić. Mówią mu, żeby zawiadomił policję, ale każą mu nie ujawniać się i pozostać w ukryciu, skurwysyny! - Fabel znowu zwrócił się do van Heidena. - To jest utrudnianie śledztwa i zatajanie dowodów. Chcę, żeby ci ludzie trafili za to do pudła. Czy mam pańskie wsparcie?

Fabel spodziewał się, że van Heiden będzie wkurzony tym, że wywiera się na niego presję w obecności całego zespołu. Jednak napięta twarz naczelnika była zdecydowana.

- Dopilnuję, by otrzymał pan wszystko, czego pan potrzebuje, nadkomisarzu.

Fabel podziękował skinieniem głowy. Van Heiden był mimo wszystko prostolinijnym, przyzwoitym gliną. Zwrócił się do swoich dwojga współpracowników.

- Dobra robota, Mario, cholernie dobra robota. Ty też, Werner... dzięki za wyjaśnienie sprawy tego telefonu.

- Skoro o tym mowa... - Van Heiden podniósł słuchawkę, nacisnął guzik i polecił swojej sekretarce: - Proszę mnie połączyć z nadkomisarzem Wallensteinem z BAO...

Fabel powstrzymał szefa gwałtownym ruchem ręki. Van

Heiden odwołał rozmowę i odłożył słuchawkę.

- Co ci chodzi po głowie, Fabel?

Ten wyjął telefon komórkowy Klugmanna z torebki na dowody rzeczowe. Spojrzał pytająco na van Heidena, który z powagą skinął głową. Fabel włączył komórkę, popatrzył na ostatni wybrany numer, po czym wystukał go na klawiaturze telefonu na stole konferencyjnym. Wszyscy słyszeli, jak aparat po drugiej stronie dzwoni trzy razy. Ktoś odebrał, ale się nie odezwał.

- Mówi nadkomisarz Fabel z wydziału zabójstw w policji hamburskiej. Masz słuchać bardzo, bardzo uważnie i przekazać tę informację przełożonym. Wasza operacja została całkowicie skompromitowana. Wiemy o Tinie Cramer i waszym drugim agencie. - Fabel celowo nie wymienił nazwiska Klugmanna. Ten nadal przebywał gdzieś w terenie, więc gdyby mylił się co do osoby po drugiej stronie, wymienienie nazwiska agenta mogło się okazać śmiertcionośną pomyłką. - Siedzę tu razem z naczelnikiem van Heidenem z policji hamburskiej i wkrótce złożymy pełny raport burmistrzowi oraz Federalnemu Urzędowi Kryminalnemu. - Zamilkł na chwilę. W słuchawce nikt się nie odezwał, ale też nie przerwał połączenia. W głosie Fabla zabrzmiały twardsze tony. - Wasz agent jest w niebezpieczeństwie, stracił przykrywkę. Nie wiem, jakie są wasze cele, ale teraz są one nieosiągalne. W chwili obecnej tylko utrudniacie ważne śledztwo w sprawie zabójstw. Jeśli nie będziecie z nami w pełni współpracować, obiecuję zrobić wszystko, żeby ludzie odpowiedzialni za tę operację ponieśli konsekwencje.

Milczenie w słuchawce zdawało się trwać wieczność, ale w końcu kobiecy głos zapytał:

- Czy zatrzymaliście naszego agenta?

Z wyrazem bliskim triumfu Fabel spojrzał po zebranych przy stole.

- Nie, wciąż jest w terenie. Szukamy go. Z kim rozmawiam?

Kobieta zignorowała pytanie.

- Straciliśmy łączność z naszym agentem. Jeśli go zlokalizujecie, dajcie nam znać pod ten numer. Wkrótce ktoś

się z panem skontaktuje, panie nadkomisarzu. - Pouczenie przerwano. Fabel zaśmiał się gorzko.

- Zawsze uważałem, że Klugmann jest zły. Nigdy nie pomyślałem, że mógłby być zły we właściwy sposób, jeśli wiecie, co mam na myśli.

- On nadal pracuje, prawda? - spytał Werner.

- Mhm. Nie wiem dla kogo, ale się domyślam. Zresztą, wkrótce się dowiemy...

W pokoju panowała cisza. Nikt nie zauważał dziwaczności sytuacji: pomieszczenie pełne siedzących i stojących policjantów, niemal namacalne napięcie w powietrzu, a wszystkie oczy wpatrzone w telefon komórkowy zaginionego tajnego agenta. Minęło kilka minut. Dźwięk dzwonka nagle wypełnił pokój. Wszyscy podskoczyli.. Tym razem to Fabel zachował milczenie, podniósł aparat i nacisnął przycisk odbioru.

- Nadkomisarz Fabel?

Fabel natychmiast poznał ostrożny głos w słuchawce, ale w tej chwili olewał uprzejmości.

- W ciągu godziny ma pan być w moim gabinecie, pułkowniku Volker.

Odłożył słuchawkę.

W ciągu niespełna dwudziestu minut Fabel zakończył naradę w sali konferencyjnej, przydzielając zadania poszczególnym członkom swego zespołu. Potem usiadł w gabinecie i czekał. W telefonie włączył pocztę głosową, a Wernerowi i Marii powiedział, że potrzebuje kilku minut, żeby przygotować się na przyście Volkera. Chciał zebrać luźne myśli, fakty i teorie, które rozproszyła informacja o tożsamości drugiej ofiary. Spojrzał przez okno na Winterhuder Stadtpark i miasto w oddali, ale niczego nie widział. Myślami błądził po mrocznej krainie, opisywanym przez Yilmaza szarym półświecie, gdzie przestrzeń zajmowana przez przedstawicieli prawa leży gdzieś pomiędzy tym, co legalne, a tym, co skuteczne, przestrzeń skryta w cieniu.

Nie jest łatwo być Niemcem. Dźwiga się nadmierny bagaż najnowszej historii, podczas gdy inni Europejczycy podróżują stosunkowo mało obciążeni. Na dziesięć wieków kultury i osiągnięć padł cień dwunastu lat w połowie dwudziestego wieku, dwunastu lat, podczas których bezprzykładne zło zyskało prawo obywatelstwa. Te dwanaście lat określiło „niemieckość” w oczach świata i większości samych Niemców. Od tej pory przestano im ufać. Sami nie mogli już sobie ufać.

Każdy Niemiec kierował tę nieufność na inny przedmiot, inną cechę niemieckiego stylu życia. Dla jednych rzecz miała wymiar geograficzny: Niemcy z północy nie ufali Niemcom z południa z powodu faszystowskiej zaściankowości tych ostatnich; Niemcy z zachodu, czyli Wessis, nie ufali Ossis, Niemcom ze wschodu, ponieważ obawiali się, że nazizm uległ tam zamrożeniu w lodówce komunizmu, a teraz zacznie tajać. Jeszcze inni kierowali się podziałami pokoleniowymi: demonstranci z lat 1968 i 1969, którzy buntowali się przeciwko pokoleniu wojennemu oraz tradycyjnemu niemieckiemu konserwatyzmowi; członkowie tego nowego pokolenia zwracali się do siebie per ty zamiast per pan, liberalizując w ten sposób język niemiecki i czyniąc go mniej formalnym.

Nieufność Fabla koncentrowała się na ukrytych mechanizmach państwa: głębokich narządach wewnętrznych nowej demokracji, przeszczepionych z umierającej dyktatury. W samym zaś centrum tej nieufności Fabla znajdowała się BND.

Bundesnachrichtendienst (Federalną Służbę Wywiadowczą) powołano do życia w 1965 roku. Jako przeciwwaga dla NRD-owskiej Stasi, czyli Staatssicherheitsdienst (Państwowej Służby Bezpieczeństwa), stanowiła część maszyny zimnowojennej. Pierwszym dyrektorem BND był generał Gehlen. Bo tak naprawdę BND działała już od końca drugiej wojny światowej jako Organizacja Gehlena. Gehlen służył w stopniu generała w nazistowskiej Abwehrze, która umieszczała szpiegów w Zjednoczonym Królestwie, Stanach Zjednoczonych i na całym świecie. Abwehra pełniła też funkcje kontrwywiadowcze, tropiąc agentów ruchu oporu i szpiegów w okupowanej

Europie. Przejawiała nieco mniejszy apetyt na tortury niż gestapo czy SS. Po wojnie Amerykanie stanęli w obliczu nowego zagrożenia: sowieckiego komunizmu, nie mieli skutecznej siatki wywiadowczej zorientowanej na Wschód. Znali jednak ludzi dysponujących taką siatką, a mianowicie Niemców. W Pullach pod Monachium założono „Południowoniemiecką Agencję Rozwoju Gospodarczego”, na której czele stanął Gehlen. Alianci zapewnili go, że może korzystać ze wszystkich ludzi, jacy tylko okażą się potrzebni.

Gehlen zrobił objazd obozów internowania, uwolnił dziesiątki byłych esesmanów i wcielił ich do nowej siatki wywiadowczej. Zrobił to przy pełnej współpracy i za zgodą aliantów. Najwyraźniej nie był to czas, by rozczulać się nad kilkoma milionami Żydów.

Organizacja Gehlena oraz jej następczyni, BND, bynajmniej nie miały na koncie samych sukcesów. Wschodniemiecka Stasi zinfiltrowała tę organizację już na początku jej istnienia; doszło do kilku spektakularnych publicznych wpadek. Po zjednoczeniu Niemiec BND straciła rację bytu i zaczęła się rozglądać za nowym polem działania. Walka z terroryzmem, w którą organizacja angażowała się od końca lat sześćdziesiątych, zyskiwała wtedy na znaczeniu. W tym okresie świeżo powstałe ultrapravicowe grupy neonazistowskie konkurowały z odłamami lewicowymi w rodzaju Frakcji Czerwonej Armii. W połowie lat dziewięćdziesiątych postanowiono, że BND powinna włączyć się do walki z przestępczością zorganizowaną, na co Fabel i inni zawodowi policjanci patrzyli z głębokim sceptycyzmem. Nadkomisarz zdawał sobie sprawę, że złowrogie mechanizmy państwowe, stworzone przez nazistów, rzuciły długie, mroczne cienie. Jego zdaniem BND na wół leżała w tym cieniu. Fabel nie ufał BND. Volker był z BND.

Po jasnym niebie płynęło kilka chmur. Fabel nadal patrzył przez okno na miasto takim wzrokiem, jakby pragnął przeniknąć to, co widzialne. Od Volkera do Klugmanna. Od BND do GSG9.

Na blacie leżały sfalszowane akta Klugmanna. Odszedł od okna i ponownie spojrzął na fotografię. Pozycja, jaką

Klugmann zajmował w śledztwie, uległa zmianie. Twarz w aktach była ta sama, ale Fabel widział ją w nowym świetle, inaczej odczytywał jej rysy. Raczej nie miał wątpliwości, że Klugmann był agentem GSG9, czyli, technicznie rzecz biorąc, policjantem. GSG9 - Grenzschutzgruppe (Grupa Straży Granicznej) Neun - należała do Niemieckiej Federalnej Policji Granicznej, ale jej agenci nie mieli nic wspólnego ze sprawdzaniem paszportów czy szukaniem nielegalnych imigrantów pod podwoziami ciężarówek. Ironia losu sprawiła, że GSG9 zrodziła się z nieufności Niemców do samych siebie.

Decyzja o zorganizowaniu igrzysk olimpijskich w Monachium w 1972 roku stanowiła punkt zwrotny w historii Niemiec. Zamysł był taki, by obraz wynikający z połączenia koncepcji Niemiec z tradycją olimpijską przestano kojarzyć wyłącznie ze swastykami powiewającymi w 1936 roku podczas olimpiady w Berlinie. 5 września 1972 roku o wpół do piątej rano było jeszcze ciemno. Przez wioskę olimpijską w Monachium szła niewielka grupa w obowiązujących tu strojach, niosąca torby sportowe. Zmierzała na Connollystrasse 31, gdzie mieszkała ekipa izraelska. Szesnaście godzin później, na płycie lotniska w bazie wojskowej Fürstenfeldbruck, ponad dwadzieścia kilometrów na zachód od wioski olimpijskiej, leżały poskręcane metalowe resztki wysadzonego helikoptera, ciała pięciu zabitych terrorystów z grupy Czarny Wrzesień, jeden policjant i dziewięciu izraelskich zakładników. Wcześniej tego dnia w wiosce olimpijskiej zamordowano dwóch innych izraelskich sportowców.

Ponieważ okrucieństwa SS były żywe w pamięci narodowej, Niemcy wyrzekli się prawa do powołania elitarniej wojskowej jednostki antyterrorystycznej w rodzaju brytyjskiej SAS czy amerykańskiej Delta Force. Niemiecki brak przygotowania zaowocował katastrofalną, improwizowaną próbą odbicia zakładników, podjętą przez niewyszkolonych strzelców wyborowych. Na oczach mediów całego świata zginęło siedemnastu ludzi. W ciągu sześciu miesięcy powołano do życia GSG9, na której czele stanął Ulrich Wegener, czterdziestotrzyletni oficer z junkierskiej rodziny we

wschodnich Niemczech. Wegener był solą w oku władz erdowskich, a Stasi na dwa lata wpakowała go za kratki za kampanie na rzecz demokracji i zjednoczenia. Po wyjściu z więzienia Wegener uciekł na Zachód i wstąpił do zachodnioniemieckich służb specjalnych.

Przy tworzeniu nowej jednostki przyjęto prostą zasadę: w GSG9 nie mógł służyć żaden członek sił zbrojnych, tylko policjanci. GSG9 nie należała do Bundeswehry, lecz była liczącą trzysta pięćdziesiąt osób jednostką Federalnej Policji Granicznej. W 1977 roku Wegener został **bo**eterem najbardziej spektakularnej operacji, przeprowadzonej przez GSG9. Jednostka, wspierana przez dwóch specjalnych obserwatorów” z brytyjskiej SAS, przypuściła atak na uprowadzony samolot Lufthansy w Mogadiszu, po tym jak terroryści, domagający się zwolnienia członków grupy Baader-Meinhof zamordowali kapitana. Wegener osobiście dowodził atakiem i zastrzelił jednego z terrorystów. GSG9 zajaśniała pełnym blaskiem.

Później blask przygasł. W czerwcu 1993 roku GSG9 próbowała aresztować Wolfganga Gramsa z Frakcji Czerwonej Armii na dworcu kolejowym w Bad Kleinen we wschodniej części Niemiec. Operację sfuszerowano; terrorysta zastrzelił jednego policjanta i ranił drugiego. Zgodnie z oficjalnym raportem, popartym dowodami medycznymi, Grams następnie sam się zastrzelił. Jednak cywilni świadkowie twierdzili, że widzieli, jak agenci GSG9 przytrzymali Gramsa i z bliska palnęli mu w łeb.

W wyniku skandalu, jaki się rozpętał, ludzie na szczeblu rządowym potracili stanowiska. GSG9 wróciła w cień.

Fabel nie był fanem GSG9. Nie przepadał też za wzorowanymi na amerykańskich oddziałach SWAT jednostkami MEK i SEK, które pojawiły się w niemal wszystkich oddziałach policji niemieckiej. Granica między policjantem a żołnierzem zacierała się, co było sprzeczne ze wszystkimi jego instynktami. Opinia Fabla o tych jednostkach paramilitarnych nie przysparzała mu przyjaciół na wyższych szczeblach, zwłaszcza kiedy podawał przykład Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej. Konni powołali do życia jednostkę

podobną do GSG9. Opatrzona skrótem SERT (od Special Emergency Response Team), stała się bardzo skuteczną jednostką antyterrorystyczną. A potem została rozwiązana. Służący w SERT oficerowie nie mogli pogodzić niezbędnego w akcjach antyterrorystycznych przymusu zabijania z naturalnym (dla oficerów policji) instynktem zachowywania i ochraniają życia. Fabel nie krył, że właśnie z takimi gliniarzami chciałby pracować.

Popatrzył na twarz Klugmanna na zdjęciu. Była szczuplejsza niż ta, którą widział w pokoju przesłuchań na posterunku policji przy Davidstrasse, ale była to twarz twardziela. Fotografia nie była stara; przygotowując się do roli tajnego agenta, Klugmann najwyraźniej musiał nieźle popracować nad uzyskaniem nowego, zaniedbanego wyglądu.

Fabel nie pojmował, dlaczego zakonspirowano agenta GSG9. Skrytość tej grupy była środkiem taktycznym i operacyjnym; nie chodziło o zbieranie informacji. Nie wątpił, że skoro Maria była przekonana, iż widziała Klugmanna wcześniej w Weingarten, to z pewnością tak właśnie było. GSG9 szkoliła swoich ludzi w dwóch miejscach: w Hangelar i właśnie w Weingarten. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli w operacji brało udział tyle jednostek specjalnych, jej cel był poważny. Volker należał do BND, Klugmann do GSG9. Fabel domyślał się, że zamordowana dziewczyna, Tina Kramer, również pracowała dla BND. Najwyraźniej z całej sprawy wykluczono tylko policję hamburską. Fabel nie miał powodu wątpić w słowa van Heidena, kiedy ten mówił, że nic nie wiedział o operacji. Dlaczego więc głównego organu ochrony porządku publicznego nie dopuszczono do tego sekretu?

Pukanie do drzwi nie zabrzmiało ani niepewnie, ani zdecydowanie. Volker wszedł, nie czekając na zaproszenie. Jego twarz była wyprana ze zwykłej dłoń, standardowej wesołości. Idealnie beznamiętna. Oto Volker, jaki kryje się za maską życzliwości, pomyślał Fabel. Ciemne oczy patrzyły obojętnie, a wargi tworzyły prostą, zdecydowaną linię. Pod pachą trzymał grubą zieloną teczkę, nadkomisarz wskazał mu krzesło.

- Co chcesz wiedzieć, Fabel? Powiem ci wszystko, co będę mógł.

Głos Fabla zabrzmiał ostro.

- Nie, Volker... Powiesz mi nie tylko to, co możesz. - przywołał gestem Wenera, który wszedł, bardzo starannie zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie ciężkim ciałem, krzyżując muskularne ramiona na piersiach. - Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. A jeśli nie, to obiecuję, że zamknę cię w pudle, oskarżę o utrudnianie śledztwa w sprawie morderstwa i przekażę wszystko prasie, zanim twoi kumple z Pullach zdążą cię wyciągnąć.

- Mielśmy powody, żeby trzymać karty przy piersi. Ale wciąż gramy w tej samej drużynynie. - Twarz Volkera nadal nic nie wyrażała.

- Na pewno? Próbuję rozwiązać sprawę kilku paskudnych morderstw, a ty zataiłeś przede mną informację, kluczową informację. Moi ludzie tracili czas, łażąc po Hamburgu, bo usiłowali się dowiedzieć, kim była druga ofiara, a ty kręcisz się po Komendzie Głównej z jej nazwiskiem w kieszeni. Tymczasem zginęła trzecia kobieta. Bawicie się w pierdolonych tajnych agentów, a jakaś biedna kobieta płaci życiem.

- Nie ma żadnego związku między Tiną Kramer a pozostałymi ofiarami.

- Skąd ta pewność?

Volker cisnął ciężką zieloną teczkę na biurko.

- Tu masz wszystko. Wszystkie informacje o naszej operacji. I tak byśmy ci to dali, tylko czekaliśmy, aż Klugmann się ujawni. Porównaliśmy twoje dwie ofiary z Tiną Kramer, ale nie ma żadnego związku. Tina po prostu znalazła się w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu. Twój zabójca musiał ją wybrać losowo, podobnie jak inne ofiary.

- To wszystko stek bzdur, Volker. Takie przypadki się nie zdarzają.

- Owszem, zdarzają się, i teraz właśnie się zdarzyły. Kramer nie była naszą główną tajną agentką. Tym agentem był Klugmann. Kramer zorganizowała w mieszkaniu miejsce spotkań, gdzie Klugmann mógł rozmawiać z informatorami z

półświatka. Zainstalowaliśmy Klugmanna jako skorumpowanego byłego gliniarza, a dokładnie byłego oficera jednostki specjalnej, który chowa urazę do policji. Tutaj masz wszystko... - Volker wskazał na teczkę. - Według spreparowanej historyjki Kramer wynajmowała mieszkanie od Klugmanna jako Monique, co miało sugerować, że jest prostytutką. Umówili się, że Klugmann będzie używał mieszkania do tajnych spotkań.

- Spotkań z kim? Jaki był cel całej operacji?

- To był punkt obserwacyjny. Klugmanna zainstalowaliśmy na obrzeżach zorganizowanej przestępczości, ale nie zostało wyraźnie określone, wobec kogo ma być lojalny. Zatrudnił go Hoffknecht, którego z kolei zatrudnia! Ulugbej, ale Klugmann nie był związany z organizacją Ulugbeja. Klugmann wysyłał sygnały, które miały świadczyć o tym, że chciałby wziąć udział w poważnej akcji.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Kto był celem, jakie zadania stawiano przed operacją?

- Chodziło o zbieranie informacji. Konkretnym celem była nowa potężna grupa ukraińska, która pojawiła się w mieście. Podejrzewamy, że to oni zabili Ulugbeja.

Fabel przypomniał sobie słowa Mahmuta. Pozwolił Volkerowi kontynuować.

Zainicjowaliśmy operację, ponieważ nikt nie chciał z nami rozmawiać o tych Ukraińcach. Wszyscy nasi informatorzy się boją. I mają powody. Pamiętasz, jak ci przed chwilą mówiłem, że z pewnych względów musieliśmy siedzieć cicho? Fabel oschle skinął głową.

- To, co teraz powiem, nie spodoba ci się. Nikt nie chce mówić o tej nowej grupie, bo Ukraińcy w sposób niewiarygodnie skuteczny i okrutny obchodzą się z informatorami, konkurencją czy w ogóle każdym, kto staje im na drodze. Co więcej, dali jasno do zrozumienia, że mają kontakty w policji hamburskiej i dowiedzą się, jeśli ktokolwiek puści farbę.

- Mają tutaj wtyki? Nie wierzę - zaprotestował Fabel.

- Sugeruje to nasz wywiad. Nie wiemy, gdzie mają wtyki, ale

musi to być dość wysoki poziom. Właśnie dlatego policji hamburskiej nie dopuszczono do sprawy. Operację prowadziły wspólnie LKA7 i BND, a Klugmanna skaptowaliśmy z GSG9. Przykro mi, ale tak musiało się stać.

- A co z Buchholzem i wydziałem przestępczości zorganizowanej?

Volker potrząsnął głową.

- Nikt z policji hamburskiej nie miał pojęcia o całej operacji. Fama głosi, możesz w to wierzyć lub nie, że ci Ukraińcy służyli dawniej w policji i jednostkach specjalnych radzieckiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Podobno nawiązali kontakty z policjantami pełniącymi służbę w Niemczech. Właśnie dlatego napisaliśmy Klugmannowi taki życiorys; łatwiej mógł się wpasować w sprawę. A ponieważ naprawdę służył w jednostkach specjalnych, mogliśmy liczyć na to, że go nie zdemaskują. Jednak nie mogliśmy ryzykować przecieku, więc tu nikt nic nie wie.

- To dlatego podmieniliście tutejsze akta Klugmanria tak, by nie pasowały do akt federalnych?

Volker przytaknął.

- Kto kieruje tą ukraińską grupą? - spytał Werner, nie ruszając się od drzwi. Volker nie odwrócił się, ale odpowiedział Fablowi, jakby to on zadał pytanie.

- To był jeden z głównych celów operacji. Nie marny pojęcia. W chwili obecnej ten człowiek nie ma twarzy ani imienia...

Zupełnie tak samo, jak druga ofiara, pomyślał Fabel. Volker mówił dalej:

- Przez członka grupy Jurę Warasowa, w każdym razie grupy, którą dawniej kierował Warasow, Klugmann nawiązał kontakt z kimś z tego nowego gangu ukraińskiego. Klugmann wie tylko, że jego kontakt ma na imię Wadim... Uważa, że kontakt jest autentyczny, ale stoi dość nisko w hierarchii, bo w przeciwnym razie by się nie ujawnił. Według nas, trzon grupy - nazywamy go Elitą - składa się zaledwie z dziesięciu do dwunastu osób, z których każda kieruje pół tuzinem „kapitanów” dawnych gangów. Patrząc na metody działania nowej grupy, można zrozumieć, dlaczego mówi się o przestępczości zorganizowanej.

Elita działa niemal jak dowództwo armii okupacyjnej. Usunęli szefów wszystkich najważniejszych gangów w Hamburgu. Dzięki temu dostali w swoje ręce pozbawiony głowy organizm, który wzięli pod kontrolę. Zaczęli od gangów z Ukrainy, Rosji i innych krajów Europy Wschodniej, a następnie zajęli się organizacją Ulugbeja. Najpierw podebrali mu grupę, a potem oczywiście usunęli samego Ulugbeja.

- Dlaczego chcieli rozmawiać z taką płotką, za jaką podawał się Klugmann?

Po chwili wahania Volker odpowiedział:

- Daliśmy Klugmannowi pewien atut negocjacyjny...

- Co takiego?

- Fabel, musisz zrozumieć, walczymy z bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Ci ludzie są często nieprzewidywalni, a to oznacza, że czasami musimy podejmować ryzyko... - Fabel nie wiedział, co usłyszy, ale już wiedział, że mu się to nie spodoba. Volker westchnął. - Przekazaliśmy im informacje o transakcji narkotykowej, podczas której zabito Ulugbeja.

Fabel spojrział na Volkera z niedowierzaniem.

- Wykorzystaliście operację organów ochrony porządku publicznego w celu zorganizowania zamachu na grubą rybę z półświatka? Chryste, czy wy nie cofniecie się przed niczym?

- Oczywiście to nie my ustawiliśmy zamach! - Oburzenie Volkera nie było przekonujące. Utkwił wzrok w jednym punkcie na biurku Fabla. - Wszystko się spieprzyło. W przeciwieństwie do naszych skąpych informacji o tej nowej grupie, dysponujemy znakomitą wiedzą o Ulugbeju. Przekazaliśmy Klugmannowi dane o dużej transakcji narkotykowej, na której Ulugbej miał zarobić miliony. Nie sądziliśmy jednak, że Ulugbej zjawi się osobiście. Klugmann wiedział o planowanym spotkaniu, znał nazwiska Kolumbijczyków, ilości narkotyków itd. Mógł utrzymywać, że otrzymał te informacje od swego informatora z wydziału narkotykowego MEK, na którego miał pewien wpływ. To wystarczyło, by wywabić z kryjówki członka Elity. Wadim najwyraźniej zajmuje niską pozycję w hierarchii grupy, ale to

rzecz względna, jeśli wziąć pod uwagę, jaką władzą dysponuje każdy z jej członków. Tak czy inaczej, chcieliśmy tylko uwiarygodnić Klugmanna. To nie była łatwa decyzja. Zrezygnowaliśmy z dużego nalotu na handlarzy narkotyków, ale uznaliśmy, że warto to zrobić po to, by dobrać się do Elity. Liczyliśmy na to, że Ukraińcy połączą się na tę transakcję. Mieliśmy rację. Mieliśmy rację bardziej, niż byśmy sobie życzyli. Zanim się spostrzeżliśmy, Kolumbijczycy lecieli z powrotem do Bogoty a Ulugbej ozdobił swym mózgiem podziemny parking.

- Ulugbej myślał, że spotyka się z Kolumbijczykami?

- Tak. Ale zamiast z nimi, spotkał się z kulką. Jak już mówiłem, w ogóle nie miało go tam być. Sądziliśmy, że Ukraińcy wepchną się siłą w tę transakcję albo najwyżej przechwycą narkotyki.

- Chryste, Volker, trudno sobie wyobrazić większy bajzel niż ten, jaki zrobiliście.

Volker posłał nadkomisarzowi buntownicze spojrzenie.

- Fabel, nawet nie masz pojęcia, z czym musimy się tu zmagać. Mamy dziesięciu czy dwunastu wyszkolonych ukraińskich specnazowców, z których wszyscy, z wyjątkiem jednego, nie mają twarzy ani nazwisk. Ucichły nawet pogłoski. Ci ludzie są jak duchy, ale trzymają w garści prawie cały półświatek Hamburga. Poza ich kontrolą pozostaje tylko Yilmaz oraz resztki organizacji Ulugbeja, ale i to nie na długo. Grupa ukraińska przedstawia największe dotychczas zagrożenie kryminalne dla Hamburga. Musimy podejmować radykalne kroki, żeby ich powstrzymać.

Fabel patrzył pustym wzrokiem na Völkern, chłonąc te informacje. Nie mógł uwierzyć, że Volker nie wiedział wiele ponad to, czego Fabel już wcześniej dowiedział się od Mahmuta.

- A co z szefem całej grupy? Nie wierzę, że nic na niego nie macie.

- Nic nie mamy. Wiemy jedynie, że Elitą kieruje były wysoki oficer ukraińskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Nie znamy nazwiska, rysopisu ani nawet wieku, chociaż

podejrzewamy, że służył w Czeczenii. Słynie z niesłychanej brutalności, za pomocą której osiąga swoje cele.

- Albo po prostu wypowiada się w ten sposób. Skąd możesz mieć pewność, że to nie on stoi za zabójstwem Tiny Kramer?

- Ponieważ to nie ma najmniejszego sensu. Klugmann został zdekonspirowany dopiero teraz, przez was, więc będziemy musieli go ściągnąć z terenu. Jednak w żaden sposób nie można połączyć naszej operacji z twoimi dwiema pozostałymi ofiarami. A skoro Klugmann nie został wcześniej zdekonspirowany, Ukraińcy nie mieli motywu, by zabijać Kramer.

- Co powiedział Klugmann, kiedy zadzwonił do was tamtej nocy... zaraz po tym, jak zgłosił nam morderstwo?

- Był w strasznym stanie. Opowiedział nam, co spotkało Kramer, a my poznaliśmy metodę z pierwszego morderstwa. Jak już mówiłem, nie widzieliśmy związku między morderstwami, ale musiałem niezwłocznie podjąć decyzję operacyjną. Kazałem Klugmannowi wrócić do bazy, odwołać akcję. Nie mogliśmy wykluczyć jego dekonspiracji. Powiedziałem Klugmannowi, że kiedy będzie bezpieczny, będziemy mogli powiadomić policję hamburską i zgłosić morderstwo.

- Dlaczego więc tak się nie stało?

- Klugmann jest jednym z najlepszych oficerów, z jakimi przyszło mi pracować. Poprosił, żebym zostawił go w terenie i sprawdził, czy go zdekonspirowano, po czym sam zgłosił morderstwo na policję.

Fabel wrócił myślami do rozmowy na posterunku przy Davidstrasse. Klugmann musiał być niezwykle silny psychicznie. Siedział tam, wysłuchując obelg Wenera, znosząc przesłuchanie Fabela i przetrawiając szok z powodu potwornego zabójstwa współpracownicy. Ani razu nie drgnęła mu powieka. Nadkomisarz snuł różne podejrzenia, ale coś takiego nie przyszło mu do głowy. Stojący przy drzwiach Werner dał wyraz podobnym przemyśleniom.

- Sukinsyn! Ma jaja, to trzeba przyznać. Czy jest bezpieczny?

- Nie wiemy. Straciliśmy kontakt. Zabraliście jego bezpieczną

komórkę, więc nie możemy dodzwonić się do Klugmanna tą drogą. On też nie dzwonił. Bardzo się niepokoimy.

Właśnie wtedy do drzwi zapukała Maria Klee. Miała ściągniętą twarz. Gestem dłoni wywołała Wenera z gabinetu.

Volker ponownie zwrócił się do nadkomisarza.

- Musisz mi uwierzyć, Fabel. Gdybyśmy uważali, że istnieje jakikolwiek związek między śmiercią Kramer a operacją, przyszedłbym prosto do ciebie. Zresztą i tak zamierzaliśmy się wstrzymać tylko do chwili zlokalizowania Klugmanna.

Fabel chciał odpowiedzieć, ale wrócił Werner. Miał twarz nieruchomą jak kamień.

- Chyba nie musisz już martwić się o Klugmanna - powiedział. - Ludzie z komendy w Billstedt właśnie znaleźli ciało w opuszczonym basenie. Pobieźny opis pasuje do waszego chłopaka.

Poniedziałek, 16 czerwca, 11.50. Billstedt, Hamburg

Fabel, Werner i Maria Klee stali na kruszejącym brzegu basenu, który od lat nie widział wody. Volker przyjechał z nimi, ale Fabel kazał mu poczekać przy kordonie.

- Im mniej ludzi na miejscu zbrodni, tym lepiej... przynajmniej do czasu, aż medycy zrobią swoje - wyjaśnił Fabel bez przekonania. Prawda była taka, że z coraz większym trudem znosił obecność Volkera. Należał on do świata pomiędzy, obszaru szarości i cieni, o którym mówił Yilmaz, a Fabel chciał mieć z Volkerem i jego światem jak najmniej wspólnego.

Chociaż dochodziło południe, a w oknach na jednej ze ścian zostały zaledwie odłamki szyb, basen spowijał mrok, jak gdyby brud ze ścian i podłogi przeniknął powietrze, przyćmiewając blask dnia. Teraz światła rozstawionych przez techników lamp łukowych bezlitośnie obnażały brud basenu. Wszędzie wałały się zużyte strzykawki, prezerwatywy, śmieci, a w kącie leżało coś, co wyglądało na ludzkie odchody. Fabel nie mógł sobie wyobrazić nędzniejszego miejsca śmierci.

Sześciu techników w białych kombinezonach przeszukiwało śmietnisko. Kierujący grupą Brauner kucnął przy zwłokach. Klugmann miał związane z tyłu ręce i worek nałożony na głowę. Brauner ostrożnie rozciął płótno, zeszywniałe od zakrzepłej krwi. Podniósł wzrok, a na widok nadkomisarza stojącego na brzegu basenu skinął głową.

- Zastrzelono go, kiedy kłęczał tam, gdzie teraz stoisz - powiedział Brauner. - To była egzekucja: strzelono prosto w pień mózgu. Profesjonalna robota. Musiał umrzeć, zanim upadł na dno. Kula wyleciała nad ustami.

- Od jak dawna nie żyje?

- Będziesz musiał spytać Moliera, kiedy zbada ciało, ale

sądząc po temperaturze, zsinieniu pośmiertnym i ustąpieniu stężenia, oceniałbym, że parę dni. Może trzy.

- Panie Brauner. Tutaj! - zawołał jeden z techników przeszukujących róg basenu.

Fabel poszedł za Braunerem.

- Tutaj... - Technik wskazał na mały metalowy cylinder, migoczący w kurzu i odpadkach na podłodze. Brauner przykucnął na piętach i ostrożnie podniósł przedmiot.

- Nabój dziewięć milimetrów - stwierdził, delikatnie trzymając łuskę między kciukiem i palcem wskazującym w lateksowej rękawiczce.

- Leżała tuż pod nosem strzelca - zauważył Fabel. - Wystarczyło, żeby się rozejrzył, a pozbawiłby nas tego dowodu. Dość amatorski błąd jak na zawodowego zabójcę.

- Może było ciemno. - Brauner wzruszył ramionami.

- A może zabójcy zaczął się palić grunt pod nogami i oddalił się szybciej, niż zamierzał.

- Możliwe... - Fabel nie był przekonany. Po zmarszczonym czole Braunera poznał, że coś go trapi. - Co takiego?

- To łuska dziewięćmilimetrowa, ale nie pochodzi ze zwykłego pistoletu. Co ty nosisz? SIG-Sauera P6?

- Walthera P99.

- Do tego też by nie pasowała. Większość odmian broni kalibru dziewięć milimetrów jest oparta na systemie Smitha i Wessona albo Walthera. Podejrzewam, że nabój, z którym mamy tu do czynienia, to dziewięć na siedemnaście. Nietypowa amunicja do nietypowej broni.

- Domyślasz się, co to za broń?

- Nie na tym etapie. Zdołamy zawęzić poszukiwania do kilku marek, ale zajmie nam to trochę czasu.

Pojawił się anatomopatolog Möller. Fabel pozdrowił go skinieniem głowy.

- Nie żyje od paru dni - powiedział do Moliera Fabel, idąc w stronę wyjścia z basenu. Na widok oburzonej twarzy Moliera Fabel uśmiechnął się i wyszedł na świeże powietrze. Volker opierał się o błotnik jednego z biało-zielonych radiowozów.

- Czy to Klugmann?

- Na to wygląda. Musimy poczekać, aż Möller odwróci go i zobaczymy twarz.

Po minucie milczenia z basenu wyszli Werner z Marią, a za nimi dwóch techników, którzy toczyli na wózku ciało w czarnym winylowym worku.

- Zgadza się, to Klugmann - powiedział ponuro Werner.

Volker wystąpił do przodu i zatrzymał ekipę wózka gestem dłoni. Wciągnął nosem powietrze, jakby się przygotowywał, potem wskazał głową na worek. Jeden z techników pociągnął za suwak, który otworzył się z głośnym terkotem, odsłaniając sinopurpurową twarz Hansa Klugmanna. Przestrzeń między zębami a nosem zamieniła się w krater po wylocie kuli. Volker skrzywił się, znowu skinął głową do technika, który zamknął Klugmanna w winylowym kokonie. Kiedy pułkownik odwrócił się do Fabela, w jego ciemnych oczach czaił się ni to ból, ni to gniew.

- Klugmann był dzielnym człowiekiem, dobrym i uczciwym policjantem. Ty jesteś w stanie to zrozumieć, Fabel. - Volker przerwał, patrząc, jak ładują ciało do samochodu z kostnicy. - Osobiście przyjmowałem go na służbę. Posłałem go na tę akcję i nie kazałem wrócić, kiedy zabito dziewczynę. Ponoszę winę za jego śmierć.

- Też tak uważam - potwierdził Fabel bez cienia złośliwości.

Poniedziałek, 16 czerwca, 14.00.
Altona, Hamburg

Ładna twarz Soni Brun była obrzmiała, rozgniona w sposób typowy dla kogoś, kto płakał przez godzinę. Nawet teraz, chociaż wyczerpanie stępiło ból w zaczerwienionych oczach, ciałem dziewczyny wstrząsało przerywane łkanie. Fabel wyjaśnił wściekłemu Volkerowi, że od tej pory sprawa leży w gestii wydziału zabójstw, a każda interwencja ze strony Volkera zostanie uznana za utrudnianie śledztwa. Chcąc nie chcąc, Volker musiał pogodzić się z sytuacją i przyjął rzucony mu ochłap: propozycję towarzyszenia Fablowi i Wernerowi podczas rozmowy z Sonią. Skrzywił się, kiedy nadkomisarz wyjawiał Soni, że Klugmann był tajnym agentem federalnym. Dziewczyna nie mogła się z tym pogodzić, a Fabel poznał po jej oczach, że przypominała sobie każdą chwilę, każde słowo dzielone z Klugmannem.

- Ale on mówił, że się pobierzemy... że wyjedziemy z Hamburga i zaczniemy gdzieś od nowa, kiedy tylko załatwi tę dużą sprawę... czy to wszystko było kłamstwo? - błagalnie patrzyła Fablowi w oczy.

- Nie, Soniu. Naprawdę nie sędzę, by kłamał. Byłaś dla niego ważna. Jestem pewien, że byłaś...

Wypyтали Sonię o Ukraińców, o dużą sprawę, o której mówił Klugmann, o to, kiedy wychodził, z kim go widywała. Fabel starał się utrzymywać wolne tempo, nie naciskał, zostawiał dziewczynie czas na odpowiedź. Nie, nigdy nie widziała „Wadima”. Nie, Klugmann nigdy o nim nie wspominał. Owszem, kiedy nie pracował, często wychodził późno i spotykał się z ludźmi w tej „dużej sprawie”.

Rozmowa nie przyniosła żadnego rezultatu. Sonia znowu zaczęła płakać, przepraszała, że nie potrafi im pomóc. Fabel zaproponował, by przerwali rozmowę, poszedł do kuchni i

zaparzył zieloną herbatę, którą znaleźli na blacie. Podał Soni kubek.

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy Hans miał kamerę wideo?

Czoło Soni nad zaczerwienionymi oczami zmarszczyło się; potrząsnęła głową.

- Czy kiedykolwiek przyniósł kamerę do domu? A może widziałaś kasetę wideo?

Znowu zaskoczona mina, wzruszenie ramion i przeczący ruch głowy.

Zostawili dziewczynę w mieszkaniu, gdzie mieszkała z mężczyzną, o którym myślała, że go zna, a który w istocie był żyjącym w kłamstwie gliną. Sonia była dla niego rekwizytem teatralnym. Teraz nie miała nikogo, kto by z nią posiedział: żadnych krewnych, żadnych przyjaciół. Była tylko ładną dziewczyną, która została sama na pustej scenie. Dziewczyną, która zaledwie parę dni temu, wymachując torbami z zakupami, wracała do mieszkania i kochanka, z głową pełną marzeń o nowym życiu w nowym miejscu. Teraz z pewnością znowu pograży się w świecie prostytutki i filmów porno. Fabel nie miał pojęcia, czy Klugmann naprawdę kochał Sonię, czy zamierzał się z nią ożenić, ale wiedział, że dołoży starań, by wyciągnąć dziewczynę z życiowego dołka.

Zamykając za sobą drzwi, złożył cichą obietnicę zabitemu policjantowi.

Poniedziałek, 16 czerwca, 82.50. Pöseldorf, Hamburg

Kiedy Fabel wrócił do domu, dochodziła dwudziesta trzecia. Wcześniej zebrał swój zespół, by omówić wszystko, co się wydarzyło. Wiedzieli już, że Monique była Tiną Kramer, agentką BAO. Klugmann nie żył. Volker twierdził, że nie ma żadnego związku między jego śledztwem a rytualnym zabójstwem Tiny Kramer. MacSwaina wzięto pod obserwację. W wyniku negocjacji z van Heidenem Fabel uzyskał zgodę na sześciuosobowy zespół obserwacyjny, obejmujący obu szefów wydziału zabójstw. Van Heiden nie lubił przeczuć. Dokładniej rzecz biorąc, nie lubił narażać budżetu policji hamburskiej na podstawie przeczuć, ale mimo to dał nadkomisarzowi wolną rękę. Fabel postawił Paula i Annę na czele grupy obserwacyjnej, bo wiedział, że trzeba im okazać zaufanie po tym, jak zgubili Klugmanna, którego niebawem znaleziono martwego.

Ponownie omówili też zabójstwo Angeliki Blüm. Brauner, szef zespołu techników dochodzeniowych, zameldował, że w laptopie Blüm nie znaleziono żadnych dowodów rzeczowych. Zdaniem ludzi z działu technicznego, ktokolwiek wymazał dane z twardego dysku, zrobił to gruntownie, przypuszczalnie za pomocą zewnętrznej Przystawki. Była to robota specjalisty, dysponującego wysokiej klasy sprzętem. Raport z sekcji przedstawiony przez Moliera, potwierdzał jego początkowe obserwacje. Maria Klee miała coś nowego, chociaż, jak sama przyznała, mogła to być tylko poszlaka. Położyła na stole program odbywającej się w Bremie wystawy prac Marlies Menzel. Nazwisko nie tyle zabrzmiało znajomo, co wręcz ugodziło w sam środek pamięci Fabla. Marlies Menzel właśnie zwolniono z więzienia Stuttgart-Stammheim. Dawniej należała do Radikale Aktionsgruppe Svenssona i uczestniczyła w

napadzie, podczas którego Fabel został ranny. To właśnie wtedy dwukrotnie strzelił w twarz siedemnastoletniej dziewczyny.

Wystawa nosiła tytuł *Niemcy ukrzyżowane*. Z drzeniem w sercu Fabel patrzył na zdjęcia obrazów. Każde płótno składało się z jaskrawych plam i smug w kolorach krwistoczerwonym, czarnym i pomarańczowożółtym - barwach flagi niemieckiej. Każde płótno było trochę inne, ale na wszystkich użyto tych samych kolorów, na wszystkich też dało się dostrzec niewyraźną postać, ukrzyżowaną i krzyczącą. Natychmiast zrozumiał, dlaczego Maria zwróciła jego uwagę na program tej wystawy: obrazy w mglisty lecz niepokojący sposób przypominały Krwawego Orła z miejsc zbrodni. Skinął Marii głową i zaproponował, żeby odwiedzili panią Menzel.

Po odprawie swego zespołu spotkał się z Leppertem i Buchholzem w siedzibie LKA7 i opowiedział im o operacji BND oraz o egzekucji Klugmanna na basenie. Mówiąc, przyglądał się im obu: ich gniew wyglądał na autentyczny, choć nie tak silny, jak Fabel się spodziewał. Może kiedy człowiek ma na co dzień do czynienia z przestępczością zorganizowaną, znieczula się na kanciarstwo. Tak czy inaczej, nie miał powodu wątpić w to, że Buchholz - zgodnie z tym, co mówił Volker - nie miał pojęcia o całej operacji.

Kiedy dowłókł się do domu, był zmęczony jak pies. Nalał sobie kieliszek wina i osunął się na skórzaną sofę, nie zapalając świateł w salonie. Za oknami miasto migotało w zwierciadle Alsteru. Próbował nie myśleć o głosie Angeliki Blüm nagrany na jego sekretarkę, o jej rozplatanym ciele, o Klugmannie leżącym w brudzie opuszczonego basenu, o otumanionej narkotykami dziewczynie wchodzącej pod koła ciężarówki. Jednak obrazy tańczyły bezładnie w jego umyśle jak pszczoły uwięzione w słoiku. Łyknął białego wina, ale smakowało jak kwas. Odstawił kieliszek na stolik i zaczął przygotowywać się do gigantycznego wysiłku, jakiego wymagało położenie się do łóżka. Zanim zdołał zwlec się z sofy, ołowiane powieki uległy sile grawitacji i Fabel głęboko zasnął.

O wpół do drugiej obudził się nagle ze snu, w którym kazano

mu oglądać ten sam film pornograficzny, jaki widział w ramach dawniejszego dochodzenia w sprawie morderstwa. Tym razem zsiniała, wykrzywiona w grymasie przerażenia twarz należała do Soni Brun, a mężczyźni w filmie zamiast masek winylowych nosili maski jednookiego Odyna. Fabel rozebrał się i poszedł do łóżka, ale stwierdził, że jest tak rozbity, iż nie zdoła powstrzymać gonitwy myśli. Po godzinie bezsennego przewracania się w łóżku wstał, ubrał się, chwycił kluczyki do samochodu i wyszedł w noc.

Wstąpił do Komendy Głównej po klucze do mieszkania Blüm. Nie wiedział, co spodziewał się tym zyskać, ale odczuł potrzebę znalezienia się blisko jej rzeczy, jakby mogło go to przybliżyć do jej dawnego życia. Nawet jeśli mieszkanie nie miało mu powiedzieć nic więcej, było równie dobrym miejscem do rozmyślań, jak każde inne.

Na miejscu znalazł się kwadrans po trzeciej. Zatrzymał samochód mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie zaparkował znajomy sąsiadki Blum. Światła w holu wciąż się paliły, więc każdy, kto podszedłby do przeszklonych drzwi, byłby jasno oświetlony. Jednak człowieka widzianego z tej odległości można było opisać tylko w tak ogólnikowy sposób, jak uczyniła to dziewczyna. Wysoki, barczysty, dobrze ubrany, jasnowłosa mężczyzna. Ale czy to on był zabójcą?

Wjechał windą na trzecie piętro i stanął przed drzwiami Angeliki Blum. Patrzył przed siebie, jak gdyby chciał przeniknąć wzrokiem drewnianą płytę i spojrzeć w mrok mieszkania. Przypomnił sobie ostatni raz, kiedy otworzył te drzwi, a zarazem bramy piekieł, a w jego mózgu wypalił się kolejny obraz groteskowej śmierci. Otrząsnąwszy się z tych myśli, przekręcił klucz w zamku, zapalił światło w holu i ruszył do gabinetu. I tym razem jego oczom ukazał się niespodziewany widok, który jednak nie wzbudził w nim przerażenia, ale zdziwienie. Ktoś bardzo profesjonalnie przeszukał gabinet Blum. Szuflady ostrożnie powyjmowano z biurka i szafek, a książki i teczki pozdejmowano z półek ściennych; meble poprzewracano tak, by można było pod nie zajrzeć. Stanu, w jakim znajdował się pokój, nikt nie określiłby

mianem chaosu; przeszukano go bardzo systematycznie. Fabel wiedział, że po wyjściu ekipy Braunera gabinet wyglądał inaczej. Był tu ktoś inny.

Ta myśl rozbłysła zaledwie na milisekundę, po czym nagle przecucie zjeżyło mu włosy na karku. Ktoś inny był tu teraz.

Fabel znieruchomiał. Z natężeniem, potęgującym szum krwi w uszach i metaliczny szmer dobywanego walthera, trącego o sztywną skórę kabury, wsłuchiwał się w ciszę mieszkania. Stał plecami do drzwi gabinetu i czuł się odsłonięty. Bezgłośnie odwrócił się i wrócił do holu –

Cisza. Stał bez ruchu przez pół minuty, nasłuchując odgłosów w innych pokojach. Nic. Napięcie mięśni nieco ustąpiło; cicho ruszył korytarzem. Z plecami przy ścianie, bronią uniesioną w prawej dłoni, do oporu pchnął drzwi sypialni. Wślizgnął się do środka i zlustrował pokój, wodząc wzrokiem wzdłuż lufy trzymanego oburącz pistoletu. Odjawszy jedną dłoń od kolby, sięgnął do kontaktu. W sypialni nie było nikogo. Fabel zachichotał cicho: zachowywał się idiotycznie. Opuścił broń i wrócił na korytarz.

Pierwszym jego uczuciem, było zdziwienie: Jakim cudem ten człowiek mógł poruszać się tak cicho i szybko? Musiał się czaić w salonie. Dłoń Fabia trzymająca broń poderwała się, ale utknęła w połowie drogi. Uścisk napastnika był bardzo mocny; nadkomisarz miał wrażenie, że kości przegubu rozkruszają się na drobne odłamki. Otworzył dłoń i pistolet upadł z łoskotem na drewnianą podłogę. Mężczyzna był tuż-tuż, Fabel spróbował zadać cios drugą pięścią w górę, ale tamten wolną ręką ścisnął go za szyję. Nie odciął mu dopływu powietrza, ale mocno uciskał gardło tuż pod szczęką. Spróbował krzyknąć, ale z jego ust nie dobył się żaden dźwięk. Kiedy świat zaczął przesłaniać mrok, mógł tylko zadać sobie pytanie - czy tak właśnie się umiera, patrząc bezradnie i lękliwie w zimne, jarzące się zielone oczy mężczyzny, którego widział pod domem, gdzie zamordowano Tinę Kramer?

Wtorek, 17 czerwca, 5.20.

Uhlenfiorst, Hamburg

Pierwszą rzeczą, jaką Fabel sobie uświadomił, był ból, wymykający się wszelkim definicjom najgorszego łupania w głowie czy kaca. Jakby piłowano mu czaszkę. Potem usłyszał śpiew ptaków, chóralnie obwieszczających nowy dzień. Nieznacznie dźwignął głowę i lodowaty sztylet bólu przeszył go na wskroś. Opadł bezsilnie. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, jak się tu dostał ani nawet, jaki jest dzień tygodnia. Upłynęła blisko minuta, nim zaczął kojarzyć. Słowianin. Fabel poderwał się gwałtownie, i tym razem do bólu dołączyły zawroty głowy i mdłości. Zwiesiwszy się przez krawędź łóżka, zwymiotował. Rozdzierające pulsowanie w głowie nie ustępowało, ale Fabel już się z nim pogodził. Ból oznaczał, że żyje. Ponownie opadł na łóżko i zaczął macać w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Zniknął, podobnie jak broń z kabury. Uniósł się ostrożnie, żeby rozejrzeć się po pokoju. Leżał na łóżku Angeliki Blum. Musiał go tam położyć ten Słowianin. Każdą jego myśl spowijał bolesny całun. W bladym świetle świtu zobaczył, że jego komórka, broń i portfel leżą na toalecie. Zwleczenie się z łóżka i dopełnienie do toaletki z drewna klonowego zajęło mu pięć minut. Przyciągnął do siebie telefon i wybrał numer Komendy Głównej.

Po lunchu wszyscy policjanci, zarówno mundurowi, jak i w cywilu, otrzymali opis niskiego, mocno zbudowanego mężczyzny, który zaatakował Fabia. Lekarz ze szpitala Świętego Jerzego badający nadkomisarza nie krył podziwu dla profesjonalizmu napastnika. Słowianin nader skutecznie odciął Fablowi dopływ krwi do mózgu, dlatego ten stracił przytomność. Trwałe uszkodzenia były niewielkie, choć dręczący nadkomisarza ból był podzwonnym dla komórek mózgowych, które zginęły z braku tlenu. Personel szpitalny

nalegał, by zatrzymać go na noc na obserwacji, a on był zbyt obolały i wyczerpany, by protestować. Zapadł w ciężki sen bez koszmarów.

Obudził się krótko po czternastej. Pielęgniarka wprowadziła Wenera i Marię Klee, którzy cierpliwie czekali na korytarzu, aż pacjent otworzy oczy. Werner stał skrepowany, jakby czuł się niezręcznie, widząc szefa tak bezradnym. Dopiero na prośbę Fabia przysunął sobie krzesło z rogu pokoju i usiadł.

- Jesteś pewien, że to był ten facet, którego widziałeś pod domem, gdzie popełniono drugie morderstwo? - spytał Werner.

- Na bank. Patrzyłem mu prosto w oczy.

- Czyli to nasz gość. - Twarz Wenera stężała. - Syn Svena...

- Sam nie wiem. - Fabel zmarszczył brwi. - Skoro nim jest, to dlaczego mnie nie zabił?

- Trzeba przyznać, że próbował - powiedziała Maria.

- Nie... raczej nie. Tutejszy lekarz mówi, że facet zrobił to bardzo profesjonalnie; wiedział doskonale, jak pozbawić mnie przytomności. Gdyby chciał zabić, mógł mnie wykończyć cicho i sprawnie, zamiast kłaść do łóżka Blum.

- Przecież widzieliśmy go w dwóch miejscach, gdzie popełniono morderstwo. To czyni go więcej niż podejrzanym - zaprotestował Werner.

- Ale dlaczego był tam po morderstwie? I dlaczego postanowił przeszukać mieszkanie teraz, a nie zaraz po popełnieniu zbrodni?

- Może myślał, że coś tam zostawił - podsunęła Maria.

- On niczego nie zostawia. Zresztą ludzie Braunera przeczesali mieszkanie z lupami w garści. Nie przeczyliby niczego, o czym nasz gość dobrze wiedział. Poza tym facet, który na mnie napadł, nie odpowiada opisowi sąsiadki Blüm. - Fabel przerwał. Wpadające przez wysokie, wąskie szpitalne okno słońce rzucało trójkąt blasku na podłogę pokoju i połyskiwało zimno na porcelanie i stalowej armaturze umywalki przy drzwiach. Bolała go głowa; zamknął oczy i oparł się na poduszce. W końcu podjął watek, nie otwierając oczu. - Niepokoi mnie siła tego starucha i profesjonalizm, z jakim

zdołał mnie zdjąć. To wymaga szkolenia.

Werner wyprostował nogi, opierając buty na stalowych prętach pod łóżkiem nadkomisarza.

- Cóż, ty i Maria mówicie, że ma cudzoziemski wygląd. Jakby rosyjski. Skoro jest taki sprawny, to może należy do Elity, tej ukraińskiej grupy, o której mówił Volker?

- Może tak być. - Fabel wciąż nie otwierał oczu. - Wszystko w nim wskazuje na jednostki specjalne. Ale pytam ponownie: dlaczego nie dokończył roboty?

- Zabicie hamburskiego policjanta to duża rzecz - odparł Werner. - Klugmann to jedno, ale zabij nadkomisarza wydziału zabójstw, a nie będziesz miał gdzie się ukryć-

- Kimkolwiek by był i cokolwiek tam robił, teraz szuka go cały Hamburg - powiedziała Maria.

Fabel dzwignął się wolno, a w jego głosie było słycać wysiłek.

- Coś mi mówi, że nie znajdziemy go tak łatwo, Mario. A co z MacSwainem? Czy mamy go pod ścisłą obserwacją?

- Paul i Anna siedzą mu na ogonie - odparł Werner. - Są tam prawie stale, nawet kiedy mamy dla nich zmienników. Myślę, że boją się powtórki wpadki z Klugmannem.

- Dobrze. Jutro stąd wyjdę i będziemy mogli wszystko przeanalizować. Tymczasem informujcie mnie, gdyby coś się stało.

- Masz to załatwione - odparł Werner. Fabel znowu zamknął oczy i oparł głowę na poduszce. Werner spojrział na Marię i wskazał podbródkiem drzwi. Maria milcząco potaknęła i wstała z łóżka.

- Do zobaczenia, szefie - powiedziała.

Dzień upłynął mu na wyglądaniu przez okno, skakaniu po kanałach telewizyjnych w poszukiwaniu czegoś wartego obejrzenia oraz spaniu. W miarę upływu czasu Fabel zaczął coraz dotkliwiej odczuwać nasilające się sztywnienie karku i uraz pod szczęką, w miejscu, gdzie keiuk Słowianina wbił mu się w tętnicę.

Po południu do pokoju wpadła Susanne, która natychmiast zabrała się do badania chorego: odciągała mu kciukiem powieki, sprawdzała oczy i oburącz obracała jego głowę, aby ocenić ruchliwość szyi.

- Jeżeli to jest jakaś pokrętna gra wstępna, to muszę uprzedzić, że na mnie nie działa - uśmiechnął się Fabel.

Susanne nie była w nastroju do żartów. Fabel widział, że jest naprawdę zmartwiona, co go wzruszyło. Przez Parę godzin siedziała na łóżku, trzymając go za rękę, czasem mówiła do niego, czasem milczała, a Fabel drzemał. Kiedy przyszła pielęgniarka, żeby ją wyprowadzić, zaskoczył go nieznoszący sprzeciwu ton, jakim Susanne ją odprawiła. Wyszła dopiero po osiemnastej, a wieczorem ponownie przyszła na godzinę. O dwudziestej pierwszej trzydzieści Fabel zapadł w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Wtorek, 17 czerwca, 20.30. Harvestehude, Hamburg

Anna Wolff mogłaby być sekretarką, fryzjerką lub przedszkolanką. Drobna, pełna życia, miała ładną okrągłą twarz. Zawsze tryskała energią, używała ciemnych cieni do powiek i jaskrawoczerwonej szminki. Krótkie, kruczoczarne włosy albo gładko zaczesywała, albo z pomocą lakieru tworzyła z nich punkowskiego jeża. Jedną z rzeczy, które sprawiały, że ludziom nawet przez myśl nie przechodziło, iż mają do czynienia z komisarzem dochodzeniówki, był jej młodzieńczy wygląd. Anna miała dwadzieścia siedem lat, ale mogła uchodzić za nastolatkę.

Za to Paul Lindemann nie mógł być nikim innym jak policjantem. Jego ojciec, podobnie jak ojciec Wenera Meyera, służył w policji wodnej; w łodzi motorowej patrolował otaczający Hamburg system kanałów, zatok i nabrzeży. Paul należał do tych północnych Niemców, których Fabel nazywał „wyszorowanymi luteranami”. Byli to czyści, schludni, ascetyczni ludzie, którym często trudno było nagiąć się do zmian. Paul Lindemann, ze swym dzisiejszym wyglądem, zupełnie nie zwróciłby na siebie uwagi przeniesiony w lata pięćdziesiąte czy sześćdziesiąte dwudziestego wieku.

Fabel zwyczajowo już umieszczał Annę i Paula w jednym zespole. Różnili się pod każdym względem, a on zawsze był zwolennikiem tworzenia zespołów z ludziami odmiennym spojrzeniem na rzeczywistość: kiedy patrzyło się na tę samą rzecz z różnych stron, istniała szansa, że ogarnie się większą część całości. Anna i Paul stworzyli dziwną parę, a narzucone partnerstwo przez wiele miesięcy było im nie w smak. Teraz pracowali razem, darząc wzajemnym szacunkiem swoje odmienne, ale dopełniające się talenty. Podobny sukces Fabel miał nadzieję osiągnąć z Marią i Wernerem, których zespołowy

potencjał dopiero czekał na wykorzystanie.

Tego wieczoru Anna i Paul byli zdrowo wkurzeni. Fabel był dla nich kimś więcej niż szefem. To on wprowadzał ich w tajniki zawodu, a wybierając ich do zespołu wydziału zabójstw, wytyczył wyższe cele dla ich przyszłych karier. Dla obojga był nietykalny. Teraz tkwił w szpitalnym łóżku. Daliby wszystko, żeby wyruszyć na poszukiwanie napastnika, zamiast mieć oko na jakiegoś brytyjskiego dupka.

Na rogu ulicy, przy której mieszkał MacSwain, stał kiosk z gazetami i tytoniem. Za ladą błyszczał ekspres do kawy, a przed frontem umieszczono wysokie aluminiowe blaty, przy których klienci mogli na stojąco wypić kawę. Teraz przy jednym z nich stała Anna. Wyraźnie widziała stąd skrzyżowanie i dom MacSwaina, a także wyjazd z podziemnego garażu. Gdyby ktokolwiek się tam pojawił, pieszo lub samochodem, mogła zaobserwować, w którą stronę się udał i powiadomić przez radio Paula, który parkował kilka przecznic dalej, pilnując drugiej strony. Zapadł zmrok, a Anna sączyła trzecią kawę, starając się, by starczyła jej na jak najdłużej. Większa ilość kosztowałaby ją nerwową, bezsenną noc. Ponury, otyły kioskarz prawie nie zwracał uwagi na Annę, ale kiedy trzech skinheadów w zielonych kurtkach podeszło, żeby kupić papierosy, mruknął coś do nich i wskazał głową na Annę. Wszyscy przy tym wybuchnęli rżącym śmiechem. Anna nie odrywała wzroku od domu. Trzej skini podeszli do jej stolika, jeden z jednej, dwóch z drugiej strony. Wysoki gnojek o byczym karku, z krostowatą cerą nachylił się nad Anną.

- Co tak tu sterczysz, mała?

Anna nie odpowiedziała ani nie spojrzała w ich stronę. Skin o byczym karku wyszczerzył się do kolegów.

- Bo ja już cały sterczę, laseczko...

- Nie, całe dziesięć centymetrów? - zdumiała się Anna, nadal nie patrząc w jego stronę.

Dwaj kumple Byczego Karku ryknęli, szyderczo wytykając go palcami. Twarz tamtego pociemniała, przysunął się do Anny, wepchnął rękę pod jej skórzaną kurtkę i chwycił za pierś.

- Może się przekonamy, ile mnie weźmiesz...

Wszystko stało się zbyt szybko, jak na zdolności pojmowania wszystkich trzech szarych komórek Byczego Karku. Anna najpierw odwróciła się od skina, by zaraz zrobić zwrot ku niemu, odtrącając przy tym jego rękę. Dłonie dziewczyny wykonały dwa zwinne ruchy. Lewa bez cienia czułości schwyciła łysego za krocze, prawy łokieć po drodze grzotnął go w podbródek, dłoń płynnym ruchem wślizgnęła się pod kurtkę, skąd powróciła natychmiast dzierżąc SIG-Sauera, którym dźgnęła skina prosto w twarz. Mocno. Potem odepchnęła swego zalotnika, nie pozwalając mu złapać równowagi, tak że gruchnął o ladę kiosku i nadal boleśnie ściskając go w kroku lufą pistoletu zmiażdżyła mu nos.

- Chcesz się zabawić z Anią? - spytała kokieteryjnie, Przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę i odymając wargi.

Byczy Kark wpatrywał się w Annę z przerażeniem, jakby próbował oszacować stopień jej szaleństwa, a zarazem grożącego mu niebezpieczeństwa. Anna, nie puszczając go, prawą rękę wycelowała w dwóch pozostałych.

- Co z wami, chłopcy? Chcecie się zabawić z Anią? Kumple Byczego Karku unieśli ręce ku górze, cofnęli się kilka kroków i z prędkością światła ruszyli na spacer. Anna ponownie odwróciła się do Byczego Karku, wcisnęła mu lufę w nos i pokręciła nią, jakby się bawiąc. Twarz skina pokryła się krwią, która zaczęła cieknąć z nosa. Anna wykrzywiła twarz w wyrazie dziewczęcego zawodu.

- Nie chcą się pieprzyć z Anią... - Porzuciła słodki głosik. - A ty, bezfiucie? Chcesz się zabawić?

Skin tak gorliwie pokręcił głową, że omal mu nie odpadła. Oczy Anny zwęziły się i pociemniały.

- Jeśli kiedykolwiek usłyszę, że znowu dobierałeś się w ten sposób do kobiety, osobiście cię dopadnę. Gdzie masz dowód osobisty?

Byczy Kark szybko wyciągnął go z kieszeni kurtki. Anna puściła jego sponiewierane genitalia i obejrzała dokument.

- Dobra, Markus, teraz wiem, gdzie mieszkasz. Może cię odwiedzę i znowu się zabawimy. - Nachyliła się nad jego twarzą

i wyszczała: - A teraz spierdalaj! - Rzuciła dowód osobisty na ziemię, więc Byczy Kark musiał się po niego schylić, trzymając się za obolałe krocze, po czym pokuśtykał w przeciwnym kierunku niż koledzy. Anna schowała broń do kabury i odwróciła się do kioskarza.

- Masz jakiś problem, grubciu? - spytała z najśłodszym uśmiechem uczennicy szkolnej.

Kioskarz potrząsnął głową i wyrzucił w górę rękę.

- Żadnego problemu, panienko.

No to daj mi jeszcze jedną kawę. - Anna odwróciła się, żeby popatrzeć na dom. Światła w mieszkaniu MacSwaina zgasły. Omiotła wzrokiem wyjścia i ulicę. Nic. Z kieszeni kurtki wyjęła radiotelefon.

- Paul... MacSwain chyba się ruszył... Widziałeś, żeby odchodził?

- Nie, a ty?

- Nie. Coś mnie zatrzymało. - Anna zwolniła przycisk radiotelefonu, ale momentalnie nacisnęła go znowu, bo ujrzała, że z podziemnego garażu wyjechał srebrny porsche. - Ruszamy. Podjedź po mnie, Paul. Gazu, gazu!

W kilka sekund później Paul pojawił się w starym zdezelowanym mercedesie, używanym do obserwacji. Samochód był zdezelowany tylko z zewnątrz, bo pod maską niczego mu nie brakowało.

Kiedy Anna wskoczyła do środka, beznamietną zwykle twarz Paula wykrzywił kpiący uśmiech. Ze sterczącymi włosami, jaskrawo wymalowana i w za dużej skórzaney kurtce wyglądała jak nieznająca jeszcze subtelności makijażu uczennica szkolna, która po raz pierwszy rusza w tango po klubach.

- Co cię tak bawi, Schlaks? - zapytała, używając północnoniemieckiego określenia na „chudzielca”.

- Znowu się bawiłaś, co?

- Nie wiem, o czym mówisz. - Anna nie odrywała wzroku od srebrnego porsche, od którego oddzielały ich dwa samochody.

- Kiedy siedziałem w aucie, przebiegło obok mnie dwóch skinów. Wyglądali tak, jakby zobaczyli samego diabła. To chyba nie byłaś ty, co?

- Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi. Podjechali do rzędu samochodów czekających przed światłami. Paul wyciągnął długą szyję, żeby sprawdzić, czy porsche przejechał. Nie, stał. Odwrócił się do Anny i wtedy zobaczył przez boczne okno barczystego skina który pochylał się, z rękami na kolanach, usiłując złapać oddech. Twarz miał umazaną krwią. Spojrzał za siebie, jakby sprawdzał, czy nikt go nie goni. Odwracając się, napotkał wzrok Paula. Potem zobaczył Annę. Pełnymi, pomalowanymi na czerwono wargami posłała mu długi, zmysłowy pocałunek. Skin skamieniał ze zgrozy, potem rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Światła się zmieniły, mercedes ruszył. Anna zmarszczyła nos i pokiwała palcem skinowi w cukierkowatym geście pożegnania.

- Kompletnie nie wiem, o czym mówisz - powtórzyła z miną ostentacyjnej niewinności. Paul spojrział w lusterko wsteczne. Zgięty wpół skinhead patrzył z ulgą na oddalający się samochód.

- Po prostu uważaj, Anno. Pewnego dnia ugryziesz więcej, niż zdołasz przełknąć.

- Dam sobie radę.

- Niedługo ktoś wniesie przeciwko tobie skargę o molestowanie i brutalność.

Z ust Anny wyrwał się szczekliwy śmiech. Dała znak ręką Paulowi, żeby skręcił w lewo: migacz porsche zaczął pulsować.

- Żaden szanujący się neonazistowski pierdolony skin nie przyzna się, że skopała mu tyłek Żydówka, która ma metr pięćdziesiąt wzrostu. Gdyby się przyznał, miałby obciach na cały sąd.

Paul pokręcił głową. Wiedział, że Anna pochodzi z rodziny hamburskich Żydów, których przechowywała pewna rodzina aż do wyzwolenia miasta przez Brytyjczyków i Kanadyjczyków. Anna dorastała nastawiona do życia obronnie, a szkolenie w zakresie sztuk walki podczas trzyletniej służby w armii izraelskiej tylko utrwaliło tę obronną postawę.

Niebo przybrało barwę błękitnego aksamitu. Paul wpatrywał się w srebrnego porsche; MacSwain doprowadził ich na Hallesstrasse. W ciemności wznosiły się wieżowce mieszkalne

osiedla Grindelhochhäuser. Okolice niczym nie różniła się od osiedli w Londynie, Birmingham czy Glasgow. Te mieszkania istotnie zbudowano po wojnie, z myślą o żołnierzach brytyjskich sił okupacyjnych. Wyprowadzając się, Brytyjczycy przekazali mieszkania władzom Hamburga. Dzisiaj osiedle Grindelhochhäuser, omijane szerokim łukiem przez hamburczyków, zamieszkiwali głównie imigranci. W tej betonowej dżungli z importu rządzą podobno Ukraińcy.

MacSwain wjechał w Beim Schlump i minął Sternschanzen Park. Potem skręcił w Schanzenstrasse.

- Jedź do St Pauli - powiedziała Anna.

- Tam, gdzie znaleziono drugą ofiarę. - Paul zerknął z ukosa na Annę. - Ale pewnie po prostu chce się zabawić...

W ciągu dnia dzielnica St Pauli leży uśpiona, jakby chłonąc energię słoneczną. Dopiero nocą zaczyna kipieć życiem. Oprócz przemysłu porno i musicali w St Pauli znajdują się jedne z najprężniejszych klubów w Europie. The Academy, PAT, Location One i Cult przyciągają klubowiczów z całego miasta i spoza niego. Nawet we wtorkową noc, najmniej rozrywkową w północnoniemieckiej psychice, impreza trwa tu do rana.

MacSwain zatrzymał się na parkingu na Spielbudenplatz. Paul wysadził Annę przed wjazdem, żeby wypatrywała wychodzącego MacSwaina, a sam zaparkował dalej w głębi ulicy. Potem zajął pozycję naprzeciwko wjazdu, Przed Tivoli Schmidta. MacSwain wyszedł z parkingu.

Ubrany był swobodnie, choć drogo, a poruszał się z luzacką pewnością siebie. Nie zauważył Anny, kiedy ta odwróciła się, przeszła przez ulicę, potem zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyła za nim. Paul też go dogonił i szedł trzy kroki w tyle, ale po przeciwnej stronie ulicy.

MacSwain wyprowadził ich ze Spielbudenplatz, przeciął na ukos Davidstrasse przed posterunkiem policji i wszedł we Friederichstrasse. Anna dogoniła Paula i ujęła go pod ramię: ten prosty gest momentalnie zmienił ich w parę. Minęli AlbersEck z charakterystyczną narożną bramą. Nieopodal w jednym z pubów trwała szampańska noc, aż na ulicę docierał entuzjastyczny łomot niemieckiej muzyki środka. MacSwain

przeszedł przez plac Hans-Albers i wszedł do klubu, powitany skinieniem głowy przez jednego z dwóch bramkarzy, wyglądających tak, jakby sami utrzymywali całą niemiecką branżę sterydową.

- Cholera - powiedziała Anna. - Co robimy? Paul wciągnął powietrze przez zęby.

- Sam nie wiem... Tam w środku musi być potworny tłok. Jeśli wejdziemy, on będzie mógł wyjść, zanim go zauważymy. Z drugiej strony, jeśli tu zostaniemy, będziemy się wyróżniać. - Paul pospiesznie omiótł wzrokiem plac. - Moglibyśmy ściągnąć wsparcie i zaparkować tutaj, ale czekając, będziemy widoczni jak na patelni... Wejźmy do klubu i zobaczmy, czy uda nam się go znaleźć. Jeśli nie, to za piętnaście minut spotykamy się przy drzwiach. Dobrze?

Skinęła głową i ruszyła schodami do wejścia. Jeden ze zwalistych bramkarzy spojrzął na skórzaną kurtkę Anny i zaśmiał się szyderczo. Kiedy go mijala, zatrzymał ją kładąc jej rękę na ramieniu. Dziewczyna błyskawicznie złapała prawą dłoń za mięsisty kciuk bramkarza. Tamten przechylił się na bok z głośnym „auuu!”; patrzył na kciuk, zdumiony, że tak bardzo mógł się wygiąć.

- Bez macanek! - poprosiła Anna słodkim głosem.

Ruszył się drugi osiłek, ale Paul zastąpił mu drogę, pokazując odznakę policyjną. Byczek cofnął się i otworzył Annie drzwi. Puściła kciuk bramkarza, który ten zaraz ukrył w drugiej dłoni.

- Ona chodzi na terapię, gdzie pracuje nad agresją... - pocieszył Paul obolałego mięśniaka i zachichotał z własnego dowcipu.

Kiedy weszli z holu do głównej sali tanecznej, pulsowanie basu, przytłumione, gdy słyszeli je przed klubem, teraz niemal rozsadziło im bębni. Lampy stroboskopowe i lasery pulsowały w takt muzyki. Na parkiecie, położonym niżej niż otaczające go loże, tańczyły setki klubowiczów. Kipiąca masa ciał nie była tak nieprzenikniona, jak byłaby w tym samym miejscu pod koniec tygodnia, ale znalezienie w tym tłumie jednego człowieka było i tak prawdziwym wyzwaniem.

Anna odwróciła się do Paula i wzruszyła ramionami.

- Co się robi po wejściu do klubu? Zamawia się drinka?

Paul przytaknął, wodząc wzrokiem po parkiecie. Naprzeciwko nich znajdował się szeroki, nieco wzniesiony bar. Rozdzielili się i ruszyli w tamtym kierunku, rozglądając się za MacSwainem. Jednocześnie dotarli do przeciwległych końców baru w kształcie podkowy. Rozglądanie się za podejrzanym bez zwracania na siebie uwagi jest prawdziwą sztuką: Paul jej nie posiadał. Natura i północnoniemieckie geny sprzysięgły się, by nadać mu taki wygląd, jakby jego naturalnym ubiorem był mundur policyjny. Tutaj, w towarzystwie modnie, a często skąpo odzianych klubowiczów, Paul wiedział, że najlepsze, co może zrobić, to jak najbardziej wtopić się w otoczenie. Przepisnął się do baru i zamówił piwo.

Z tego punktu obserwacyjnego widział Annę. Była prawdziwą mistrzynią. Udając, że koncentruje się na muzyce i na parkiecie, co pewien czas zerkała bez zainteresowania na bar. Właśnie miała podejść do Paula, kiedy dostrzegła MacSwaina. Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Annę, był jego wygląd; nigdy wcześniej nie widziała go z bliska, a zidentyfikowała go na podstawie fotografii, którą Fabel uzyskał z urzędu imigracyjnego. MacSwain miał szeroką, silną twarz o mocnej szczęcie i wydatnych kościach policzkowych. Lśniące oczy mieniły się szmaragdowo.

Pochłonięty był rozmową przy barze z dwiema blondynkami, które śmiały się na kiwnięcie palcem i jak zahipnotyzowane patrzyły mu w oczy. Uświadomiwszy sobie, że przygląda mu się trochę za długo, Anna odwróciła się do całej trójki plecami. Powoli powiodła wzrokiem po parkiecie, aż napotkała wzrok Paula. Nieznacznym ruchem oczu wskazała mu pozycję MacSwaina, a Paul skinął głową. Odwróciła się niedbale, żeby sprawdzić, czy MacSwain wciąż tam stoi. Tak. Wpatrywał się w Annę zielonymi, przenikliwymi oczami. Poczowała drżenie, ale jej twarz niczego nie zdradziła. Oderwawszy wzrok, zaczęła się rozglądać po sali; patrzyła wszędzie, tylko nie na Paula, nie chcąc zdradzić jego pozycji. Serce waliło jej w piersiach, na zewnątrz jednak była spokojna.

Wróciła spojrzeniem do MacSwaina. Jego oczy nadal były w

nią utkwione. Dwie blondynki chichocząc rozmawiały ze sobą. No i dupa, pomyślała Anna, przejrzał mnie na wylot. Kąciki ust MacSwaina uniosły się w uśmiechu zrozumienia. Anna mogła mieć tylko nadzieję, że gdy wyślizgnie się z baru, Paul zdoła go przytrzymać do czasu, kiedy ona ściągnie zmienników. Zakłęła pod nosem. Spieprzyli kolejną obserwację. Po powrocie ze szpitala jo Komendy Głównej Fabel dowie się, że dała się rozszyfrować inwigilowanemu. Uśmiech MacSwaina rozszerzył się. No, dalej, zarozumiały fiucie, pomyślała Anna, napawaj się zwycięstwem. Nagle do niej dotarło: O kurde, on wcale mnie nie przejrzał... ten skurwiel mnie podrywa!

Odwzajemniła uśmiech. MacSwain powiedział coś do dwóch blondynek, zrobił przeproszający gest; wyraźnie niezadowolone odplynęły w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy. Mężczyzna zrobił kilka kroków w stronę Anny, a ona nawet nie patrząc wiedziała, że Paul zajął pozycję ubezpieczającą. Wymijając MacSwaina, podeszła do baru, nachyliła się nad blatem i zamówiła burbona z piwem imbirowym. Wtedy z uśmiechem odwrócił się w jej kierunku.

- Czy mogę postawić ci tego drinka?

- Dlaczego? - spytała chłodno Anna. Ponad ramieniem MacSwaina widziała nadchodzącego Paula. Prawie niedostrzegalnym ruchem oczu, który Paul natychmiast odczytał, poleciła mu ponownie zapaść się w gąszcz eleganckich kreacji klubowych.

- Bo mam na to ochotę.

Anna wzruszyła ramionami, a kiedy barman podał drinka, MacSwain zapłacił. Anna starała się, żeby jej ruchy były wyluzowane, wręcz niedbałe, ale mózg pracował pełną parą. Obserwacja podejrzanego zamieniła się w pracę tajnej agentki. Za całe wsparcie miała Paula, który raz po raz ginął jej z oczu, a przecież MacSwain mógł być szaleńcem, który dla zabawy rozcinał kobiety. Skup się, dziewczyno, mówiła do siebie. Oddychaj powoli i głęboko. Nie daj mu Poznać, że się boisz. Sączyła swojego burbona.

- Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem - powiedział MacSwain. Anna zwróciła się do niego z kpiącym wyrazem

twarży.

- Nie stać cię na nic więcej?

- Powiedziałem prawdę. Ja nie zagaduję, ale rozmawiam. - Anna po raz pierwszy usłyszała w jego głosie cudzoziemski akcent. Niemczyzna MacSwaina była bez zarzutu, choć nieco sztywna; wieloletnia nauka języka skryła akcent.

- Jesteś cudzoziemcem? - spytała wprost.

- Czy to tak bardzo widać? - roześmiał się MacSwain.

- Owszem - odparła Anna, biorąc kolejny łyk. To ci się nie spodobało, co? - pomyślała. MacSwain najwyraźniej nie przywykł do tego, by kobiety nie padały mu od razu do stóp. Jego twarz przybrała wyraz zrezygnowanej uprzejmości.

- Na zdrowie - powiedział. - Przepraszam, że cię zaczepiłem. - Po tych słowach zaczął się oddalać.

Cholera, pomyślała Anna, co teraz? Jeśli odejdzie, nie mogę go śledzić, ale nie mogę też spędzić z nim reszty nocy. Pomyśl.

- Będę tu w piątek wieczorem... jeśli chcesz mi postawić jeszcze jednego - powiedziała, nie odwracając się do MacSwaina. - Około wpół do dziewiątej. - Anna odwróciła się. Może piątek był dla niego zbyt odległym terminem; może powinna była umówić się na jutro. Jeśli jednak Fabel miał zgodzić się na ten spontaniczny pomysł, potrzebowali czasu na opracowanie planu działania i zorganizowanie wsparcia.

MacSwain znowu błysnął zębami w uśmiechu.

- Będę tu. Ale jestem i teraz...

- Przykro mi, ale dzisiaj mam coś do załatwienia - odparła Anna.

- Wobec tego do zobaczenia w piątek o wpół do dziewiątej.

MacSwain nie ruszał się z miejsca. Anna zbyt szybko wychyliła drinka, który spłynął do żołądka piekącą strugą. I tym razem nic nie dała po sobie poznać.

- To na razie.

Odchodząc, czuła na sobie jego wzrok. Paulowi posłała spojrzenie, które odczytał jako „Teraz działasz sam”. Wstał i podszedł do stalowej barierki otaczającej parkiet; po drodze minął Annę i, nie patrząc na nią, przekazał jej kluczyki do samochodu.

Anna siedziała w samochodzie przez dwie godziny, zanim wreszcie ujrzała MacSwaina, jak szedł w stronę parkingu na Spielbudenplatz. Wysoka, atrakcyjna blondynka opierała się na nim, chichocząc i całując go co kilka kroków.

- Ach... - powiedziała do siebie Anna. - Już mnie zdradzasz...

O kilka kroków za MacSwainem zobaczyła Paula. Na Spielbudenplatz było całkiem sporo nocnych marków, a Paul pilnował, żeby między nim a śledzonym zawsze znajdowało się kilka osób. Kiedy MacSwain ze swoją zdobyczą przeszli drugą stronę ulicy i weszli na parking, Anna skuliła się w samochodzie. Paul zajął miejsce obok kierowcy.

- Jak myślisz, czy powinienem tam wejść i nie spuszczać go z oczu?

- Nie. Moglibyśmy ich zgubić. A musimy dopilnować, żeby ta dziewczyna dotarła do domu.

Paul zaśmiał się gorzko.

- Cóż, wszystko spieprzone. Nie możesz więcej go śledzić, bo zna twoją twarz.

- Nie nazwałabym naszej akcji totalnym fiaskiem - uśmiechnęła się Anna z zadowoleniem. - W końcu umówiłam się na randkę...

Środa, 18 czerwca, 11.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Podkrążone oczy Fabla zapadły się w głąb czaszki. Oprócz tego jedynym śladem napaści był sinobrunatny ślad na szyi i sztywność karku; kiedy odwracał głowę, żeby gdzieś spojrzeć, zazwyczaj skręcał także ramiona. Po wypisaniu się ze szpitala o wpół do dziewiątej, pojechał do domu, aby zmyć pod prysznicem szpitalną woń i przebrać się w czyste rzeczy. Ostatnią godzinę spędził na czytaniu akt o tajnej operacji Klugmanna i Kramer.

Zgodnie z aktami BND, celem operacji było zbieranie danych na temat rywalizacji między gangami, a w szczególności wtargnięcia Ukraińców na terytorium kontrolowane przez Ulugbeja. W teczce znajdowała się wydana przez Ministerstwo Sprawiedliwości zgoda na założenie podsłuchu telefonicznego w wynajmowanym lokalu. Nie było mowy o sprzęcie wideo ani podsłuchu bezpośrednio w mieszkaniu. Tina Kramer miała osłaniać kolegę oraz przekazywać wszelkie materiały lub gotówkę, niezbędne do uchronienia Klugmanna przed koniecznością bezpośredniego kontaktu z jakąkolwiek agencją rządową. Zgodnie z zaleceniem, po każdym ich spotkaniu Kramer miała zostawać na noc w mieszkaniu. Dzięki temu nikt, kto obserwowałby Klugmanna, nie mógł połączyć Kramer z LKA7 ani z BND. Tina Kramer mieszkała w Eimsbüttel, na tyle daleko od St Pauli, by robiąc zakupy, nie wpaść przypadkiem na podejrzanego. Dostała szczegółowe, złożone instrukcje, mające zapobiec inwigilacji. W mieście rozmieszczone były cztery kryjówki. Ilekroć Kramer wracała do domu po spotkaniu z Klugmannem, zachodziła do co najmniej jednej z nich na przynajmniej godzinę. Również tam odbierała materiały i pieniądze, podobnie jak Klugmann, przez wiele miesięcy nie przestąpiła progu agencji federalnej. W założeniu każdy, kto ją

obserwował, miał pomyśleć, że Tina Kramer odwiedza klientów. Później szła określną drogą do Eimsbüttel, zabezpieczając się przed ewentualną inwigilacją i kluczając. Powrotna droga do domu była więc długa.

Cały ten plan miał pewien podtekst. Tina Kramer była tylko kurierem Klugmanna, a jednak każdy jej ruch, każdy wzajemny kontakt był najeżony środkami ostrożności. Ironia polegała na tym, że on sam nie musiał dokonywać tylu manewrów spod znaku płaszcza i szpady. Jego główną formą obrony miało być prowadzenie określonego trybu życia. Do tego stopnia miał wejść w rolę meta żyjącego na obrzeżach zorganizowanej przestępczości, a zarazem tak krańcowo odizolować się od swych prowadzących, aby wypracowana przykrywka stała się nieprzenikalna. Klugmann dysponował dwiema liniami ratunkowymi: Tiną Kramer oraz telefonem komórkowym. Nie tylko zapewniały mu kontakt, ale pozwalały też zachować równowagę; dzięki nim nie odrywał się od tego, kim był naprawdę, i od prawdziwych celów.

W teczce Fabel znalazł wiele danych o organizacjach przestępczych Ulugbeja i Warasowa, a także o innych, drugorzędnych przestępczych interesach. Jednak, minio iż sam Volker zapewnił go, że główny cel operacji stanowiła nowa grupa, Elita, w teczce nie było wiele na jej temat. Zapisy podsłuchanych rozmów telefonicznych z mieszkania także niewiele wносиły. Czegoś brakowało.

Volker obiecał mu pełną historię. I nie dotrzymał słowa.

Fabel poprosił Wenera, aby zebrał wszystkich w sali ogólnej wydziału zabójstw na naradę. Kiedy wyszedł z gabinetu, poczuł na sobie wzrok ludzi z zespołu. Wyprostował się, jak tylko mógł, starając się tchnąć w ruchy jak najwięcej energii. Rozległ się cichy dzwonek; Paul Lindemann podniósł słuchawkę. Fabel odczekał, aż Paul skończy, po czym dwukrotnie głośno zaklaskał.

- Dobrze, ludzie, co mamy? Mario?

Maria Klee siedziała na rogu swego biurka. Miała na sobie

drogą, jasnobłękitną bluzkę i szykowne szare spodnie. Ciężka czarna bryła pistoletu na biodrze zupełnie nie pasowała do reszty. Sięgnęła po bloczek zapisany notatkami.

- Namierzyłam członka Świątyni Asatrü... nazywa się Björn Janssen. W Schanzenviertel prowadzi jakiś sklep New Age. Zajmuje się też stroną internetową poświęconą kultowi Odyna, Asatrü czy jak tam chcecie to nazwać...

- Może kupą gówna - podsunął Werner. Fala śmiechu zebranych rozbiła się o rzeczowy ton Marii.

- Znalazłam go właśnie przez tę stronę internetową. Kiedy spytałam go, czy słyszał o Świątyni Asatrü, otwarcie przyznał, że do niej należy; mało tego, jest jednym z „wysokich kapłanów”. Janssen twierdzi, iż stowarzyszenie jest całkiem legalne i zajmuje się „kultywowaniem życia”. Umówiłam się z nim na spotkanie dziś o dwudziestej trzydziści.

- Pójdę z tobą - powiedział Fabel, po czym zwrócił się do Wenera. - Coś jeszcze na temat MacSwaina?

Nadeszła kolej Wenera, by zajrzeć do notatek.

- John Andreas MacSwain... - Podobnie jak wszyscy z wydziału zabójstw, z wyjątkiem Fabela, Werner nie potrafił wymówić miękkiego, anglosaskiego „w” w nazwisku MacSwaina. - Urodzony w 1973 roku w Edynburgu. Jego ojciec jest współnikiem w edynburskiej firmie korporacyjnych księgowych. Matka, Niemka, pochodzi z Kassel w Hesji. MacSwain odebrał wykształcenie w jednej z tych brytyjskich snobistycznych szkół i obronił dyplom z informatyki... - Werner z trudem wymówił nazwę uczelni: - Na uniwersytecie HeriotWatt. Uzyskał też dyplom z zaawansowanej informatyki stosowanej na tutejszej Politechnice Hamburg-Harburg. Na stałe mieszka w Niemczech, ale nie ubiegał się o obywatelstwo. Pracuje dla Grupy Wydawniczej Eitel. Nie jest jednak zatrudniony na etacie, ale pracuje jako wolny strzelec do spraw konsultacji informatycznych.

- Idealna pozycja do wysyłania niewykrywalnych e-maili - powiedziała Anna.

Siedzący na krawędzi biurka Wenera Fabel trawił przedstawione informacje, pozwalając podbródkowi opaść na

pierś. Gwałtownie uniósł głowę, bo nagły ból przeszył mu szyję w miejscu, gdzie Słowianin nacisnął.

- Mów dalej, Werner.

- Nie jest notowany ani tutaj, ani w Wielkiej Brytanii. Nie dostał nawet mandatu za przekroczenie szybkości. - Werner opuścił notatki z wyrazem twarzy mówiącym, że to wszystko.

- Anno, jak poszła obserwacja? Chcesz o czymś zameldować?

Anna i Paul wymienili spojrzenia. Fabel zrobił długi, powolny wdech.

- Dobrze Anno... słuchamy.

Anna zrelacjonowała wydarzenia minionej nocy.

- W porządku... - Twarz nadkomisarza wyrażała nieskrywane zdumienie. - Chcesz powiedzieć, że w wyniku obserwacji umówiłaś się z obiektem... na randkę?

- Cóż mogę powiedzieć? Albo się to ma, albo nie.

Fabel się wyprostował.

- Cieszę się, że to panią bawi, komisarzu Wolff.

- Proszę posłuchać, szefie, to może zadziałać. Jasne, mogę wycofać się z zespołu obserwacyjnego i nie iść na randkę z MacSwainem... ale z drugiej strony, mogłabym na nią pójść i pewnie dowiedzieć się więcej niż w ciągu miesięcznej obserwacji.

- A jeśli to facet, którego szukamy? - spytał Paul. - Mogłabyś zostać kolejną ofiarą.

Fabel popatrzył na dziewczęcą twarz pod makijażem, malujący się na niej upór i poczuł się nieswojo.

- To mi się nie podoba, Anno. Nie chcę cię narażać... Ale zastanowię się.

Paul Lindemann prychnął, jakby ugryzł coś niesmacznego i cisnął długopis na stół. Fabel nie zareagował, ale postanowił, że nawet jeśli Anna nie wybrałaby Paula, on sam poleci mu kierować grupą wsparcia: Paul przedłoży bezpieczeństwo partnerki nad własne.

- Masz przygotować plan operacyjny i jeszcze dziś dostarczyć na moje biurko - ciągnął Fabel. - Jeśli będzie miał luki, rezygnujemy z akcji. I pamiętaj, masz nosić podsłuch. Chcę, żeby grupa wsparcia wiedziała o wszystkim, co się dzieje.

- Och... - Na twarzy Anny odmalowało się rozczarowanie. - Chcesz zepsuć mój styl? - Widząc jednak, że jej dowcip nie wzbudził zachwytu, szybko dodała: - Tak jest, szefie.

Fabel czuł, jakby głowę ścisnęła mu obręcz. Ostre światło w sali wydziału zabójstw kłuło go w oczy. Zerknął na zegarek: dochodziła dwunasta trzydzieści; dopiero za godzinę mógł wziąć kolejną dawkę środków przeciwbólowych.

- Co wiemy o Angelice Blum? - Mówiąc to Fabel masował skronie. - Czy odkryliśmy coś nowego?

Mam cały przebieg jej pracy zawodowej - odparł Werner. - Wyszło na jaw kilka interesujących rzeczy. Słyszałeś o tej wystawie w Bremie? Fabel przytaknął, zaintrygowany.

- Zanim Marlies Menzel zajęła się podkładaniem bomb w Alsterarkaden, pracowała jako dziennikarka i karykaturzystka w lewicowym piśmie „Zeitgeist”. Angelika Blum również pracowała w tym piśmie. Jej ówczesny chłopak był tam redaktorem.

- Czy Menzel i Blum przyjaźniły się?

- Tego jeszcze nie wiem. Miałem nadzieję, że obaj przepytamy byłego chłopaka Blum na tę okoliczność.

- Chyba nie jestem ci do tego potrzebny? - zdziwił się Fabel.

- Och, myślę, że jesteś. - Surowa rzeźba rysów twarzy Wenera ułożyła się w krzywy uśmieszek. - Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby zechciał nam towarzyszyć naczelnik van Heiden.

- Dlaczego?

- W tamtym czasie... i w sumie przez cztery lata... kochankiem Angeliki Blum był młody lewicowy prawnik i dziennikarz o ambicjach politycznych. Nazywał się Hans Schreiber.

Fabel popatrzył na Wenera.

- Chyba nie ten Hans Schreiber. Nie burmistrz?

- Ten sam. Fabel uniósł brwi.

- Co jeszcze masz?

- Blum miała bliską przyjaciółkę, Erikę Kessler, która pracuje dla radia NDR. Rozmawiałem z nią przez telefon. Dość ostra, też mocno poruszona śmiercią Blum. Wydaje się, że może wiedzieć, choć raczej niewiele, nad czym pracowała

dziennikarka. Z nią też się umówiłem.

- A coś o facecie, który napadł na mnie w mieszkaniu Blum?

- W tej sprawie nic, szefie... ale nie z braku chęci. Resztę czasu poświęcono na dogranie umówionych spotkań i przydzielenie zadań poszczególnym członkom zespołu. Fabel właśnie zamierzał zakończyć zebranie, kiedy zadzwoniła jego komórka. Natychmiast poznał głos. - Poczekaj chwilę. - Fabel odsunął telefon od ucha i powiedział do swoich ludzi: - Dobrze, informujcie mnie na bieżąco o rozwoju wydarzeń. - Przeszedł do swego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i przyłożył telefon do ucha.

- Mahmut, co się z tobą, u diabła, działo? Cholernie się martwiłem. Słuchaj, zapomnij o wypytywaniu o tych Ukraińców czy zabitą dziewczynę. Wiemy, kim ona jest. Ze względów bezpieczeństwa nie powinieneś się mieszać...

- Wiem, Janie. Myślę, że na to jest już trochę za późno. Ale i tak położyłem uszy po sobie. To zabrzmiało jak tekst z marnego kryminału, ale chyba ktoś mnie śledzi. Na pewien czas muszę zniknąć, ale chcę, żebyś sprawdził jedno nazwisko.

- Jakie?

- Witrenko. Wasyl Witrenko. Może być znany nawet jako pułkownik Witrenko.

- Co z nim?

- To jest diabeł, Janie.

Środa, 18 czerwca, 15.00. Port Hafen, Hamburg

Do Hamburga zawitało lato, temperatura poszła w górę. Paul, Werner i Fabel bez marynarek oraz Maria siedzieli na niskim murku, obok wysokich stolików. Maria skrzyżowała nogi w eleganckich spodniach, zaplotła palce na kolanach, a jej jasnobłękitna jedwabna bluzka połyskiwała w słońcu. Kabury i broń zostawili w bagażniku należącego do Fabla bmw z odsuwany dachem, i gdyby nie grubo ciosana twarz Wernera i neopunkowy styl Anny można by ich wziąć za grupę korporacyjnych prawników, którzy wyskoczyli na kufelek do Schnell-Imbiss na nabrzeżu.

Kiedy jak zwykle jowialny Dirk podał im po zimnym piwie, skupili się przy dwóch stolikach, z dala od dwóch dokerów, poza którymi nie było tu nikogo.

- Nasz przyjaciel Volker sporo przed nami ukrywa, mimo obietnicy pełnej otwartości - powiedział Fabel. - Od mojego nieoficjalnego informatora dowiaduję się więcej niż ze źródeł wywiadu federalnego. - Wszyscy wiedzieli, że Fabel miał własnych, chronionych informatorów, podobnie jak wszyscy pozostali; wiedzieli też, że nie ma co pytać, skąd pochodziły nowe wiadomości. - Muszę przyznać, że nie wiem, jaki wpływ ma ten fakt na nasze śledztwo, ale jest to niebezpieczny element, który Powinniśmy uwzględnić. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że właśnie ci ludzie zabili Klugmanna. Jest też prawie pewne, że zamordowali Ulugbeja, aby przejąć jego kolumbijski kontakt narkotykowy.

Nikt się nie odezwał. Fabel popił jeverem dwie kodeiny.

- Ta Elita, jak ją nazywa Volker, składa się z byłych oficerów Specnazu. To nie są zwykłe rzezimieszki. Według mojego informatora wszyscy są weteranami z Czeczenii i Afganistanu, a grupą kieruje niejaki pułkownik Wasyl Witrenko. Facet ma

straszną reputację, a samo brzmienie jego nazwiska paraliżuje inne grupy ukraińskie. Nikt nie ma pewności, czy Witrenko w ogóle jest w mieście, wiedzą jednak, że Elita składa się z oficerów, którzy służyli pod jego dowództwem. Nie mam pojęcia, co ten gość wyrabiał, ale jest tak znany z okrucieństwa, że nikt nie śmie ryzykować założenia, że Witrenki tu nie ma.

- Czy ten Witrenko może stać za morderstwami Krwawego Orła? - spytała Maria.

- Wątpię. Syn Svena uważa się za jakiegoś germańskiego krzyżowca. Witrenko to cudzoziemiec. Jestem jednak przekonany, że albo on, albo grupa posługująca się jego reputacją jako narzędziem terroru stanowiła faktyczny cel operacji Klugmanna i Kramer. Zastosowane środki bezpieczeństwa wskazują, że mieli do czynienia ze świetnie zorganizowanym i profesjonalnym przeciwnikiem. Gdyby sprawy miały się inaczej, moglibyśmy się zwrócić o pomoc do wydziału przestępczości zorganizowanej, ale Volker twierdzi, że ta grupa przestępcza ma kontakty w policji hamburskiej. Dlatego nie chcę, żeby informacje wychodziły poza naszą piątkę.

- Chryste, Janie. - Werner potrząsnął głową. - Chyba nie wierzysz w te bzdury?

- Nie zamierzam ryzykować. Według Volkera ci ludzie służyli w jednostkach specjalnych policji na Ukrainie. Poza tym spójrzcie prawdzie w oczy: mamy u siebie ludzi, którzy nie potrafią zdecydować, czy są żołnierzami, czy policjantami. Nie mogę nawet zwrócić się o pomoc do Volkera. Co prawda udzielił mi informacji o Elicie, ale twierdził, że szef grupy nie ma twarzy ani nazwiska, jeśli mój informator mógł dowiedzieć się, kto nim jest, to jestem pewien, że BND też. Zresztąteczka, którą dał mi Volker, została skomponowana w taki sposób, by zminimalizować znaczenie Elity. Chcę, żebyśmy przeprowadzili specjalną lustrację w celu ustalenia, kto w policji hamburskiej utrzymywał oficjalne, półoficjalne lub nieoficjalne kontakty z ukraińskimi służbami bezpieczeństwa. Mario, czy możesz się tym zająć razem z Wernerem? Wiem, że jesteście zawałeni pracą, więc nie stawiajcie tego zadania na pierwszym miejscu,

ale dopilnujcie, żeby zostało wykonane. I, na miłość boską, zachowajcie dyskrecję. Maria skinęła głową.

- Dyskrecja to moje drugie imię - zapewnił Werner i cała piątka wybuchła śmiechem.

Środa, 18 czerwca, 19.00. Blankenese, Hamburg

Blankenese leży na zachód od Hamburga, na północnym brzegu Łaby. Wznoszący się stromymi tarasami brzeg porastają zielone kępy szerokolistnych drzew. Zabudowania składają się tu po części z maleńkich chat rybackich, po części z eleganckich willi z dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku. Chaty rybackie łączą się w skupiska, ale wille, unikając ostentacji, utrzymują północnoniemiecki fason za osłoną drzew i rozległych ogrodów. Nowoczesna architektura wdarła się do Blankenese w sposób ograniczony, selektywny i gustowny. Z tych wszystkich powodów Blankenese stało się jedną z najbardziej prestiżowych dzielnic Hamburga. Miejsce rybaków i rzemieślników, którym Blankenese zawdzięczało swój bezpretensjonalny charakter, już dawno zajęli biznesmeni, ludzie mediów i członkowie zarządów wielonarodowych korporacji z siedzibami w Hamburgu.

Werner skontaktował się z Eriką Kessler w jej biurze w studiu radiowym NDR w Rothenbaumchaussee, ale poprosiła, by rozmowa odbyła się wieczorem u niej w domu w Blankenese. Chociaż młoty parowe nadal waliły w skroniach Fabla, uparł się, żeby pojechać z Wernerem. Chciał zyskać obraz Angeliki Blüm i powodów jej działania, tak silnych, że doprowadziły ją do śmierci. Redaktorzy i agenci, którzy regularnie zlecali Blüm pracę, byli zgodni w jednym: nigdy nie zdradzała przedmiotu swego dochodzenia, dopóki artykuł nie był gotowy do publikacji. Wydawało się, że nie miała bliższej przyjaciółki niż Erika Kessler, która znała Angelikę Blüm od czasów uniwersyteckich.

Erika Kessler była producentką w radiu NDR, a jej mąż współnikiem w firmie produkującej reklamy telewizyjne. Ich trójpoziomy nowoczesny dom symbolizował potencjał

połączonych dochodów współmałżonków i modną opłacalność ich zawodów. Mąż Kessler, drobny, schludny, łysiejący jegomość w spodniach od Armaniego, kaszmirowej bluzie wyciętej w serek i klapkach, plaskających o terakotę atrium, zaprowadził ich na drewniany balkon, wzniesiony nad opadającym stromo w dół ogrodem.

Kiedy tylko Fabel ujrzał widok z balkonu, zrozumiał, że do typowanej przezeń ceny domu należy dorzucić dobre pół miliona. Czuł, że Werner - na co dzień mało wrażliwy na doznania estetyczne - również w milczeniu chłonał panoramę. Rezydencja Kesslerów wznosiła się na jednym z tarasów, górujących nad Blankenese Strandweg. Z balkonu Fabel i Werner mogli podziwiać szeroką panoramę Łaby: od nadrzecznych piasków przez zadrzewiony sierp rezerwatu przyrody na wyspie Ness, dzielącej Łabę na dwa kanały, aż po Altes Land na południowym brzegu rzeki. Lustro wody było upstrzone białymi trójkątami żagli. Tylko masywny, długi kontenerowiec przypominał, że pierwotną funkcją tej rzeki było dostarczanie nie przyjemności, lecz zysków.

W ciągu minionego tygodnia Fabel napatrzył się na imponujące nieruchomości: posiadłość Yilmaza, modny apartament MacSwaina, modernistyczne mieszkanie Angeliki Blum w stylu lat dwudziestych, ale żadna z nich nie wzbudziła w nim uczucia zazdrości. Wywołał je dopiero ten dom swoją powściągliwą elegancją, lokalizacją oraz zachwycającym widokiem, mogącym konkurować z panoramą miasta rozciągającą się z okien mieszkania Fabla. Kiedy jednak pomyślał o sobie w tym domu, pojawił się obraz jego byłej żony Renatę i córki Gabi. Poczł gorycz i irytację na Kesslerów. Odwrócił się plecami do widoku z balkonu.

Kiedy Erika Kessler wyszła na balkon, oczom Fabla ukazał się obraz lodowatego piękna; tylko niemal męska szczeka zakłócała tę harmonię. W jasnoniebieskich oczach krył się lód, a sposób trzymania głowy tchnął arogancją. Ładne, puszczone luźno jasne włosy, okalające twarz lokami nieco łagodziły surowość rysów. Miała na sobie białą bawełnianą bluzkę i luźne spodnie z białego lnu. Wskazała im solidnie wyglądające ławy z

twardego drewna i sama usiadła. Werner i Fabel zajęli miejsca naprzeciw niej. Przychodząc, machnęli Kesslerowi swoimi odznakami; teraz Erika poprosiła ich o legitymacje, którym przyjrzała się z uwagą, starannie porównując zdjęcia z twarzami.

- Chcieliście zapytać mnie o Angelikę? - odezwała się w końcu, oddając im legitymacje.

- Tak - odparł Fabel. - Wiem, że musi pani być bardzo przygnębiona śmiercią pani Blum... jej okolicznościami... i zapewniam, że nie chcemy dokładać pani więcej, ale musimy dowiedzieć się jak najwięcej o pani przyjaciółce po to, by znaleźć zabójcę.

- Powiem wam wszystko, co mogę. Angelika nie była osobą, która... - Kessler szukała właściwego słowa - ...która się dzieliła. Naprawdę nie dawała z siebie wiele.

- Ale byliście bliskimi znajomymi? - spytał Werner.

- Owszem, przyjaźniłyśmy się. Poznałam Angelikę na uniwersytecie. Dogadywałyśmy się. Była bystra, przyciągała mężczyzn, a to w tamtych czasach były podstawowe kryteria powodzenia.

- Jaka ona była? - spytał Fabel.

- Na uniwersytecie czy później?

- Jedno i drugie.

- Cóż, nigdy nie była lekkoduchem. Zawsze bardzo poważnie traktowała studia, angażowała się też w działalność polityczną. Parę razy spędzałyśmy razem wakacje. Pewnego lata zbierałyśmy winogrona w Hiszpanii. Pamiętam, że w drodze powrotnej odwiedziłyśmy krainę Basków i znalazłyśmy się w Guernice, wie pan, w mieście uwiecznionym przez Picassa. Pamiętam, że poszłyśmy pod pomnik ku czci ludzi zabitych w 1937 roku przez Legion Kondor, któremu Hitler, chcąc wyświadczyć przysługę generałowi Franco, kazał zbombardować Guernice. Pewna staruszka usłyszała naszą niemiecką mowę i zaczęła nas wyzywać za to, co zrobiliśmy z jej miastem. Powiedziałam jej, że nie miałam z tym nic wspólnego, bo urodziłam się dziesięć lat po wojnie, ale Angelikę naprawdę to ruszyło. Powiedziałabym nawet, że to

zdarzenie miało istotny wpływ na kształtowanie się jej świadomości politycznej.

- Powiedziała pani, że miała zacięcie polityczne. Czy skłaniała się na lewo?

- Z całą pewnością. Nie była jednak marksistką ani niczym takim. W głębi serca była liberałem, wrażliwym na sprawy środowiska. Na pewnym etapie współpracowała z Zielonymi. Po zjednoczeniu, kiedy Partia Zielonych zawarła sojusz z różnymi grupami opozycyjnymi ze wschodnich Niemiec i utworzyła Bundnis90/Die Grunen, nosiła się chyba nawet z myślą o kandydowaniu do Bundestagu.

- Dlaczego nie kandydowała?

Pani Kessler odgarnęła złocisty lok i założyła go za ucho. Wyjrzała przez okno na rzekę.

- Była świetna w swoim fachu i dobrze o tym wiedziała. Wolą pozostać doskonałą dziennikarką, niż stać się miernym politykiem. Czuła, że swoim pisaniem bardziej przysłuży się sprawiedliwości społecznej i ochronie środowiska.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani Angelikę Blum? - zapytał Werner.

- Parę tygodni temu jadłam z nią lunch. Chyba czwartego.

- W jakim była stanie? Czy wspominała o czymś nietypowym?

- Nie. Nie, chyba nie. Była dość pobudzona. Tamtego popołudnia zamierzała zdążyć na przyjazd tego nazistowskiego gnoja, Wolfganga Eitla.

- Ojca wydawcy Norberta Eitla?

- Byłego oficera SS i przywódcy Związku „Niemcy dla Niemców”.

- Dlaczego pani Blum się nim interesowała?

Erika Kessler skrzyżowała nogi przy wtórce miękkiego szelestu lnu.

- Nie mówiła. Jak pewnie zdążył się pan zorientować, Angelika utrzymywała szczegóły swoich dochodzeń w całkowitej tajemnicy do czasu, kiedy była gotowa do druku lub emisji. Zawsze się tego trzymała. Próbowwała mnie namówić do zrobienia wspólnie z nią reportażu radiowego. Na tym etapie nie chciała zdradzić nic ponad to, że miała na Eitla haka, przez

który straci wiarygodność. Nie wspomniała nic o jego spekulacjach na rynku nieruchomości.

- Czy sugerowała, że z powodu prowadzonego śledztwa może się znaleźć w niebezpieczeństwie?

- To chyba nie przyszło jej do głowy. - Kessler zmarszczyła brwi. - Ja też o tym nie pomyślałam. Chyba nie podejrzewa pan ludzi Eitla?

- Raczej nie. Nad czym jeszcze pracowała?

- Wiem, że zajmowała się BATT101, ale to chyba nie był jej główny temat.

Fabel się zasepił. Przed drugą wojną światową i w jej trakcie w skład 101 Policyjnego Batalionu Rezerwy wchodził zwykli mężczyźni, głównie w średnim wieku, z klasy pracującej Hamburga, uchodzącego za najmniej nazistowskie miasto Niemiec. W 1942 roku ci zwykli ludzie ze 101 Policyjnego Batalionu Rezerwy dokonali masakry blisko dwóch tysięcy Żydów w polskim Otwocku. Pod koniec wojny BATT101 miał już na sumieniu ponad osiemdziesiąt tysięcy Żydów i innych „niepożądanych elementów”. Fabel przypomniał sobie sowiooką staruszkę, panią Steiner, mieszkającą pod lokalem, w którym zamordowano Tinę Kramer. Przypomniał sobie czarnobiałe zdjęcia mężczyzny w mundurze Policyjnego Batalionu Rezerwy.

- BATT101? To niezbyt aktualna sprawa.

- Sama nie wiem. - Erika Kessler wzruszyła ramionami. - Może Angelika znalazła nowy punkt zaczepienia. Wspomniała coś o porównaniu z operacjami sowieckiej policji w Afganistanie i Czeczenii.

- A co ze sprawami prywatnymi? - spytał Fabel. - Czy pani Blum była z kimś związana?

Wahanie Eriki Kessler nie trwało dłużej niż uderzenie serca.

- Nie... Ostatnio chyba nie było nikogo specjalnego. Przez pewien czas była związana z innym dziennikarzem, Pauliem Thorstenem. - Fabel zanotował nazwisko. - Rozstali się około roku temu. Od tamtej pory chyba nie była z nikim na serio.

Fabel spojrział w arktyczny błękit oczu Eriki Kessler. Nie odwróciła wzroku. Prawie jej się udało, ale w tym ułamku

sekundy, zanim odpowiedziała - zbyt naturalnie, ze zbyt spokojnym wyrazem oczu - zdradziła się przed Fablem z pierwszym kłamstwem. Ale dlaczego Kessler miałyby kłamać w sprawie kochanków Blum?

- Czy zna pani Marlies Menzel?

- Tę malarkę?

- Tę terrorystkę.

Kessler zaśmiała się, ale łód w jej oczach pojaśniał i stwardniał.

- Powiedzmy: była terrorystką, która została malarką? Słyszałam o niej, ale nie znam jej osobiście.

- Ale Angelika Blum ją знаła?

- Chyba pracowały razem przez pewien czas - powiedziała Kessler. Fabel znowu dostrzegł w jej oczach mechanizm obronny. Talent przesłuchującego polega nie tylko na złożeniu w całość tego, co zostało powiedziane, prawdy i kłamstw, ale przede wszystkim na uchwyceniu momentów wahania, milczenia, gestów, ruchów oczu. Fabel z zadowoleniem połączył te elementy. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie przyszpilić, ale ostatecznie postanowił nie zdradzać swoich myśli.

Reszta rozmowy nie wniosła już nic ważnego. Nadkomisarz podziękował Ericę Kessler za poświęcony im czas, a jej skinienie głowy wyrażało coś pośredniego pomiędzy uprzejmością a opryskliwością. Odprowadziła obu policjantów do drzwi przez wyłożone terakotą atrium, o kilka stopni chłodniejsze niż wychodzący na południe balkon.

Fabel miał niejake trudności ze znalezieniem drogi powrotnej do miasta, bo raz po raz grzął w panującym w Blankenese skomplikowanym systemie ulic jednokierunkowych. Wreszcie skierował bmw na Elbchaussee.

- I co o niej myślisz? - zwrócił się do Wenera.

- Coś ukrywa. Podejrzewam, że Blum była z kimś związana, a Kessler stara się nie dopuścić, by tego kogoś objęto dochodzeniem.

- Myślę dokładnie to samo. - Fabel przerwał na moment. - Wener, jak byś opisał Hansa Schreiber, naszego burmistrza?

Pytanie zaskoczyło Wenera.

- Nie wiem... chyba wysoki. Zamożnie ubrany. Włosy blond, szpakowate. Najwyraźniej ćwicz na siłowni... barzysty...
Dlaczego pytasz?

Fabel spojrział mu w twarz.

- A teraz opisz człowieka, którego twój świadek widział wchodzącego do domu Angeliki Blum.

Część trzecia

Od czwartku 19 czerwca do niedzieli 22 czerwca

Czwartek 19 czerwca, 10.20. Ratusz, Hamburg

Naczelnik van Heiden zareagował prawie dokładnie tak, jak przewidział Fabel. Prawie, ale niezupełnie. Wręcz doznał szoku na wieść, że burmistrz jest podejrzany w tym najbardziej priorytetowym dochodzeniu. Fabel obserwował szefa z drugiej strony rozłożystego biurka w gabinecie naczelnika na czwartym piętrze. Wydawało się, że van Heiden skamieniał w skórzanym fotelu, ze wzrokiem wbitym w blat, jakby wszelka jego aktywność fizyczna zamarła, całą energię przekazując gonitwie myśli. W końcu, całkiem nieoczekiwanie spojrzał na Fabla z rezygnacją i zapytał, co powinni teraz zrobić, jakby to Fabel był oficerem wyższym rangą, a van Heiden jego podwładnym.

- Proszę umówić się z nim na spotkanie - powiedział Fabel. - Gdyby to był ktokolwiek inny, sam bym go zgarnął... ale w tym przypadku wskazana jest pewna doza... hm, powiedzmy, dyplomacji.

- Kiedy chcesz to zrobić?

- Schreibera widziano na miejscu ostatniego zabójstwa... a przynajmniej kogoś bardzo podobnego do niego... Poza tym... z ofiarą łączy go wspólna... historia. Z tego względu wolalbym nie czekać na najbliższe „wolne okienko” w jego harmonogramie. Muszę z nim mówić teraz.

- Zostaw to mnie.

Naczelnik zatelefonował do ratusza, gdzie najwyraźniej napotkał na opór biurokratyczny. Groźby wypowiedziane przez van Heidena pod adresem nieszczęsnego urzędnika zabrzmiały tym bardziej złowrogo, że przekazywał je cichym, opanowanym, zimnym głosem. Połączono go ze Schreiberem. Rozmowa była krótka i rzeczowa. Schreiber zgodził się natychmiast spotkać się z nimi w swym gabinecie. Odłożywszy słuchawkę, van Heiden utkwiał wzrok w telefonie.

- Odniosłem wrażenie, że czekał na ten telefon. Zupełnie jakby mu ulżyło.

Ratusz jest siedzibą władz miejskich Hamburga, siedzibą rządu kraju związkowego, a zarazem jednym z najbardziej niezwykłych budynków w mieście. Główne wejście znajduje się dokładnie pod wieżą zegarową i iglicą, które górują nad rozległym placem.

Kiedy Fabel i van Heiden weszli do środka, ich oczom ukazał się olbrzymi hol z kolumnami i sklepieniami. Wokół podświetlonych szklanych gablot otaczających wielkie kolumny, kręciło się kilkudziesięciu turystów. Naczelnik właśnie zamierzał coś powiedzieć, kiedy do obu policjantów podszedł urzędnik w oficjalnym stroju.

- Poproszono mnie, abym panów powitał i zaprowadził do jego ekscelencji pana burmistrza.

Sala burmistrzowska, pomieszczenie służące do oficjalnych i uroczystych spotkań, znajduje się na drugim piętrze ratusza, tuż obok reprezentacyjnego holu. Ale biura położone są na parterze i pierwszym piętrze, w południowo-wschodniej części budynku. I właśnie tam, do gabinetu burmistrza na pierwszym piętrze, zaprowadzono Fabla i van Heidena.

Kiedy weszli do wnętrza wyłożonego dębową boazerią, Schreiber wstał. Fabel zwrócił uwagę na jego garnitur. Kolejne drogie dzieło włoskich krawców leżało nienagannie na silnych barkach burmistrza. Fabel wyczuł jednak, że Schreiber nosi coś jeszcze, co nie leży na nim tak swobodnie jak garnitur od Armaniego: w jego ruchach dawało się wyczuć pewne

skrepowanie. Schreiber podziękował asystentowi i poprosił policjantów, by usiedli. Fabel otworzył notes.

- Wspominaliście, że to ma związek ze śmiercią Angeliki? - spytał Schreiber.

Zgodnie z protokołem, Fabel odczekał parę sekund, na wypadek gdyby van Heiden chciał pokierować rozmową. Kiedy ten się nie odezwał, sam zabrał głos:

- Wyrażał pan sporą troskę w związku z tymi zabójstwami, panie burmistrzu.

- Naturalnie...

- Dał pan też jasno do zrozumienia, że życzy pan sobie jak najszybszego, pomyślnego zakończenia śledztwa...

- Oczywiście...

Fabel postanowił zagrać w otwarte karty.

- W takim razie, czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego nie powiadomił nas pan o tym, że odwiedził pan Angelikę Blum w noc jej śmierci?

Schreiber popatrzył Fablowi w oczy, lecz w jego spojrzeniu nie było wrogości ani siły. Po chwili westchnął.

- Ponieważ nie chciałem się wplątać w to wszystko. W ten skandal. Możecie sobie wyobrazić, jakie używanie miałyby prasa... - Schreiber spojrzał na van Heidena, jakby liczył na zrozumienie z jego strony. Ten jednak w żaden sposób go nie okazał.

- Doktorze Schreiber, jako prawnik zna pan prawa Przysługujące panu na mocy określonych artykułów konstytucji. Wie pan też, że od tej pory pańskie odpowiedzi mogą zostać wykorzystane jako materiał dowodowy. Szerokie ramiona Schreibera zgarbiły się.

- Tak, rozumiem.

Fabel pochylił się do przodu, opierając łokcie na dębowych poręczach krzesła, rzeźbionych w kształt lwich łap.

- Rozumie pan też chyba, że guzik nas obchodzą pańskie stosunki z mediami. Zataił pan informację mogącą mieć związek z serią zabójstw. Muszę dodać, że w szybkim tempie wyrasta pan na głównego podejrzanego. Ktoś szlachtuje kobiety - i nie mówię tego w sensie metaforycznym - a pan

martwi się o swój wizerunek?

- Wydaje mi się, że burmistrz zrozumiał, Fabel - odezwał się van Heiden cicho i bez gniewu.

- Jeżeli pańskie odpowiedzi uznam za niewystarczające, doktorze Schreiber - ciągnął Fabel - to aresztuję pana tu i teraz. Proszę mi wierzyć, wyprowadzę pana z ratusza w kajdankach. Myślę więc, że powinien pan zdobyć się na nieco więcej szczerości niż dotychczas. - Fabel oparł się na krześle. - Czy zamordował pan Angelikę Blum?

- Chryste... nie.

- Co zatem robił pan u niej w mieszkaniu w nocy, kiedy została zamordowana?

- Angelika była moją dawną przyjaciółką. Spotykaliśmy się od czasu do czasu.

Twarz Fabla stężała.

- Sądziłem, że wyrażam się jasno, panie Schreiber. Możemy prowadzić tę rozmowę tutaj albo w Komendzie Głównej. Jeśli nie będzie pan z nami całkowicie szczery, i to we wszystkich aspektach, przesłuchamy pana na naszym terenie, nie na pańskim. Zaczniemy od prawdziwego charakteru pańskich stosunków z panią Blum. Od jak dawna mieliście romans?

Twarz Schreibera była pusta. Za wszelką cenę próbował osłonić resztkę prywatności bodaj listkiem figowym, ale Fabel mu go wyrwał.

- Od roku, może nieco dłużej. Jak panu pewnie wiadomo, byliśmy razem wiele lat temu. Prosiłem wtedy Angelikę o rękę, ale odmówiła. Przez lata pozostawaliśmy przyjaciółmi, a potem dziwnym trafem coś znowu zaczęło iskrzyć.

- Czy pani Schreiber wie o tej znajomości? - spytał van Heiden.

- Nie. Boże, nie. Karin nie ma pojęcia. Ani Angelika, ani ja nie chcieliśmy jej ranić.

- Czyli nie zamierzał pan odejść od żony? - zapytał Fabel.

- Nie. W każdym razie nie teraz. Zaproponowałem, żeby od tego zacząć, ale Angelika nie chciała, żebyśmy zamieszkali razem. Ceniła sobie niezależność, a ten układ... cóż, chyba jej odpowiadał. Poza tym, jak już mówiłem, nie chciałem

krzywdzić Karin i dzieci.

- To nie wygląda na zbyt głęboki związek. Schreiber pochylił się do przodu. Wziął długopis i zaczął obracać go w palcach.

- To nieprawda. Troszczyliśmy się o siebie nawzajem, ale po prostu byliśmy... - szukał właściwego słowa - praktyczni. Ponadto zawsze mieliśmy świadomość niezakończonych spraw między nami.

Fabel postanowił sprawdzić inny domysł.

- Czy prawdą byłoby stwierdzenie, że pani Blum chciała zakończyć ten związek?

- Skąd pan... - Schreiber wyglądał na dotkniętego.

- Czy dlatego właśnie poszedł pan do niej tamtej nocy? Próbował pan wyperswadować pani Blum zerwanie?

- Nie. Już wcześniej postanowiliśmy przestać się widywać.

- Rozumiem, że w przeszłości zostawał pan u niej na noc.

- Kiedy okoliczności na to pozwalały - przytaknął Schreiber.

- Innymi słowy, kiedy miał pan wiarygodne alibi dla żony.

Schreiber z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Domyślałam się więc, że miał pan u pani Blum swoje rzeczy, po które poszedł pan tamtej nocy.

Schreiber otworzył szerzej oczy.

- Tak... koszule, garnitur na zmianę, przybory toaletowe itp. Skąd pan, na Boga, wiedział?

- Torba sportowa. Albo pan coś zabierał, albo niósł pan narzędzia zbrodni.

To właśnie dzięki torbie sportowej Fabel wyobraził sobie całą scenę: koniec związku, wynoszenie ostatnich rzeczy osobistych z mieszkania. Fabel przypomniał sobie, że sam posłużył się identyczną torbą pięć lat wcześniej; Renatę stała w milczeniu, Gabi spała w swoim pokoju, a on opuszczał rodzinny dom.

- Kiedy wyszedł pan z mieszkania?

- Mniej więcej kwadrans przed dwudziestą pierwszą.

- Był pan tam tylko przez piętnaście minut?

- Chyba tak. Angelika właśnie wyszła z kąpieli i miała jeszcze jakąś pracę na ten wieczór, więc po prostu zebrałem swoje rzeczy i wyszedłem.

- Czy doszło do sprzeczki?

- Nie... oczywiście, że nie. Nasza przyjaźń była zbyt cenna, by ją marnować. Wszystko odbyło się w sposób cywilizowany.

- A wychodząc, nie zauważył pan, by ktoś do niej szedł?

Po chwili zastanowienia Schreiber pokręcił głową.

- Nie, nikogo takiego nie widziałem.

- O której wrócił pan do domu? - pytał Fabel.

- Dziesięć, może piętnaście minut po dwudziestej pierwszej.

- I pańska żona może to potwierdzić?

- Czy musicie mieszać do tego Karin? - Głos Schreibera zabrzmiał błagalnie.

- Niestety tak, jeśli pana żona jest jedyną osobą mogącą potwierdzić, że wrócił pan przed dwudziestą pierwszą piętnaście. Na podstawie sekcji ustalono, że pani Blum zginęła około dwudziestej drugiej.

Schreiber wyglądał jak człowiek, który starannie i zgrabnie uszył sobie życie, a teraz, na jego oczach, rozlażło się w szwach.

- Będą nam też potrzebne pańskie odciski palców, doktorze Schreiber - dodał Fabel.

- Myślę, że nasz technik może to zrobić tutaj... - powiedział van Heiden, patrząc na nadkomisarza, jakby szukał jego zgody - ...dyskretnie.

Fabel skinął głową na znak, że się zgadza.

- Najlepiej posłać po Braunera. Zajmę się tym. - Potem znów zwrócił się do Schreibera. - Na dalszym etapie pewnie będę miał do pana jeszcze więcej pytań.

Schreiber skinął głową. Zapadła cisza.

- Pierwsza ofiara Ursula Kastner, rozumiem, że pracowała dla rządu hamburskiego kraju związkowego. Znał ją pan? - spytał Fabel.

- Oczywiście, że ją znałem. Pracowała w naszej kancelarii adwokackiej, zajmującej się sprawami środowiska i nieruchomości. Współpracowała przy takich projektach jak powołanie miasta Hafen czy odbudowa dzielnicy St Pauli. Była znakomitą prawniczką.

- Czy utrzymywał pan z nią stosunki inne niż zawodowe?

Schreiber wyprostował ramiona, jakby przywołując resztki godności. Mięśnie napięły się pod gładkim materiałem

marynarki od Armaniego. Taki efekt uzyskuje się tylko solidnymi ćwiczeniami na siłowni. Fabel pomyślał, że Schreiber jest bardzo silnym człowiekiem. Wystarczająco silnym, by w morderczym szale wyłamać żebra ofiary.

- Nie, panie Fabel, nie utrzymywałem intymnych stosunków z panią Kastner. Wbrew wrażeniu, jakie mogłem na panu zrobić, nie jestem ani seryjnym zabójcą, ani seryjnym cudzołożnikiem. Romans z Angeliką stanowił jedyny wyłom w moim małżeństwie, a stało się tak tylko dlatego, że Angelikę i mnie łączyła wspólna przeszłość. W moich stosunkach z Ursula Kastner nie było nic osobistego... chociaż to ja przedstawiłem ją Angelice.

Wydawało się, że milczenie, jakie zapadło, trwa całą wieczność. Fabel i van Heiden wymienili spojrzenia. Fabel poczuł mrowienie. Ciszę przerwał van Heiden.

- Twierdzi pan, że Angelika Blum i Ursula Kastner się znały? Że istniał między nimi związek?

- Nie wiedzieliście o tym?... Przecież zginęły z ręki tego samego człowieka.

- Dotychczas jedynym ogniwem łączącym te dwie kobiety był pan, doktorze Schreiber - stwierdził Fabel. - Dopiero od pana dowiadujemy się o ich wzajemnych kontaktach.

- Inicjatywa zawarcia znajomości wyszła od Ursuli- Powiedziała, że „zaprzyjaźniony” kontakt w mediach mógłby jej pomóc w zbieraniu informacji.

- Czy to normalna procedura?

- Nie. Nie byłem z tego powodu zbyt szczęśliwy. Podejrzywałem, że Ursula ma pewne informacje, które chce przekazać prasie. Prosiłem, aby mi powiedziała, czy jest to coś potencjalnie szkodliwego dla rządu hamburskiego kraju związkowego. Zapewniła mnie, że nie wie o niczym, co mogłoby przedstawić władze miejskie w negatywnym świetle. Podobno chciała tylko zasięgnąć rady.

- Uwierzył jej pan?

- Nie, raczej nie, ale nie miałem pretekstu, by odmówić jej prośbie. Zresztą, gdyby chciała roztrąbić jakąś sprawę związaną z miastem, raczej by się do mnie nie zwracała.

- Angelika Blum nigdy nie powiedziała panu, o co chodzi?

- Nie.

- A pytał pan?

- Parokrotnie, ale bez skutku. W końcu dałem spokój. Gdyby znał pan Angelikę, zrozumiałby pan.

- Jak często się spotykały?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, czy spotkały się po przyjęciu z okazji Neuer Horizont, na którym je przedstawiłem. Mogły się spotykać regularnie albo wcale, a może kontaktowały się telefonicznie lub przez e-maile. Po prostu nie wiem.

- Czy zaprosił je pan na to przyjęcie?

- Nie, tak się złożyło, że obie przyszły tam służbowo. Neuer Horizont to plan ożywienia części miasta pominiętych w wielkich planach, takich jak Hafen czy St Pauli, ale które nadal mogą liczyć na fundusze federalne, związkowe lub unijne.

Fabel wyrżał przez okno pod wielkim kamiennym łukiem na Alsterfleet i Alsterarkaden. Próbował myśleć logicznie i metodycznie, ale podniecenie działało na procesy myślowe jak turbodoładowanie. Tropy, których dotąd nie sposób było połączyć, nagle się zbiegły. Zaiskrzyło gdy połączyły się w jego mózgu. Dwie spośród trzech ofiar kontaktowały się ze sobą. Obie miały związek z transakcjami dotyczącymi nieruchomości za pośrednictwem władz miejskich. Odwrócił się do Schreibera.

- Kto stoi za inicjatywą Neuer Horizont?

- Prywatne konsorcjum. Głównym udziałowcem jest spółka zależna Grupy Eitel. Gospodarzem przyjęcia był Norbert Eitel.

- Schreiber wzruszył ramionami. - Obawiam się, że nie jestem wielkim entuzjastą Eitla, ale miasto nie może nie wspierać inicjatywy oferującej potencjalne korzyści.

Kolejne połączenie. Kolejna iskra.

- Sądziłem, że Grupa Eitel zajmuje się wyłącznie mediami?

Schreiber potrząsnął głową.

- Nie, branża wydawnicza to ich działalność podstawowa, ale Eitel udziela się też w kilku innych dziedzinach. Jedną z nich jest technologia informatyczna. Drugą - działalność deweloperska.

Fabel pokiwał głową w zamyśleniu.

- Czy na przyjęciu był ojciec Eitla? Wolfgang Eitel?

- Nie. W tym miejscu wyznaczam granicę... Nie zamierzam stawać w jednym szeregu z nazistą, choćby nie wiem w jak słusznej sprawie. Chyba właśnie dlatego trzymał się na uboczu... pomimo publicznie demonstrowanej solidarności, Norbert Eitel świetnie zdaje sobie sprawę z obciążenia, jakie dla jego ambicji politycznych stanowi ojciec.

- Musiał być pan wstrząśnięty po śmierci Kastner.

- To mało powiedziane. Byłem w strasznym szoku. Pamięta pan senatora Hugo Ganza?

Fabel przytaknął. Pomyślał o szorstkiej, mięsistej, ceglastej twarzy Ganza.

- Pani Kastner blisko z nim współpracowała, zwłaszcza przy projektach z dziedziny środowiska i rozbudowy, zapewniała obsługę prawną. Śmierć pani Kastner bardzo zmartwiła senatora. Myślę, że właśnie dlatego wyrażał się tak... dobitnie, kiedy spotkał go pan ostatnio.

- Przypuszczam, że pamięta pan, gdzie był, kiedy pani Kastner zginęła?

- Uczestniczyłem w konferencji na temat ochrony środowiska w Rzymie - powiedział beznamytnie Schreiber. Nagle na jego twarzy rozbłysła nadzieja. - Ależ tak! Kiedy ona zginęła, nie było mnie nawet w kraju. Mam stu świadków. Kiedy zabito drugą ofiarę?

- We wczesnych godzinach rannych w środę, czwartego - odparł Fabel.

Burmistrz przewertował notatnik na biurku.

- Byłem w domu z rodziną. Mogą to potwierdzić. Na Fablu nie zrobiło to szczególnego wrażenia.

- W tej chwili interesuje mnie wyłącznie zabójstwo pani Blum, a pan był u niej tuż przed jej śmiercią.

- Ale nie miałem z tym zabójstwem nic wspólnego. Absolutnie nic. - W głosie Schreibera zabrzmiały buntownicze tony. Świadomość, że posiada alibi na czas popełnienia dwóch pozostałych morderstw, najwyraźniej dodała mu otuchy.

Fabel zmienił taktykę.

- Czy wiedział pan, że pani Blum próbowała skontaktować się

ze mną osobiście?

- Nie... nie wiedziałem. Po co, na Boga?

- Nie wiem. Nie zdążyłem do niej oddzwonić - składał Fabel. To zabrzmiało lepiej niż przyznanie się do zlekceważenia sprawy.

- Sądzi pan, że przeczuwała grożące jej niebezpieczeństwo? Czy dlatego próbowała się z panem skontaktować? - Schreiber nie czekał na odpowiedź. - Dlaczego mi nie powiedziała? Skoro się bała... dlaczego nie porozmawiała ze mną?

Fabel wstał, a van Heiden poszedł w jego ślady.

- Nie mam powodu, by sądzić, że czuła się zagrożona. Wiem tylko, że przed śmiercią trzy czy cztery razy próbowała się ze mną skontaktować. Jednak żadna z zostawionych przez nią wiadomości nie wskazywała na poczucie zagrożenia.

Fabel ruszył do drzwi, nie podając Schreiberowi ręki.

- Jak już mówiłem, doktorze Schreiber, możliwe, że zechcę zadać panu jeszcze kilka pytań. Poproszę naszego technika, aby przyszedł i pobrał od pana odciski palców.

Już otwierając ciężkie dębowe drzwi, raz jeszcze odwrócił się do burmistrza.

- Jeszcze jedno: kiedy ostatni raz widział pan albo kontaktował się z Marlies Menzel?

Schreiber zrobił zaskoczoną, potem nieco stropioną minę.

- Boże... nie wiem... wiele lat temu. Nie miałem z nią kontaktu, odkąd pracowaliśmy razem w „Zeitgeist”, a na pewno nie po tym, jak uwikłała się w działalność terrorystyczną.

- Nie kontaktowaliście się, odkąd została zwolniona z więzienia Stuttgart-Stammheim?

- Nie, na pewno nie. - Fabel widział, że Schreiber mówi prawdę.

Ten sam sztywny asystent odprowadził Fabela i van Heidena do głównego holu ratusza. Kiedy wyszli pod gotyckim łukiem na rozległy plac, oślepiło ich słońce.

- I co myślisz? - zapytał van Heiden.

- To nie nasz człowiek - odparł Fabel, wyjął z kieszeni na piersi okulary przeciwsłoneczne i założył je. - Muszę pojechać do Bremy. Czy przed wyjazdem mogę zaprosić pana na kawę, panie naczelniku?

Czwartek, 19 czerwca, 14.20. Galeria sztuki Nordholt, Brema

Fabel liczył, że podróż do Bremy zajmie mu około półtorej godziny, ale w połowie drogi ruch na autostradzie A1 zgęstniał. Mając w perspektywie jazdę dłuższą, niż planował, włączył płytę CD, *Bleibt alles anders* Herberta Grónemeyera. Właśnie nastawiał ją głośniej, kiedy zadzwoniła komórka. Maria Klee z wynikami sekcji Klugmanna. Zginął od jednego strzału. Kula przebiła mózg, zmiażdżyła rdzeń i wyszła, zgodnie ze słowami Braunera, między górną wargą a nosem. Według lekarzy zgon nastąpił między godziną osiemną w piątek, trzynastego, a szóstą rano w sobotę, czternastego. Fabel skrzywił się, kiedy usłyszał, że sekcja wykazała ślady bicia i tortur, zadanych tuż przed śmiercią. Testy ujawniły też obecność amfetaminy we krwi Klugmanna. W pełni wczuł się w rolę, ale doskonały kamuflaż zawiódł.

Maria omówiła raport balistyczny. Brauner miał rację: łuska pochodziła z niestandardowej broni. Fabel z kolei streścił Marii swoją rozmowę ze Schreiberem i poprosił, by przekazała te informacje Wernerowi.

Ruch na szosie się przerzedził. Fabel uzmysłowił sobie, że znajduje się dalej, niż przypuszczał. Jechał jak na automatycznym pilocie, myślami przebywając w jakiejś mrocznej samotnej norze, razem ze zdekonspirowanym, torturowanym policjantem, który wiedział, że rychła śmierć jest nieunikniona. Fabel przeniósł się tam tylko na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by poczuł w piersiach mdlący dygot, w którym rozpoznał blady cień niewyobrażalnego przerażenia. Znaki drogowe informowały, że zbliżał się do bremeńskiej krzyżówki. Skręcił z A1 w szosę A27 prowadzącą do Bremy.

Galeria sztuki Nordholt znajdowała się nieopodal Rynloi

Głównego w Bremie, w dobrze zachowanym domu z końca dziewiętnastego wieku, z wielkimi półkolistymi oknami. Kiedy Fabel wszedł, Marlies Menzel właśnie nadzorowała wieszanie jednego ze swoich obrazów. Miała około pięćdziesięciu lat, ubrana była w długą ciemną spódnicę i luźną czarną marynarkę z watowanymi ramionami. Krótko przycięte kasztanowe włosy z rozjaśnionymi pasemkami. Nosiła małe okulary w kwadratowych drucianych oprawkach. Idąc przez galerię, policjant pomyślał, że bardziej przypomina bibliotekarkę niż niedawno zwolnioną z więzienia terrorystkę. Zatrzymał się w pół drogi. Białe ściany galerii znaczyły wielkie płótna. Fabel, który widział reprodukcje w broszurze zapowiadającej wystawę, już wcześniej zdał sobie sprawę z zadziwiającego podobieństwa obrazów do scen morderstw Krwawego Orła. Nie był jednak przygotowany na to, że te prace tak silnie działają na emocje. Każde z płócien miało dwa metry wysokości i metr szerokości. Każde krzyczało jaskrawymi, ekspresyjnymi barwami. Pociągnięcia pędzla były silne i pewne. Każdy z obrazów był dwuwymiarową przemocą.

Fabel podszedł do grupki osób.

- Pani Menzel? Odwróciła się do niego.

- Tak? - Wąskie wargi rozciągnęły się w uprzejmym uśmiechu.

- Czy mógłbym zamienić z panią słówko? - Fabel pokazał odznakę policyjną.

Uśmiech zniknął.

- To naprawdę zaczyna być nużące. Odkąd wyszłam z więzienia, odwiedziły mnie już prawie wszystkie niemieckie służby bezpieczeństwa. To mi zaczyna wyglądać na nękanie.

- Nie jestem tu oficjalnie...

- Ach tak? W takim razie nie wiem, czy w ogóle powinnam z panem rozmawiać. - Menzel odwróciła się na pięcie.

- Pani Menzel, jestem nadkomisarz Jan Fabel. To ja uczestniczyłem w strzelaninie na nabrzeżu w 1983 roku...

Przez chwilę Menzel stała odwrócona plecami.

- Pan zastrzelił Giselę?

- Nie miałem wyjścia. Postrzeliła mnie i zamierzała strzelić

ponownie. Błagałem ją, żeby przestała, ale... - Fabel urwał.

- Ona była tylko dzieckiem. - Menzel odwróciła się twarzą do nadkomisarza.

- Nie dała mi wyboru. Zastrzeliła mojego kolegę, mnie raniła - powiedział Fabel bez cienia gorzkości. - Kazałem jej rzucić broń, ale znowu we mnie wycelowała. - Wypowiadając te słowa, Fabel ponownie ujrzał Giselę Frohm na końcu pirsu; pistolet zwisał na końcu chudego dziewczęcego ramienia jak ciężarek na linie. Poderwała go do strzału, a Fabel dwukrotnie wypalił jej w twarz. Zapamiętał ufarbowaną na różowo punkową fryzurę, kiedy jej głowę szarpnęło w tył i dziewczyna runęła do wody. To był najgorszy dzień w jego karierze. W jego życiu. Nigdy go nie zapomni.

Marlies Menzel przyglądała się mu bez wrogości. Odniósł wrażenie, że waży jego słowa. Wreszcie odwróciła się do dwóch asystentów, którzy pomagali jej wieszać obrazy.

- Na chwilę wychodzę. Resztę rozwiesimy później. - Potem do Fabla: - Chyba powinniśmy porozmawiać.

Kawiarnia znajdowała się na tyłach Katharinenstrasse. Przez całą długość sali biegł wypolerowany na wysoki połysk kontuar. Wydający zamówienia bez przerwy stawiali na blacie tace z białymi imbrykami. W powietrzu unosił się silny zapach świeżo zmielonej kawy. Kelnerzy, w czarnych spodniach i kamizelkach oraz białych fartuchach przewiązanych wokół talii, zabierali tace i zanosili do stolików. Rytmiczny ruch obsługi działał kojąco.

Fabel i Marlies Menzel wybrali stolik przy oknie. Menzel usiadła plecami do dębowej boazerii, a Fabel zajął miejsce obok niej, z widokiem na ulicę i rynek. Wyjęła paczkę francuskich papierosów i po chwili wahania poczęstowała mężczyznę.

- Nie, dzięki. Nie palę.

Uśmiechnęła się i zapaliła. Głęboko się zaciągnęła, przechyliła głowę w tył i w bok, po czym wypuściła dym, przekrzywiając nieco usta, aby dym nie poleciał na Fabla.

- To nałóg z więzienia - powiedziała gorzko. - W czym mogę

panu pomóc?

Zanim zdążył odpowiedzieć, do stolika podszedł kelner. Nadkomisarz zamówił dzbanuszek herbaty, a malarka poprosiła o czarną kawę.

- Chciałem zapytać o pani obrazy - powiedział Fabel po odejściu kelnera.

- Policjant miłośnik sztuki? - uśmiechnęła się Menzel. - A może naruszyłam jakieś przepisy dotyczące rozmiarów płócien?

Opowiedział zatem o morderstwach i o uderzającym podobieństwie jej obrazów do scen zabójstw. Zapytał, czy wiedziała o śmierci Angeliki Blum. Owszem, przeczytała o niej w gazecie.

- Kiedy ostatnio widziała się pani z panią Blum?

- Jeszcze przed uwięzieniem. W latach siedemdziesiątych pracowałyśmy razem w piśmie „Zeitgeist”. Wtedy uważałyśmy, że to niezwykle inteligentna nazwa, ale z perspektywy czasu wydaje się strasznie przewidywalna. Dlaczego pan pyta? Czyżbym była podejrzana, ponieważ moje obrazy przypominają panu... - Zmarszczyła brwi, jakby dotarł do niej sens własnych słów. - Biedna Angelika...

- Nie, pani Menzel, nie jest pani podejrzana - odparł Fabel, nie ujawniając, że kazał Marii sprawdzić, gdzie Menzel przebywała w dniach morderstw. Kiedy zamordowano Ursulę Kastner, malarka wciąż siedziała w więzieniu, a w dniu zabójstwa Blum była na wernisażu w jakiejś galerii. - Po prostu występuje niepokojące podobieństwo między tym, co pani maluje, a scenami morderstw. To pewnie czysty przypadek, ale istnieje prawdopodobieństwo, że zabójca widział pani prace i postanowił je naśladować. Seryjni zabójcy dość często „upozowują” swoje ofiary. Mielibyśmy do czynienia z życiem naśladowującym sztukę.

- Raczej ze śmiercią naśladowującą sztukę. - Menzel zaciągnęła się głęboko dymem z papierosa. Fabel zauważył na jej palcach żółte plamy od nikotyny. - Jakie to straszne - powiedziała.

Kelner przyniósł herbatę i kawę.

- Czy otrzymywała pani... cóż, dziwną korespondencję na

temat pani prac? Zwłaszcza e-maile? - spytał Fabel.

Menzel wzruszyła ramionami.

- Tylko to, czego można się było spodziewać. Mnóstwo listów o tym, że nadal powinnam siedzieć w więzieniu, że będę się smażyć w piekle za swoje zbrodnie, że próba przedstawiania siebie jako twórczyni zamiast niszczycielki jest czymś obscenicznym. Tego rodzaju rzeczy. Sprawy pewnie dobrze panu znane, nadkomisarzu.

Fabel zignorował zaczepkę.

- Ale nic, co określiłaby pani jako dziwną czy nawet niestosowną reakcję na pani obrazy?

Menzel zastanawiała się przez chwilę.

- Nie, właściwie nie. Chociaż kilka tygodni temu doszło w galerii do nieprzyjemnej sceny. Wolfgang Eitel pojawił się tam z ludźmi z prasy i telewizji i zaczął wrzeszczeć, że nie mam prawa wystawiać prac, nazywał mnie morderczynią, kryminalistką, potępiał za wykorzystywanie kolorów flagi państwowej.

Policjant zarejestrował w pamięci tę informację. Kolejna wzmianka o Eitlu.

- Czy była pani obecna podczas tego zajścia?

- Nie. I to chyba pokrzyżowało mu plany. Pewnie zamierzał się trochę ze mną poszarpać przed kamerami.

Fabel upił łyk herbaty. Menzel odwróciła głowę ku oknu i spojrzała na ulicę. Fabel spostrzegł wtedy, że dzienne światło ujawniło szarawy odcień jej skóry.

- Dlaczego robiła pani, co robiła? Dlaczego została pani zwolenniczką Svenssona?

Pytanie zdziwiło samego Fabla niemal w równym stopniu, co Menzel. Przyjrzała mu się uważnie, jakby próbując ustalić, czy za jego pytaniem kryje się złośliwa intencja. W końcu wzruszyła ramionami.

- To się działo w innych czasach, w innym miejscu. On wierzył w coś, a my wierzyłyśmy w kogoś. Karl-Heinz Svensson był niewiarygodnie silną osobowością. Poza tym w wysokim stopniu manipulował ludźmi.

- Czy dlatego poszła pani za nim tak... fanatycznie?

- Fanatycznie! - Menzel wybuchnęła cichym, gorzkim śmiechem. - Owszem, ma pan rację. Byłyśmy fanatyczkami. Byłyśmy gotowe dla niego umrzeć. Zresztą większość z nas to zrobiła.

- Dla niego? Nie dla jego przekonań?

- Och, w tamtych czasach wierzyliśmy, że sprowadzamy światową rewolucję socjalistyczną do Niemiec, że jesteśmy bojowniczkami walczącymi z kapitalistycznymi spadkobiercami nazistów. - Menzel znów głęboko się zaciągnęła. - Prawda jest taka, że wszystkie byłyśmy zauroczone Karlem-Heinzem. Czy nigdy nie myślał pan o tym, jak duży procent grupy stanowiły kobiety? Młode kobiety? Po procesach prasa nazywała nas „haremem Svenssona”. Istotnie, wszystkie z nim spałyśmy. Wszystkie byłyśmy w nim zakochane.

- Sporo ludzi zginęło z powodu tych zauroczonych nastolatek. - Fabel nie potrafił ukryć goryczy. Pomyślał o zastrzelonym na ulicy dwudziestopięcioletnim Franzu Webernie, ojcu osiemnastomiesięcznego dziecka. Pomyślał też o Giseli Frohm, pogrążającej się wolno w mętnych wodach Łaby.

- Chryste, myśli pan, że o tym nie wiem? - odparowała Menzel. - Na przemyślenie tej sprawy miałam piętnaście długich lat w celi więzienia Stuttgart-Stammheim. Musi pan pojąć władzę, jaką nad nami miał. Żądał całkowitego oddania. Oznaczało to zerwanie z naszymi rodzinami, przyjaciółmi, odcięcie się od wszelkich racjonalnych, zdrowych wpływów. Słyszałyśmy tylko jego głos. Był naszą matką, ojcem, bratem, towarzyszem, kochankiem... był dla nas wszystkim. - Wydawało się, że dawna namiętność częściowo rozpałała się w Menzel na nowo, ale po chwili zgasła. - To był kurewski manipulant.

Zapaliła nowego papierosa od niedopałka. Fabel ponownie zwrócił uwagę na żółte plamy na jej palcach.

- Czy Gisela była równie fanatyczna, jak wy? Uśmiech Menzel był smutny.

- Bardziej niż którakolwiek z nas. Karl-Heinz był jej pierwszym kochankiem. Była nim zauroczona. Wcześniej

powiedział pan prawdę. Nie miał pan innego wyjścia, jak tylko ją zabić. Karl-Heinz zaprogramował Giselę na zabijanie. Pan był tylko narzędziem jej śmierci; on był inżynierem.

- Nie mogę tylko zrozumieć dlaczego. - Zdumienie nadkomisarza było autentyczne. - Dlaczego Svensson, dlaczego wy odczuwaliście potrzebę robienia tego, coście robili? Co było takiego okropnego w naszym społeczeństwie, że musieliście wypowiedzieć mu wojnę?

Menzel odpowiedziała po chwili milczenia.

- To ta niemiecka choroba. Brak historii. Brak wyraźnie określonej tożsamości. Próba odkrycia, kim, u diabła, jesteście. To przywiodło nas do nazizmu. Przez to po wojnie staliśmy się namiastką Amerykanów: jak zabląkane dziecko, które próbuje nadrobić swe braki, imitując rodziców. Gardziliśmy tą ultrakapitalistyczną banalnością spod znaku prażonej kukurydzy. Wypowiedzieliśmy wojnę przeciętności - Menzel uśmiechnęła się sardonicznie - i przeciętność zwyciężyła.

Fabel siedział wpatrzony w herbatę. Wiedział, jakie musi być jego następne pytanie. Znał już odpowiedź, ale i tak musiał je zadać.

- Czy Svensson naprawdę nie żyje?

Svensson miał zginąć w wyniku strzelaniny, podczas Próby zamachu na ówczesnego burmistrza Hamburga. Policyjna kula trafiła w zbiornik samochodu Svenssona, i wóz stanął w płomieniach. Svensson spłonął żywcem. Policją nie zdołała znaleźć resztek zębów, niezbędnych przy ustalaniu tożsamości. Svensson, rasowy terrorysta, całymi latami usuwał ślady swego istnienia z oficjalnych akt.

Przez chwilę Marlies Menzel nie odpowiadała. Odchyłona na oparcie, zaciągnęła się papierosem i spoglądała na Fabla, jakby go oceniała.

- Tak. Mogę pana zapewnić, że tak. Karl-Heinz zginął w tamtym samochodzie.

Fabel uwierzył.

- Powiniennem wracać do Hamburga - powiedział. - Przepraszam, że panią niepokoiłem.

- A może jest panu przykro, że niepokoił pan przeszłość?

Właśnie tam jest moje miejsce: w pańskiej przeszłości. Tam też jest miejsce Giseli. - Przerwała. - Czy zdobył pan to, po co pan przyjechał, panie Fabel?

Uśmiechnął się, wstając od stolika.

- Sam nie wiem, po co przyjechałem. Mam nadzieję, że pani wystawa odniesie sukces.

- Akt twórczy. Swego rodzaju pokuta za akty zniszczenia, w jakich uczestniczyłam. Moim zdaniem to odpowiednie zakończenie. Bo widzi pan, ta wystawa będzie zarazem moim debiutem i pożegnaniem. - Strzepnęła popiół do popielniczki.

- Słucham? - Fabel nie zrozumiał.

Marlies Menzel uniosła papierosa i przyjrzała mu się uważnie.

- Mam raka, panie Fabel. - Uśmiechnęła się gorzko. - Faza terminalna. Dlatego, między innymi, wcześniej mnie zwolniono. Jeśli przyjechał pan tu w poszukiwaniu sprawiedliwości, chyba tylko tyle mogę panu zaoferować.

- Przykro mi - odparł. - Do widzenia, pani Menzel.

- Do widzenia, panie nadkomisarzu.

Czwartek, 19 czerwca, 18.00.
Poseldorf, Hamburg

W drodze powrotnej Fabel zatelefonował do swojego wydziału. Poprosił Marię o zebranie wszelkich dostępnych informacji na temat Wolfganga Eitla. Ponieważ nie wydarzyło się nic nowego, zapowiedział, że w pracy pojawi się dopiero nazajutrz. Rozłączył się, potem zadzwonił znowu i poprosił o połączenie z Braunerem, który powiedział mu, że odciski palców Schreibera pasowały do drugiego zestawu znalezione w mieszkaniu Blum. W tym wypadku ich obecność oczyszczała podejrzanego z zarzutów, zamiast go pogrążyć. Gdyby Schreiber był zabójcą, zrobiłby wszystko, by zatrzeć ślady swojej obecności w mieszkaniu. Na żadnym miejscu zbrodni Syn Svena nie zostawił im niczego, co mogliby wykorzystać.

Fabel miał wynajęte miejsce na podziemnym parkingu przy ulicy, przy której mieszkał. Kiedy wprowadzał tam samochód, była dwudziesta. Wsiadłszy z wozu, położył dłonie z tyłu na krzyżu i wygiął kręgosłup, próbując złagodzić zmęczenie i sztywność. W tym momencie zdał sobie sprawę, że stoją za nim dwaj potężnie zbudowani mężczyźni. Odwrócił się, odruchowo kładąc dłoń na broni. Mężczyźni uśmiechnęli się i unieśli w górę ręce w uspokajającym geście. Obydwaj mieli czarne włosy, jeden kręcone, drugi gładko zaczesane. Kędziorowaty nosił też nieproporcjonalnie duże, gęste wąsy. Najwyraźniej byli Turkami. Odezwał się Kędziorowaty.

- Ależ, panie Fabel... nie szukamy kłopotów ani nie chcieliśmy nikogo denerwować. Przysłał nas pan Yilmaz, który chciałby z panem porozmawiać. Teraz, jeśli to panu odpowiada.

- A jeśli nie odpowiada?

- Oczywiście wszystko zależy od pana. - Kędziorowaty wzruszył ramionami. - Ale pan Yilmaz prosił, żebyśmy panu

powtórzyli, że ma coś, co może pomóc w dochodzeniu.

- Gdzie on jest?

- Mamy pana do niego zabrać... - Kędziorowaty wyszczerzył się uspokajająco, co na Fabla podziałało wręcz odwrotnie. - Jeśli to panu odpowiada.

Fabel uśmiechnął się i skinął głową.

- Pojadę za wami.

Przed garażem na dwóch emisariuszy czekał VW polo; Fabel ruszył za nimi. Wkrótce wyjechali na tereny podmiejskie. Zadzwoił do wydziału i powiedział Wernerowi, że jest prowadzony na spotkanie z informatorem, ale nie zdradził nazwiska. Werner chciał od razu przysłać wsparcie, ale Fabel kazał mu wziąć na wstrzymanie, obiecał zadzwonić znowu, kiedy będzie wiedział, gdzie ma się odbyć spotkanie.

Volkswagen Turków wjechał na niewielki plac wśród zaprojektowanych bez polotu zabudowań przemysłowych i handlowych. Zaparkowali przed szerokim, niskim magazynem. Pochodził z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych, a jasnoczerwona farba obłaziła z metalowych rur, stanowiących jedyny ukłon w stronę panujących wówczas trendów architektonicznych. Kiedy Turcy wysiadali z samochodu, Fabel ponownie zadzwonił do Wenera i podał swoje położenie.

- Uważaj na siebie, Janie - powiedział Werner.

- Dam sobie radę. Ale jeśli nie zamelduję się za pół godziny, wyślij kawalerię.

Fabel zamknął panel komórkowy i wysiadł z bmw. Kędziorowaty błysnął uśmiechem spod gęstych wąsów i otworzył drzwi, którym nowa farba przydałaby się nie mniej niż rurom. Fabel nakazał gestem, by Turcy szli przed nim.

Magazyn był nieduży, w dodatku zapchany skrzyniami z artykułami spożywczymi, oznaczonymi napisami w alfabecie, który Fabel uznał za turecki. Wzdłuż jednej ze ścian biegła ścianka działowa ze zbrojonego szkła i gipsu, która oddzielała przestrzeń magazynu od kantorka. Przez szybę tego biura Fabel ujrzał Yilmaza, który siedział w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich był Turkiem o subtelnym wyglądzie pitbulla; drugi, drobny i zaniedbany, miał na sobie poplamioną kurtkę

wojskową. Pożółkła cera i zapadnięte oczy zdradzały narkomana.

Nie przestając się szczerzyć, Kędziorowaty otworzył nadkomisarzowi drzwi, ale nie wszedł do środka. Yilmaz wstał, uśmiechnął się szczerze i wyciągnął dłoń, którą Fabel uścisnął.

- Dziękuję za przyjęcie, panie Fabel. Przepraszam, że nie możemy prowadzić interesów w stosowniejszym otoczeniu, ale uznałem dyskrecję za ważniejszą od konwenansów. Mam... czy raczej mój przyjaciel tutaj ma dla pana ważną informację. Jak pan widzi, nadkomisarzu, dotrzymałem słowa.

Fabel przyjrzał się drobnemu człowieczkowi. Podobnie jak większość narkomanów, nie miał wieku; równie dobrze mógł dobiegać do trzydziestki, jak do sześćdziesiątki. Fabel zauważył, że jeden z policzków opuchł i był jeszcze bardziej odbarwiony niż skóra dookoła. W jednej z dziurek od nosa zakrzepła krew.

- Dobrze się czujesz? - spytał Fabel.

- Spadłem ze schodów - odparł człowieczek wysokim, gardłowym głosem, zerkając wściekle na tureckiego osiłka.

- Ten... džentelmen... to Hansi Kraus - powiedział Yilmaz. - Posiada pewne informacje... a właściwie dowody... i chce je panu przekazać. - Yilmaz skinął głową Turkowi, który dotychczas opierał się o jedno z biurk. Ten sięgnął za siebie i podniósł przedmiot owinięty w poplamione szmaty. Ostrożnie je odwinął, odsłaniając błyszczący, platerowany złotem pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Na bogato zdobionym boku wygrawerowano cyrylicą słowo FORT 12.

- Pan Kraus pragnie wręczyć ten przedmiot jako dowód rzeczowy w sprawie zabójstwa Hansa Klugmanna - powiedział Yilmaz. - Przepraszam za zwłokę... zamierzał przekazać go wcześniej, ale zupełnie wyleciało mu to z głowy.

- Gdzie to znalazłeś? - zapytał Hansiego Krausa Fabel. Kraus spojrzał na Yilmaza, potem na drugiego Turka, wreszcie na policjanta.

- Na basenie. Byłem tam, kiedy ten gość dostał w czapę.

- Byłeś świadkiem zabójstwa Hansa Klugmanna? Kraus przytaknął.

- Widziałeś zabójców?

Kraus zawahał się. Jego opiekun poruszył się przy biurku; skórzana kurtka zachrząściła złowieszczo. Kraus zerknął na niego i ponownie skinął głową.

- Rozpoznałbyś ich?

- Tak. Był starszy i młodszy. Obydwaj wyglądali na zajebistych twardzieli. Młodszy był zbudowany jak Schwarzenegger. To właśnie on czapował.

Nadkomisarz skinął na Turka, który podał mu pistolet. Fabel ujął broń tak, jakby brał do ręki gorący kotlet.

- Czy to byli cudzoziemcy? Słyszałeś może, żeby rozmawiali po rosyjsku albo coś w tym rodzaju?

- Nie... To znaczy, tak, słyszałem, ale to nie byli cudzoziemcy. Niemcy. Starszy smędził, że okolica zesła na psy. Gadał o tym, jak w młodości przyprawiał na ten basen jakąś dziewczynę. To na pewno nie byli ruscy.

- A co z tą bronią? Skąd ją wytrzasnąłeś?

- Zobaczyłem, jak wrzucają kłame do śmietnika, nie? To jak się zmyli, to wziąłem i go zgarnąłem.

- Poszedłeś za nimi?

- Nie. Wyrzucili spluwę w Schwimmhalle.

- Nie starali się go ukryć?

- Nie bardzo. Kilka metrów od basenu płynie kanał. Chyba im zwisało, czy ktoś to znajdzie czy nie.

- Albo chcieli, żeby została znaleziona... - podsunął Yilmaz.

- Na to wygląda - zgodził się Fabel. - Niemieccy zabójcy, ukraińska broń. Chyba próbowali podsunąć nam fałszywy trop.

- Ponownie zwrócił się do Hansiego. - Chcę, żebyś pojechał ze mną do Komendy Głównej, złożył pełne zeznanie i obejrzał trochę zdjęć; może rozpoznasz tych ludzi.

Hansi Kraus skinął głową. Nie wyglądał na szczęśliwego, ale otaczała go aura człowieka, który godzi się z faktem, że przykrości się zdarzają. Z reguły właśnie jemu.

Fabel położył dłoń na ramieniu Krausa, okrytym brudną wojskową kurtką.

- Posłuchaj, Hansi, ja nie mogę cię do tego zmusić. Nie zmusi cię też pan Yilmaz ani nikt inny... - Popatrzył na drugiego

Turka, a ten odpowiedział beznamiętnym spojrzeniem. - Twoje zeznanie będzie ważne tylko wtedy, §dy złożysz je dobrowolnie i szczerze.

Kraus zaśmiał się gorzko.

- Żyje pan w ślicznym świecie, panie nadkomisarzu...
Dostanie pan swoje zeznanie.

Policjant zaprowadził Krausa do samochodu. Yilmaz odprowadził ich do drzwi.

- Doceniam pańską pomoc w tej sprawie - powiedział szczerze Fabel.

Yilmaz uśmiechnął się szeroko i bagatelizująco wzruszył ramionami.

- Ale chyba pan rozumie, że nie kupi pan u mnie w ten sposób żadnych przysług - ciągnął dalej nadkomisarz. - W tej jednej sprawie jestem pańskim dłużnikiem, ale nigdy nie narażę na szwank prawa ani samego siebie, żeby panu pomóc.

- Tyle już wiem - roześmiał się Yilmaz. - Nie spodziewałem się niczego w zamian. Na tym polega problem, kiedy człowiek zadaje się z uczciwym policjantem. Proszę tylko, żeby nie wspomniano o mnie w zeznaniu Hansiego.

- Tyle mogę panu oz.biecać. Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia, panie Yilma

W drodze powrotnej do komendy Fabel nie podnosił okna w samochodzie, żeby złagodzić rozchodzący się w środku odór kurtki Hansiego. Po przyjeździe przekazał swego wonnego pasażera Wernerowi i polecił mu zamówić w kantynie jakieś jedzenie dla przybysza. Jednak patrząc na Krausa, Fabel dochodził do przekonania, że wkrótce będą musieli go wypuścić: coraz szybciej strzelał oczami na wszystkie strony jak zaszczute zwierzę, jego ruchy stawały się coraz bardziej nerwowe. Nadkomisarz wiedział, że Hansi gwałtownie potrzebuje działki, więc na wydobywanie z niego informacji nie mieli wiele czasu.

Wróciwszy do gabinetu, uprzątnął biurko; teczki z aktami położył na podłodze, mysz i klawiaturę odsunął na bok. Z

dolnej szuflady biurka wydobyl duży blok, przewertował go, aż znalazł czystą kartkę. Kiedy rozłożył blok na biurku, w jego umyśle mimo woli pojawił się obraz mieszkania Angeliki Blum. Przypomnił sobie uprzątnięty stolik do kawy, z przedmiotami poukładanymi tak, by nie zakłócić biegu myśli. Z poczuciem winy pomyślał o tej kobiecie, nigdy nie spotkanej, ale teraz tak dobrze znanej, która tak uporczywie próbowała się z nim skontaktować.

Angelika Blum była pierwszym nazwiskiem, jakie napisał. Obok umieścił nazwisko Ursuli Kastner. Następnie Tiny Kramer. Potem przedzielił kartkę pionową linią tak, że nazwiska trzech ofiar znalazły się po jednej stronie. Po drugiej stronie wypisał nazwiska Hansa Klugmanna i Johna MacSwaina. Kolejna pionowa linia. Wreszcie napisał nazwisko, o którym wspomniiał Mahmut: Wasyl Witrenko.

Pół godziny później Fabel miał sześć kolumn nazwisk, dat i kluczowych faktów. Każdą kolumnę otwierało jedno z sześciu zapisanych na początku nazwisk. Kolumna, na której szczycie figurował Wasyl Witrenko, była najkrótsza. Fabel uwzględnił wszelkie możliwe związki i zbiegi okoliczności. W rezultacie otrzymał streszczenie tego, co już widniało na tablicy operacyjnej. Jednak ponowne uporządkowanie informacji nie było stratą czasu: koncentrował się na nowo, zaprowadzał ład w myślach, sporządzał mapę odbytej podróży. Jedno nazwisko pojawiała się w połowie prawie wszystkich kolumn: Eitel. Pierwsza ofiara była związana, co prawda pośrednio, z Neuer Horizont, w którym większościowym udziałowcem była Grupa Eitel; związek z drugą ofiarą Tiną Kramer nie był znany; trzecia ofiara Angelika Blum znała Eitla juniora, przeprowadziła wywiad z Eitlem seniorem, a według słów jej przyjaciółki Eriki Kessler, przygotowywała negatywny artykuł o jednym lub obu Eitlach; John MacSwain pracował dla Grupy Eitel. Na rzędy nazwisk i faktów kładł się cień przestępczej grupy Witrenki. Klugmann próbował spenetrować środowisko ukraińskie, a na miejscu zabójstwa znaleziono broń ukraińskiej produkcji. Nie strzelali jednak Ukraińcy, o czym zapewniał Kraus. Angelika Blum pracowała nad artykułem opisującym akcje byłych

radzieckich batalionów policji i służb bezpieczeństwa, przypuszczalnie przeprowadzając porównania z doświadczeniami hamburskiego BATT101 podczas drugiej wojny światowej.

Fabla sponiewierał jakiś starszawy Słowianin. Powiedzenie, że napastnik był sprawny fizycznie, stanowiłoby wielki eufemizm: najwyraźniej był doskonale wyszkolonym zawodowcem. Fabel zakreślił nazwisko Witrenki. Nie miał pojęcia, ile tamten mógł mieć lat. Czy starszy mężczyzna z basenu mógł być Witrenką?

Hans Schreiber, burmistrz wolnego i hanzeatyckiego miasta i kraju Hamburg, także miał imponującą listę. Znał dwie ofiary, przy czym jedną nader blisko. Jeśli nie liczyć zabójcy Angeliki Blum, był ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

Fabel oparł się na krześle, założył dłonie za głowę i spojrzał na kartkę, jakby patrzył na krajobraz dochodzenia z lotu ptaka. Musiał porozmawiać z Eitlami, ojcem i synem. Chciał wypróbować swój domysł na temat MacSwaina. Nie był przekonany, że MacSwain jest człowiekiem, którego szukali, ale było w nim coś podejrzanego. Zerknął na przedstawioną przez Annę Wolff propozycję piątkowej operacji „randka”. Plan był dobry, jednak nie podobał mu się pomysł umieszczenia Anny tak blisko potencjalnego podejrzanego. Poza tym musieliby bardzo uważać, by nie narazić się na zarzut prześladowania człowieka.

Telefon zaskoczył pochłoniętego myślami Fabla. Dzwonił Holger Brauner, szef techników kryminalnych.

- Cóż, Janie, przyznaję, że przy tobie człowiek nigdy się nie nudzi. Dostarczyłeś nam bardzo niezwykle egzemplarz broni palnej.

- Czy to z tej broni zabito Klugmanna?

- Owszem. Chcę też zaznaczyć, że jak na Hamburg jest to niezwykle rzadka i interesująca broń.

- Tak?

- To FORT 12, tyle znaczy napis cyrylicą. Kaliber dziewięć milimetrów. Ogólnie rzecz ujmując, jest to pistolet podwójnego działania z przepływem wstecznym gazów i komorą na nabój

Makarowa dziewięć na osiemnaście i z magazynkiem na dwanaście nabojów. A teraz interesująca wiadomość: FORT 12 jest używany przez ukraińską policję i siły bezpieczeństwa. - Fabel zapisał tę nowinę. Kolejny związek. Brauner mówił dalej: - Sowieckie służby bezpieczeństwa były wyposażone w pistolety makarow PM, ale po rozpadzie bloku komunistycznego ukraińskie jednostki specjalne i służby bezpieczeństwa domagały się broni bardziej godnej zaufania, więc w zakładach w Uherskym Brodzie kupiono czeskie urządzenia i zaczęto produkować FORT 12.

- I jest używany wyłącznie do celów niecywilnych?

- Wedle mojej wiedzy, tak. Informacje o tym pistolecie zawdzięczam Kapffowi, naszemu specowi od balistyki i broni palnej. FORT 12 nie jest używany przez wojsko, ale przez policję i służby bezpieczeństwa.

- Dzięki, Holger. - Fabel odłożył słuchawkę, po czym znowu zadzwonił do Wenera w pokoju przesłuchań. Żadnej odpowiedzi. Poszedł do głównej sali wydziału zabójstw, gdzie zastał jedynie Marię Klee.

- Widziałaś Wenera? - spytał Fabel. Maria odparła, że nie. - Zwijam się do domu. Jeśli go zobaczysz, powiedz, żeby do mnie zakreślił. Jestem ciekaw, jak mu się powiodło z Hansim Krausem.

- Nadal chcesz się spotkać z naszym świrem z sekty Odyna? Jutro o dziesiątej rano?

- Wprost nie mogę się doczekać.

Z wydziału zabójstw Fabel wyszedł około dwudziestej trzydziści. Z samochodu zadzwonił do Susanne. Co prawda już jadła, ale zgodziła się z nim spotkać w barze przy Milchstrasse. Rozłączywszy się, Fabel zasunął dach samochodu i puścił płytę CD. *Fortsetzung Folgt.* Podkreślił głośność i wyłączył telefon komórkowy. Tej nocy postanowił zrobić sobie wolne.

Piątek, 20 czerwca, 10.00. Schanzenviertel, Hamburg

Schanzenviertel należy do tych regionów Hamburga, które wciąż mają podejrzaną reputację, a jednocześnie są modne. W dzielnicy pełno jest restauracji, barów i kawiarni, które odzwierciedlają wielokulturowy charakter mieszkańców; jest też wiele specjalistycznych sklepów i sklepików. Jednak obok ludzi modnych można tu spotkać niemało biedaków, a mieszkania dla rodzin imigrantów widywały standardy socjalne jedynie przez silną lornetkę. Duży park Sternschanzen z monumentalną wieżą ciśień przyciąga spacerowiczów za dnia, a handlarzy narkotyków w nocy; zwolennicy podniesienia statusu dzielnicy organizowali w parku antynarkotkowe demonstracje.

Sklepek Bjorna Janssen'a wcisnął się między kawiarnię serwującą kawę espresso a bar sushi na tyłach Stresemannstrasse. Na małej, zagrożonej przestrzeni Janssen sprzedawał książki, wyroby rzemiosła i tak zwane dzieła sztuki - wszystkie używane i wszystkie luźno związane z ruchem New Age.

Właściciel nie pasował do hołubionego przez nadkomisarza wyobrażenia wikinga. Co prawda miał jasne włosy, były one jednak o odcień czy dwa ciemniejsze od włosów Fabla; Janssen starannie, acz bezskutecznie, zaczesywał je, by ukryć różową łysinę. Był niskim, dość pulchnym mężczyzną, w którego nienagannej skądinąd niemczyźnie słyszało się duńską melodię. Wizja Janssen'a jako wojownika w rogatym hełmie, który wyskakuje z długiej łodzi wymachując toporem, była równie niewiarygodna, jak wizja Kubusia Puchatka w roli Dusiciela z Bostonu.

Kiedy oboje weszli, Janssen stał za zagrożoną ladą, z ręką wyciągniętą ponad panującym na niej nieładem. Fabel

zauważył, że ukradkowe spojrzenia jego wodnistych niebieskich oczu padają często na nogi i piersi Marii. Przyłapała go na tym i w jej oczach neonowym blaskiem zalśniła recenzja: „dupek”.

- Panie Janssen - uśmiechnął się Fabel uprzejmie. - Obecna tu pani Klee twierdzi, że należy pan do kultu Odyna i może nam pan dopomóc w prowadzonej przez nas sprawie.

Janssen odwzajemnił uśmiech i potrząsnął głową. Na jego twarzy odmalował się wyraz znużonego pobażania.

- Nie, nie, nie. Nie mam nic wspólnego z żadnym kultem. Jestem *Gothi* - Wysokim Kapłanem - *biot* Asatru. Praktykuję oryginalny system wierzeń Europy Północnej.

- Jak zwał, tak zwał. Chciałbym, żeby opowiedział nam pan o waszym systemie wierzeń. Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstw, w których występuje element rytualny. Uważamy, że możemy mieć do czynienia z wpływem starych obrządków nordyckich.

- Mogę pana zapewnić, że Asatru jest religią pokoju i harmonii.

- Rzeczywiście, wikingowie słynęli zwłaszcza z tych dwóch wartości - potwierdziła sarkastycznie Maria.

Janssen uśmiechnął się do niej i ciągnął dalej:

- Religię Asatru wyznawały wszystkie ludy północno-i zachodniogermańskie: Swewowie, którzy zostali Szwedarni, Danowie, od których wywodzą się Duńczycy, Anglowie - późniejsi Anglicy oraz rozmaite plemiona, z których powstał naród niemiecki. Mężczyźni i kobiety, rolnicy i wojownicy, ludzie wolni oraz niewolnicy. Asatru można nazwać religią najeźdźców nie bardziej, niż chrześcijaństwo religią nazistów. W każdym razie etymologia słowa „wiking” nie jest jasna. Niektórzy twierdzą, że pochodzi od *Vik*, co oznacza wioskę... że wikingowie byli po prostu wieśniakami, którzy wyruszali na wyprawy handlowe i łupieżcze, kiedy plony nie zaspokajały potrzeb rosnącej populacji. Ich wierzenia wyrastają bardziej z natury niż z wojny.

- Ale składali krwawe ofiary - zauważył Fabel.

- Owszem. Nadal to robimy. *Hlautbowl* jest naczyniem *biot*.

Dzisiaj napełniamy je miodem pitnym i pijemy z niego przed ofiarowaniem części przeznaczonej dla bogów. *Biot* jest staronordyckim określeniem krwi. W dawnych czasach *hlautbowl* napełniano krwią zabitego zwierzęcia. Błędem byłoby uważać ten akt za barbarzyński czy wyjątkowy. Ludzie zabijali zwierzę na *biot* w ten sam sposób, w jaki czynią to dzisiaj, kiedy chcą zaprosić gościa na biesiadę. W Asatru związek z bogami jest bardziej intymny; uważano ich za rzeczywiste, żywe, aktywnie uczestniczące elementy zwykłego, codziennego życia.

- I ofiara nie odgrywa już dziś żadnej roli w Asatru?

- Ależ odgrywa, jak najbardziej. *Biot* nadal jest rytualną ofiarą. Jednak w Asatru koncepcja ofiary wiąże się bardziej z aktem dawania. Czasami ulewamy miodu pitnego na ziemię na cześć Matki Ziemi. Odwzajemniamy się za to, co nam dała. Nasze ofiary i symbole przejęło chrześcijaństwo. Przykładem może być msza w kościele rzymskokatolickim lub święta urodzaju. Wielkanoc, Easter, to zawłaszczona bogini Eostre, która zamieniła się w królika i ukryła złote jajka na polu. Dlatego dzieci po dziś dzień szukają jajek wielkanocnych.

- Czy kobiety odgrywają jakąś rolę w waszej religii? - spytała Maria.

- Owszem, pani komisarz. - Uśmiech Janssen stał się niemal obleśny. - Kobiety są dawczyniami życia. W Asatru są otaczane czcią, i często to nie *Gothi*, ale *Gythia*, kapłanka przewodniczy *biot*.

Na Marii nie zrobiło to wrażenia.

- A jakież to specjalny „dar” mają ofiarowywać kobiety?

- Nie rozumiem pani pytania... - odparł Janssen, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że rozumiał doskonale.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Fabel wydobyl odbitkę zdjęcia czoła Michaeli Palmer, zrobionego w szpitalu miejskim w Cuxhaven.

- Rozumiem, że to jest znak runiczny *gebu*... Janssen wzruszył ramionami. - Równie dobrze może to być krzyżyk. Znak X.

- Ten znak namalowano na czole ofiary, którą zmuszono do

wzięcia udziału w rytuale typu nordyckiego. Została wielokrotnie zgwałcona przez mężczyzn w maskach, przedstawiających jednooką, brodatą postać.

Janssen się skrzywił. - Wotan... albo Odyn. - Zastanawiał się przez chwilę. - Kimkolwiek są ci ludzie, panie Fabel, nie tylko popełniają straszną zbrodnię, ale obrażają pokojową, łagodną religię. W odróżnieniu od innych religii, Asatru zakłada, że wolność i prawa jednostki są nienaruszalne. Pomogę panu, jak tylko będę mógł. - Janssen przyjrzał się dokładniej fotografii. - Tak... tak... to może być znak runiczny *gebu*. *Gebu* ma szczególne znaczenie w *biot*. Jest to symbol dawania i ofiary, a jak już wspomniałem, obydwa pojęcia są ze sobą blisko związane.

- Twierdzi pan zatem, że żaden z waszych wiernych nie uczestniczyłby w czymś takim?

- Z całą pewnością! To jest wypaczenie naszej wiary, podobnie jak czarna msza jest wypaczeniem chrześcijaństwa. - Janssen zamilkł, jakby ważył coś w myślach.

- Co takiego, panie Janssen?

- Parę lat temu... krążyły pewne plotki.

- O czym? - W głosie Marii dało się słyszeć zniecierpliwienie. Fabel spojrział na nią ostrzegawczo.

- W samym Hamburgu i okolicach działa kilka grup Asatru. Wszyscy wierzymy w to samo i sprzeciwiamy się interpretacjom negatywnym czy w duchu przemocy. Jednak, podobnie jak we wszystkich innych religiach, i tu może dojść do głosu mroczniejszy aspekt. Parę lat temu mówiło się o pewnym odłamie. Grupa miała być nieliczna i bardzo wybredna w wyborze nowych członków.

- I ta grupa miała działać po stronie czarnej magii całej tej... - Maria szukała słowa - religii?

Janssen przytaknął. - Według pogłosek, ci ludzie mieli się koncentrować na *seidhr*, szamańskiej tradycji kultu Ody. Pytała pani o rolę kobiet w Asatru. Otóż, zgodnie z tradycją *seidhr* praktykowały głównie kobiety. Jednak tamta grupa miała się składać w przeważającej części, a może wyłącznie, z mężczyzn.

- Czy wie pan, kto do niej należał?

- Nie. Jak powiedziałem, to były tylko plotki. Mówiło się, że do grupy należą bardzo wysoko postawieni ludzie, a także jakiś cudzoziemiec.

Fabel i Maria wymienili spojrzenia.

- Czy gwałt rytualny mógł odgrywać rolę w ich obrzędach? - spytał Fabel.

- Na pewno nie uprawnia do tego tradycja. Jednym z elementów *biot* jest jednak pojęcie ofiarowania siebie. Dawania siebie. Może więc mamy do czynienia z wypaczoną interpretacją tego pojęcia. *Gebu* z pewnością kojarzy się z „darem” lub ofiarą. Podczas *biot* recytuje się go jako *galdr*, czyli śpiew rytualny. Istnieje też pojęcie *ond*, które oznacza ekstazę. Oznacza też radość, ale pewnie możliwe są wynaturzone interpretacje. Nie przeczę też, że w przeszłości praktykujący dopuszczali się mrocznych czynów. Pewien Arab był świadkiem, jak na pogrzebie wodza wikingów kobieta odbyła stosunek z siedmioma mężczyznami, następnie weszła do łodzi pogrzebowej i spłonęła żywcem, razem z ciałem wodza.

- Typowa pokojowa, łagodna religia - stwierdziła Maria.

- Natomiast chrześcijanie palili na stosach heretyków i tak zwane czarownice - odparł Janssen z zimnym uśmiechem, zerkając na bluzkę Marii. - Podobnie jak wszystkie systemy filozoficzne i religijne, Asatru także może ulec wypaczeniu. Naprawdę nie mam pojęcia, czy pogłoski o tej sekcie były prawdziwe ani czy mają związek z waszym dochodzeniem. Próbuje tylko pomóc.

- Okazał się pan niezwykle pomocny, panie Janssen - zapewnił Fabel, patrząc znacząco na Marię. - Czy wspomiano, skąd mógł pochodzić ten cudzoziemiec?

- Przykro mi. - Janssen potrząsnął głową.

- Albo gdzie ta grupa mogła się spotykać?

- Obawiam się, że nie wiem. Podobno byli bardzo skryci.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc - powiedział Fabel, podając rękę Janssenowi.

Ten wyszedł zza lady, żeby ich odprowadzić.

- Polecam się - powiedział. Otworzył im drzwi i posłał Marii

uśmiech.

Samochód Marii, którym przyjechali, stał za rogiem. Wyłączyła alarm, a Fabel znieruchomiał z dłonią na klamce, spoglądając na partnerkę.

- Co takiego? - spytała obronnie.

- Pan Janssen niezbyt przypadł ci do gustu, co? - uśmiechnął się Fabel.

Maria wzdrygnęła się i skrzywiła z obrzydzeniem.

- Jaka szkoda - powiedział Fabel, wsiadając do samochodu. - Odniosłem wrażenie, że wpadłaś mu w oko.

Maria nie od razu włączyła silnik. Miała zamyślony wyraz twarzy, wzrokiem błędziła gdzieś daleko.

- Jakie to dziwne, prawda?

- Co takiego? - spytał Fabel.

- To, że ludzie stale wyciągają do czegoś rękę. A to coś bywa piekielnie przerażające.

- Masz na myśli tę grupę, o której mówił Janssen? Odłam odłamu?

- Tak. Czy sądzisz, że Janssen naprawdę wierzy w te wszystkie bzdury o Asatru? Albo ludzie, którzy dopuszczają się tych gwałtów - czy ich zdaniem istnieje religijne uzasadnienie ich czynów?

Fabel ściągnął usta. - Wątpię. Na pewno nie na żadnym racjonalnym poziomie. Co się tyczy Janssena... może. Jak sama powiedziałaś, tak wielu ludzi chwyta się kurczowo duchowych protez, starając się nadać sens i kształt własnemu życiu. Bez tego wszechświat jest ciemny i samotny.

Maria przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła z miejsca.

Piątek, 20 czerwca, 12.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Jedynym zadaniem sekretarki Norberta Eitla było najwyraźniej chronienie szefa przed kontaktami ze światem zewnętrznym. Zgodziła się połączyć Fabla dopiero wtedy, gdy zagroził, że bez zapowiedzi zjawi się z asystą i aresztuje każdego, kto będzie mu przeszkadzał.

- Słucham, panie nadkomisarzu... - Norbert Eitel miał roztargniony głos, jakby rozmawiając z Fablem czytał jednocześnie coś znacznie ważniejszego. - W czym mogę panu pomóc?

- Chciałbym przyjechać i porozmawiać z panem... a także z pańskim ojcem, gdyby akurat miał czas.

- Czy wolno spytać, w jakiej sprawie?

- Rozumiem, że znał pan Angelikę Blum?

- Ach, tak... to straszna, straszna historia. Ale jak mogę pomóc? - Fabel czuł, że teraz Eitel poświęca mu już niepodzielną uwagę.

- Chodzi głównie o tło.

- Ale mój ojciec nie znał Angeliki. Spotkali się chyba tylko raz, i to przelotnie... Nie wiem, w czym on mógłby panu pomóc.

- O tym powinniśmy porozmawiać, kiedy się spotkamy. Co pan powie na czternastą trzydzieści?

- Cóż... dobrze, chociaż nie mogę ręczyć za ojca. On z nami nie pracuje. Ma własne sprawy.

- W porządku, panie Eitel. Jeśli pański ojciec nie zdoła przyjść, możemy posłać po niego samochód i przywieźć go do nas... żeby nie sprawiać mu kłopotu.

W obliczu tak jawnej pogroźki głos Eitla stał się zimny i twardy.

- Zobaczę, co będę mógł zrobić - powiedział i odłożył słuchawkę.

Fabel kazał dostarczyć lunch dla wszystkich do wydziału zabójstw. Chciał omówić z Anną plan jej spotkania z MacSwainem, zaplanowanego na następny wieczór. Anna wprowadziła zaledwie kilka zmian do pierwotnej wersji. Poprosiła o dodanie dwóch policjantów do zespołu obserwacyjnego, co powiększyło liczbę funkcjonariuszy do dziesięciu, nie licząc jej samej. Fabel wyraził zgodę na wzmocnienie środków bezpieczeństwa; i podejrzewał, że domagał się tego Lindemann. Anna, tak jak Fabel liczył, wyznaczyła Paula na szefa grup wsparcia. Dwóch policjantów miało siedzieć w klubie, pozostałych ośmiu na zewnątrz w pięciu samochodach. Głównym pojazdem miała być opancerzona furgonetka z załogą dwóch uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy MEK, oraz Paulem i Marią, a także sprzętem elektronicznym do podsłuchu Anny. Furgonetka miała pełnić rolę centrum dowodzenia, monitoringu i ośrodka instrukcji dla reszty zespołu. Do inwigilacji mieli dwa motocykle, mogące dogonić porsche MacSwaina, i dwa samochody, prowadzone przez funkcjonariuszy wydziału zabójstw. Oznaczało to, że MacSwain mógł mieć stale ogon bez obawy dekonspiracji, a gdyby wykonał niebezpieczny ruch, mogli go zgarnąć w ciągu kilku sekund. Jak już wcześniej zauważył van Heiden, była to kosztowna operacja, w dodatku oparta wyłącznie na przecuciach Fabla i improwizacji Anny. Zastosowano wszelkie środki bezpieczeństwa, na jakie pozwalał budżet.

Po odprawie Fabel wezwał do siebie Annę, Paula, Wenera i Marię. Poinformował ich o zaplanowanym na popołudnie spotkaniu z Eitlami i zapytał, czy Maria i Werner mogą mu towarzyszyć.

- Chcę mieć przewagę liczebną albo chociaż równowagę - wyjaśnił Fabel. - Jest ich dwóch, a podejrzewam, że w spotkaniu weźmie udział co najmniej jeden prawnik. Chcę tylko, żeby odczuli naszą obecność.

Wcześniej Brauner zdążył przekazać nadkomisarzowi pistolet, z którego zastrzelono Klugmanna oraz pełny raport.

Fabel powiedział zebranym o pochodzeniu broni, powtórzył też to, co Hansi Kraus zeznał o zabójcach. Następnie poprosił o opinie.

- Wygląda na to, że mieliśmy znaleźć ten pistolet, ale Kraus zepsuł plan, ponieważ był na miejscu i zabrał broń przed nami - podsunęła Maria. - Ktoś chciał, żebyśmy przypisali tę robotę Ukraińcom.

- Ale przecież szybko byśmy rozgryźli ustawioną sprawę - odparł Fabel.

- Uważasz tak tylko dlatego, że ktoś ich podsłuchał i możemy stwierdzić, że byli Niemcami - powiedział Werner. - Gdyby nie to, celowe zostawienie broni odczytalibyśmy jako wiadomość... wzięcie na siebie odpowiedzialności. - Werner zmarszczył czoło. - Coś dziwnego dzieje się z Krausem, szefie. Zeszłej nocy złożył pełne zeznanie i przejrzelśmy trochę zdjęć. Potem zabrałem go do kantyny, żeby coś zjadł. Nie wiem, co, u diabła, go napadło, ale nagle zaczął się zbierać do wyjścia. Spytałem, po co ten pośpiech, ale nie odpowiedział nic sensownego. Obiecywał tylko wrócić dzisiaj, ale powiedziałem, że musi zostać trochę dłużej i obejrzeć więcej zdjęć. Posadziłem go przy stoliku, podszedłem do lady, a kiedy wróciłem, Kraus zniknął. Właśnie wtedy próbowałeś się ze mną skontaktować... kiedy biegałem po korytarzach w poszukiwaniu Hansiego.

- Ale spisałeś jego zeznanie? - spytał Fabel, a Werner potwierdził. - Nie przejmowałbym się tym, że zwiął, Werner. To narkoman. Kiedy go ostatnio widziałem, siedział jak na szpilkach. Jeśli się nie zgłosi, to go zgarniemy. - Fabel zwrócił się do Marii: - Czy zdobyłaś informacje o Eitlach, o które cię prosiłem?

Maria wręczyła nadkomisarzowi teczkę.

- Eitel senior nie jest miłym obiektem badań. W tych notatkach jest wszystko, ale zreasumujmy... Wolfgang Eitel ma siedemdziesiąt dziewięć lat. Pochodzi z regionu Passau w Górnej Bawarii. Należał do Hitlerjugend, a w 1942 roku wstąpił do SS. Podobnie jak większość esesmańskich świń cierpi na wybiórczą amnezję, ale według akt, na tyle, na ile można im ufać, zaczynał karierę jako Untersturmführer SS -

podporucznik, a kiedy aresztowali go alianci, był już kapitanem.

Fabel wydobyl z teczki czarno-biale zdjecie aroganckiego mlodego czlowieka, ktory nie mogl miec wiecej niz dwadziescia jeden lat, ale staral sie wygladac znacznie powazniej. Mial na sobie mundur SS. Fabel spodziewal sie ujrzec na kołnierzu podwojną błyskawicę. Nagle uzmyslowil sobie, ze gdyby ow znak tam byl, ponownie zobaczylyby starogermański symbol runiczny. Naziści przywlaszczyli sobie *sigel* - znak oznaczajacy zwyciestwo - i uczynili z niego znak Schutzstaffel. Jednak podwojnej błyskawicy nie bylo na zdjeciu. Zamiast niej, na prawej Patce kołnierza Eitla widnial stojacy na tylnych łapach biały lew na czarnym tle. Fabel oddal fotografię Marii.

- Co oznaczają te insygnia?

W odpowiedzi uśmiechnęła się szeroko.

- Ten znak prowadzi nas na niezmiernie ciekawy obszar. Nie wątpię, że to zbieg okoliczności, ale są to insygnia Czternastej Dywizji SS Waffen-Grenadieren, znanej też jako Dywizja Galicyjska. Jak wiecie, Galicja była regionem historycznym, obejmującym część dzisiejszej Ukrainy. Galicyjska Dywizja SS składała się z Ukraińców, którzy wierzyli, że uwolnią swój kraj od Stalina.

- Ukraińscy żołnierze, ale niemieccy oficerowie.

- Właśnie. Eitel był jednym z nich. Po klęsce pod... - Maria zajrzała do notatek - Brodami dywizja wycofała się do Austrii. Tam Eitel oddał się w ręce aliantów, pragnąc za wszelką cenę uniknąć niewoli sowieckiej. Po wojnie odsiedział czteroletni wyrok. W 1956 roku w Monachium założył firmę Eitel Importing, a w połowie lat sześćdziesiątych był już multimilionerem. Jego nieżyjąca już żona pochodziła z Hamburga i Eitel przeniósł się tu w 1972 roku. Pomógł synowi założyć Eitel Media Group, której dziesięć lat temu sprzedał Eitel Importing. To pozwoliło mu skoncentrować się na karierze „politycznej”. W 1979 roku powołał BDD, Bund Deutschland-fur-Deutsche (Związek „Niemcy dla Niemców”). O ugrupowaniu usłyszano szerzej dopiero po zburzeniu muru berlińskiego. Jednak nawet wtedy BDD cieszyło się tylko

słabym, sporadycznym poparciem. Krótko mówiąc, paskudztwo.

Fabel wpatrywał się w Marię, jak gdyby miało mu to pomóc w przetworzeniu jej informacji. Wreszcie rzekł:

- Zadziwiająca jest częstotliwość, z jaką w tej sprawie pojawia się wątek ukraiński.

- Jak powiedziałam, tym razem jest to najpewniej zbieg okoliczności - odparła Maria.

Fabel wzruszył ramionami. - Pewnie tak. - Po chwili dodał: - A co z jego synem, Norbertem?

- Wydawca gazet brukowych z ambicjami politycznymi. Studiował w Hamburgu i Heidelbergu, potem przy pomocy ojca, także finansowej, założył „Schau Mal!”. Dzięki zakupom i rozwojowi Grupa Eitel działa na wszystkich obszarach medialnych, włącznie z Internetem...

- Dlatego potrzebują kogoś takiego jak MacSwain - wtrącił Werner.

Maria kontynuowała: - Grupa posiada udziały w wydawnictwach bulwarowych w Holandii, Polsce i Czechach. Oprócz mediów, Grupa zajmuje się zarządzaniem nieruchomościami, ma też firmę deweloperską. Do tego należy dodać firmę importowo-eksportową, którą Norbert nabył od ojca. Pod względem politycznym znajduje się na prawo od centrum. Daleko na prawo. Chce jednak uchodzić za niezależnego. Najwyraźniej zdaje sobie sprawę, że powiązanie z BDD stanowiłoby obciążenie. Twierdzi stanowczo, że nie jest neonazistą ani prawicowym ekstremistą. Mimo to w swoim programie Norbert opiera się głównie na hasłach antyimigracyjnych, nawołuje do poszanowania prawa i ładu. Ożeniony z jakąś arystokratką, Martha von Berg.

- Czy to krewna senatora miejskiego Jurgena von Berga? - spytał Fabel.

- Nie wiem, szefie. Wiem natomiast, że przez pewien czas przedstawiał się jako Norbert von Berg Eitel. Potem przestał. Używając arystokratycznego nazwiska żony, dołączył do modnego zwyczaju liberalnych Niemców, którzy łączyli nazwiska swoje i swych połowic. Nie pasowało to do wizerunku

tradycjonalisty. Poza tym Norbert cieszył się sławą kobieciarza, choć zrobił wiele, by zadać kłam tym pogłoskom.

Fabel potarł podbródek.

- Mili ludzie. - Spojrzał na zegarek. - Chyba już czas, żebyśmy złożyli im wizytę.

**Piątek, 20 czerwca, 14.30.
Neustadt, Hamburg**

Biura Eitel Media Group mieściły się w monolicie ze stali i szkła, w samym sercu biurowej dzielnicy Neustadt. Fabel interesował się dobrą architekturą, co oznaczało, że ten budynek nie zwrócił jego uwagi. Było to bezduszne, typowo korporacyjne pudło z kosztownymi wykończeniami, ale atmosferą hotelowego westybulu. Recepcjonista zaprowadził Fabla i jego asystę do windy.

Dwa pierwsze piętra budynku zajmowały pomieszczenia „Schau Mai!”, trzecie TV Espresso, cotygodniowy program telewizyjny publikowany przez Grupę Eitel. Czwarte piętro przeznaczono na Dział Komunikacji. Piętro wyżej usadowiły się biura i pomieszczenia administracyjne Grupy. Właśnie tam miał swój gabinet Norbert Eitel.

Po rozsunięciu się drzwi windy powitała ich kobieta w średnim wieku o srogim wyglądzie. Fabel domyślił się w niej sekretarki, z którą ściał się przez telefon. Twarz kobiety sugerowała, że nie przywykła do tego, by kwestionowano jej autorytet.

- Przyszedł pan spotkać się z panem Eitlem?

Fabel błysnął odznaką policyjną.

- Jestem nadkomisarz Fabel.

Kobieta zlustrowała pozostałych z wystudiowaną, pełną pogardy, nadętą miną. Werner momentalnie zniweczył ten efekt, parszkając śmiechem.

- Proszę za mną - warknęła rozdrażnionym tonem. Zaprowadziła ich do posępnej poczekalni na dalekim krańcu biura, gdzie ledwie docierała paplanina głosów z morza biurek. Po dziesięciu minutach sekretarka o kamiennej twarzy wezwała ich do przeszklonej sali zebrania.

Minutę później wkroczył tam Norbert Eitel bez marynarki, z

podwiniętymi rękawami koszuli i w rozluźnionym krawacie. Powitał gości uprzejmym uśmiechem, ale całą swą postawą dawał do zrozumienia, że ma ważniejsze sprawy na głowie. Przytrzymał drzwi wysokiemu, szczupłemu, starszemu mężczyźnie o arystokratycznym wyglądzie, z gęstwą włosów koloru kości słoniowej, które przez sześćdziesiąt lat ani trochę nie cofnęły się znad czoła. Fabel rozpoznał oficera SS z fotografii, tyle że teraz Wolfgang Eitel w pełni osiągnął władczą dojrzałość, jaką tak bardzo chciał emanować, będąc aroganckim młodzieńcem. Za Eitlem seniorem do sali wszedł mężczyzna średniego wzrostu, przed czterdziestką.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu - powiedział Norbert Eitel. - To jest mój ojciec, Wolfgang Eitel. - Senior rodu wyciągnął rękę na powitanie i krótko skinął głową. Fabel spodziewał się niemal usłyszeć stuknięcie obcasów. - A to jest Wilfried Waalkes, szef naszego działu prawnego.

Fabel i Maria wymienili uśmiechy. Prawnik. Fabel przedstawił Wenera i Marię, po czym przez chwilę przyglądał się prawnikowi. Waalkes było nazwiskiem fryzyjskim, ale „dzień dobry”, które padło z ust jego posiadacza, zostało wypowiedziane w dialekcie wysokoniemieckim trudnym do przypisania konkretnemu regionowi.

- W czym możemy państwu pomóc? - spytał Norbert Eitel, zapraszając ich gestem dłoni do zajęcia miejsc przy owalnym stole konferencyjnym. Zanim Fabel zdążył odpowiedzieć, dodał: - Czy może coś państwu podać? Kawę... herbatę?

- Nie, dziękujemy - odpowiedział za wszystkich nadkomisarz. Prawnik i Eitel senior usiedli. - Chcielibyśmy pana zapytać o Angelikę Blum. Czy mógłby pan wyjaśnić, na czym polegały wasze stosunki, zarówno osobiste, jak zawodowe?

- Osobiste były nikłe... zawodowe żadne. Szczerze mówiąc, Angelika patrzyła z góry na nasze publikacje. Uważała, że gra w innej lidze.

- A pan nie zgadza się z jej oceną? Norbert Eitel się zaśmiał.

- Miałem bardzo wysokie mniemanie o talentach Angeliki. Tak się jednak składa, że przywiązuję też wagę do rynkowej wartości naszych tytułów. Z Angeliką kontaktowałem się

głównie podczas spotkań branżowych oraz przez wspólnych znajomych. Znaliśmy się.

- A pan, panie Eitel? - zwróciła się Maria do Eitla seniora. - Jakie pan miał kontakty z panią Blum?

Wolfgang Eitel odchylił głowę i spojrzał na Marię.

- Żadnych. Cóż, spotkaliśmy się raz, w Altona Krone... ale to musiało być już parę tygodni temu.

- Śmiem domniemywać, że żaden z panów nie darzył jej szczególną sympatią... - Maria zawiesiła głos.

- Nie rozumiem... - Norbert przywołał na twarz skonsternowany uśmiech, podczas gdy jego ojciec zachował obojętność.

- Pani Blum zamierzała opublikować artykuł sugerujący, że angażuje się pan w transakcje nieruchomości, w których pewną rolę odgrywa obcy kapitał. - Maria powiedziała to spokojnym, pewnym tonem. Fabel wpatrywał się w Norberta Eitla, pilnując, by nie okazać zaskoczenia blefem Marii. Uśmiech biznesmena nie uległ najmniejszej zmianie, co samo w sobie nasuwało podejrzenie sztuczności. Maria trafiła w dziesiątkę. Odpowiedzi udzielił jednak ojciec Norberta.

- Panie nadkomisarzu, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że pani Blum pracuje nad artykułem o mnie czy moim synu. Prawdą jest, że prowadzimy transakcje na rynku nieruchomości. To prawda, że handlujemy z innymi krajami. Moja własna kariera opierała się na imporcie i eksporcie. Jeżeli pani Blum zamierzała napisać o nas artykuł, to nie tylko nie mieliśmy o tym pojęcia, ale zapewniam też pana, że nie wiemy, na jakich danych taki artykuł miałby bazować.

Fabel zmienił taktykę.

- Podczas wojny służył pan na froncie wschodnim. Dowodził pan Ukraińcami, tak?

Oczy Wolfganga Eitla rozbłysły mrocznym ogniem. Jednak nic z tego nie przeniknęło do jego głosu, mimiki, ruchów.

- Naprawdę nie rozumiem, jaki to ma związek z czymkolwiek, panie nadkomisarzu...

Fabel poczuł się tak, jakby spoglądał przez metrowej grubości szkło ołowiowe w sam rdzeń reaktora atomowego: miał przed

sobą coś równie potężnego i zabójczego, tyle że panującego nad sobą.

- Po prostu Ukraina zajmuje istotne miejsce w naszym dochodzeniu. - To była prawda, ale jak Eitel zamierzał skomentować te słowa? Fabel przerwał, czekając na reakcję.

Wolfgang Eitel oburącz przyglądał na skroniach swe prawie białe włosy. Tym razem odezwał się jego syn:

- Prowadzimy interesy w całej Europie i poza jej granicami. Posiadamy pisma w Holandii, Polsce i na Węgrzech. Nasi partnerzy z rynku nieruchomości pochodzą ze Stanów Zjednoczonych i Ukrainy. Nie widzę w tym niczego sensacyjnego.

Trafienie. Fabel i Maria wymienili szybkie, ukradkowe spojrzenia. Nadkomisarz starał się ukryć podniecenie. Ponownie zwrócił się do Wolfganga Eitla.

- Chyba wszyscy wiemy, że artykuł pani Blum dotyczył czegoś więcej niż tylko prostej transakcji z partnerami z Europy Wschodniej, prawda?

- Wobec tego wie pan więcej ode mnie, panie Fabel. Do rozmowy włączył się prawnik, Waalkes.

- Myślę, że posunął się pan już dostatecznie daleko, panie nadkomisarzu. Zgodziliśmy się na tę rozmowę, ponieważ wszyscy tu obecni są wstrząśnięci zabójstwem pani Blum, i jesteśmy gotowi udzielić wszelkiej pomocy w schwytaniu tego potwora. Muszę jednak powiedzieć, że pańskie pytania są równie impertynenckie, co niedorzeczne. Próbuje pan, jak sądzę, oskarżyć moich klientów o jakąś sprawę zupełnie niezwiązaną z przedmiotem tej rozmowy.

- Nikogo o nic nie oskarżamy - powiedziała Maria. - Próbujemy jedynie ustalić związek między Grupą Eitel a panią Blum.

- I myślę, że to zrobiliśmy. - Norbert Eitel wstał, dając znak, że rozmowę uważa za zakończoną. Nikt z grupy policyjnej nie poszedł w jego ślady. Fabel zwrócił się do Waalkesa:

- Myślę, że byłoby w interesie wszystkich, gdyby obydwaj pańscy klienci opisali nam, gdzie się znajdowali w chwilach zabójstwa, w sprawie których prowadzimy dochodzenie.

Powinni też podać nazwiska wszystkich osób mogących potwierdzić ich relacje. Byłbym zobowiązany, gdyby zrobili to najszybciej jak to tylko możliwe...

- To skandal! - Zagrmiał Eitel senior, podrywając się z energią zadającą kłam jego wiekowi. - Czy pan oskarża mnie lub mego syna o te zbrodnie?

Fabel nie ruszył się z krzesła.

- To zupełnie rutynowa prośba, panie Eitel - odparł spokojnie. Maria podała nadkomisarzowi kartkę papieru, na której wypisała daty i godziny wszystkich zabójstw. Fabel wstał i zwrócił się do Eitla seniora: - Zresztą, panie Eitel, przypuszczam, że posiada pan pewne doświadczenie w odpowiadaniu na trudne pytania...

Tym razem wybuchł Waalkes.

- Dość, panie Fabel! To niesłychane! Zamierzam powiadomić o tym pańskich przełożonych...

Fabel wręczył kartkę papieru Waalkesowi.

- Godziny, miejsca, nazwiska... Potrzebuję pełnych zeznań pańskich klientów. - Odwrócił się do Norberta i Wolfganga Eitlów. Oczy seniora płonęły pod gęstymi siwymi brwiami. - Życzę panom miłego dnia - zakończył i opuścił salę, a Maria i Werner za nim.

Odezwali się dopiero po wejściu do windy. Kiedy tylko drzwi się zasunęły, Fabel, Maria i Werner uśmiechnęli się do siebie szeroko.

- Czeka nas chyba sporo pracy, prawda? - powiedział nadkomisarz.

- Natychmiast się za to wezmę - odparła Maria. - To było bardzo miłe z ich strony, że skierowali nas we właściwą stronę. Zacznę od listy wszystkich ukraińskich kontaktów firmy Eitel Importing i Grupy Eitel.

- To była świetna robota, Mario - pochwalił Fabel.

- Dzięki, szefie. Werner milczał.

- Tak na marginesie - powiedziała Maria, kiedy drzwi windy rozsunęły się na dole. - Zamierzałam powiedzieć ci to wcześniej... Mam dane o wszelkich kontaktach pomiędzy czynnymi oficerami hamburskiej policji a ukraińskimi

służbami bezpieczeństwa. Nie uwierzysz, czyje nazwisko wypłynęło.

- Czyje?

- Twoje.

- Co takiego? W życiu nie byłem na Ukrainie.

- A pamiętasz, że napisałeś referat na konferencję Europolu na temat seryjnych psychotycznych przestępców? Ten o zabójstwach Helmuta Schmieda?

- Tak...

- Okazuje się, że twój referat jest wykorzystywany w Ośrodku Kryminologii i Medycyny Sądowej w Odessie, gdzie ukraińscy policjanci uczą się tropić seryjnych zabójców.

Werner i Maria wyszli na ulicę przez wielkie podwójne drzwi z chromu i szkła. Fabel patrzył przez chwilę za nimi, po czym ruszył ich śladem.

Piątek, 20 czerwca, 19.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Koledzy Anny Wolff tak przyzwyczaili się do jej neopunkowego stylu, przesadnego makijażu, za dużej skórzanej kurtki i obcisłych dżinsów, że kiedy weszła do sali ogólnej wydziału zabójstw, na twarzach zebranych odmalowało się zaskoczenie. Werner i paru gości z grupy wsparcia gwizdnęło z podziwem, Maria pogratulowała Annie wyglądu, a Fabel zaklaskał. Paul Lindemann wyglądał na zaniepokojonego.

Anna stonowała makijaż tak, by subtelnie podkreślał wyraziste rysy twarzy, zmieniła też uczesanie krótkich ciemnych włosów na łagodniejsze. Czarna sukienka z trójkątnym stanikiem, trzymającym się na opasce wokół szyi, sięgała do połowy uda, akcentując krągłości ciała i odsłaniając zgrabne nogi. Pod stanikiem tkwił niewygodnie przenośny nadajnik, przewód i mikrofon, które Maria pomogła Annie zamocować. Ludzie z działu technicznego sprawdzili już sprawność urządzenia.

- Trzeba przyznać, że przynęta jest na haczyku - uśmiechnęła się Maria.

- Dobrze - powiedział Fabel. - Omówmy wszystko jeszcze raz. Anno?

Anna Wolff ponownie powtórzyła szczegółowo plan operacji. Najważniejszą rzecz zostawiła na koniec.

- Zapamiętajcie mój kod alarmowy. Kiedy usłyszycie, że mówię „Niezbyt dobrze się czuję”, macie mnie zdjąć. - Anna wybrała te słowa po starannym namyśle. Można je wypowiedzieć nagle w dowolnej sytuacji. W pokoju dawało się wyczuć nastrój oczekiwania i rosnące napięcie; adrenalina zaczynała krążyć. - Jesteś pewien, że nie chcesz mi towarzyszyć, szefie?

- Nie, Anno... to twój występ, twoja rola. Ale będę w kontakcie z zespołem, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Powodzenia.

- Dzięki.

Zespół wyszedł za Anną na parking, zostawiając Fabla i Wenera w wydziale. Pomieszczenie, teraz wolne od naelektryzowanej atmosfery, wypełniającej je jeszcze przed kilkoma sekundami, sprawiało wrażenie pustego i nudnego. Stali przez minutę w milczeniu, po czym Werner zwrócił się do nadkomisarza.

- Teraz?

Fabel skinął głową.

- Ale trzymaj się z dala od terenu operacyjnego. Po prostu przemieszczaj się wraz z akcją i monitoruj łączność radiową. Nie chcę, by Anna i Paul myśleli, że im nie ufam. Na wypadek kłopotów przez całą noc nie wyłączam komórki.

- Jasne, Janie.

- I, Werner... Doceniam twoją pomoc. Będę spokojniejszy, wiedząc, że nad nimi czuwasz i w razie czego wspomóżesz ich swoim doświadczeniem i wiedzą.

Werner wzruszył podobnymi do kłody ramionami i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, zakręcił kluczykami do samochodu, odwrócił się i wyszedł.

Piątek, 20 czerwca, 20.00.
St Pauli, Hamburg

Duża granatowa furgonetka mercedes vario z logo firmy „Ernst Thoms Elekriker” stała naprzeciwko wejścia do nocnego klubu. Gdyby krążyli tu przechodnie, nie zwróciliby na nią uwagi: przednie siedzenia świeciły pustkami, a jedyną oznaką życia było miarowe, ciche wirowanie wentylatora na dachu. Większość ludzi nie zauważyłaby też, że drugi, otwarty wentylator, znajdujący się dokładnie na wprost klubu, był nieruchomy.

Anna Wolff uśmiechnęła się do siebie, kiedy bramkarz otworzył jej drzwi, najwyraźniej nie poznając kobiety, która w tak spektakularny sposób zademonstrowała giętkość stawu jego kciuka. W progu zrobiła półobrót i niedbale zerknęła w stronę furgonetki. Roztargnionym ruchem postukała palcami po piersi, odwróciła się i weszła do klubu. Wiedziała, że Paul i Maria, śledzący na umieszczonym z tyłu wozu ekranie obraz z kamery ukrytej w wentylatorze, zobaczyli, jak stuka palcami; powinni byli ją też usłyszeć. W przeciwnym razie ktoś momentalnie zgarnąłby Annę. Głucha, ale nie niema - to było dziwne uczucie. Obserwatorzy z furgonetki słyszeli wszystko, co się wokół niej działo, każde wypowiedane przez nią lub do niej słowo, ona jednak ich nie słyszała. Słuchawka w uchu zostałaaby wykryta szybko i bez trudu. Anna wiedziała jednak, że w klubie jest już dwóch członków zespołu, wyposażonych w radio z nadajnikiem w uchu; śledzili każdy jej ruch.

Wzięła głęboki wdech i pchnęła drzwi prowadzące na główny parkiet taneczny. Pulsujący rytm obmył jej ciało, ale nie wypłukał uczucia niepokoju, jakie zagnieździło się głęboko w jej brzuchu.

Piątek, 20 czerwca, 20.00.
Alsterpark, Hamburg

Fabel umówił się z Susanne na drinka i coś do zjedzenia w Poseldorfie. Podczas posiłku był tak roztargniony, że w końcu musiał przeprosić Susanne.

- Jeden z moich ludzi jest w terenie - wyjaśnił. - Nie mogę powiedzieć, żebym był z tego powodu szczęśliwy.

- Czy to ma związek ze sprawą Syna Svena?

Fabel przytaknął. - W każdym razie może mieć. Pozwoliłem młodej policjantce wystąpić w roli przynęty.

- Dla Syna Svena? - Susanne była wyraźnie wstrząśnięta. - Mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym, nieprzewidywalnym i inteligentnym psychopatą. Twój niepokój jest w pełni uzasadniony, Janie. Muszę stwierdzić, że to graniczy z nieodpowiedzialnością.

- Dzięki - odparł ponuro Fabel. - Od razu lepiej się poczułem. Wcale nie jestem pewien, czy to nasz człowiek. Chociaż może mieć coś wspólnego z uprowadzeniami i zbiorowymi gwałtami.

- Mogę tylko wyrazić nadzieję, że twoja policjantka potrafi o siebie zadbać.

- To Anna Wolff. Jest znacznie twardsza, niż na to wygląda. Właściwie to jest o wiele twardsza niż większość z nas. Poza tym dostała pełne wsparcie.

Zapewnienia Fabia nie uspokoiły Susanne. Na widok jej zatroskanej miny zadzwonił do Wenera, który monitorował łączność radiową z grupą wsparcia. Na razie nie było o czym raportować. Fabel telefonował już po raz trzeci, a Werner zwracał się do niego tonem niańki do dziecka, uspokajającej nadopiekuńczego ojca. Powiedział mu, że Anna dotarła na miejsce i czeka na MacSwaina; zapewnił go też, że jeśli wydarzy się coś istotnego, natychmiast go powiadomi.

Po posiłku Fabel i Susanne przeszli przez park nad rzekę,

gdzie usiedli na jednej z ławek. Słońce zachodziło za ich plecami, wydłużając cienie.

- Przepraszam, że niezbyt dobry dziś ze mnie kompan. - Fabel uśmiechnął się słabo do Susanne, która nachyliła się i delikatnie pocałowała go w usta.

- Wiem. To przez tę sprawę. - Pocałowała go znowu. - Chodźmy do ciebie i upijmy się trochę.

- Dobra - zgodził się bez namysłu.

Właśnie wstawali z ławki, kiedy zadzwoniła komórka Fabla. Otworzył ją niecierpliwie, spodziewając się usłyszeć głos Wenera.

- Janie... mówi Mahmut.

- Chryste, Mahmut, gdzieś ty się podziewał? Już się...

- Janie, natychmiast musisz się ze mną spotkać - przerwał mu Mahmut. - To ważne, a nie chcę rozmawiać przez telefon.

- W porządku. - Fabel spojrział na zegarek, potem zrobił przeproszający gest w stronę Susanne. - Gdzie jesteś?

Mahmut podał adres w Speicherstadt.

- Co ty tam, na Boga, robisz? - zaśmiał się nadkomisarz. - Postanowiłeś zbić fortunę na kawie?

Tradycyjny dobry humor najwyraźniej opuścił Mahmuta.

- Po prostu tu przyjeżdż. Teraz.

- W porządku, będę za dziesięć minut.

- I, Janie...

- Tak?

- Przyjeżdż sam.

Połączenie zostało przerwane. Fabel zamknął telefon i zasepił się. W trakcie współpracy z Mahmutem ani razu nie wystawił na szwank jego anonimowości, przyprowadzając innego oficera. Mahmut nie mógł powiedzieć zbędniejszej rzeczy. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: ktoś kazał mu to powiedzieć: ktoś, kto chciał mieć pewność, że dostaną Fabla samego. Zwrócił się do Susanne.

- Jest mi naprawdę przykro. Muszę iść...

- Czy to ma związek z Synem Svena?

- Nie... Myślę, że mój przyjaciel mógł wpaść w tarapaty.

- Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Nie. - Fabel uśmiechnął się i wręczył Susanne klucze do mieszkania. - Ale ogrzej dla mnie łóżko.

- Czy to niebezpieczne? Nie powinieneś wezwać wsparcia?

Fabel pogłaskał Susanne po policzku.

- Wszystko w porządku. Po prostu muszę w czymś pomóc przyjacielowi. A że muszę zabrać samochód, więc zobaczmy, czy uda nam się złapać taksówkę dla ciebie...

Piątek, 20 czerwca, 21.00.
St Pauli, Hamburg

Początkowo Anna zachowywała się uprzejmie i przeprasząco, ale po tym, jak spróbował ją poderwać piąty facet, jej reakcje stały się ostre i kąśliwe. Kiedy usłyszała, jak kolejny barowy Romeo mówi „cześć!”, odwróciła się szczerząc zęby.

MacSwain cofnął się z uniesionymi dłońmi.

- Przepraszam... - powiedziała potulnie Anna. - Myślałam, że to ktoś inny... ktokolwiek...

- To mi pochlebia.

- Nie popadaj w dumę. Konkurencję masz żalosną. - Anna przyjrzała się MacSwainowi od stóp do głów. - Zaczęłam już myśleć, że nie przyjdiesz.

- Zatrzymali mnie w pracy. Przepraszam. - Wyciągnął rękę. - Jestem John MacSwain... - Potem dodał po angielsku: - Miło mi cię poznać...

- Sara Klemmer... - powiedziała Anna, wymieniając nazwisko dawnej koleżanki szkolnej. - Jesteś Anglikiem?

- Prawie - odparł MacSwain. - Głodna? Anna niezobowiązująco wzruszyła ramionami.

- Chodźmy stąd...

Piątek, 20 czerwca, 21.00. Speicherstadt, Hamburg

Speicherstadt, „miasto magazynów”, to jeden z najbardziej niezwykłych krajobrazów miejskich w całej Europie. Gotycka architektura obszernych siedmiopiętrowych składów z czerwonej cegły, zwieńczonych zaśnieżonymi miedzianymi wieżyczkami, dominuje nad portem przytłaczająco i statecznie. Monumentalne budowle oddziela sieć wąskich uliczek i kanałów, a galerie łączą sąsiadujące budynki nierzadko na wysokości czwartego piętra.

Speicherstadt jest także największym składem celnym na naszej planecie: na powierzchni ponad dwudziestu sześciu kilometrów kwadratowych spoczywają miliony ton kawy, herbaty, tytoniu i przypraw obok takich współczesnych dóbr jak komputery, farmaceutyki i meble. W ostatnich latach handlarze antykami zaczęli otwierać sklepy obok biur przedsiębiorstw morskich i handlowych, a niektóre spółki kawowe udostępniły swoje kawiarnie szerokiej publiczności. Wszystko to stanowiło część dynamicznego życia jednego z najważniejszych miast portowych świata.

Fabel zaparkował na Deichstrasse, przed samym Speicherstadt, kontrolowanym przez celników. Dobył z kabury walthera P99, wyjął i sprawdził magazynek, wbił go z powrotem w chwyt i ponownie wsunął broń do kabury. Zostawiwszy samochód, przeszedł przez most Kornausbrücke łączący brzegi wąskiego Kanału Celnego. W tle widać było wieże kościołów św. Katarzyny i św. Mikołaja. Przechodząc przez most, spojrzał na kanał, który biegł wzdłuż ceglasczerwonej skarpy magazynów. Zachodzące słońce nadawało czerwonym cegłom jeszcze ciemniejszy odcień. Dygot, który Fabel odczuwał w piersiach, był czymś więcej niż zwykłym niepokojem. Minąwszy odprawę celną, odnalazł drogę

do St Annenufer. Po paru zakrętach dotarł do wąskiej brukowanej uliczki, którą Mahmut wymienił przez telefon.

W Speicherstadt było ciemniej niż w pozostałej części miasta. Niskie słońce nie mogło się przecisnąć między masywnymi wiktoriańskimi katedrami handlu. Na parterze tej uliczki nie było biur ani kawiarni; okna magazynów były mroczne. Fabel zdawał sobie sprawę, że jego kroki rozbrzmiewają na pustej ulicy głośnym echem. Omal nie minął numeru, który podał mu Mahmut. Nieduży szyld oznajmiał, że magazyn zajmowała firma Klimenko International. Do wnętrza prowadziła duża, łukowa brama bez okna. Fabel przekręcił okrągłą żelazną klamkę i pchnął: otwarte. Wszedł do przestronnego magazynu z rzędami filarów z cegły i żelaza, podpierających górne kondygnacje. Pomieszczenie musiało mieć blisko dziewięć metrów wysokości, a Fabel ocenił, że całkowita powierzchnia magazynu przekraczała czterysta metrów kwadratowych. Magazyn był pusty, z wyjątkiem znajdującego się w głębi kantorka na podwyższeniu. Panował mrok. Tylko jedna z wielu podwieszonych świetlówek się paliła; okna w głębi, przypominające raczej przeszklone bramy, były pokryte grubą warstwą brudu, który redukowało światło letniego wieczoru do mrocznej, pomarańczowej poświaty. Drzwi zamknęły się za nim z łoskotem, który rozbiegł się echemi po magazynie. Fabel drgnął. Jeśli ktokolwiek tu był, to skutecznie oznajmił mu swoje przybycie.

Wyciągnął walthera i zarepetował. Zlustrował wzrokiem wnętrze, wypatrując oznak ruchu za filarami, chociaż były tak wąskie, że człowiekowi trudno byłoby się za nimi ukryć. Jeśli ktokolwiek znajdował się w magazynie, musiał kryć się w kantorku lub za nim. Fabel ruszył w prawo, przywierając do ściany, aby jak najmniej narażać się na ostrzał. Uniósł broń i trzymał ją oburącz na linii wzroku. Powoli przesuwano się wzdłuż ściany, aż znalazł się na wysokości kantorka. Z palcem na spuście zdecydowanie wychylił się w bok, żeby zajrzeć za konstrukcję. Nikogo. Nieco rozluźniając ręce, szybko podszedł do kabiny. Plecy oparł o ścianę. Ceglany podest, na którym stał kantor, sięgał mu do pasa, więc domyślał się, że głowę ma nad

poziomem podłogi. Przywarł do ściany, ale nie usłyszał niczego. Ostrożnie ruszył do schodków i wspinał się na nie powoli, nie przestając celować w drzwi. Z wnętrza nie dobiegał żaden odgłos. Właśnie położył dłoń na klamce, kiedy poczuł zimy, twarde wylot lufy na karku.

- Proszę, panie Fabel. Żadnych gwałtownych ruchów... - Kobięcy głos mówił po niemiecku z silnym akcentem. - Proszę zdjąć palec ze spustu i unieść broń nad głowę. - Fabel spełnił polecenie i poczuł, jak ktoś odbiera mu walthera szybkim, płynnym ruchem. Wpatrywał się w luszczącą się zieloną farbę na drzwiach, zastanawiając się, czy to będzie ostatni obraz zarejestrowany przez jego mózg. Myśli przelatywały mu przez głowę z zawrotną szybkością, rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie strategie negocjacyjne, jakich uczono go na szkoleniach. Wtedy drzwi kantorka się otworzyły. Przed Fablem stanął niski, krępy mężczyzna pod siedemdziesiątkę. Rozpoznał słowiańskie rysy twarzy. Przede wszystkim jednak poznał przenikliwe, jarzące się zielone oczy człowieka, który zaatakował go w mieszkaniu Angeliki Blum.

Piątek, 20 czerwca, 21.10. St Pauli, Hamburg

Kiedy MacSwain otworzył drzwiczki srebrnego porsche od strony pasażera, Anna jakby od niechcienia zerknęła na ulicę. Sfatygowany żółty mercedes stał około dwudziestu metrów z tyłu, a za przednią szybą Anna dostrzegła nieznaczny ruch. Jej koledzy byli na pozycji. Uśmiechnęła się do MacSwaina i wsiadła do samochodu. Na skórzanym tylnym siedzeniu ujrzała duży wiklinowy kosz. MacSwain zajął miejsce za kierownicą i pochwycił jej pytające spojrzenie.

- A, to? - Uśmiechnął się znacząco. - Postanowiłem zabrać cię na piknik.

Uśmiech Anny miał sugerować, że jest zaintrygowana i rozluźniona, ale głęboko we wnętrzościach poczuła zaciskający się węzeł: kosz piknikowy sugerował odległe miejsce. Im dalej się wybiorą, tym trudniej będzie policjantom asekurującym Annę śledzić ich bez zwrócenia na siebie uwagi. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się przed sprawdzeniem w bocznym lusterku, czy obstawa trzyma się za nimi.

- A więc dokąd jedziemy? - spytała zaintrygowanym tonem.

- To niespodzianka - odparł MacSwain z uśmiechem, nie odrywając wzroku od jezdni.

Anna siedziała półobrócona, patrząc na profil MacSwaina. Cała jego postać emanowała luzem i swobodą, w przeciwieństwie do niej, napiętej jak stalowa sprężyna.

Anna powtarzała w myślach zdanie *Niezbyt dobrze się czuję*, jakby chciała się upewnić, że jest pod ręką.

Wyjechali z St Pauli na wschód, potem skręcili na południe.

Niezbyt dobrze się czuję: Anna traktowała te słowa jak swego rodzaju mantrę.

Piątek, 20 czerwca, 21.05. Speicherstadt, Hamburg

Fabel miał rację: za filarami nie było dość miejsca, by mógł się tam ukryć mężczyzna. Było jednak wystarczająco dużo miejsca dla szczupłej, zwinnej kobiety o złocistych włosach; taka strategiczna pozycja pozwalała jej znaleźć się po kilku szybkich, bezgłośnych krokach obok każdego, kto próbowałby sięgnąć do drzwi kantoru.

Lęk Fabla ustąpił nieco, kiedy, natychmiast po tym jak go rozbrojono, ucisk lufy na szyi zelżał. Spojrzawszy obok stojącego w drzwiach Słowianina, zobaczył siedzącego w biurze Mahmuta. Bynajmniej nie wyglądał na wyluzowanego, a po prawej stronie czoła miał siniak. Jednak poza tym nic mu chyba nie dolegało. Słowianin odsunął się na bok, żeby przepuścić nadkomisarza. Jeśli Fabel zamierzał zrobić jakiś ruch, to musiał zrobić go teraz. Nie miał jednak żadnej szansy.

Słowianin jakby czytał w jego myślach.

- Niech pan nie robi nic gwałtownego, panie Fabel. - Akcent pasował do twarzy. Fabel zastanawiał się, czy ma przed sobą członka ukraińskiej Elity, czy patrzy w twarz Wasyla Witrenki. - Nie chcemy zrobić krzywdy ani panu, ani pańskiemu koledze.

- W porządku, Janie - zawołał z głębi biura Mahmut. - To są jakby gliniarze... Nie ściągnałbym cię tu, gdybym myślał, że coś ci grozi.

Słowianin wskazał dłonią na krzesło obok Mahmuta.

- Proszę usiąść, panie Fabel. - Kiedy ten usłuchał, mężczyzna powiedział do dziewczyny po niemiecku: - Martina, proszę oddać broń nadkomisarzowi.

Dziewczyna sprawnie wyjęła magazynek z pistoletu, po czym oddała Fablowi oba przedmioty oddzielnie. Fabel wsunął walthera do kabury, a magazynek do kieszeni. Zauważył, że dziewczyna miała taki sam typ pistoletu, jaki Hansi Kraus

znalazł na opuszczonym basenie. Z tą różnicą, że ten nie był grawerowany.

- Nic ci nie jest? - zwrócił się do Mahmuta. Mahmut skinął głową. - Przepraszam cię za to, Janie, ale według mnie powinieneś usłyszeć, co oni mają do powiedzenia. Uważają, że poszukują tego samego gościa, co ty. Obserwują cię już od pewnego czasu, a za mną poszli po naszym ostatnim spotkaniu na promie.

Nadkomisarz zwrócił się do Słowianina, którego uśmiech nie obejmował zimnych zielonych oczu.

- Należycie do jakichś rosyjskich służb? Jeśli tak, to czemu nie działacie na drodze oficjalnej? Muszę was uprzedzić, że naruszyliście kilka niemieckich praw federalnych... po pańskiej napaści na mnie miasto roi się od policjantów, którzy pana szukają...

Mahmut odwrócił się szybko na krześle z zamiarem wstania. Blondynka uczyniła w jego stronę ruch pistoletem, nakazując mu, by pozostał na miejscu.

- Napadnięto na ciebie? Fabel przytaknął.

- Twoi nowi przyjaciele nie są tak słodcy, jak ci się zdaje.

- Za to również pana przepraszam - powiedział Słowianin. - Nie mogłem jednak pozwolić sobie na... komplikacje związane z zabranie mnie na komendę. Na pewno docenia pan fakt, że gdybym tylko chciał, mógłbym wyrządzić panu prawdziwą, trwałą krzywdę. Zignorował te słowa.

- Kim pan jest? Dla kogo pan pracuje?

I tym razem uśmiech Słowianina nie objął oczu.

- Na obecnym etapie moje nazwisko jest nieistotne. Moja koleżanka - skinął głową w stronę złotowłosej dziewczyny - i ja jesteśmy oficerami ukraińskiej policji antyterrorystycznej *Berkut*.

- Ukraińska służba specjalna?

- Nie... To byłaby SBU, Służba Bespeky Ukrainy, która, niestety, też ma chyba w tym dramacie pewną rolę do odegrania.

- A co te morderstwa mają wspólnego z terroryzmem?

- Bezpośrednio? Nic. Wszystko panu wyjaśnię w swoim

czasie. Wiele spraw wymaga wyjaśnienia, a mój niemiecki jest ograniczony, dlatego proszę pana o cierpliwość. Przed wszystkim uważam, że obydwaj skorzystalibyśmy na wymianie informacji.

Fabel spojrział twardo na swego rozmówcę. Mimo silnego akcentu niemiecki tamtego był całkiem niezły.

- Co pan robił w mieszkaniu Angeliki Blum? Co pan robił na miejscu zbrodni w St Pauli?

- Jak zauważył pański przyjaciel, interesuje nas ta sama sprawa. Przed śmiercią pani Blum badała pewne transakcje na rynku nieruchomości, w których uczestniczyła Grupa Eitel, czy tak?

Fabel niezobowiązująco wzruszył ramionami.

Słowianin uśmiechnął się. - Beneficjentem tych transakcji było konsorcjum Klimenko International z siedzibą w Kijowie. Obecnie znajdujemy się w pomieszczeniach, które całkiem niedawno firma ta zwolniła.

- Czy te transakcje były nielegalne? - spytał Fabel. Słowianin machnął lekceważąco ręką. - Z prawnego punktu widzenia? Pewnie tak. Opierały się na informacjach przekazywanych Klimence przez oficjalne źródła w rządzie hamburskim, w sposób może bardziej pełny, niż życzyłyby sobie władze.

- Niech zgadnę: te transakcje oscylowały wokół projektu Neuer Horizont?

- Jest pan być może lepiej zorientowany w sytuacji, niż przypuszczałem. Tak, panie Fabel, ma pan rację. Wokół Hamburga leżą nieruchomości, które same w sobie przedstawiają niewielką wartość rynkową. Kiedy jednak podaje się do wiadomości, że dany obszar ma zostać poddany renowacji lub rozwojowi, wartość gruntu, na którym stoi taka nieruchomość, znacząco wzrasta.

- Czyli Klimenko International i Neuer Horizont dążą do zbitcia fortuny na kupowaniu tanio i wcześniej.

- Taki był plan. Powiem panu coś, czego nigdy więcej nie powtórzę i czego nigdy nie zdoła pan udowodnić. Klimenko International to przykrywka dla mojego rządu. Ukraina jest biednym krajem, panie Fabel. Ma jednak możliwości, by stać

się bardzo zamożną i wpływową częścią Europy. Są ludzie, którzy użyliby wszelkich - naprawdę wszelkich - dostępnych narzędzi lub broni, aby ten cel osiągnąć. Firma Klimenko International była jednym z takich narzędzi. Aby odpowiedzieć na pańskie pytanie... do mieszkania pani Blum udałem się, by sprawdzić, czy znajduje się tam coś, co mogłoby rzucić złe światło na mój rząd, albo coś, co mogłoby mi pomóc w wypełnieniu mojej misji tutaj. Wkrótce przedstawię panu cele tej misji. Liczyłem na to, że pańscy ludzie mogli przeoczyć pewne dokumenty bądź informacje, które, nie wiążąc się bezpośrednio z zabójstwem, mogłyby jednak dotyczyć operacji Klimenki. Nie doceniłem pana.

- To nie była wyłącznie nasza robota. Ktokolwiek zabił Angelikę Blum, wymazał zawartość jej komputera oraz jak podejrzewamy, wyniósł materiały z jej mieszkania.

Słowianin spojrzał na Fabla pustym wzrokiem, przesunął dłonią po siwych, przyciętych krótko włosach, po czym mówił dalej silnie akcentowaną, ale gramatycznie nienaganną niemczyzną.

- Odgrywa tu też rolę trzeci element. Częściowo już pewnie zdaje pan sobie z niego sprawę. - Przerwał na moment, jakby chciał podkreślić wagę informacji. - Tutejszym przedstawicielem firmy Klimenko był Pawło Klimenko, przypuszczalny szef konsorcjum. Klimenko jest w istocie oficerem tajnej służby SBU i ma za sobą imponującą karierę wojskową. Na nieszczęście dla osób stojących za tym „przedsięwzięciem”, od pewnego już czasu wchodzi tu w grę także inne interesy. Czy znane jest panu nazwisko Wasyla Witrenki?

Fabel przytaknął.

- Podobno kieruje nową ukraińską grupą przestępczą, która przejmuje działalność wszystkich dotychczasowych grup w mieście.

- Wasyl Witrenko jest - był - pułkownikiem *Berkut*. Witrenko ma za sobą służbę, za którą jedni darzą go nieledwie czcią, inni natomiast uważają za potwora. Za diabła. W innym miejscu i czasie polecono mi odnaleźć Witrenkę i zapobiec jego

najgorszym wybrykom. Witrenko zgromadził wokół siebie dziesięciu swych dawnych podwładnych - oficerów, którzy służyli pod jego rozkazami w Czeczenii lub Afganistanie, bądź w obu tych krajach - z których każdy dał dowody niezwyklej odwagi i niespotykanego okrucieństwa. Wszyscy ci oficerowie pozostają niezachwianie lojalni wobec Witrenki. Co więcej, Witrenko obiecał, że każdego z nich uczyni milionerem. Jest już zresztą bliski spełnienia tej obietnicy. Jednym z tych oficerów był major Pawło Klimenko.

- Czyli Witrenko podprowadził wam wasz krętacki mały plan?
- Fabel zaśmiał się gorzko.

Zielone oczy błysnęły w słabym sztucznym świetle kantoru.

- Zgadza się, nadkomisarzu. Ale zanim popadnie pan w samouwielbienie, przypomnę, że również pański rząd potrafi prowadzić ciemne interesy. Jaki cel przyświecał operacji, w której uczestniczył nieszczęsny pan Klugmann?

- Nie jestem upoważniony do rozmawiania z panem na ten temat.

- Nie? W porządku, wobec tego sam sobie odpowiem. Uważa pan, że pan Klugmann prowadził obserwację i zbierał informacje na temat Wasyla Witrenki i jego grupy. Czy tak?

Fabel wzruszył ramionami i przytaknął.

- Nieprawda. Wasz człowiek miał tylko jedno zadanie: kontaktować się i negocjować z Wasylem Witrenką. Klugmann był oficerem BND, który miał do zaoferowania układ. Pański rząd, wiedząc wszystko o morderczej przeszłości i przestępczej teraźniejszości Witrenki, gotów jest zapewnić mu nietykalność i zaoferować lukratywny interes.

- Dlaczego, na Boga, niemiecki rząd federalny miałby robić interesy ze znanym przestępcą?

- Z powodu 11 września.

- Co?!

- Ośmiu z dziesięciu zamachowców-samobójców, którzy dokonali ataku na World Trade Center w NowymJorku, tuż przed zamachem mieszkało w Hamburgu lub przejechało przez to miasto. Stało się to powodem poważnego zakłopotania rządów, zarówno miejskiego, jak i federalnego. Krótko mówiąc,

wy, Niemcy, zrobilibyście wszystko, żeby pomóc Amerykanom. Im zaś potrzebna jest każda pomoc, jaką mogą uzyskać. Wasyl Witrenko to bardzo inteligentny i wykształcony człowiek; jest także czołowym specjalistą do spraw afgańskiego i islamskiego terroryzmu. CIA dała BND jasno do zrozumienia, że byłaby wielce zobowiązana, gdyby BND wybrała dla nich Witrenkę. Pański kolega Klugmann miał rozpocząć negocjacje w mieszkaniu, w którym zamordowano tę dziewczynę.

Nadkomisarz popatrzył na Słowianina, potem na złotowłosą dziewczynę. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy pragmatyzm i „nadrzędne dobro” brały górę nad prawem. Słowianin patrzył na niego beznamyślnie, dając mu czas na odpowiedź. W końcu Fabel powiedział:

- Przecież jedynym kontaktem Klugmanna w nowej grupie ukraińskiej był ktoś o imieniu Wadim. Poza nim nie kontaktował się z nikim.

- Nieprawda. Powinien pan zadać sobie pytanie, skąd posiada pan tę informację i czy tamtym byłoby na rękę wprowadzenie pana w błąd. Wadim - Wadim Redczenko - istotnie jest jednym z ludzi Witrenki, a Klugmann pewnie kontaktował się z nim jako z głównym pośrednikiem. Jednak wasz agent trzykrotnie spotkał się z samym Witrenką. Rezultatu ich rozmów mogą się tylko domyślać, ale dowody decyzji Witrenki są raczej krwawe.

- Twierdzi pan, że to właśnie on popełnia te potworne morderstwa?

- Jestem o tym przekonany, panie nadkomisarzu.

Piątek, 20 czerwca, 21.25.
Altona, Hamburg

Anna prowadziła z MacSwainem swobodną pogawędkę, ale jej spojrzenia rzucane przez boczną i przednią szybę porsche były jak liny ratunkowe, które zaczepiała na mijanych znakach drogowych czy charakterystycznych punktach krajobrazu. Zmierzali w kierunku Łaby. Dokąd on ją, u licha, wiózł?

- Jestem zaintrygowana - powiedziała Anna, starając się, by zabrzmiało to jak kokieteria.

MacSwain uśmiechnął się tajemniczo. - Przygotowałem dla ciebie coś wyjątkowego, Saro. Obiecuję, że tego nie zapomnisz...

Na dźwięk słów MacSwaina w słuchawce Paul Lindemann zagryzł wargi. Odwrócił się do Marii, siedzącej obok niego z tyłu furgonetki.

- To mi się wcale nie podoba.

- Jak dotąd nie powiedziano ani nie zrobiono nic, co by sugerowało, że powinniśmy interweniować. Anna potrafi o siebie zadbać. Siedzimy im na ogonie. Spróbuj się rozluźnić.

Nic w spojrzeniu, jakie Paul posłał Marii, nie wskazywało na to, by jej komentarze go przekonały czy uspokoiły. Przyłożył do ust mikrofon i wezwał obydwie wozy obserwacyjne, by się zameldowały. Oba potwierdziły, że mają dobry i bliski kontakt wzrokowy z obiektem.

- Obiekt właśnie skręcił w Helgolander i kieruje się na południe - doniósł przez radio głos z samochodu na przedzie. - Wydaje się, że jedziemy w stronę Landungsbrucken...

Paul mocniej ścisnął radio, jakby chciał z niego wydusić pomyślniejsze wieści.

- Kastor cztery-jeden do Kastora cztery-dwa... - zwrócił się

pierwszy samochód do drugiego. - Zjeżdżam do tyłu. Przejmij prowadzenie. Kastor cztery-cztery... - zwrócił się do jednego z motocyklistów. - Zobacz, czy uda ci się go wyprzedzić i znaleźć się przed nim na Landungsbrücken...

Cisza.

- Kastor cztery do Kastor cztery-cztery... - Cierpliwość Paula była na wyczerpaniu: - Melduj...

- Skręciliśmy w Landungsbrücken... - Policjant urwał, a potem dodał zaskoczonym tonem: - Zmierzamy chyba do Baumwall i Niederhafen... albo Hanseboothafen... obiekt znajduje się na Johannisbollwerk.

Anna poczuła, jak węzeł w jej wnętrznościach jeszcze bardziej się zaciska. MacSwain skręcił z głównej drogi prowadzącej do portu na most pontonowy, który oddzielał zatoki Niederhafen i Schiffbauerschaft, z miejscami do cumowania dla wystawców i gości Pokazu Jachtów Hanseboot. Zaparkował porsche, przeszedł na drugą stronę i otworzył Annie drzwiczki. Przez chwilę siedziała bez ruchu. Słyszała skrzypienie i podzwanianie otaczającego ją lasu masztów jachtowych.

- Chodź - powiedział MacSwain bez zniecierpliwienia. - Chcę ci coś pokazać.

Wysiadłszy z samochodu, Anna mimowolnie zadrżała, choć wieczór wcale nie był chłodny. MacSwain nie zwrócił na to uwagi, ponieważ właśnie sięgał na tylne siedzenie po kosz piknikowy. Zatrzasnął drzwiczki, potem pozamykał zamki i pilotem włączył alarm. Trzymając kosz w jednej ręce, drugie ramię podsunął Annie. Wzięła go pod rękę z uśmiechem. Ruszyli pomostem molo w stronę Uberseebriicke. Nagle MacSwain zatrzymał się przy niewielkiej, ale lśniącej i kosztownej łodzi motorowej.

- Jesteśmy na miejscu... jest mała, ale wygodna i szybka. Długość dziewięć metrów trzydzieści centymetrów. Ponad trzy metry szerokości.

Anna stała, wpatrując się w łódź. Była nieskazitelnie biała, z pojedynczym niebieskim pasem na dziobie. Pod względem

prestżu i elegancji stanowiła pływający odpowiednik porsche MacSwaina.

- Piękna... - Głos Anny zabrzmiał głucho. Nie miała najbledszego pojęcia, co teraz powinna zrobić.

- Cholera! On ma łódź! - Paul wpatrywał się w Marię szalonym wzrokiem. - Jeśli Anna wejdzie na pokład, a on wypłynie, to ich zgubimy. Nie przypuszczaliśmy, że może mieć łódź. Dzwonię do zespołu, żeby ją zdjeli...

Maria zmarszczyła brwi. - To będzie koniec całej operacji. Nie mamy podstaw do aresztowania... nie zrobił nic złego. Pozbawimy tylko Annę anonimowości i ostrzeżemy MacSwaina, że jest podejrzany. Poza tym Anna jeszcze nas nie wezwała.

- Chryste, Mario... jeśli on wypłynie z przystani, Anna straci wszelką ochronę. Nie możemy jej tak narażać... - Chwycił radio, ale Maria powstrzymała jego rękę.

- Poczekaj, Paul. Możemy powiadomić policję wodną, a może nawet helikopter. Znajdujemy się dokładnie pomiędzy komisariatami wodniaków na Landungsbrücken i w Speicherstadt... W ciągu kilku minut możemy tu ściągnąć ich wsparcie. Zwołaj naszych ludzi, ale niech pozostają w ukryciu. Jeśli nabierzemy podejrzeń, że Anna jest w niebezpieczeństwie, pošemy naszych, zanim MacSwain zrobi ruch. - Zdecydowanym ruchem otworzyła telefon komórkowy. - Dzwonię do policji wodnej.

W myślach Anny panował chaos. Pojawił się element, jakiego nie uwzględniła w swoim planie. Pustym wzrokiem patrzyła na aerodynamiczne kształty łodzi motorowej, jakby miała przed sobą naładowaną i wycelowaną broń. Opuściła gardę, co MacSwain natychmiast zauważył.

- Saro? Czy coś się stało? Miałem nadzieję, że łódź zrobi na tobie wrażenie...

Głos MacSwaina zmusił Annę do wzięcia się w garść.

Odwróciła się do niego i powiedziała słabym głosem:

- Przepraszam, po prostu nie przepadam za łodziami.

- Co takiego? - spytał MacSwain, przesadnie akcentując zaskoczenie. - Przecież pochodzisz z Hamburga, prawda? Masz morze we krwi! - Zwinnie wspiął się po metalowej drabince, trzymając kosz w wolnej dłoni. Postawił go na pokładzie i pomógł wejść Annie.

- Nie... naprawdę, John... Na wodzie robi mi się niedobrze. Zaczynam się bać...

MacSwain uśmiechnął się, a zielone oczy zamigotały w słabym świetle.

- Nic ci nie będzie. Chodź i sprawdź jej rozmiary. Nawet nie uruchomię silnika. Jeśli nie będziesz zadowolona, pojedziemy do miasta coś zjeść... Po prostu pomyślałem, że będzie miło patrzeć na światła miasta z wody.

Anna podjęła decyzję.

- Zgoda. Ale jeśli to mi się nie spodoba, pojedziemy gdzieś indziej. Umowa stoi?

- Stoi...

W furgonetce dowodzenia Paul spojrzął twardo na Marię i powiedział:

- Dzwon do Fabla.

Piątek, 20 czerwca, 21.30. Speicherstadt, Hamburg

- Służyłem w randze majora w oddziałach radzieckiego ministerstwa spraw wewnętrznych, MWD Kondor. Amerykanie dostarczali rebeliantom najbardziej zaawansowane rodzaje broni, a wojna w szybkim tempie zamieniała się w radziecki Wietnam. To był rozpaczliwy okres. Walczyliśmy agresywnie, ale coraz większa liczba naszych chłopców wracała w plastikowych workach. Co gorsza, wielu z nich znikало bez śladu. Stało się oczywiste, że nie wygrywamy tego konfliktu, a postawy ulegały radykalizacji. - Słowianin wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów z napisem cyrylicą; podsunął ją najpierw Fablowi, potem Mahmutowi. Obydwaj potrząsnęli głowami. Tamten wzruszył ramionami, wyciągnął z paczki papierosa bez filtra i wsunął między wargi. Z kieszeni wydobył ciężką chromowaną zapalniczkę, na której Fabel dostrzegł jakiś herb z orłem. Kiedy zapalił i zaciągnął się mocno, tytoń cicho zaskwierczał.

- Nie jestem dumny z tego, co działo się w tamtych mrocznych czasach, panie Fabel, ale wojna to wojna. Niestety, agresja pociąga za sobą odwet. W Afganistanie odwet przybierał coraz skrajniejsze formy. Po obu stronach.

Słowianin silnie wydmuchnął dym i ciągnął dalej:

- Z powodu samej liczby dostarczonych przez Amerykanów pocisków ziemia-powietrze, wsparcie i dostawy drogą powietrzną stały się praktycznie niemożliwe. Całe oddziały zostawały odcięte. Po prostu porzucano ludzi, żeby przedzierali się na własną rękę albo dostawali się do niewoli oszalałych fanatyków. Jednym z takich odciętych oddziałów był MWD Kondor Specnazu.

- Dowodzony przez Witrenkę?

Słowianin wskazał papierosem w kierunku Fabla; na podłogę

spadł wałeczek szarego popiołu.

- Właśnie... - Przerwał. - Teraz powinienem chyba powiedzieć coś panu o szczególnych umiejętnościach pułkownika Witrenki. Dowodzenie jest darem. Dowodzenie ludźmi podczas bitwy to jak bycie ich ojcem. Trzeba sprawić, by darzyli pana pełnym, całkowitym zaufaniem, by wierzyli, że tylko pan potrafi poprowadzić ich ku światłu i bezpieczeństwu, że jedynie pan może ich ochronić. A jeśli nie może ich pan ochronić i nadchodzi dla nich czas umierania, muszą wierzyć, że wybrał pan dla nich jedyne godne i właściwe miejsce na śmierć... że przetrwanie i życie gdzie indziej równałoby się zdradzie. Wszystko to oznacza, że najistotniejsze talenty dowódcy mają charakter nie tyle wojskowy, ile psychologiczny. Wasyl Witrenko jest wybitnym dowódcą. W dzieciństwie ujawnił nietuzinkowy, potężny intelekt. Niestety, stwierdzono też u niego pewne potencjalnie kłopotliwe cechy osobowości. Ponieważ przyszedł na świat w rodzinie o tradycjach wojskowych, uznano, że te dziwactwa najlepiej będzie ująć w karby w służbie wojskowej.

Kolejne długie zaciągnięcie się papierosem.

- Witrenko istotnie wyróżniał się jako żołnierz i wkrótce stwierdzono u niego wybitne zdolności przywódcze. Potrafił skłonić ludzi do robienia rzeczy, o które by się nie podejrzewali... rzeczy wyjątkowych. Mniej podobała się władzom jego pozycja osoby nieledwie kultowej. Propagował filozofię „odwiecznego żołnierza”... ludzie pod jego dowództwem postrzegali siebie jako spadkobierców długiej linii wojowników, sięgającej dwa tysiące lat wstecz. - Słowianin pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Dym z papierosa otoczył jego mały, okrągły podbródek i wzniósł się wzdłuż policzka; wąskie zielone oczy zmrużyły się. - Pański zabójca. On posiada szlachetną misję, czyż nie? Uważa się za wikinga, który nawraca swój lud na prawdziwą nordycką wiarę?

Fabel poczuł ucisk w piersiach, słysząc niemal dokładne powtórzenie opisu, jaki przedstawił mu Dorn.

- Tak... ale skąd... Słowianin mu przerwał.

- I dlatego szuka pan Niemca albo kogoś ze Skandynawii?
- Cóż, to prawda...
- Rozczarowuje mnie pan, panie Fabel. Studiował pan historię średniowiecza, tak?
- Fabel przytaknął.
- Do czego pan zmierza?
- Spodziewałem się po panu szerszych horyzontów... zarówno w sensie geograficznym, jak i historycznym.
- Olśnienie trafiło Fabla jak silne uderzenie w pierś.
- Psiakrew... - Rzucając nerwowo oczami, przetwarzał teraz informacje, wydobyte z jakiegoś głębokiego zakamarka pamięci. - Ruś Kijowska...
- Zgadza się, panie Fabel. Ruś Kijowska. Założyciele Kijowa i Nowogrodu, którzy dali też nazwę Rosji, nie byli jednak Słowianami.

Nadkomisarz poczuł to samo uniesienie, jakie towarzyszyło mu w gabinecie Dorna. Oto ono - ostatnie brakujące ogniwo. Związek między elementem ukraińskim a resztą łamigłówki.

- Nie - zgodził się. - Nie byli. Byli Szwedami. Szwedzkimi wikingami.

- Otóż to. Popłynęli w górę Wołgi, zakładając nadbrzeżne faktorie i miasta w strategicznych punktach. Wojownicy. Właśnie z tej tradycji Witrenko czerpał natchnienie dla swojej quasi-religijnej filozofii żołnierstwa. Swoim podwładnym wpoił przekonanie, że są spadkobiercami tradycji wojowników, sięgającej czasów wikingów z Rusi Kijowskiej. Dzięki niemu uwierzyli, że to, o co walczą, nie ma większego znaczenia: liczy się sama walka, braterstwo broni i akty indywidualnej oraz zbiorowej odwagi... Mogli być żołnierzami sowieckimi, najemnikami, mogli nawet walczyć dla Zachodu... Witrenko zaszczerpił im przekonanie, że jedyną niepodważalną i niepodzielną prawdą jest wojna. Przypuszczam też, że ubarwił tę filozofię na wpół mitycznym kodeksem wikingów. W rezultacie więź, jaka łączyła go z jego ludźmi, wykraczała poza wszelkie definicje lojalności... to było całkowite oddanie i poświęcenie. Był - i jest - zdolny namówić ludzi do najokrutniejszych nawet zbrodni. Potrafi ich skłonić do tego,

by bez chwili wahania oddawali za niego życie. - Słowianin popatrzył na podłogę, potem roztargnionym gestem strzepnął na nią popiół. Posłał Fabelowi najbardziej szczere i nieugięte spojrzenie, jakie dane mu było oglądać. - Nie jestem w stanie opisać surowej, totalnej władzy, jaką Witrenko potrafi mieć nad ludźmi... ani przerażających czynów, do jakich jest zdolny. - Fabel odniósł wrażenie, że Słowianin jest coraz bardziej wyczerpany; jak gdyby kończyły się resztki energii zmagazynowanej w masywnych, kanciastych ramionach.

- Rozumiem, to wszystko mogło kazać panu podejrzewać Witrenkę o popełnienie tych morderstw, ale pan twierdzi, że wie, iż on jest mordercą. Skąd ta pewność?

Słowianin wstał i podszedł do jednego z szerokich, niskich okien. Fabel wiedział, że choć tamten wpatrywał się w ciemną pustkę magazynu, to w istocie patrzył na coś w innym miejscu i czasie.

- Jak już powiedziałem, oddział Witrenki został odcięty na terytorium rebeliantów, bez wsparcia z powietrza. „Odcięcie” to terminologia wojny konwencjonalnej, ale to było wszystko, tylko nie wojna konwencjonalna. Aby wrócić na terytorium kontrolowane przez naszych, musieli się przedrzeć przez dolinę opionowaną przez rebeliantów. Przejście z jednego jej końca na drugi zajęło im dziesięć dni; pod osłoną nocy szybko przebiegali krótkie odcinki od jednej kryjówki do następnej. Każdej nocy ginęli ludzie... lub co gorsza, niektórzy odnosili rany i wpadali w ręce rebeliantów. Ci, którzy przetrwali, unieruchomieni w ciągu dnia w ukryciu, słyszeli krzyki swoich towarzyszy torturowanych przez mudzahedinów. To mogłoby złamać ducha najbardziej oddanego i lojalnego żołnierza. Jednak w tamtej dolinie coś zaszło między Witrenką a jego ludźmi: została wykuta nierozzerwalna więź.

Słowianin odwrócił się od okna, wsunął do ust nowego papierosa i pstryknął zapalniczką.

- Z liczącego ponad stu ludzi oddziału na drugi kraniec doliny dotarło około dwudziestu. Kilku było rannych. Tych odesłano na tyły, ale Witrenko z pozostałymi ludźmi, zamiast wrócić na terytorium radzieckie, tylko nieznacznie oddalili się od doliny,

po czym pod osłoną nocy zawrócili. Mudżahedini oczywiście nie spodziewali się ich powrotu. Witrenko i jego ludzie zagrali z rebeliantami w ich własną grę: ruszyli w góry i osaczali każdą napotkaną grupę mudżahedinów. Zawsze zabijali wszystkich wziętych do niewoli jeńców prócz jednego. Tego bestialsko torturowali w celu wyciągnięcia informacji, potem przybijali do krzyża i zostawiali. Ukrzyżowany był godzinami, zanim umarł. Początkowo rebelianci próbowali odbijać ofiary, ale Witrenko rozmieszczał snajperów, którzy strzelali do odsieczy. Po stratach poniesionych podczas takich prób mudżahedini nauczyli się żyć z krzykami ukrzyżowanych towarzyszy. Witrenko i jego ludzie stali się bandytami wyjętymi spod prawa, poza jakąkolwiek kontrolą władz wojskowych. Dla zwyczajnych żołnierzy radzieckich w Afganistanie stali się bohaterami. Było tylko kwestią czasu, kiedy GRU - Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije - nasz podstawowy wywiad wojskowy - zacznie się irytować: wiedzieli, że Witrenko i jego ludzie zbierają ważne informacje, ale ich nie przekazują. Potem zaczęły napływać jeszcze bardziej ponure wiadomości. Donoszono o masowych mordach na terenach zajmowanych przez rebeliantów, o grabieżach i gwałtach.

- Nie przypuszczam, by to mogło razić wrażliwość radziecką w tym okresie - powiedział Fabel.

Ukrainiec poszukał na twarzy nadkomisarza śladów sarkazmu, ale ich nie znalazł.

- Ma pan rację. Jednak na tym etapie wojny cierpieliśmy na syndrom wietnamski: prowadziliśmy nierówną walkę, w której nasza przewaga liczebna, zaopatrzenie i technologia powinny były zapewnić nam łatwe zwycięstwo, a tymczasem spuszczano nam solidny łomot, więc desperacko szukaliśmy sposobu wycofania się z możliwie najmniejszym uszczerbkiem na honorze. Dlatego też w latach 1987 i 1988 władze radzieckie zaczęły nieco bardziej liczyć się z opinią świata. Działania Witrenki stawały się coraz bardziej... - Ukrainiec szukał odpowiedniego słowa - kłopotliwe. Wobec tego GRU wysłał mnie na czele dwóch oddziałów Specnazu z misją zlokalizowania oddziału Witrenki i ponownego przejęcia nad

nim kontroli.

- I zrobił pan to?

Ukrainiec oparł się o ścianę i zapalił kolejnego papierosa. Potem skinął na blondynkę, która podała mu żółtawą kopertę.

- Tak. W końcu zrobiłem. Witrenko i jego ludzie zostali odznaczeni za wyjątkową odwagę za linią nieprzyjaciela. - Rzucił kopertę Fablowi, który złapał ją niezręcznie. - Ale rzeczy, które napotkałem po drodze... Nie uwierzyłby pan. Jak się pan pewnie domyśla, napatrzyłem się w życiu na straszne rzeczy, ale tam czułem się, jakbym tropił samego diabła...

Piątek, 20 czerwca, 21.40. Polny Port, Hamburg

Dwóch funkcjonariuszy z grupy wsparcia nie miało możliwości zbliżenia się do łodzi motorowej na tyle, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Paul zatem zlecił to dwóm ludziom z MEK wyposażonym w ciemne stroje maskujące i hełmy. Jednemu z nich udało się podejść na tyle blisko, by móc skierować lufę hecklera & kocha na tors MacSwaina, który siedział na rufie i podawał Annie Wolff kieliszek wytrawnego wina.

W furgonetce Maria odebrała telefon z policji wodnej: wysłali motorówkę, która miała obserwować wyjście z Dolnego Portu na główny tor wodny Łaby. Gdyby MacSwain wypłynął na rzekę, z łatwością by go namierzyli i mogliby popłynąć za nim niezauważeni. Motorówka jednak nie byłaby w stanie dogonić łodzi MacSwaina. Maria poprosiła więc, żeby wysłano helikopter, który czuwałby w pobliżu. Mimo tych środków ostrożności Paul Lindemann nie przestawał marszczyć brwi. W dodatku Marii nie udało się dodzwonić na telefon komórkowy Fabla, który miał włączoną pocztę głosową. Dlaczego, do cholery, Fabel wyłączył komórkę, skoro powiedział, że mogą się z nim kontaktować przez całą noc?

Był późny wieczór, zrobiło się chłodno i Anną wstrząsnął mimowolny dreszcz, kiedy MacSwain podał jej kieliszek wytrawnego musującego wina.

- Chwileczkę...

MacSwain otworzył dwuskrzydłowe drzwiczki, pokryte okładziną imitującą boazerię. Za nimi znajdowała się schodnia prowadząca do małej, jasno oświetlonej kabiny. Kiedy odwrócił się do niej plecami, Anna powąchała wino i upiła mały łyk. Płyn

miał orzeźwiający zapach i smak niemieckiego szampana, ale Anna wiedziała, że rohypnol i GHB są praktycznie niewyczuwalne w napoju. Wzięła większy łyk i powtórzyła w myślach swoją cichą mantrę: Niezbyt dobrze się czuję.

MacSwain wrócił z ciemnoniebieską wełnianą kamizelką, którą zarzucił jej na ramiona.

- Możemy wejść do środka, jeśli jest ci zimno - powiedział.

Anna potrząsnęła głową. MacSwain uśmiechnął się i podał jej talerz, na którym leżał pasztet, chleb i sałatka śledziowa.

- Rozluźnij się trochę - powiedział. - Chcę ci coś pokazać. Wiem, że niezbyt dobrze czujesz się na łodzi, Saro, więc obiecuję płynąć powoli.

Spojrzał na Annę, jakby czekał na jej zgodę. Ta, podobnie jak MacSwain, nie widziała MEK-owców, którzy zajęli swoje pozycje, ale domyślała się - miała nadzieję - że kryli się w cieniu. Kluczową kwestią teraz było, czy Paul zdoła, czy nie, zapewnić jej krycie, gdy MacSwain wyprowadzi łódź z przystani.

Kusiło ją, by sprawdzić, czy w pobliżu znajdują się pontony, które mogłyby uratować jej życie, ale powstrzymała się i patrzyła tylko na MacSwaina.

- W porządku - powiedziała i skinęła głową. - Tak będzie dobrze.

To zdanie było przeznaczone dla uszu niewidzialnych słuchaczy.

Paul Lindemann wydał MEK-owcom polecenie, aby nie interweniowali. Maria uprzedziła funkcjonariuszy policji wodnej na motorówce, którzy mieli bezpośredni kontakt radiowy z resztą grupy, o wypłynięciu MacSwaina na rzekę.

Odcumowawszy łódź, MacSwain uruchomił silnik. Jego głęboki, niski ton zaniepokoił Annę, poczuła, jaka moc i szybkość kryje się w tym dudnieniu: Anglik dotrzymał obietnicy; powoli i ostrożnie wyprowadził motorówkę z przystani; zauważyła, że manewruje łodzią z niedbałą wprawą. Kiedy odwróciła głowę i spojrzała na oddalający się pomost, dostrzegła niewyraźny cień skulonej postaci podbiegającej chyłkiem do miejsca, skąd wypłynęli.

Przed nimi połyskiwała niezgłębiona, czarna jak obsydian Łaba obramowana światłami dalekiego nabrzeża, na którym znajdowała się stocznia. MacSwain ustawił łódź burtą do brzegu i wyłączył silnik. Potem nacisnął guzik na konsoli i Anna usłyszała nagły łoskot ciężkiego łańcucha, gdy kotwica pograżyła się w ciemnej wodzie. Silnik zamilkł i dotarł do niej plusk wody. Poczula się tak, jakby znalazła się na grzbiecie wielkiego zwierzęcia, którego skóra ocierała się o kadłub, kiedy wielkie cielsko falowało pod nimi. MacSwain zgasił światła.

- Czy to nie piękne? - spytał, wskazując kieliszkiem szampana odległy brzeg.

W innych okolicznościach Anna z pewnością uległaby romantycznemu nastrojowi; przed nimi migotały światła Hamburga, piękno miasta odbijało się w Łabie jak w zwierciadle.

- O tak... - powiedziała. - Naprawdę. Cieszę się, że mnie tu przywiozłeś.

- Kocham to miasto - powiedział MacSwain. - Czuję się tu jak w domu. Nie chcę stąd nigdy wyjeżdżać.

- Mówiłeś, że jesteś z Wielkiej Brytanii. Nie tęsknisz za... - Anna zastanawiała się przez chwilę, za czym Anglik mógłby tęsknić - ...deszczem? - dokończyła ze śmiechem.

MacSwain też się roześmiał.

- Wierz mi, w Hamburgu tak często pada, że człowiek nie musi tęsknić za wilgotnym klimatem. Nie, w Anglii nie ma niczego, za czym mógłbym tęsknić. Całą moją potrzebę brytyjskości z powodzeniem zaspokaja Hamburg... czasem rzeczywiście czuję się tu, jakbym mieszkał na wschodnim przedmieściu Londynu. Nie ma na świecie drugiego takiego miasta jak to. Za nic nie chciałbym stąd wyjechać.

Anna wzruszyła ramionami.

- Nie jestem związana z tym miastem. Twarz MacSwaina się ożywiła.

- Nie mogę tego zrozumieć. Mamy tylko jedno życie. Nie powinniśmy tracić cennego czasu. Dlaczego chcesz spędzić życie w mieście, które jest ci obojętne?

- To się chyba nazywa bierność: pozostawanie na miejscu

wymaga mniejszego wysiłku niż wyjazd. Chyba nie byłabym w stanie wykrzesać z siebie dość energii, aby uciec.

- To dobrze, Saro. Gdybyś to zrobiła, nie byłoby nas tutaj. - Usiadł obok niej. - Chciałbym pokazać ci twoje miasto widziane oczami przybysza. Jestem pewien, że twój stosunek do Hamburga by się zmienił. A przy okazji, może dałabyś mi szansę na lepsze poznanie ciebie.

Przysunął się bliżej. Anna poczuła lekki zapach wody kolońskiej. Spojrzała w zielone oczy, w których migotały iskierki, i przyjrzała się jego nieskazitelnie regularnym rysom twarzy. Nagle zwątpiła, by McSwain miał cokolwiek wspólnego z morderstwami; trudno jej było uwierzyć, że podał narkotyki dziewczętom, nad którymi znęcano się podczas orgii. MacSwain reprezentował klasyczny typ urody. Drogie ubranie nie skrywało doskonałych proporcji i muskularnej budowy jego ciała. Był uprzejmy, inteligentny i pewny siebie. Tacy mężczyźni ją pociągali. Ale kiedy zbliżył swoją twarz do jej twarzy i dotknął jej ust swoimi, Anna musiała opanować wzbierającą odrazę.

Piętnastometrowa łódź motorowa WS25 była najnowszym, ale niezdolnym do rozwijania najwyższej prędkości nabytkiem hamburskiej policji. Komisarz Franz Kassel kazał wyłączyć światła łamiąc przepisy, których przestrzegania sam na co dzień pilnował. Uniósł lornetkę i obserwował płynącą wzdłuż brzegu łódź MacSwaina. Mruknął coś do siebie, kiedy rozpoznał typ - to był Chris Craft 308 albo 328 Express Cruiser. Idealna łódź do rejsów. Szybka. Gdyby właściciel chciał, zostawiłby jego WS25, z jej prędkością maksymalną 22 km/h, daleko w kilwaterze, nawet tego nie czując. Na szczęście łódź MacSwaina nie była jednak szybsza od fal radiowych i radarowych. Gdyby MacSwain się nie zatrzymał, Kassel mógłby wezwać pomoc z któregoś z komisariatów rzecznych znajdujących się na całym odcinku wybrzeża aż do Cuxhaven. Z drugiej strony wiedział, że na pokładzie łodzi znajduje się funkcjonariuszka policji. A gdyby otrzymali, jak ich o tym uprzedziła przez radio starsza komisarz Klee, wezwanie o pomoc, właśnie szybkość stanowiłaby o różnicy między życiem

i śmiercią. Kassel wyglądał jak widmo: niewiarygodnie chudy, wysoki, z czerwonymi włosami i piegami, które wydawały się rezultatem dwudziestu lat spędzonych na słońcu i wilgotnym, słonym powietrzu zatoki. Opuścił lornetkę, która zawisała mu na szyi, zdjął czapkę z daszkiem noszoną przez WSP i przejechał kościstymi palcami po cienkich, suchych pomarańczowobrazowych włosach.

- Niegrzeczny chłopczyk - mruknął i sięgnął po radio.

Anna odsunęła się od MacSwaina, oparła mu dłoń na klatce piersiowej i odepchnęła go. Pchnięcie nie było silne, ale dostatecznie stanowcze, żeby zrozumiał, o co chodzi. Kiedy ich twarze się rozłączyły, Anna pamiętała o uśmiechu.

- Co się stało, Saro? - W głosie MacSwaina zabrzmiała troska, której nie było widać w jego zimnych, zielonych oczach.

- Nic... - powiedziała Anna. Potem dodała kokieteryjnie: - Nie chcę się spieszyć. Słabo cię znam. Właściwie wcale cię nie znam.

- I co z tego? - Spróbował ją pocałować jeszcze raz. Anna odsunęła się. Tym razem sposób, w jaki go odepchnęła, miał charakter bardziej rzeczowy.

Maria Klee odwróciła się do Paula Lindemanna, wciąż trzymając radiotelefon przy twarzy.

- Policjant z motorówki mówi, że jeśli chcemy, możemy zakończyć akcję, nie wzbudzając podejrzeń MacSwaina.

Oczy Paula zapłonęły żywym blaskiem.

- W jaki sposób?

- MacSwain bawi się w „Hamburg by night”. Gość z motorówki mówi, że MacSwain wyłączył światła pozycyjne. To wbrew przepisom; jest za blisko szlaków żeglugi i może stanowić zagrożenie. Na szczęście nasz wodniak zrobił to samo. Twierdzi, że może podpłynąć do łodzi MacSwaina, zanim tamten się zorientuje, odeskortować go do brzegu i wlepić mu mandat. MacSwain będzie miał zmarnowany wieczór, a Anna

znajdzie się na suchym lądzie.

- Co o tym sądzisz?

- Anna nie dała jeszcze sygnału, wzywającego nas na pomoc. Na razie nie zdobyliśmy żadnych znaczących informacji. Myślę, że powinniśmy jeszcze poczekać. Z drugiej strony gdyby MacSwain włączył nagle światła na łodzi, stracilibyśmy pretekst do interwencji. Decyzja należy do ciebie.

Piątek, 20 czerwca, 21.40. Speicherstadt, Hamburg

Niedopałek papierosa tlił się niebezpiecznie blisko warg Ukrainca; zacisnął je, gdy zaciągał się po raz ostatni. Ujął niedopałek kciukiem i palcem wskazującym, upuścił na podłogę i zgniół podeszwą buta.

Fabel wyjął z koperty kilkanaście fotografii. Kiedy spojrzął na pierwsze, serce szarpnęło mu się w piersi. Na trzech kolorowych zdjęciach widniała ta sama kobieta, sfotografowana w trzech różnych ujęciach. Miała rozcięty brzuch i wyrwane płuca. Fabel poczuł gorzki smak w ustach. Koszmar narastał. Zauważył, że dziewczyna o złotych włosach odwróciła się i spojrzała w małe okienko, wychodzące na pustkę magazynu. Najwyraźniej nie miała ochoty oglądać zawartości koperty. Ukrainiec machnął ręką, jakby zdjęcia nie były najważniejsze.

- Za chwilę o tym porozmawiamy - powiedział, dając Fabelowi do zrozumienia, aby obejrzał następne fotografie. Dziewczyna odwróciła się od okna. Kolejne zdjęcia zrobiono bez dodatkowego oświetlenia, z wykorzystaniem flesza, rzucającego plamę jasnego, ostrego światła. Paradoksalnie te amatorskie zdjęcia nadawały uwiecznionym na nich scenom szorstki realizm, tak odmienny od klinicznego obiektywizmu fotografii sądowych. Fabel patrzył z rosnącą odrazą na kolejne fotografie kobiet, niekiedy ledwie dziewcząt, okaleczonych w taki sam sposób. Przy czym Fabel nie miał złudzeń - poza kręgiem flesza, w mroku czały się obrazy większej ilości ofiar. Spojrzął na ostatnie zdjęcie.

- Słodki Jezu...

Patrzył z niedowierzaniem, nie mogąc pojąć, że coś tak strasznego jest możliwe. Dziewczyna, najwyżej siedemnastoletnia, została rozpięta na drewnianej ścianie.

Grube żelazne gwoździe, bardziej podobne do śrub, przebijały dłonie oraz skórę i mięśnie uniesionych ramion. Podobnie jak inne ofiary miała rozcięty brzuch w rytuale Krwawego Orła; różnica polegała na tym, że jej ciemne, ociekające krwią płuca zostały również przybite do ściany. Fabel czuł mdłości, żołądek podszedł mu do gardła. Ale jednocześnie nawykła do analizowania część jego umysłu zarejestrowała podobieństwo między tymi co tu widział a obrazami z wystawy Marlies Menzel. Nie zareagował, kiedy zdjęcie wysuwało mu się z dłoni, a kiedy upadło na podłogę obrazkiem do góry, dostrzegł w miejscu, gdzie dotykał papieru, wyraźne wilgotne ślady. Podniósł głowę i spojrzał na Ukrainca niemal błagalnie, jakby w nadziei na wyjaśnienie, które uczyni koszmar mniej strasznym.

- To była ostatnia wioska, do której dotarliśmy, zanim dogoniliśmy Witrenkę. Na tym terenie było mnóstwo rebeliantów, musieliśmy się przebijać, zanim dotarliśmy tak daleko. Nie byliśmy pewni, czy oddział Witrenki już tam dotarł, czy też miejsce to zajmowali rebelianci. Wyglądało na to, że to zwyczajna wioska, zamieszкана przez ludność cywilną, ale musieliśmy się upewnić. Spędziliśmy pół dnia w bezlitosnym słońcu. Pył i piasek zgrzytały nam w zębach. Wczesnym popołudniem wiatr zmienił kierunek, przynosząc z osady smród śmierci. Stało się wówczas jasne, że Witrenko tam był. Wysłaliśmy zwiad i wkrótce dostaliśmy wezwanie do podejścia. Kiedy zobaczyłem twarz dowódcy patrolu, wiedziałem już, czego się spodziewać.

Ukrainiec przerwał i ruchem głowy wskazał fotografię, leżącą u stóp Fabla.

- To była stodoła albo magazyn. Jeśli istnieje piekło, pewnie wygląda jak to, co znaleźliśmy w środku. Wszystkich mężczyzn zastrzelono, leżeli na kupie pośrodku klepiska. Przed rozstrzelaniem zostali związani. Potem zobaczyliśmy kobiety. Około dwudziestu, prawdopodobnie wszystkie z tej wioski, w różnym wieku - od dziewczynek po staruszki. Każdej rozpruto brzuch i wyrwano płuca, tak jak ofiarom na zdjęciach. Kilka zostało przybitych do ściany stodoły, wisiały tam jak eksponaty

na wystawie... - Ukrainiec zamilkł. Szukał odpowiedniego określenia do opisanie tej sceny. - Kolekcjonerzy motyli przyszpilają w ten sposób swoje okazy.

- Witrenko zamordował te kobiety? - spytał Fabel.

- Nie własnymi rękami. O to właśnie chodzi: inni wykonali za niego tę robotę. Witrenko ma do tego talent. Stworzył obrzydliwą galerię eksponatów, ale sam nie zabrudził rąk krwią. To było jak test... jak próba. Dzięki jej przejściu zabójcy czuli się rytualnie zespoleni z przywódcą.

- Zabili w ten sposób tylko kobiety? - spytał Mahmut, który do tej pory słuchał Ukrainca w milczeniu.

Mężczyzna skinął głową.

- Pamiętam, jak wysłany na zwiady dowódca patrolu powiedział, że przynajmniej mężczyźni mieli lżejszą śmierć. Ale jak sobie potem uświadomiliśmy, wcale tak nie było. Witrenko zmusił ich do patrzenia. Zmusił ich, aby patrzyli, jak kobiety umierają, zanim sami zostali zabici.

Fabel i Mahmut wymienili znaczące spojrzenia. Zapadła cisza. Fabel po raz kolejny pomyślał o obrazach, które Marlies Menzel pokazała na swojej wystawie. Wyobraził sobie, jak wchodzi do dusznej stodoły na pustkowiu, gdzie urządzono potworną wystawę, i patrzy na zmasakrowane ciała dwudziestu kobiet: perwersyjne dzieła sztuki będące owocem wyobraźni psychopaty.

- Dogoniliście go?

- W końcu tak. Moim zadaniem było odprowadzić ich pod eskortą z powrotem na terytorium kontrolowane przez Rosjan. Tak też zrobiłem. Ale najpierw miały miejsce długie negocjacje. Kiedy dogoniliśmy oddział Witrenki, jego żołnierze zajęli pozycje obronne. Kazałem swoim ludziom się ukryć. Nie rozumieli, dlaczego ich towarzysze broni trzymają ich na muszce. Ale tamci nie byli już żołnierzami, ale drużyną Witrenki. Wyszkolonymi, umotywowanymi i bardzo sprawnymi bandytami. Byli wierni tylko swemu dowódcy.

Po wojnie w Afganistanie Witrenko został bohaterem. Fakt, że popełnił tak wiele zbrodni, w niczym nie wpłynął na jego popularność wśród zwyczajnych ludzi. Mówiąc szczerze, na

wszystkich szczeblach mało kogo wzruszało, co się dzieje ze zgrają obcych Muzułmanów, jeśli stosowane metody pozwalały osiągnąć zamierzony cel. Witrenko wkrótce zasłynął jako ekspert od islamskich terrorystów. Po rozpadzie Związku Radzieckiego stał się cenionym funkcjonariuszem nowych ukraińskich sił antyterrorystycznych. Wstąpił do brygady *Berkut*, gdzie znów wybił się na czoło i mógł się poszczycić kolejnymi osiągnięciami. Witrenko jest niezwykle inteligentnym i wykształconym człowiekiem, doskonale obeznanym z problematyką kryminologii, psychologii, walki z terroryzmem. To wszystko, w połączeniu z doświadczeniem z pola walki, uczyniło zeń liczącego się eksperta. Ale w owym czasie doszło do serii brutalnych gwałtów i zabójstw w Kijowie. - Ukrainiec znów wskazał na fotografie. - Pierwsze z obejrzanych przez pana zdjęć przedstawia jedną z ofiar, młodą dziennikarkę niezależnej stacji radiowej na Ukrainie. Ujęliśmy mordercę, mężczyznę w wieku dwudziestu kilku lat. Spełniał wszystkie kryteria seryjnego zabójcy i przyznał się do popełnienia morderstw, ale jesteśmy pewni, że nie działał sam. Prawdę mówiąc, wcale nie jestem przekonany o jego winie. Krążyły plotki o rytualnym charakterze zabójstw, przewijało się w nich nazwisko Witrenki. Podejrzewaliśmy, że mózgiem tej zorganizowanej działalności przestępczej jest wysoki rangą funkcjonariusz policji albo służb bezpieczeństwa, ale Witrenki nic z tą sprawą bezpośrednio nie łączyło. Mniej więcej trzy lata temu ślad po nim zaginął. Wkrótce potem zniknęło, jeden po drugim, dwunastu jego dawnych podwładnych, po prostu porzucili stanowiska wojskowe w Rosji, na Białorusi i Ukrainie. Fabel roześmiał się gorzko.

- I przenieśli się do Hamburga, gdzie łatwiej o zdobycz. Przypuszczam, że to są ci ludzie, których nasi funkcjonariusze z wydziału przestępczości zorganizowanej nazywają Elitą.

Ukrainiec wzruszył ramionami.

- Jakkolwiek ich nazwać, członkowie grupy Witrenki stopniowo opanowali podziemne życie w waszym mieście. Widzi pan, dla nich wasz drogocenny Hamburg nie różni się niczym od Afganistanu czy Czeczenii. To po prostu kolejne pole

operacji. Dla nich liczy się tylko lojalność wobec siebie nawzajem i wobec dowódcy oraz zaangażowanie przy wypełnianiu określonych zadań.

- Ale Witrenko to szaleniec - zaprotestował Fabel, świadom własnych słów.

- Nie bardziej tu, niż tam. Ja też uważam go za szaleńca. To psychopata. Ale szaleństwo stanowi jego siłę. On nie ma skrupułów, nie uznaje żadnych zasad moralnych, wykorzystuje swoje szaleństwo, aby terroryzować tych, których sobie podporządkował, hipnotyzuje ludzi i manipuluje nimi.

- Iwan Groźny... - szepnął Fabel.

- Co takiego?

- Przypomniałem sobie, co ktoś mi niedawno powiedział - odparł nadkomisarz. - Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

Zielone oczy Ukrainca pociemniały. Fabel był prawie pewien, że dostrzegł w nich smutek. Blondynka po raz kolejny zareagowała na milczące polecenie przełożonego i podała mu teczkę z tego samego biurka. Otworzył ją, wyjął kolejną fotografię i przekazał Fablowi. Przedstawiała wojskowego około czterdziestki. Ukrainiec roześmiał się cicho, kiedy zdezorientowany niemiecki policjant patrzył to na niego, to na fotografię. Mężczyzna na zdjęciu miał takie same jak Ukrainiec rysy twarzy i oczy, ale szersze i mocniejsze kości policzkowe, a na szerokie czoło opadały kosmyki gęstych jasnych włosów. Fabel zastanawiał się przez chwilę, czy ma przed sobą fotografię rozmówcy, tyle że młodszego, ale pomimo wprowadzającego w błąd podobieństwa zbyt wiele różniło mężczyznę ze zdjęcia od tego naprzeciw. W ciągu tych kilku sekund Fabel zdobył więcej informacji niż podczas całego dotychczasowego śledztwa. Odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał na Słowianina z nieukrywanym współczuciem.

- Pan się nazywa Witrenko? Tamten potaknął.

Fabel przyjrzał się jeszcze raz twarzy na zdjęciu.

- To pański brat?

Ukrainiec pokręcił głową z wysiłkiem, jakby była z ołowiu.

- Syn. Jestem ojcem Wasyla Witrenki.

Piątek, 20 czerwca, 22.00.
Dolny Port, Hamburg

Drzwi furgonetki mercedesa rozsunęły się. Już nie było ryzyka, że MacSwain ich zobaczy. Funkcjonariusze MEK z grupy wsparcia stali na zewnątrz, paląc papierosy. W środku powietrze było czystsze, ale panowała napięta atmosfera. Wszyscy słuchali rozmowy, toczącej się na nieoświetlonej łodzi, która kołysała się na czarnej rzece. Głos Anny brzmiał spokojnie i pewnie. Paul Lindemann położył dłonie na kolanach i otarł je o spodnie, a potem westchnął głęboko i wyprostował się zdecydowanym ruchem.

- Niech motorówka policji wodnej będzie w pogotowiu. Gdyby Anna chciała się stamtąd wydostać, da nam sygnał.

Maria podniosła radiotelefon do ust, ale nie wciskała włącznika.

- Jesteś pewien?

- Powiedz im, aby czekali. Mają przez cały czas obserwować łódź, nawet jeśli będzie istniało ryzyko, że MacSwain ich zobaczy. Musimy wiedzieć, co się dzieje z Anną.

- Dobrze zrobiłeś, pozwalając mu odpłynąć, Paul. Łódź była przykrą niespodzianką, ale wezwaliśmy na pomoc policję wodną i odzyskaliśmy kontrolę nad sytuacją. - Maria zrobiła pauzę. - Jeśli chcesz, sami możemy wypłynąć...

Paul potrząsnął głową.

- Nie. Oni wrócą na ląd... tą albo inną drogą. Jestem pewien, że MacSwain wróci na przystań. Wtedy go dopadnę.

MacSwain nacisnął guzik na dużej białej tablicy rozdzielczej obok steru. Na łodzi rozbłysły światła nawigacyjne, w kabinie zrobiło się jasno. MacSwain wyciągnął rękę z butelką wina i pytająco uniósł brew do góry. Anna podała mu swój kieliszek.

- Ty nie pijesz? - spytała. Przyjrzała się dyskretnie butelce, by upewnić się, że to ta sama, z której pili, zanim zgasły światła.

MacSwain uśmiechnął się.

- Jako kapitan nie mogę wypić więcej niż jeden kieliszek, ale ty się nie krępuj.

Nalał jej wina i wstawił butelkę do pojemnika z lodem. Anna wypila. Czy wino smakowało inaczej niż przedtem? Czy miało ledwie wyczuwalny obcy posmak? Nad brwiami poczuła zimny pot. Przez chwilę trzymała wino w ustach, cała nagle zredukowana do odczuć kubków smakowych. Kiedy przełknęła, w jej umyśle znowu pojawiło się zdanie, niczym koło ratunkowe, którego mogła się chwycić w przypadku zagrożenia. Uśmiechnęła się z wysiłkiem do MacSwaina. Z jego twarzy nie można było nic wyczytać. Minęło kilka sekund. Annie nie zakręciło się w głowie, nie zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Od jak dawna interesują cię łodzie? - spytała, bo nic innego nie przyszło jej na myśl.

- Och... od dzieciństwa. Ojciec zabierał mnie ze sobą na żagle w Szkocji. Zawsze przebywałem blisko łodzi i wody. Uwielbiam łodzie.

- Jesteś związany z ojcem? MacSwain roześmiał się.

- Nikt nie jest z nim związany. Ojciec jest zimny jak ryba. Nie dogadywaliśmy się. Chodziłem do szkoły z internatem, widywałem rodziców tylko w czasie wakacji. Nawet wtedy nie poświęcał mi wiele uwagi, chociaż zabierał mnie na żagle i zagraniczne wycieczki. - Zamyślony, wzruszył ramionami. - Moja matka jest Niemką, zawsze czułem większą więź z jej rodziną. Masz ochotę przegryźć coś jeszcze?

- Nie, dzięki... To musi być trudne... to znaczy, kiedy nie ma się dobrych stosunków z ojcem.

MacSwain spoważniał.

- Nie jestem już małym chłopcem. - Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. - Robi się chłodno... pójdziemy do kabiny na kawę?

Anna roześmiała się.

- Tylko na tyle cię stać? Żadnych ręcznie malowanych obrazków do oglądania?

MacSwain podniósł rękę.

- Jeśli pragniesz tylko kawy, dostaniesz tylko kawę.

Anna napięła mięśnie twarzy, zmuszając się do uśmiechu. Kawa. Kolejny dobry napój do ukrycia ponadplanowych dodatków.

- W porządku.

Mała, jasno oświetlona lśniąca kabina była wyłożona białym laminatem z drewnianymi wykończeniami. Z obu stron widniały okrągłe bulaje, w suficie trzy świetliki, wychodzące na pokład. Po prawej stronie, we wnęce stała kanapa, po lewej stłoczyły się niewielka kuchenka i pomieszczenie, które Anna uznała za „główne”. Podwójne łóże wypełniało całą przestrzeń dziobową. W kabinie unosił się aromat kawy, płynący z ekspresu wbudowanego w kuchenne przepierzenie. MacSwain zaprosił Annę gestem na kanapę. Patrzyła, jak nalewa kawę do filiżanek - do obu z tego samego dzbanka. Kiedy usiadł na brzegu łóżka, odetchnęła z ulgą. Bała się, że usiadzie obok niej.

- Pracujesz w biurze podróży? - spytał.

Anna poczuła w piersiach chłód. To była ta część jej legendy, której nie chciała za bardzo drążyć w rozmowie z MacSwainem. Spróbowała sobie przypomnieć emocje, jakie wywoływała w niej krótka praca w Meier Reisen.

- Tak. To najnudniejsza praca na tej planecie. Wysłaasz typową, niemiecką rodzinę na dwutygodniowe wakacje na Teneryfie albo Gran Canaria, a potem wysłuchujesz pretensji, że w menu hotelowym nie było kiełbasy. Dlaczego pytasz?

- Wysłałaś kiedyś kogoś w miejsce, skąd ta osoba nie chciała wrócić? W miejsce, które wzbudziło w niej głębokie, podświadome uczucie zaskoczenia... miejsce, w którym czuła się jak w domu?

Anna wzruszyła ramionami.

- Nie... nie mogę powiedzieć, żebym...

- Ja poczułem się w ten sposób, kiedy przyjechałem do Hamburga. Czasem dzieje się tak przy spotkaniu z drugim człowiekiem. - Jego oczy zabłyśły. - Czasem spotykasz jakąś

osobę i czujesz się tak, jakbyście się znali od zawsze. Spotkanie z taką osobą przypomina nowe wariacje na temat znany od tysięcy lat.

- To brzmi romantycznie... To jest twój sposób na kobiety?

Twarz MacSwaina nagle pociemniała.

- To nie ma nic wspólnego z kobietami i seksem. Mówię o czymś tysiąc razy ważniejszym niż... hm... miłość. Mówię o czymś, co sprawia, że dana osoba czuje się związana z jakimś miejscem albo z ludźmi. - Zmarszczył brwi, jakby szukał punktu odniesienia, miejsca, które mogłyby opisać Annie. - Jest takie słowo w języku niemieckim, którego nie da się przetłumaczyć na angielski...

- Jest sporo takich słów...

Machnął ręką, jakby zbywał sarkazm Anny.

- Heimat. Pojęcie oznaczające miejsce, czas i ludzi, z którymi czujesz się blisko. To słowo oznacza coś pomiędzy domem a ojczyzną.

Anna skinęła lekko głową. To słowo kojarzyło się jej z prowincjonalizmem i ciasnotą umysłu, ze słodkimi, wybielonymi politycznie, mizdrzącymi się filmami, które robiono w Niemczech po drugiej wojnie światowej. W czasach, gdy każde odwołanie do germańskości uznawano za niewłaściwe czy wręcz w złym guście.

- Niektóre znajomości dają ci to wewnętrzne poczucie bliskości. Nie musi to być koniecznie związane z konkretnym miejscem. Jeśli spotkasz tę osobę potem, gdziekolwiek na świecie, zawsze będzie ci bliska... - Spojrzenie MacSwaina złagodniało. Wzruszył ramionami i upił łyk kawy. - Dlatego mój ojciec przestał być dla mnie kimś ważnym, jest tylko incydentalną postacią w moim życiu. Zrozumiałem, że istnieją głębsze więzi między ludźmi niż te wynikające z genetyki. Ale... dość już o mnie...

Usiadł obok niej. Anna przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce, ale on posunął się za nią i zbliżył twarz do jej twarzy. Uderzyło ją po raz kolejny, że ma przed sobą prawie idealnie przystojnego mężczyznę. Ale kiedy położył wargi na jej ustach, znów poczuła obrzydzenie. Własna reakcja ją zdziwiła.

Odsunęła się z uśmiechem.

- Pora wracać na ląd, kapitanie - powiedziała z nadzieją, że jej żartobliwy ton nie zabrzmiał tak fałszywie, jaki w gruncie rzeczy był.

MacSwain uśmiechnął się cierpko.

- W porządku... - powiedział.

W drodze powrotnej MacSwain był uprzejmy, ale zachowywał wyraźny dystans. Światła migoczące na brzegu były coraz bliżej, Anna czuła przyływ energii i ulgę. Kiedy MacSwain zaproponował odwiezienie jej samochodem do domu, odmówiła. Powiedziała mu, że zaparkowała swój wóz w pobliżu klubu, lecz wtedy zaczął nalegać, że ją tam podrzuci. Paul Lindemann i jego grupa wsparcia zmyli się z pola widzenia, gdy MacSwain dopłynął do przystani, przełamawszy po drodze jej opór przed odwiezieniem.

- Tutaj będzie dobrze - powiedziała Anna, kiedy znaleźli się przed klubem.

MacSwain obdarzył ją kolejnym uprzejmym uśmiechem.

- Gdzie jest twój wóz? - spytał. Anna wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Za rogiem.

Wyjęła z torebki mały bloczek i zapisała numer komórki, której używała podczas tej operacji.

- Słuchaj... Przyznaję, że nie byłam dziś najlepszym kompanem. Ale zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miał ochotę jeszcze się ze mną spotkać.

- A już zacząłem myśleć, że mnie nie lubisz, Saro. Wyglądałaś na jakby, wiesz... niespokojną czy coś...

Anna pochyliła się i pocałowała MacSwaina w usta. Potem wyprostowała się z uśmiechem.

- Mówiłam ci... Na łodzi nie jestem sobą. Zadzwoń do mnie. - Otworzyła drzwiczki porsche i wysunęła nogi na zewnątrz. - Następnym razem spotkamy się na solidniejszym gruncie.

Jeden z samochodów ruszył w bezpiecznej odległości za porsche. Anna stała na chodniku patrząc, jak skręcają w

AlbersEck. Kiedy ogon MacSwaina potwierdził, że ten znalazł się daleko od Der Kiez, obok Anny zatrzymał się mercedes vario. Pierwsza wysiadła Maria i niezgrabnie objęła Annę, usiłując okazać jej sympatię.

- Byłaś świetna, Anno - powiedziała.

- Przestraszyliśmy się, kiedy wyskoczył z tą łodzią. - Paul Lindemann wysiadł za Marią i stanął obok. - Byłaś cholernie opanowana, nie mam pojęcia, jak to robiłaś.

Anna roześmiała się jak mała dziewczynka i jednocześnie zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze drżą jej nogi.

- Ja też nie.

- Goście z wodnej nie spuszczała cię z oka - zapewnił Paul. - Byłaś całkowicie bezpieczna. Gdybyś potrzebowała pomocy, znaleźlibyśmy się tam w ciągu kilku sekund.

Maria zamierzała coś powiedzieć, ale zadzwoniła jej komórka. Odeszła parę kroków, nim odebrała.

- Naprawdę, Anno, spisałaś się świetnie - powiedział Paul. - Ale nadal nie mamy żadnych informacji. Ten palant nie powiedział ani nie zrobił nic, co świadczyłoby o tym, że jest zamieszany w porwania albo zabójstwa.

Anna nie odpowiedziała, patrząc w kierunku, gdzie zniknął samochód MacSwaina. Wciąż dręczyło ją obrzydzenie wywołane jego dotykiem.

- Mam pewne przeczucie, jeśli chodzi o MacSwaina - oświadczyła nie patrząc na Paula. - Odruchową, gwałtowną, fizyczną reakcją na niego..

Paul uśmiechnął się krzywo.

- Kobięca intuicja?

- Nie. - W cichym głosie Anny zabrzmiała lodowata pewność. - Policyjna intuicja.

- Hm, wygląda na to, że odbębniłaś to wszystko za frajer - stwierdził Paul. - Śmiem sugerować, że pan MacSwain to wypasiony seksoholik.

- Chyba masz rację - wtrąciła Maria, zamykając komórkę. - To był Fabel... nareszcie. On też miał niezły wieczór. MacSwain spada z tapety. Nasz morderca ma już nazwisko. Wasyl Witrenko.

Anna odwróciła się i spojrzała na kolegów. Jej czarne oczy płonęły zimnym blaskiem w świetle neonów na Kież.

- Nie obchodzi mnie, co mówi Fabel. Wiem na bank, że z MacSwainem jest coś grubo nie w porządku. To on jest naszym mordercą. Jestem tego pewna.

**Sobota, 21 czerwca, 1.04.
Harburg, Hamburg**

Noc była ciepła, ale Hansi Kraus drżał na całym ciele, mimo że skulił się pod podartą kołdrą i brudną kurtką wojskową, z którą nigdy się nie rozstawał. Jego wychudzonym ciałem wstrząsały dreszcze, szczękał zębami, a stado szczurów wżerało mu się we flaki. Może nie powinien tu wracać, ale musiał się ogrzać. Poza tym liczył, że może zdoła tu wyżebrać, pożyczyć lub ukraść trochę kasy i kupić działkę. Tyle że nie zdołał.

Mimo ryzyka namierzenia musiał załatwić towar. Zamierzał pójść z rana do Turka i powiedzieć mu, co widział w Komendzie Głównej. Turcy będą wiedzieli, co robić, może nawet dadzą mu coś za fatygę. Napisał też list do matki, pierwszy od pięciu lat znak, że żyje, w którym bardzo gorliwie się usprawiedliwiał; prosił też, by wybaczyła mu zniszczenie jej jedyne go syna i nadziei, które z nim wiązała. Żałosne było, że po dziesięciu latach strachu i poczucia zagrożenia, w pięć lat po tym, kiedy matka i siostry uznały go prawdopodobnie za zmarłego, dopiero w obliczu przeczucia, że chyba jego czas się kończy, podjął niezdarną próbę poprawy swego wizerunku.

Hansi się bał. Zawsze się bał, to był jego stan naturalny, ale teraz jego przerażenie miało kształt. Gdzieś w środku Hansiego nadal krył się dzieciak, który przetrwał utratę dziecięcego ciała. Kiedyś, gdy chorował albo się bał, matka pozwalała mu spać przy małej zapalanej lampce. Teraz to wróciło, zobaczył miękka, ciepłą plamę światła, poczuł zapach świeżej pościeli, przypomniał sobie gładkość skóry po kąpieli, poczucie bezpieczeństwa, jakie towarzyszyło wślizgiwaniu się do łóżka.

Dwadzieścia lat później ostatnim szańcem obronnym Hansiego stała się naga, mżąca słabym, mdłym światłem żarówka pod sufitem, jego talizman mający uchronić go przed dreszczami, bólem i falami koszmaru, dręczącymi jego wyniszczone i wciąż nienasycone ciało. Usłyszał kroki na schodach. Normalnie nie zwróciłby na nie uwagi, w tej ruderze zawsze panował hałas, ludzie wchodzili i wychodzili, pijani albo na haju, bili się albo krzyczeli przez sen. Nasłuchiwał znieruchomiawszy, gdy kroki się zatrzymały.

Nie przeszły dalej. Zatrzymały się. Spróbował unieść się na łokciu, kiedy drzwi zaczęły powoli się otwierać. Zdażył jeszcze pomyśleć, że inaczej to sobie wyobrażał; był pewien, że wpadną rozwierając je gwałtownie, a tymczasem oni uchylili je delikatnie jak jego matka, gdy zaglądała do pokoju Hansiego sprawdzić, czy czegoś mu nie trzeba. Starszy mężczyzna przytrzymał skrzydło, puszczając przodem młodszego, tego mięśniaka, który dwoma krokami znalazł się przy barłogu Hansiego. Krzyk uwiązał ćpunowi w gardle, kiedy usta zakryła mu szczelnie wielka, silna dłoń. Starszy starannie zamknął drzwi. Uśmiechając się do Hansiego, wyjął metalowe pudełko z kieszeni jasnobrązowego skórzanego płaszcza. Wciąż z uśmiechem, przekrzywił głowę, uniósł je w dwóch palcach i pokiwał nim jak cukierkiem pokazywanym dziecku.

- Czas się rozweselić, Hansi - powiedział tonem, który był prawie miły. Otworzył pudełko i wyjął strzykawkę. - Poczujesz się tak szczęśliwy jak nigdy... Hansi spróbował krzyknąć, ale młodszy wcisnął mu w usta cuchnącą szmatę, potem siłą wyprostował jego ramię i podwinął rękaw.

W ułamku sekundy, zanim śmiertelna dawka czystej heroiny przeniknęła do jego krwi, Hansi zdażył przyjrzeć się twarzom mężczyzn. Słowa: *Wiem, kim jesteście... Widziałem was i wiem, kim jesteście...* nie wyszły mu z ust zatkanych cuchnącą szmatą. Heroina w ciągu kilku sekund wypełniła wszystkie zakamarki wyniszczonego ciała Hansiego Krausa. Kiedy mężczyźni wyciągnęli mu z ust knebel i odwrócili się zostawiając go, by umarł w samotności, Hansi poczuł zapach świeżo wypranej pościeli.

Sobota, 21 czerwca, 4.00. **Komenda Główna Policji, Hamburg**

W sali konferencyjnej panowała dziwna atmosfera podniecenia połączonego ze zmęczeniem. W martwych godzinach przed świtem funkcjonariusze, zarówno ci, co właśnie się obudzili, jak i ci, co podobnie jak Fabel, Maria, Paul i Anna nie zmrúżyli tej nocy oka i pracowali przez cały poprzedni dzień, próbowali zapomnieć o dającym się im we znaki znużeniu. Wokół słuchawki telefonów brzęczały niezadowolonymi głosami funkcjonariuszy w Europie, których poderwano na nogi od Hamburga po Kijów.

A w centrum, jak wspólna oś wydarzeń, powiększone i przypięte pośrodku tablicy zimne, zielone oczy Wasyla Witrenki, z wyrazem typowym dla złowrogo heroicznego portretu jakiegoś wschodnioeuropejskiego dyktatora, zuchwale wpatrywały się w tych, którzy mieli go ścigać. Obok fotografii Witrenki widniały fotokopie zdjęć ze stodoły, dostarczone przez jego ojca.

Kiedy Fabel przypiął je do tablicy, hałas w pokoju przycichł, a na twarzach obecnych pojawiło się niedowierzenie i zgroza.

Maria, mówiąca niezłe po angielsku i trochę po rosyjsku, najpierw maglowała przez telefon niezycziwych urzędników policyjnych w Odessie i Kijowie. Potem przejrzała bazę danych Europolu oraz Interpolu, tu i ówdzie trafiając na strzępy informacji, które mogły pomóc w stworzeniu pełnego portretu mężczyzny ze zdjęcia na tablicy.

Korzystając z ciszy, która zapadła w sali, Fabel zwołał większość ludzi ze swojego zespołu, czekających, aż ich koledzy skończą rozmowy telefoniczne.

Stał przed tablicą i pochylił się nad stołem, opierając kciuki o blat z czereśniowego drewna. Zacerpnąwszy tchu, krótko zrelacjonował informacje otrzymane od Ukraińca. Kiedy

opowiadał, jak stary człowiek ścigał syna przez góry i półpustynne tereny Afganistanu, podążając śladem coraz straszniejszych zbrodni, aż w końcu dotarł do stodoły, w pokoju panowała tak napięta cisza, jakby powietrze wręcz znieruchomiało. Potem opowiedział obecnym, czego dowiedział się o zabójstwach w Kijowie.

- W porządku. Wiemy, kto jest głównym podejrzanym. Mamy dość, żeby wystąpić do prokuratora kraju związkowego o wydanie nakazu aresztowania i przesłuchania, ale nie mamy wiarygodnych dowodów, żeby przygwoździć podejrzanego. - Fabel odwrócił się i uderzył dłonią w powiększony portret. - Pułkownik Wasyl Witrenko należał kiedyś do ukraińskiej brygady antyterrorystycznej *Berkut*. Czterdzieści pięć lat. Twardy, bezlitosny sukinsyn. Mamy zeznania naocznego świadka, który potwierdza, że Witrenko organizował masowe morderstwa, stosując te same metody, co tu, w Hamburgu. W Kijowie doszło do serii identycznych bestialskich zbrodni. Ale te informacje nic nam nie dają, ponieważ nie mamy dowodów na jego udział w tych jatkach, a funkcjonariusze policji ukraińskiej są przekonani, że mają mordercę. Znamy prawdopodobny motyw. Jak się zdaje, przynajmniej dwie spośród czterech ofiar posiadały potencjalnie niebezpieczne informacje na temat kombinacji związanych z handlem nieruchomościami, w które zamieszani byli nasi przyjaciele Eitlowie i Ukraińcy. Mario?

Maria Klee wyciągnęła notatki i przekartkowała. Próbowwała coś powiedzieć, ale była tak zmęczona, że zaschło jej w gardle. Odkasznęła i zaczęła:

- Rozmawiałam z funkcjonariuszami policji ukraińskiej w Kijowie, z jednostką antyterrorystyczną *Berkut* i służbą bezpieczeństwa SBU. Ci z SBU nie byli chętni do rozmowy, ale policja udzieliła mi pewnych informacji dotyczących morderstw w Kijowie. Są przekonani, że ten nasz to naśladowca. Według nich ujęli właściwego człowieka, jak już wspomniał Fabel. - Maria zerknęła w notatki. - Władimir Gera... - Zająknęła się i zaczęła jeszcze raz. - Władimir Gerassimenko. Wiadomo, że był zdolny, ale leniwy; pracował w

zarządzie kolei. Były trzy ofiary. Dwa z morderstw miały charakter rytualny. Podejrzewano, że w rytuałach brały udział inne osoby, ale Gerassimenko został skazany za trzecie morderstwo.

- Chodzi o dziennikarkę? - spytał Fabel.

- Tak. Została zamordowana w swoim mieszkaniu.

- Jak Angelika Blum. - Spowolnionym przez zmęczenie głosem Fabel powiedział rzecz dla wszystkich oczywistą. - Czy istnieje możliwość, aby któryś z naszych ludzi pojechał na Ukrainę i wy badał tego...

- Gerassimenkę - podpowiedziała Maria. - Niestety nie. Ukraina podpisała moratorium na wykonywanie kary śmierci w 1997 roku i wycofała się z niego w 2000 roku, ale Gerassimenko został stracony w dziewięćdziesiątym szóstym.

Fabel westchnął.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Facet, z którym rozmawiałeś, ojciec Witrenki, nie pracuje już dla ukraińskiej policji. Rozmawiałam z kimś z tamtejszego ministerstwa spraw wewnętrznych - jedynym urzędnikiem, którego zdołali wyciągnąć z łóżka. Twierdzi, że major Stepan Witrenko wiele lat temu przeszedł na emeryturę po służbie w *Berkucie*. Wycisnęłam z niego informację, że Witrenko senior zorganizował jednoosobową krucjatę przeciwko synowi. Odkąd Rosjanie kazali mu ścigać Witrenkę w Afganistanie, stało się to jego obsesją.

- Chyba wiem dlaczego - powiedział Fabel.

- Trzeba dodać - zaczęła Maria - że Ukraińcy przejmują się zniknięciem Witrenki bardziej, niż gdyby chodziło o kogoś innego, bo to przecież ich główny specjalista w dziedzinie przestępczości zorganizowanej i walki z terroryzmem. Ukraińców nie obchodzi zbrodnie Witrenki, ścigają go wyłącznie za dezercję.

- A co z jednostką antyterrorystyczną *Berkut*, do której należał? - spytał Fabel.

- Jest to ukraińska jednostka do rozprawiania zamieszek i przeciwdziałania terroryzmowi. Amnesty International kwestionowała ich sposoby działania. *Berkut* podlega

ukraińskiemu ministerstwu spraw wewnętrznych. Z tego, co rozumiałam, zakres działania Witrenki nie ograniczał się tylko do standardowych operacji *Berkuta*. Posiadał doświadczenie w walce z przestępstwami cywilnymi, politycznymi i terrorystami. Ukraina ma problem z przestępczością zorganizowaną, dochodzi tam do konfliktów między mniejszością rosyjską a ukraińską większością. Poza tym mają największą na świecie liczbę seryjnych zabójców. Dlatego są mistrzami w ich tropieniu.

Fabel potarł ręką brodę, pokrytą dwudziestoczerogodzinnym zarostem.

- Skoro Witrenko zorganizował jednoosobową krucjatę przeciwko synowi, kim jest kobieta, która z nim współpracuje? I dlaczego?

- Potrafię chyba odpowiedzieć na to pytanie - odparła Maria i przerzuciła kartki, aby znaleźć właściwą informację. - Przypuszczam, że to porucznik Martina Onopenko. Do niedawna służyła w kijowskiej policji.

- Była detektywem?

- Nie, pracowała w służbie mundurowej. Ale ma doświadczenie wojskowe. Martina, jak się dowiedziałam, jest młodszą siostrą zamordowanej dziennikarki. Najwyraźniej jest przekonana, podobnie jak stary, że to Witrenko odpowiada za śmierć jej siostry. Odeszła z policji, kiedy odmówili wznowienia śledztwa.

- Dziwna para - zadumał się Fabel. - Siostra ofiary i ojciec głównego podejrzanego...

Maria wzruszyła ramionami.

- Po prostu przypuszczam, że jest to kobieta, o którą ci chodzi. Po zniknięciu Witrenki działali razem na Ukrainie. - Maria podała nadkomisarzowi zdjęcie przedstawiające twarz młodej kobiety. - Nasi ukraińscy przyjaciele przesłali mi to pocztą elektroniczną.

Fabel przyjrzał się fotografii. Dziewczyna na zdjęciu wydawała się pod wieloma względami podobna do asystentki Ukrainka, ale miała ciemniejsze włosy i okrągłą twarz.

- Jest do niej podobna, ale to ktoś inny...

- Wiem, to jest ta zamordowana dziennikarka z Kijowa. Waleria Onopenko.

- A więc to jest siostra kobiety, która współpracuje ze starym Witrenką. Wygląda na to, że w tę sprawę zamieszane są same cholerne rodziny - skomentował posępnie Fabel.

- A tak przy okazji - Werner stanął przed zebranymi - sprawdziłem naszych przyjaciół Eitlów. Wiem, że nie są głównymi podejrzanymi, ale wolałem się upewnić. Obaj mają mocne alibi na czas, kiedy popełniono pierwsze morderstwo. Ojciec ma alibi w związku z drugim zabójstwem, Norbert Eitel w związku z trzecim. Rozmawiałem z naszymi ludźmi od przestępstw finansowych i korporacyjnych z drugiego piętra. Powiedzieli, że nie zajmują się Eitlami, ale zainteresowali się małwersacją związaną z handlem nieruchomościami. Dałem im kopię naszych akt. Pokazali mi listę zarejestrowanych spółek oraz przedsięwzięć kontrolowanych przez Eitlów, albo takich, w których mają swoje udziały. Wszystko się zgadza: ojciec i syn są dyrektorami Neuer Horizont. - Werner zerknął w notatki. - Mają udziały w Galicia Trading. To holding, który najwyraźniej prowadzi fikcyjne transakcje z oddziałem Grupy Eitel zajmującym się nieruchomościami. Właśnie ta wiadomość wzmogła czujność funkcjonariuszy od przestępstw finansowych i korporacyjnych. Zdołałem ustalić, że dyrektorami Galicia Trading są: Wolfgang Eitel, Norbert Eitel, Pawło Klimenko i amerykański biznesmen John Sturchak. Galicia Trading kupowała ostatnio nieruchomości w Hamburgu.

- Pawło Klimenko to jeden z ludzi Witrenki. - Fabel zastanawiał się przez chwilę. - Co wiemy na temat tego Amerykanina?

- Niewiele, ale dałem do przetłumaczenia e-mail, który wysłaliśmy do FBI i Interpolu.

- Myślę, że powinniśmy umówić się na pogawędkę z Eitlami - powiedział Fabel. - Tym razem to nie my będziemy ich gośćmi, ale oni naszymi.

Anna Wolff podniosła się z krzesła. Nadal miała na sobie elegancką sukienkę z randki z MacSwainem, ale założyła na nią swoją obszerną skórzaną kurtkę. Twarz pod makijażem była

ściągnięta i blada.

- A MacSwain?

- Co z nim?

- Jest nadal podejrzany, czy nie? - Mimo zmęczenia głos Anny brzmiał zaczepnie.

- Nie w związku z tymi morderstwami. Ale będziemy go nadal obserwować. Myślę, że był zamieszany w porwania, ale chyba nie mają one nic wspólnego z tą sprawą. Muszę być ostrożny, Anno. Van Heiden martwi się nie tylko o wydatki. Jeśli MacSwain zorientuje się, że śledziliśmy każdy jego ruch, nie mając dowodów, na pewno nas pozwie.

Anna usiadła.

Fabel milczał przez chwilę, a potem zwrócił się do obecnych.

- A teraz krótka lekcja historii... - Położył teczkę z aktami na krześle obok tego, na którym wcześniej powiesił marynarkę. Wyjął plik kartek, na widok których słuchacze zaczęli kręcić się niecierpliwie, ale osadził ich spojrzeniem.

- To jest konieczne. Mamy do czynienia z rytualnymi morderstwami, dokonany metodą sprzed tysiąca lat. Witrenko - morderca, którego szukamy - żyje w przeszłości i teraźniejszości. Musimy spróbować zrozumieć, jakie perwersyjne motywy, związane z historią i wiarą w przeznaczenie, nim kierują. Zdobyłem pewne informacje, które mogą okazać się dla nas istotne...

Fabel nie wspomniał o tym, że zadzwonił do Mathiasa Dorna i bez skrupułów go obudził. Profesor opowiedział mu o kluczowych zagadnieniach, które go interesowały, i udzielił wskazówek, jak zdobyć dalsze informacje. Co więcej, przypomniał sobie imię władcy wikingów, który zajął miejsce króla Inge Starszego, gdy ten odmówił wzięcia udziału w ceremonii ofiarnej w Uppsali. Fabel wyciągnął z pliku kartek fotokopię i przypiął ją do tablicy tak, że częściowo zasłoniła zdjęcie Witrenki. Widniał na niej dziewiętnastowieczny miedzioryt przedstawiający nieprawdopodobnie barczystego wojownika na ognistym rumaku. Wojownik miał długie jasne

loki, olbrzymie wąsy oraz splecioną w warkocze i ozdobioną paciorkami brodę. Odziany w kolczugę, na potężne ramiona zarzucił futrzaną opończę. Na głowie miał hełm ozdobiony skrzydłami orła.

- To jest prawdziwy ojciec Wasyla Witrenki - powiedział Fabel. - A nie Ukrainiec, który go ściga. Przypuszczam, że tak właśnie widzi to sam Witrenko.

Fabel czekał, aż ucichną rozmowy i śmiechy.

- To tylko moje przypuszczenia. Porozmawiam o tym jutro... a właściwie dziś rano, z doktor Eckhardt. Panie, panowie, oto Sven. Tak jak Syn Svena. Zwano go *Blot-Sven*, Krwawym Svenem albo Svenem Ofiarnikiem, zależnie od interpretacji. Sven był królem Szwecji w latach 1084-1087. Jego przyrodni brat, król Inge Starszy, przyjął chrzest i odmówił brania udziału w pogańskich obrzędach ofiarnych, które odbywały się w świątyni w Uppsali. Zatem Sven zaczął kontrolować obrzędy - stąd jego imię. Inge uciekł do Västergötland. *Blot-Sven* został królem Szwecji, inaczej mówiąc Svealand. Możecie więc zapytać, co łączy szaleńca z Ukrainy ze Szwecją? - Obok podobizny *Blot-Svena* Fabel przypiął drugą, równie heroiczną. - Ten dżentelmen nazywa się Ruryk, pierwszy wielki książę kijowski. Był prawdopodobnie wodzem wikingów z tej części Niemiec, może z Fryzji, czyli obecnego Frieslandu. Wojownicy, których poprowadził na podbój Wielkiego Nowogrodu i Kijowa, nosili nazwę „Wioślarzy” lub Rusów, skąd wywodzi się nazwa Rosji. Wśród wojowników Ruryka byli Waregowie i inni najemnicy. Według legendy Słowianie zamieszkujący tereny obecnej Ukrainy i Rosji żyli w anarchii i, choć wydaje się to nieprawdopodobne, zaprosili Ruryka i jego brata, żeby zaprowadzili porządek. To samo legenda mówi o Saksonach w Anglii, tyle że w tej wersji bracia nazywali się Hengist i Horsa. W każdym razie Ruryk i jego wojownicy byli ludźmi z zewnątrz, którzy najechali na obcy kraj. Lojalni pozostawali tylko wobec siebie. Ich nagrodą było bogactwo i sukces. Stworzyli elitę władzy na nowej ziemi, rosyjską i ukraińską arystokrację. Witrenko i jego ludzie robią to samo tutaj. Witrenko wpoił swoim ludziom mity o braterstwie, odwadze i tajemniczych

obrzędach wikingów.

- Ależ to stek bzdur - zachnął się Werner. - To niemożliwe, żeby uwierzyli, iż są bandą wikingów, podbijających nową ziemię!

- Owszem, możliwe. Patrząc z boku, możesz każdą religię albo system wierzeń określić mianem steku bzdur. Tymczasem nie jest ważne, w co wierzysz. Liczy się sam akt wiary. Nieważne, jak dziwna czy skrajna wydaje się innym twoja wiara. Dlatego właśnie młodzi, zdrowi mężczyźni wbijają się samolotami w budynki pełne ludzi.

Werner potrząsnął głową, nie tyle w proteście, ile w smutnym zdumieniu. Fabel mówił dalej.

- Nie mam pojęcia, czy Witrenko wierzył w te rzeczy na początku. Nie wiem nawet, czy wykorzystał ten mit jako swego rodzaju kult, za pośrednictwem którego chciał manipulować swoimi ludźmi. Ale jestem przekonany, że teraz w to wierzy.

Umilkł na chwilę i przypomniał sobie końcówkę rozmowy ze starym ukraińskim żołnierzem. Zgarbiony człowiek mówił o Witrence jako małym chłopcu. Bładym chłopcu, z oczami po ojcu, bardzo zdolnym i od dzieciństwa zdradzającym skłonności do okrucieństwa. Manipulował innymi dziećmi, zmuszał je siłą albo nakłaniał pochlebstwami do torturowania małych zwierząt. A później do torturowania siebie nawzajem.

- Jestem pewien - mówił dalej Fabel - że Witrenko zawsze był psychopata. Zamiast go leczyć i kontrolować, wysłali go do elitarnej rosyjskiej szkoły wojskowej, gdzie wykorzystano jego psychopatyczne skłonności. - Wziął do ręki plik kartek leżących na stole, zwinął i uniósł w zaciśniętej dłoni, jakby pokazywał kolegom płonąca pochodnię. - Wasyl Witrenko to najniebezpieczniejszy osobnik, z jakim mieliśmy kiedykolwiek do czynienia. Zabije każdego, kto będzie mu zagrażał. To dotyczy i was, i mnie.

Zamilkł. Zaczął się zastanawiać, co jeszcze mógłby powiedzieć. Przed oczami miał zdjęcia ofiar; przypomniał sobie, jak ojciec Witrenki chwycił go za gardło. Miał te same zimne, szmaragdowe oczy co syn. Fablem wstrząsnął dreszcz na myśl, że Ursula Kastner, Tina Kramer i Angelika Blum

umierały patrząc w te lodowate, błyszczące oczy. Pozostałych ogarnęły równie mroczne myśli, przez kilka sekund w sali panowała absolutna cisza. Przerwał ją dopiero głos Marii Klee.

- A ojciec Witrenki? Zamknąłeś go? Fabel potrząsnął głową.

- Przecież zaatakował wysokiego funkcjonariusza policji. Powinien za to odpowiedzieć.

- Może. Zaatakował mnie, ale odwołałem poszukiwania. Obiecał skontaktować się ze mną, jeśli będzie miał nowe informacje. Myślę, że on naprawdę chce powstrzymać syna. - Nagle przypomniał mu się pierwszy e-mail:

MOŻE MNIE PAN POWSTRZYMAĆ, ALE NIGDY MNIE PAN NIE SCHWYTA.

- A co teraz robi ojciec Witrenki? - Maria zmarszczyła brwi, jej twarz była prawie groźna.

- Robi to, co my. Chce znaleźć syna i go powstrzymać.

- Co będzie, jeśli złapie go pierwszy? - spytał Werner, idąc tropem rozumowania Marii.

Fabel przypomniał sobie, że zadał staremu to samo pytanie, kiedy wyszli z kantorka biurowego w półmrok magazynu. Ukrainiec odwrócił się do niego i powiedział cichym, beznamietnym głosem:

- Wtedy z nim skończę.

Nadkomisarz przez chwilę patrzył Wernerowi prosto w oczy.

- Dał mi słowo, że odda Witrenkę w nasze ręce i powiadomi nas, jeśli znajdzie dowody przeciwko niemu - skłamał. - Dlatego nie chcę go aresztować. Będzie naszym głównym informatorem. W porządku? - Fabel pochylił się jeszcze raz do przodu, kciukami oparty o blat. Jego zmęczona twarz napięła się. - Trzeba zacząć działać. Po pierwsze, chcę przesłuchać Eitlów. Jeśli będą protestować, aresztujemy ich pod zarzutem współudziału w morderstwie. Werner, przypilnuj, żeby ludzie od przestępstw finansowych i korporacyjnych przygotowali pytania, które chcą im zadać. Powinni być przesłuchani razem.

Werner przytaknął.

- Po drugie - mówił dalej Fabel - chcę, żebyście przycisnęły wszystkich ukraińskich informatorów. Przed końcem dnia chcę mieć dane na temat miejsc działania grupy Witrenki. I, żeby

było jasne, gównu mnie obchodzi, czy będziecie deptać po piętach naszym kolegom od przestępczości zorganizowanej z LKA7. Ja też zamierzam to robić; poza tym przycisnę ludzi z BND. - Twarz mu pociemniała. - Nikt nie będzie nam wmawiać, że czegoś nie wiemy. Na dzisiaj kończymy. Starsza komisarz Klee i starszy komisarz Meyer przydzielą wam konkretne zadania. Werner, zostań jeszcze na dwa słowa.

- Jasne, szefie...

Po kilku minutach ludzie wyszli z sali. Werner wciąż siedział na swoim miejscu. Anna Wolff obeszła stół konferencyjny i stanęła przed Fablem. W jej podkrążonych oczach malowało się coś na kształt buntu.

- Co mam powiedzieć, jeśli on do mnie zadzwoni?

- Kto?

- MacSwain. Dałam mu numer telefonu komórkowego.

- Zlikwiduj ten numer. Nie chcę, żebyś się z nim więcej kontaktowała. Nie mogę wymagać od van Heidena dalszych środków na zapewnienie ci ochrony. Musimy wy badać MacSwaina, ale to nie on jest naszym głównym podejrzanym.

- Myślę, że to człowiek, którego szukamy, szefie. Fabel zmarszczył brwi.

- Dlaczego, Anno? Powiedziałem wam, co wiem o Witrence.

- MacSwain to drapieźnik. Kiedy zbliżał się i patrzył na mnie, czułam się jak zwierzyna łowna. - Anna potrząsnęła lekko głową, zirytowana, że jej opis nie wypadł dość sugestywnie. Potem spojrzała Fabelowi w oczy. - On jest gwałcicielem, szefie. Przypuszczam, że także mordercą. Mordercą, którego szukamy.

Fabel przez chwilę patrzył w milczeniu na podwładną. Nie mógł potępiać niższej rangą policjantki za to, że oceniając podejrzanego czy sprawę, poszła za głosem instynktu. Fabel sam tak działał: część jego umysłu przetwarzała najdrobniejsze szczegóły tego, jak ktoś się poruszał, jak mówił, albo detale danej sceny. W wyniku tego procesu wyciągał wnioski, których, podobnie jak Anna, był pewien, chociaż nie miał dowodów. W końcu sam nabrał podejrzeń wobec MacSwaina właśnie na podstawie reakcji tamtego na widok dwóch policjantów przed drzwiami.

- W porządku, Anno. Ufam twojemu osądowi, ale nie zgadzam się z wnioskami, które wyciągnęłaś. - Fabel ponownie przesunął dłonią po zaroście. - Na wszelki wypadek każę obserwować MacSwaina. Ale stanowczo nie powinnaś się z nim spotykać, zwłaszcza jeśli tak podpowiada ci instynkt. Werner i ja złożymy mu prawdopodobnie wizytę, aby sprawdzić, gdzie przebywał w kluczowych według nas dniach. Oczywiście zacznie się domyślać, że mamy go na oku. - Fabel westchnął. - Moim zdaniem mylisz się, Anno. Nie mamy narzędzia zbrodni, ale dowody świadczą przeciwko Witrence.

- Wiem - odparła Anna. - Zdaję sobie z tego sprawę. Ale dzięki za to, że nie skreślasz MacSwaina.

- Nie ma sprawy. - Fabel spojrzał uważnie na twarz Anny. Wyglądała na wykończoną. Fabel nigdy nie pracował w tajnej służbie, ale znał wielu, którzy to robili. Było to jedno z najbardziej męczących zadań dla policjanta - zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym. Fabel przywołał w pamięci postać Klugmanna, siedzącego naprzeciwko niego w pokoju przesłuchań na Davidstrasse. Przypomniawszy sobie jego zaczerwienione oczy. Uznał, że to prochy. Bardziej prawdopodobny był jednak stres. Siady amfetaminy wykryte podczas sekcji mogły oznaczać, że Klugmann szukał wsparcia w narkotykach. Teraz Fabel zauważył tę samą ociężałość w ruchach Anny, te same czerwone obwódki wokół oczu. - Posłuchaj, Anno. Zwalniam cię ze służby na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Idź do domu się przespać.

Sobota, 21 czerwca, 10.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Fabel czuł się nieco oczyszczony. Zdejmując ubranie, miał wrażenie, jakby zrzucił wylinkową skórę, ale mimo paru godzin snu nadal czuł zmęczenie. Musiał wziąć się w garść. Tak jak ustalili, Werner dostarczył Wolfganga Eitla na krótko przed ósmą, a funkcjonariusze drugiej grupy, z Paulem Lindemannem na czele, w tym samym czasie przywieźli jego syna. Obu trzymano w oddzielnych pokojach. Eitlowie grozili, że wytoczą sprawę całej policji hamburskiej i rządowi kraju związkowego. Fabel zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zdobędą konkretnych dowodów przeciwko podejrzanym, będą musieli się liczyć z realizacją pogroźek.

Jakby dla podkreślenia tego faktu, w głównym holu Komendy Głównej czekała na Fabla silna grupa prawników. Był wśród nich Waalkes, który zauważył nadkomisarza w chwili, gdy ten wsiadał do windy, i ruszył pędem w jego stronę.

- Dzień dobry, panie Waalkes! - wykrzyknął Fabel z ostentacyjną serdecznością, po czym drzwi windy się zamknęły. Waalkes prawie na nie wpadł z wyrazem wściekłości na twarzy.

Fabel wywołał z pierwszego pokoju przesłuchań Wenera, który do tej pory nie zdołał wyciągnąć żadnych informacji z Wolfganga Eitla, kategorycznie domagającego się adwokata.

- Jest ich wystarczająco dużo na dole - powiedział Fabel. - Powiedz mu, że ma prawo do jednego adwokata, ale niech chłopcy od przestępstw finansowych i korporacyjnych trochę nad nim popracują. To samo dotyczy Norberta.

Potem poszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Podniósł słuchawkę i wybrał numer Susanne w Instytucie Medycyny Sądowej. Kiedy zadzwonił do niej poprzedniej nocy po wyjeździe ze Speicherstadt, w głosie Susanne brzmiała nieskrywana troska. Zapewnił ją o swoim dobrym

samopoczuciu. Powiedział, że będzie musiał wrócić do Komendy Głównej i poradził, aby poszła spać. Kiedy odłożył słuchawkę, poczuł ciepły dreszcz na myśl o tym, że ktoś znowu się o niego martwi i natychmiast poczuł się winny. Teraz dzwonił do niej z informacją o zgromadzonych dowodach, chciał też przedstawić jej teorię na temat Witrenki i jego „duchowego ojca” *Blot-Svena*.

- Wydaje mi się, że to brzmi sensownie - powiedziała Susanne, ale w jej głosie nie było przekonania.

- Ale?

- Sama nie wiem. Jak już powiedziałam, to brzmi sensownie. Może masz rację, przynajmniej jeśli chodzi o sedno sprawy. Nie mam podstaw, aby wątpić w twoją teorię. Ale niepokoi mnie sposób, w jaki on działa.

- To znaczy?

- Ten człowiek nie działa sam. Być może w ogóle nie robi tego osobiście. Pamiętasz Charlesa Mansona? Masowe morderstwa w willach Tate i LaBiancia? Manson nawet się nie pojawił w willi Tate; rezydencję LaBiancia opuścił, kazawszy członkom swojej grupy zamordować związane ofiary, ale przy morderstwie go nie było. A więc Manson nie zabijał osobiście. Był odpowiedzialny za morderstwa. Manipulował innymi, żeby je popełnili. Zabójcami byli członkowie tak zwanej rodziny Mansona, on sam nie brał w tym udziału.

Fabel zastanawiał się nad tym, co powiedziała Susanne. Znał wszystkie szczegóły morderstw Mansona: zabójca „scementował” więzi „rodziny”, odbywając stosunki seksualne ze wszystkimi „dziewczynkami Charliego” - kobietami ze swojej grupy. Była to ta sama sztuczka, którą zastosował Svensson, aby zapewnić sobie lojalność swoich pomocniczek - Marlies Menzel i Giseli Frohm. Fabel uświadomił sobie nagle, że on i Gisela nie byli sami na przystani; Svensson też tam był. Niewidzialny, podstępny. Tylko Gisela wiedziała o jego obecności. Fabel z sykiem wypuścił powietrze.

- Sam nie wiem, Susanne. Według mnie Witrenko to rzeźnik. Jeśli się nie mylę, uważa się za spadkobiercę *Blot-Svena*, tego, który składa ofiary.

Usłyszał w słuchawce oddech Susanne.

- Bądź ostrożny, Janie. Bądź bardzo ostrożny. Werner wszedł do gabinetu Fabla przed porą lunchu.

Funkcjonariusze od przestępstw finansowych i korporacyjnych nadal maglowali Wolfganga i Roberta Eitlów. Po dwóch detektywów rozmawiało z każdym z nich oddzielnie.

- Markmann z wydziału przestępstw korporacyjnych twierdzi, że informacje dotyczące malwersacji związanych z handlem nieruchomościami są prawdziwe, ale nie ma konkretnych dowodów - powiedział Werner bez entuzjazmu. - Chce wysłać ludzi w celu sprawdzenia dokumentów Galicia Trading i biura Grupy Eitel, ale Prokuratura Krajowa zwleka z wydaniem nakazu ze względu na niewystarczające dowody.

Fabel skinął głową. Wcześniej zadzwonił do niego prokurator krajowy Heiner Goetz, który wyraził obawy związane z oskarżaniem tak ważnych osobistości. Nadkomisarz znał Goetza od lat, łączyło ich coś więcej niż tylko wzajemny szacunek, zdawał sobie jednak sprawę, że Goetz był ostrożnym i metodycznym prokuratorem i nie lubił iść na skróty. Fabel wiedział też, że prokurator bez trudu przejrzałby na prędcie sfabrykowane zarzuty i musiał przyznać, że ryzykował z Eitlami. Ostatecznie odbyli rozsądną rozmowę i Goetz był gotów dać mu pewną swobodę. Na tym etapie Fabel postanowił nie mówić prokuratorowi o tym, że zamierzał przesłuchać MacSwaina. Miał nadzieję, że ten podejrzany, by dowieść swojej chęci współpracy, nie będzie stawiał formalnych przeszkód.

- Ci z wydziału przestępstw korporacyjnych dostaną nieźle po tyłkach, jeśli Prokuratura Krajowa stwierdzi brak dostatecznych podstaw do zabezpieczenia dokumentów - kontynuował Werner. - Bez odpowiednich papierów nie można wnieść sprawy do sądu.

Twarz nadkomisarza stężała. Chwycił słuchawkę i wybrał numer telefonu komórkowego, który dał mu Ukrainiec.

- Nie spodziewałem się, że pan tak szybko się odezwie, panie Fabel - powiedział Witrenko senior swoją poprawną, choć akcentowaną niemiecką.

Fabel wytłumaczył mu, że prokuratura nie podjęła jeszcze decyzji.

- Potrzebujemy konkretnych informacji, które pozwolą nam zatrzymać Eitlów i zabezpieczyć ich dokumenty. Oni są jedynym ogniwem łączącym nas z organizacją pańskiego syna.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Potem Ukrainiec powiedział:- Nie wiem, czy mogę panu pomóc. W tej chwili nic dla pana nie mam, ale spotkajmy się dziś wieczorem, powiedzmy o ósmej w magazynie w Speicherstadt.

Fabel odłożył słuchawkę. Na jego twarzy malowało się teraz zdecydowanie.

- Werner, wezwij Marię. Odwiedzimy BAO.

Podczas gdy cała trójka szła szybko korytarzem prowadzącym od windy do biura Volkera, Maria nie przestawała mówić. Wręczyła Fabelowi kilka spiętych kartek papieru.

- Zdobyłam ważne informacje o Witrence. Dowiedziałam się, że brygada *Berkut* jest częścią jednostki do walki z terroryzmem i przestępczością zorganizowaną, chociaż jej pierwotną funkcją była walka z rebeliantami. *Berkut* jest oddziałem operacyjnym działającym na zasadach takich jak GSG9 w Niemczech. Ci ludzie są świetnie wyszkoleni. Skontaktowałam się z ich placówką w Kijowie. Chętnie rozmawiali, ale skąpili informacji na temat Witrenki. Wygląda na to, że był on jednym z ich najlepszych ekspertów od islamskiego terroryzmu, ze względu na jego działalność w Afganistanie i Czeczenii. Jedyną rzeczą, jaką zdołałam od nich wyciągnąć, był życiorys Witrenki. Natknęłam się na to... - Maria przerzuciła kartki, które Fabel trzymał w dłoni. Na jednej z nich znajdował się tekst cyrylicą, opatrzony na górze, jak się domyślał, godłem ukraińskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Następna zawierała niemieckie tłumaczenie. - Spójrz tutaj: dwutygodniowe szkolenie w Odessie w jednostce zwalczania seryjnych zabójców.

Fabel zatrzymał się.

- I mówisz, że mój referat dla Europolu na temat zabójstw Helmuta Schmieda był rozpowszechniany na Ukrainie?

- Właśnie. Czekam jeszcze na potwierdzenie, ale stawiam

miesięczną pensję, że ta praca stanowiła część programu szkolenia albo uczestnicy mieli do niej dostęp.

Fabel poczuł podniecenie, które ogarnia myśliwego, kiedy zbliża się do tropionej zwierzyny.

- Dlatego mamy do czynienia z podręcznikowym przypadkiem chorego psychicznie seryjnego zabójcy; on to wszystko zaplanował na podstawie książkowych przykładów. Wybrał mnie, ponieważ przeczytał moją pracę na temat seryjnych zabójstw.

Werner roześmiał się gorzko.

- Więc myślał, że może pociągać za sznurki i skierować cię na fałszywy trop.

- Ale nie dałeś się nabrać - dodała Maria.

- Chodźmy - powiedział Fabel. Maria i Werner ruszyli za nim.

Sekretarka zrobiła wszystko, co mogła, z wyjątkiem rzucenia się pod koła, by zatrzymać pociąg pancerny złożony z Fabla, Marii i Wenera, który buchając parą przewalił się obok niej i wpadł do gabinetu Volkera. Ten tkwił za biurkiem i rozmawiał po angielsku z siedzącymi naprzeciwko dwoma mężczyznami w koszulach z krótkim rękawem. Fabel domyślił się, że ci jankesi należeli do sześćosobowej grupy FBI, która została skierowana do współpracy z policją hamburską po ataku z 11 września. Volker uśmiechnął się z przymusem, próbując ukryć irytację wywołaną nagłym najściem.

- Rozumiem, że to coś ważnego, nadkomisarzu? Fabel spojrzał znacząco na Amerykanów.

- Przepraszam, panowie - zwrócił się do nich Volker. Fabel odnotował jego nienaganną angielszczyznę. - Możemy później dokończyć naszą rozmowę?

Wychodząc, Amerykanie spojrzeli na Fabla z mieszaniną irytacji i ciekawości. Volker rozparł się w skórzanym fotelu, skinął ręką w geście przyzwalającym nadkomisarzowi na zabranie głosu. Fabel domyślił się, że ten ostentacyjnie arogancki gest miał wywołać jego gniew, co Volkerowi dałoby przewagę. Ale Fabel nie dał się sprowokować. Zajął jedno z

krzesel, na których wcześniej siedzieli Amerykanie, i odczekał chwilę, zanim zaczął mówić.

- Owszem pułkowniku, to istotnie coś bardzo ważnego. I pilnego. Zamierzam zorganizować konferencję prasową dotyczącą morderstw, w sprawie których prowadzę śledztwo - skłamał gładko. - Chcę powiedzieć publicznie o kilku sprawach. Właściwie, zamierzam wyświadczyć panu coś w rodzaju przysługi - uśmiechnął się zimno.

- Doprawdy? W jaki sposób?

- Przygotowałem oświadczenie, w którym kategorycznie zaprzeczam, jakoby BND chroniło mordercę, byłego funkcjonariusza brygady antyterrorystycznej Wasyla Witrenkę, tylko dlatego, że może on posiadać cenne informacje o Al-Kaidzie i innych islamskich organizacjach antyterrorystycznych. - Fabel widział, że Volker wszelkimi siłami stara się ukryć prawdziwe uczucia. Mówił dalej: - Zamierzam wspomnieć o tym, że pan nie ma z tym nic wspólnego i wszystkie plotki na ten temat są zupełnie bezpodstawne.

Volker wykrzywił usta w uśmiechu rottweilera.

- Nie odważy się pan.

- Nie odważę się? Nie odważę się chronić pańskiej reputacji przed tak złośliwymi plotkami?

- Nie ma żadnych plotek. Fabel spojrzał na zegarek.

- Nie? A więc anonimowa przesyłka z kompromitującymi informacjami nie dotarła do „Sterna” ani do „Hamburger Morgenpost”... - Fabel pochylił się do przodu i prawie wypluł: - Jeszcze nie!

- Nie odważy się pan... - zgrzytnął Volker, ale w jego głosie nie było pewności.

- Pułkowniku Volker, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan dotrzymać umowy i podzielił się z nami wszystkimi istotnymi dla śledztwa informacjami. Zaczniemy od związku Eitla z kartelem mającym siedzibę w Kijowie, który czerpie korzyści z nielegalnego handlu nieruchomościami w Hamburgu.

Funkcjonariusze wydziału przestępstw finansowych i korporacyjnych przesłuchują w tej chwili Eitlów. Kiedy po rozmowie z panem zejść na dół, chciałbym przekazać im istotne poszlaki, które pozwolą Prokuraturze Krajowej wydać nakaz rewizji i aresztowania. Poza tym chciałbym się dowiedzieć, gdzie można znaleźć byłego towarzysza Witrenkę i jego głównych oficerów. Jeśli otrzymam te informacje, wówczas dokumenty, o których wspomniałem, nie trafią do prasy, a konferencja się nie odbędzie.

Volker spojrział kamiennym wzrokiem na nadkomisarza.

- Mógłbym panu bardzo utrudnić życie, Fabel. Wie pan o tym, prawda?

- Dzięki za przypomnienie, pułkownik Volker, w dodatku przy dwóch świadkach.

- Co my tu, pana zdaniem, robimy? Myśli pan, że jesteśmy jakimś wydziałem brudnych gier?

Fabel wzruszył ramionami.

- Jestem policjantem. A w naszym fachu ważne są tylko fakty. Na razie, przyglądając się faktom, doszedłem do wniosku, że ukrywał pan przede mną dowody. Wiem, że ma pan swoje własne plany dotyczące Witrenki. Volker zaśmiał się gorzko.

- Jak na wyższego oficera tropiącego poważne zbrodnie, wydaje się pan dziwnie skłonny do dopasowywania faktów do własnego partykularnego zbioru uprzedzeń.

- Zaprzecza pan, że stara się zawrzeć układ z Witrenką?

- Nie. Nie zaprzeczam. Ale też nie zamierzam ignorować faktu, że popełniono okrutne morderstwa. Nie zaprzeczam, że nasi amerykańscy przyjaciele są gotowi zawrzeć pakt z samym diabłem, jeśli dostaną dzięki temu głowy tych, których szukają. Ale *jeśli*. - Volker zaakcentował ostatnie słowo, a potem je powtórzył: - *Jeśli* Witrenko jest rzeczywiście mordercą, którego szukacie, na pewno nie będziemy z nim współpracować, choć niewykluczone, że z nim porozmawiamy. Jeśli chodzi o moją niechęć do dzielenia się informacjami... Nie przyszła panu do głowy inna przyczyna naszej powściągliwości?

- Na przykład jaka?

Volker wstał i oparł się o biurko.

- Na przykład taka, że nie możemy panu zaufać. Być może jeden z pańskich ludzi przekazuje komuś informacje za pieniądze. Może właśnie dlatego Klugmann, cholernie dobry funkcjonariusz, którego przydzieliłem do tej akcji, został zamordowany.

- To brednie, Volker. - Fablowi krew uderzyła do głowy.

- Czyżby? Klugmann dowiedział się o przecieku w policji. Odkrył, że ktoś na wysokim szczeblu, być może nawet nadkomisarz, sprzedaje ważne informacje Ukraińcom.

Fablowi dobrą chwilę zabrało zapanowanie nad sobą.

- Próbuje mi pan wmówić, że dlatego ukrywał pan informacje o Witrence? Nie wierzę.

- Proszę spytać van Heidena. On o tym wie. Ktoś z Komendy Głównej albo z komendy krajowej sprzedaje Witrence informacje, dzięki którym ten Ukrainiec pozbywa się swoich największych wrogów i przejmuje ich interesy, jak w przypadku transakcji z Kolumbijczykami, kiedy zabito Ulugbeja.

- Przecież mówił pan, że to Klugmann sprzedawał informacje Ukraińcom.

- Tak było. Naszym zdaniem właśnie dlatego został zamordowany. Klugmann czuł, że jego kontakt, Wadim, zaczął się od niego odsuwać. Oczywiście praca w głębokiej konspiracji sprawia, że człowiek staje się przewrażliwiony, ale Klugmann niepokoił się podejrzliwością, z jaką zaczęli go traktować Ukraińcy.

Fabel milczał. Przypomniawszy sobie przestraszoną minę Soni, kiedy wtargnęli do mieszkania, szukając Klugmanna. Ich agent próbował uciec, ale skończył martwy na dnie brudnego basenu. Widząc, że Fabel się zastanawia, Volker usiadł z powrotem w fotelu. Mówił dalej, już mniej agresywnym tonem.

- Pewnie pan pamięta, nadkomisarzu, że odniósł się pan bardzo krytycznie do sposobu, w jaki przekazaliśmy przez Klugmanna Ukraińcom informację o transakcji, w wyniku której zabito Ulugbeja. Nie jesteśmy tacy głupi i bezlitośni, jak się panu wydaje. Zadbaliśmy o to, aby Klugmann sprzedawał im informacje spreparowane. Ten, kto dostarczał informacji prawdziwych, musiał odkryć, że rzekoma wtyka Klugmanna w

antynarkotykowym MEK to fikcja.

- Chce pan powiedzieć, że Klugmanna zabił funkcjonariusz policji? - spytała Maria Klee, zanim Fabel zdążył zadać to pytanie.

Volker wzruszył ramionami.

- Być może. Nie wiem. Może ktoś kazał mu to zrobić? Prawdopodobnie. Ci, którzy sprzedawali prawdziwe informacje, na pewno żądali w zamian wysokiego wynagrodzenia i z pewnością dbali o swoje bezpieczeństwo, ale sami nie brudzili rąk. Gdyby dali cynk grupie Witrenki, że Klugmann jest tajniakiem, Ukraińcy chętnie wzięliby na siebie obowiązek zlikwidowania go.

- Szefie... - powiedział cichym, napiętym głosem Werner, który stał za Fablem.

- Cholera... oczywiście. Przyprawiliśmy naszego świadka do Komendy Głównej. Do diabła, Volker, gdybyśmy o tym wszystkim wiedzieli, nie narazilibyśmy go na niebezpieczeństwo. Ani przez chwilę nie pomyśleliśmy, że sprowadzając go tu, zdradzamy jego rolę. - Fabel zwrócił się do Wenera. - Natychmiast zamknij Hansiego.

- Już się robi, szefie - powiedział Werner i wyszedł z biura. Na jego krzesło usiadła Maria.

Na twarzy nadkomisarza malowało się niedowierzenie.

- A więc dlatego ukrywał pan dowody, które są ważne dla przebiegu śledztwa? - spytał.

Volker westchnął.

- Niczego nie ukrywałem. Jeśli naprawdę wierzycie, że Wirtenko jest odpowiedzialny za te morderstwa, zrobię wszystko, żeby wam pomóc. Prawdę mówiąc, po śmierci Klugmanna straciliśmy ochotę na układy z tym zbiorem. - Volker zastanawiał się przez chwilę. - Nie lubi mnie pan, prawda?

- Nie znamy się. Nie potrafię powiedzieć, czy pana lubię, czy nie.

Volker roześmiał się ironicznie.

- Ujmę to inaczej. Nie podoba się panu to, co reprezentuję.

- Można tak to określić.

- Dał mi pan jasno do zrozumienia, że w pańskich oczach tylko krok dzieli mnie od gestapowca, natomiast pańska policja hamburska reprezentuje wszystko co dobre i czyste. Coś panu powiem, mam prawdziwe szczęście, że tu siedzę. Gdyby policja hamburska postawiła na swoim, moje drzewo genealogiczne zostałyby ścięte w policyjnym więzieniu Fuhlsbüttel w Hamburgu.

Fabel otworzył szeroko oczy.

- Zaskoczony? Mój ojciec był socjaldemokratą i działaczem związków zawodowych. Był dziewiętnastoletnim idealistą. Rzecz jasna, któreś nocy rozległ się łomot do drzwi. Nie było to SS ani gestapo. Przyszli po niego funkcjonariusze pańskiej policji - hamburskiej. Ojca zabrano do policyjnego więzienia Fuhlsbüttel, które wkrótce potem zmieniło charakter. Konzentrationslager Fuhlsbüttel... mały obóz koncentracyjny stworzony przez policję hamburską. Oczywiście pan woli o tym nie pamiętać.

Nadkomisarz wiedział o istnieniu obozu koncentracyjnego Fuhlsbüttel, znanego jako Kola-Fu. Był to najmroczniejszy, najbardziej kompromitujący rozdział w historii miejscowej policji. Po przejęciu władzy w Hamburgu przez nazistów w marcu 1933 roku, w zakres obowiązków policjantów weszło wyłapywanie komunistów i socjaldemokratów. We wrześniu tego samego roku kontrolę nad więzieniem objęło SS, ale te sześć miesięcy, kiedy policjanci sprawowali nad nim nadzór, zniszczyło reputację miejscowej policji.

- W porządku - powiedział w końcu Fabel. - Rozumiem pana. Ale nie widzę związku.

Volker wszedł mu w słowo.

- Ma pan mnóstwo teorii na temat mojego wstąpienia do BND. Powiem panu prawdę. Wstąpiłem do BND, ponieważ chciałem bronić tych wartości, które chronią Niemców przed powtarzalnością historii: chciałem bronić demokracji i konstytucji. Uważa się pan za stróża prawa. Ja też bronię podstawowych zasad. Robię to, ponieważ wierzę, że jedyny sprawiedliwy ustrój to prawdziwa liberalna demokracja. - Volker opadł na oparcie skórzanego fotela. - Wie pan, kim

naprawdę jestem? Strażakiem. - Tam... - Skinął głową w stronę okna. - Tam roi się od nieudaczników i nieszczęsnych kretynów, którzy bawią się zapalkami. Ekstremalna prawica, ekstremalna lewica, szaleni fundamentaliści religijni... Tam, w ciemnościach, bawią się zapalkami. Moja praca polega na tym, żeby stłumić iskry, zanim wybuchnie pożar.

- Dobrze, jestem panu chyba winien przeprosiny - powiedział Fabel. - Ale nie zmienia to faktu, że ukrywał pan przed nami dowody.

- Nie jesteśmy sobie nic winni - jedynie nieco wzajemnego szacunku. Nie utrudniamy sobie nawzajem pracy i bez tego trudnej. - Volker podniósł słuchawkę telefonu, wcisnął guzik i zażądał, żeby przyniesiono akta Witrenki.

Kiedy teczka znalazła się na jego biurku, Volker wyjął z niej kartkę papieru, którą podał nadkomisarzowi. Widniało na niej kilka rządów inicjałów i liczb. Fabel przeczytał treść kartki parę razy, potem podał ją Marii.

- To mi nic nie mówi - powiedział i spojrzał na Marię, która wzruszyła ramionami.

- Ale powie pańskim kolegom od przestępstw korporacyjnych. - Volker odchylił się do tyłu i splótł dłonie. - To rejestry transakcji. Są tu szczegóły przelewów bankowych, godziny, daty i kwoty. - Powrócił do poprzedniej pozycji i podał Fablowi jeszcze dwie kartki. - To jest klucz do konta bankowego z informacjami, kto jest właścicielem którego konta. Jest także nakaz sądu federalnego. - W jego uśmiechu pojawił się cień złośliwości. - Nakaz świadczy o tym, że otrzymaliśmy te informacje w sposób legalny.

Na liście widnieli właściciele kont: Galicia Trading, Klimenko International, Eitel Importing i kilka innych firm, których nazwy nie przewinęły się dotąd w śledztwie.

- To wystarczy, żebyście dostali nakaz zabezpieczenia dokumentów. Jeśli uda im się dostać do kont, znajdą trop, który prowadzi do Eitlów. Osobiście do nich, nie do ich firm. Być może znajdziecie tam kilka innych zaskakujących informacji.

Fabel uniósł brwi.

- Po prostu niech pan powie swoim ekspertom, żeby na to zerknęli. - Volker pochylił się do przodu, przenosząc ciężar szerokich ramion na łokcie. - Jeśli chodzi o Witrenkę... Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie go znaleźć. Zniknął jak duch. Wiemy natomiast, gdzie są jego kapitanowie. - Ponownie sięgnął do teczki i wyciągnął parę fotografii. Położył je na biurku przed Fablem i Marią. Były to zrobione z bliska zdjęcia dwóch mężczyzn w wieku czterdziestu kilku lat. Jeden był szczupły i krępy, drugi potężnie zbudowany. Mieli wygląd twardych, doświadczonych żołnierzy. Volker stuknął palcem w zdjęcie szczupłego mężczyzny.

- To jest Stanisław Sołowej. To on przedstawił Jurze Warasowowi korzyści płynące z przejścia na emeryturę. Ten drugi to Wadim Redczenko.

- Kontakt Klugmanna?

- I prawdopodobnie jego zabójca - dodał Volker. Fabel potrząsnął głową.

- Hansi Kraus powiedział, że mordercy mówili po niemiecku bez akcentu. Podrzucili specjalnie pistolet typowy dla ukraińskich służb bezpieczeństwa. Chyba chcieli nas zmylić.

- Redczenko to urodzony morderca, nawet jeśli nie zabił Klugmanna. Działał w Reinbeck, gdzie kierował fabryką narkotyków, założoną w starym młynie. Miesiąc temu, razem z funkcjonariuszami z antynarkotykowego MEK, zorganizowaliśmy na nią nalot.

- I pewnie nikogo nie było w domu? - spytała Maria.

- Właśnie. Ledwie zajęliśmy pozycje, w fabryce wybuchł pożar. Sprawę załatwiły sowieckie miny i zbiorniki z łatwopalnymi chemikaliami. Profesjonalna robota. Zniszczyli wszystkie dowody. Od tamtego czasu nie udało nam się namierzyć Redczenki, chociaż wiemy, że brał udział w różnych operacjach. Wielokrotnie próbowaliśmy go zgarnąć, ale za każdym razem nam się wymykał. Ci ludzie nie mogliby być lepiej wyszkoleni. Weźmy Witrenkę - niełatwo było wyciągnąć informacje z Ukraińców, ale dowiedzieliśmy się, że służył nie tylko w brygadach Kondor i Alfa, ale, podobnie jak inni z jego grupy, także w jednostce Vysotniki. Był to i nadal jest oddział

zorganizowany na wzór brytyjskiej SAS. Działają na zasadzie małych grup operacyjnych, w każdej z nich jest jedenastu ludzi. Z informacji, które wydobyliśmy z naszych kontaktów, wynika, że Witrenko stworzył taką jednostkę w Afganistanie i ponownie powołał ją do życia w Czeczenii. Było w niej trzynastu, zamiast jedenastu ludzi. Domyślamy się, że tu, w jego grupie jest też trzynaście osób.

- To się zgadza z naszymi informacjami - powiedziała Maria.

Volker założył ręce za głowę.

- Celem naszej operacji było zebranie informacji na temat Witrenki. Nigdy przed panem tego nie ukrywałem, Fabel. Przyznaję, że ostatecznym celem było zaproponowanie mu następującego układu: obiecaliśmy, że zrezygnujemy z prowadzenia przeciwko niemu dochodzenia w sprawie jego działalności w przestępczości zorganizowanej, ale tylko wtedy gdy zgodzi się współpracować z jankesami i rzecz jasna, zrezygnuje z kontynuowania nielegalnej działalności. Ale trudno zapewnić nietykalność osobie, która przepada bez wieści, a tym bardziej aresztować ją i zebrać odpowiednią ilość dowodów, żeby wszcząć przeciwko niej postępowanie sądowe. Oczywiście, jeśli Witrenko jest naprawdę odpowiedzialny za te morderstwa, inne sprawy nie mają znaczenia. - Volker pochylił się do przodu, zginając plecy. - Wierzy mi pan, prawda?

- Skoro pan twierdzi, że to prawda... - zrobił unik Fabel. Volker włożył wszystkie fotografie i dokumenty do teczki z aktami i pchnął w kierunku nadkomisarza.

- To pełna wersja, nie do publikacji. Proszę tego pilnować.

Kiedy wrócili do wydziału zabójstw, okazało się, że z FBI przyszedł e-mail zaadresowany na nazwisko Wenera. Maria wydrukowała go i zaniósła szefowi do jego gabinetu.

- Chcesz posłuchać tego... - Maria usiadła naprzeciwko Fabla, po drugiej stronie biurka - „John Sturchak - amerykański partner Eitlów”?

Nadkomisarz skinął głową.

Maria przejrzała dokument, przekazując na głos

najważniejsze informacje.

- Funkcjonariusze FBI są bardzo zainteresowani wszelkimi informacjami dotyczącymi Johna Sturchaka i prowadzonych przez niego interesów. John Sturchak jest synem Romana Sturchaka, który służył w dywizji SS Gallizien w tym samym czasie, co Wolfgang Eitel. Sturchak był jednym z tych Ukraińców, którzy przebili się do Austrii, aby oddać się w ręce Amerykanów pod koniec wojny. Gdyby wpadł w ręce Armii Czerwonej, zostałby rozstrzelany. Roman uzyskał wizę imigracyjną do USA, gdzie jako Sturchak założył firmę importową. Wydaje się, że ta ostatnio założona spółka nie jest jedynym przykładem współpracy między rodzinami Sturchaków i Eitlów. Sturchakowie prowadzą interesy w Nowym Jorku. FBI podejrzewało Romana Sturchaka o związki z przestępczością zorganizowaną, ale nigdy nie skazano go za żadne wykroczenie. Po śmierci ojca w 1992 roku John Sturchak przejął rodzinne imperium. Kiedy runął mur berliński, do Stanów Zjednoczonych przyjechało wielu ukraińskich emigrantów, zarówno legalnych, jak i nielegalnych. Z tych informacji wynika, że John Sturchak jest podejrzany o to, że pomagał emigrantom nielegalnie dostawać się do Stanów Zjednoczonych. Amerykanie mają teraz problem z mafią z Odessy, która kwaterę główną ma na Brighton Beach w Brooklynie, w Nowym Jorku. - Maria podniosła głowę znad dokumentu. - Słyszałam już o nich, to w większości Ukraińcy i Rosjanie. Przy nich włoska mafia to dziecięca zabawa. - Znów spojrzała na dokument. - John Sturchak jest podejrzany o współpracę z rosyjskimi i ukraińskimi organizacjami przestępczymi.

Fabel uśmiechnął się szeroko.

- A więc to jest sekret Wolfganga Eitla, stróża prawa i porządku. Nie chce, żeby wyszło na jaw, że robi interesy z ukraińską mafią.

Maria czytała dalej.

- Cholera, posłuchaj tego. Jednym z powodów, dla których FBI nie mogło dopaść Sturchaka jest sposób, w jaki funkcjonuje mafia z Odessy. Działa ona na zupełnie innych

zasadach niż mafia włoska. Jej podstawą jest komórka, którą zarządza pakhan, czyli szef. Każda komórka składa się z czterech osobno działających grup. Nikt nie ma bezpośredniego kontaktu z pakhanem, który wysyła rozkazy za pośrednictwem tak zwanego brygadiera. Poza tym zatrudniają też zespoły wolnych strzelców, którzy wcale nie muszą być Ukraińcami ani Rosjanami. Wolni strzelcy wykonują zlecenia, inkasują pieniądze i nawet nie wiedzą, dla kogo pracują. FBI ma praktycznie zerowe szanse, żeby dopaść Sturchaka.

- Dlatego chcę wiedzieć, czy mamy dowody wskazujące na jego związek z działalnością przestępczą?

- Właśnie. Ale to nie wszystko. Najwyraźniej mafie rosyjska i ukraińska rzadko zajmują się narkotykami. Specjalizują się w przekrętach finansowych i w kradzieży zaawansowanych technologii. Przede wszystkim jednak dokonują nielegalnych przelewów do i ze Stanów Zjednoczonych; zakładają fałszywe firmy importowo-eksportowe służące do prania zysków ze zorganizowanej działalności przestępczej w Rosji, na Ukrainie, zazwyczaj za pośrednictwem europejskich banków, albo inwestują w nieruchomości.

- Na przykład w Hamburgu. - Fabel pozwolił sobie na odrobinę satysfakcji. Części układanki zaczynały do siebie pasować. To mogli być tylko Eitlowie, ale istniała szansa, że przygwoźdzą kogoś innego za ich udział w całym tym zamieszaniu. Nadkomisarz podniósł się nagle z krzesła i chwycił kartkę z rejestrami transakcji oraz klucz.

- Chodźmy porozmawiać z kolegami od przestępstw finansowych i korporacyjnych.

Sobota, 21 czerwca, 1.30. Komenda Główna Policji, Hamburg

Wygląd Markmanna pasował do jego roli: bardziej księgowy niż policjant. Niski, schludny mężczyzna w nieskazitelnie czystym garniturze, który leżałby pewnie lepiej na bardziej muskularnych ramionach. Markmann uściśnął rękę Fabela z przesadnym entuzjazmem.

- Przyjrzałem się dokumentom z rejestrami transakcji, które pan nam przyniósł, panie nadkomisarzu. - Markmann lekko sepleniał. - Rzeczywiście stawiają one pod znakiem zapytania wiele kwestii i pozwolą nam uzyskać nakaz zabezpieczenia dokumentów każdej z głównych firm i osób, które mają coś wspólnego z tą sprawą. Ale nie sądzę, byśmy mogli trzymać tu dłużej obu panów Eitlów, chyba że postawimy im konkretne zarzuty. Oni zaczynają się stawiać, a właściwie ich kosztowni prawnicy, którzy postanowili zademonstrować, dlaczego tyle biorą za godzinę. Chyba, że pan coś ma...

Fabel uśmiechnął się.

- Tylko podejrzenia i blef. Zobaczymy przynajmniej, czy potrafię wytrącić ich z równowagi. Najpierw porozmawiam ze starszym Eitlem.

Typowa scena z pokoju przesłuchań. Przy stole czterech mężczyzn, po dwóch naprzeciw siebie. W tej chwili jeden stał z założonymi rękami i oskarżycielsko patrzył z góry na swojego przeciwnika, który udawał, że nie robi to na nim żadnego wrażenia. A jednak w tej scenie było coś niepokojącego. Funkcjonariusze policji znaleźli się pod presją silnej osobowości Wolfganga Eitla. Fabel zorientował się, że podczas przesłuchania Eitel stopniowo zyskał nad nimi przewagę i że konieczna jest stanowcza interwencja.

- Proszę usiąść! - nakazał, wchodząc do pomieszczenia.

Eitel wyprostował się i spojrział z góry na Fabela.

- Rżnie pan arystokratę, Eitel - rzucił pogardliwie Fabel. - Ale wszyscy wiemy, że jest pan synem bawarskiego chłopca. Taka zgrywa jest pociągająca, gdy połowę dzieciństwa spędziło się po kolana w świńskim gnoju. A teraz siada pan!

Fabel ze zdziwieniem stwierdził, że prawnikiem Eitla był Waalkes, szef działu prawnego Grupy Eitel, który specjalizował się bardziej w sprawach handlowych niż kryminalnych. Rozjuszony prawnik skoczył na równe nogi.

- Nie może pan! Nie ma pan prawa! - Aż się zapluł. - Nie będę tego tolerować! Nie pozwolę panu odzywać się w ten sposób do mojego klienta! Pan go obraża!

Eitel uśmiechnął się ze zrozumieniem i gestem nakazał Waalkesowi, by ten usiadł. Prawnik natychmiast opadł na krzesło. Eitel był jak pastuch, bez słów przywołujący psa do porządku.

- W porządku, Wilfried. Myślę, że pan Fabel chce nas sprowokować.

Powiedziawszy to, usiadł. Markmann skinął głową na dwóch policjantów, żeby wyszli, po czym on i Fabel zajęli ich miejsca.

- Zmiana ekipy - stwierdził Eitel. - Dochrapałem się rozmówcy wyższego szczebla.

- Co oznacza - uzupełnił Waalkes - że coraz rozpaczliwiej szuka pan pretekstu, aby nękać mojego klienta.

Kolejny gest ze strony Eitla uciszył prawnika.

- Niełatwo mnie zastraszyć - uprzedził Eitel i odchylił głowę do tyłu, prezentując imponujący wzrost nawet w pozycji siedzącej. - Pod koniec wojny próbowano mnie zastraszyć w różny sposób. Amerykanie byli grubiańscy i przewidywalni. Upokarzali i grozili. Anglicy byli znacznie subtelniejsi i bardziej profesjonalni: uprzejmi, ale nieustępliwi i nieugięci. Okazywali przesłuchiwanemu szacunek, nawet podziw, próbując jednocześnie wyciągnąć zeń informacje pozwalające go powiesić. Jak pan widzi, nadkomisarzu, ze mną im się nie udało.

Fabel miał taki wyraz twarzy, jakby nie usłyszał ani słowa z

tego, co powiedział Eitel. Wyjął telefon i wybrał numer Marii. Kiedy się zgłosiła, poprosił, żeby przyniosła do pokoju przesłuchań akta z FBI oraz inne dokumenty. Potem siedział w milczeniu. Waalkes otworzył usta, żeby zaprotestować.

- Zamknij się - powiedział Fabel cicho, bez złości.

- Dość tego - powiedział Waalkes wstając. - Idziemy.

- Siadaj! - warknął Eitel. - Nie widzisz, że pan Fabel coś wymyślił?

Kiedy Maria weszła z aktami, napięcie w pokoju było wręcz namacalne.

- Mario - powiedział Fabel wesoło - może się przysiędziesz?

Wzięła krzesło spod ściany obok drzwi i postawiła je przy końcu stołu. Waalkes, który najwyraźniej uznał, że Maria naruszyła jego terytorium, zacmokał z nerwową dezaprobatą i przesunął swoje krzesło w stronę Eitla. Fabel zauważył, że Waalkes, oddając centymetr przestrzeni, wywołał wściekłość u swojego klienta.

- Możemy zacząć? - spytał Waalkes. - Czy też zamierza pan zaprosić tu cały wasz departament?

Fabel zignorował tę uwagę. Wziął akta od Marii, otworzył je, po czym zapytał, nie podnosząc głowy:

- Panie Eitel, czy robi pan interesy z mafią z Odessy, jak nazywają ją nasi amerykańscy przyjaciele?

Waalkes poruszył się na krześle i miał zamiar coś powiedzieć, ale Eitel powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie utrzymuję kontaktów z ludźmi z mafii. - Jego głos był cichy i spokojny, ale brzmiało w nim ostrzeżenie. - Na pańskim miejscu nie wysuwałbym tego typu oskarżeń.

- Czy robi pan interesy z Johnem Sturchakiem?

- Tak. Robiłem też interesy z jego ojcem i jestem z tego dumny.

Fabel podniósł głowę znad akt.

- Ale Sturchak jest kimś w rodzaju ojca chrzestnego... złodziejem... - Udał, że szuka właściwego słowa.

- To pakhan - odpowiedziała Maria, nie spuszczać wzroku z Eitla.

- Tak... To pakhan, prawda? Czyli ktoś, kto oszukuje,

podrabia karty do telefonów komórkowych, zajmuje się prostytucją i handlem narkotykami.

Oczy Eitla pociemniały, jego głos był lodowaty.

- To oszczerstwo. Nieuzasadnione, niepotwierdzone, nieudowodnione, potworne kłamstwo wymierzone w szanowanego biznesmena.

Fabel uśmiechnął się. Osiągnął cel: trafił w czuły punkt Eitla.

- Wolne żarty. John Sturchak to jeszcze jeden ruski kanciarz, podobnie jak jego ojciec.

Eitel poczerwieniał.

- Roman Sturchak był dzielnym żołnierzem i geniuszem wojskowym. Pozwolę sobie dodać, że był też prawdziwym ukraińskim patriotą. Nie pozwolę, aby... - na twarzy Eitla pojawił się grymas, jakby zetknął się z czymś odrażającym - aby ktoś taki jak pan bezczęścił jego pamięć.

Fabel wzruszył obojętnie ramionami.

- Niech pan da spokój. Roman Sturchak był nazistowskim najemnikiem. Zabijał swoich rodaków na rozkaz bandy oprychów z Berlina.

Eitel zastygł, próbując opanować ogarniającą go furię.

- Roman Sturchak walczył za swój kraj. Jedyne, czego pragnął, to uwolnić Ukrainę od Stalina i jego zwolenników. Walczył o wolność. Był wspaniałym człowiekiem, czego nie można powiedzieć o panu.

- Naprawdę? Na jakiej podstawie pan go ocenia? Na podstawie liczby rodaków, których zamordował? A może na podstawie brudnych pieniędzy, które zgromadził w Stanach dzięki oszustwom i korupcji? Ma pan rację, nigdy nie chciałem być kimś takim jak Roman Sturchak.

Eitel podniósł się z krzesła. W tym momencie Waalkes zaczął zarabiać pieniądze.

- Panie Fabel, robi pan wszystko, żeby wyprowadzić z równowagi mojego klienta. Nie pozwolę, aby pan go dłużej dręczył. Jeśli nie ma pan konkretnych pytań o niedociągnięcia finansowe, nie będziemy dłużej uczestniczyć w tym spotkaniu.

- Myślę, że pański klient pierze pieniądze rosyjskiej i ukraińskiej mafii, prawdopodobnie przepuszczając je przez

konta fikcyjnych przedsiębiorstw, założonych z Johnem Sturchakiem. - Fabel poczuł, że siedzący obok niego Markmann sztywnieje. Nadkomisarz zdawał sobie sprawę, że powiedział za dużo, nie mając w rękawie żadnego asa. - Ale istnieją też inne, poważniejsze zarzuty, o których chciałbym z panem porozmawiać.

- Na przykład jakie? - Eitel wyraźnie się opanował. Fabel widział, iż tamten zaczyna pojmować, że to, co dzieje się przy stole, to w dużym stopniu bluff.

- Wkrótce do tego wrócimy. Tymczasem zostawię pana pod troskliwą opieką pana Markmanna. - Podniósł się z krzesła, Maria poszła w jego ślady. - Niedługo wrócę. Proszę tu czekać.

Po wyjściu Fabel skinął głową na dwóch detektywów z wydziału przestępstw finansowych i korporacyjnych, a ci dołączyli do Markmanna w sali przesłuchań.

- Gramy w ciemno - powiedziała Maria.

- Jak cholera - mruknął Fabel ponurym głosem. - Spróbujmy porozmawiać z Eitlem numer dwa.

Tym razem Fabel nie powiedział nic wchodząc do pokoju. Stał pod ścianą w głębi sali z Marią tuż obok, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest obserwatorem i nie będzie uczestniczył osobiście w przesłuchaniu. Zależało mu też na tym, żeby zaniepokoić Norberta Eitla. Dlaczego funkcjonariusz z wydziału zabójstw miałby brać udział w przesłuchaniu dotyczącym nadużyć finansowych?

Obok młodszego Eitla siedział kolejny adwokat w eleganckim garniturze. Dwóch komisarzy z wydziału przestępstw korporacyjnych czytało kopię dokumentu z transakcjami. Po około dziesięciu minutach Fabel podszedł do jednego z policjantów i szepnął mu coś na ucho. Mężczyzna skinął głową, po czym obaj ustąpili miejsc Fablowi i Marii.

- Dzięki - powiedział Fabel. - To nie potrwa długo.

Na twarzy Norberta pojawił się wyraz cierpliwego pobłażania, kiedy Fabel zaczął go wypytywać o związki z rodziną Sturchaków. Tym razem Fabel wzbudził w Norbercie jedynie irytację i zniecierpliwienie.

- To do niczego nie prowadzi - powiedział adwokat Norberta.

Fabel przyznał mu w duchu rację. Wiedział, że nie uda mu się wyciągnąć z Eitlów informacji o Witrence. Wstał i dał obu policjantom znak, że mogą wrócić do roboty. Norbert Eitel poczuł się w tym momencie zwycięzcą. Porzucił obojętny ton i wstał. Jego twarz wykrzywił grymas nienawiści i pogardy. Dźgnął nadkomisarza w pierś palcem wskazującym lewej ręki.

- Załatwię cię, glino - wycedził. - Nie ujdzie ci to na sucho.

Jeszcze raz dźgnął Fabla, jednocześnie popychając go, aby podkreślić swoją przewagę. Fabel chwycił napastnika za przegub.

- Trzymaj pan łapy przy sobie.

Norbert spróbował wyrwać się z uścisku, ale Fabel trzymał mocno jego rękę. Spojrzał na nią i miał już rozluźnić chwyt, gdy nagle zamarł. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w zaciśniętą pięść Norberta, który znowu spróbował ją wyrwać. Przez chwilę się szamotali. Fabel wzmocnił uścisk, aż dłoń Norberta poczerwieniała. Nadkomisarz podniósł głowę, spojrzał Norbertowi w oczy i uśmiechnął się zimno i złowrogo.

- Mam cię - powiedział. W jego głosie brzmiał cichy, gorzki triumf. - Teraz cię mam.

Norbert patrzył na jego twarz, próbując zrozumieć, o co chodzi. Fabel pozwolił sobie na jeszcze jedno spojrzenie. Na wierzchu dłoni Norberta Eitla widniała blizna, a właściwie dwie połączone ze sobą blizny w kształcie kostki obojczykowej kurczaka. Dokładnie takie, jak w opisie Michaeli Palmer.

Zanim Fabel otworzył drzwi pokoju przesłuchań numer jeden, zdążył już stłumić uśmiech. Nie wszedł do środka, jedynie tam zajrzał. Wolfgang Eitel, Waalkes i dwaj policjanci przerwali rozmowę i spojrzeli na drzwi z takimi minami, jakby zobaczyli pędzący wprost na nich samochód.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie zamierzam pana dłużej zatrzymywać. Będzie pan wolny, jak tylko ci dwaj dżentelmeni skończą pana przesłuchiwać.

Na twarzy Eitla pojawił się wyraz złośliwego triumfu. Fabel już się cofał, ale znieścacka zatrzymał się i znowu zajrzał do

środka, jakby przypomniało mu się coś mało ważnego.

- Byłbym zapomniał. Pański syn Norbert jest oskarżony o gwałt, usiłowanie morderstwa i współudział w morderstwie.

Zamknął drzwi. Kiedy usłyszał podniesione głosy w sali, uśmiech powrócił na jego twarz.

W połowie korytarza dogonił go Paul Lindemann.

- Szefie, przed chwilą zadzwonił do mnie Werner. Chce, żebyś przyjechał do Harburga. Znalazł Hansiego Krausa. Martwego.

Sobota, 21 czerwca, 3.30. Harburg, Hamburg

W ciągu dwudziestu lat pracy w policji, z których większość przypadała na wydział zabójstw, Fabel widział dziesiątki miejsc zbrodni. Człowiek przyzwyczajał się do tego albo nie. On nigdy nie potrafił oswoić się ze śmiercią; każde oględziny miejsca zbrodni zostawiały bliznę głęboko w jego wnętrzu. W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów, Fabel nie nauczył się oddzielać człowieczeństwa od cielesności, duszy od ciała.

Łatwo dywagować na temat śmierci, jeśli nie poznało się szokującej różnorodności jej odmian. Fabel widział ich więcej, niżby chciał. Niektóre były straszne - ciało, które pływało miesiąc w Łabie w towarzystwie węgorzy bądź ociekające krwią eksponaty, pozostawiane przez Syna Svena. Inne były dziwaczne: gry erotyczne zakończone tragicznym finałem albo nietypowe narzędzia zbrodni. Niektóre wydawały się wręcz surrealistyczne jak w przypadku handlarza narkotyków, któremu strzelono w tył głowy akurat w chwili, gdy jadł przy kuchennym stole. Znalaziono go w tej właśnie pozycji, z opartą na stole dłonią, w której wciąż tkwił widelec, jakby mężczyzna zrobił sobie chwilę przerwy między kolejnymi kęsami. Przed nim stał talerz wypełniony mózgiem, krwią i odpryskami kości. Zdarzały się też śmierci żałosne: ofiary, które uciekając przed śmiercią, chowały się przed zabójcą za zasłoną czy pod łóżkiem. Ich skulone w pozycji embrionalnej ciała wydawały się dziwnie małe.

Śmierć Hansiego Krausa była jednocześnie żałosna i odrażająca. Ciasna, odrapana klitka, w której Hansi wydał ostatnie tchnienie, musiałaby bardzo się postarać, by być bardziej odstręczająca. Wszystkie powierzchnie, włącznie ze ścianami i nągą, smętnie zwisającą z sufitu żarówką, pokrywała warstwa lepkiego kurzu. Chociaż Werner szeroko otworzył

okno, w powietrzu nadal unosił się stęchły odór, niczym zły duch niewrażliwy na żadne egzorcyzmy.

Wielka, brudna kurtka okrywała częściowo nogi Hansiego, który nie czuł już ciepła ani zimna. Jego otwarte oczy zapadły się w głąb oczodołów, upodabniając jego twarz do trupiej czaszki. Rozkład zaczął się od głowy, pomyślał gorzko Fabel, i to już znacznie wcześniej, gdy żarłoczność nałogu Hansiego zaczęła przetwarzać jego ciało w szkielet. Jeden rękaw koszuli był podwinięty do połowy, odsłaniał atroficzny lewy biceps. Nad łokciem widniała poluzowana gumowa opaska, na przedramieniu zaś świeży ślad po ukłuciu, ledwie dostrzegalny wśród archipelagu starych blizn, tworzących mapę jego dziesięcioletniego rejsu po morzu uzależnienia. W słabo zaciśniętej prawej dłoni Hansiego tkwiła strzykawka.

Bardzo sprytnie, pomyślał Fabel. Obejrzał całe odrażające miejsce zbrodni. Bardzo sprytnie.

Zabójca zrobił wszystko, by upozorować śmierć na skutek przedawkowania, mogącą zainteresować jedynie statystyków. Śmierć typowa, anonimowa, którą policjanci zdawkowo odnotowywali w aktach: jeszcze jeden ćpun, który przedobrzył. Ale ten ćpun miał coś do powiedzenia i uciszono go, zanim zdążył komukolwiek zdradzić swój sekret.

- Poinformowałeś miejscową policję? Werner potrząsnął głową.

- Chciałem, żebyś to najpierw zobaczył. Bardzo wygodne, prawda?

- I w dodatku zadziwiający zbieg okoliczności. Chcę, żeby ludzie Braunera przeczesali to miejsce. Zawiadam lokalną komendę, ale powiedz im, że podejrzewamy morderstwo, więc zajmie się tym wydział zabójstw.

Fabel spojrzał jeszcze raz na Hansiego. Widział nie marne zwłoki ćpuna, ale człowieka, który był czyjś synem, który kiedyś miał marzenia, nadzieje i ambicje.

- Mówiłeś w Komendzie Głównej, że Hansi zaczął się nagle dziwnie zachowywać - powiedział do Wenera. - W stołówce?

- Tak. Nagle zrobił się nerwowy i chciał urwać się stamtąd jak najszybciej.

- Powiedziałem ci wtedy, że Hansi pewnie jest na głodzie. Ale może wcale tak nie było? Może po tym, jak kazaliśmy mu oglądać zdjęcia przestępców, tam, w komendzie, zobaczył jednego albo obu morderców?

- Na początku zachowywał się normalnie. W stołówce było kilku mundurowych. Typowy zestaw. Dopiero kiedy usiedliśmy przy stoliku, zaczął się podniecać. Właściwie siedzieliśmy tam już jakiś czas... - Twarz Wenera nie wyrażała żadnych emocji. Wpatrywał się w dali, jakby przed jego oczami na nowo rozgrywały się wspomniane zdarzenia. - Mam! - Jego twarz ożywiła się, ale zaraz przesłonił ją mroczny cień. Spojrzał spode łba na Fabla. - O cholera...

Sobota, 21 czerwca, 17.30.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Prosto z brudnej nory Hansiego Fabel i Werner udali się do biura van Heidena. Kiedy ich wprowadzono, Fabel wciąż czuł spleśniały, cuchnący odór, jaki przywarł do jego marynarki. Nagle ogarnęła go wręcz obsesyjna chęć, aby pognać do domu, wziąć prysznic i zmienić ubranie.

Van Heiden najwyraźniej nie był w nastroju do pogawędek.

- Jest pan tego pewien, nadkomisarzu? - Naczelnik wydziału zadał to pytanie, zanim jeszcze Fabel i Werner zdążyli zamknąć za sobą drzwi. Siedzący naprzeciwko van Heidena Volker nie wstał, ograniczając się do skinienia głową. Fabel zauważył leżące na stole dwa czerwone segregatory z aktami personalnym. - To bardzo poważny zarzut.

- Nie, panie naczelniku, nie jestem pewien. Mamy tylko garść faktów, na podstawie których wyciągamy racjonalne wnioski.

Fabel i Werner wciąż stali naprzeciw wielkiego biurka van Heidena. Naczelnik wskazał im dwa wolne krzesła obok Volkera. Usiedli i Fabel mówił dalej.

- Z informacji, które otrzymaliśmy od pana Volkera, wynika, że ktoś w policji hamburskiej jest wtyczką i sprzedaje informacje nowej ukraińskiej organizacji przestępczej oraz, jak się domyślamy, innym gangom. On, ona lub oni bez wątpienia zabijają każdego, kto mógłby ich zidentyfikować. Pułkownik Volker jest przekonany, że rozszyfrowali Klugmanna jako tajnego agenta federalnego i albo wydali go Ukraińcom, albo sami zabili.

- Wygląda na to, że wykonali własnoręcznie brudną robotę - włączył się Werner. - Hansi Kraus powiedział nam, że mordercy, których widział, to Niemcy a nie cudzoziemcy. Mówił, że lubią swoją pracę. Według sądowego patologa te sukinsyny torturowały Klugmanna, zanim go zamordowały.

Rzecz jasna, ukraiński pistolet, który Hansi znalazł, został podrzucony, aby nas zmylić.

Fabel przejął pałeczkę.

- Kiedy przyprowadzono tu Krausa, żeby obejrzał zdjęcia przestępców, Werner zabrał go do stołówki. Tam coś lub ktoś wypłoszył Hansiego do tego stopnia, że postanowił wiać. Teraz Kraus leży martwy, ale jego „złoty strzał” został starannie podrobiony.

Van Heiden słuchał z ponurą twarzą. Fabel zauważył, że Volker nie zwraca uwagi na mówiących, lecz na reakcję naczelnika.

- W porządku. Dowody wskazują na skorumpowanych funkcjonariuszy policji. Ale jakie dowody mamy przeciwko konkretnie tym dwóm funkcjonariuszom? - Van Heiden pchnął w kierunku Fabela czerwone segregatory z aktami personalnymi.

- Nie mamy jeszcze wiarygodnych dowodów - odrzekł Fabel. - Relacja Hansiego była prawdziwa. Jego opisy zabójców pasują do wyglądu podejrzanych. Co więcej - Fabel otworzył pierwsze akta i stuknął palcem w fotografię w prawym górnym rogu na pierwszej stronie - kiedy byłem w jego gabinecie, zauważyłem kilka nagród z zawodów bokerskich. Jedną z nich otrzymał za udział w zawodach wagi półciężkiej w Harburgu. Tam dorastał. Hansi wspomniał, że starszy z dwóch zabójców ubolewał nad tym, że dzielnica, gdzie się wychował, schodzi na psy. - Fabel otworzył drugie akta. - Kraus powiedział też, że drugi, młodszy mężczyzna, który pociągnął za spust, był potężnie zbudowany. Opis pasuje do tego faceta.

- To wszystko wydaje się zbyt naciągane i oparte tylko na poszlakach - powiedział van Heiden.

- Istotnie - zgodził się Fabel i dodał: - Dopóki nie zdobędziemy przeciwko nim wiarygodnych dowodów. Chcemy zacząć od wizji lokalnej na miejscu zbrodni. Miejscowe chłopaki wiedzą, że uznaliśmy to za morderstwo i na pewno wiadomość ta dotarła już do naszych przyjaciół tutaj. Ale najbardziej przekonującym, choć, przyznając, subiektywnym dowodem jest zachowanie Krausa w stołówce Komendy

Główniej. - Fabel spojrział na Wenera.

- Próbowałem sobie przypomnieć, w którym dokładnie momencie Hansi zaczął wierzgać - powiedział Wener. - I wtedy uprzytomniłem sobie, że wtedy, kiedy weszli tamci dwaj. - Wskazał na akta. - Weszli i usiedli niedaleko nas. Hansi zaczął się zachowywać, jakby wsadzono mu w tyłek kabel elektryczny. Spytał nawet, kim jest ten potężny facet. A ja mu powiedziałem.

- Pytał pan, czy jestem pewien. Jestem pewien, że ci dwaj to ludzie, których szukamy. - Fabel wskazał głową akta. - Mają odpowiednią pozycję, aby sprzedawać niezwykle cenne informacje. Mają odpowiednią rangę i pracują we właściwym wydziale. - Nadkomisarz spojrział z otwartością na van Heidena. - Czy jestem pewien, że potrafimy to udowodnić? Nie. Natomiast to, czy zdołamy zebrać dostatecznie dużo dowodów, żeby ich skazać, jest zupełnie inną sprawą.

Znowu zapadła cisza. Wszyscy pochylili głowy i spojrzeli na zdjęcia nadkomisarza Manfreda Buchholza i komisarza Lothara Lepperta z LKA7.

Sobota, 21 czerwca, 20.00.
Speicherstadt, Hamburg

Fabel, tak jak poprzednio, zaparkował samochód na Deichstrasse i resztę drogi do Speicherstadt przeszedł pieszo. Na tle ciemnego nieba majaczyły wielkie magazyny, czerwone cegły odbijały słabnące światło, lśniąc jak żarzące się węgle. Stał przed budynkiem, który kiedyś wynajmował Klimenko i otworzył ciężkie drzwi. Poprzednim razem, kiedy tu był, w środku panował półmrok, ale teraz nie paliły się żadne światła. Wielki kałdun magazynu pochłonął zmierzch bez reszty, wessał resztki światła sączącego się przez dalekie okna i przez drzwi. Fabel zaczął żałować, że nie wziął latarki. Pamiętał zwisające z sufitu magazynu świetlówki, a gdzieś przy drzwiach musiał być włącznik, ale nie potrafił go znaleźć.

- Majorze Witrenko! - Jego głos odbił się echem od ścian i zamarł w ciemnym wnętrzu. Zaklął z cicha i spróbował jeszcze raz:

- Witrenko!

Mimo napięcia przebiegła mu przez myśl autoironiczna analogia, wynikająca z wykrzykiwania tego szczególnego nazwiska. To było jak obraz jego śledztwa - łowów na widmowego potwora, kryjącego się w mroku. Nie doczekawszy się odpowiedzi, spróbował raz jeszcze rozejrzeć się po magazynie, wyteżył wzrok i wysunął do przodu głowę, jakby to miało wyostrzyć jego wzrok. Nagle wydało mu się, że dostrzega słabą poświatę, dobywającą się, jak przypuszczał, z jednego z wąskich okien biurowego kantorka. Zawołał jeszcze raz. Cisza. Coś było nie w porządku. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Było po ósmej. Wiedział, że Ukrainiec, nawykły do wojskowego stylu życia i punktualności, nigdy by się nie spóźnił. Fabel sięgnął ręką pod marynarkę i wyjął z kabury walthera. Przeklął swoją krótkowzroczność: założył, że

ponowne spotkanie z Ukraińcem będzie zwykłą rutyną, więc nikt nie wiedział, że Fabel tu przyjechał. Był sam. Wyciągnął lewą rękę i jeszcze raz przesunął dłonią po ścianie obok drzwi, ale i tym razem nie znalazł włącznika.

Wtedy coś usłyszał. Odgłos dobiegający z ciemności, tak cichy, że Fabel nie potrafił go zidentyfikować. Zastygł i skierował pistolet w stronę, skąd dobiegł dźwięk. Wyteżył słuch. Cisza. Przez chwilę nie odrywał oczu od dalekiej poświaty, potem ostrożnie ruszył w jej kierunku. Odwracał się od czasu do czasu. Pamiętał, gdzie są filary, podchodził do każdego, macając lewą ręką w poszukiwaniu włącznika.

Dźwięk rozległ się znowu. Jęk albo zduszony szepet.

- Witrenko? - zawołał Fabel. Tym razem w jego głosie brzmiała niepewność, bo nie wiedział, czy odpowie mu ojciec, czy syn. W odpowiedzi usłyszał stłumiony jęk, jakby dobywał się z zakneblowanych ust. Fabel odwrócił głowę w stronę odgłosu. Zaczął nasłuchiwać, ale jedyną rzeczą, jaką usłyszał w ciszy magazynu, był jego własny dudniący puls. Ścisnął mocniej pistolet, uświadamiając sobie, że ręce, podobnie jak twarz, ma mokre od potu.

Był już blisko kantorka. Domyślił się, że schody znajdują się w odległości około metra. Stanął obok kolejnego filara i obmacał go. Wyczuł pod dłonią przewód, biegnący pionowo wzdłuż wspornika. Przesunął ręką w dół i natrafił na włącznik. Wziął głęboki oddech i odsunął się od kolumny, wyciągając lewą rękę tak, by tylko czubkami palców dosięgał przycisku. Rozluźnił i znowu zacisnął dłoń, w której trzymał pistolet, gotów skierować go na to, co pojawi się przed nim po zapaleniu światła

Wcisnął włącznik i kilkanaście lamp, wiszących rzędem pośrodku sufitu, rozbłysło, oświetlając scenę rodem z piekła.

Dziewczyna o złotych włosach, jeszcze niedawno tak młoda i pełna wigoru, teraz była martwa. Wisiała rozpięta na ścianie kantorka. Jej nagie, rozprute ciało, z którego wyrwano płuca, zostało przybite gwoździami w taki sam sposób, jak ciała ofiar

na zdjęciach zrobionych dwadzieścia lat wcześniej daleko stąd. Krew i wnętrzności lśniły na podłodze jak wilgotna, czerwona farba. Wraz z życiem wydarto dziewczynie ludzki wygląd. Fabel spróbował sobie przypomnieć, jak wyglądała, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że patrzy na zniekształcony szkielet groteskowego ptaka z ludzką głową. Przeklął tę myśl, wiedział, że morderca chciał wywołać takie uczucia. Z trudem złapał oddech, cofnął się i oparł o filar. Nie mógł oderwać wzroku od koszmarnego obrazu.

Po chwili znowu usłyszał niski, stłumiony jęk. Jak obudzony z lunatycznego snu, odwrócił się i ruszył sztywno w kierunku, skąd dobiegał dźwięk. Pod filarem naprzeciwko koszarnej sceny stał stary Ukrainiec. Skrępowano go drutem, który związano z tyłu na wysokości głowy tak, by wpijał mu się w szyję. Wrzynał się głęboko w ciało starego, na jego koszuli z przodu widniały ciemnoczerwone plamy krwi. Usta miał zaklejone kawałkiem szerokiej taśmy. Fabel widział, że tamten żyje, jego wytrzeszczone oczy płonęły dziko. Z nagłą uświadomił sobie, że Witrenko kazał ojcu patrzeć. Urządził powtórkę z historii i zmusił nieszczęśnika do patrzenia, jak wrywa pulsujące oddechem płuca z ciała dziewczyny. Fabel rzucił się do przodu i chwycił w dłonie głowę starego człowieka, który wpatrywał się w niego dzikimi, zielonymi oczami. Ukrainiec próbował coś powiedzieć.

- Proszę... zaczekać - wykrztusił Fabel, nie odrywając wzroku od drutu wpijającego się w ciało tamtego. Nie miał pojęcia, jak uwolnić Ukrańca, zanim wykrwawi się na śmierć. - Zaraz panu pomogę.

Ukrainiec potrząsnął głową tak gwałtownie, że drut werznął mu się głębiej w ciało i wydał dziki okrzyk, który stłumiła taśma. Fabel aż cofnął się, zdumiony.

- Na Boga, niech pan się nie rusza. - Schował pistolet do kabury i zaczął odrywać taśmę z ust starca. Ukrainiec znów potrząsnął głową i spróbował ją pochylić. Fabel spojrział w miejsce, które tamten usiłował wskazać mu roziskrzonymi oczami.

Wtedy zobaczył.

Obok kostek więźnia widniał umocowany do filaru duży, gruby krążek. Fabel domyślił się, że to mina przeciwczołgowa z przymocowanym czarnym sześcianiem detonatora, pulsującego zielonym światełkiem. Prerażenie Fabla wzrosło, kiedy uświadomił sobie, że dwa grube druty, wybiegające ze skrzynki były tymi samymi, którymi Ukraińca przywiązano do filaru. Najmniejszy ruch spowodowałby eksplozję. Zielone światełko na detonatorze wskazywało włączony mechanizm czasowy. Unieruchomiony mężczyzna znowu zaczął poruszać głową i oczami, jakby chciał popchnąć policjanta w kierunku wyjścia.

Kiedy Fabel odezwał się, głos mu się łamał.

- Nie mogę. Nie mogę pana tu zostawić.

W zielonych oczach Ukraińca pojawiło się coś na kształt spokoju i cichej rezygnacji. Zamknął oczy i ledwie dostrzegalnie skinął, rozgrzeszając Fabla. Jemu dawał życie, sobie - śmierć.

- Sprowadzę pomoc - wymamrotał Fabel bez przekonania; obydwaj wiedzieli, że nikt nie mógł tu pomóc. Patrząc staremu w oczy tak długo, jak pozwalał na to zdrowy rozsądek, Fabel zaczął się cofać, potem odwrócił się i przyspieszył kroku. Wreszcie puścił się pędem przez pusty magazyn. Biegł ku zbawczym drzwiom. Tam, gdzie było życie.

Wypadł na wąski pas chodnika na zewnątrz z takim impetem, że gdyby nie ogrodzenie, w które uderzył, z pewnością runąłby głową do kanału. Podeszwy jego butów ślizgały się na bruku, kiedy pobiegł wzdłuż ściany sąsiedniego magazynu. Opadł na kamienie, opierając się plecami o ścianę z czerwonej cegły i zamarł w oczekiwaniu. Nie czekał długo.

Głęboko we wnętrzu budynku rozległ się podobny do grzmotu, ogłuszający łomot, jakby gigantyczna pięść uderzyła w gmach. Ściana, o którą Fabel oparł plecy, i ziemia pod nim zadrżały. Ciężkie drzwi magazynu zostały wyrwane z framugi, okna znajdujące się na poziomie drugiego piętra rozprysły się na drobne, błyszczące kawałki. Fabel skulił się na boku w pozycji embrionalnej, osłaniając twarz rękami, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Potężna fala biało-ceglastych płomieni bluznęła przez zdewastowane otwory i jak wściekłe

zwierzę cofnęła się z rykiem do środka. Powietrze wypełnił duszący pył, dym i odłamki. Gdy sięgające trzewi tąpnięcie wybuchu zamarło, wydawało się, że świat zdrewniał w osłupiałej ciszy. A potem we wszystkich sąsiednich magazynach włączyły się alarmy. Fabel dźwignął się i usiadł prosto.

Zdawało mu się, że tkwił tak nieruchomo przez całą wieczność. Zacisnął mocno powieki, ale wciąż miał pod nimi lśnienie zielonych oczu starego. Tych samych oczu, które wpatrywały się w niego, kiedy stary dusił go w mieszkaniu Angeliki Blum. Tych samych, które pozwoliły Fabelowi odejść. Tych samych smutnych oczu ojca, które blisko dwadzieścia lat wcześniej patrzyły na potworne czyny syna.

Fabel usłyszał w oddali odgłos syren zbliżających się do Speicherstadt. Z trudem dźwignął się na nogi. Nos i usta wypełniał mu pył, zaczął kaszleć. Nadal opierał się o ścianę, jakby w obawie, że jeśli się od niej odsunie, zaginie w chaosie pyłu i mroku. Kiedy zamknął oczy, znowu zobaczył koszmarną kompozycję z zakrwawionym ciałem, którą Wasyl Witrenko stworzył dla niego na ścianie magazynu, ujrzał przywiązanego do kolumny Ukraińca, zmuszonego do słuchania wycia młodej kobiety, której wyrwano wnętrzności. Witrenko był mistrzem i chciał, aby Fabel ujrzał jego dzieło. Uświadomił sobie nagle, że morderca nie zamierzał go zabić. Zaaranżował wszystko w ten sposób, by prześladowca zdążył zobaczyć krwawy obraz. Wiedział, że Fabel będzie cierpieć męki bezradności, próbując ocalić Słowianina od nieuchronnej śmierci, i w końcu ucieknie. Chciał wbić mu na zawsze w pamięć te dwa obrazy: dziewczyny, której wyrwano wnętrzności, i starego człowieka czekającego na śmierć. A potem zniszczył wszelkie po nich ślady. Sprawił, by przetrwały jedynie w głowie Fabla.

Osunął się po ścianie do pozycji siedzącej. Stłumił szloch. Oparł głowę o cegły i czekał, aż nadejdzie niepotrzebna pomoc.

Sobota, 21 czerwca, 20.30.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Raport dowódcy straży pożarnej dowodzącego akcją gaśniczą nie zaskoczył Fabela.

- Oprócz ładunku wybuchowego przyczepionego do filaru znaleźliśmy dowód na to, że w pobliżu kantoru rozmieszczono substancję przyśpieszającą zapłon. Myślę, że to była nafta. Z kantoru prawie nic nie zostało; to, co było w środku, spłonęło natychmiast. Znaleźliśmy kilka otwartych pięciolitrowych pojemników. W każdym razie w ten sposób wszystkie dowody z miejsca zbrodni zostały zniszczone.

Fabel podziękował mu nieuważnie i strażak wyszedł z sali. Zapadła pełna przygnębienia cisza, którą przerwała Maria.

- Holger Brauner jest tam w tej chwili ze swoim zespołem - powiedziała. - Ale wszystko poszło z dymem.

- On z nami igra - rzucił nagle Fabel, nie patrząc na nikogo. - Igra ze mną. Chciał, żebym to zobaczył i opowiedział o tym innym. Dlatego powiesił kobiety w tej cholernej stodole w Afganistanie. Urządził sobie z tego jakiś chory wernisaż, liczył na to, że inni obejrzą jego wystawę. - Fabel spojrzał na kolegów, do których nagle dotarło, że ich szef czuje się bezradny. - To jego sztuka. Tak jak obrazy Marlies Menzel wystawione w Bremie.

- Co teraz, szefie? - Zabrzmiało to jak wyzwanie, a nie pytanie.

- Teraz jadę do domu wziąć prysznic. - Fabel czuł, że jego spotkanie ze śmiercią tego dnia było zbyt bliskie. Włosy i skórę pokrywała mu warstwa pyłu, czuł suchość w ustach i w gardle. - Spotkajmy się tu koło dziesiątej.

- Dobrze, szefie. Ściągnąć cały zespół?

Fabel uśmiechnął się. Maria nigdy nie narzekała. Po prostu robiła swoje.

- Tak... ale nie dzwoń do Anny. Powiedziałem jej, że będzie miała wolne przez dwadzieścia cztery godziny. Wyglądała na wykończoną operacją z MacSwainem.

Maria skinęła głową.

- Skontaktuj się za to z van Heidenem i spytaj, czy przyjdzie na spotkanie.

- Tak, szefie.

Sobota, 21 czerwca, 21.30.
Pöseldorf, Hamburg

Odsłuchując trzy wiadomości na automatycznej sekretarce, Fabel miał wrażenie, że pochodzą z innego świata, gdzie nie słyszano o okrucieństwie i zbrodni. Pierwsza była od córki Gabi. W jej głosie brzmiał śmiech. Fabel słuchając głosu córki miał wrażenie, że ktoś rozsunął ciężkie, zakurzone zasłony w ciemnym, przerażającym pokoju, wpuszczając do wnętrza jasne światło. Lecz tego wieczoru ani jeden promyk światła nie był w stanie przeniknąć do ciemnego pokoju, w którym się znajdował.

Gabi było przykro, że nie spotkali się w poprzedni weekend i pytała, czy może u niego przemocować pod koniec tygodnia. Chciała pójść na koncert Die Fantastischen Vier. Fabel nigdy nie potrafił zrozumieć rapu, quasi-muzyki, wyrosłej w murzyńskich gettach Nowego Jorku, Chicago i Los Angeles i operującej ulicznym slangiem, która później dotarła do Niemiec. Rap był pasją Gabi, jedną z wielu rzeczy, jakie odsuwały ją od rodziców, w miarę jak stawała się niezależna. Fabel westchnął ciężko.

Następna wiadomość była od Susanne. Prosiła, żeby do niej zadzwonił i dał znać, jak się czuje. Trzecia była od brata Fabla - Leksa.

Lex był starszy, ale jego nieposkromiona, czupurna młodość, sprawiała, że wydawał się dziesięć lat młodszy. Nie była to jedyna różnica między nimi. Lex, niższy od brata, miał czarne włosy, a celtyckie poczucie humoru wryło wokół jego oczu głębokie zmarszczki. Lex prowadził restaurację i hotel na Sylcie, północnofryzyjskiej wyspie, która kiedyś słynęła z rybołówstwa, ale stopniowo przerzuciła się na połów grubych ryb Hamburga i Berlina. Restauracja Leksa znajdowała się na niewielkim wzgórzu za wydmami, skąd

rozciągał się wspaniały widok na szeroki pas białego piasku i błyszczącą, zmienną taflę Morza Północnego. Fabel spędził tam wiele czasu. Dom brata był dla niego czymś w rodzaju azylu. Tam odzyskiwał siły po postrzale. Tam wycofał się, kiedy próbował pogodzić się z tym, że nie będzie już częścią rodziny. Mężem. Ojcem, który spędza większą część swego czasu z córką.

Lex dzwonił bez konkretnego powodu. Po prostu chciał się dowiedzieć, co słyhać u brata, odnawiając tym poczucie winy u Fabela, ponieważ to Lex częściej do niego dzwonił. Słyszając jego głos, Fabel uświadomił sobie, jak bardzo chciałby uciec z Hamburga, patrzeć całymi tygodniami na wiecznie zmieniający się ocean w wyblakłej od słońca koszulce, dżinsach i sandałach. Pragnął wrócić do swego schronienia, tym razem obok wspomnień pojawiła się twarz Susanne. Pod wpływem impulsu zdecydował, że kiedy ta koszmarna sprawa się skończy, poprosi Susanne, żeby pojechała z nim na Sylt.

Zanim oddzwonił do osób, które zostawiły mu wiadomości na sekretarce, wystukał numer telefonu komórkowego Mahmuta. Turek był z nim w Speicherstadt, kiedy Fabel poznał ojca Witrenki. Dwoje z czworga ludzi, którzy tam wtedy byli, nie żyło. Chciał się upewnić, że Mahmut nie był trzeci w kolejce. Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał głos przyjaciela. Opowiedział mu, co się wydarzyło w magazynie, zaskoczony tym, jak drży mu głos. Mahmut milczał przez chwilę.

- Jezu, Jan. Myślałem, że to ja żyję w niebezpiecznym świecie - powiedział. - Nie mogę uwierzyć, że oni nie żyją. Nie mogę uwierzyć, że on zrobił to własnemu ojcu. - Mahmut zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. - Słuchaj. Na jakiś czas zniknę. Wyjadę z Hamburga. Nie wiem, czy ten superwiking uważa, że jestem dla niego zagrożeniem, ale nie chcę skończyć jako nordycki kebab. Skontaktuję się z tobą, kiedy wrócę. Tymczasem mnie nie szukaj.

- Rozumiem - powiedział Fabel.

Mahmut się rozłączył. Fabel zadzwonił do Gabi. Jak zwykle odbyli krótką, radosną pogawędkę. Rozumieli się w pół słowa. Obawiał się, że śledztwo pochłonie cały jego czas, ale chciał,

aby Gabi przyjechała. A ona chciała pobyć z nim, nawet jeśli będzie musiał pracować. Dla Fabla czas spędzony z córką był na wagę złota, nie opuściłby żadnej okazji spotkania.

Skończył rozmowę i uświadomił sobie, że nic nie jadł. Poszedł do kuchni, zrobił sobie sałatkę i mocną kawę. Przygotowując jedzenie, zaczął wybierać numer Leksa, ale odwiesił słuchawkę, zanim go połączono. Pomyślał, że brat jest na pewno zajęty w kuchni albo jadalni. Wobec tego zadzwonił do Susanne. Kiedy usłyszała o wydarzeniach w Speicherstadt, była wstrząśnięta. Chciała natychmiast przyjechać, ale Fabel jej to wyperswadował tłumacząc, że musi wrócić do Komendy Głównej. Susanne bardzo się przejęła, ale gdy Fabel zaproponował jej wspólną wyprawę na Sylt, wyraźnie się ożywiła.

- Bardzo bym chciała, Jan. Myślę, że to nam dobrze zrobi. Martwi mnie cena, jaką będziesz musiał zapłacić za ten koszmar.

To prawda, pomyślał Fabel.

Po rozmowie z Susanne bez entuzjazmu zjadł sałatkę, zaparzył sobie jeszcze jedną kawę i poszedł do dużego pokoju. Zapalił światło i usiadł na kanapie tak, że widział swoje odbicie w wielkim oknie. Odetchnął głęboko i spojrział na zegarek. Chciał pozbyć się napięcia w szyi i ramionach przed czekającą go konferencją.

Sięgnął ręką po leżący na stoliku *Słownik nazwisk angielskich*, który dostał od Ottona i roześmiał się cicho. Tylko Otto wiedział, że jego przyjaciel odnajdywał spokój, przeglądając tomy poświęcone etymologii niemieckich lub angielskich słów. Fabel uwielbiał prace encyklopedyczne. Były jak oceany, po których można było pływać bez celu, znajdować jakąś informację i po chwili dryfować do następnej. Na próżno szukał swojego nazwiska. Wiedział, że „Fabel” jest spotykany w Holandii, Danii i Niemczech, więc był trochę rozczarowany, nie znajdując jego śladu na Wyspach Brytyjskich. Poszukał w pamięci rzadkich nazwisk, z którymi się ostatnio zetknął. Jedno wybijało się na czoło jako związane z jego sprawą. Przerzucił kartki i znalazł długi fragment poświęcony

nazwiskom zaczynającym się na Mc i Mac, jak większość nazwisk w Irlandii i Szkocji.

W końcu znalazł hasło „MacSwain”.

Zastygł z filiżanką kawy, na wpół uniesioną do ust. Czas stanął w miejscu. Poczuł, jak serce mu zamiera. A potem bezruch gwałtownie prysł. Fabel gwałtownie odstawił filiżankę na spodek, rozlewając czarny, lepki płyn. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że już nie siedzi, lecz stoi na środku pokoju. W lewej ręce wciąż trzymał książkę otwartą na złowrogim akapicie. Jego prawa dłoń odnalazła słuchawkę telefonu bezprzewodowego. Fabel nacisnął przycisk szybkiego dostępu łączący go bezpośrednio z wydziałem zabójstw.

- Cholera... o cholera... - mruzczał, słuchając sygnału, który wydawał się rozbrzmiewać przez całą wieczność.

Odebrała Maria. Nie tracił czasu na przedstawianie się.

- Anna miała rację... Jezu, daliśmy się zrobić w konia. To MacSwain. MacSwain jest Synem Svena...

Maria wydawała się zaskoczona i nie do końca przekonana, Fabel zareagował na jej wątpliwości potokiem słów.

- On cały czas mówił nam, kim jest, ale tego nie rozumieliśmy. Pisał o tym w każdym e-mailu. Czy nasi ludzie nadal go obserwują?

- Tak, przed jego domem jest co najmniej jeden funkcjonariusz.

- Wyślij tam natychmiast jeszcze kogoś! Powiedz im, żeby tam na nas czekali. Jeśli MacSwain będzie próbował wyjść z mieszkania, mają go aresztować pod zarzutem morderstwa. Zbierz wszystkich w sali konferencyjnej. I powiedz adwokatowi Eitla, że przesłucham Norberta za dziesięć minut, niezależnie od tego, czy adwokat będzie obecny, czy nie. Zobaczymy się w sali konferencyjnej za piętnaście minut.

Sobota, 21 czerwca, 21.00. **Eimsbüttel, Hamburg**

Anna pogrążyła się w głębokim, mrocznym i ciepłym jeziorze snu bez snów. Kiedy wróciła z Komendy Głównej, była tak zmęczona, że nie wierzyła, by udało jej się zasnąć. Sceny z wieczornego spotkania z MacSwainem przelatowały przez jej umysł niczym zmieniające się kanały telewizyjne. Ale narastające znużenie obezwładniło ją wreszcie tak, że ledwie mogła się ruszać. Zmusiła się do zrobienia paru rzeczy przed runięciem na łóżko. Nakarmiła Mausiego, tygrysię przegowanego kota. Zmyła makijaż. Rozebrała się.

Gdy się obudziła, była prawie piąta po południu. Mausi siedział w nogach łóżka, obserwując ją z aroganckim dystansem. Ołów w jej kończynach ustąpił, ale zdążył zamienić się na miejsca z tępym bólem głowy. Wstała, wzięła dwie kodeiny i zanurzyła się w wannie z letnią wodą. Leżała bez ruchu, z mokrym ręcznikiem na oczach czekając, aż woda ostygnie na tyle, by wywołać na jej ciele gęsią skórkę. W łazience panowała niemal idealna cisza, zakłócana z rzadka jedynie pluskiem wody, kiedy Anna poruszała się w wannie. Gdy usłyszała hałasy dobiegające z kuchni, zawołała kilka razy: Mausi!, z anemiczną naganą w głosie, nie zdejmując ręcznika z oczu.

Potem obejrzała pomarszczone, białe, koniuszki palców i niechętnie wyszła z wanny. Wytarła włosy i całe ciało, a potem ruszyła do kuchni. Mausi siedział w kącie i wyglądał na dziwnie wystraszonego.

- Co zmalowałaś, rozrabiako? - Anna rozejrzała się po kuchni, zastanawiając się, co kot mógł zbroić. Potem otworzyła okno, przez które Mausi dostawał się na mały balkon, i kot zniknął. Wzruszyła ramionami, wyjęła z lodówki zimną wodę i wypila kilka orzeźwiających łyków. Poszła z powrotem do sypialni i

właśnie skończyła się ubierać, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Musiał to być przypuszczalnie ktoś z sąsiadów, gdyż obcy musieli korzystać z domofonu, chcąc dostać się do budynku. Anna domyśliła się, że to pani Kreutzer - staruszka, która mieszkała piętro wyżej bezpośrednio nad nią. Pani Kreutzer wiedziała, jaki Anna ma zawód, i przychodziła często, żeby opowiedzieć jej historie o podejrzanych typach, których wypatrzyła w sklepie czy w bibliotece albo kręcących się, niewątpliwie w złych zamiarach, pod domem. Anna częstowała staruszkę zieloną herbatą i cierpliwie wysłuchiwała jej wywodów o upadku cnót obywatelskich i plotek. Anna świetnie rozumiała, że starszej pani doskwiera samotność i jej pełne niepokoju relacje są jedynie pretekstem do nawiązania kontaktu, ale godziła się z tym. Jednak tego wieczoru potrzebowała spokoju. Chociaż spała tak długo, podchodząc do drzwi czuła zawroty głowy.

- Dobry wieczór, pani Kreutz... - zaczęła Anna, otwierając. Kiedy spojrzała w zimne, błyszczące oczy Johna MacSwaina, poczuła, że serce przestaje jej bić.

- Witaj, Anno - uśmiechnął się MacSwain.

W odpowiedzi na jej widoczną dezorientację wyciągnął palec wskazujący, na którym wisiały klucze do jej mieszkania. Odwróciła się gwałtownie, ale kiedy poruszyła głowę, zrobiło się jej ciemno przed oczami. Zaczęła się rozglądać za swoim SIG-Sauerem, którego po powrocie położyła wraz z kaburą na stoliku obok drzwi wejściowych. Nagle wszystko ułożyło się w całość: hałasy w kuchni, woda, dziwne zachowanie Mausiego. Odwróciła się do przybysza. Musiała potrząsnąć głową, żeby skoncentrować wzrok na jego twarzy. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zimne, zielone oczy mężczyzny patrzą na nią z tym samym obojętnym dystansem, z jakim obserwował ją Mausi. Tak, pomyślała ospale, on nie jest człowiekiem. Właśnie to próbowała wytłumaczyć Fabłowi: w zachowaniu MacSwaina brakowało czegoś ludzkiego. Zachwiała się i wyciągnęła rękę, żeby uchwycić krawędź blatu. Ale MacSwain zrobił krok do przodu i złapał ją pod pachy.

- Ostrożnie - powiedział. W jego głosie nie było śladu troski. -

Chyba powinnaś napić się jeszcze wody...

Zanim mieszanka narkotyków, którą intruz wsypał wcześniej do wody, pozbawiła Annę przytomności, dziewczyna poczuła, że musi coś powiedzieć.

- Nie... nie czuję się zbyt dobrze... - wyjąkała. Nie pamiętała, dlaczego to zdanie było tak ważne.

Sobota, 21 czerwca, 21.40.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Maria, Werner, Paul i van Heiden już czekali, kiedy Fabel przybył na miejsce. Maria ściągnęła też dwóch funkcjonariuszy z grupy rozszerzonych zadań, którzy byli jeszcze na służbie. Fabel wszedł zdecydowanym krokiem i stanął przed tablicą. Pod pachą trzymał książkę, którą podarował mu Otto.

- Przejdę od razu do rzeczy - powiedział. - Mamy nowego podejrzanego. A raczej kolejnego podejrzanego. John MacSwain, dwadzieścia dziewięć lat. Obywatel brytyjski mieszkający w Niemczech.

- A Witrenko? - spytał van Heiden.

- Wasyl Witrenko jest w to zamieszany. Myślę, że mamy do czynienia z mistrzem i jego uczniem. Albo wysokim kapłanem i akolitą. Witrenko manipuluje ludźmi. Jego podwładni traktują go z niewolniczym oddaniem, bezmyślnie uczestnicząc w odtwarzaniu starych nordyckich mitów i wierzeń. Ale Witrenko ma kontrolę nie tylko nad nimi. Wykorzystuje różnych ludzi, aby realizować różnorakie cele, także takich, którzy mają problemy psychiczne. John MacSwain jest tego przykładem, podobnie jak Ukrainiec, który został skazany na śmierć za popełnienie podobnych zbrodni w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Fabel zamilkł, w sali panowała absolutna cisza.

- Witrenko miał dostęp do napisanego przeze mnie referatu, dotyczącego aspektów śledztwa prowadzonego w sprawie seryjnych zabójstw w Hamburgu. Witrenko studiował w jednym z wiodących instytutów kryminologii. W ukraińskim instytucie, a z tego co wiemy, Ukraina ma największą liczbę seryjnych morderców na świecie. Dlatego wszystko, z czym stykaliśmy się do tej pory, przypominało podręcznikowe przypadki. Bo to były podręcznikowe przypadki. Witrenko

prawdopodobnie poznał MacSwaina przez Eitlów, dla których MacSwain pracuje. Eitlowie i Witrenko są zamieszani w nadużycia w handlu nieruchomościami, mafia z Odessy też macza w tym palce. Natomiast Norbert Eitel brał bezpośrednio udział w podaniu narkotyków, porwaniu i zgwałceniu młodej kobiety. Wiązało się to z rytuałem. Norbert Eitel ma na lewej ręce wyraźną bliznę, która pasuje do opisu dostarczonego przez jedną z ofiar. Jestem pewien, że Witrenko wykorzystuje rytuał jako siłę spajającą. Z pewnością dowiemy się o innych znaczących osobistościach, które są w to zamieszane.

Fabel znowu zrobił pauzę. Czuł się dziwnie, wypowiadając na głos to, co przedtem żyło jedynie w jego myślach. Słuchacze siedzieli nieruchomo w absolutnej ciszy. Nie było pytań.

- Jeśli chodzi o morderstwa - ciągnął Fabel - Ursula Kastner, prawniczka, zajmująca się nieruchomościami i pracująca dla władz miejskich, musiała wykryć nieprawidłowości w transakcjach związanych z handlem nieruchomościami, w których brała udział firma Neuer Horizont. Odkryła pewnie, że są w to zamieszane ważne osobistości i postanowiła opublikować tę wiadomość w prasie, zamiast zawiadomić o tym policję. Prasę w tym przypadku reprezentowała Angelika Blum. Tina Kramer, funkcjonariuszka BAO-BND, została zamordowana, ponieważ odkryto, że była głównym kontaktem Klugmanna, którego zdemaskowało dwóch funkcjonariuszy z tej samej jednostki. Ci funkcjonariusze brali łapówki i zamordowali Klugmanna w Schwimmhalle, zostawiając na miejscu zbrodni broń palną, charakterystyczną dla ukraińskich służb bezpieczeństwa, żeby zmylić trop. Trzy ofiary, jeden zabójca. John MacSwain. Uczeń. - Fabel wskazał fotografie trzech zabitych kobiet. Potem przesunął rękę w stronę zdjęć zrobionych w Afganistanie. - Swoją drogą mistrz też pokazał w pełni swój kunszt. Widziałem na własne oczy zbrodnię, którą popełnił własnymi rękami. Mordując ojca i jego asystentkę, Witrenko złożył swój podpis. Chciał, żebym zobaczył miejsce zbrodni, zanim zniszczył dowody. To był jego własny ojciec i siostra jednej z ofiar z Kijowa. Witrenko nie zlecił morderstwa MacSwainowi. Własnoręcznie dopełnił dzieła.

- Ale twierdzi pan, że to MacSwain mordował ofiary, poza dzisiejszą zbrodnią - powiedział van Heiden.

- Tak. Witrenko wiedział, jak manipulować MacSwainem. Nasz Anglik jest bez wątpienia socjopata. Swój poznał swego, można powiedzieć. W każdym razie Johnowi MacSwainowi bardzo brakowało stosunków z ojcem. Przypuszczam, że Witrenko odegrał rolę ojca, karmiąc go bajeczkami o wikingach. Prawdopodobnie MacSwain miał z początku wyszukiwać kobiety, wykorzystywane w rytuałach organizowanych przez Witrenkę, które były tak naprawdę zbiorowymi gwałtami. Witrenko na pewno zdawał sobie sprawę, jak głęboko zaburzony jest MacSwain. Po pewnym czasie zlecił mu wykonywanie świętych misji. Jestem prawie pewien, że to MacSwain wysyłał e-maile, ale ich autorem jest Witrenko.

- Dlaczego podejrzewasz MacSwaina? - spytała Maria. - Dlaczego teraz, po tym, co się stało?

- Zdradziło go nazwisko. Odpowiedź mieliśmy w zasięgu ręki. - Fabel położył książkę na stole i otworzył ją. - Etymologia nazwiska MacSwain. To zanglicyzowana forma gaelickiego nazwiska używanego w Irlandii i Szkocji. Przedrostek „Mac” oznacza „syn”. Człon „Swain” wywodzi się od wikingów-najeźdźców, którzy osiedlili się na zachodnich wyspach Szkocji. To gaelicka, potem zanglicyzowana forma staronordyckiego nazwiska *Svein*, znaczącego „chłopiec”.

Fabel zamilkł. Zdawał sobie sprawę, że napięcie w sali sięgnęło zenitu. Obecni wiedzieli, co Fabel powie, czekali na jego słowa.

- MacSwain oznacza „Syn Svena”.

- Wiedziałem! - powiedział Werner. - Anna też. Coś się nie zgadzało, jeśli chodzi o tego gładkiego podrywacza.

- Właśnie odbyłem pogawędkę z Eitlem - mówił dalej Fabel. - Jest w areście, na dole. Powiedziałem mu, że wiem o udziale Witrenki i MacSwaina w gwałtach. Nie odpowiedział, pewnie dlatego że adwokat tak mu poradził, ale jego twarz mówiła sama za siebie. Wyglądał jak człowiek, który zabrnął za daleko. MacSwain to człowiek, którego szukamy. - Fabel zwrócił się do

Marii. - Czyjego dom nadal jest pod obserwacją?

- Posłałam tam jeszcze jednego z naszych, ale policjant z grupy wsparcia, który obserwował dom, powiedział, że MacSwain nie ruszył się stamtąd przez cały wieczór.

- W porządku - powiedział Fabel. - Chcę, żeby wszyscy byli gotowi do akcji za dziesięć minut. Mario, przekaż to wszystkim z grupy wsparcia.

Policjantka w mundurze zapukała do drzwi i zajrzała do sali.

- Na dole jest ktoś, kto chce się z panem widzieć, panie nadkomisarzu. Jakaś pani Kraus...

Margaret Kraus mogła mieć równie dobrze czterdzieści pięć, jak i sześćdziesiąt pięć lat. Była jedną z tych kobiet, które i w młodości, i na starość wyglądają, jakby były w średnim wieku. Jeśli nawet istniało kiedyś rodzinne podobieństwo między matką a synem, to ze zniszczonej twarzy Hansiego skutecznie wymazał je nałóg. Pani Kraus miała okrągłą twarz bez wyrazu i małe, zmęczone brązowe oczy, z których wyzierało bezmierne znużenie. Siedziała w recepcji przy oknie, trzymając ręce złożone na małej kopercie. Kiedy Fabel zbliżył się do niej, wstała.

- Pani Kraus? - Fabel uśmiechnął się współczująco i wyciągnął rękę. - Tak mi przykro z powodu pani straty.

Margaret Kraus uśmiechnęła się gorzko.

- Straciłam Hansiego wiele lat temu. Ale teraz mam jego ciało, które mogę oplakiwać.

Fabel nie wiedział, co powiedzieć. Skinął głową ze stosowną dozą współczucia i zrozumienia. Po chwili milczenia, która wydawała się bardzo długa, Fabel odezwał się:

- Chciała się pani ze mną widzieć. Chodzi o syna? Zamiast odpowiedzi wręczyła mu kopertę. Fabel popatrzył zdezorientowany.

- To od Hansiego - wyjaśniła.

Otworzył kopertę. List był napisany ołówkiem, starannie, szkolnym charakterem pisma. Dla Hansiego bez wątpienia był to ważny list. Dla Fabla - smutna lektura. Większa część miała

charakter osobisty; Hansi przeproszał matkę za to, że przysporzył tylu zmartwień i kłopotów jej i swoim siostrom. Fabel zaczął się już zastanawiać, dlaczego pani Kraus postanowiła pokazać mu ten osobisty list, kiedy jego wzrok padł na końcowy fragment.

Piszę do ciebie po tylu latach, Mamo, ponieważ wydaje mi się, że moje kłopoty się kończą. Nie chcę, żebyś się martwiła i bała, ale wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Jeśli mam rację, nie zobaczymy się więcej. Jeśli przytrafi mi się coś złego, chciałbym, żebyś zniosła ten list nadkomisarzowi Janowi Fablowi z Komendy Głównej Policji. Myślę, że to uczciwy policjant i złapie ludzi, którzy chcą mi zrobić coś złego.

W stołówce Komendy Głównej było dwóch policjantów, kiedy siedziałem tam z panem Meyerem. Zajęli miejsca za nami, po lewej stronie. Jeden był starszy, drugi młodszy. Młodszy miał bardzo krótkie jasne włosy i był potężnie zbudowany, jak atleta. Spytałem pana Meyera, kto to jest. Powiedział, że to Lothar Leppet. To właśnie on zastrzelił mężczyznę na basenie, widziałem to. Starszy mężczyzna, który siedział z nim przy stole, kazał mu to zrobić. Nie powiedziałem o tym wtedy, ponieważ byłem w szoku, widząc ich w siedzibie policji. Myślałem wtedy, że policja jest odpowiedzialna za zabójstwa, ale teraz wiem, że to nieprawda. Pan Fabel będzie wiedział, co zrobić.

Boję się, ale nie tak bardzo, jak myślałem. Nie jestem dobry i nigdy nie byłem, więc tak będzie lepiej.

Tak mi przykro, Mamo. Nie byłem synem, na jakiego zasłużyłaś, a Ty byłaś znacznie lepszą matką, niż bym zasługiwał.

Na zawsze twój

Hansi

Kiedy Fabel skończył czytać, patrzył dłuższą chwilę na list. Potem spojrzął na Margaret Kraus.

- Naprawdę bardzo mi przykro, pani Kraus. Dziękuję, że pani

przyniosła ten list.

- Czy Hansiego naprawdę zabił policjant?

- Hansi został zamordowany przez kryminalistów, proszę pani. - Fabel spojrzał kobiecie prosto w oczy. Była to prawda. - Ale obiecuję pani, że ich złapiemy. - Podniósł list. - Złapiemy ich dzięki temu.

Margaret Kraus uśmiechnęła się uprzejmie, jakby ktoś udzielił jej instrukcji, w jaki sposób trafić na przystanek autobusowy.

- Muszę już iść. Jest bardzo późno.

Fabel ucisnął jej rękę. Była zimna i lekko wilgotna.

- Niestety będą musiał panią zatrzymać jeszcze chwilę. Wezwę funkcjonariusza, aby spisał pani zeznanie. Potem ktoś odwiezie panią do domu. Obawiam się, że będziemy musieli wysłać funkcjonariuszy, którzy będą czuwać nad pani bezpieczeństwem przez kilka dni, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

Frau Kraus wzruszyła z rezygnacją swoimi szczupłymi ramionami.

- Wobec tego poczekam - powiedziała i usiadła z powrotem na poprzednim miejscu. Położyła na kolanach ręce, w których nie trzymała już ostatniego listu od syna.

Van Heiden czekał na Fabla, gdy ten wyszedł z recepcji. Nadkomisarz przekazał mu list i wskazał oskarżycielski akapit.

- Zajmie się pan tym, panie naczelniku? - spytał.

Van Heiden nie odpowiedział, ale Fabel w jego wściekłym spojrzeniu mógł odczytać bliską przyszłość: Buchholz i Leppert, choć jeszcze o tym nie wiedzieli, stali na drodze pędzącego pociągu ekspresowego.

- Przyszedłem, żeby panu to dać. - Van Heiden podał mu kartkę z e-mailem.

Policja Hamburg Wydział Zabójstw

Od: **SYNA SVENA**

Do: **GŁÓWNY NADKOMISARZ JAN FABEL**

Wysłano: **SI CZERWCA 2003, 21:30**

Temat: **CÓRKA DAWIDA**

WYDAJE SIĘ PANU, ŻE JEST PAN BLISKO MNIE, ALE TO JA JESTEM BLISKO PANA. DOSTARCZYŁEM PANU MOCNYCH PRZEŻYĆ, PANIE FABEL. ALE TEGO NIGDY PAN NIE ZAPOMNI. BĘDĘ SIĘ BAWIŁ JAK NIGDY DOTĄD.

KŁAMSTWO LEŻY W NATURZE KOBIETY. KOBIETY RODZĄ SIĘ JAKO ISTOTY PRZEBIEGŁE I FAŁSZYWE, ŻYJĄ, ABY DOSKONALIĆ SIĘ W SZTUCE KŁAMSTWA I PODSTĘPU. SYN SVENA POMOŻE CÓRCIE DAWIDA ROZWINĄĆ SKRZYDŁA. CZYŻ NIE BRZMI TO POETYCKO?

SYN SVENA

Sobota, 21 czerwca, 22.00.
Harvestehude, Hamburg

Fabel bardzo się pilnował, by ogarniająca go panika nie udzieliła się zespołowi. Znaczenie e-maila było jasne jak słońce. Córka Dawida. Kobieta, która próbowała oszukać MacSwaina. Zamierzał się zemścić na Annie. Maria próbowała dodzwonić się do niej; nikt nie odbierał. Fabel wysłał do Eimsbüttel do jej mieszkania, zespół z poleceniem dostania się do środka, nawet po wyważeniu drzwi, gdyby okazało się to konieczne. W tym czasie on sam wraz z resztą ludzi miał zrobić nalot na apartament MacSwaina.

Funkcjonariusz, który obserwował dom podejrzanego, potwierdził, że Angol wrócił do siebie o 17.56 i od tamtego czasu nie wyszedł. Agent nie zauważył ruchu w mieszkaniu poza tym, że o 19.30 zapaliło się światło. Poszedł nawet na parking i upewnił się, że charakterystyczny porsche nadal tam stoi. Fabel wysłał połowę ludzi, z Marią na czele, schodami na górę, sam razem z Wernerem, resztą zespołu i ciężkim taranem szturmowym pojechał windą.

W mieszkaniu były tylko jedne drzwi wejściowe. Gdyby ktoś chciał wydostać się na zewnątrz inną drogą, musiałby wyjść na balkon i skoczyć z trzeciego piętra. Dwaj MEK-owcy w kamizelkach kuloodpornych rozhuścili między sobą stalowy taran, cicho odliczając. Na „cztery” rąbnęli nim, roztrzaskując zamek i wrywając drzwi z futryny. Jeszcze zanim uderzyły o podłogę w przedpokoju, obaj byli już w środku z pistoletami gotowymi do strzału.

Fabel od razu wyczuł, że mieszkanie jest puste. Trzy lub cztery minuty intensywnego przeszukiwania potwierdziły jego przypuszczenia.

- Kurwa! - wrzasnął Werner. - Jak to się mogło znowu stać?
- Szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba - powiedział Fabel. -

Powiniennem był posłuchać Anny i posłać ludzi, żeby śledzili tego skurwysyna.

Wymienili zaniepokojone spojrzenia, połączeni nagłym podejrzeniem.

- Skontaktuj się z grupą i spytaj, czy znaleźli Annę. Werner chwycił radiotelefon.

- Szefie... podejdź tu i zobacz... - Maria zawołała go do małego, podobnego do spiżarni pomieszczenia obok dużego pokoju. MacSwain upchnął tam niewielki stół z komputerem i krzesło. Ściany były pokryte fotografiami, wycinkami i odręcznymi notatkami. Dwa zwisające z sufitu reflektorki halogenowe oświetlały kompozycję na ścianie niczym eksponat w muzeum. Strumienie światła padały na drewnianą maskę. Była to kopia rzeźby, którą Fabel widział w książce Ottona. MacSwain miał taki sam egzemplarz. Brodatą twarz wykrzywił szaleńczy grymas; światło było tak ustawione, że jedno oko maski wydawało się czarne.

Maria musiała cofnąć się na zewnątrz, by nadkomisarz mógł swobodniej rozejrzeć się po wnętrzu. Fabel wyobraził sobie, że drzwi się zamykają i poczuł ucisk klaustrofobii. Wiedział, że pomieszczenie służyło nie tylko do pracy. Była to brama do innego wymiaru - do świata, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością normalnych ludzi. MacSwain siedział w tym przypominającym pudełko pokoju za szczelnie zamkniętymi drzwiami, jakby były podniesionym mostem zwodzonym w świecie alternatywnych prawd, morałów i wierzeń, które tu ożywały. Fabel nie był pewny, jak wiele z nich przywołał z mroków sam MacSwain, a ile zaimponował Witrenko.

W świetle lamp coś migotało brązem i złotem. Z boazerii zwisiała na łańcuszku owalna, metalowa odznaka policji dochodzeniowej. To dzięki niej morderca dostał się do mieszkania Angeliki Blum i zdobył jej zaufanie, a ona uwierzyła później, że zabija ją Jan Fabel. Maria, która zdołała wcisnąć się z powrotem, pochyliła się i wskazała wycinek z gazety przyczepiony nad innymi.

- Jezu - szepnęła. - To ty.

Artykuł, napisany rok wcześniej, został wycięty z „Hamburger

Morgenpost”. Na górze widniało zdjęcie Fabla, pod spodem było kilka akapitów dotyczących aresztowania Markusa Stiimbkego. Stumbke śledził i zamordował senator Lisę Kellmann. Wycinek był ewidentnie częścią większej całości, gdyż wchodził w szczegóły głębiej, niż obiecywał nagłówek; przypominał pochodzenie Fabla i jego karierę zawodową w policji hamburskiej. MacSwain podkreślił wzmiankę o brytyjsko-niemieckim pochodzeniu policjanta i informację o tym, że nazywano go czasem „angielskim komisarzem”. Fabel obejrzał resztę „wystawy”. Materiały na ścianie dotyczyły głównie mitologii i historii wikingów. Na mapie północnej Europy wykreślono szlaki, którymi wikingowie posuwali się w dół Wołgi aż do serca Ukrainy, a także trasy wzdłuż Morza Północnego i wybrzeży bałtyckich oraz, na czerwono, szlak prowadzący do wybrzeży północnej Szkocji, którą wikingowie najeżdżali i gdzie się osiedlali. Narysowaną czerwonym mazakiem nicią MacSwain sfastrygował swą fałszywą, pokrętną genealogię; cienką, lecz mocną przykrywkę szaleństwa, będącą perwersyjnym usprawiedliwieniem jego działań.

- Zauważyłaś, że czegoś tu brakuje? - spytał Marię Fabel. Maria skinęła głową.

- Nie ma zdjęć ofiar ani ich... detali. Żadnych trofeów.

- Właśnie.

Seryjni mordercy zwykle starali się „nawiązać stosunki” ze swymi ofiarami, nawet jeśli mordowali je podczas pierwszego spotkania. Ale nic w mieszkaniu MacSwaina nie wskazywało na to, że znał Ursulę Kastner, Angelikę Bliim i Tinę Kramer. Nie było tam zdjęć zrobionych ofiarom ukradkiem na chwilę przed śmiercią, artykułów czy ubrań. Nie znaleźli żadnych trofeów.

- Bo on nie wybierał swoich ofiar - gorzko stwierdził Fabel. - One były dla niego wybierane. MacSwaina fascynują nie ofiary, lecz osoba, która go prowadzi. Jego duchowy ojciec - Witrenko. To Witrenko zajął miejsce ojca MacSwaina, który nie interesował się synem.

Fabel zwrócił uwagę na coś jeszcze.

- Nie ma tu akt z mieszkania Angeliki Blum ani kamery wideo, którą stamtąd zabrano. MacSwain pozbył się tych

rzeczy. Powiedziano mu, w jaki sposób ma zamordować ofiarę i co zabrać z miejsca zbrodni.

Pojawił się Werner. Z nim i Marią Fabel czuł się w tym małym dusznym pokoju jak w pułapce. Odwrócił się i wskazał stanowczym ruchem głowy otwartą przestrzeń dużego pokoju. Wyszli z pomieszczenia.

- Chodzi o Annę, szefie. - Na twarzy Wenera malowała się troska. - Kiepsko to wygląda. Nie ma jej w domu, ale zostawiła torebkę i komórkę.

Sobota, 21 czerwca, 22.00.

Łaba w pobliżu Landungsbrücken, Hamburg

Dzień dobiegi końca, pozostawiając niebo zasnutę czerwienią i przyjemne ciepło w powietrzu. Franz Kassel uniósł czapkę i przeciągnął dłonią po gęstych rudoblond włosach. Jego zmiana właśnie się kończyła i już wyobrażał sobie bliskie spotkanie z zimnym piwkiem. Albo kilkoma. Podczas patrolu nic szczególnego się nie wydarzyło i Franz po raz kolejny mógł w spokoju delektować się tym, co tak lubił w służbie w policji wodnej - delikatnym pluskiem wody i łagodnym poskrzypywaniem łodzi na przystaniach, wiecznie zmiennym światłem, ogromem kadłubów statków, obok których przepływał. Ale najlepsza w tym była odmienność punktu obserwacji. Kiedy człowiek znajdował się na wodzie, patrzył na świat inaczej. Widział więcej szczegółów. Hamburg od strony ładu był zupełnie innym miastem. Franz czuł się uprzywilejowany, mając tak unikalny punkt widzenia.

Wiedział, że nie każdy potrafi to docenić, na przykład aspirant Gebhard, z którym wracał na przystań Landungsbrücken motorówką WS25. Dla Gebharda służba w policji wodnej była po prostu robotą. Był tu dopiero od trzech lat, ale już nieustannie mówił wszystkim wokół, że chce się przenieść na ład do MEK-u.

Kassel patrzył, jak Gebhard steruje do brzegu. Gebhard był bystry, ale nie czuł wody, co, jak twierdził Kassel, było nieodzowne dla każdego dobrego wodnego gliniarza. Dla urodzonego żeglarza rzeka była żywym organizmem. Dla Gebharda Łaba była autostradą, tyle że z wodną nawierzchnią, a on gliniarzem z drogówki. Kassel zostawił go przy łodzi i ruszył na przystań. Kiedy poczuł chłodny powiew na twarzy, westchnął z satysfakcją jak człowiek, który wie, że jest na właściwym miejscu. Nagle zauważył łódź wypływającą

spomiędzy filarów mostu Uberseebrücke. Uniósł lornetkę do oczu i poznał - to był Chris Craft 308, ten sam, którego kazano im śledzić poprzedniej nocy. Szybko zawrócił, wskoczył z powrotem na pokład i kazał Gebhardowi co siłą ruszać za tym, byle w bezpiecznej odległości.

- Ale jest koniec zmiany, szefie - zaprotestował Gebhard.

Kassel zmierzył go nieruchomym wzrokiem. Gebhard wzruszył ramionami i wyprowadził łódź z powrotem na rzekę. Kassel nie miał pojęcia, czy młoda funkcjonariuszka z wydziału zabójstw była wciąż zainteresowana łodzią, ale doszedł do wniosku, że lepiej to sprawdzić. Wziął do ręki nadajnik i poprosił, aby połączono go ze starszą komisarz Klee.

Sobota, 21 czerwca, 22.00.

Łaba w pobliżu Hamburga

Mgła, spowijająca umysł Anny, niekiedy rzedła. Wtedy czuła się zagubiona. Ale zagubienie wiąże się z odczuwaniem, z emocjami. Człowiek, który czuje się zagubiony, często odczuwa jednocześnie gniew lub strach albo zdziwienie. Anna była zagubiona i nic ponadto. Momentami odzyskiwała jasność umysłu, ale znów otulała ją wata. Jakby leciała samolotem pośród gęstych chmur.

Wreszcie ocknęła się. Rozpoznała wewnątrz łodzi MacSwaina. Ręce miała wykręcone do tyłu i związane, leżała na boku na łóżku. Zaczęło do niej docierać, gdzie jest i co się wydarzyło. MacSwain podał jej narkotyki. Był w jej mieszkaniu. Wsypał do wody, którą wypijała, flunitrazepam albo clonazepam i GHB. Nie miała pistoletu. Nie miała telefonu komórkowego. Fabel dał jej dzień wolny, więc nikt nie będzie jej szukać. Była sama i wiedziała, że nie ma na kogo liczyć. Przez chwilę było to jasne. Potem mgła się podniosła. Znów nie wiedziała, gdzie jest i co się stało. Zapadła w narkotyczny sen.

Obudził ją głos MacSwaina. Mówił do kogoś. Szybko, bez wytchnienia, nie czyniąc przerw. Początkowo nie rozumiała co, tak głęboko była wepchnięta pod powierzchnię świadomości, lecz zdołała odbić się od dna i zaczęła dryfować ku majaczącej coraz wyraźniej rzeczywistości i ku niemilknącej katarynce głosu.

Wynurzyła się na powierzchnię. Ból rozsadzał jej głowę, wałąc młotami w czaszce. MacSwain wciąż mówił. Anna otworzyła oczy. Siedział naprzeciwko, jego martwe, puste oczy wpatrywały się w nią nieruchomo, jedyną żywą częścią twarzy wydawały się usta. Miała wrażenie, że ktoś odkręcił kran, przez który wypływał odrażający umysł MacSwaina.

- On mi wszystko wytłumaczył - mówił szybko podnieconym

głosem. - Stwarzamy swoje własne mity. Stwarzamy je na podstawie legend, a legendy na podstawie naszej historii. Odyn jest bogiem. Jest bogiem wszystkich wikingów, ponieważ wszyscy wikingowie w niego wierzą. Zanim pojawił się w mitach jako bóg, występował w legendach jako król. Zanim legendy uczyniły z niego króla, podania historyczne mówią, że był prawdopodobnie naczelnikiem wioski w Jutlandii. Ale to nie było ważne. Najważniejsze jest to, kim się stał. Wystarczy wspomnieć imię Odyn i nikt nie myśli o wiejskim naczelniku. Na sam dźwięk jego imienia cały świat drży. Taka jest prawda... taka jest prawda. Wy tłumaczył mi to pułkownik Witrenko. Pokazał mi, że my wszyscy jesteśmy wariacjami na jeden temat, że wszyscy jesteśmy związani z naszą historią i mitami.

Nagle zamilkł. Anna spróbowała dźwignąć się do pozycji siedzącej. MacSwain poderwał się i w dwóch krokach był przy niej. Pięścią walnął ją w skroń i ból w jej głowie eksplodował. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, ale nie straciła przytomności. Leżała na boku, patrząc na MacSwaina, który mówił dalej z taką miną, jakby uderzył muchę.

- Pułkownik Witrenko opowiedział mi o ludziach, z którymi jesteśmy związani. Pułkownik i ja jesteśmy związani. Powiedział, że mamy podobne oczy i widać łączące nas pokrewieństwo, widocznie mieliśmy kiedyś tego samego przodka-wikinga. To samo dotyczy mnie i Fabela. Pułkownik Witrenko wykazał mi, że ja i Fabel mamy tę samą mieszaną krew. Jesteśmy w połowie Niemcami, w połowie Szkotami. Obaj wybraliśmy swoje miejsca. To dlatego został wytypowany na przeciwnika dla mnie.

Anna poczuła się nieco silniejsza. Umysł miała jaśniejszy, ale nadal była oszołomiona. Spojrzała na MacSwaina. Był potężnie zbudowany, ale jego cios, choć bolesny, nie był zbyt silny. Jedynym dźwiękiem na łodzi był plusk wody. Anna domyśliła się, że MacSwain wyłączył silnik, zanim zszedł na dół na ich małą randkę. Być może nadszedł koniec. Może to było jej „tu i teraz”. Ale nie była tak nafaszerowana, jak mu się zdawało. Będzie walczyć. Walczyć do samego końca. Nie pójdzie mu z nią tak łatwo.

- Jesteśmy związani nie tylko z ludźmi żyjącymi współcześnie. - MacSwain kontynuował swój monolog. - Ale także z tymi, którzy żyli kiedyś i urodzą się w przyszłości. Będziemy postaciami z ich legend. Ja będę taką postacią. Pułkownik Witrenko też. A potem, kiedy nadejdzie właściwy czas, zajmiemy miejsca obok Odyna. - Oczy MacSwaina nagle rozbłysły lodowatym okrucieństwem. Wstał i okrążył leżącą. - Ale najpierw złożymy ofiary. - Pochylił się nad nią.

Pierwszy kopniak Anny trafił go w bok głowy, ale niewygodna pozycja i wciąż odczuwalny wpływ prochów osłabiły siłę dziewczyny. MacSwain zatoczył się do tyłu bardziej zaskoczony niż obezwładniony, ale dzięki temu Anna zdążyła zsunąć nogi na podłogę i wstać. Zakręciło się jej w głowie. Zobaczyła, że MacSwain się prostuje. Kabina była mała i wąska, więc drobnej Annie było łatwiej się w niej poruszać niż jej wysokiemu przeciwnikowi. Kiedy rzucił się na nią, walnęła go stopą w pierś, wbijając mu obcas w mostek. MacSwain wypuścił powietrze z płuc i padł na klęczki, rozpaczliwie usiłując nabrać tchu, jakby znalazł się w próżni.

Anna zrobiła krok do przodu i w bok, związane ręce ograniczały jej ruchy. Wybrała odpowiednią chwilę i kopnęła MacSwaina z całej siły w skroń. Runął jak kłoda na podłogę małej kuchni. Jęknął i znieruchomiał. Anna podbiegła do drzwi i uderzyła w nie ramieniem. Ani drgnęły. Potem przypomniała sobie, że są rozsuwane i zaczęła gorączkowo macać z tyłu dłońmi. Najpierw kucnęła, a potem usiadła, nie odrywając wzroku od MacSwaina. Mężczyzna znowu jęknął. Anna chwyciła wreszcie drzwi związanymi rękami i spróbowała je otworzyć. Uda jej się. Na zewnątrz i w bok. Będzie bezpieczniejsza w wodzie niż na łodzi z tym psycholem.

Drzwi się zaklinowały. Zebrała całą energię i siłę woli i szarpnęła jeszcze raz. Puściły. Orzeźwiający, wilgotny zapach rzeki wypełniłabinę. Anna rzuciła się do przodu w ciemność nocy.

Tuż za nią rozległ się zwierzęcy ryk. MacSwain przygniótł ją swoim ciałem. Uderzyła twarzą w najwyższy schodek prowadzący do luku. Odurzający, żelazisty smak krwi wypełnił

jej nos i usta. MacSwain chwycił Annę za włosy, wykręcił jej głowę i zaciągnął z powrotem do kabiny. Jego pięść znów opadła twardo na jej kark, ale zaraz zdała sobie sprawę, że to nie uderzenie. Poczowała dotyk zimnego metalu i bolesne ukłucie igły. Potem noc, której Anna tak desperacko pragnęła, zamknęła się wokół niej.

Sobota, 21 czerwca, 22.15.
Łaba, między Hamburgiem a Cuxhaven

Franz Kassel zobaczył, że łódź motorowa zatrzymuje się. Znajdowała się poza głównym torem wodnym i była prawidłowo oświetlona, w przeciwieństwie do motorówki WS25, która mknęła za nią. Kassel dostrzegł, jak mężczyzna na pokładzie wyciera twarz ręcznikiem, na którym widniały ciemne plamy. Domyślał się, że to krew, ale pewności nie miał, łódź znajdowała się daleko, poza tym było ciemno. Odłożył lornetkę i zwrócił się do Gebharda.

- Spróbuj jeszcze raz połączyć się z tą Klee. Jeśli ci się nie uda, sam go zgarnę.

Spojrzał jeszcze raz na łódź. Na czarnej, gładkiej powierzchni wody ukazała się biała piana.

- Ten skurwiel się ruszył...

Sobota, 21 czerwca, 22.25. Harvestehude, Hamburg

Na ścianach łazienki MacSwaina lśniły nieskazitelnie czyste, białe kafelki, kosztowne baterie i wieszaki połyskiwały zimno niczym skalpele. Fabel, Maria i Werner patrzyli na ludzki kształt. Z wieszaka nad wanną zwisał granatowo-czerwony kombinezon płetwonurka, z którego krople wody skapywały na jasną emalię. Złowieszczo przypominał zdartą skórę lub coś zrzuconego podczas wylinki. Na brzegu wanny leżała maska do nurkowania.

Werner wskazał na kombinezon.

- Myślicie, że miał to na sobie?

Fabel spojrział na wannę. Rozległo się ciche kapnięcie i dwie krople spłynęły po ścianie wanny. Fabelowi wydały się lekko różowe na tle białej emalii. Wyjął długopis z kieszeni i pchnął do góry dźwigienną zamykającą automatyczny korek.

- Jeśli nawet tak było, to kiepski sposób na usunięcie krwi. Kombinezon jest nieprzemakalny, ale opaski kołnierza, kostek i nadgarstków są z neoprenu. Ile razy by nie płukał, na neoprenie pozostaną ślady. Niech nikt niczego nie rusza, dopóki nie przyjedzie Branuer.

Fabel postanowił zaszyć się w małym, klaustrofobicznym pokoiku MacSwaina. Na ścianach widniały przyklepione albo poprzyklejane kartki papieru. Potem przejrzy je dokładnie albo zleci to Wernerowi, teraz jednak podążał wzrokiem po śladach szaleństwa MacSwaina. Nie odrywał oczu od mapy stworzonej przez chory umysł. Były tam artykuły na temat wojny rosyjsko-afgańskiej, wycinki z gazet i książki. Zwłaszcza jeden z wycinków zwrócił jego uwagę, ponieważ stanowił fragment dłuższej całości. Był starannie wycięty, ale rozpoczynał się i kończył w środku zdania:

Siejąc niezgodę. Nie byli w stanie znaleźć odpowiedniego przywódcy. Kriwicze, Czudowie i Słowianie postanowili poszukać księcia z innego kraju albo króla, który rządziłby nimi i nadał im prawa. Szukali go pośród wikingów francuskich zwanych Normanami. Szukali pośród Anglów z Jutlandii i Anglii. Szukali pośród Swewów, czyli Szwedów w Szwecji. Spośród tych Szwedów, zwanych Maurami ruskimi, wywodzili się trzej bracia: Ruryk, Sineus i Truwor; którzy przybyli wraz z rodzinami i objęli władzę nad ludem mieszkającym nad Dnieprem. Najstarszy brat Ruryk rządził w Nowogrodzie Wielkim, tereny, na których panował, nazwano później Rosją. Wkrótce potem bracia Ruryka zmarli i stał się jedynym władcą. Dowiedział się, że na południu leżało miasto, które było w wielkim niebezpieczeństwie. Zostało założone przez poliańskiego przewoźnika Kię, jego braci Szczeka i Horiwa i siostrę Lybed. Miasto, które nazwano Kiewetz, czyli Kijów na cześć Kii, prosperowało pod mądrymi rządami. Ale po śmierci Kii i jego krewnych miastu zaczęło grozić wielkie niebezpieczeństwo ze strony Chazarów. Ruryka wzruszyło położenie

Przeczytał tekst jeszcze raz. Czy MacSwain w ten sposób postrzegał siebie i Witrenkę? Wierzył, że Witrenko jest współczesnym Rurykiem, a on jego wiernym krewnym? Fabel wpatrywał się w mapę stworzoną przez chory umysł. Kolejny wycinek. Tym razem dotyczył on wodza księcia Igora, Warega zwanego Sveneldem albo Sveinaldem. Imię, odległe w czasie i przestrzeni, ale wywodzące się z tego samego rdzenia co nazwisko MacSwaina, jak pod szkłem powiększającym uwypukliło jego szaleństwo. Fabel wędrował dalej. Liczne podobizny jednookiego Odyna. Asowie na stronie z panteonem dwunastu głównych bogów nordyckich. Na kolejnej stronie - Wanowie i Loki. Były tam fragmenty wydrukowanych z Internetu stron o religii Asatru. Największy z nich był reprodukcją drzeworytu przedstawiającego gigantyczny jesion z poskręcanyimi gałęziami i korzeniami, które wyciągały się niczym macki ku symbolom dwunastu różnych światów. Na

najwyższej gałęzi siedział potężny orzeł.

Fabel wiedział, że to Yggdrasil, Drzewo Świata, które stanowiło trzon nordyckich wierzeń. To właśnie Yggdrasil łączył wszystko - śmiertelnych ludzi z bogami, przeszłość z terażniejszością i przyszłością, niebo z ziemią i piekłem, dobro ze złem.

Kiedy tuż za nim rozległ się głos Marii, Fabel aż podskoczył.

- Zgłosiła się ekipa, którą wysłaliśmy na przystań. Łódź MacSwaina zniknęła.

- *Shitf* - Angielski bluzg wstrząsnął ścianami małego pokoju.

- Ale jest też dobra wiadomość, szefie - powiedziała Maria. Jej bładoniebieskie oczy zabłyśły. - Zadzwonił do mnie komisarz Kassel z policji wodnej. To ten facet, który pomagał nam, kiedy MacSwain wypłynął wczoraj na rzekę.

Niecierpliwie skinął głową.

- Obserwuje łódź, która płynie na zachód wzdłuż południowego brzegu. Jest pewien, że to MacSwain...Rzucił się do drzwi, omal nie tratując Marii, która odskoczyła w ostatniej chwili.

- Paul, Wernerze, Mario, jedzicie ze mną! - Fabel zwrócił się do dwóch innych członków zespołu. - Landsmann, Schiller, czekajcie tu, w razie gdyby się pojawił.

W biegu otworzył telefon komórkowy i mówił wypadając z mieszkania. Werner, Paul i Maria podążali za nim.

- Proszę mnie połączyć z naczelnikiem van Heidenem - rzucił.
- Natychmiast.

Van Heiden zorganizował helikopter, który czekał na Fabla i jego grupę na lądowisku szkoły policyjnej, obok Komendy Głównej. Buchholz i Leppert zostali aresztowani, tak jak chciał Fabel, wcześniej poinformowano adwokata Norberta Eitla, że MacSwain porwał funkcjonariuszkę policji. Zgodnie z przypuszczeniami Fabla kosztowny prawnik robił wszystko, aby pozwolono jego klientowi złożyć oświadczenie.

Fabel i inni pochylili się, biegnąc do helikoptera, łopaty wirnika cięły już powietrze. Śmierdziało paliwem, wizg turbin

narastał. Kiedy zapięli pasy, jeden z pilotów podał nadkomisarzowi mapę okolic rzeki oraz mikrofon i słuchawki, dając mu znak, żeby je założył. Fabel mógł się teraz porozumiewać z załogą.

- Wiecie, dokąd lecimy?

Pilot skinął energicznie głową okrytą hełmem.

- Wobec tego w górę. I połączcie mnie z dowódcą policji wodnej.

Motorówka Kassla płynęła blisko południowego brzegu, odcinkiem Łaby znanym jako Muhlenberger Loch. Zbliżali się do Stade i Kassel wiedział, że wkrótce znajdą się w tym punkcie Łaby, gdzie rzeka rozdzielała się przed ujściem do Morza Północnego. Kassel powiedział, że stracił z oczu łódź MacSwaina, bo była zbyt daleko, ale próbował ją namierzyć radarem i wezwał na pomoc dwie łodzie z komendy w Cuxhaven.

Fabel odebrał informację. Zorientował się, że wkrótce będą przelatywali nad plażą, na której ongiś porzucono ciała odurzonych narkotykami dziewcząt. Wtedy go olśniło. Skinął na Marię, Paula i Wenera, dając im do zrozumienia, żeby się do niego nachylili. Odsunął mikrofon od ust i zawołał, przekrzykując ryk silników:

- Tych dziewczyn nie zawieźli samochodem na miejsce gwałtu. MacSwain prawdopodobnie zabrał je tam łodzią, a potem on albo ktoś inny, kto uczestniczył w rytuale, wepchnął ich ciała do wozu i zostawił w pobliżu. - Fabel zbliżył mikrofon z powrotem do ust. - Połączcie mnie z policją w Cuxhaven. Muszę natychmiast rozmawiać z nadkomisarzem Sülbergiem.

Byli już daleko za miastem, kiedy zgłosił się Sülberg. Fabel wytłumaczył mu, że MacSwain nie wie, iż został namierzony, i płynie prawdopodobnie w to samo miejsce, gdzie wcześniej porzucono ciała dziewcząt.

- Ale tym razem - dodał - ma policjantkę, która może go zidentyfikować. On jej nie wypuści żywej, nawet jeśli wcześniej nafaszerował ją prochami.

- Zaraz jadę tam z ludźmi - obiecał Sülberg. - Zajmiemy pozycje i będziemy czekać na dalsze instrukcje.

Kiedy Sülberg rozłączył się, drugi pilot poinformował Fabla, że Kassel znowu się zgłosił. MacSwain zatrzymał łódź. W okolicy Freibergu.

Nadkomisarz zerknął na swoją mapę.

- Teren Aussendeich - stwierdził, ale jego słowa zagłuszył łoskot rotoru.

Niedziela, 22 czerwca, 24.10.
Aussendeich, między Hamburgiem a Cuxhaven

Łódź MacSwaina cumowała przy starym zaniedbanym moło. Jak Kassel obliczył, nim dotarł na miejsce, musiała tu stać dobre dziesięć minut. Wystarczająco długo, by MacSwain zdążył wywlec Annę z łodzi i zaciągnąć na bagna które połyskiwały w zimnym świetle księżycy. Kassel i Gebhard wyskoczyli z motorówki i ukryli się w krzakach, otaczających bagnisty teren. Kiedy kucnęli w zaroślach, Kassel zauważył, że Gebhard aż drży z podniecenia; od dawna marzył o takiej operacji. Zerknął na niego spod oka.

- Spokojnie, Gebhard. Zawiadomiłem przez radio gości z hamburskiej dochodzeniówki, oni zajmą się tym facetem. My mamy tu czekać, w razie gdyby chciał wrócić do łodzi.

Gebhard szarpnął niecierpliwie głową jak nastolatek, któremu zabrania się iść na imprezę. Kassel przyłożył lornetkę do oczu i rozejrzał się po terenie. Światło księżycy było słabe, ale był prawie pewien, że nikogo tam nie ma. Widocznie MacSwain ukrył się po drugiej stronie. Poszerzył pole obserwacji. Za majaczącym w oddali żywo płótem widniały dwa zniszczone budynki, wyglądające na stare stodoły. Obserwował je przez chwilę, potem ponownie skierował lornetkę na ciemne krzaki otaczające pole. Coś kazało mu spojrzeć jeszcze raz na budynki. Światło. Słabe, drżące światło w budynku po lewej stronie. Kassel klepnął Gebharda dłonią dwa razy w ramię, a potem podał mu lornetkę i wskazał na stodoły.

- Tam - szepnął. Podniósł nadajnik do ust, połączył się z helikopterem i dwukrotnie wypowiedział kod wezwania.

Fabel nie odrywał mikrofonu od ust, utrzymując stały kontakt z Komendą Główną. Grupa szturmowa MEK była już w

drodze, ale miała dotrzeć na miejsce dopiero za niecałą godzinę. Nadkomisarz nakazał Kasslowi, żeby nie ruszał się z miejsca, potem podał namiary pilotowi i Sulbergowi z jego ludźmi z Cuxhaven. Pilot potwierdził, że będą mogli wylądować w pobliżu stodoł.

- Nie, nie chcę, żeby MacSwain nas zauważył. Mógłby zrobić coś Annie. Lećmy dalej i lądujemy przy szosie. Sülberg będzie tam na nas czekał.

Znów połączył się z Sulbergiem, któremu przekazał ostateczne ustalenia co do miejsca spotkania. Potem spojrzął na Wenera, Marię i Paula. Na ich twarzach malowała się determinacja, ale na twarzy Paula widniał oprócz tego strach, który udzielił się Fablowi, bo potwierdzał jego najgorsze przypuszczenia.

Helikopter wylądował na polanie w pobliżu szosy. Kiedy Fabel pochylił się, aby uniknąć śmiertelnie ostrych łopat wirnika i pobiegł przed siebie, pomyślał, że są bardzo blisko miejsca, gdzie porzucono ciała dwóch dziewcząt. Rozmamłany, krępy Sulberg podbiegł do nich.

- Nasze samochody są dalej. Chodźmy.

Sulberg kazał kierowcom radiowozu wyłączyć światła, kiedy wjadą na ciemną drogę prowadzącą do stodoł. Sulberg, Fabel i Maria siedzieli w samochodzie jadącym na przedzie. Szlak był rzadko używany, zielono-biały mercedes podskakiwał na wyboistym gruncie. Pod osłoną wysokich krzaków dojechali do zakrętu, gdzie Sulberg kazał kierowcy się zatrzymać. Pozostałe trzy wozy stanęły z tyłu.

Sülberg i Fabel ruszyli przodem pochyleni, kryjąc się za krzakami. Przed stodołą zobaczyli dwa duże bmw. MacSwain nie był sam.

W bocznej ścianie budynku było duże okno, z którego sączyło się ponure, blade światło. Jednak znajdowało się pod takim kątem, że nie sposób było zobaczyć, co się dzieje w środku. Wrócili ostrożnie do miejsca, gdzie czekali Werner, Maria, Paul i czterej policjanci z Cuxhaven. Stanęli w kółku niczym członkowie drużyny amerykańskiego futbolu, opracowujący plan gry.

- Werner, ty i nadkomisarz Sülberg podejście od tyłu i sprawdźcie, czy dacie radę dostać się do środka. Paul i ja wejdziemy głównym wejściem. Mario, stań z boku i pilnuj bocznego okna, w razie gdyby ktoś próbował przez nie wiać.

Spojrzał na Sülberga, zanim zwrócił się do policjantów z Cuxhaven. Sülberg skinął głową na znak, że się zgadza.

- Wy dwaj będziecie pilnować bocznej ściany stodoły. Jeśli ktokolwiek będzie chciał się tamtędy wydostać, upewnijcie się, że to żaden z nas, zanim zaczniecie strzelać. Wy dwaj - wskazał na pozostałych - zajmijcie pozycje po obu stronach starszej komisarz Klee. Funkcjonariusze policji wodnej pilnują drogi prowadzącej do łodzi.

Księżyc przesłoniły płynące leniwie po niebie srebrzyste chmury. Cienie wokół stodoł i na otaczających je polach zlały się w jedną ciemną plamę jak czarny atrament wsiąkający w bibułę.

- Dobra - powiedział Fabel. - Idziemy.

Wydawało się, że w nocnej ciszy zamarły wszystkie dźwięki. Fabel słyszał jedynie drażniąco głośne oddechy funkcjonariuszy i odgłos kroków, kiedy biegli pochyleni w kierunku zaparkowanych bmw. Wydobył z kabury walthera i zarepetował. Paul, Werner i Sulberg podążali za nim. Skinął na Sulberga, który skierował się z Wernerem do bocznej ściany. Fabel odczekał trzydzieści sekund, które wydawały się wiecznością i skinął na Paula.

Ruszyli przed siebie i w ciągu kilku sekund byli obok stodoły. Stanęli po obu stronach drzwi, z wydobytymi pistoletami.

Fabel ostrożnie nacisnął na próbę ciężkie drzwi. Niezamknięte. Oczywiście. Ci, którzy byli w środku, czuli się bezpiecznie w swej kryjówce.

Zamierzali przeprowadzić tę operację na zimno, bez emocji, ale w środku była Anna. W Fablu zakipiła wściekłość i nienawiść. Paul zacisnął zęby, mięśnie szczęk napięły się mu jak postronki, a na szyi zaczęła pulsować żyła. Odwrócił głowę w stronę swego szefa; oczy płonęły mu furia. Fabel uniósł pytająco brwi: „Wszystko w porządku?”. Paul skinął głową, ale to nie wystarczyło jego szefowi. Fabel podniósł nadajnik do ust

i wyszeptał jedno słowo:

- Teraz!

Paul kopnął w drzwi podeszwą buta. Fabel wpadł pierwszy do środka. Zobaczył cztery postacie. Dębowy stół przekształcono w prowizoryczny ołtarz, na którym leżała Anna. Była przykryta szlafrokiem. Nie została związana, nie było takiej potrzeby, gdyż zamroczona narkotykami nie mogła się ruszyć. MacSwain pochylał się nad nią, jakby zamierzał dotknąć jej ciała. Poderwał głowę, patrząc z osłupieniem na Fabla i Paula, odwrócił ją gwałtownie, gdy Werner i Sulberg wpadli drugimi drzwiami. Fabel i Paul ustawili się tak, aby mieć swoich kolegów poza linią strzału.

Fabel zauważył dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich był niski i krępy, z jego postaci emanowała zwierzęca energia. Fabel rozpoznał Solowej a, jednego z kapitanów Witrenki. Drugi, wyższy, miał na sobie długi, czarny płaszcz. Mimo odległości Fabel zauważył błyszczące w półmroku zielone oczy mężczyzny.

Witrenko.

Jakiś kształt załśnił w jego prawej dłoni: nóż z krótkim, szerokim, dwustronnym brzeszczotem, który miał grubość ostrza miecza. Fabel nie miał wątpliwości, że patrzy na narzędzie zbrodni.

Usłyszał swój własny głos, napięty i kategoryczny.

- Policja! Połóżcie ręce na głowę i uklękniecie!

Trzej mężczyźni nie poruszyli się. MacSwain był zaskoczony, najwyraźniej nie wiedział, jak zareagować. Fabel domyślił się, że dwaj pozostali mają jakąś strategię. Paul Lindemann też tak uważał.

- Ruszcie się, a rozwalę wasze pieprzone łby. Mówię serio. - Fabel wyczuł w głosie Paula to samo napięcie, które brzmiało w jego własnym. Wiedział, że jego kolega nie żartuje.

- Nie wątpię - powiedział Wasyl Witrenko, wpatrując się w Paula zielonymi oczyma.

Wszystko stało się tak szybko, że Fabel ledwo to spostrzegł. Solowej padł na ziemię, jakby otworzyła się pod nim zapadnia, sięgając jednocześnie w zanadrze czarnej, skórzanej kurtki.

Rozległ się grzmot wystrzału i Fabel usłyszał tuż obok jakby kłaśnięcie. Bez odwracania głowy wiedział, że Paul nie żyje. Witrenko skoczył w bok, odbił się od podłogi i dał susa przez okno. Fabel strzelił w kierunku Solowej a. Powietrze wypełnił zapach kordy tu i dezorientujący huk. Werner i Sulberg też otworzyli ogień. MacSwain rzucił się w kącie na ziemię i skulił w pozycji embrionalnej.

Fabel spojrział na Paula, który leżał na ziemi z niewidzącymi oczyma utkwionymi w suficie. Śmierć usunęła wściekłość z jego twarzy. Pośrodku szerokiego, bladego czoła Paula widniał postrzępiony otwór.

Werner i Sulberg rzucili się do przodu. Sulberg kopnął Sołoweja, który leżał twarzą w dół na brudnej podłodze. Wcisnął but pod ramię Ukraińca i przewrócił go na plecy. Nie żył. Werner był już przy Annie. Przesunął rękami po jej ciele, szukając dziko śladów krwi. Spojrział na Fabla, a potem na Paula.

- Nic jej nie jest. Nie jest ranna.

Fabel wyciągnął radiotelefon z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Antena zaczepiła się o jego marynarkę, szarpnął z wściekłością rozrywając materiał. Potem wcisnął przycisk nadawania.

- Mario... Witrenko uciekł. Wyskoczył przez zachodnie okno i zmierza w twoją stronę.

- Widzę go! Widzę go! - Trzeszczenie mikrofonu sprawiło, że głos Marii wydawał się jeszcze bardziej piskliwy niż w rzeczywistości.

- Bądź ostrożna. Idę do ciebie. Do wszystkich jednostek: pomóżcie starszej komisarz Klee.

Rozłączył się i ruszył szybkim krokiem w stronę MacSwaina, wciąż kulącego się w rogu. W ruchach Fabla było zdecydowanie. Kiedy zbliżył się do leżącego, wykrecił mu rękę i wcisnął w policzek lufę walthera. MacSwain jęknął i zacisnął powieki pewien, że to już koniec.

- Ty sukinsynu... - wycedził Fabel spokojnym głosem. Spojrział na Wenera i Sulberga, którzy nie odezwali się ani słowem. Ścisnął mocniej broń, jego twarz wykrzywił szyderczy

grymas. W ciągu sekundy przez jego umysł przemknęło kilkanaście różnych obrazów. Zobaczył przerażoną twarz Michaeli Palmer. Cztery niewinne kobiety z rozprutymi ciałami. Martwe oczy Paula Lindemanna. Ale to był uczeń, a nie mistrz. MacSwainem manipulował inny, potężniejszy i bardziej wypaczony umysł. To Witrenko zamordował ukraińską dziewczynę i własnego ojca. Nie zostawił tego swojemu uczniowi. To było jego autorskie dzieło. Fabel odsunął pistolet od głowy MacSwaina.

- Pilnuj go! - wycedził patrząc na Sulberga. Ten skinął ponuro głową i zbliżył się do leżącego. - Werner, pilnuj Anny.

- A Witrenko?

- Sam się nim zajmę - powiedział Fabel i pobiegł w stronę drzwi.

Wypadł na zewnątrz, w ciemność. Zatrzymał się i spojrzał na płaską, szeroką łąkę. Zbliżył radio do ust.

- Mario? Cisza.

- Mario? Zgłoś się. Nadal nic.

Sulberg w stodole usłyszał Fabla. Połączył się przez radio ze swoimi ludźmi pytając, czy widzieli Witrenkę i Klee. Trzech odpowiedziało przecząco. Czwarty się nie zgłaszał, podobnie jak Maria. Fabel zmrużył oczy i wpatrywał się przez chwilę w ciemność, próbując dostrzec jakikolwiek ruch wśród czarnych, dwuwymiarowych zarysów drzew i krzaków otaczających pole. Wreszcie coś wypatrzył. W dali majaczył niewyraźny kształt. Fabel nie był pewien, czy to ludzka sylwetka. Puścił się biegiem w tamtym kierunku.

- Ucieka w stronę wody! Oddala się od łodzi! - zawołał Fabel do radia, ciężko dysząc. - Jeśli znajdzie się między drzewami, zgubię go!

Miał wrażenie, że płuca mu pękają. Serce waliło jak oszalałe.

Najpierw znalazł mundurowego. Leżał na boku z pistoletem w dłoni, w zagłębieniu wygniecionym w miękkiej ziemi ciężarem upadającego ciała. Jego ułożenie przypominało Fablowi znumifikowane zwłoki rytualnych, starożytnych ofiar, które od czasu do czasu naukowcy znajdowali w torfowej ziemi tej części Niemiec. Na szyi policjanta, od ucha do ucha, ziała

szeroka rana, widoczna nawet w słabej poświacie księżyca. Na trawie lśniła ciemna krew. Cisza i śmierć jednocześnie dopadły młodego policjanta. Odebrano mu prawo do ostatniego krzyku agonii.

- Mario! - zawołał Fabel w ciemności. Cisza. A potem coś jak westchnienie. Obrócił się w prawo o sześćdziesiąt stopni. Maria leżała w odległości dziesięciu metrów, częściowo zakryta przez trawę. Fabel podbiegł do niej i przyklęknął. Spoczywała na plecach, twarzą do ciemnego nieba. Wyglądała na prawie spokojną, jakby chciała w samotności popatrzeć na księżyc i gwiazdy. Spojrzała na niego, nie ruszając głową. Miała zaciśnięte wargi, oddech był szybki i płytki. Z jej brzucha, trochę poniżej mostka wystawała rękojeść szerokiego ceremonialnego noża aż po rękojeść wepchniętego w ciało. Morderca celowo nie wbił ostrza w serce ofiary, zadał cios, który uszkodził organy wewnętrzne, ale nie spowodował natychmiastowej śmierci.

Fabel pochylił się, ostrożnie ujął dłońmi twarz Marii i niemal dotknął jej ust swoimi wargami.

- Nie chcę umierać, Jan - powiedziała tonem małej dziewczynki. - Proszę, nie pozwól mi umrzeć.

- Nie umrzesz. - Jego głos był spokojny i pewny. - Popatrz na mnie. Posłuchaj. Witrenko mógłby cię zabić, gdyby chciał, ale nie. Nie zrobił tego, bo chciał, żebym został przy tobie zamiast go gonić. Chciał w ten sposób zyskać na czasie. - Fabel czuł jej szybki oddech na swej twarzy. - Nie umrzesz. - Ale sam nie bardzo w to wierzył. Maria uśmiechnęła się. Z jej ust pociekła strużka ciemnoczerwonej krwi.

Przez chwilę trwali jakby w innym świecie. Nagle tuż obok zabrzmiał głos, przerywając ciszę. Głos z radia. Werner.

- Annie nic nie jest, szefie. Powtarzam... Annie nic nie jest... Masz Witrenkę? Odbiór.

Fabel nacisnął guzik. Zdawał sobie sprawę, że jego własny głos jest pozbawiony energii. Zgłosił śmierć policjanta z Cuxhaven i wezwał helikopter sanitarny do ciężko rannej policjantki.

- Pomoc zaraz tu dotrze. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Mamy MacSwaina.

Maria uśmiechnęła się słabo. Oddychanie sprawiało jej coraz większą trudność.

Fabel podniósł wzrok. Wydało mu się, że dostrzega wysoką postać w odległym krańcu pola. To Witrenko biegł w kierunku drzew, jego płaszcz łopotał na wietrze niczym ciemne skrzydła. Fabel zerwał się na równe nogi, wyciągnął pistolet i strzelił raz, drugi, trzeci, zdając sobie jednocześnie sprawę, że Witrenko jest poza zasięgiem strzału. Nie dałby też rady go dogonić. Kiedy naboje w magazynku się skończyły i usłyszał bezsilny trzask iglicy w pustej komorze, przypomniał sobie e-mail. Słowa napisane przez MacSwaina, ale podyktowane przez Witrenkę:

MOŻE MNIE PAN POWSTRZYMAĆ, ALE NIGDY MNIE PAN NIE SCHWYTA.

Kosmopolitycznym Hamburgiem, miastem zarówno porządných obywateli i wielkich finansów, jak i prostytutek oraz narkotykowych gangów, wstrząsa seria makabrycznych morderstw. Bestialsko okaleczone zwłoki kobiet wydają się wykluczać pieniądze, czy seks, jako motyw zbrodni. A więc gdzie go szukać?

Nadkomisarz Fabel nie jest typowym policjantem. Potrafi sięgnąć wyobraźnią dalej niż na to pozwalają techniki śledcze. Ale nawet dla niego cień Krwawego Orła jest zbyt mroczny i odległy, by zrozumieć postępowanie zbrodniarza, który zaprasza go do makabrycznego tańca. Czy powinien podążyć tropem porachunków mafijnych pomiędzy bezwzględными Ukraińcami i Turkami? A może szukać dalej i głębiej w czasie i przestrzeni? Dochodzenie przypomina przejście przez niekończący się enigmatyczny labirynt, za każdym zakrętem czeka nowa tajemnica, która odkrywa kolejne zagadki, a z nich wyłaniają się następne pytania.

Akcja powieści trzyma w napięciu do ostatniej strony. W Hamburgu wszystko się łączy i miesza: przeszłość z teraźniejszością, świętość ze zbrodnią, hanzeatycka tradycja z rozpustnym Sankt Pauli. Wschód z Zachodem a Północ z Południem. Horror.

25,90 zł

ISBN 83-922452-1-0

ISBN 978-83-922452-1-6



9 788392 245216